

ALIENISTA

CALEB CARR



CALEB CARR

ALIENISTA

Przełożyła
Zuzanna Naczyńska



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2010

Książka ta jest dedykowana
ELLEN BLAIN, MEGHANN HALDEMAN,
ETHANOWI RANDALLOWI, JACKOWI EVANSOWI
i EUGENE'OWI BYRDOWI

Ci, co młodzi chcą być na starość, muszą być starzy za młodu.

John Ray, 1670

NOTA

Do wieku dwudziestego uważano, że osoby cierpiące na chorobę psychiczną są „wyalienowane”, nie tylko ze społeczeństwa, lecz także ze swej prawdziwej natury. Specjalistów, którzy badali psychopatologie, nazywano więc „alienistami”.

CZĘŚĆ PIERWSZA PERCEPCJA

Znajdujący się przed nami obiekt postrzegamy po części za pośrednictwem zmysłów, a po części (i to być może po większej części) całym naszym umysłem.

William James, *Podstawy psychologii*

Te krwawe myśli, z czegoż się rodzą?

Francesco M. Piave, z libretta *Makbeta* Verdiego

ROZDZIAŁ 1

8 stycznia 1919

Theodore leży w ziemi.

Te słowa nie docierają do mnie, jak wcześniej widok jego trumny opuszczanej do piaszczystego dołu na cmentarzu nieopodal Sagamore Hill, miejsca, które kochał najbardziej na świecie. Kiedy tam stałem tego popołudnia, w zimnym styczniowym wietrze wiejącym znad cieśniny Long Island, myślałem sobie, że to jakiś żart, że zaraz wyłamie wieko, oślepi nas tym absurdalnym wyszczerzeniem zębów, ogłuszy ostrym, szczekliwym śmiechem. A potem zawoła, że jest robota, że „trzeba działać!”, i zostaniemy odkomenderowani do obrony jakiegoś zapomnianego gatunku traszki przed drapieżnym magnatem przemysłowym, który uparł się zbudować cuchnącą fabrykę na terenach lęgowych tych małych płazów. Nie byłem odosobniony w moich fantazjach; wszyscy obecni spodziewali się czegoś podobnego, mieli to wypisane na twarzach. Doniesienia prasowe wskazują, że większość kraju i duża część świata czuje to samo. Myśl, że Theodore Roosevelt nie żyje, jest właśnie taka – nie do przyjęcia.

W rzeczywistości, czego nikt nie chciał przyznać, Theodore gościł już od dawna, odkąd w ostatnich dniach Wielkiej Jatki zginął jego syn Quentin. Cecil Spring-Rice zauważył kiedyś, w swej najlepszej brytyjskiej mieszance sympatii i uszczypliwości, że Roosevelt przez całe życie „miał jakieś sześć lat”; a Herm Hagedorn stwierdził, że gdy latem 1918 roku Quentin został zestrzelony z nieba, „umarł w Theodorze chłopiec”. Jadłem dziś kolację w Delmonico z Laszlem Kreizlerem i zacytowałem mu uwagę Hagedorna. Potem przy dwóch kolejnych daniach raczył mnie długimi, charakterystycznie namiętymi wyjaśnieniami, dlaczego śmierć Quentina była dla Theodore'a więcej niż po prostu bolesna: czuł się też głęboko winny, winny tego, że wpoił swym dzieciom filozofię „ofiarnego życia” tak skutecznie, iż często z rozmysłem narażały się na niebezpieczeństwo, aby sprawić radość ukochanemu ojcu. Theodore ciężko znosił ból straty, zawsze o tym wiedziałem. Ilekroć musiał stawić czoło śmierci kogoś bliskiego, wydawało się, iż może nie przeżyć tych zmagania. Lecz dopiero dziś wieczorem, słuchając Kreizlera, zrozumiałem, w jakim stopniu również wątpliwości moralne były nie do zniesienia dla dwudziestego szóstego prezydenta, który czasem zdawał się uważać siebie za wcieloną Sprawiedliwość.

Laszlo Kreizler... Nie chciał przyjść na pogrzeb, choć Edith Roosevelt byłaby mu rada. Zawsze szczerze lubiła tego, jak go nazywa, „człowieka-zagadkę”, znakomitego lekarza, który swymi czterdziestoletnimi badaniami nad ludzkim umysłem tak głęboko zaniepokoił tak wiele osób. Kreizler napisał do Edith; tłumaczył, iż niezbyt podoba mu się idea świata bez Theodore'a, a że ma już sześćdziesiąt cztery lata i przeżył życie, patrząc ponurej rzeczywistości prosto w oczy, pozwoli sobie zignorować fakt odejścia przyjaciela. Edith powiedziała mi dzisiaj, że list Kreizlera wzruszył ją do łez, ponieważ uświadomiła sobie, jak silne musiały być wrodzona życzliwość i zapał Theodore'a, skoro dotarły do odludka, który niemal wszystkim innym wydawał się całkowicie nieprzystępny.

Paru chłopców z „Timesa” chciało, bym wziął udział w okolicznościowej kolacji, ale cichy wieczór z Kreizlerem uznałem za dużo bardziej na miejscu. Wznosiliśmy kieliszki nie z nostalgii za wspólnym nowojorskim dzieciństwem, bo Laszlo i Theodore poznali się dopiero na Harvardzie. Nie, wspominaliśmy z Kreizlerem wiosnę 1896 roku – prawie ćwierć wieku temu! – i serię wypadków, które wciąż jeszcze wydają się zbyt dziwaczne, aby mogły się zdarzyć, nawet w tym mieście. Przy deserze i porto (i jakież to wzruszające, znów jeść kolację w Delmonico, dobrym starym Delu, który teraz, jak i my, najlepsze dni ma już za sobą, ale w owych czasach był kipiącą życiem sceną kilku z naszych najważniejszych spotkań) obaj śmiało się i kręciliśmy głowami, nadal zdumieni, że wyszliśmy z tej próby bez szwanku; i nadal zasmuceni, co widziałem w twarzy Kreizlera i czułem we własnej piersi, na wspomnienie ludzi, którym się to nie udało.

Nie da się tego opisać w prosty sposób. Mógłbym powiedzieć, że z perspektywy czasu wydaje się, iż drogi życiowe naszej trójki, i wielu innych osób, wiodły nieubłaganie i nieuchronnie ku temu właśnie doświadczeniu; ale wówczas zatrąciłbym o determinizm psychologiczny i zakwestionował istnienie wolnej woli – powrócił, innymi słowy, do filozoficznego dylematu, który przewijał się uporczywie przez całe to koszmarnie postępowanie niczym jedyna możliwa do zanucenia melodia w trudnej operze. Mógłbym też stwierdzić, że w ciągu tych miesięcy Roosevelt, Kreizler i ja, wspomagani przez kilku spośród najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, podążyliśmy tropem morderczego potwora, by na koniec stanąć twarzą w twarz z przerażonym dzieckiem. Nie, można to zrobić tylko w jeden sposób: mówiąc całą prawdę, cofając się do tej pierwszej makabrycznej nocy i pierwszych zmasakrowanych zwłok; cofając się jeszcze dalej nawet, do naszych zajęć z profesorem Jamesem na Harvardzie. Tak, trzeba to wszystko ujawnić i wreszcie uświadomić społeczeństwu.

Spółeczeństwo może nie być tym zachwycone; w rzeczy samej, to właśnie z obawy przed publiczną reakcją tyle lat zachowywaliśmy milczenie. Większość nekrologów Theodore'a także nie wspomniała o tych wydarzeniach. Wymieniając jego osiągnięcia jako prezesa nowojorskiego Zarządu Komisarzy Policji od 1895 do 1897 roku, tylko „Herald” – którego prawie nikt dziś nie czyta – dodał wstydliwie: „i, oczywiście, wyjaśnienie sprawy okropnych morderstw z 1896 roku, które tak zaszokowały miasto”. Z drugiej strony, Theodore nigdy nie przypisywał sobie tej zasługi. To prawda, miał dostatecznie otwarty umysł, aby, mimo skrupułów, powierzyć śledztwo człowiekowi, który potrafił rozwiązać zagadkę. Prywatnie jednak zawsze przyznawał, że tym człowiekiem był Kreizler.

Nie bardzo mógł to zrobić publicznie. Theodore wiedział, że Amerykanie nie byliby skłonni mu uwierzyć ani nawet wysłuchać szczegółów sprawy. Zastanawiam się, czy będą teraz. Kreizler w to wątpi. Kiedy mu oznajmiłem, że zamierzam spisać tę historię, parsknął swoim sardonycznym chichotem i powiedział, że tylko przerażę i odstreczę czytelników, nic więcej. Nasz kraj, stwierdził, mało się zmienił od 1896 roku, mimo wysiłków takich ludzi, jak Theodore, jak Jake Riis i Lincoln Steffens, i wielu innych podobnych im mężczyzn i kobiet. Zdaniem Kreizlera wszyscy nadal uciekamy – w chwilach samotności my, Amerykanie, uciekamy równie szybko i z równym lękiem jak dawniej, uciekamy przed ciemnością, o której wiemy, iż czyha za progiem tyłu na pozór spokojnych domostw, przed koszmarami wciąż wszczepianymi w umysły dzieci przez ludzi, których te z rozkazu Natury darzą miłością i zaufaniem, uciekamy coraz prędzej i coraz liczniej ku przesądom, religiom i filozofiom, które obiecują wymazać owe lęki i koszmary, i wymagają w zamian jedynie niewolniczego oddania. Czy naprawdę Kreizler może mieć rację...?

Staję się enigmatyczny. Do początku więc!

ROZDZIAŁ 2

Nieludzkie łomotanie do drzwi domu mojej babki przy Washington Square North 19 o godzinie drugiej w nocy 3 marca 1896 roku wyciągnęło z sypialni najpierw służącą, a potem samą babkę. Ja leżałem w łóżku, już nie pijany, ale jeszcze nie całkiem trzeźwy, bo nie zdążyłem się pokrząć snem, i świadom, że ktokolwiek stoi pod drzwiami, ma raczej sprawę do mnie niż do babki. Zakopałem się jednak w obleczone lnem poduszki z nadzieją, że wkrótce da spokój i odejdzie.

– Pani Moore! – dobiegło mnie wołanie służącej. – Co za okropny rumor. Mam otworzyć?

– Pod żadnym pozorem – odrzekła babka surowym tonem, oddzielając każde słowo. – Obudź mojego wnuka, Harriet. Pewnie zapomniał o jakimś karcianym długu!

Postyszawszy zbliżające się kroki, uznałem, że lepiej będzie wstać. Mieszkałem u babki mniej więcej dwa lata, od krachu mojego narzeczeństwa z panną Julią Pratt z Waszyngtonu, i starszka coraz bardziej sceptycznie odnosiła się do sposobu, w jaki spędzam wolny czas. Powtarzałem jej wielokrotnie, że jako redaktor kroniki policyjnej „New York Timesa” muszę odwiedzać zakazane dzielnice i domy i przestawać z osobnikami podejrzanej konduity; lecz babka za dobrze pamiętała mą wczesną młodość, aby wierzyć tym – przyznając – naciąganym wyjaśnieniom. Stan, w jakim na ogół wracałem do domu, utwierdzał ją w opinii, że to osobista skłonność, a nie obowiązek zawodowy, pcha mnie co wieczór ku dansingom i zielonym stolikom Tenderloinu¹. Słyszając jej uwagę o kartach, uświadomiłem sobie, że muszę się zaprezentować jako mężczyzna trzeźwy i zajęty poważnymi sprawami. Pospiesznie wdziałem czarne chińskie kimono, przygładziłem moje krótkie włosy i otworzyłem drzwi w chwili, gdy służąca znalazła się przy nich.

– Ach, Harriet – powiedziałem spokojnie, trzymając dłoń w rozcięciu kimona. – Nie ma powodu do paniki. Przeglądałem właśnie notatki do artykułu i odkryłem, że potrzebuję pewnych materiałów. To na pewno goniec z redakcji.

– John! – zagrzmiała babka, gdy Harriet z zakłopotaniem skinęła głową. – Czy to ty?

– Nie, babciu – odparłem, zbiegając po schodach wyłożonych grubym perskim dywanem. – Doktor Holmes.

1 Dawna nowojorska dzielnica nocnych lokali, nazywana tak (*tenderloin* – połędwica), ponieważ uchodziła za najlepszy rewir dla policjantów biorących łapówki. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki.)

Doktor H. H. Holmes był nieopisanie sadystycznym mordercą i oszustem, oczekującym właśnie w Filadelfii na powieszenie. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu babka lękała się, iż może on uciec z więzienia przed spotkaniem z katem i przyjechać do Nowego Jorku, aby ją zabić. Przystanąłem w drzwiach jej sypialni i pocałowałem staruszkę w policzek, co przyjęła bez uśmiechu, choć sprawiłem jej przyjemność.

– Nie bądźź zuchwały, John. To twoja najmniej sympatyczna cecha. I nie myśl, że mnie udobruchasz tymi męskimi sztuczkami.

Znów rozległo się walenie w drzwi, a potem jakiś chłopięcy głos zawołał mnie po nazwisku. Babka mocniej zmarszczyła brwi.

– Kto to, u licha, jest i czego, u licha, chce?

– Sądzę, że to goniec z redakcji – powiedziałem, podtrzymując moje kłamstwo, ale i mnie niepokoiła tożsamość młodego człowieka, który tak się pastwił nad frontowymi drzwiami.

– Z redakcji? – powtórzyła babka, nie wierząc mi za grosz. – Dobrze, skoro tak, to otwórz.

Szybko, choć ostrożnie, zszedłem do sieni, gdzie uświadomiłem sobie, że znam głos, który mnie woła, lecz nadal nie mogłem go skojarzyć z osobą. Fakt, że był to głos młody, bynajmniej nie dodał mi otuchy – niektórzy spośród najbardziej niebezpiecznych złodziei i morderców, jakich spotykałem w Nowym Jorku roku 1896, mieli jeszcze mleko pod nosem.

– Panie Moore! – zawołał ponownie chłopak, wzmacniając walenie pięścią kilkoma zdrowymi kopniakami. – Muszę mówić z panem Johnem Schuylerem Moore'em!

Stałem już na czarno-białej marmurowej posadzce, z dłonią na zasuwie.

– Kto tam? – zapytałem.

– To ja, proszę pana! Stevie!

Z westchnieniem ulgi otworzyłem ciężkie drewniane wierzaje. Za nimi, w słabym świetle lampy gazowej – jedynej w całym domu, której babka nie pozwoliła zastąpić żarówką elektryczną – stał Stevie Taggert, znany jako Stevie Palacz. Do jedenastego roku życia Stevie zdążył napsuć krwi policji w piętnastu rewirach, potem jednak wyprowadził go na ludzi i zatrudnił u siebie jako stangreta oraz chłopca na posyłki znakomity lekarz i alienista, a mój przyjaciel, doktor Laszlo Kreizler. Stevie opierał się o jedną z białych kolumniek ganku i dyszał – coś wyraźnie chłopaka przeraziło.

– Stevie! – wykrzyknąłem, widząc, że jego długa grzywa prostych brązowych włosów jest zlepiona potem. – Co się stało?

Z tyłu zobaczyłem małą kanadyjską kolaskę² Kreizlera, zaprzęzoną w czarnego wałacha imieniem Frederick. Koń był, podobnie jak Stevie, mokry od potu, który parował w chłodnym marcowym powietrzu.

– Czy doktor Kreizler jest z tobą?

– Pan doktor powiedział, że ma pan ze mną jechać! – odparł pospiesznie Stevie, złapawszy już oddech. – Natychmiast!

– Ale dokąd? Jest druga w nocy...

– Natychmiast!

Zrozumiałem, że nie jest w stanie niczego mi wyjaśnić, więc kazałem mu zaczekać. Kiedy się ubierałem, babka krzyczała do mnie przez drzwi sypialni, że cokolwiek „ten dziwaczny doktor Kreizler” i ja zamierzamy robić o drugiej w nocy, na pewno nie jest to nic przyzwoitego. Starając się nie zwracać na nią uwagi, wyszedłem z domu i otulony tweedowym płaszczem wskoczyłem do powozu.

Nie zdążyłem jeszcze usiąść, gdy Stevie zaciął Fredericka długim batem. Poleciałem do tyłu na rdzawe skórzane siedzenie i miałem ochotę zbesztać chłopaka, ale znów zastanowił mnie wyraz lęku na jego twarzy. Zebrałem się w sobie, bo powóz turkotał po kocich łbach Washington Square z dość niepokojącą szybkością. Kołysanie i wstrząsy zelżały tylko minimalnie, gdy wjechaliśmy na długie, szerokie płyty Broadwayu. Zmierzaliśmy w stronę śródmieścia, w stronę śródmieścia i na wschód, ku tej części Manhattanu, gdzie Laszlo Kreizler uprawiał swoje rzemiosło i gdzie im dalej się zapuszczałeś, tym bardziej nędzne i podłe stawało się życie: Lower East Side.

Przez chwilę myślałem, że coś się przytrafiło Laszlowi. To mogłoby tłumaczyć rozdrażnienie, z jakim Stevie popędzał Fredericka – wiedziałem bowiem, że zazwyczaj traktuje konia z bezbrzeżną łagodnością. Kreizler był pierwszym człowiekiem, któremu udało się wydobyć ze Stewiego coś więcej niż złość i agresję, i bez wątpienia wyłącznie dzięki niemu smarkacz opuścił ów zakład na Randalls Island eufemistycznie nazywany „schroniskiem dla chłopców”. Prócz tego, że był, jak napisano w raporcie policyjnym, „urodzonym zakałą społeczeństwa, złodziejem, kieszonkowcem, pijakiem, nikotynistą, naganiaczem” – członkiem gangu szulerów, zwabiającym naiwnych do gry – zanim skończył dziesięć lat, już w zakładzie Stevie zaatakował i ciężko okaleczył jednego ze strażników, który, jak twierdził, próbował go wykorzystać. („Wykorzystanie” w dziennikarskim języku sprzed ćwierć wieku niemal zawsze oznaczało gwałt.) Ponieważ strażnik miał żonę i dzieci, zakwestionowano prawdomówność chłopca, a w końcu jego poczytalność – i wtedy na scenę wkroczył Kreizler, jeden z najwybitniejszych ówczesnych ekspertów od psychiatrii sądowej. Na rozprawie Kreizler po mistrzowsku odmalował obraz życia Stewiego na ulicy od chwili, gdy w wieku lat trzech został porzucony przez matkę, bardziej oddaną opium niż synowi. Mowa Kreizlera zrobiła na sędzi lepsze wrażenie od zeznań poturbowanego strażnika, lecz zgodził się zwolnić Stewiego dopiero wtedy, gdy Kreizler wyraził gotowość wzięcia chłopca do siebie i poręczył za jego przyszłe sprawowanie. Myślałem wówczas, że Laszlo kompletnie oszalał; ale w ciągu zaledwie roku Stevie stał się zupełnie innym chłopakiem. I jak niemal każdy, kto pracował dla Kreizlera, przywiązał się do swego opiekuna, mimo tego szczególnego emocjonalnego dystansu, który tak bardzo zbijał z tropu wielu jego znajomych.

– Stevie, gdzie jest doktor Kreizler?! – zawałęm, przekrzykując stukot kół powozu o wytarte krawędzie granitowych płyt. – Czy coś mu się stało?

– W Instytucie! – odparł chłopak; jego niebieskie oczy były szeroko otwarte.

Laszlo praktykował w Instytucie Dziecięcym Kreizlera, założonym przezeń w latach osiemdziesiątych i będącym połączeniem szkoły z ośrodkiem badawczym. Miałem już spytać, co tam robi o tej godzinie, ale ugryzłem się w język, bo przelatywaliśmy pędem przez wciąż ruchliwe skrzyżowanie Broadwayu i Houston Street. Jak ktoś kiedyś słusznie zauważył, można by tutaj strzelić z pistoletu w dowolnym kierunku bez obawy, że trafi się w uczciwego człowieka.

– Jedziemy do Instytutu? – krzyknąłem.

Stevie tylko ostro skierował konia w lewo, w Spring Street, gdzie pod dwoma czy trzema kabaretami przeszkodziliśmy w interesach: prostytutki udające tancerki umawiały się na późniejsze schadzki w tanich hotelach z jakimiś nieszczęsnymi, na ogół przyjezdnymi głupcami. Ze Spring Street Stevie skręcił w Delancey – właśnie poszerzaną, aby mogła przyjąć ruch z nowego mostu Williamsburskiego, którego budowę niedawno zaczęto – a potem przemknęliśmy obok kilku ciemnych już teatrów. Z każdej mijanej przecznicy dobiegał mnie rozpaczliwy, obłąkany gwar pijackich spelunek: plugawych nor, gdzie przy zastępującej szynkwias brudnej desce sprzedawano po pięć centów za kieliszek podły bimber, zaprawiony czym się dało – od benzyny po kamforę. Stevie nie zwolnił tempa – zmierzaliśmy, jak się wydawało, na sam kraniec wyspy.

Podjąłem ostatnią próbę dowiedzenia się czegoś:

– Nie jedziemy do Instytutu?!

Stevie w odpowiedzi potrząsnął głową, po czym znów strzelił z bata. Wzruszyłem ramionami i usiadłem, aby przytrzymać się boków powozu. Byłem ciekaw, co tak bardzo przestraszyło tego chłopca.

Delancey Street poprowadziła nas obok pozamykanych straganów, na których w dzień sprzedawano owoce i ubrania, i dalej, w jedną z najgorszych części Lower East Side, przy nabrzeżu powyżej Corlears Hook. Po obu stronach ulicy rozciągało się żalosne morze małych baraków i tandetnych nowych czynszówek. Rejon ten był tygłem różnych imigranckich kultur i języków; na południe od Delancey przeważali Irlandczycy, bardziej na północ, bliżej Houston – Węgrzy. Od czasu do czasu kościół takiego czy innego wyznania wyłaniał się między rzędami ponurych domów, które nawet tej mroźnej nocy były udrapowane sznurami z praniem. Prześcieradła i części garderoby, zamrożone niemal na sztywno, wykrecały się na wietrze pod kątem, który mógł się wydać nienaturalny, ale prawdę powiedziawszy, w takim miejscu nic nie było nienaturalne. Znajdowaliśmy się w dzielnicy, która niewiele wiedziała o prawach, ludzkich czy boskich, która budziła radość gości i mieszkańców dopiero wtedy, gdy mogli oglądać jej upadek z oddali, po udanej ucieczce.

Przy końcu Delancey Street zapach morza i świeżej wody oraz fetor odpadków, które codziennie po prostu spychano z krawędzi Manhattanu, mieszały się ze sobą, tworząc charakterystyczny zapach tego ścieku, który nazywamy East River. Wkrótce wyrosła przed nami jakaś duża, pochyła konstrukcja: wiadukt rodzącego się mostu Williamsburskiego. Bez zatrzymywania, i ku mojemu przerażeniu, Stevie pognął konia na oszalałą jezdnię; podkowy i koła zastukały o deski znacznie głośniej niż przedtem o kamień.

Skomplikowany labirynt stalowych przypór wiaduktu wyniósł nas dziesiątki stóp w górę w nocne powietrze. Gdy znów począłem się zastanawiać, dokąd, u licha, jedziemy – wieżom mostu bowiem daleko było do ukończenia, a otwarcie całości miało nastąpić dopiero za kilka lat – nagle zamajaczył przede mną kształt przypominający mury dużej chińskiej świątyni. Ta szczególna budowla, wzniesiona z olbrzymich granitowych bloków i uwieńczona dwiema przysadzistymi wieżami, z których każdą otaczał delikatny pierścień stalowej galeryjki, była manhattańskim przyczółkiem mostu, który miał w przyszłości trzymać jeden koniec wiązki grubych stalowych lin dźwigających środkowe przęsło. W pewnym sensie jednak moje skojarzenie ze świątynią nie było niedorzeczne: podobnie jak most Brooklyński, którego gotyckie łuki rysowały się ku południowi na tle nocnego nieba, ta nowa przeprawa przez East River była miejscem, gdzie wielu robotników oddało życie za Inżynierię, nową religię, która w ciągu ostatnich piętnastu lat stworzyła podniebne cuda na całym Manhattanie. Nie wiedziałem wszelako, że krwawa ofiara złożona tej właśnie nocy na szczycie zachodniego przyczółku mostu Williamsburskiego miała zupełnie inny charakter.

W pobliżu wejścia do wież, w lichym świetle paru żarówek elektrycznych, stało z latarniami w dłoniach kilku policjantów, których małe mosiężne odznaki wskazywały na przynależność do Trzynastego Komisariatu (minęliśmy go przed chwilą na Delancey Street). Towarzyszył im sierżant z Piętnastki, co z miejsca wydało mi się dziwne – w ciągu dwóch lat prowadzenia kroniki kryminalnej „Timesa”, nie mówiąc już o spędzonym w Nowym Jorku dzieciństwie, przekonałem się, iż każdy z miejskich komisariatów policji zazdrośnie strzeże swego terenu. Jeśli Trzynastka wezwała człowieka z Piętnastki, musiało się dziać coś szczególnego.

Przy tej grupce niebieskich płaszczy Stevie wreszcie ściągnął cugle, zeskoczył z kozła i wziąwszy ciężko dyszącego Fredericka za uzdę, poprowadził go na pobocze, do olbrzymiej sterty materiałów budowlanych. Chłopak z nawyku mierzył policjantów nieufnym wzrokiem. Sierżant z Piętnastego Komisariatu, wysoki Irlandczyk, którego ziemista twarz wyróżniała się tylko tym, że nie zdobyły jej bujne wąsy, tak popularne wśród stróżów prawa, wystąpił naprzód i przyjrzał się Stewiemu ze złowrogim uśmiechem.

– Czy to nie mały Stevie Taggart? – spytał z silnym akcentem. – Chyba pan komisarz nie ciągnął mnie taki kawał drogi, żebym ci natarł uszu, co, Stevie, ty jucho?

Wysiadłem z powozu i podszedłem do Stewiego, który posłał sierżantowi ponure spojrzenie.

– Nie przejmuj się, Stevie – powiedziałem jak najbardziej współczującym tonem. – Pod skórzanym hełmem często mieszka głupota. – Chłopak rozchmurzył się nieco. – Ale chętnie bym usłyszał, co tu robimy.

Stevie ruchem głowy wskazał wieżę północną.

– Tam. Pan doktor powiedział, że ma pan wejść na górę.

Ruszyłem ku drzwiom osadzonym w granitowej ścianie, ale Stevie nadal stał przy koniu.

– Nie idziesz?

Chłopak wzruszył ramionami i odwrócił się, wyjmując z kieszeni pogniecionego papierosa.

– Już to widziałem. I starczy mi na całuchne życie.

Z rosnącym niepokojem skierowałem się do drzwi, lecz w progu zatrzymała mnie ręka sierżanta.

– A kim to pan jest, że się rozjeżdża z małym Palaczem o takiej nieprzyzwoitej godzinie? Miarkuj pan, to miejsce przestępstwa.

Podąłem mu moje nazwisko i zawód, na co wyszczerzył zęby, odsłaniając imponującą złotą plombę.

– Aaa, dżentelmen z prasy, i to z samego „Timesa”! No cóż, panie Moore, sam ledwo co tu dotarłem. Pilne wezwanie, widać nikomu innemu nie mogli zaufać. Nazywam się Flynn, sierżant Flynn, nie jakiś tam posterunkowy. Proszę, pójdziemy razem. A ty się zachowuj, Stevie, bo wylądujesz z powrotem na Randalls Island, zanim zdążysz splunąć!

Stevie odwrócił się do konia.

– Idź się gonić – mruknął na tyle głośno, że sierżant go usłyszał.

Flynn zrobił w tył zwrot z morderczym wyrazem twarzy, ale zmytygował się, przypomniawszy sobie o mojej obecności.

– Niepoprawny smarkacz, panie Moore. Pojęcia nie mam, czemu taki człowiek jak pan się z nim zadaje. Chyba że potrzebny panu łącznik ze światem przestępczym. Do góry, sir, i proszę uważać, ciemno tu jak w grobie!

Istotnie, było ciemno. Potykając się, pokonywałem strome schody, na których szczyście majaczyła kolejna postać w skórzanym hełmie. Dostrzegłszy nas, posterunkowy z Trzynastego Komisariatu odwrócił się i zawołał do kogoś:

– To Flynn, sir. Już jest.

Weszliśmy do małego pomieszczenia zawalonego koźłami do cięcia drewna, deskami, mnóstwem nitów oraz kawałków metalu i drutu. Z szerokich okien roztaczał się widok na wszystkie strony – miasto za nami, rzekę i niedokończone wieże mostu przed nami. Drugie drzwi prowadziły na galerijkę okalającą wieżę. Nieopodal zajął miejsce wąskooki, brodaty sierżant służby śledczej, Patrick Connor, którego znałem z moich wizyt w Kwaterze Głównej Policji przy Mulberry Street. Obok niego, spoglądając na rzekę i kotysząc się lekko z rękoma założonymi za plecy, stała dużo bardziej znajoma postać: Theodore.

– Sierżancie Flynn – powiedział Roosevelt, nie zmieniając pozycji. – Niestety, wezwaliśmy pana z powodu ohydnej zbrodni. Ohydnej.

Moje poczucie dyskomfortu wzrosło, gdy Theodore odwrócił się do nas. W jego powierzchowności nie było nic niezwykłego: kosztowny, nieco dandysowski kraciany garnitur, w jakich wówczas gustował; okulary, które podobnie jak oczy za nimi były zbyt małe w stosunku do mocnej, kanciastej czaszki; okazałe wąsy jeżące się pod szerokim nosem. Niemniej jego twarz miała nader dziwny wyraz. Nagle dotarło do mnie: zęby. Jego zwykle kłapiące zęby – nie było ich widać. Zaciśnął szczęki jakby w namiętej wściekłości lub w poczuciu winy. Coś bardzo wstrząsnęło Rooseveltem.

Na mój widok wpadł w jeszcze większą konsternację.

– Co... Moore! Co ty tu, u diaska, robisz?

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Roosevelt – zdobyłem się na żart, wyciągając doń rękę.

Uściskał ją, lecz tym razem nie oblużował mi ramienia w stawie.

– Co... Och, wybacz, Moore. Oczywiście niezmiernie mi miło cię widzieć, niezmiernie. Ale kto ci powiedział...?

– Co mi powiedział? Zostałem porwany i przywieziony tutaj przez chłopaka Kreizlera. Na jego polecenie, bez słowa wyjaśnień.

– Kreizler! – mruknął Theodore nieco natarczywym tonem, spoglądając przez okno z wyrazem zakłopotania, wręcz lęku, zupełnie dlań nietypowym. – Tak, Kreizler tu był.

– Był? To znaczy, że już poszedł?

– Nim ja przyszedłem. Zostawił notatkę. I raport. – Theodore pokazał mi kartkę, którą ścisnął w lewej ręce. – Wstępny raport, w każdym razie. Był pierwszym lekarzem, którego udało im się znaleźć. Ale nie mógł już nic zrobić...

Ująłem go za ramię.

– Roosevelt. O co chodzi?

– No właśnie, panie komisarzu, ja też chciałbym to wiedzieć – dodał sierżant Flynn z odpychającym uniżeniem w głosie. – I tak niewiele śpimy w Piętnastce, więc chętnie bym...

– Dobrze – powiedział Theodore, zbierając się w sobie. – Jakie macie żołądki, panowie?

Ja nic nie odrzekłem, a Flynn zażartował głupio, że naoglądał się już w życiu makabry; ale oczy Theodore'a patrzyły z niewzruszoną powagą. Wskazał nam drzwi na galerijkę. Sierżant śledczy Connor odsunął się i Flynn wyszedł pierwszy.

Mimo niepokoju pomyślałem najpierw, że widok z galerijki jest jeszcze bardziej niezwykły niż z okien wieży. Za wodą leżał Williamsburg, niegdyś spokojne prowincjonalne miasteczko, dzisiaj dynamiczna część metropolii, która za kilka miesięcy miała zostać oficjalnie przyłączona do Wielkiego Nowego Jorku. Na południu, znowu, most Brooklyński; dalej, na południowym zachodzie, nowe drapacze chmur przy Printing House Square, a pod nami spienione, czarne fale rzeki...

I nagle to zobaczyłem.

ROZDZIAŁ 3

Dziwne, jak długo trwało, nim uzmysłowiłem sobie, co widzę. A może wcale nie; tak wiele rzeczy było tak bardzo nie w porządku, tak bardzo nie na miejscu, tak... na opak. Jak mogłem oczekiwać, że pojmem to szybko?

Na galeryjce leżały zwłoki jakiejś młodej osoby. Mówię „osoby”, bo chociaż miała cechy fizyczne dorastającego chłopca, strój (niewiele więcej niż koszulka, której brakowało rękawa) i *maquillage* należały do dziewczyny. A raczej do kobiety, i to kobiety lekkich obyczajów. Nadgarstki tej nieszczęsnej istoty były skrepowane za plecami, nogi zgięte w kolanach, a twarz przyciśnięta do balustrady galerijki. Nie dojrzałem kalesonów ani butów, tylko jedną skarpetkę zwisającą żałośnie ze stopy. Ale co zrobiono z ciałem...

Twarcz nie sprawiała wrażenia ciężko pobitej – szminka i puder pozostały nietknięte – ale tam, gdzie kiedyś były oczy, teraz świeciły tylko krwawe, przepaściste doły. Z ust sterczał jakiś zagadkowy kawałek mięsa. Gardło było rozplątane, ale mało zakrwawione. Długie cięcia krzyżowały się na brzuchu, odsłaniając kłęb organów wewnętrznych. Prawą dłoń gładko odrąbano. W kroczu ziała kolejna otwarta rana, która tłumaczyła tajemnicę ust – genitalia ucięto i włożono między zęby. Również pośladki były okaleczone, dużymi... mogłem to nazwać jedynie nacięciami rzeźniczymi.

W ciągu minuty czy dwóch, gdy rejestrowałem wszystkie te szczegóły, panorama miasta złała się w morze jednolitej czerni, a to, co brałem za odgłos prucia fal przez statek, okazało się szumem krwi w moich własnych uszach. Uświadomiwszy sobie nagle, że mogę zwymiotować, chwyciłem się barierki i zwisiłem głowę nad wodą.

– Panie komisarzu! – zawołał Connor, wychodząc z wieży, lecz Theodore już znalazł się obok, jednym szybkim susem.

– Spokojnie, John – powiedział, podtrzymując mnie swym żylastym, lecz nadzwyczaj silnym ciałem. – Oddychaj głęboko.

Gdy wypełniałem to polecenie, usłyszałem długie, przeciągłe gwizdnięcie Flynnna, który nadal przyglądał się ciału.

– No i popatrz – zwrócił się do trupa dość obojętnym tonem. – Ktoś cię w końcu załatwił, mały Georgio zwany Glorią. Załatwił na szaro.

– Więc zna pan to dziecko, Flynn? – zapytał Theodore, podprowadzając mnie pod ścianę wieży; powoli odyskiwałem równowagę.

– I owszem, panie komisarzu. – W nikłym świetle odniosłem wrażenie, iż Flynn się uśmiecha. – Tyle że to nie było dziecko, to tutaj, nie jeśli sądzić po zachowaniu. Nazwisko: Santorelli. Wiek: trzynaście lat czy coś koło tego. Na imię miało toto Georgio, ale odkąd zaczęło pracować w Paresis Hall, przechrzcilo się na Glorię.

– „Toto”? – zdumiałem się, wycierając mankietem zimny pot z czoła. – Dlaczego pan tak mówi?

Flynn uśmiechnął się szerzej.

– A bo jak mam mówić, panie Moore? Sądząc po postępach, nie było mężczyzną, ale też Bóg nie stworzył go kobietą. Każdy jeden taki to dla mnie toto.

Ręce Theodore’a śmignęły do bioder, dłonie zacisnęły się w pięści – ocenił już Flynną.

– Nie interesuje mnie pańska filozoficzna analiza sytuacji, sierzancie. Bez względu na wszystko, ten chłopiec był dzieckiem i to dziecko zamordowano.

Flynn zachichotał i znów spojrzął na ciało.

– Temu się nie da zaprzeczyć.

– Sierzancie! – Theodore zachrypiał trochę bardziej niż zwykle, a Flynn stanął na baczność. – Ani słowa więcej, chyba że o coś pana spytam! Zrozumiano?

Flynn skinął głową; ale ta zmieszana z pogardą niechęć, jaką wszyscy starzy policyjni wyjadacze żywili do komisarza, który w ciągu zaledwie roku przewrócił Kwaterę Główną i cały służbowy porządek do góry nogami, pozostała widoczna w minimalnym wydeciu jego górnej wargi. Nie mogło to ujść uwagi Theodore’a.

– A zatem – ciągnął Roosevelt, stukając zębami we właściwy sobie sposób, jakby wycinał słowa z ust – mówi pan, że chłopak nazywał się Georgio Santorelli i że pracował w Paresis Hall. To lokal Biffa Ellisona przy Cooper Square, tak?

– Zgadza się, panie komisarzu.

– A gdzie pan Ellison może się teraz znajdować?

– Teraz? No przecież, że w Paresis, sir.

– Proszę tam pójść i mu powiedzieć, że ma się rano stawić na Mulberry Street.

Po raz pierwszy Flynn się zaniepokoił.

– Z całym szacunkiem, panie komisarzu, pan Ellison nie przyjmie takiego wezwania po dobremu.

– Więc niech go pan zaaresztuje – powiedział Theodore, odwracając się, by popatrzeć na Williamsburg.

– Zaaresztuje? A jużci, panie komisarzu, gdybyśmy chcieli aresztować każdego właściciela baru czy domu schadzek, w którym się łajdaczą chłopięce kurwy, ot dlatego, że ktoś jakąś poturbował czy nawet zabił, no jakżeż, sir, nigdy byśmy...

– Może zechce mi pan zdradzić rzeczywisty powód swego oporu – odrzekł Theodore, a jego ruchliwe dłonie znów zacisnęły się w pięści. Podeszedł do Flynna i niemal wbił mu okulary w twarz. – Czy pan Ellison nie jest jednym z głównych źródeł waszych łapówek?

Flynn wybałuszył oczy, ale udało mu się hardo wyprężyć i odegrać urażoną dumę.

– Panie Roosevelt, służę w policji piętnaście lat, sir, i chyba wiem, jakie zasady obowiązują w tym mieście. Nie nęka się takiego człowieka jak pan Ellison tylko dlatego, że jakiś imigrancki śmieć dostał wreszcie to, na co zasłużył!

Przebrała się miara, wiedziałem o tym – na szczęście dla Roosevelta, bo gdybym doń nie przyskoczył i nie chwycił go za ręce, z pewnością stłukłby Flynna na krwawą miazgę. Z trudem jednak przytrzymałem te silne ramiona.

– Nie, Roosevelt, nie! – wyszeptalem mu do ucha. – Tego właśnie chcą tacy jak on, dobrze o tym wiesz! Zaatakuj człowieka w mundurze i będą cię mieli, nawet burmistrz ci nie pomoże!

Roosevelt oddychał ciężko, Flynn znów się uśmiechał, a sierżant śledczy Connor i posterunkowy wyraźnie nie zamierzali interweniować. Doskonale wiedzieli, że w tym momencie znajdują się między Scyllą municypalnej reformy, której potężna fala ogarnęła Nowy Jork przed rokiem, w związku z odkryciami Komisji Lexowa badającej korupcję w policji (Roosevelt należał do jej zaciekłych demaskatorów), i być może potężniejszą jeszcze Charybdą samej korupcji, która istniała, odkąd istnieje policja, a teraz, uzbroiwszy się w cierpliwość, czekała, aż moda na reformę przeminie i wszystko wróci do normy.

– Niech pan wybiera, Flynn – powiedział w końcu Roosevelt, ze spokojem zaskakującym u człowieka, który tak wrze wściekłością. – Ellison w moim gabinecie albo pańska odznaka na moim biurku. Z samego rana.

Flynn, zmarmotniały, zaniechał walki.

– Tak jest, panie komisarzu.

Odwrócił się na pięcie i zaczął schodzić, mruczając pod nosem o „cholernym paniczyku bawiącym się w policjanta”. Po chwili zjawił się jeden z funkcjonariuszy, którzy pilnowali wejścia do wieży, z meldunkiem, że przyjechał furgon koronera. Roosevelt kazał im zaczekać kilka minut, po czym odprawił również Connora i posterunkowego. Zostaliśmy na galerijce sami, nie licząc upiornych szczątków kolejnego spośród wielu nieszczęsnych młodych pariasów, których wypluwał co sezon mroczny, nędzny ocean czynszówek, rozciągający się w dole na zachód od nas. Dzieci te, zmuszone używać wszelkich dostępnych im środków – a Georgio Santorelli dysponował tylko najprostszymi – aby przetrwać, były zdane na siebie bardziej niż człowiek niezający nowojorskich slumsów 1896 roku mógł sobie wyobrazić.

– Kreizler ocenia, że chłopca zabito niedawno – powiedział Theodore, spoglądając na trzymaną w dłoni kartkę. – Coś w związku z temperaturą ciała. Więc morderca może być nadal w pobliżu. Moi ludzie przeczesują teren. Jest tu jeszcze parę szczegółów medycznych, a potem ta wiadomość.

Podał mi papier z notatką Kreizlera, nabazgraną nerwowym, drukowanym pismem: „ROOSEVELT: POPEŁNIONO STRASZLIWE POMYŁKI. BĘDĘ UCHWYTNY RANO ALBO W PORZE LUNCHE. POWINNIŚMY ZACZAĆ – JEST HARMONOGRAM”. Przez chwilę próbowałem dopatrzeć się w tym sensu.

– Ta jego enigmatyczność jest dość irytująca. – To był jedyny wniosek, do jakiego doszedłem.

Theodore zdobył się na chichot.

– Owszem. Ja też tak pomyślałem. Ale teraz chyba go rozumiem. To oględziny zwłok tak nim wstrząsnęły. Czy masz pojęcie, Moore, ilu ludzi ginie co roku w Nowym Jorku?

– Nie bardzo. – Obrzuciłem trupa zaciekawionym spojrzeniem. – Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że setki. Może tysiąc albo dwa.

– Ja też – odparł Roosevelt. – Ale ja też tylko bym zgadywał. Bo na większość tych zbrodni w ogóle nie zwracamy uwagi. Och, policja nie szczędzi wysiłków, jeśli ofiarą jest człowiek szanowany i zamożny. Ale chłopiec taki jak ten, imigrant, który sprzedawał swoje ciało – wstyd mi to mówić, Moore, ale jeszcze się nie zdarzyło, by zbadano taki przypadek, co mogłeś wyczytać z postawy Flynna. – Jego ręce znów powędrowały do bioder. – Zaczynam mieć tego dość. W tych nędznych dzielnicach mężowie i żony zabijają się nawzajem, pijacy i narkomani mordują przyzwoitych, ciężko pracujących ludzi, prostytutki giną albo popełniają samobójstwa dziesiątkami, a społeczeństwo widzi w tym co najwyżej jakiś groteskowy spektakl. Już to jest wystarczająco złe. Ale kiedy, jak teraz, ofiarami są dzieci, a reakcja ogółu nie różni się od reakcji Flynna – na Boga, mam ochotę powystrzelać moich własnych podwładnych! Jakżeż, mieliśmy już w tym roku trzy takie przypadki i żadnego odzewu ze strony komisariatów czy wywiadowców.

– Trzy? – zdziwiłem się. – Wiem tylko o tej dziewczynce od Drapera.

Shang Draper prowadził niesławny burdel na rogu Szóstej Alei i Dwudziestej Czwartej Ulicy, gdzie klienci mogli korzystać z usług dzieci (głównie dziewcząt, ale trafiali się również chłopcy). W styczniu w jednym z małych, wyłożonych boazerią pokojów burdelu znaleziono pobitą na śmierć dziesięcioletnią dziewczynkę.

– Tak, i wiesz o tej sprawie tylko dlatego, że Draper spóźnił się z łapówką – powiedział Roosevelt.

Walka wydana korupcji przez obecnego burmistrza, pułkownika Williama L. Stronga, i jego adiutantów, takich jak Roosevelt, wciąż wrzała, ale dotychczas nie udało się wytepić najstarszego i najbardziej zyskowego z grzechów policji: pobierania haraczów od właścicieli barów, kabaretów, domów publicznych, palarni opium i innych gniazd występków.

– Ktoś z Szesnastego Komisarjatu, nadal nie wiem kto, wyśpiewał wszystko prasie w ramach przykręcania śruby. Ale dwie pozostałe ofiary to byli chłopcy jak ten tutaj, znaleźni na ulicy, a więc nieprzydatni do szantażowania ich stręczycieli. Toteż te przypadki przemilczano...

Głos Theodore'a zginął w plusku wody pod nami i kolejnym powiewie rzecznej bryzy.

– Oni też tak wyglądali? – zapytałem.

– Identycznie. Poderżnięte gardła. I do obu dobrały się już szczury i ptaki, jak do tego. Nie był to przyjemny widok.

– Szczury i ptaki?

– Oczy – wyjaśnił Roosevelt. – Sierżant śledczy Connor uważa, że to sprawka szczurów albo padlinożernych ptaków. Ale reszta...

To, że gazety nie pisały o dwóch pozostałych zbrodniach, wcale mnie nie zdziwiło. Zastanowiłem się, co by zrobił mój naczelny z „Timesa”, gdybym zaproponował mu artykuł o młodym chłopcu, który zarabiał na życie, malując się jak kurwa i sprzedając swe ciało dorosłym mężczyznom (w tym na pewno wielu szanowanym obywatelom), i który został bestialsko zamordowany w ciemnej uliczce. Miałbym szczęście, gdyby skończyło się na wyrzuceniu z redakcji; przymusowe zamknięcie w zakładzie dla obłąkanych w Bloomingdale byłoby bardziej prawdopodobne.

– Nie rozmawiałem z Kreizlerem od lat – powiedział Roosevelt z zadumą. – Ale przysłał mi bardzo pocziwy list, kiedy... – Na moment zabrakło mu słów. – Kiedy przeżywałem trudne chwile.

Zrozumiałem. Theodore miał na myśli śmierć swojej pierwszej żony, Alice, która umarła w 1884 roku po wydaniu na świat ich córki, noszącej to samo imię. Roosevelt poniósł tego dnia podwójną stratę, albowiem kilka godzin po żonie zamknęła oczy jego matka. Podszedł do tej tragedii w typowy dla siebie sposób: ukrył smutne, święte wspomnienie żony na dnie serca i nigdy więcej o niej nie mówił.

Próbując odzyskać równowagę, zwrócił się do mnie:

– Tak czy inaczej, nasz dobry doktor na pewno nie wezwał cię tu bez przyczyny.

– Niech mnie diabli, jeśli ją widzę – odparłem, wzruszając ramionami.

– To prawda – przyznał Theodore z kolejnym życzliwym chichotem. – Nasz przyjaciel Kreizler jest nieprzenikniony jak Chińczyk. I może ja również zbyt długo już patrzę na rzeczy dziwne i okropne. Wydaje mi się jednak, że potrafię odgadnąć jego zamiary. Widzisz, Moore, musiałem zignorować te poprzednie morderstwa, ponieważ w Wydziale nie chciano ich zbadać. Zresztą żaden z naszych wywiadowców nie poradziłby sobie z taką zbrodnią, nie są odpowiednio wyszkoleni. Ale ten chłopiec... sprawiedliwość może być ślepa tylko do czasu. Mam pewien plan i sądzę, że Kreizler również... i że to ty musisz nas połączyć.

– Ja?

– Czemu nie? Tak jak na Harvardzie, gdy się poznaliśmy.

– Ale co mam zrobić?

– Przyjdź z Kreizlerem do mojego biura. Późnym rankiem, jak napisał. Podzielimy się przemyśleniami i zobaczymy, co z tego wyniknie. Ale uwaga, bądź dyskretny – dla osób postronnych ma to być towarzyskie spotkanie starych przyjaciół.

– Do diabła, Roosevelt, co to jest towarzyskie spotkanie starych przyjaciół?

Theodore był już pochłonięty planem. Zignorował moje żalosne pytanie, wziął głęboki oddech i wypiął pierś, nareszcie w swoim żywiole.

– Trzeba działać, Moore. Odpowiemy działaniem!

A potem zdusił mnie w mocnym uścisku; jego zapach i moralna pewność wróciły z całą siłą. Co do mojego poczucia pewności, jakiegokolwiek pewności, próżno czekałem na jego przyjście. Wiedziałem jedynie, że daję się wciągnąć w coś, co dotyczy dwóch najbardziej energicznych i upartych ludzi, jakich znam, i ta świadomość nie dodała mi otuchy. Zeszliśmy do powozu Kreizlera, zostawivszy ciało nieszczęsnego młodego Santorellego samo na wieży, wysoko pośród mroźnego nieba, nietkniętego jeszcze kolorami świtu.

ROZDZIAŁ 4

Z porankiem przyszedł zimny, zacinający marcowy deszcz. Wstałem wcześniej, po zbyt krótkim śnie, i stwierdziłem, że Harriet miłosiernie przygotowała mi śniadanie złożone z mocnej kawy, grzanek i owoców (po latach służby w rodzinie pełnej biboszy uważała je za niezbędne dla każdego, kto często popija). Usadawiłem się na oszklonej werandzie, która wychodziła na śpiący jeszcze ogród różany babki, i postanowiłem przetrwać poranne wydanie „Timesa”, nim spróbuję zadzwonić do Instytutu Kreizlera. Wsłuchując się w bębnienie deszczu po miedzianym dachu i szklanych ścianach werandy, wdychając zapach tych nielicznych roślin i kwiatów, które babka trzymała w domu przez okrągły rok, sięgnąłem po gazetę, by odnowić kontakt ze światem, który, w świetle wydarzeń ostatniej nocy, wydawał mi się niepokojąco daleki. „HISZPANIA WRZE GNIEWEM”, przeczytałem; sprawa amerykańskiego poparcia dla niepodległościowej rebelii na Kubie wciąż kłopotowała zjadliwy, rozsypujący się madrycki reżim. „Boss” Tom Platt, strupieszający wódz nowojorskich republikanów, został oskarżony przez „Timesa” o chęć sprostytuowania zbliżającej się przemiany miasta w Wielki Nowy Jork – który miał objąć oprócz Queensu, Bronxu i Manhattanu również Brooklyn i Staten Island – dla własnych nikczemnych celów. Demokraci i republikanie obierali poświęcić swe nadchodzące konwencje problemowi bimetalizmu: czy wolno zhańbić stary solidny amerykański parytet złota przez wprowadzenie pieniądza opartego na srebrze. Trzystu jedenastu czarnych Amerykanów odplynęło do Liberii; a Włosi szaleli, ponieważ na drugim końcu Afryki abisyńscy wojownicy rozgromili ich armię.

Choć niewątpliwie wszystko to było ważne, niezbyt interesowało człowieka w moim nastroju. Przerzuciłem się więc na lżejsze tematy. W Proctor’s Theatre występowały jeżdżące na bicyklach słonie; w Hubert’s Museum na Czternastej Ulicy – trupa hinduskich fakirów; Max Alvary był wspaniałym Tristanem w Akademii Muzycznej; a Lillian Russell *Boginią Prawdy* w Abbey. Eleanora Duse „nie była Bernhardt” w *Damie kameliowej*, a Otis Skinner w *Hamlecie* dzielił jej skłonność do szlochania zbyt łatwo i zbyt często. W Lyceum szedł czwarty tydzień *Więzień Zandy* – widziałem go dwa razy i zacząłem się zastanawiać, czy nie obejrzeć znowu tego wieczoru. Była to cudowna ucieczka od problemów dnia codziennego (nie mówiąc już o ponurych widokach niecodziennej nocy): zamki z fosami, pojedynki na szpady, wciągająca zagadka i olśniewające, omdlewające kobiety...

Mimo że myślałem o spektaklu, mój wzrok powędrował ku innym wiadomościom. Pewien mężczyzna z Dziewiątej Ulicy, który kiedyś po pijanemu poderżnął gardło bratu, znów się upił i tym razem zastrzelił matkę; nadal nie było żadnych tropów w sprawie wyjątkowo okrutnego zabójstwa artysty Maxa Eglaua, dokonanego w Instytucie Kształcenia Głuchoniemych; niejaki John Mackin, który zabił swoją żonę i teściową, a potem usiłował popełnić samobójstwo, wylizał się z ran od noża, ale podjął głodówkę. Naczelnik więzienia namówił Mackina, by ją przerwał, pokazując mu straszliwy przyrząd do karmienia na siłę, którym posłużono by się w przeciwnym razie, aby utrzymać go przy życiu dla kata...

Odłożyłem gazetę. Wypijając ostatni, długi łyk słodkiej czarnej kawy i zagryzając go częścią dostarczonej z Georgii brzoskwini, zdecydowałem, że zajrzę do kasy biletowej Lyceum. Ruszyłem już z powrotem do sypialni, by się ubrać, gdy zadźwięczał głośny dzwonek telefonu i usłyszałem przestraszone, gniewne „O Boże!” babki, siedzącej w pokoju porannym. Zawsze tak reagowała na telefon, ale jakoś nie przychodziło jej do głowy, by go gdzieś przenieść albo chociaż przyciszyć.

Harriet wyłoniła się z kuchni, jej łagodną, niemłodą twarz pstrzyły banieczki mydlin.

– Telefon, proszę pana – powiedziała, wycierając ręce w fartuch. – Dzwoni doktor Kreizler.

Otulając się szczelniej moim chińskim kimonem, podszedłem do małej drewnianej skrzynki wiszącej obok kuchni, podniosłem ciężką czarną słuchawkę, a drugą dłonią objąłem nieruchomy mikrofon.

– Halo? – odezwałem się. – To ty, Laszlo?

– Aaa, więc już wstałeś, Moore – usłyszałem. – To dobrze. Jego głos był cichy, lecz jak zawsze energiczny, natomiast akcent miał europejską melodię: Kreizler wyemigrował do Stanów Zjednoczonych jako dziecko, gdy jego ojciec Niemiec, zamożny wydawca i republikanin z 1848 roku, i matka Węgierka uciekli od monarchistycznych prześladowań, aby rozpocząć w Nowym Jorku salonowe życie modnych politycznych uchodźców.

– O której godzinie chce nas widzieć Roosevelt? – zapytał Laszlo, bez cienia wątpliwości, że Theodore przyjął jego propozycję.

– Przed lunchem! – odparłem, automatycznie podnosząc głos.

– Czemu, do diabła, krzyczysz? – zdziwił się Kreizler. – Przed lunchem, tak? Doskonale. Więc mamy czas. Widziałeś gazetę? Ten artykuł o niejakiem Wolffie?

– Nie.

– Więc go przeczytaj, kiedy się będziesz ubierał.

Spojrzałem po sobie.

– Skąd wiedziałeś, że...

– Trzymają go w Bellevue. I tak muszę ocenić jego stan, więc przy okazji zadamy mu parę dodatkowych pytań, aby sprawdzić, czy ma coś wspólnego z naszą sprawą. Potem na Mulberry Street, krótki przystanek w Instytucie, i lunch w Delu – pewnie gołąbki, pieczone albo *crêpinettes*. Pieprzowy sos Ranhofera z truflami jest wymienity.

– Ale...

– Cyrus i ja pojedziemy prosto z domu. Będziesz musiał wziąć dorożkę. Jestem umówiony na dziewiątą trzydzieści, postaraj się nie spóźnić, dobrze, Moore? Tutaj liczy się każda chwila.

I odłożył słuchawkę. Wróciłem na werandę, wziąłem „Timesa” i zacząłem go kartkować. Artykuł, którego szukałem, był na stronie ósmej: Poprzedniego wieczoru Henry Wolff pił alkohol w mieszkaniu swego sąsiada z kamienicy, Conrada Rudesheimera. Pięcioletnia córka tego ostatniego weszła do pokoju i Wolff zaczął robić jakieś uwagi, które Rudesheimer uznał za niestosowne dla uszu dziewczynki, więc zaprotestował. Wolff wyciągnął pistolet i zabił małą strzałem w głowę, po czym uciekł. Został schwytyany kilka godzin później, gdy błąkał się bez celu nad East River. Znowu opuściłem gazetę, tknięty niedobrym przeczuciem, że wydarzenia, które rozegrały się ostatniej nocy na szczycie mostowej wieży, były tylko uwerturą.

Przechodząc znowu przez sień, wpadłem na babkę. Jej srebrzyste włosy były idealnie ufrызowane, szaro-czarna suknia nieskazitelnie schludna, a szare oczy, które po niej odziedzyczyłem, rzuciły gniewne błyski.

– John! – wykrzyknęła zdumiona, jakby w domu mieszkało dziesięciu innych mężczyzn. – Któż to, u licha, dzwonił?

– Doktor Kreizler, babciu – odrzekłem, wbiegając na schody.

– Doktor Kreizler! – zawołała za mną. – Ładne rzeczy! Starczy mi tego doktora Kreizlera jak na jeden dzień! – Zamknąłem drzwi sypialni i zacząłem się ubierać, lecz nadal ją słyszałem. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, straszny z niego dziwak! I nic mi po tym, że to lekarz. Ten cały Holmes też był lekarzem!

Perorowała dalej w tym stylu, podczas gdy się myłem, goliłem i czyściłem zęby sozodontem. Taki już miała charakter; i choć mogło to irytować, dla człowieka, który niedawno stracił jedyną, jak mniemał, szansę na rodzinne szczęście, i tak było lepsze niż kawalerskie mieszkanie w budynku pełnym innych samotnych mężczyzn.

Chwyciwszy szary kaszkiet i czarny parasol, wypadłem z domu i ruszyłem szybkim krokiem w stronę Szóstej Alei. Padało teraz dużo mocniej i zaczął wiać wyjątkowo ostry wiatr. Gdy znalazłem się na rogu, nagle zmienił on kierunek i przeleciał pod torami kolejki nadziemnej, które bieły nad trotuarem po obu stronach ulicy. Podmuchał mi parasol, podobnie jak wielu innym osobom w rozgorączkowanym tłumie. Połączenie nasilającego się wiatru, deszczu i zimna czyniło ze szczytowego ożywienia absolutne pandemonium. Gdy wojując z nieporęcznym, bezużytecznym parasolem, skierowałem się ku dorożce, zostałem wyprzedzony przez parę wesółych, młodych ludzi, którzy bezceremonialnie przecięli mi drogę i wgramolili się do środka. Głośno przekląłem ich progeniturę i pogroziłem im ruiną parasola, na co kobieta wrzasnęła ze strachu, a mężczyzna przyjrzał mi się z niepokojem i powiedział, że zwariowałem – wszystko to, zważywszy cel mojej podróży, nieźle mnie ubawiło i znacznie umiliło dalsze moknięcie. Kiedy następna dorożka wyjechała zza rogu Washington Place, nie czekałem, aż się zatrzyma, tylko wskoczyłem do niej w biegu, zatrasnąłem drzwiczki i krzyknąłem do woźnicy, żeby mnie zawiózł do Pawilonu Obląkanych szpitala Bellevue. Z pewnością nie było to polecenie, jakie pragnął usłyszeć, i jego przerażona mina znów pobudziła mnie do śmiechu, tak więc kiedy mijaliśmy pseudowłoskie arkady i wieżyczki Madison Square Garden, nie przeszkadzała mi już nawet wilgoć nogawek spodni. Dostojne ceglane zabudowania Bellevue pojawiły się na horyzoncie, po kilku minutach skręciliśmy z Pierwszej Alei w Dwudziestą Szóstą Ulicę i zatrzymaliśmy się za dużym czarnym ambulansem w pobliżu bramy Pawilonu Obląkanych. Zapłaciłem dorożkarzowi i skierowałem się do środka.

Pawilon był budynkiem o prostej architekturze, długim i prostokątnym. Gości i pensjonariuszy witał mały, niezachęcający prezes, a dalej, za pierwszymi z wielu żelaznych drzwi, zaczynał się szeroki korytarz, który biegł środkiem gmachu. Wzdłuż niego znajdowały się dwadzieścia cztery „pokoje”, właściwie cele, podzielone w połowie na dwa oddziały, kobiece i męski, przez kolejne nabite gwoździemi, żelazne, przesuwane drzwi. Pawilon służył do obserwacji i oceny stanu psychicznego ludzi, którzy dopuścili się aktów przemocy. Kiedy już stwierdzono, że są zdrowi na umyśle (lub wręcz przeciwnie), i sporządzono oficjalne raporty, przenoszono ich do innych, jeszcze mniej pociągających instytucji.

Gdy tylko znalazłem się w przedsionku, usłyszałem charakterystyczne krzyki i zawodzenia dochodzące z cel – po części logiczne protesty, po części zwyczajne lamentsy szaleństwa i rozpacz. W tej samej chwili dostrzegłem Kreizlera; ciekawe, że jego widok nieodmiennie kojarzył mi się z takimi dźwiękami. Laszlo jak zawsze był w czarnym garniturze i płaszczu i jak zwykle czytał muzyczne recenzje w „Timesie”. Jego czarne oczy, niczym u jakiegoś dużego ptaka, biegały po gazecie; przestępował z nogi na nogę nagłymi, szybkimi ruchami. Trzymał „Timesa” w prawej ręce, a lewą, którą miał niedorozwiniętą na skutek wypadku w dzieciństwie, przyciskał do boku. Unosił ją od czasu do czasu, by potrząść schludnie przystrzyżone wąsy i małą kępkę brody pod dolną wargą. Jego ciemne, zaczesane do tyłu włosy, o wiele za długie jak na obecną modę, były wilgotne, ponieważ nigdy nie nosił kapelusza; charakterystyczne uczesanie oraz dziobanie nosem gazety jeszcze potęgowało wrażenie, iż jest głodnym, niespokojnym jastrzębiem, zdecydowanym za wszelką cenę wycisnąć satysfakcję z dokuczliwego świata.

Obok Kreizlera stał olbrzymi Cyrus Montrose, jego służący i sporadycznie woźnica, skuteczny obrońca oraz alter’ego. Jak większość pracowników Laszla Cyrus był jego dawnym pacjentem i mimo wręcz dostojnych manier i wyglądu budził we mnie spory niepokój. Tego ranka był ubrany w szare spodnie i zapiętą na wszystkie guziki brązową marynarkę. Kiedy mnie zobaczył, na jego szerokiej czarnej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, lecz gdy podszedłem bliżej, postukał Kreizlera w ramię i pokazał w moim kierunku.

– Aaa, Moore – powiedział Kreizler, podając mi z uśmiechem prawą rękę, a lewą wyjmując z kieszonki zegarek na łańcuszku. – Doskonale.

– Witaj, Laszlo – odparłem, ściskając mu dłoń. – Cyrusie – dodałem ze skinieniem głowy, które ledwo odwzajemniono.

Spoglądając na zegarek, Kreizler wskazał gazetę.

– Jestem trochę zagniewany na twoich kolegów. Wczoraj wieczorem widziałem w Metropolitan cudownych *Pajaców* z Melbą i Anconą, a „Times” pisze wyłącznie o Tristanie Alvary’ego. – Zamilkł, aby mi się przyjrzeć. – Wyglądasz na zmęczonego, John.

– Ciekawe czemu. Rozbijanie się po nocy odkrytym powozem na ogół sprzyja wypoczynkowi. Mógłbyś mi powiedzieć, co ja tu robię?

– Za chwilę.

Odwrócił się do strażnika w granatowym uniformie i czapce, rozpierającego się nieopodal na drewnianym krześle z prostym oparciem.

– Fuller, jesteście gotowi.

– Tak jest, panie doktorze – odparł strażnik, po czym odpiął od pasa ogromne kółko z dużymi kluczami i ruszył w stronę drzwi centralnego korytarza. Kreizler i ja poszliśmy za nim, a Cyrus został z tyłu, nieruchomy jak woskowa figura.

– Przeczytałeś ten artykuł, prawda, Moore? – zapytał Kreizler, gdy strażnik odryglowywał drzwi pierwszego oddziału.

Z ich otwarciem zawrodości i krzyki pacjentów stały się niemal ogłuszające i dość deprymujące. W pozbawionym okien korytarzu było niewiele światła, tylko tyle, ile mogły dać przeciążone żarówki elektryczne. Niektóre z małych okienek w solidnych żelaznych drzwiach cel były odsunięte.

– Tak – odrzekłem po dłuższej chwili bardzo niepewnym tonem. – Przeczytałem. I widzę możliwość związku. Ale do czego jestem ci potrzebny?

Nim Kreizler zdążył odpowiedzieć, w okienku pierwszych drzwi po prawej stronie pojawiła się głowa kobiety. Jej włosy, choć upięte, były rozczochrane, a zwiędła, szeroka twarz płonęła gwałtowną wściekłością. Wyraz ten zmienił się jednak momentalnie, gdy zobaczyła, kim jest gość.

– Doktor Kreizler! – wydyszała ochryplym, lecz pełnym żaru głosem.

Wywołało to błyskawiczną reakcję łańcuchową: nazwisko Kreizlera poniosło się korytarzem od celi do celi, od pacjenta do pacjenta, przez żelazne drzwi oddziału kobiecego na oddział męski. Byłem świadkiem czegoś takiego już kilkakrotnie w różnych zakładach, lecz nigdy nie mogłem się oprzeć zdumieniu: słowa te działały jak wiadro wody na węgle, gasiły trzaskający żar i zostawiały jedynie parujący szept.

To niezwykle zjawisko miało prostą przyczynę. Kreizler cieszył się wśród nowojorskich chorych, jak również przestępców, lekarzy i prawników, sławą człowieka, który może – bardziej niż inni ówczesni alieniści – swym świadectwem w sądzie zadecydować o tym, czy dana osoba trafi do więzienia, do nieco mniej przerażającej klatki zakładu psychiatrycznego, czy też odzyska wolność.

Reakcja Kreizlera na zachowanie pacjentów robiła równie niepokojące wrażenie, ponieważ można się było tylko domyślać, jakie prywatne i zawodowe doświadczenia sprawiły, iż potrafi on przebywać w takim miejscu, oglądać tak przykre sceny i słuchać żarliwych prośb w rodzaju: „Panie doktorze, muszę z panem porozmawiać!”, „Panie doktorze, błagam, nie jestem taki jak tamci!” bez uczucia lęku, odrazy czy rozpacz. Szedł po długim korytarzu równym krokiem, ściągając brwi nad płomiennymi oczyma, które biegały szybko z boku na bok, od celi do celi, z wyrazem współczującej przygany: jakby ci ludzie byli zbłąkanymi dziećmi. Nie pozwolił sobie przemówić do żadnego pacjenta, lecz nie wynikało to z okrucieństwa; wręcz przeciwnie – odezwanie się do któregokolwiek z nich tylko podsyciłoby w nieszczęśniku nadzieję, być może złudną, a odebrało ją innym suplikantom. Pacjenci, którzy byli wcześniej w więzieniu lub domu wariatów albo znajdowali się na obserwacji w Bellevue dłużej czas, znali ten zwyczaj Kreizlera; i ci błagali go wymownie oczyma, wiedzieli bowiem, że może im odpowiedzieć jedynie wzrokiem.

Przeszliśmy przez przesuwane żelazne wrota na oddział męski i podążyliśmy za strażnikiem do ostatniej celi po lewej stronie. Fuller przystanął z boku i otworzył okienko w opancerzonych drzwiach.

– Wolff! – zawołał. – Masz gości. W oficjalnej sprawie, więc się zachowuj.

Kreizler stanął przy okienku tak, że mogłem patrzeć ponad jego ramieniem. W małej celi o nagich ścianach, na topornej pryczy, spod której wystawał wyszczerbiony nocnik, siedział jakiś mężczyzna. W jedynym, małym oknie były grube kraty, a bujny bluszcz przesłaniał tę odrobinę światła, która próbowała się wedrzeć do środka. Na podłodze stał metalowy dzbanek na wodę oraz taca z resztką chleba i miską po owsiance. Mężczyzna ukrywał twarz w dłoniach. Miał na sobie tylko podkoszulek i wełniane spodnie bez paska i szelek (obawiano się samobójstwa). Ciężkie kajdany spinały mu nadgarstki i kostki nóg. Kiedy kilka sekund po okrzyku Fullera podniósł głowę, zobaczyłem nabiegłe krwią oczy, które przypomniały mi moje najgorsze poranki; jego pobrużdżona twarz z bokobrodami wyrażała obojętną rezygnację.

– Panie Wolff – odezwał się Kreizler, bacznie obserwując mężczyznę – czy jest pan trzeźwy?

– A kto by nie był? – odparł ten powoli i niewyraźnie. – Po nocy w takim miejscu?

Kreizler zamknął okienko i zwrócił się do strażnika:

– Dostał coś na uspokojenie?

Fuller z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Strasznie się rzucał, kiedy go przywieźli, panie doktorze. Pan dyrektor powiedział, że to coś więcej niż pijacki szal, więc naszprycowali go chloralem.

Kreizler westchnął z głęboką irytacją. Wodzian chloralu był zmorą jego egzystencji. Ten bezbarwny, gorzki w smaku środek spowalniał pracę serca i w następstwie działał uspokajająco lub – jeśli podano go w większej dawce, co się zdarzało w wielu barach – usypiająco, czyniąc z człowieka łatwy cel dla złodziei i porywaczy. Większość lekarzy twierdziła jednak, że chloral nie powoduje uzależnienia (Kreizler gwałtownie z tym polemizował); ponieważ zaś jego dawka kosztowała dwadzieścia pięć centów, stanowił tanią i wygodną alternatywę dla pakowania opornego pacjenta w łańcuchy czy skórzaną uprząż. Stosowano go więc bez ograniczeń, zwłaszcza w przypadku osób chorych psychicznie czy po prostu agresywnych, ale w ciągu ćwierćwiecza od jego wprowadzenia użycie leku rozszerzyło się na ogół społeczeństwa: w owych czasach można było kupić nie tylko chloral, lecz także morfinę, opium i inne temu podobne środki w każdej aptece. Tysiące ludzi zrujnowało sobie życie, wierząc, że chloral może ich „uwolnić od zmartwień i trosk i sprowadzić zdrowy sen” (jak to ujął pewien producent). Śmierć z przedawkowania zbierała obfite żniwo, z zażywaniem chloralu miało związek coraz więcej samobójstw, mimo to lekarze nadal beztrząsco głosili jego nieszkodliwość i użyteczność.

– Ile granów³? – spytał Kreizler, zastępując wzburzenie rezygnacją: zdawał sobie sprawę, że za podanie leku nie może winić Fullera.

– Zaczęli od dwudziestu – odparł nieśmiało strażnik. – Mówiłem im, sir, mówiłem, że ma pan przyjść na ocenę i że będzie pan zły, ale, no wie pan.

– Tak – przyznał cicho Kreizler – wiem.

Wiedzieliśmy wszyscy trzej – wiedzieliśmy, że dyrektor Pawilonu, usłyszawszy o wizycie Kreizlera, prawie na pewno podwoił dawkę chloralu i przez to znacznie obniżył zdolność Wolffa do uczestnictwa w badaniu, które Kreizler chciał przeprowadzić; badaniu obejmującym wiele wnikliwych pytań i wymagającym, by jego podmiot nie był pod wpływem leków ani alkoholu. Taki właśnie stosunek mieli do Kreizlera koledzy po fachu, zwłaszcza ci ze starszego pokolenia.

– Cóż, nic na to nie poradzimy – oświadczył Laszlo. – Jesteśmy tu, Moore, a czas nagli.

Przypomniała mi się natychmiast dziwna wzmianka o „harmonogramie” z listu Kreizlera do Roosevelta napisanego ubiegłej nocy, ale nic nie powiedziałem. Laszlo odsunął rygiel i otworzył ciężkie drzwi.

– Panie Wolff – powiedział – musimy porozmawiać. Przez następną godzinę przysłuchiwałem się, jak Kreizler indaguje tego otumaniałego, zdezorientowanego człowieka, który – na tyle stanowczo, na ile wodzian chloralu mu pozwalał – przekonywał nas, że jeśli naprawdę zdmuchną strzałem z pistoletu pół głowy małej Louisy Rudesheimer (zapewniliśmy go, że to zrobił), musi być obłąkany i powinno się go posłać do zakładu, a nie do więzienia czy na szubienicę. Kreizler odnotował to z uwagą, lecz początkowo nie dotykał sedna sprawy. Zadał natomiast Wolffowi szereg na pozór oderwanych pytań o jego przeszłość, dzieciństwo, rodzinę i przyjaciół. Pytania te były niezwykle osobiste i w normalnych okolicznościach wydałyby się obcesowe lub wręcz obraźliwe; to, że Wolff reagował na nie po stoicku, zawdzięczaliśmy zapewne działaniu leku. Brak gniewu oznaczał jednak również brak precyzji i spontaniczności odpowiedzi, i wyglądało na to, że rozmowa zakończy się przedwcześnie.

Ale nawet wywołany chemicznie spokój Wolffa musiał ulecieć, gdy Kreizler zaczął w końcu mówić o Louisie Rudesheimer. Czy Wolff żywił do dziewczynki jakieś uczucia seksualne? – spytał Laszlo, z bezpośrednio rzadko spotykaną w rozmowach na podobne tematy. Czy w jego kamienicy lub w sąsiedztwie mieszkały inne dzieci, do których żywił takie uczucia? Czy miał przyjaciółkę? Czy odwiedzał domy publiczne? Czy odczuwał pociąg seksualny do młodych chłopców? Dlaczego zastrzelił dziewczynkę, a nie zakłuł nożem? Z początku Wolff był tym wszystkim oszołomiony i zapytał Fullera, czy musi odpowiadać. Strażnik, z lubieżnym błyskiem w oku, wyjaśnił mu, że tak, i Wolff usłuchał. Po półgodzinie tej indagacji podniósł się jednak chwiejnie z pryczy, zabrzęczał kajdanami i oświadczył wojowniczo, że nikt go nie zmusi do udziału w tak nieprzyzwoitym przesłuchaniu, woli już pójść na stryczek. W tym momencie Kreizler wstał i popatrzył Wolffowi prosto w oczy.

– Obawiam się, że w stanie Nowy Jork szubienicę wyparło krzesło elektryczne – powiedział spokojnie. – Z pańskich odpowiedzi na moje pytania wnioskuję jednak, że będzie pan miał okazję sprawdzić to osobiście. Niech Bóg się nad panem zlituje.

Podczas gdy Fuller ryglował drzwi celi Wolffa, Kreizler i ja ruszyliśmy do wyjścia głównym korytarzem Pawilonu. Znów towarzyszyły nam ciche błagania pacjentów, ale wkrótce zostawiliśmy je za sobą. Kiedy znaleźliśmy się w przedsiönku, krzyki i zawodzenia raz jeszcze przybrały na sile.

– Sądzę, że możemy go wykluczyć, Moore – powiedział Kreizler cichym, znużonym głosem, wkładając rękawiczki, które podał mu Cyrus. – Mimo działania leku Wolff się odstonił, to z pewnością człowiek agresywny i nienawidzący dzieci. Jak również pijak. Nie jest jednak szalony ani nie wydaje mi się, by miał coś wspólnego z naszą sprawą.

– Właśnie – wtrąciłem, korzystając ze sposobności – skoro o tym mowa...

– Oczywiście w o l e l i b y, żeby był szalony – ciągnął Laszlo, nie słuchając mnie. – Tutejsi lekarze, prasa, sędziowie; chcieliby myśleć, że tylko szalowiec mógłby zastrzelić pięcioletnią dziewczynkę. Jest nam... trudno pogodzić się z tym, że nasze społeczeństwo wydaje zdrowych ludzi, którzy; popełniają takie czyny. – Westchnął i wziął od Cyrusa parasol. – Tak, to będzie długi dzień w sądzie albo nawet dwa...

Opuściliśmy Pawilon, chowając się pod parasolem Kreizlera, i wsiedliśmy do osłoniętej już budą kolaski. Wiedziałem, co mnie czeka: monolog, który był dla Kreizlera czymś w rodzaju katharsis, kolejna deklaracja jego podstawowych zasad zawodowych, mająca mu ująć ciężaru odpowiedzialności za przyczynienie się do posłania człowieka na śmierć. Kreizler był zaprzysięgłym przeciwnikiem kary śmierci, nawet dla tak występnych morderców jak Wolff; nie pozwalał jednak, by wpływało to na jego sądy czy definicję prawdziwego obłąkania, która była, w porównaniu z poglądami wielu jego kolegów, stosunkowo wąska. Kiedy Cyrus wskoczył na kozioł i powóz ruszył spod Bellevue, diatryba Kreizlera zesłała na temat, który mój przyjaciel poruszał przy mnie już mnóstwo razy: że szeroka definicja obłąkania poprawia samopoczucie społeczeństwu, ale hamuje rozwój psychiatrii i zmniejsza szansę osób naprawdę chorych umysłowo na właściwą opiekę i leczenie. Kreizler miał przymus mówienia – wyraźnie próbował odepchnąć obraz Wolffa siedzącego na krześle elektrycznym jak najdalej od siebie – i w końcu zdałem sobie sprawę, że nie wydobędę z niego, co się, do diabła, dzieje i dlaczego zostałem w to coś wciągnięty.

Rozejrzawszy się z niejaką frustracją po mijanych budynkach, pozwoliłem moim oczom spocząć na Cyrusie. Pomyślałem, że skoro z pewnością wysłuchuje takich przemów częściej niż ktokolwiek inny, okaże mi odrobinę współczucia, ale byłem niemały. Jak Stevie Taggart, Cyrus miał ciężkie życie, nim zaczął pracować u Laszla, i był mu całkowicie oddany. Będąc małym chłopcem, widział, jak jego rodzice zostali, dosłownie, rozerwani na strzępy. Stało się to podczas nowojorskich zamieszek w 1863 roku, kiedy rozwścieczone hordy białych mężczyzn i kobiet, wśród nich wielu świeżo przybyłych imigrantów, wyraziły swą niechęć do walki za Unię i wyzwolenie niewolników, łapiąc wszystkich Murzynów, jakich udało im się znaleźć – także dzieci – a potem ćwiartując ich, paląc żywcem, tarzając w smole i pierzu czy też zadając inne zgoła średniowieczne tortury, które mogły się zrodzić w mózгах ukształtowanych w Starym Świecie. Jako zdolny muzyk ze wspaniałym bas-barytonem Cyrus został po śmierci rodziców przygarnięty przez wuja-stręczyciela i wyczony na „profesora”, pianistę w burdelu, gdzie młode czarne kobiety oferowano zamożnym białym mężczyznom. Przeżyty w dzieciństwie koszmar pozbawił go jednak tolerancji wobec rasistowskich zniewag ze strony klientów. Pewnej nocy w 1887 roku napatoczył mu się pijany policjant odbierający swój haracz w naturze, co według niego najwyraźniej obejmowało zadawanie brutalnych ciosów wierzchem dłoni i naigrawanie się z „murzyńskiej dziwki”. Cyrus poszedł spokojnie do kuchni, przyniósł duży rzeźnicki nóż i wyprawił drania do Walhalli zarezerwowanej specjalnie dla skorumpowanych funkcjonariuszy Wydziału Policji miasta Nowy Jork. Jeszcze raz na scenę wkroczył Kreizler. Za pomocą koncepcji „woli eksplozywnej”⁴ objaśnił sędziemu genezę czynu Cyrusa: w chwili dokonywania zabójstwa, powiedział Laszlo, Cyrus wrócił w swym umyśle do nocy śmierci rodziców i rzeka gniewu, dotąd ujarzmiana, zerwała tamy i załapała napastliwego policjanta. Cyrus nie jest szalony, oświadczył Kreizler; zachował się w sposób jak najbardziej naturalny dla człowieka z jego przeszłością. Sędzia uznał argumenty Kreizlera, lecz ze względu na opinię publiczną nie mógł puścić Cyrusa wolno. Zaproponował pobyt w miejskim zakładzie dla obłąkanych na Blackwells Island; wtedy Kreizler stwierdził, że praca w jego Instytucie dałaby większe szansę na resocjalizację. Sędzia, chcąc jak najszybciej mieć sprawę z głowy, wyraził zgodę. Cała ta historia z pewnością nie poprawiła reputacji Kreizlera, uważanego przez kolegów i szeroką publiczność za ekscentryka, ani nie wzbudzała w gościach Laszla ochoty do przebywania z Cyrusem sam na sam. Zapewniła mu jednak jego lojalność. Deszcz nie ustawał nawet na chwilę. Wjechaliśmy kłusem w Bovery, jedyną dużą ulicę w Nowym Jorku, na której, jak wiem, nigdy nie było kościoła. Migwały mi bary, kabarety i tanie hotele, a kiedy

4 Pojęcie „woli eksplozywnej” (*explosive will*) pojawia się u Jamesa w ramach teorii „charakteru lub typu wybuchowego” i opisuje stany, w których dochodzi do nagłego wyładowania w działaniu impulsów, zanim rozwinie się proces hamowania (przyp. A.S.).

minęliśmy Cooper Square, dostrzegłem duży neon i zasłonięte okna lokalu Biffa Ellisona, Paresis Hall, gdzie Georgio Santorelli uprawiał swe żalosne rzemiosło. Jechaliśmy dalej przez czynszową Sodomę, na której chodnikach tylko nieznacznie rozluźniło się z powodu deszczu. Dopiero gdy skręciliśmy w Bleecker Street i byliśmy już blisko Kwatery Głównej Policji, Kreizler powiedział bezbarwnym tonem:

– Widziałeś ciało.

– Widziałem? – zachnąłem się, choć poczułem ulgę, że wreszcie poruszył ten temat. – Wciąż je widzę, jeśli tylko zamknę oczy na dłużej niż minutę. Co ci, u diabła, strzeliło do głowy, żeby budzić cały mój dom i ciągnąć mnie po nocy na drugi koniec miasta? Dobrze wiesz, że nie mogę o czymś takim napisać. Zdenerwowałeś tylko moją babkę, a to nie jest wielkie osiągnięcie.

– Przykro mi, John, ale musiałeś zobaczyć, z czym będziemy mieli do czynienia.

– Ja nie zamierzam mieć do czynienia z niczym! – zaprotestowałem. – Pamiętaj, jestem tylko dziennikarzem, dziennikarzem znającym makabryczną historię, której nie może opowiedzieć.

– Oddaj sobie sprawiedliwość, Moore – powiedział Kreizler. – Jesteś prawdziwą encyklopedią poufnych informacji, choć możesz nie być tego świadom.

– Laszlo, co, do diabła... – zacząłem podniesionym głosem.

Niestety znów nie udało mi się dokończyć zdania. Gdy skręciliśmy w Mulberry Street, usłyszałem jakieś okrzyki i podniósłszy wzrok, zobaczyłem Linka Steffensa i Jake'a Riisa biegnących w stronę naszego powozu.

ROZDZIAŁ 5

Im bliżej kościoła, tym bliżej Boga” – oto jak pewien dowcipny gangster uzasadnił decyzję ulokowania swej bazy operacyjnej kilka przecznic od Kwatery Głównej Policji. Zdanie to mogło paść z ust dziesiątek podobnych osobników, albowiem północny koniec Mulberry Street, u zbiegu z Bleecker (Główna mieściła się pod numerem 300), wyznaczał serce dżungli kamienic czynszowych, burdeli, kabaretów, barów i domów gry. Ich mieszkańcy i goście wypełniali okolicę atmosferą karnawału. A może przypominało to raczej cyrk, w dodatku brutalny cyrk rzymski, ponieważ do tego niepozornego, wyglądającego jak hotel budynku, który był zapracowanym mózgiem nowojorskiej egzekucji prawa, wprowadzano wiele razy dziennie rannych przestępców i poszkodowanych, zostawiających na chodniku lepki, ponury dowód groźnej funkcji gmachu.

Po drugiej stronie Mulberry Street, pod numerem 303, znajdował się nieoficjalny sztab redaktorów kroniki policyjnej: zwykły taras, gdzie ja i moi koledzy spędzaliśmy wiele czasu, polując na tematy do artykułów. Nie zdziwiłem się więc, że Riis i Steffens oczekiwali mojego przybycia. Nerwowość Riisa i radosny uśmiech goszczący na szczupłej, przystojnej twarzy Steffensa wskazywały, że szykuje się coś wyjątkowo smakowitego.

– No, no! – zawołał Steffens i unosząc parasol, wskoczył na stopień powozu Kreizlera. – Tajemniczy goście przybywają razem! Dzień dobry, doktorze, miło mi pana widzieć.

– Steffens – odparł Kreizler z ukłonem, który nie był szczególnie uprzejmy.

Za Steffensem nadbiegł zasapany Riis; dużo starszy i cięższy od kolegi, nie miał jego zwinności. „Doktorze” – powiedział, na co Kreizler tylko skinął głową. Żywił do Riisa autentyczną niechęć; pionierskie zasługi Duńczyka w ujawnianiu moralnej i materialnej nędzy mieszkańców czynszówek – szczególnie za sprawą zbioru esejów i rycin zatytułowanego *Jak żyje druga połowa* – nie zmieniały zdania Keizlera, że jest surowym moralistą oraz w pewnej mierze bigotem. I muszę przyznać, że często się z Laszlem zgadzałem.

– Moore – ciągnął Riis – Roosevelt właśnie nas wyrzucił z gabinetu, twierdząc, że jest umówiony z wami dwoma na ważną naradę. Według mnie prowadzi się tutaj jakąś bardzo dziwną grę!

– Nie słuchaj go – wtrącił ze śmiechem Steffens. – Jego duma cierpi. Zdarzyło się kolejne morderstwo, które ze względu na osobiste poglądy naszego przyjaciela Riisa nigdy nie trafi na łamy „Evening Sun”, i obawiam się, że wszyscy dość bezwstydnie sobie z niego kpimy.

– Steffens, na Boga, jeśli nie przestaniesz...

Riis zwinął swą krzepką skandynawską dłoń w pięść i pogroził nią Steffensowi. Nadal biegł, ciężko dysząc; starał się nadążyć za powozem. Gdy Cyrus zatrzymał konia pod Kwaterą Główną, Steffens zeskoczył na ziemię.

– Daj spokój, Jake, bez pogrózek! – powiedział dobrodusznie. – To tylko żarty!

– O czym wy, do diabła, mówicie? – zapytałem, gdy Kreizler, ignorując nas, wysiadł z powozu.

– Nie udawaj głupiego – odparł Steffens. – Widziałeś ciało, doktor Kreizler również, tyle wiemy. Ponieważ jednak Jake uparcie zaprzecza istnieniu zarówno chłopięcych kurew, jak i domów, w których takowe pracują, nie może, niestety, opisać tej sprawy!

Riis znów sapnął, a jego duża twarz jeszcze bardziej poczerwieniała.

– Steffens, już ja cię nauczę...

– A ponieważ wiemy, że twój naczelny nie puści takiego „plugastwa” – ciągnął Steffens – zostaje tylko „Post”. Co pan na to, doktorze? Poda pan szczegóły jedynej gazecie w mieście, która je wydrukuje?

Wargi Kreizlera wykrzywił błady uśmiech, który nie oznaczał rozbawienia, lecz dezaprobatę.

– Jedynej, Steffens? A „World” i „Journal”?

– Powiniennem był wyrazić się ściślej: jedynej przyzwoitej gazecie w mieście, która je wydrukuje.

Kreizler zmierzył wzrokiem chudą postać Steffensa.

– Przyzwoitej? – powtórzył, kręcąc głową, i ruszył po schodach.

– Niech pan mówi, co chce, doktorze – zawołał za nim Steffens, wciąż uśmiechnięty – ale my potraktujemy pana lepiej niż Hearst czy Pulitzer! – Kreizler nie zareagował na tę uwagę. – Jak rozumiem, rozmawiał pan dziś rano z mordercą – naciskał Steffens. – Może opowie mi pan chociaż o tym?

Kreizler przystanął przed drzwiami i odwrócił się.

– Człowiek, z którym rozmawiałem, istotnie jest mordercą. Ale nie ma nic wspólnego z małym Santorellim.

– Naprawdę? Więc może powinien się o tym dowiedzieć sierżant śledczy Connor. Opowiada nam od rana, że zabicie tej małej dziewczynki wzmogło w Wolffie żądę krwi i poszedł szukać następnej ofiary.

– Co?! – Na twarzy Kreizlera odmalowało się autentyczne przerażenie. – Nie... nie, on nie może... absolutnie nie wolno mu tego zrobić!

I Laszlo wbiegł do środka. Straciwszy swą ofiarę, mój kolega z „Evening Post” oparł wolną rękę na biodrze. Jego uśmiech przybladł tylko trochę.

– Wiesz, John, postawa tego człowieka nie jedna mu wielu stronników.

– Nie ma tego robić – odparłem, wchodząc na schody. Steffens chwycił mnie za ramię.

– Możesz nam coś powiedzieć, John? To zupełnie do Roosevelta niepodobne, żeby tak odsuwać Jake’a i mnie od sprawy. Do licha, jesteśmy członkami Zarządu Komisarzy bardziej niż ci durnie, którzy w nim zasiadają.

Była to prawda: Roosevelt często konsultował z Riisem i Steffensem swoje posunięcia. Niemniej mogłem tylko wzruszyć ramionami.

– Gdybym cokolwiek wiedział, powiedziałbym ci, Link. Mnie też nie raczyli wtajemniczyć.

– Ale ciało, Moore – wtrącił się Riis. – Słyszeliśmy przerażające plotki, muszą być fałszywe!

Westchnąłem, przypomniawszy sobie zwłoki na przyczółku mostu.

– Choćby te plotki były najbardziej przerażające, nie oddają rzeczywistości nawet w części – powiedziałem, a potem odwróciłem się i wbiegłem po schodach.

Zanim jeszcze wszedłem do środka, Riis i Steffens znów zaczęli się spierać. Steffens obrzucał kolegę sarkastycznymi uwagami, a zagniewany Riis próbował go uciszyć. Ale Link miał rację, nawet jeśli wyrażał się nieco złośliwie: uparte obstawanie Riisa przy poglądzie, że homoseksualna prostytucja nie istnieje, oznaczało, iż kolejna poważna miejska gazeta nigdy nie poda wszystkich szczegółów brutalnego morderstwa. A o ileż większej wagi nabrałby taki artykuł, gdyby napisał go Riis, nie Steffens. Link miał się zasłużyć jako działacz Partii Postępowej dopiero w przyszłości, natomiast Riis był od dawna uznanym autorytetem, człowiekiem, który swymi gniewnymi wystąpieniami doprowadził do wyburzenia Mulberry Bend (serca najbardziej niesławnego nowojorskiego slumsu, Five Points) i zniszczenia wielu innych siedlisk zarazy. Jednakże, choć widział tyle okropieństw, Jake nie potrafił przyjąć zabójstwa Santorellego do wiadomości, nie potrafił zaakceptować kontekstu tej zbrodni. Wchodząc przez duże zielone drzwi Kwatery Głównej, zacząłem się zastanawiać, jak zastanawiałem się już tysiące razy podczas kolegiów redakcyjnych w „Timesie”, jak długo jeszcze większość przedstawicieli prasy – nie mówiąc o politykach i ogóle społeczeństwa – będzie się zadawała stawianiem znaku równości między rozmyślnym ignorowaniem zła i jego nieistnieniem.

Wewnątrz zobaczyłem, że Kreizler stoi obok windy i gniewnie rozmawia z Connorem, wywiadowcą, który był w nocy na miejscu zbrodni. Miałem już do nich podejść, gdy ktoś wziął mnie za ramię i poprowadził ku schodom. Była to jedna z najmilszych dla oka postaci, które człowiek mógł spotkać w Kwaterze Głównej Policji: Sara Howard, moja stara znajoma.

– Nie mieszaj się do tego, John – przestrzegła mnie tonem życiowej mądrości, który często brzmiał w jej wypowiedziach. – Connor bierze cięgi od twojego przyjaciela, i w pełni na nie zasługuje. Poza tym prezes wzywa cię do siebie... bez Kreizlera.

– Sara! – zawołałem radośnie. – Cieszę się, że cię widzę. Spędziłem noc i rano z szaleńcami i marzę o tym, by usłyszeć jakiś normalny głos.

Sara lubiła proste stroje w różnych odcieniach zieleni, harmonizującej z kolorem jej oczu; suknia, w którą była ubrana tego dnia, z minimalną tiurniurą i rozsądną halką, korzystnie podkreślała jej wysoką, krzepką sylwetkę. Nie miała uderzająco pięknej twarzy, zaledwie miłą; to gra oczu i ust, których wyraz zmieniał się nieustannie z figlarnego na smutny i vice versa, sprawiała, że tak przyjemnie było na nią patrzeć. Na początku lat siedemdziesiątych, gdy miałem lat naście, jej rodzice zamieszkali niedaleko nas przy Gramercy Park i mogłem się przyglądać, jak kilkuletnia Sara zmienia tę szacowną okolicę w swój prywatny pokój zabaw. Czas prawie jej nie odmienił, tyle że równie często wpadała teraz w zadumę (i przygnębienie) jak w podniecenie. Gdy pewnego wieczoru po krachu mojego narzeczeństwa z Julią Pratt solidnie się upiłem, doszedłem do przekonania, że wszystkie kobiety uznawane przez towarzystwo za piękności są w gruncie rzeczy demonami, i oświadczyłem się Sarze. W odpowiedzi wsadziła mnie w powóz, zawiozła nad Hudson River i wrzuciła do wody.

– Nie usłyszysz dziś w tym budynku wielu normalnych głosów – powiedziała Sara, gdy wspinaliśmy się po schodach. – Teddy, to znaczy prezes, czy to nie dziwne tak go nazywać, John?

Istotnie było to dziwne; ale kiedy Roosevelt urzędował w Kwaterze Głównej, którą kierował zarząd czterech komisarzy, dla odróżnienia od trzech pozostałych – jego podwładnych – nazywano go prezesem. Niewiele osób domyślało się wówczas, że w niedalekiej przyszłości będzie nosił bardzo podobny tytuł⁵.

– Wpadł w swój typowy trans w związku ze sprawą Santorellego – ciągnęła Sara. – Było już dziś u niego mnóstwo osób...

W tym momencie z korytarza pierwszego piętra dobiegł nas grzmiący głos Theodore'a:

– I nie próbuj w to wciągać swoich przyjaciół z Tammany⁶, Kelly! To monstrualny twór demokratów, a tu jest zreformowany urząd republikański, znajomości nic ci nie pomogą! Lepiej, żebyś z nami współpracował!

5 Theodore Roosevelt jako wiceprezydent Stanów Zjednoczonych automatycznie objął urząd prezydenta w 1901 roku, po śmierci Williama McKinleya, i sprawował go do końca kadencji, a w 1904 roku został wybrany na dalsze cztery lata.

6 Tammany Hall – organizacja nowojorskich demokratów; założona w 1789 jako stowarzyszenie patriotyczne, po wojnie secesyjnej zdobyła duży wpływ na władze miejskie i partyjne, a jej nazwa stała się synonimem korupcji i bossizmu.

Jedyną odpowiedzią był basowy śmiech dwóch męskich głosów, zbliżający się do nas. Po kilku sekundach Sara i ja stanęliśmy twarzą w twarz z olbrzymim, przesadnie wyelegantowanym, zlanym wodą kolońską Biffem Ellisonem i jego mniejszym, gustowniejszym odzianym i mniej pachnącym szefem, Paulem Kellym.

Dni, kiedy przestępcze podziemie Dolnego Manhattanu składało się z dziesiątek niezależnych gangów ulicznych, w zasadzie dobiegły końca przed rokiem 1896, i teraz działały tu większe grupy, równie niebezpieczne, ale stosujące metody rodem ze świata biznesu. Eastmanowie, czyli podwładni Monka Eastmana, kontrolowali cały teren na wschód od Bowery, między Czternastą Ulicą i Chatham Square; Hudson Dusters⁷, ulubieńcy nowojorskiej bohemy (łączył ich nienasycony apetyt na kokainę), rządili na południe od Trzynastej Ulicy i na zachód od Broadwayu; rejon powyżej Czternastej Ulicy z tej strony miasta należał do Gophersów⁸ Malleta Murphy'ego, bandy gnieżdżących się w piwnicach Irlandczyków, których istnienie byłoby trudno uzasadnić nawet samemu panu Darwinowi. Pomiędzy tymi trzema istnymi armiami, w oku przestępczego cyklonu i zaledwie kilka ulic od Kwatery Głównej Policji, ulokował się Paul Kelly i jego Five Pointers, panujący od Broadwayu po Bowery i od Czternastej Ulicy po ratusz miejski.

Gang Kellygo przyjął nazwę od najbardziej niebezpiecznej dzielnicy miasta, aby wzbudzać strach, lecz był o wiele lepiej zorganizowany niż dawne, klasyczne bandy z Five Points (Whyos, Plug Uglies, Dead Rabbits i tak dalej), których niedobitki wciąż nawiedzały starą okolicę niczym nieokiełznane, mściwe duchy. Kelly był odbiciem tej zmiany stylu: jego szykownym strojom odpowiadał równie elegancki język i maniery. Posiadał też gruntowną znajomość sztuki i polityki: w tej pierwszej preferował modernizm, a w drugiej socjalizm. Znał jednak swoich klientów i „gustowny” nie było słowem nadającym się do opisania New Brighton Dance Hall, kwatery głównej Five Pointersów przy Great Jones Street. Prowadzone przez jednego człowieka, niejako Jacka „Zjedz Ich” McManusa, New Brighton było krzykliwym królestwem luster, kryształowych żyrandoli, mosiężnych poręczy i skąpo odzianych „tancerek”, pałacem kiczu niemającym sobie równych nawet w Tenderloinie, który przed awansem Kellygo stanowił niekwestionowane centrum przestępczego przepychu.

7 Od *dust* (ang. slang.) – kokaina.

8 *Gopher* (ang. slang.) – młody złodziej, bandyta.

James T. „Biff” Ellison reprezentował bardziej tradycyjny typ nowojorskiego bandyty. Zaczynał karierę jako wyjątkowo nieprzyjemny knajpiany wykidająco i po raz pierwszy zyskał rozgłos, gdy omal nie pobił na śmierć policjanta. Choć aspirował do elegancji szefa, efekt – przy jego ignorancji, seksualnej deprawacji i nałogach – był groteskowo ostentacyjny. Kelly miał groźnych adiutantów poczynających sobie śmiało, a nawet brawurowo, lecz żaden prócz Ellisona nie odważyłby się otworzyć Paresis Hall, zaledwie trzeciego czy czwartego baru w mieście, gdzie jawnie – wręcz demonstracyjnie – zaspokajano potrzeby tej części społeczeństwa, w której istnienie Jake Riis tak zawzięcie nie chciał uwierzyć.

– Kogo tu widzimy – odezwał się uprzejmie Kelly; szpilka w jego krawacie migotała. – Pan Moore z „Timesa” i jedna z uroczych nowych pracownic Wydziału Policji. – Ujął dłoń Sary i pocałował ją, pochylając swą przystojną, typowo irlandzką twarz. – Wezwania do Głównej są dziś bez wątpienia dużo przyjemniejsze.

Patrzył na Sarę z uśmiechem, co nie zmieniło tego, że powietrze na schodach nagle stało się ciężkie.

– Panie Kelly – odparła Sara, dzielnie skinawszy mu głową, choć, jak widziałem, była porządnie zdenerwowana – szkoda, że z pańską kurtuazją nie licuje towarzystwo, jakie pan sobie dobiera.

Kelly się roześmiał, ale Ellison, który i tak górował wzrostem nade mną i Sarą, jakby jeszcze urósł, a jego nalana twarz i jaszczurcze oczy pociemniały.

– Lepiej uważaj, co mówisz, panienko. Z Głównej do Gramercy Park jest kawał drogi. Samotnej dziewczynie może się przytrafić masa nieprzyjemnych rzeczy.

– Prawdziwy z ciebie kogut, co, Ellison? – powiedziałem, chociaż facet mógł mnie złamać na pół bez większego wysiłku. – Co jest, zabrakło ci małych chłopców do poniewierania i zabierasz się do kobiet?

Ellison aż spurpurowiał.

– Ty żałosna dziennikarska gnido... Pewnie, miałem z Glorią kłopoty, od groma kłopotów, ale bym jej za to nie zadźgał, i zabiję każdego, kto mówi, że...

– Spokojnie, Biff. – Ton Kelly`ego był łagodny, ale sens słów oczywisty. – Nie psuj sobie nerwów. – Zwrócił się do mnie: – Biff nie miał nic wspólnego ze śmiercią tego chłopca, Moore. I nie chcę, by łączono z nią również moje nazwisko.

– Trochę za późno o tym pomyślałeś, Kelly – odparłem. – Oglądałem jego ciało, w sam raz robota Biffa. – Po prawdzie nawet Ellison nie popełnił nigdy tak strasznego czynu, ale nie widziałem powodu, by to przyznać. – Był jeszcze dzieckiem.

Kelly zachichotał i zszedł kilka stopni niżej.

– Dzieckiem, które brało udział w niebezpiecznej zabawie. Daj spokój, Moore, tacy chłopcy umierają w tym mieście codziennie. Skąd to zainteresowanie? Miał jakiegoś utajonego krewniaka? Był bękartem Morgana albo Fricka?

– Uważa pan, że tylko z takiego powodu wszczęto by dochodzenie? – zapytała Sara, cokolwiek urażona. Nie pracowała w policji zbyt długo.

– Moja droga – odrzekł Kelly – pan Moore i ja to wiemy. Ale niech pani będzie: Roosevelt jest obrońcą maluczkich!

Kelly ruszył w dół i Ellison przepchnął się koło mnie, by podążyć za nim. Przystanęli trochę niżej, a wtedy Kelly się odwrócił i przemówił tonem, który po raz pierwszy zdradzał jego profesję:

– Ostrzegam cię, Moore, nie chcę, by łączono z tą sprawą moje nazwisko.

– Nie martw się, Kelly. Moi szefowie nie pozwolą mi o niej napisać.

Kelly znów się uśmiechnął.

– Bardzo mądrze z ich strony. W świecie dzieją się ważne rzeczy, Moore, po cóż marnować energię na błahostki?

W końcu obaj zniknęli, a Sara i ja odetchnęliśmy z ulgą. Kelly mógł być gangsterem nowego gatunku, niemniej był gangsterem i to spotkanie naprawdę wytrąciło nas z równowagi.

– Czy wiesz – powiedziała Sara z zadumą, gdy znów ruszyliśmy w górę – że moja przyjaciółka, Emily Cort, naumyślnie poszła raz do jakiegoś podejrzanego lokalu, by poznać Paula Kelly’ego, i że uznała go za niezwykle zajmującego mężczyznę? No, ale Emily zawsze miała pstro w głowie. – Ujęła mnie pod ramię. – À propos, John, dlaczego, u licha, nazwałeś Ellisona kogutem? Mnie przypomina raczej małpę.

– W języku, którym on mówi, kogut oznacza twardego gościa.

– Aha. Muszę to sobie zapisać. Chcę, by moja wiedza o środowisku przestępczym była jak najpełniejsza.

Mogłem się tylko roześmiać.

– Saro, kobiety mogą teraz uprawiać tyle różnych zawodów, czemu upierasz się akurat przy tym? Jesteś tak inteligentna, że mogłabyś być naukowcem, nawet lekarzem...

– Ty też, John – odparła ostro. – Tak się jednak składa, że nie chcesz. I ja również. Naprawdę, mówisz czasem idiotyczne rzeczy. Dobrze wiesz, czego pragnę.

Wiedzieli to wszyscy znajomi Sary: zostać pierwszą w mieście policjantką.

– Ale czy choć trochę zbliżyłaś się do celu, Saro? W końcu jesteś zwykłą sekretarką.

Uśmiechnęła się przebiegle i odpowiedziała mi tylko nieco łagodniejszym tonem:

– Owszem, John, ale pracuję w tym budynku, czyż nie? Dziesięć lat temu nawet to nie byłoby możliwe.

Posłusznie skinąłem głową, świadom, że nie warto się z nią spierać, i rozejrzałem się po korytarzu pierwszego piętra, próbując odnaleźć jakąś znajomą twarz. Lecz funkcjonariusze krążący między pokojami byli mi obcy.

– A niech mnie – powiedziałem cicho – nie poznaję tu dziś nikogo.

– Tak, jest coraz gorzej. W zeszłym miesiącu znów straciliśmy kilkunastu ludzi. Woleli porzucić służbę albo przejść na emeryturę, niż stawić czoło lustracji.

– Przecież Theodore nie może obsadzić całej policji żółtodziobami.

– Wszyscy to mówią. Ale jeśli ma wybierać między korupcją i niedoświadczaniem, wiesz, na co się zdecyduje. – Mocno popchnęła mnie do przodu.
– Och, przestań zwlekać, John, chciał cię zobaczyć natychmiast.

Lawirując między policjantami mundurowymi i wywiadowcami w cywilnych ubraniach, dotarliśmy na koniec korytarza.

– Później – ciągnęła Sara – musisz mi wyjaśnić, dlaczego zazwyczaj nie prowadzi się dochodzenia w takich sprawach. – Zastukała nerwowo do drzwi gabinetu Theodore'a, otworzyła je i popchnęła mnie za próg. – Pan Moore, komisarzu – oznajmiła i zamknęła drzwi, zostawiając nas samych.

Ponieważ Theodore bardzo dużo czytał i pisał, miał upodobanie do olbrzymich biurków – większą część jego gabinetu w Głównej zajmował taki właśnie mebel. Wokół niego tłoczyło się kilka foteli, na białym gzymsie kominka stał wysoki zegar, a na małym stoliku lśniący mosiężny telefon. Poza tym w pomieszczeniu znajdowały się tylko sterty książek i gazet, niektóre leżały na podłodze i sięgały do połowy wysokości ścian. Rolety w oknach, wychodzących na Mulberry Street, były częściowo opuszczone. Theodore stał właśnie przy oknie, ubrany w bardzo konserwatywny, szary „służbowy” garnitur.

– Aaa, John, doskonale – powiedział, jednym susem okrążył biurko i zmiażdżył mi dłoń. – Kreizler jest na dole?

– Tak. Chciałeś mnie zobaczyć samego?

Theodore zaczął chodzić po pokoju, poważny, lecz przejęty.

– W jakim jest nastroju? Jak, według ciebie, zareaguje? To taki porywczy człowiek, chcę mieć pewność, że przyjmę właściwą taktykę.

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba możesz być spokojny. Odwiedziliśmy w Bellevue Wolffa, gościa, który zastrzelił tę małą dziewczynkę, i potem Laszlo wpadł w paskudny humor. Ale wyładował go podczas jazdy tutaj, na moich uszach. Nie mam jednak pojęcia, czego od niego chcesz, więc...

W tym momencie rozległo się szybkie, lekkie pukanie i w drzwiach stanęła Sara, a za nią Kreizler. Bez wątpienia gawędzili po drodze i zauważyłem, że Laszlo bacznie się jej przygląda. Wówczas nie wydało mi się to niczym nadzwyczajnym; właśnie tak większość ludzi reagowała na widok kobiety zatrudnionej w policji.

Theodore w mgnieniu oka znalazł się między nimi.

– Kreizler! – wykrzyknął. – Niezmiernie, niezmiernie mi miło cię zobaczyć, doktorze!

– Roosevelt – odrzekł Kreizler z uśmiechem szczerzego zadowolenia. – Wiele wody upłynęło.

– Zbyt wiele, zbyt wiele! Siądziemy i porozmawiamy czy mam opróżnić gabinet i urządzimy sobie rewanż?

Była to aluzja do ich pierwszego spotkania na Harvardzie, zakończonego pojedynkiem na pięści. Gdy po tym zręcznym przełamaniu lodów usiedliśmy ze śmiechem w fotelach, moje myśli pobiegły ku owym czasom.

Choć znałem Theodore'a wiele lat przed jego wstąpieniem na Harvard w 1876 roku, nie utrzymywaliśmy zbyt bliskich kontaktów. Był chłopcem nie tylko chorowitym, lecz także pilnym w nauce i grzecznym, natomiast ja i mój młodszy brat spędziliśmy dzieciństwo, dbając o to, by w okolicach Gramercy Park panowała jak największa anarchia. Rodzice naszych kolegów określali nas zazwyczaj mianem „prowodników” i dużo się mówiło o wyjątkowym pechu rodziny obciążonej dwiema czarnymi owcami. W rzeczywistości nie robiliśmy nic bardzo złego; chodziło raczej o to, że asystowała nam zgraja chłopaków, których domem były zaułki i bramy ciągnących się na wschodzie slumsów. Nie uważano takowych za odpowiednich towarzyszy zabaw w naszym małym, statecznym ustroniu nowojorskiej socjety, gdzie pochodzenie liczyło się nade wszystko i żaden dorosły nie przywykł tolerować dzieci mających własne zdanie. Kilka lat w szkole przygotowawczej nie wyleczyło mnie ze złych skłonności; przeciwnie, gdy skończyłem siedemnasty rok życia, ogólne zaniepokojenie moimi wybrykami wzrosło tak bardzo, że omal nie odrzucono mojego podania o przyjęcie na Harvard, co zresztą powitałbym z radością. Lecz zasobna kiesza ojca przechyliła szalę na moją rzekomą korzyść i pojechałem do nudnego małego Cambridge. Dwa lata studenckiego żywota nie uczyniły mnie jednak bardziej skłonny do zaakceptowania mola książkowego, jakim był Theodore, gdy się tam znalazł.

Jesienią 1877, kiedy ja byłem na trzecim (ostatnim), a Theodore na drugim roku, wszystko zaczęło się zmieniać. Dźwigając podwójne brzemię trudnego związku miłosnego i poważnej choroby ojca, Theodore wyrósł z chłopaka o dość ciasnych horyzontach na dużo bardziej tolerancyjnego i towarzyskiego młodego mężczyznę. Rzecz jasna nigdy nie stał się człowiekiem światowym, ale odkryliśmy w sobie nawzajem filozoficzne wymiary, które pozwoliły nam spędzić sporo wieczorów na wspólnym piciu i rozmowach. Bywaliśmy też razem w bostońskim towarzystwie, zarówno lepszym, jak i gorszym; i na tym fundamencie zaczęła rosnąć trwała przyjaźń.

Tymczasem inny mój kolega z dzieciństwa, Laszlo Kreizler, który wcześniej ukończył w niesłychanie krótkim czasie Columbia Medical College, zrezygnował z posady młodszego asystenta w zakładzie dla obłąkanych na Blackwells Island, aby wstąpić na nowy podyplomowy kurs psychologii prowadzony na Harvardzie przez doktora Williama Jamesa. Ten towarzyski, przypominający teriera naukowiec, który miał zyskać w przyszłości sławę jako filozof, założył właśnie w kilku małych pomieszczeniach Lawrence Hall pierwsze amerykańskie laboratorium psychologiczne. Wykładał też anatomię porównawczą zwykłym studentom i w jesiennym semestrze 1877 roku, usłyszawszy, że James jest profesorem zabawnym, jak również wyrozumiałym, jeśli idzie o stopnie, zapisałem się na jego kurs. Na pierwszych zajęciach spotkałem Theodore'a, który od dzieciństwa pasjonował się wszystkim, co miało związek z przyrodą. Choć Roosevelt często wdawał się z Jamesem w burzliwe dyskusje o jakichś drugorzędnych szczegółach zachowań zwierzęcych, jak my wszyscy szybko uległ urokowi tego młodego jeszcze profesora, który miał zwyczaj kłaść się na podłogę, gdy uwaga studentów słabła, i oznajmiać, że nauczanie jest procesem „sprzężenia zwrotnego”.

Stosunek Kreizlera do Jamesa był o wiele bardziej złożony. Choć Laszlo bardzo szanował pracę Jamesa i z czasem nabrał ogromnej sympatii dla niego samego (naprawdę nie można było inaczej), nie potrafił zaakceptować sławnej teorii wolnej woli, stanowiącej podwalinę filozofii naszego nauczyciela. James był w dzieciństwie płaczkliwym, chorowitym chłopcem, a w młodości nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa; przewyciężył jednak tę skłonność, przeczytawszy dzieła francuskiego filozofa Renouviere, który twierdził, że człowiek jest w stanie siłą woli pokonać wszystkie psychiczne (i wiele fizycznych) dolegliwości. „Mym pierwszym aktem wolnej woli będzie uwierzenie w wolną wolę!” – brzmiało wczesne hasło bojowe Jamesa, nadal rządzące jego myśleniem w roku 1877. Taka filozofia musiała wejść w kolizję z rozwijającą się Kreizlerowską teorią „kontekstu”: przekonaniem, że o czynach każdego człowieka w znaczącym stopniu przesądzają jego wczesne doświadczenia i że bez znajomości tych doświadczeń nie można zrozumieć niczyjego zachowania ani na nie wpłynąć. W salach laboratoryjnych Lawrence Hall, wypełnionych przyrządami do badania układów nerwowych zwierząt i ludzkich reakcji, James i Kreizler spierali się o to, w jaki sposób powstają schematy naszego życia i czy ktokolwiek może swobodnie decydować o swoim przyszłym losie. Temperatura tych sporów rosła – i stały się one tematem kampusowych plotek – aż wreszcie, pewnego wieczoru na początku drugiego semestru, antagoniści przeprowadzili w University Hall publiczną debatę pod tytułem „Czy wolna wola jest zjawiskiem psychologicznym?”

Przyszła na nią większość studentów. Kreizler argumentował dobrze, ale słuchacze byli uprzedzeni do jego poglądów. W dodatku James miał o wiele lepiej rozwinięte poczucie humoru i bawił brać studencką żartami z przeciwnika. Natomiast powoływanie się Laszla na filozofów pesymizmu, takich jak Schopenhauer, i sięganie po ewolucyjne teorie Karola Darwina i Herberta Spencera, by wyjaśnić, że celem zarówno fizycznego, jak i psychicznego rozwoju człowieka jest przetrwanie, prowokowało liczne i głośne pomruki niezadowolenia. Przyznaję, że sam byłem rozdarty między lojalnością wobec przyjaciela, którego poglądy zawsze wprawiały mnie w zakłopotanie, a entuzjazmem dla człowieka i filozofii wydających się obiecywać nieograniczone przyszłe możliwości nie tylko mnie, lecz rodzajowi ludzkiemu w ogóle. Theodore – który nie znał jeszcze Kreizlera i który, jak James, zwalczył w dzieciństwie wiele ciężkich chorób wyłącznie, jak twierdził, dzięki sile woli – nie miał tego typu skrupułów: z zapalem oklaskiwał końcowe i nieuniknione zwycięstwo Jamesa.

Po debacie poszedłem z Kreizlerem na kolację do gospody naprzeciwko szynku Charles, w którym bywali harwardzcy. Podczas gdy jedliśmy, wszedł Theodore z jakimś przyjaciółmi i zobaczywszy mnie z Kreizlerem, poprosił, bym ich sobie przedstawił. Gdy to uczyniłem, rzucił parę żartobliwych, lecz dość ciętych uwag na temat „mistycznej abrakadabry o ludzkiej *psyche*” i stwierdził, że wszystko to wynika z europejskich korzeni Laszla. Posunął się jednak za daleko, gdy zakpił z „cygańskiej krwi”, ponieważ matka Kreizlera była Węgierką i głęboko go to uraziło. Wyzwał Theodore’a na honorowy pojedynek, a ten z radością przyjął wyzwanie i zaproponował walkę na pięści. Wiedziałem, że Laszlo wołałby floret – ze swą kaleką lewą ręką miał niewielkie szanse na ringu – ale nie zaprotestował, zgodnie z *code duello*, który dawał Theodore’owi, jako wyzwanemu, prawo wyboru broni.

Muszę oddać Rooseveltowi sprawiedliwość: kiedy w Sali Gimnastycznej Hemenwaya (gdzie dostaliśmy się o tej późnej porze dzięki kompletowi kluczy, który jakiś czas przedtem wygrałem od dozorczy w pokera) rozebrali się obaj do pasa i Theodore zobaczył rękę Laszla, zaproponował mu, by wybrał jakąś inną broń, ale Kreizler był uparty i dumny, i chociaż, po raz drugi tego samego wieczoru, musiał ponieść porażkę, stawał o wiele lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał. Jego hart zaimponował wszystkim obecnym i, co było do przewidzenia, zyskał mu szczerzy podziw Roosevelta. Wróciliśmy razem do gospody i piliśmy do rana. Mimo że Theodore i Laszlo nigdy nie zostali bardzo bliskimi przyjaciółmi, połączyła ich szczególna więź – więź, która, choćby minimalnie, otworzyła Rooseveltowi umysł na teorie i poglądy Kreizlera.

Właśnie owo „otwarcie” w znacznej mierze przyczyniło się do tego, że siedzieliśmy teraz w gabinecie Theodore’a; ale wspomnienia z Cambridge na jakiś czas usunęły sprawy bieżące w cień. Potem rozmowa zeszała na mniej odległą przeszłość: Roosevelt pytał, szczerze zaciekawiony, o pracę Kreizlera w Instytucie Dziecięcym i z niepoczytalnymi przestępcami, a Laszlo opowiadał, że z wielkim zainteresowaniem śledził karierę Theodore’a jako parlamentarzysty stanowego w Albany i członka Komisji do spraw Służby Administracyjnej w Waszyngtonie. Była to przyjemna pogawędka starych znajomych, którzy dawno się nie widzieli, i przez większość czasu po prostu się jej przysłuchiwałem, zadowolony ze zmiany atmosfery po ostatniej nocy i poranku.

W końcu jednak musieliśmy poruszyć sprawę zabójstwa Santorellego; smutek i złe przecucia bezlitośnie wśliznęły się do pokoju, rozpędzając miłe wspomnienia równie okrutnie, jak nieznany barbarzyńca zamordował chłopca na mostowej wieży.

ROZDZIAŁ 6

Mam twój raport, Kreizler – oznajmił Roosevelt, biorąc dokument z biurka. – I raport koronera. Nie zaskoczę cię chyba, gdy powiem, że nie poczynił on żadnych dodatkowych spostrzeżeń.

Kreizler skinął głową ze zmiennym niesmakiem.

– Pierwszy lepszy cyrulik albo sprzedawca opatentowanych leków może otrzymać urząd koronera, Roosevelt. To prawie tak łatwe jak zostać dyrektorem zakładu psychiatrycznego.

– To prawda. W każdym razie, twój raport wykazuje...

– Nie wykazuje wszystkiego, co odkryłem – przerwał ostrożnie Kreizler. – Ścisłe biorąc, pomija kilka najważniejszych spraw.

– Słucham? – Theodore ze zdumieniem podniósł głowę i *pince-nez*, które nosił w biurze, spadło mu z nosa. – Co takiego?

– Komisarzu, raporty widzi w Kwaterze Głównej wiele oczu. – Kreizler starał się wyrażać dyplomatycznie, co kosztowało go wiele wysiłku. – Nie chciałem, by pewne szczegóły dostały się do wiadomości publicznej. Jeszcze na to za wcześnie.

Theodore milczał, ścigając z namysłem brwi.

– Piszesz – powiedział w końcu cicho – o straszliwych pomyłkach.

Kreizler wstał, podszedł do okna i odrobinę podciągnął roletę.

– Przede wszystkim, Roosevelt, musisz mi obiecać, że nie dowiedzą się o tym takie osoby, jak... – wymówił szarżę z prawdziwym obrzydzeniem – sierżant śledczy Connor. Ten człowiek przez cały ranek przekazywał prasie fałszywe informacje, informacje, które mogą kogoś kosztować życie.

Zawsze zmarszczone czoło Theodore’a wręcz się pofałdowało.

– Do pioruna! Jeśli to prawda, doktorze, każę go...

Kreizler podniósł dłoń.

– Tylko mi to obiecaj, Roosevelt.

– Masz moje słowo. Ale powiedz chociaż, co Connor mówił.

– Wzbudził w kilku dziennikarzach przekonanie – odparł Kreizler, zaczynając spacerować po gabinecie – że zabójcą Santorellego jest Wolff.

– A ty sądzisz inaczej?

– Bezapelacyjnie. Na to Wolff postępuje w sposób zbyt nieprzemyślany i niesystematyczny. Choć istotnie jest pozbawiony hamulców emocjonalnych i nie cofa się przed przemocą.

– Czy uznałbyś go za... – Roosevelt nie był najlepiej obznajomiony z tym językiem – ...psychopatę? – Kreizler uniósł brew. – Czytałem kilka twoich najnowszych prac – ciągnął Theodore, wyraźnie speszony – choć nie umiem powiedzieć, ile naprawdę zrozumiałem.

Kreizler skinął głową z lekkim, enigmatycznym uśmiechem.

– Pytasz, czy Wolff jest psychopatą. Bez wątplenia ma cechy psychopatyczne. A co się tyczy uznania go za psychopatę: jeśli czytałeś choć drobną część literatury przedmiotu, wiesz, że zależy to od tego, czyje poglądy przyjmiemy.

Roosevelt przytaknął i potarł podbródek żyłastą dłonią. Nie wiedziałem wówczas, ale miałem się w najbliższych tygodniach dowiedzieć, że jednym z najważniejszych punktów sporu między Kreizlerem i jego kolegami – toczonego głównie na łamach „Magazynu Psychiatrycznego” – było pytanie, po czym można poznać prawdziwego maniakałnego mordercę. Ludzie, których bezlitośnie brutalne czyny świadczyły o zachwianiu zasad moralnych, ale których sprawność intelektualna mieściła się w normie, zostali niedawno włączeni przez niemieckiego psychologa Emila Kraepelina do szerokiej kategorii „osobowości psychopatycznych”. Ogół społeczności medycznej uznał tę kategorię; sporne pytanie brzmiało, czy tacy psychopaci są rzeczywiście umysłowo chorzy. Większość lekarzy odpowiedziała na nie twierdząco i choć nie potrafili jeszcze dokładnie określić natury i przyczyn tej choroby, uważali, że takie odkrycia pozostają tylko kwestią czasu. Natomiast Kreizler twierdził, że psychopaci są produktem środowiska, w którym dorastali, oraz doświadczeń z dzieciństwa i że nie występuje u nich żadna prawdziwa patologia. Jeśli czyny takich pacjentów ocenia się w odpowiednim kontekście, można je zrozumieć, a nawet przewidzieć, w przeciwieństwie do czynów prawdziwych szaleńców. Niewątpliwie taką właśnie diagnozę postawił Kreizler Henry’emu Wolffowi.

– Więc uznasz go za zdolnego do stanięcia przed sądem? – zapytał Roosevelt.

– Tak. – Kreizler wyraźnie się zasępił i utkwiał wzrok w splecionych dłoniach. – I, co ważniejsze, załóż się, że na długo przed początkiem procesu zyskamy dowód, iż Wolff nie ma nic wspólnego ze sprawą Santorellego. Ponury dowód.

Było mi trudno zachować milczenie.

– Ten dowód to...?

Kreizler opuścił ręce po bokach i wrócił do okna.

– Lękam się, że następne zwłoki. Zwłaszcza jeśli prasa przypisze zabójstwo Santorellego Wolffowi. Tak... – Kreizler wpadł w roztargnienie. – Będzie zły, że wytracono mu broń z ręki...

– Kto będzie zły?

Laszlo zdawał się nie słyszeć mojego pytania.

– Czy któryś z was pamięta – ciągnął tym samym roztargnionym tonem – ciekawą sprawę sprzed około trzech lat, również dotyczącą zamordowanych dzieci? Roosevelt, obawiam się, że akurat wtedy twoje zmagania w Waszyngtonie osiągnęły szczytu, więc mogło to do ciebie nie dotrzeć. A ty, Moore, byłeś chyba wówczas zaangażowany w dość zaciętą walkę z „Washington Post”, który domagał się głowy Roosevelta.

– „Post” – westchnąłem z niesmakiem. – „Post” tkwił po uszy w gnoju nielegalnych nominacji rządowych...

– Tak, tak – przerwał mi Kreizler, podnosząc swą wątlą lewą rękę. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to ty zająłeś uczciwe stanowisko. I lojalne, choć twoi wydawcy raczej tego nie docenili.

– W końcu poszli po rozum do głowy – odparłem, wypinając trochę pierś. – Ale i tak straciłem posadę – dodałem, znów się garbiąc.

– No, no, tylko bez obwiniania się, Moore. Jak więc mówiłem, trzy lata temu w zbiornik na wodę na dachu dużej czynszówki przy Suffolk Street uderzył piorun. Zbiornik był najwyższą konstrukcją w okolicy, więc dawało się to logicznie wytłumaczyć. Kiedy jednak mieszkańcy budynku i strażacy weszli na dach, niektórzy uznali ten wypadek za zrządzenie Opatrzności, albowiem w zbiorniku znajdowały się ciała dwójki dzieci. Brata i siostry. Oboje mieli poderżnięte gardła. Przypadkiem znałem tę rodzinę: austriaccy Żydzi. Dzieci były bardzo piękne – delikatne rysy, wielkie brązowe oczy – jak również bardzo niesforne. Przynosiły wstyd rodzinie. Kradły, kłamały, biły rówieśników, nikogo nie chciały słuchać. Prawdę powiedziawszy, niezbyt ich w dzielnicy żałowano. Zwłoki były już w zaawansowanym stadium rozkładu. Ciało chłopca spadło z wewnętrznej platformy, na której obydwaj pierwotnie umieszczono, do wody i fatalnie napęczniało. Ciało dziewczynki było w nieco lepszym stanie, gdyż pozostało suche, lecz kolejny niekompetentny koroner zaprzepaścił szansę znalezienia jakichkolwiek wskazówek. Widziałem jedynie oficjalne raporty, ale dostrzegłem w nich pewien osobliwy szczegół. – Wskazał lewą ręką twarz. – Ciała były pozbawione oczu.

Przeszedł mnie silny dreszcz, bo przypominałem sobie nie tylko Santorellego, lecz także dwa inne morderstwa, o których Roosevelt opowiedział mi ostatniej nocy. Spojrzawszy nań, zorientowałem się, że ma te same skojarzenia: siedział zupełnie nieruchomo, z oczyma rozszerzonymi lękiem. Obaj próbowaliśmy jednak odegnać złe przeczucie.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – stwierdził Roosevelt. – Zwłaszcza jeśli zwłoki leżały tam długi czas. Skoro gardła były podejrzięte, krew mogła zwabić jakieś padlinożerne stworzenia.

– Być może – odparł Kreizler z powściągliwym skinieniem głowy, nie przestając chodzić po pokoju. – Ale zbiornik na wodę był zamknięty, właśnie dla ochrony przed zwierzętami i robactwem.

– Rozumiem. – Theodore zastanawiał się chwilę. – Czy prasa pisała o tym?

– Tak – odrzekł Kreizler. – Chyba „World”.

– Ależ – zaprotestowałem – nie ma takiego zbiornika na wodę czy budynku, do którego nie dostałyby się szczury.

– To prawda, John – przyznał Kreizler. – I wobec braku jakichkolwiek bliższych informacji byłem zmuszony zaakceptować to wyjaśnienie. Dlaczego nawet nowojorskie szczury, znalazłszy dwa ciała, miałyby wygryźć tylko oczy, było niepokojącą zagadką, którą starałem się zignorować i która pozostała nierozwiązana. Do wczorajszego wieczoru. – Kreizler znów zaczął spacerować w kółko. – Gdy tylko spostrzegłem, w jakim stanie jest mały Santorelli, zbadałem oczodoły. Przy latarce nie pracowało mi się najlepiej, ale znalazłem to, czego szukałem. Na kości jarzmowej, jak również na brzegu nadoczodołowym widniał szereg wąskich rowków, a na skrzydle większym kości klinowej, u podstawy otworów, kilkanaście małych wgłębień. Wszystkie te ślady pasowały do ostrza i czubka noża, najprawdopodobniej myśliwskiego. Sądzę, że gdybyśmy ekshumowali ciała dwóch ofiar z 1893 roku, a zamierzam poprosić o zezwolenie, znaleźlibyśmy to samo. Innymi słowy, panowie, oczy usunęła ludzka ręka.

Mój łęk rósł i niezdarnie szukałem kontrargumentów.

– Ale przecież sierżant Connor powiedział...

– Moore – przerwał mi Kreizler nieznoszącym sprzeciwu tonem – jeśli mamy kontynuować tę rozmowę, naprawdę musimy zrezygnować z opinii takich ludzi jak sierżant Connor.

Roosevelt niespokojnie poruszył się w fotelu; w jego twarzy wyczytałem, że postanowił wyznać Kreizlerowi całą prawdę.

– Muszę ci powiedzieć, doktorze – oświadczył, zaciskając dłonie na poręczach – że w ostatnich trzech miesiącach mieliśmy jeszcze dwa morderstwa, które mogą pasować do... twojego schematu.

Laszlo raptownie przystanął.

– Co? – zapytał natarczywie, lecz cicho. – Gdzie... gdzie znaleziono ciała?

– Dokładnie nie wiem – odparł Theodore.

– Ofiary były prostytutkami?

– Tak sądzę.

– Tak sądzisz? Akta, Roosevelt, muszę mieć akta! Nikt w całym Wydziale nie skojarzył tych spraw? Ty też nie?

Theodore posłał po akta. Dowiedzieliśmy się z nich, że ciała dwóch chłopców, którzy istotnie byli prostytutkami, również znaleziono w kilka godzin po śmierci. Były trochę mniej okaleczone niż zwłoki Santorellego, lecz wyglądało to raczej na kwestię ilości niż jakości, podobieństwa bowiem między przypadkami przerażały wszelkie różnice. Pierwszy chłopiec, dwunastoletni murzyński imigrant znany wyłącznie jako „Millie”, został przykuty łańcuchem do rufy promu na Ellis Island; drugi, dziesięcioletek nazwiskiem Aaron Morton, zwiślał głową w dół z mostu Brooklyńskiego. Według raportów obaj byli prawie nadzy; obu podejrzięto gardła i zadano wiele innych ran; i, znowu, obaj mieli wyłupione oczy. Gdy Laszlo skończył czytać akta, zatopiony w myślach kilka razy powtórzył półgłosem tę informację.

– Chyba rozumiem, co sugerujesz, Kreizler – oznajmił Theodore; nie lubił zostawać w tyle w żadnej intelektualnej debacie, nawet takiej, która toczyła się na nieznanym mu terenie. – Przed trzema laty jakiś morderca popełnił tę straszną podwójną zbrodnię. Doniosła o tym prasa. A inny człowiek niedawno o tym przeczytał i zainspirowało go to do naśladowstwa. – Roosevelt był wyraźnie zadowolony ze swej ekstrapolacji. – Zgadza się, doktorze? Nie byłby to pierwszy przypadek, że artykuł w gazecie wiadomego rodzaju wywołał lanie następstwa.

Kreizler siedział w milczeniu, uderzając palcem o zaciśnięte wargi, z miną, która jasno mówiła, że cała sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana, niż przypuszczał nawet on sam.

– Szukałem sposobu, by sformułować jakiś inny wniosek.

– A co z resztą? – spytałem. – Te brakujące organy, odcięty... cała reszta. Nie było czegoś takiego przy wcześniejszych przypadkach.

– To prawda – odrzekł po chwili Kreizler. – Ta różnica na pewno ma swoje wytłumaczenie, ale nie musimy się nią teraz zajmować. To oczy są wspólnym ogniwem, kluczem, drogą – idę o każdą stawkę.

– Dobrze – powiedziałem, podnosząc ręce – więc trzy lata temu ktoś zamordował tych dwoje dzieci, a teraz mamy do czynienia z obłąkanym naśladowcą, który w dodatku lubi kaleczyć zwłoki. I co mamy w związku z tym zrobić?

– Prawie nic z tego, co powiedziałaś, John – odparł spokojnie Kreizler – się nie zgadza. Nie jestem wcale pewien, czy morderca jest obłąkany. Nie sądzę również, by lubił to, co robi, w sensie, w jakim rozumiesz to słowo. A co najważniejsze – obawiam się, że rozczaruję tu również ciebie, Roosevelt – stawiam całe moje doświadczenie, że nie jest to naśladowca, lecz ten sam człowiek.

Tak oto padło stwierdzenie, którego Roosevelt i ja się obawialiśmy. Byłem redaktorem kroniki policyjnej już dość długo, odkąd zostałem bezceremonialnie odsunięty od polityki za wspomnianą wcześniej obronę Theodore'a podczas jego walki z protekcyjizmem w administracji państwowej. Relacjonowałem nawet kilka głośnych spraw za granicą. Wiedziałem zatem, że tacy mordercy, jak opisywani przez Kreizlera, rzeczywiście istnieją, lecz wcale nie było mi dzięki temu łatwiej pogodzić się z faktem, że podobny zbrodniarz grasuje w naszym mieście. A dla Roosevelta – który nie orientował się w niuansach zachowań przestępczych – musiało to być, mimo jego twardego charakteru, jeszcze trudniejsze do przełknięcia.

– Ale... trzy lata! – zawołał Theodore, wstrząśnięty do granic. – Jakże, Kreizler, gdyby taki człowiek naprawdę istniał, nie mógłby tak długo uchodzić przed sprawiedliwością!

– Nietrudno ująć przed czymś, co nie ściga – odparł Kreizler. – A gdyby nawet policja się nim zainteresowała, byłaby bezradna, ponieważ w ogóle by nie rozumiała, co powoduje mordercę.

– A ty to rozumiesz? – W głosie Roosevelta zadźwięczała nadzieja.

– Nie do końca. Mam kilka pierwszych elementów, musimy znaleźć pozostałe. Dopiero gdy naprawdę pojmiemy, co go pcha, zyskamy szansę, i to też nikłą, na rozwiązanie tej sprawy.

– Co może pchać człowieka do takich czynów? – spytał Roosevelt z zakłopotaniem. – W końcu Santorelli nie miał żadnych pieniędzy. Przesłuchujemy jego rodzinę, ale wygląda na to, że wszyscy byli przez całą noc w domu. Jeśli nie wdał się w zatarg z kimś innym...

– Wątpię, by w grę wchodził jakiś zatarg – odrzekł Laszlo. – Mało tego, chłopiec mógł nigdy przedtem nie spotkać mordercy.

– Sugerujesz, że ktokolwiek to jest, zabija dzieci, których nawet nie zna?

– Możliwe. Nie musi ich znać. Dla niego ważne jest to, co one reprezentują.

– To znaczy? – zapytałem.

– To właśnie musimy ustalić. Roosevelt kontynuował ostrożne badanie:

– Czy masz jakiś dowód na poparcie swojej teorii?

– Żadnego z takich, o które ci chodzi. Tylko lata studiowania podobnych charakterów. I intuicję, jaką mi to dało.

– Ale...

Gdy Roosevelt wstał, by odpracować swoją kolejkę krążenia po pokoju, Kreizler, który najtrudniejsze miał już za sobą, nieco się odprężył. Theodore uporczywie uderzał pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

– Posłuchaj, Kreizler, to prawda, że wychowałem się, jak my wszyscy, pod kloszem. Odkąd jednak objąłem ten urząd, postawiłem sobie za zadanie poznać świat przestępczy naszego miasta i widziałem wiele *rzeczy*. Nikt nie potrzebuje mi mówić, że deprawacja i zezwierzęcenie osiągnęły w Nowym Jorku rozmiary niespotykane nigdzie indziej na świecie. Ale jaki nienazywalny koszmar, nawet tutaj, mógł przywieść człowieka do czegoś takiego?

Kreizler odpowiedział powoli, starannie dobierając słowa:

– Nie szukaj przyczyn w tym mieście. Ani w niedawnych okolicznościach, ani w niedawnych wydarzeniach. Istota, którą tropisz, została stworzona wiele lat temu. Może już w niemowlęctwie, na pewno w dzieciństwie. I niekoniecznie tutaj.

Theodore chwilowo nie był w stanie się odezwać, na jego twarzy malowała się walka sprzecznych uczuć. Ta rozmowa głęboko go poruszyła, jak poruszały go wszystkie podobne rozmowy, odkąd tylko poznał Kreizlera. Wiedział jednak z góry, że tak się ona potoczy; wiedział, a nawet – uprzytomniłem sobie – liczył na to od momentu, gdy mnie poprosił, bym sprowadził Laszla do jego biura. Albowiem oblicze Roosevelta wyrażało również satysfakcję, świadomość, że to, co wszyscy policyjni wywiadowcy postrzegają jako groźny, niezgłębiony ocean, dla doświadczonego Kreizlera jest pełne mielizn i regularnych prądów. Teorie Laszla dostarczały sposobu rozwiązania zagadki, która zdaniem współpracowników Theodore'a była nierozwiązywalna, a przez to zadośćuczynienia ofierze (lub, jak się teraz wydawało, ofiarom), której – których – śmierci nie wyjaśniłby nikt z Wydziału Policji. Dalej jednak nie wiedziałem, jaka ma być moja rola.

– John – przemówił nagle Theodore, nie patrząc na mnie – byli tu Kelly i Ellison.

– Wiem. Sara i ja wpadliśmy na nich na schodach.

– Co? – Theodore włożył *pince-nez*. – Mielicie jakieś kłopoty? Kelly to diabeł, zwłaszcza gdy w pobliżu jest kobieta.

– Nie nazwałbym tego spotkania przyjemnym – odrzekłem. – Ale Sara stawiała mu czoło jak żołnierz.

Theodore odetchnął z ulgą.

– Bogu dzięki. Choć, między nami mówiąc, wciąż się zastanawiam, czy była to mądra decyzja.

Miał na myśli zatrudnienie Sary i jeszcze jednej sekretarki, dwóch pierwszych kobiet w nowojorskiej policji. Naraziło go to na drwiny i krytykę nie tylko w prasie; ale miał już szczerze dość sposobu, w jaki amerykańskie społeczeństwo traktuje kobiety, i postanowił dać tym dwóm szansę.

– Kelly – ciągnął Theodore – zagroził, że jeśli spróbuję „wrobić” w tę sprawę jego lub Ellisona, podburzy społeczności imigranckie. Powiedział, że może wznieść zamieszki, kolportując wiadomość, że Wydział Policji pozwala, aby bezkarnie mordowano biedne cudzoziemskie dzieci.

Kreizler skinął głową.

– Nie byłoby mu trudno. Ponieważ to w gruncie rzeczy prawda.

Roosevelt spjrzał nań ostro, ale zaraz zmiękł. Wiedział, że Laszlo ma rację.

– Powiedz mi, Moore – odezwał się Kreizler – jaka jest twoja opinia o Ellisonie? Czy jest możliwe, aby był w to zamieszany?

– Biff? – Oparłem się o fotel, wyprostowałem nogi i rozważyłem pytanie. – Jest bez wątpienia jednym z najgorszych łajdaków w tym mieście. Większość dzisiejszych gangsterów ma w sobie jakąś iskrę człowieczeństwa, choćby głęboko ukrytą. Nawet Monk Eastman hoduje swoje kotki i ptaszki. A Biff... o ile mi wiadomo, nic go nie wzrusza. Okrucieństwo jest jego jedyną rozrywką, jedyną rzeczą, która zdaje się sprawiać mu przyjemność. Gdybym nie widział tego ciała, gdyby było to hipotetyczne pytanie o zamordowanego chłopca, który pracował w Paresis Hall, bez wahania powiedziałbym, że Biff jest podejrzany. Motyw? Miałby ich kilka, przede wszystkim, by postraszyć innych chłopców, przypomnieć im, że mają mu oddawać całe zarobki. Ale jest pewien problem: styl. Biff to typowy nożownik, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Zabija cicho, czysto, i wielu jego ofiar nigdy nie odnaleziono. Ubiera się krzykliwie, lecz pracuje milczkiem. Tak więc, choć bardzo bym chciał, nie mógłbym powiedzieć, że jest zamieszany w tę sprawę. To po prostu nie jego... styl.

Podniósłszy wzrok, zobaczyłem, że Laszlo przygląda mi się z bardzo dziwną miną.

– John, to najinteligentniejszy wywód, jaki kiedykolwiek od ciebie usłyszałem – oświadczył. – I ty się zastanawiasz, po co cię tu ściągnęliśmy. – Odwrócił się do Roosevelta. – Moore zostanie moim asystentem. Jego znajomość sfer przestępczych tego miasta i terenu ich działania będzie dla nas bezcenna.

– Asystentem? – zdziwiłem się.

Niestety znów mnie zignorowali. Zmrużone oczy Theodorea wskazywały, że jest całkowicie pochłonięty słowami Kreizlera, i zadowolony z nich.

– Więc chcesz wziąć udział w śledztwie – powiedział. – Przeczuwałem to.

– Wziąć udział w śledztwie? – powtórzyłem osłupiały. – Roosevelt, czyś ty postradał swój holenderski rozum? Alienista? Psycholog? Już zrobiłeś sobie wrogów ze wszystkich starszych rangą funkcjonariuszy w Wydziale i z połowy Zarządu Komisarzy na dodatek. Co drugi dom gry w mieście przyjmuje zakłady, że wylecisz jeszcze przed Świętem Niepodległości! Jeśli się rozniesie, że zwerbowałeś kogoś takiego jak Kreizler... dalibóg, równie dobrze mógłbyś zatrudnić afrykańskiego szamana!

Laszlo zachichotał.

– Za jakiego większość naszych szacownych obywateli właściwie mnie uważa. Moore ma rację, Roosevelt. To przedsięwzięcie wymaga zachowania ścisłej tajemnicy.

Roosevelt skinął głową.

– Wierzcie mi, panowie, zdaję sobie sprawę z realiów. Będziecie mieli tajemnicę.

– Pozostaje jeszcze – ciągnął Kreizler, znów starając się być dyplomata – kwestia warunków...

– Jeżeli chodzi ci o wynagrodzenie – odparł Roosevelt – ponieważ będziesz działał jako doradca, naturalnie...

– Obawiam się, że nie miałem na myśli wynagrodzenia. Ani doradzania. Bój się Boga, Roosevelt, twoi wywiadowcy nie potrafili nawet dostrzec wskazówki, którą był brak oczu. Trzy morderstwa w ciągu trzech miesięcy i ich najistotniejszy aspekt przypisuje się szczerom! Kto wie, jakie jeszcze błędy popełnili. Gdyby mieli powiązać te morderstwa ze sprawą sprzed trzech lat, zakładając, że taki związek istnieje, podejrzewam, że umarlibyśmy starcami w łózkach, zanimby się to im udało, z „doradzaniem” czy bez. Nie, nie mogę z nimi współpracować. Myślałem raczej o... posiłkach.

Roosevelt, zawsze pragmatyk, zaciekawił się.

– Mów dalej – powiedział.

– Daj mi dwóch lub trzech dobrych młodych wywiadowców mających zrozumienie dla nowoczesnych metod, ludzi, którzy nie są zaangażowani w stare wydziałowe układy, którzy nigdy nie podlegali Byrnesowi. – (Thomas Byrnes był wielce szanowanym twórcą i poprzednim szefem Sekcji Śledczej, tajemniczym człowiekiem, który zgromadził podczas swej kadencji duży majątek i który odszedł na emeryturę, nieprzypadkowo, kiedy Roosevelt został mianowany prezesem Zarządu.) – Urządzimy nasze biuro poza Kwaterą Główną, choć niezbyt daleko. Wyznacz kogoś, komu ufasz, na łącznika, znowu, kogoś nowego, kogoś młodego. Daj nam tyle informacji, ile możesz dać, nie ujawniając całej operacji. – Laszlo oparł się o fotel i na chwilę zamilkł, świadom bezprecedensowej natury swej propozycji. – Daj nam to wszystko, a może będziemy mieli jakąś szansę.

Roosevelt trzymał się biurka i kołysał na krześle, obserwując Kreizlera.

– Jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, pożegnaj się ze stanowiskiem – powiedział bez cienia troski w głosie. – Zastanawiam się, doktorze, czy rzeczywiście zdajesz sobie sprawę, jak bardzo twoja działalność przeraża i gniewa ludzi, którzy rządzą tym miastem: jego polityką i jego interesami. Uwaga Moore’a o afrykańskim szamanie naprawdę nie jest żartem.

– Zapewniam cię, nie uznałem jej za żart. Jeśli jednak szczerze pragniesz położyć kres temu, co się dzieje – ton Kreizlera był niemal błagalny – m u s i z się zgodzić.

Byłem nadal lekko zdumiony tym, co słyszę, i pomyślałem, że nadszedł z pewnością moment, w którym Roosevelt przestanie się bawić propozycją Kreizlera i stanowczo ją odrzuci. On jednak znów uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Do pioruna, doktorze, znam dwóch wywiadowców, którzy jak raz by sprościli twoim wymaganiom! Ale powiedz mi, od czego byś zaczął?

– Za odpowiedź na to pytanie – odrzekł Kreizler, wskazując na mnie – muszę podziękować Mooreowi. Pomysł podsunęło mi coś, co mi kiedyś przysłał.

– Coś, co ja ci przysłałem?

Egotyzm na chwilę usunął w cień moje obawy związane z niebezpiecznym planem. Laszlo podszedł do okna i podniósł roletę, aby wyjrzieć na zewnątrz.

– Pamiętasz, John, jak ładnych parę lat temu znalazłeś się w Londynie, kiedy akurat „działał” Rozpruwacz?

– Oczywiście, że pamiętam – odparłem z westchnieniem. Nie były to szczególnie udane wakacje: trzy miesiące w Londynie w 1888 roku, gdy krwiożerczy potwór napadał i patroszył przypadkowe prostytutki na East Endzie.

– Poprosiłem cię o informacje i artykuły z lokalnej prasy. Ty wyświadczyłeś mi tę grzeczność, a do jednej z przesyłek dołączyłeś zapiski młodszego Forbesa Winslowa.

Pogrzebałem w pamięci. Forbes Winslow, syn wybitnego brytyjskiego alienisty (i jednego z mistrzów Kreizlera), o tym samym imieniu i nazwisku, wykorzystując zasługi ojca, dochrapał się w latach osiemdziesiątych stanowiska dyrektora zakładu dla obłąkanych. Młodszy Winslow był zarozumiałym głupcem, ale człowiekiem na tyle znanym, że gdy Kuba Rozpruwacz zaczął grasować, mógł się wkręcić do śledztwa; co więcej, twierdził, iż to dzięki niemu morderstwa (nigdy niewyjaśnione) się skończyły.

– Nie powiesz mi, że Winslow wskazał ci drogę – odparłem ze zdumieniem.

– Zupełnie niechcący. W jednej ze swych absurdalnych prac na temat Rozpruwacza Winslow stwierdza, pisząc o pewnym podejrzanym, że gdyby miał stworzyć „imaginacyjnego człowieka”, to jego określenie, który by posiadał znane cechy mordercy, nie mógłby wymyślić lepszego. Cóż, oczywiście jego podejrzany okazał się niewinny. Ale wyrażenie „imaginacyjny człowiek” utkwiło mi w pamięci. – Kreizler odwrócił się z powrotem do nas. – Nic nie wiemy o osobie, której szukamy, i jest bardzo mało prawdopodobne, abyśmy kiedykolwiek znaleźli lepiej poinformowanych świadków. Poszlaki będą skąpe, w najlepszym razie, morderca działa przecież od lat i miał dość czasu, aby udoskonalić swoje metody. Musimy namalować imaginacyjny portret człowieka, który mógłby popełniać takie czyny. To właściwie jedyne, co możemy zrobić. Jeśli będziemy mieli taki portret, znaczenie tych nielicznych tropów, które wykryliśmy, niebywale wzrośnie. Będziemy mogli zredukować stóg siana, w którym chowa się nasza igła, do rozmiarów... kupki słomy, jeśli chcecie.

– Ja nie chcę, serdeczne dzięki – powiedziałem. Moje zdenerwowanie sięgnęło szczytu. Była to dokładnie taka rozmowa, jaka mogła rozpalić umysł Roosevelta, i Kreizler o tym wiedział. Działanie, plany, kampania – niemal nie godziło się wymagać od Theodore’a, by podjął rozsądną decyzję w obliczu takiej emocjonalnej pokusy. Wstałem i rozprostowałem ręce gestem, który miał wyrażać chęć zamknięcia dyskusji.

– Posłuchajcie mnie obaj – zacząłem, ale Laszlo dotknął mego ramienia, posłał mi jedno z tych swoich spojrzeń – tak władcze, że aż irytujące – i powiedział:

– Proszę, usiądź na chwilę, Moore. Powinniście obaj wiedzieć coś jeszcze. Stwierdziłem, że jeśli moje warunki zostaną spełnione, możemy mieć szansę, jedynie szansę, na sukces. Człowiek, którego poszukujemy, nabył praktyki w swym procederze. Pamiętajcie, odnalezienie ciał tych dwojga dzieci w zbiorniku na wodę zawdzięczamy wyłącznie szczęśliwemu trafowi. Nie wiemy o nim nic, nie wiemy nawet, czy to jest „on”. Przypadki kobiet mordujących swoje i cudze dzieci nie są wcale rzadkie, to drastycznie skrajny objaw psychozy poporodowej. Ale mamy jeden powód do optymizmu.

Theodore pojaśniał na twarzy.

– Mały Santorelli?

Szybko się uczył. Kreizler skinął głową.

– A dokładniej, zwłoki małego Santorellego. Ich umiejscowienie i umiejscowienie dwóch pozostałych ciał. Morderca mógł ukrywać swoje ofiary bez końca, Bóg jeden wie, ile dzieci zabił przez ostatnie trzy lata. Niemniej teraz dał nam otwartą deklarację swoich poczynań, przypominając listy, Moore, które Rozpruwacz pisał do rozmaitych londyńskich urzędników. Jakaś skryta, skarłała, lecz jeszcze nie martwą częstkę naszego mordercy zaczyna nużyć ten rozlew krwi. I w tych trzech ciałach możemy odczytać, tak wyraźnie, jakby były słowami, jego pokrętną prośbę, byśmy go odnaleźli. I to odnaleźli szybko, harmonogram bowiem, zgodnie z którym zabija, jest, jak sądzę, napięty. Także ów harmonogram musimy rozszyfrować.

– Sądysz więc, że potrafisz to zrobić szybko, doktorze? – zapytał Theodore. – Dochodzenia, jakie opisujesz, nie można przecież prowadzić w nieskończoność. Musimy mieć wyniki!

Kreizler wzruszył ramionami, wyraźnie głuchy na natarczywość tonu Roosevelta.

– Przedstawiłem ci moją uczciwą opinię. Będziemy mieli szansę, nic więcej ani mniej. – Położył dłoń na biurku Theodorea. – Więc jak, Roosevelt?

Jeśli wydaje się dziwne, że już więcej nie protestowałem, mogę powiedzieć tylko tyle: wyjaśnienie Kreizlera, że jego obecny tok postępowania zainspirował dokument, który mu przysłałem przed laty – udzielone na fali naszych harwardzkich wspominków i rosnącego entuzjazmu Theodore’a dla planu – uświadomiło mi nagle, że to, co dzieje się w tym pokoju, jest tylko w części skutkiem zabójstwa Georgia Santorellego. Łącuch przyczyn sięgał głęboko w przeszłość, do dzieciństwa i późniejszego życia każdego z nas, tak indywidualnego, jak wspólnego. Pierwszy raz chyba odczułem z taką mocą prawdziwość poglądu Kreizlera, że odpowiedzi, które dajemy na najważniejsze życiowe pytania, nigdy nie są naprawdę spontaniczne; odzwierciedlają one lata kontekstualnych doświadczeń, lata tworzenia się wzorców, które w końcu zaczynają rządzić naszym zachowaniem. Czy Theodore – ze swym kredo czynnej reakcji na wszystkie przeciwności losu, prowadzącym go przez chorobę we wczesnej młodości oraz polityczne i osobiste kataklizmy w wieku dojrzałym – naprawdę mógł odrzucić propozycję Kreizlera? A skoro on ją przyjął, czyja mogłem odmówić tym dwóm przyjaciółom, z którymi razem tak wiele przeszedłem i którzy mówili mi teraz, że moje niecodzienne zainteresowania i wiedza – tak często lekceważone jako bezużyteczne przez niemal wszystkie znane mi osoby – będą niezbędne do schwytania brutalnego mordercy? Profesor James powiedziałaby, że tak, każda istota ludzka zawsze może dokonać wolnego wyboru; i niewykluczone, że obiektywnie jest to prawda. Jednak, jak lubił mówić Kreizler, nie da się zobiektywizować subiektywnego i uogólnić konkretnego. Co wybrałby człowiek, jakiś człowiek, pozostawało kwestią dyskusyjną; Theodore i ja byliśmy ludźmi konkretnymi.

Tak więc w ten ponury marcowy poranek Kreizler i ja zostaliśmy wywiadowcami, i wszyscy trzej wiedzieliśmy, że musimy. Pewność ta opierała się, jak mówię, na gruntownej wzajemnej znajomości charakteru i przeszłości każdego z nas; niemniej w tym przełomowym momencie znajdował się w Nowym Jorku jeden człowiek, który odgadł treść naszej narady i jej konkluzję, choć nawet nie był nam przedstawiony. Dopiero z perspektywy czasu widzę, że uważnie śledził on nasze poczynania tego ranka i że wybrał chwilę, gdy opuściliśmy z Kreizlerem Kwaterę Główną Policji, aby dostarczyć zagadkowe, lecz niepokojące przesłanie.

W nowym ataku ulewnego deszczu, zesłanego przez coraz bardziej posępne niebo, wskoczyliśmy do kolaski, gdzie natychmiast poczułem jakiś dziwny zapach, niepodobny do zwykłego ulicznego fetoru odpadków i końskiego nawozu.

– Kreizler – powiedziałem, marszcząc nos, gdy Laszlo usiadł obok mnie – czy ktoś...

Urwałem, widząc, że czarne oczy Kreizlera są wpatrzone w kąt powozu. Podążywszy za jego spojrzeniem, zobaczyłem na podłodze zwiniętą w kłębek, poplamioną białą szmatę. Dźgnąłem ją parasolem.

– Dość charakterystyczna mieszanka zapachowa – mruknął Kreizler. – Ludzka krew i ekskrementy, jeśli się nie mylę.

Uświadamiając sobie, że ma rację, jęknąłem i złapałem się lewą ręką za nos.

– Tak tutejsi chłopcy wyobrażają sobie świetny dowcip – powiedziałem, podnosząc szmatę czubkiem parasola. – Powozy, jak cylindry, stanowią dobre cele.

Kiedy wyrzucałem szmatę z powozu, wypadła z niej na podłogę kula równie poplamionego, zadrukowanego papieru. Jęknąłem ponownie i spróbowałem, bezskutecznie, nadziać ją na szpikulec. Po kilku próbach paskudztwo się rozwinęło i mogłem odczytać kawałek tekstu.

– No, no – bąknąłem zakłopotany. – Brzmi to, jak coś z twojej branży, Kreizler. „Wpływ higieny i wyżywienia na kształtowanie się dziecięcego...”

Z szokującą gwałtownością Kreizler wyrwał mi parasol, przebił nim papier i cisnął obie rzeczy na ulicę.

– Co ty, do... Kreizler!

Wyskoczyłem z kolaski, podniosłem parasol, odzepiłem cuchnący papier i wszedłem z powrotem.

Kiedy spojrzałem na Kreizlera, dostrzegłem w jego twarzy wyraz prawdziwego niepokoju; natychmiast go jednak odpędził i gdy się odezwał, jego ton był celowo niedbały.

– Przepraszam cię, Moore, ale przypadkiem znam tego autora. Równie kiepski stylistą jak myślicielem. A nie możemy się teraz rozpraszać. – Pochylił się do przodu i zawołał Cyrusa, na co głowa olbrzyma zajrzała pod budę powozu. – Do Instytutu, a potem na lunch – powiedział Laszlo. – I popędź konia, jeśli łaska, Cyrusie, dobrze by nam zrobiło trochę świeżego powietrza.

W tym momencie było już dla mnie oczywiste, że plugawej szmaty nie podrzuciło do powozu żadne dziecko; sądząc bowiem ze zdania, które udało mi się przeczytać, jak również reakcji Laszla, autorem pracy, z której wydarto kartkę, był niemal na pewno on sam. Uznawszy, że czynu dopuścił się jeden z wielu przeciwników Kreizlera, nie wnikałem w to głębiej; ale rzeczywiste znaczenie tego incydentu miało się stać w najbliższych tygodniach zatrwająco jasne.

ROZDZIAŁ 7

Pragnęliśmy jak najszybciej zgrupować nasze siły i rozpocząć śledztwo, toteż opóźnienia, które wynikły, choć nieznaczne, były frustrujące. Kiedy Theodore się zorientował, że wizyta Kreizlera w Głównej wzbudziła wielką ciekawość reporterów i policjantów, zrozumiał, że popełnił błąd, zwołując zebranie u siebie, i powiedział, że powinniśmy poczekać kilka dni, aż sprawa przycichnie. Kreizler i ja wykorzystaliśmy ten czas na uporządkowanie naszych „cywilnych” obowiązków. Ja musiałem wystarać się o urlop, co ułatwił mi trochę telefon Roosevelta, który wyjaśnił moim szefom, że jestem niezbędnie potrzebny policji. Niemniej pozwolono mi opuścić redakcję „Timesa” na rogu Trzydziestej Drugiej i Broadwayu, dopiero gdy przysiągłem, że jeśli zbiorę podczas śledztwa materiał nadający się do druku, nie pójdę z nim do innego dziennika czy magazynu, bez względu na to, ile pieniędzy mi zaproponują. Zapewniłem moich kwaśnoliczych ciemiężycieli, że na pewno nie będą chcieli wydrukować tego sami, i wyszedłem na Broadway w typowy w Nowym Jorku marcowy poranek: minus szesnaście stopni o jedenastej i wiatr pędzący przez ulice z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

Miałem się spotkać z Kreizlerem w Instytucie i postanowiłem pójść pieszo – tak lekko się czułem na myśl, że uwolniłem się od redakcyjnej zależności. Ale prawdziwe nowojorskie zimno – zimno, które sprawia, że koński mocz zamarza na jezdniach w małe strumyczki – pokonuje nawet najmężniejszego ducha. Pod hotelem Piąta Aleja zdecydowałem się wziąć dorożkę i przystanąłem tylko, by popatrzeć, jak „Boss” Platt wysiada z powozu i znika w środku; jego sztywne, nienaturalne ruchy budziły wątpliwość, czy jeszcze żyje.

Urlop Kreizlera, zacząłem rozmyślać w dorożce, nie będzie taką prostą sprawą jak mój. Dwa tuziny instytucyjnych dzieci potrzebowały jego obecności i rady. Prawdę powiedziawszy, z początku nie bardzo sobie wyobrażałem, jak Laszlo może podjąć inne zajęcie, nawet tymczasowe: tak niezbędna była w Instytucie jego kierownicza dłoń. Wyjaśnił mi jednak, że zamierza spędzać tam dwa przedpołudnia i jedną noc w tygodniu, i wtedy będzie zostawiał śledztwo w moich rękach. Nie spodziewałem się takiej odpowiedzialności, ale o dziwo bardziej mnie to ucieszyło, niż zaniepokoiło.

Dorożka przejechała przez Chatham Square, skręciła w East Broadway i zatrzymała się pod numerami 185-187, Instytutem Kreizlera. Wsiadłszy, zobaczyłem kolaszkę Laszla i spojrzałem w okna Instytutu, na poły oczekując, że on sam mnie wygląda, ale nie dostrzegłem żadnej twarzy.

Kreizler kupił dwa trzypiętrowe, ceglane instytutowe budynki za własne pieniądze w 1885 roku, po czym kazał je przebudować, aby tworzyły całość. Na utrzymanie placówki przeznaczal honoraria, które pobierał od bogatszych pacjentów, jak również swe niemałe dochody z ekspertyz sądowych. Pokoje dzieci znajdowały się na najwyższym piętrze Instytutu, a sala szkolna i pomieszczenia rekreacyjne na drugim. Na pierwszym był gabinet przyjęć oraz laboratorium psychologiczne, gdzie Kreizler robił dzieciom testy na zdolność percepcji, reagowania, kojarzenia, zapamiętywania i zdolność do różnych innych czynności psychicznych, które tak fascynowały społeczność alienistów. Parter zajmowała dość odstręczająca sala operacyjna, gdzie od czasu do czasu preparował mózg albo przeprowadzał sekcję zwłok. Moja dorożka zatrzymała się przy czarnych żelaznych schodach, które wiodły do głównego wejścia, pod numerem 185. Cyrus Montrose stał u ich szczytu. Na głowie miał melonik, jego olbrzymią postać okrywał płaszcz, a z szerokich nozdrzy buchał zimny ogień.

– Dzień dobry, Cyrusie – powiedziałem, siląc się na uśmiech, z próżną nadzieją, że w mym głosie nie dźwięczy niepokój, który czułem, ilekroć dosięgnął mnie jego bazylijszkowy wzrok. – Zastałem doktora Kreizlera?

– To jego powóz, panie Moore – odparł Cyrus tonem, który mimo uprzejmości sugerował, że jestem jednym z większych idiotów w mieście.

Rezolutnie zachowałem jednak uśmiech i wspiałem się na schody.

– Zapewne słyszałeś, że pan doktor i ja będziemy przez jakiś czas razem pracować?

Cyrus skinął głową z wyrazem, który, gdybym miał mniej rozumu, uznałbym za ironiczny.

– Słyszałem, sir.

– No cóż... – Odsunąłem poły marynarki i poklepałem się po kamizelce. – Chyba pójdę go poszukać. Miłego dnia, Cyrusie.

Wszedłem do środka, nie otrzymawszy odpowiedzi, ale też na nią nie zasługiwałem; nie było powodu, abyśmy obaj zachowywali się jak kretyni.

Mała sień i frontowy korytarz Instytutu – białe z ciemną boazerią – były jak zwykle pełne rodziców i dzieci stłoczonych na dwóch długich, niskich ławkach w oczekiwaniu na widzenie z Kreizlerem. Niemal każdego ranka na przełomie zimy i wiosny Laszlo osobiście przeprowadzał rozmowy, aby ustalić, kto zostanie przyjęty do Instytutu najbliższej jesieni. Petenci reprezentowali różne kategorie, od najbogatszych arystokratów z Północnego Wschodu po najbiedniejszych imigrantów i pracowników rolnych, ale wszystkich ich łączyło jedno: umęczone lub męczące dziecko, którego zachowanie było pod jakimś względem dziwne i niewytłumaczalne. Powaga problemów nie zmieniała faktu, że w takie poranki Instytut przypominał zoo. Idąc korytarzem, mogłeś się spodziewać, że zostaniesz podcięty, opluty, zelżony lub sprostponowany w inny sposób, zwłaszcza przez te dzieci, których jedynym defektem psychicznym było to, że zostały rozpieszczone, i których rodzice bezsprzecznie mogli i powinni byli oszczędzić sobie wizyty u Kreizlera.

Nieopodal gabinetu przyjąć skrzyżowałem spojrzenia z jednym takim potencjalnym rozrabiaką, grubym małym chłopcem o złych oczach. Przed drzwiami spacerowała tam i z powrotem ciemnowłosa, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta o pobrużdżonej twarzy, otulona szalem i mamrocząca coś w języku, w którym domyśliłem się węgierskiego; musiałem ominąć zarówno ją, jak i kopiące nogi chłopca, by zapukać. Usłyszawszy gromkie „Proszę!” Kreizlera, wszedłem do środka, ku wyraźnemu zaniepokojeniu kobiety.

Po w miarę zwyczajnej sieni gabinet przyjąć Laszla był pierwszym pomieszczeniem, które jego przyszli pacjenci (nazywał ich „uczniami” i wymagał, by cały personel robił to samo, nie chciał bowiem oświadczać dzieciom ich sytuacji i stanu) widzieli, wkraczając w mury i świat Instytutu Kreizlera. Zadbął więc, aby jego wyposażenie nie onieśmiało. Na ścianach wisiały obrazki ze zwierzętami, które, świadcząc jednocześnie o dobrym guście Laszla, rozweselały i uspokajały dzieci, podobnie jak zabawki – bilboklet⁹, proste klocki, lalki i ołowiane żołnierzyki – których Laszlo używał zresztą we wstępnych testach na sprawność ruchową, czas reakcji i stan emocjonalny. Instrumentów medycznych było tu niewiele – większość znajdowała się w pokoju obok, gabinecie lekarskim sensu stricto. Tam właśnie, jeśli dany przypadek go zainteresował, Kreizler przeprowadzał badania internistyczne. Ich celem było ustalenie, czy problemy dziecka mają charakter wtórny (to znaczy wynikają z nieprawidłowości fizycznych, wpływających na nastrój i zachowanie), czy też pierwotny, to znaczy są objawem zaburzeń emocjonalnych lub umysłowych. Jeśli jakieś dziecko było zdrowe fizycznie i Kreizler uznał, że potrafi mu pomóc (innymi słowy, jeśli nie dopatrzył się nieuleczalnej choroby lub uszkodzenia mózgu), zostawało „zapisane” i odtąd przebywało w Instytucie stale, a do domu jeździło tylko w święta, i to pod warunkiem że Kreizler uważał takie kontakty za bezpieczne. Zgadzał się bowiem z teoriami swego przyjaciela i kolegi po fachu, doktora Adolfa Meyera, i często cytował jedną z jego sentencji: „Dezintegracyjne procesy u dzieci mają głównego sprzymierzeńca w równie wadliwym środowisku domowym”. Stworzenie neurotycznym dzieciom nowego środowiska było najważniejszym zadaniem Instytutu, a jednocześnie podstawą intensywnych wysiłków Laszla, by odkryć, czy to, co nazywał pierwotnym kształtem ludzkiej psychiki, może zostać przetworzone, a los, na który skazuje każdego z nas przypadek urodzenia, odmieniony.

Kreizler siedział i pisał przy dość ozdobnej sekretarce, oświetlonej małą lampą od Tiffany’ego z kloszem w kolorach przytłumionej zieleni i złota. Czekał, by podniósł głowę, podszedłem do półki obok i wziąłem jedno z moich ulubionych dzieł: *Życie i śmierć szalonego złodzieja i mordercy, Samuela Greena*. Laszlo często opowiadał jego historię rodzicom swych „uczniów”, ponieważ niestawny Green był, według Kreizlera, „produktem bata” – bity przez całe dzieciństwo – i gdy został schwytany, otwarcie przyznał, że jego zbrodnie przeciwko społeczeństwu stanowiły formę zemsty. Ja zainteresowałem się tą książką ze względu na jej frontysepis, który przedstawiał „Koniec szaleńca Greena” na bostońskiej szubienicy w 1822 roku. Zawsze bawił mnie obłąkany wyraz twarzy skazańca i właśnie na nowo zapoznawałem się z obrazkiem, gdy Kreizler, nie odwracając się od biurka, wyciągnął rękę z kilkoma arkuszami papieru i powiedział:

– Spójrz na to, Moore. Nasz pierwszy sukces, niechby nawet mały.

Odłożyłem książkę i wziąłem od niego papiery. Były to formularze i zezwolenia mające związek z jakimś cmentarzem, konkretnie z dwoma grobami: między innymi notatka o ekshumacji zwłok i prawie nieczytelny dokument podpisany przez niejakiego Abrahama Zweiga.

Rozproszyło mnie nieodparte uczucie, że jestem obserwowany. Odwróciwszy się, zobaczyłem małą, może dwunastoletnią dziewczynkę z okrągłą, ładną buzią o lekko przestraszonym i udręczonym wyrazie. Stała nad książką, którą odłożyłem, i popatrywała to na mnie, to na frontyspis, zapinając górne guziki skromnej, lecz czystej sukienki. Przeczytała podpis pod ryciną i najwidoczniej wyciągnęła jakieś nieprzyjemne wnioski, gdyż z wyraźnym już lękiem spozjrzała na Kreizlera i odsunęła się ode mnie.

– Aaa, Berthe – zwrócił się do niej Laszlo. – Gotowa do wyjścia?

Dziewczynka wskazała niepewnie na książkę, a potem na mnie i odezwała się drżącym głosem:

– Więc... ja też jestem szalona, panie doktorze? I ten pan zabierze mnie do takiego specjalnego domu?

– Co? – wykrzyknął Kreizler, zabierając książkę i posyłając mi surowe spojrzenie.

– Szalona? Bzdura! Mamy wyłącznie dobre wiadomości. – Mówił do niej jak do osoby dorosłej, prosto i jasno, ale tonem, który rezerwował dla dzieci: cierpliwym, miłym, chwilami pobłażliwym. – Chodź do mnie. – Dziewczynka podeszła i Kreizler posadził ją sobie na kolanach. – Jesteś bardzo zdrową, bardzo inteligentną panią. – Zarumieniła się i roześmiała, cicho, lecz radośnie. – Twoje kłopoty powodują małe narośle, mieszkające w nosie i uszach. Tym narośłem, w przeciwieństwie do ciebie, bardzo się podoba, że w twoim domu jest tak piekielnie zimno. – Postukał ją w głowę w takt tych ostatnich słów. – Pójdiesz do lekarza, który jest moim znajomym, i on usunie te narośle. Zrobi to, kiedy będziesz sobie smacznie spała. A co do tego pana – postawił Berthe na podłodze – to mój przyjaciel, pan Moore. Przywitaj się z nim.

Dziewczynka leciutko dygnęła, ale się nie odezwała. Odkłoniłem się jej.

– Bardzo mi miło cię poznać, Berthe.

Ponownie się roześmiała, na co Laszlo zacmokał.

– Starczy tych chichotów. Przeprowadź mamę i wszystko omówimy.

Dziewczynka pobiegła do drzwi, a Kreizler z podnieceniem postukał papiery, które trzymałem w dłoni.

– Szybka robota, co, Moore? Przywieźli je przed godziną.

– Co przywieźli? – spytałem zdezorientowany. – Albo kogo?

– Te dzieci ze zbiornika na wodę! – odparł spokojnie. – Rodzeństwo Zweigów, mam ich szczątki na dole!

Była to tak makabryczna myśl, że aż się wzdrygnąłem. Nim jednak zdążyłem spytać, po co, u licha, ściągnął tu zwłoki, Berthe wprowadziła do gabinetu matkę – kobietę w szalu. Zamienili z Kreizlerem kilka słów po węgiersku, ale on słabo znał ten język (ojciec Niemiec nie życzył sobie, aby dzieci mówiły językiem matki), więc przeszli na angielski.

– Pani Rajk, naprawdę musi mnie pani posłuchać! – powiedział Laszlo z irytacją w głosie.

– Ale, panie doktorze – zaprotestowała kobieta, załamując ręce – czasem, widzi pan, ona rozumie dobrze, a potem znowu jest jak jakiś demon, dręczy nas...

– Pani Rajk, nie wiem, na ile sposobów mogę to pani wyjaśnić – odparł Kreizler, siłąc się na cierpliwość, i wyjął z kieszeni kamizelki srebrny zegarek, na którym szybko sprawdził godzinę – ani w ilu językach. Obrzęk jest niekiedy mniej widoczny. – Wskazał swoje ucho, nos i gardło. – Wówczas pani córka nie odczuwa bólu i nie tylko słyszy i mówi, lecz także swobodnie oddycha. Jest więc aktywna i uważna. Ale przez większość czasu narośle w gardle i jamie nosowej zakrywają trąbki słuchowe prowadzące do uszu, co utrudnia, a nawet uniemożliwia jej kontakt z ludźmi. Fakt, że w waszym mieszkaniu szaleją przeciągi, jeszcze zaostrza ten stan. – Położył dłonie na ramionach dziewczynki, a ona znów uśmiechnęła się radośnie. – Krótko mówiąc, Berthe nie robi tego wszystkiego celowo, żeby dręczyć panią czy swego nauczyciela. Rozumie mnie pani? – Pochylił się ku matce i przyjrzał się jej badawczo jastrzębimi oczyma. – Nie. Najwyraźniej pani nie rozumie. Cóż, w takim razie musi mi pani po prostu uwierzyć: wszystko jest w porządku z jej umysłem i duszą. Proszę z nią pójść do Świętego Łukasza. Doktor Osborne wykonuje te zabiegi dość regularnie i sądzę, że uda mi się go przekonać, aby obniżył opłatę. Do jesieni – zmierzwił dziewczynce włosy, na co zareagowała wdzięcznym spojrzeniem – Berthe całkowicie wyzdrowieje i będzie najlepszą uczennicą w klasie. Prawda, panienko?

Dziewczynka tylko zachichotała w odpowiedzi. Matka próbowała jeszcze protestować, lecz Kreizler wziął ją za ramię i odprowadził korytarzem do głównego wyjścia.

– Naprawdę, pani Rajk, już wystarczy. To, że pani czegoś nie rozumie, nie znaczy, że tego nie ma. Proszę ją zabrać do doktora Osborne'a! Skontaktuję się z nim i jeśli się dowiem, że mnie pani nie posłuchała, będę bardzo zły.

Zamknął za nimi frontowe drzwi, zawrócił i natychmiast został osaczony przez pozostałe rodziny. Oznajmiwszy, że nastąpi krótka przerwa w konsultacjach, wycofał się do gabinetu i zatrzasnął drzwi.

– Przekonywanie rodziców, że muszą lepiej zadbać o zdrowie psychiczne swoich dzieci – wymamrotał, podchodząc do sekretery i zaczynając porządkować dokumenty – bardzo utrudnia mi to, że coraz więcej ich sądzi, iż każdy drobny problem zwiastuje stan krytyczny. No cóż... – Zamknął sekretkę na klucz i odwrócił się do mnie. – Dobrze, Moore, idziemy na dół. Ludzie Roosevelta powinni już tu być. Poprosiłem Cyrusa, żeby wprowadził ich bezpośrednio drzwiami z parteru.

– Zamierzasz egzaminować ich tutaj? – spytałem, kiedy przeszliśmy przez gabinet lekarski, aby umknąć czekającym w korytarzu rodzinom tylnym wyjściem, które prowadziło na dziedziniec Instytutu.

– Wcale nie zamierzam ich egzaminować – odparł Kreizler, gdy uderzyło nas zimne powietrze. – Wyręcą mnie mali Zweigowie. Ja tylko przestudiuję wyniki. I pamiętaj, Moore, ani słowa o tym, co robimy, dopóki się nie upewnię, że ci ludzie są odpowiedni.

Zaczął prószyć śnieg i grupka małych pacjentów Kreizlera – ubranych w proste szaro-niebieskie instytutowe uniformy – wyszła się pobawić na dziedzińcu. Gdy dzieci zobaczyły Laszla, podbiegły i przywitały się z nim – wesoło, lecz z wielkim szacunkiem. Laszlo, uśmiechając się, zadał im kilka pytań o nauczycieli i lekcje. Kilkoro śmielszych uczniów wypowiedziało się szczerze na temat wyglądu i nieprzyjemnego zapachu jakiegoś nauczyciela i Kreizler ich upomniął, choć niezbyt surowo. Kiedy odeszliśmy, kierując się do wejścia na parter, radosne okrzyki na nowo wypełniły dziedziniec, i pomyślałem o tym, jak niedawno część tych dzieci znajdowała się na ulicy i jak niewiele dzieliło je od losu Georgia Santorellego. Powoli wszystko zaczynało mi się kojarzyć z tą sprawą.

Ciemnym, wilgotnym korytarzem doszliśmy do sali operacyjnej, bardzo długiego pomieszczenia, które utrzymywał w suchości i ciepłe syczący w kącie piecyk gazowy. Ściany były gładkie i pobielone, a pod każdą z nich stały białe szafki ze szklanymi drzwiczkami, zawierające złowieszcze, połyskliwe instrumenty lekarskie. Na białych półkach powyżej znajdowały się przyprawiające o dreszcz modele: realistycznie pomalowane gipsowe głowy ludzi i małp z obnażonymi mózganymi i wyrazem agonii na twarzach. Zawartości półek dopełniał zbiór prawdziwych mózganymi rozmaitych stworzeń, umieszczonych w słojach z formaliną. Resztę ścian pokrywały wykresy ludzkich i zwierzęcych układów nerwowych. Centrum sali zajmowały dwa aluminiowe stoły operacyjne, z biegnącymi środkiem kanalikami do odprowadzania płynów ustrojowych, które spływały na koniec do metalowych zbiorniczków stojących na podłodze. Na obu stołach leżały formy o z grubsza ludzkich kształtach, przykryte sterylnymi płachtami. Emanował z nich silny zapach rozkładu.

Przy stołach stało dwóch mężczyzn ubranych w trzyczęściowe wełniane garnitury, wyższy w stonowaną, ale modną krataczkę, niższy w gładki czarny. Ich twarze, schowane w cieniu tuż poza zasięgiem ostrego blasku lamp operacyjnych, były niemal niewidoczne.

– Panowie – odezwał się Laszlo, podchodząc do nich – jestem doktor Kreizler. Mam nadzieję, że nie czekaliście zbyt długo.

– Bynajmniej, panie doktorze – odparł wyższy mężczyzna, ściskając Kreizlerowi dłoń.

Kiedy pochylił się w jasny krąg światła, zobaczyłem semickie, dość przystojne rysy – mocny nos, skupione piwne oczy – i bujne kręcone włosy. Niższy mężczyzna, miał prawem kontrastu małe oczy, mięsistą twarz zroszoną kropelkami potu i rzadką fryzurę. Obydwaj wyglądali na trzydzieści parę lat.

– Sierżant Marcus Isaacson – przedstawił się wyższy. – A to mój brat, Lucius.

Niższy mężczyzna, wyciągnął rękę ze zirytowaną miną.

– Sierżant śledczy Lucius Isaacson, doktorze – powiedział, po czym wyprostował się i wycedził przez zęby: – Nie rób tego więcej. Obiecałeś, że nie będziesz.

Marcus Isaacson przewrócił oczami i próbując się do nas uśmiechnąć, odparł, również przez zęby:

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nie przedstawiaj mnie jako swojego brata – wymamrotał natarczywie Lucius Isaacson.

– Panowie – włączył się Kreizler, nieco zakłopotany tą sprzeczką – oto mój przyjaciel, John Schuyler Moore.

Uściskałem obu dłonie, a Kreizler mówił dalej:

– Komisarz Roosevelt ma dość pochlebne mniemanie o waszych talentach i sądzi, że możecie mi pomóc w prowadzeniu pewnych badań. Specjalizujecie się w dwóch dziedzinach, które szczególnie mnie interesują...

– Tak – przerwał mu Marcus – w kryminologii i medycynie sądowej.

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć...

– Jeśli dziwią pana nasze imiona... – wtrącił Marcus. – Kiedy nasi rodzice przyjechali do Ameryki, bardzo się martwili, że ich dzieci będą narażone w szkole na antyżydowskie postawy.

– I tak się nam udało – dodał Lucius. – Nasza siostra ma na imię Cordelia.

– Widzi pan – ciągnął Marcus – rodzice uczyli się angielskiego, czytając Szekspira. Kiedy ja się urodziłem, dopiero co zaczęli, od *Juliusza Cezara*. Jeszcze go nie skończyli, gdy rok później urodził się mój brat. Ale zanim przyszła na świat nasza siostra, dwa lata później, zrobili duże postępy i zabrali się już do *Króla Lira*...

– Nie wątpię, panowie – przerwał Kreizler, jeszcze bardziej zaniepokojony, częstując braci uniesieniem brwi i drapieżnym spojrzeniem. – Jest to bardzo ciekawe, ale zamierzałem was spytać, w jaki sposób doszliście do swoich specjalizacji i dlaczego w ogóle wstąpiliście do policji.

Lucius podniósł głowę i westchnął.

– Nikt nie chce słuchać o naszych imionach, Marcus. Mówiłem ci.

Marcus lekko poczerwieniał i czując, że spotkanie nie przebiega najlepiej, zwrócił się do Kreizlera z zamierzoną powagą:

– No cóż, panie doktorze, zdaję sobie sprawę, że nie jest to może szczególnie interesujące wyjaśnienie, ale znów przyczynili się do tego nasi rodzice. Matka chciała, żebym ja został prawnikiem, a mój brat, ten oto sierżant śledczy, lekarzem. Nic z tego nie wyszło. Jeszcze jako chłopcy zaczęliśmy czytać Wilkiego Collinsa i kiedy szliśmy do college'u, wiedzieliśmy już na pewno, że chcemy być wywiadowcami.

– Z początku edukacja prawnicza i medyczna była dla nas przydatna – podjął Lucius – ale potem to rzuciliśmy i pracowaliśmy jakiś czas dla Pinkertona. Dopiero kiedy Wydział objął komisarz Roosevelt, otworzyła się przed nami szansa wstąpienia do policji. Zapewne pan słyszał, że jego polityka personalna jest dość... nieszablonowa.

Wiedziałem, co Isaacson ma na myśli, i później wyjaśniłem to Laszłowi. Roosevelt nie tylko poddał lustracji prawie wszystkich funkcjonariuszy Wydziału, skłaniając tym wielu do odejścia, lecz także programowo werbował dość zaskakujących rekrutów, chcąc przełamać wpływy, jakie miała w policji klika Thomasa Byrnese'a i takich szefów komisariatów, jak „Pałkarz” Williams czy „Duży Bili” Devery. Szczególnie lubił zatrudniać Żydów, których uważał za ludzi wyjątkowo uczciwych i odważnych i nazywał „machabejskimi bojownikami sprawiedliwości”. Bracia Isaacsonowie niewątpliwie uosabiali tę strategię Theodore'a, choć „bojownicy” nie było pierwszym słowem, które przychodziło do głowy na ich widok.

– Rozumiem – zaryzykował Lucius, wyraźnie chcąc odejść od tematu ich życiorysów – że potrzebuje pan pomocy przy ekshumacji?

Kreizler przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego sądzi pan, że to ekshumacja?

– Zapach, doktorze. Jest bardzo charakterystyczny. A ułożenie ciał wskazuje na formalny pochówek.

Kreizler, zadowolony, trochę się rozchmurzył.

– Tak, sierżancie śledczy, pańskie domysły są słuszne.

Podszedł do stołów i ściągnął płachty, uzupełniając zapach o dość nieprzyjemny widok dwóch małych szkieletów. Jeden ubrany był w zetłały czarny garnitur, drugi w równie zniszczoną białą sukienkę. Niektóre kości trzymały się jeszcze razem, lecz większość poodpadała, a po całych zwłokach walały się włosy, paznokcie i grudki ziemi. Zebrałem się w sobie, aby nie odwrócić wzroku: takie rzeczy miały być przez jakiś czas moim chlebem powszednim, i pomyślałem, że powinienem zacząć się przyzwyczajać.

Twarze Isaacsonów wyrażały jedynie fascynację. Słuchając Laszła, zbliżyli się do stołów.

– Rodzeństwo, Benjamin i Sofia Zweig. Zamordowani. Ciała znaleziono...

– W zbiorniku na wodę – dokończył Marcus. – Trzy lata temu. Oficjalnie sprawa jest nadal otwarta.

To także spodobało się Kreizlerowi.

– Tutaj – ciągnął, wskazując biały stolik w kącie, zasypany wycinkami z gazet i dokumentami – znajdziecie wszystkie materiały dotyczące tego przypadku, jakie udało mi się zebrać. Chciałbym, abyście je przejrzeni i zbadali ciała. Cała sprawa jest dość pilna, więc mogę dać wam na to tylko popołudnie i wieczór. Będę w Delmonico o jedenastej trzydzieści. Spotkajmy się tam i z przyjemnością nagrodzę wasze odkrycia wyśmienitą kolacją.

Zapał Marcusa Isaacsona ostudziła na chwilę ciekawość.

– Kolacja nie jest niezbędna, panie doktorze, jeśli to sprawa oficjalna. Niemniej dziękujemy za zaproszenie.

Laszlo skinął głową z lekkim uśmiechem, rozbawiony tą próbą pociągnięcia go za język.

– A więc do zobaczenia o jedenastej trzydzieści.

Isaacsonowie natychmiast zabrali się do dokumentów i ledwo coś odmruknęli na słowa pożegnania. Wróciliśmy na górę; zabrałem płaszcz z gabinetu przyjęć. Laszlo wyglądał na zaintrygowanego.

– Bez wątpienia są dziwacznik – powiedział, odprowadzając mnie do wyjścia. – Ale coś mi mówi, że znają się na robocie. Zobaczymy. À propos, Moore, czy masz czyste wieczorowe ubranie?

– Na dzisiaj? – spytałem, wkładając czapkę i rękawiczki.

– Idziemy do opery – wyjaśnił. – Kandydat Roosevelta na łącznika ma się z nami spotkać o siódmej w moim domu.

– Kto to jest?

– Nie mam pojęcia – odparł Laszlo, wzruszając ramionami. – Ale ktokolwiek by to był, będzie pełnił bardzo ważną rolę. Pomyślałem, że weźmiemy go do opery i zobaczymy, jak zareaguje. To dobry sprawdzian charakteru. Skorzystamy z mojej łoży w Metropolitan. Maurel śpiewa partię Rigoletta. Coś w sam raz dla naszych celów.

– Z pewnością – potwierdziłem wesoło. – A skoro mowa o celach, kto śpiewa partię córki garbusa?

Kreizler odwrócił twarz z wyrazem łagodnego niesmaku.

– Dobry Boże, Moore, chciałbym kiedyś porozmawiać z tobą o twoim dzieciństwie. Ta niepohamowana mania seksualna...

– Spytałem tylko, kto śpiewa partię córki garbusa!

– Dobrze, już dobrze! Tak, Frances Saville, ta z nogami po pachy, jak to mówisz!

– W takim razie – stwierdziłem, zbiegając w podskokach ze schodów – zdecydowanie mam ubranie.

Jeżeli o mnie chodziło, moglibyście wziąć Nellie Melbę, Lillian Nordicę oraz wszystkie inne średnioatrakcyjne kobiety będące wybitnymi śpiewaczkami i, jak powiedziałaby Stevie Taggert, iść się gonić. Dajcie mi naprawdę piękną dziewczynę z przyzwoitym głosem, a jestem pilnym słuchaczem.

– Będę u ciebie o siódmej.

– Wspaniale – odparł Kreizler, marszcząc czoło. – Czekam z niecierpliwością. Cyrusie! Zawieź pana Moore’a na Washington Square.

Szybka powrotna jazda przez miasto upłynęła mi na rozmyśleniach, jakie to niezwykle – ale przyjemne – rozpocząć śledztwo w sprawie morderstwa od wizyty w operze i kolacji w Delmonico. Niestety, okazało się, że te rozrywki nie będą rzeczonym początkiem; kiedy bowiem dotarłem do domu, zastałem na progu bardzo zdenerwowaną Sarę Howard.

ROZDZIAŁ 8

Sara nie zwróciła uwagi na moje pozdrowienie.

– To powóz doktora Kreizlera, prawda? – powiedziała. – I jego człowiek. Możemy ich wziąć?

– Dokąd? – spytałem, podnosząc wzrok; moja babka wyglądała niespokojnie przez okno saloniku. – Co się dzieje, Saro?

– Sierżant Connor i drugi wywiadowca, Casey, poszli dziś rano porozmawiać z rodzicami Santorellego. Po powrocie oznajmili, że nic nie wskórali, ale na mankietach koszuli Connora była krew. Coś się stało, wiem to, i chcę się dowiedzieć co.

Nie patrzyła na mnie, pewnie dlatego, że wiedziała, jaka będzie moja reakcja.

– Nie sądzisz, że to trochę wykracza poza obowiązki sekretarki? – zapytałem.

Sara nic nie odrzekła, ale na jej twarzy odmalowało się tak bolesne rozczarowanie, że mogłem tylko otworzyć drzwi kolaski.

– Co ty na to, Cyrusie? – spytałem. – Masz coś przeciwko temu, żeby gdzieś zawieźć pannę Howard i mnie?

Cyrus wzruszył ramionami.

– Nie, sir. Pod warunkiem, że wrócę do Instytutu przed końcem godzin przyjęć.

– Wrócisz na pewno. Wskakuj, Saro, i poznaj pana Cyrusa Montrose’a.

Wyraz twarzy Sary zmienił się momentalnie z chmurnego na rozradowany – metamorfoza całkowicie dla niej typowa.

– Są chwile, John – oświadczyła, wsiadając do powozu – kiedy myślę, że mogłam się co do ciebie mylić przez wszystkie te lata.

Skwapliwie uściśnęła Cyrusowi dłoń, wymieniła jakiś numer na Mott Street i usiadła, a gdy do niej dołączyłem, przykryła nam nogi kocem. Kiedy powóz ruszył, z przejęciem klasnęła w ręce.

Niewiele kobiet zapuściłoby się w jedną z najgorszych części Lower East Side z takim entuzjazmem. Jednak awanturniczego ducha Sary nigdy nie powściągała rozważa. Ponadto zetknęła się już z tą dzielnicą: kiedy skończyła college, jej ojciec stwierdził, że powinna uzupełnić edukację, poznając życie w miejscach różnych od Rhinebeck (gdzie znajdowała się wiejska posiadłość Howardów) i Gramercy Park. Sara przywdziała więc wykrochmaloną białą bluzkę, skromną czarną spódnicę oraz dość absurdalny słomkowy kapelusz i spędziła lato, pomagając pielęgniarce domowej w Dziesiątym Obwodzie. Przez te miesiące widziała dużo – właściwie większość tego, co Lower East Side ma do pokazania. Było to jednak nic w porównaniu z przeżyciami, jakie czekały nas tego dnia.

Rodzina Santorellich mieszkała w oficynie czynszowej kamienicy kilka ulic poniżej Canal Street. Budowy oficyn zabroniono w 1894 roku, ale te, które już istniały, mogły stać dalej nawet bez remontu. Dość powiedzieć, że jeśli frontowe czynszówki były ciemne, pełne chorób i przerażające, mniejsze budynki na tyłach również, nieporównanie bardziej. Sądząc po wyglądzie domu, pod którym się zatrzymaliśmy, czekały nas typowe wrażenia. Duże beczki z popiołem i odpadkami jak zwykle stały przy zalanych moczem schodkach, na których zebrała się grupa brudnych, odzianych w łachmany mężczyzn, nierozróżnialnych dla osoby postronnej. Pili i śmiali się, lecz na widok kolaski i Cyrusa raptownie umilkli. Wysiedliśmy z Sarą na chodnik.

– Nie odchodź za daleko, Cyrusie – powiedziałem, starając się nie zdradzić tonem zdenerwowania.

– Dobrze, sir – odparł i mocniej ścisnął trzonek bata. Drugą ręką sięgnął do kieszeni płaszcza. – Może powinien pan to wziąć.

Wyjął mosiężny kastet.

– Hmm – mruknąłem, przyglądając się broni. – Nie sądzę, żeby to było konieczne.

– Ale zaraz zrezygnowałem z pozy: – Zresztą nie wiedziałbym, jak go użyć.

– Pospiesz się, John – zawołała Sara i ruszyłem za nią.

– Halo! – Jeden ze stojących na schodkach mężczyzn złapał mnie za ramię. – Wiesz pan, że masz woźnicę czarnucha?

– Naprawdę? – odrzekłem, prowadząc Sarę przez niemal widzialny smród, który otaczał grupkę.

– Jest czarny jak as pik! – poświadczył drugi, wyraźnie zdumiony.

– Niesamowite – stwierdziłem.

Sara weszła do środka, ale nim zdążyłem podążyć za nią, pierwszy mężczyzna znów mnie zatrzymał.

– Nie jesteś pan następnym gliną, co? – zapytał groźnie.

– Boże broń – odparłem. – Nienawidzę glin.

Mężczyzna bez słowa skinął głową, z czego wywnioskowałem, że wolno mi przejść.

Aby się dostać do oficyny, trzeba było pokonać ciemną jak grób sień kamienicy frontowej: zawsze niemiłe doświadczenie. Szliśmy po omacku, dotykając brudnych ścian, daremnie usiłując oswoić oczy z brakiem światła. Drgnąłem, kiedy idąca przodem Sara potknęła się o coś; drgnąłem jeszcze gwałtowniej, kiedy to coś się rozpląkało.

– Mój Boże, John – powiedziała Sara po chwili. – To niemowlę.

Nadal nic nie widziałem, lecz gdy podszedłem bliżej, wystarczył mi zapach – to było niemowlę i biedne stworzenie najwyraźniej leżało we własnych ekskrementach.

– Ktoś musi się nim zająć – stwierdziła Sara. Pomyślałem o mężczyznach na schodkach i spojrzałem do tyłu. Ich sylwetki odcinały się od jasnego tła padającego śniegu. Obserwowali nas, machając kijami i śmiejąc się co jakiś czas w bardzo nieprzyjemny sposób. Nie można było liczyć na pomoc z tej strony, więc zacząłem stukać do drzwi mieszkań. W końcu któreś się otworzyły i pociągnąłem Sarę do środka.

W mieszkaniu zastaliśmy starego mężczyznę i kobietę, szmacciarzy, którzy zgodzili się wziąć niemowlę dopiero wtedy, gdy zaproponowałem im pół dolara. Powiedzieli, że rodzice to małżeństwo z naprzeciwka, które, jak co dzień i co noc, zażywa morfinę i pije w speluncie za rogiem. Stary zapewnił nas, że dadzą dziecku coś do jedzenia i umyją je, na co Sara dołożyła mu jeszcze dolara. Żadne z nas nie miało złudzeń co do tego, ile przyjdzie maleństwu z nakarmienia i umycia na dłuższą metę, ale była to jedna z tych sytuacji, aż nazbyt częstych w Nowym Jorku, gdy trzeba wybrać mniejsze zło.

W końcu dotarliśmy do tylnego wyjścia. Na podwórku między budynkiem frontowym i oficyną także stały beczki i kubły, woniejące nie do opisanania. Sara zakryła nos i usta chusteczką i poradziła mi, bym zrobił to samo; tak przebiegliśmy do sieni oficyny. Na parterze były cztery lokale, w których zdawało się mieszkać tysiąc osób. Usiłowałem rozpoznać wszystkie języki, ale zgubiłem się gdzieś przy ósmym. Na schodach koczowała cuchnąca grupka Niemców z dzbankami piwa; rozstąpili się niechętnie, by nas przepuścić. Mimo półmroku dostrzegłem, że stopnie pokrywa niemal całowa warstwa jakiejś wyjątkowo lepkiej substancji, której wolałem nie identyfikować. Niemcom najwyraźniej nie przeszkadzała.

Mieszkanie Santorellich znajdowało się na pierwszym piętrze na tyłach: było najciemniejsze w całym budynku. Gdy zapukaliśmy do drzwi, otworzyła nam niska, przeraźliwie chuda kobieta z zapadłymi oczami, mówiąca dialektem sycylijskim. Mój włoski wystarczał do opery, ale Sara znała ten język dobrze – znowu, dzięki swej praktyce pielęgniarskiej – i porozumiała się bez większego trudu. Pani Santorelli ani trochę się nie spłoszyła, widząc Sarę (przeciwnie, jakby się jej spodziewała), ale wyraziła wielkie zaniepokojenie moją obecnością i spytała, czy jestem policjantem albo dziennikarzem. Trzeba było coś szybko zmyślić, więc powiedziałem, że jestem asystentem Sary. Pani Santorelli zrobiła zdziwioną minę, ale w końcu nas wpuściła.

– Saro – odezwałem się, gdy weszliśmy – czy znasz tę kobietę?

– Nie – odparła – ale wydaje się, że ona mnie zna. Dziwne.

Mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń pozbawionych prawdziwych okien, jedynie z małymi otworami, które wybito niedawno w murze, stosując się do nowych przepisów o wentylacji. Santorelli wynajęli jeden pokój innym Sycylijczykom, co oznaczało, że sześć osób – rodzice i czworo rodzeństwa Georgia – zajmuje teraz powierzchnię mniej więcej dziewięć na piętnaście stóp. Pokryte sadzą ściany były nagie, a funkcję urządzeń sanitarnych pełniły dwa duże kubły ustawione w rogach pokoju. Rodzina miała też piecyk na naftę, najtańszego typu, który bardzo często kładł kres istnieniu takich domów.

W jednym kącie na starym, poplamionym materacu, owinięty w takie koce, jakie mieli, leżał powód wielkiego zdenerwowania pani Santorelli: jej mąż. Twarz miał pokaleczoną, spuchniętą i w siniakach, a czoło złane potem. Obok zobaczyłem zakrwawioną szmatę i, zupełnie tu niepasujący, gruby plik banknotów, na oko kilkaset dolarów. Pani Santorelli podniosła pieniądze, wepchnęła je Sarze i podprowadziła ją do męża, zalewając się łzami.

Okazało się, że pani Santorelli bierze Sarę za pielęgniarkę. Zaledwie przed godziną wysłała dzieci, aby jakąś sprowadziły. Niewiele myśląc, Sara usiadła i zaczęła badać Santorellego. Szybko odkryła, że ma złamaną rękę i cały tors w ranach.

– John – powiedziała stanowczym tonem – poślij Cyrusa po bandażę, środek dezynfekujący i morfinę. I niech przyniesie też czystą deszczułkę, która się nada na łubki.

W jednej sekundzie, jak mi się zdawało, wypadłem z mieszkania, przedarłem się przez Niemców, podwórko oraz sień i zbiegłem po schodkach na ulicę. Wykrzyczałem polecenie Cyrusowi, który natychmiast zaciął konia, ale gdy ruszyłem z powrotem, jeden z okupujących schodki mężczyzn położył mi dłoń na piersi.

– Chwileczkę – powiedział. – Na co to wszystko?

– Dla pana Santorellego – odparłem. – Jest strasznie poraniony.

Mężczyzna splunął na chodnik.

– Cholerne gliny. Nienawidzę tych cholernych makaroniarzy, ale mówię ci pan, bardziej nienawidzę glin!

Ten refren znów zabrzmiał jak sygnał, że mogę przejść. Po powrocie do mieszkania stwierdziłem, że Sara zorganizowała gorącą wodę i zaczęła przemywać rany Santorellego. Jego żona wciąż trąkotała, machając rękami i wybuchając co jakiś czas płaczem.

– Przyszło tu sześciu ludzi, John – powiedziała Sara, posłuchawszy jej kilka minut.

– Sześciu? – zdziwiłem się. – Mówiłaś chyba, że dwóch. Sara ruchem głowy wskazała postanie.

– Chodź tu i pomóż mi, inaczej żona zacznie coś podejrzewać.

Usiadłszy, przekonałem się, że trudno orzec, co cuchnie bardziej, materac czy Santorelli. Sarze najwyraźniej to nie przeszkadzało.

– Na pewno byli tu Connor i Casey – ciągnęła. – A z nimi dwaj inni mężczyźni i dwaj księża.

– Księża? – powtórzyłem, biorąc gorący kompres. – Co, do licha...

– Jeden katolicki, drugi nie. Żona nie wie jaki. Księża mieli pieniądze. Powiedzieli Santorellim, żeby z części opłacili synowi przyzwoity pogrzeb. Reszta była łapówką, niewątpliwie za milczenie. Przestrzegli ich, żeby nie pozwolili nikomu na ekshumację zwłok Georgia, nawet policji, ani nie rozmawiali z nikim o sprawie, zwłaszcza z dziennikarzami.

– Księża? – powtórzyłem raz jeszcze, przemywając bez większego entuzjazmu jedną z ran Santorellego. – Jak wyglądali?

Sara zadała pytanie i przetłumaczyła mi odpowiedź:

– Jeden niski, z siwymi bokobrodami, to ten katolicki, a drugi chudy, w okularach.

– Dlaczego ta sprawa miałaby interesować księży? – zdumiałem się. – I dlaczego chcieli odsunąć od niej policję? Mówisz, że Connor i Casey byli przy tej rozmowie?

– Najwyraźniej.

– Więc cokolwiek się dzieje, są w to zamieszani. Theodore się ucieszy, stawiam na kolejne zwolnienia z Sekcji Śledczej. Ale kim byli dwaj pozostali mężczyźni?

Sara znów zadała pytanie pani Santorelli, ale nie zrozumiała odpowiedzi. Spytała jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

– Chyba nie znam tego dialektu tak dobrze, jak sądziłam – powiedziała. – Raz mówi, że nie byli policjantami, raz, że byli. Nie...

Umilkła i wszyscy troje odwróciliśmy głowy, bo rozległo się głośnie pukanie. Pani Santorelli struchlała; nie miałem ochoty stawać w pierwszej linii, ale ponagliła mnie Sara:

– Och, otwórz, John, nie bądź śmieszny. To pewnie Cyrus. Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. W korytarzu stał jeden z mężczyzn ze schodków. Trzymał jakąś paczkę.

– Pana lekarstwa – powiedział, szczerząc zęby. – Nie wpuszczamy do tego domu czarnuchów.

– Ach tak – odparłem, biorąc paczkę. – Dziękuję. Podawszy paczkę Sarze, usiadłem z powrotem na łóżku.

Santorelli odzyskał tymczasem przytomność, więc Sara zaaplikowała mu morfinę: miała zamiar nastawić rękę. Złamanie nie było ciężkie, powiedziała, niemniej gdy kość wskoczyła na miejsce, rozległ się dość nieprzyjemny trzask. Oszołomiony i znieczulony Santorelli nic chyba jednak nie poczuł, tylko jego żona wydała cichy jęk i wezwała na pomoc jakichś świętych. Zacząłem przemywać środkiem dezynfekującym inne rany, a Sara kontynuowała rozmowę z panią Santorelli.

– Wygląda na to – powiedziała po jakimś czasie – że Santorelli bardzo się zdenerwował. Rzucił księżom pieniądze w twarz i zażądał, by policja schwyciła mordercę jego syna. Wtedy księża wyszli i...

– Tak – odparłem. – I...

Świetnie zdawałem sobie sprawę, jak irlandzcy policjanci postępują na ogół z odmawiającymi współpracy obywatelami, którzy nie znają angielskiego. Dobry przykład ich metod miałem przed sobą.

– To wszystko jest takie dziwne – westchnęła Sara, potrząsając głową, i zaczęła opatrywać gazikami najgorsze skaleczenia. – Santorelli niemal dał się zabić, a nie widział Georgia od czterech lat. Chłopak mieszkał na ulicy.

Widząc, jak Sara pielęgnuje jej męża, pani Santorelli nabrała do niej zaufania i kiedy już zaczęła opowiadać historię syna, trudno byłoby jej przerwać.

Jako mały chłopiec Giorgio był nieśmiały, lecz na tyle bystry i pilny, że poszedł do szkoły powszechnej przy Hester Street i zbierał dobre stopnie. Ale kiedy miał około siedmiu lat, pojawiły się kłopoty. Starsi koledzy zaczęli zmuszać Georgia do aktów seksualnych, których charakteru pani Santorelli nie chciała z początku sprecyzować. Sara przycisnęła ją jednak, czując, że jest to ważna informacja, i dowiedzieliśmy się, że chodziło o seks analny i oralny. Jakiś nauczyciel odkrył te praktyki i zawiadomił rodziców. Ponieważ u południowców pojęcie męskości nie jest zbyt szerokie ani liberalne, ojciec Georgia omal nie oszalał z gniewu i zaczął regularnie bić chłopca. Pani Santorelli zademonstrowała, jak jej mąż przywiązywał Georgia za nadgarstki do drzwi i chłostał go przez pośladki szerokim pasem, który również nam pokazała. Było to okrutne narzędzie i w rękach Santorellego czyniło ponoć taką krzywdę, że Giorgio opuszczał czasem szkołę, ponieważ nie mógł siedzieć.

Co dziwne, zamiast ulec, Giorgio z każdą chłostą stawał się bardziej niepokorny. Po kilku miesiącach brania cięgów zaczął spędzać noce poza domem i całkiem rzucił szkołę. Pewnego dnia rodzice spotkali go na ulicy na zachód od Washington Square, wymalowanego jak prostytutka i zaczepiającego mężczyzn. Santorelli podszedł doń i zagroził, że jeśli kiedykolwiek wróci do domu, zabije go. Giorgio odpowiedział gniewnymi wyzwiskami i ojciec szykował się już do bicia, gdy jakiś mężczyzna – prawdopodobnie rajfur Georgia – wszedł między nich i poradził Santorellim, by odeszli. Wtedy widzieli syna po raz ostatni do czasu, gdy musieli zidentyfikować jego okaleczone zwłoki w kostnicy.

Opowieść ta nasunęła mi wiele pytań i widziałem, że Sarze również. Nie zdążyliśmy ich jednak zadać. Kiedy na powrót zawijaliśmy Santorellego w przetarte, brudne koce, rozległo się walenie w drzwi; myśląc, że to znów mężczyźni ze schodków, otworzyłem. W jednej chwili do mieszkania wdarło się dwóch potężnych, wąsatych zbirów w garniturach i melonikach. Na ich widok pani Santorelli dostała hysterii.

– A wy, do diabła, to kto? – zapytał jeden z nich.

Sara dzielnie skłamała, że jest pielęgniarką, ale wyjaśnienie, że jej asystuję, w które zrozpaczona, nieznająca angielskiego kobieta uwierzyła bez trudu, nie przekonało tych dwóch.

– Asystent, co? – powiedział zbir i obaj ruszyli ku mnie. Sara i ja zaczęliśmy się powoli wycofywać w stronę drzwi. – Jak na pielęgniarkę i jej asystenta macie całkiem niezły powóz!

– Cenię sobie pańskie zdanie – odparłem z uśmiechem, po czym złapałem Sarę za rękę i wylecieliśmy na schody.

Nigdy w życiu tak się nie cieszyłem, że dziewczyna jest wysportowana, ponieważ mimo spódnicy biegła szybciej niż nasi prześladowcy. Wiele nam to jednak nie pomogło, bo gdy wpadliśmy do sieni frontowego budynku, okazało się, że mężczyźni ze schodków blokują wyjście. Zaczęli iść powoli w naszą stronę, złowieszczo uderzając kijami o dłonie.

– John – odezwała się Sara – czy oni chcą nas złapać w pułapkę?

Pamiętam, że pomyślałem, jak piekielnie spokojny ma głos, i że bardzo mnie to zirykowało.

– Oczywiście, że chcą nas złapać w pułapkę, kobieto! – odparłem, ciężko dysząc.
– Przez tę twoją zabawę w detektywa zostaniemy pobici na śmierć! Cyrusie! – ryknąłem w stronę frontowych drzwi, zwinąwszy dłonie w trąbkę. – Cyrusie! – Zniechęcony, opuściłem ręce. – Gdzie, do diabła, jest ten człowiek?

Sara tylko mocniej ścisnęła torebkę, a kiedy dwóch zbirów w melonikach stanęło u wylotu sieni i nasz los wydał się przesądzony, sięgnęła do niej.

– Bez obawy, John – powiedziała z pewnością siebie. – Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

I wyjęła rewolwer Colta kaliber .45, model wojskowy, z czteroipółcalową lufą i kolbą wyłożoną macicą perłową. Sara była prawdziwą entuzjastką broni palnej.

– O Boże – jęknąłem, jeszcze bardziej przestraszony. – Saro, nie możesz strzelać na oślep w ciemnym korytarzu, nie wiesz, kogo trafisz...

– Przychodzi ci do głowy lepszy pomysł? – spytała, rozglądając się wokół, świadoma, że mam rację, i wreszcie zaniepokojona.

– Może...

Ale było już za późno: mężczyźni ze schodków z wrzaskiem rzucili się ku nam. Zasłoniłem Sarę własnym ciałem, modląc się, by podczas ataku nie postrzeliła mnie w brzuch. Ku mojemu osłupieniu, atak nie nastąpił. Mężczyźni z kijami roztrącili nas wprawdzie, ale tylko po to, by przejść dalej, i wciąż wrzeszcząc, spadli na zbirów. Zważywszy stosunek liczebny, walka nie mogła trwać długo. Przez kilka sekund słyszeliśmy krzyki, stęknienia i odgłosy szarpaniny, po czym się wypełniło ciężkie sapanie i jęki. Wybiegliśmy z Sarą przed dom i dopadliśmy kolaski, przy której czekał Cyrus.

– Cyrusie! – zawołałem. – Czy zdajesz sobie sprawę, że mogliśmy tam zginąć?

– Nie wydawało mi się to zbyt prawdopodobne, panie Moore – odparł spokojnie Cyrus. – Zważywszy, co ci ludzie mówili, nim weszli do środka.

– A co mówili, jeśli wolno spytać? – indagowałem, wciąż nieusatysfakcjonowany jego postawą.

Zanim zdążył odpowiedzieć, ciała dwóch zbirów wyleciały z bramy kamienicy i ciężko walnęły na zaśnieżony chodnik. Po chwili dołączyły do nich meloniki. Obaj mężczyźni byli nieprzytomni i w takim stanie, że pan Santorelli wyglądałby przy nich jak okaz zdrowia. Nasi przyjaciele z kijami wyszli przed dom, prezentując triumfalne miny, choć kilku z nich również nieźle oberwało. Ten, który rozmawiał ze mną wcześniej, popatrzył na nas, wydychając duże, lodowate obłoczki.

– Mogę nienawidzić czarnuchów – powiedział, szczerząc zęby. – Ale, do cholery, bardziej nienawidzę glin!

– To– wymamrotał Cyrus – to właśnie mówili. Spojrzałem na rozciągniętych na ziemi zbirów.

– Są policjantami? – zapytałem mężczyznę ze schodków.

– Byli – odparł, podchodząc do mnie. – To dawni posterunkowi z naszej dzielnicy. Mają niezły tupet, że tu wrócili.

Skinąłem głową, patrząc na leżące bez ruchu ciała, i gestem wyraziłem mężczyźnie wdzięczność.

– Panie szanowny – powiedział, wskazując na usta – po takiej robocie chce się człowiekowi pić.

Rzuciłem mu parę monet. Nie złapał ich i jego koledzy zaczęli je na wrywki zbierać. Wkrótce wywiązała się między nimi bójka. Wsiadliśmy z Sarą do powozu i po kilku minutach Cyrus wywiózł nas na Broadway, kierując się w stronę centrum.

Teraz, gdy już nic nam nie groziło, Sara wpadła w szampański humor i wręcz podskakiwała na siedzeniu, wspominając z entuzjazmem niebezpieczne momenty naszej eskapady. Uśmiechałem się i kiwałem głową, zadowolony, że miała swoją wymarzoną „akcję”, ale myślałem o czymś innym. Powtarzałem sobie opowieść pani Santorelli, próbując ją przeanalizować tak, jak zrobiłby to Kreizler. W historii Georgia Santorellego było coś, co kojarzyło mi się z relacją Laszla o rodzeństwie Zweigów; coś bardzo ważnego, ale nie potrafiłem sprecyzować co – aż nagle mnie oświeciło. Zachowanie. Kreizler opisał dwoje małych nicponi, utrapienie rodziny – i właśnie usłyszałem opowieść o kolejnym takim dziecku. Cała trójka, według hipotezy Kreizlera, zginęła z ręki tego samego człowieka. Czy to jawne podobieństwo charakterów było jedną z przyczyn ich śmierci, czy zwykłym zbiegiem okoliczności? Prędzej to drugie. Jakoś mi się jednak nie wydawało, że tak orzekłby Kreizler...

Zatopiony w myślach, nie dosłyszałem pewnego zaskakującego pytania Sary; kiedy je powtórzyła, niedorzeczność pomysłu natychmiast stała się dla mnie oczywista. Ale dużo tego dnia przeszliśmy i nie miałem serca jej rozczarować.

ROZDZIAŁ 9

Dotarłem do domu Kreizlera przy Wschodniej Siedemnastej Ulicy 283 kilka minut przed czasem, we fraku i pelerynie, niezupełnie przekonany do spisku, który zawiązałem z Sarą... i który miał wkrótce wyjść na jaw. Świeży śnieg przykrywał grubą, miłą pierzynką żelazne ogrodzenie i bezlistne krzewy parku Stuyvesanta naprzeciw domu Laszla. Otworzyłem małą furtkę, przeciąłem równie mały dziedziniec, podszedłem do drzwi i delikatnie zastukałem mosiężną kołatką. Balkonowe okna salonu na pierwszym piętrze były lekko uchylone i słyszałem, jak Cyrus wywodzi przy fortepianie „Pari siamo” z *Rigoletta* – Kreizler rozgrzewał sobie uszy na wieczór.

Drzwi się otworzyły i stanąłem twarzą w twarz z płochliwą postacią Mary Palmer, pokojówki i gospodyni Laszla. Mary zamykała listę dawnych pacjentów, których Kreizler przyjął na służbę, i była kolejną osobą, przy której goście znający jej historię czuli się trochę nieswojo. Pięknie zbudowana, o urzekających rysach i błękitnych oczach, Mary od urodzenia uchodziła za niedorozwiniętą. Mówiła bełkotliwie, składając sylaby i słowa w niezrozumiałe konstrukcje, więc nie nauczono jej czytać ani pisać. Matka i ojciec, szanowany kierownik szkoły na Brooklynie, wdrożyli córkę do prostych prac domowych i wydawało się, że należycie o nią dbają, ale pewnego dnia w 1884 roku, gdy Mary miała siedemnaście lat, pod nieobecność reszty rodziny przykuła ojca do mosiężnego łóżka i podpaliła dom. Ojciec umarł straszną śmiercią, a ponieważ czyn Mary nie dał się w żaden sposób wytłumaczyć, została zamknięta w zakładzie dla obłąkanych na Blackwells Island.

Tam odkrył Mary Kreizler, zaskoczony faktem, że nie występują u niej praktycznie żadne objawy *dementia praecox*, jedynej przypadłości, która jego zdaniem jest prawdziwą chorobą psychiczną. (Nazwę *dementia* wypiera teraz – Laszlo mówi, że słusznie – ukuty przez doktora Eugena Bleulera termin „schizofrenia”; jeśli dobrze rozumiem, oznacza on patologiczną niezdolność do nawiązania kontaktu z otoczeniem.) Kreizler spróbował porozumieć się z dziewczyną i szybko stwierdził, że w rzeczywistości cierpi ona na klasyczną afazję, skomplikowaną przez agrafię: rozumie słowa i potrafi myśleć całymi zdaniami, ale te części mózgu, które kontrolują mowę i zdolność pisania, są u niej poważnie uszkodzone. Jak większość takich nieszczęśników, Mary miała bolesną świadomość swych problemów, ale nie była w stanie tego (ani niczego innego) wytłumaczyć ludziom. Kreizler komunikował się z nią, zadając pytania, na które mogła odpowiadać krótkimi zdaniami – często po prostu „tak” lub „nie” – i nauczył dziewczynę podstaw pisania. Tygodnie pracy przyniosły mu nowe, wstrząsające odkrycie: przez całe lata przed zabójstwem ojciec wykorzystywał Mary seksualnie, ale oczywiście biedaczka nie mogła się nikomu poskarżyć.

Kreizler wystąpił o rewizję sprawy i w końcu Mary odzyskała wolność. Potem udało jej się dać mu do zrozumienia, że byłaby idealną służącą. Wiedząc, że dziewczyna ma niewielkie szanse na samodzielne życie, Kreizler ją przyjął, i teraz nie tylko prowadziła mu gospodarstwo, ale wręcz zazdrośnie go strzegła. Obecność Mary i Cyrusa Montrose’a, i Stewego Taggerta warzyła mi humor, ilekroć odwiedzałem ten elegancki dom. Mimo kolekcji dzieł sztuki dawnej i współczesnej, wspaniałych francuskich mebli i fortepianu, z którego Cyrus niezmiennie wydobywał piękną muzykę, nie mogłem się pozbyć świadomości, że otaczają mnie złodzieje i mordercy, którzy mają wprawdzie bardzo dobre wytłumaczenie dla swoich czynów, ale nie dadzą sobie więcej w kaszę dmuchać.

– Witaj, Mary – powiedziałem, wręczając jej pelerynę. W odpowiedzi dygnęła lekko na jedno kolano, ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Przyszedłem za wcześniej. Czy doktor Kreizler jest już gotów?

– Nie, sir – odparła z wysiłkiem.

Jak zawsze, gdy udało jej się przemówić, na twarzy Mary odmalowała się jednocześnie ulga i frustracja. Ulga, że coś powiedziała, frustracja, że tak mało. Wystającą z błękitnej bufki dłonią wskazała mi schody i odwróciła się, by powiesić pelerynę na wieszaku.

– Cóż, w takim razie napiję się czegoś i posłucham znakomitego śpiewu Cyrusa – stwierdziłem.

Pokonałem schody, biorąc po dwa stopnie naraz, choć strój wieczorowy nieco krępował mi ruchy, i wszedłem do salonu. Cyrus skinął mi głową, nie przerywając śpiewania. Niespokojnie sięgnąłem do srebrnej szkatułki, stojącej na marmurowym gzymsie bardzo gorącego kominka. Wziąłem papierosa z aromatycznej mieszanki wirginijskiego i rosyjskiego tytoniu, wyjąłem zapałkę z mniejszego srebrnego pudełeczka i zapaliłem.

Kreizler zbiegł ze schodów, odziany w nienagannie skrojoną białą koszulę i frak.

– Nie widać człowieka Roosevelta? – zapytał, gdy Mary wniosła srebrną tacę.

Były na niej cztery uncje czarnego kawioru, cieniutkie grzanki, butelka zmrożonej wódki i kilka małych, oszronionych kieliszków: godny pochwały zwyczaj, który Kreizler przywiózł z podróży do Sankt Petersburga.

– Jeszcze nie – odparłem i zgasilem papierosa, by zaatakować tacę.

– Będę wymagał od wszystkich punktualności – oznajmił Laszlo, spoglądając na zegarek. – Jeśli łącznik nie...

W tym momencie zastukała kołatka u drzwi i z dołu dobiegły nas odgłosy czyjegoś wejścia. Kreizler skinął głową.

– To dobry znak. Cyrusie, coś trochę weselszego, może „Di provenza ilmar”.

Cyrus wypełnił polecenie, intonując cicho delikatną melodię Verdiego. Nerwowo przełknąłem kawior i znów pojawiła się Mary. Minę miała niepewną, wręcz lekko wzburzoną, i nie udało jej się zapowiedzieć gościa. Złożywszy kolejny skromny dyg, uciekła, a z ciemnej klatki schodowej do salonu wkroczyła... Sara.

– Dobry wieczór, doktorze – powiedziała, szeleszcząc fałdami szmaragdowo-modrej sukni.

Kreizler był nieco zbity z tropu.

– Panno Howard – odparł z zachwytem w oczach, ale z zakłopotaniem w głosie. – Co za miła niespodzianka. Przyprowadziła pani naszego łącznika?

Zapadła długa cisza. Kreizler przeniósł wzrok z Sary na mnie i z powrotem na Sarę. W końcu, zachowując ten sam wyraz twarzy, pokiwał głową.

– Aha. Pani jest łącznikiem, zgadza się?

Sara na chwilę straciła pewność siebie.

– Nie chcę, aby pan myślał, że po prostu męczyłam komisarza, aż się zgodził. Dokładnie to omówiliśmy.

– Byłem przy tym – wtrąciłem szybko i trochę nerwowo. – A jak ci opowiemy o naszym popołudniu, nie będziesz miał wątpliwości, że Sara jest właściwą osobą do tej roli.

– To naprawdę ma sens praktyczny, doktorze – dodała Sara. – Nikt nie zwraca uwagi, co robię na Mulberry Street, a moja nieobecność tym bardziej nie będzie wzbudzać podejrzeń. Niewielu jest w Głównej ludzi, którzy mogą to o sobie powiedzieć. Ponadto mam przyzwoitą wiedzę kryminologiczną i dostęp do osób, które mogłyby nie chcieć rozmawiać z panem czy z Johnem, jak to dzisiaj widzieliśmy.

– Zdaje się, że sporo mnie ominęło – powiedział Kreizler nieprzeniknionym tonem.

– I wreszcie – ciągnęła Sara, lekko zdeprimowana chłodem Laszla – gdyby były jakieś kłopoty... – Z dużej mufki, którą miała na lewej ręce, wyjęła szybko rewolwer Derringera i wycelowała go w kominek. – Przekona się pan, że strzelam lepiej niż John.

Szybko odsunąłem się od broni, na co Kreizler zareagował chichotem; Sara najwyraźniej pomyślała, że śmieje się z niej, i dumnie podniosła głowę.

– Zapewniam pana, doktorze, mówię zupełnie poważnie. Mój ojciec był znakomitym strzelcem. Ale matka niedomagала na zdrowiu i nie miałam rodzeństwa. Więc to ja towarzyszyłam ojcu na polowaniach i w strzelaniu do rzutków.

Wszystko to było szczerą prawdą. Stephen Hamilton Howard wiodł w rodzinnej posiadłości koło Rhinebeck życie ziemianina i nauczył swe jedyne dziecko jeździć konno, strzelać, grać w karty i pić alkohol z innymi dżentelmenami z doliny Hudsonu – co oznaczało, że Sara umiała robić to wszystko dobrze, i robiła chętnie. Wskazała mały, delikatnie grawerowany pistolet.

– Większość ludzi uważa derringera za słabą broń, ale ten model ma kaliber czterdzieści jeden i mógłby cisnąć pańskim pianistą przez okno.

Kreizler spojrzął na Cyrusa, jakby chciał sprawdzić, czy okaże zaniepokojenie, ale „Di provenza il mar” łagodnie płynęło dalej.

– Nie jest to, rzecz jasna, moja ulubiona broń – dokończyła Sara, chowając rewolwer do mufki. – Ale... – Biały, głęboki dekolt jej sukni podniósł się z szybkim oddechem. – Idziemy przecież do opery.

Dotknęła uroczego naszyjnika ze szmaragdów i po raz pierwszy się uśmiechnęła. Cała Sara, pomyślałem, i wychyliłem pełen kieliszek wódki.

Zapadła kolejna długa cisza, podczas której Kreizler i Sara mierzyli się wzrokiem. W końcu Laszlo odwrócił oczy i na powrót stał się typowym, energicznym sobą.

– Rzeczywiście, idziemy do opery – powiedział, podając Sarze grzankę z kawiozem i kieliszek. – I jeśli się nie pospieszymy, stracimy „Questa o quella”. Cyrusie, mógłbyś sprawdzić, czy Stevie przygotował barouche¹⁰?

Cyrus wstał od fortepianu i ruszył w stronę schodów, ale Kreizler jeszcze go zatrzymał.

– Aha, Cyrusie, to jest panna Howard.

– Wiem, panie doktorze – odparł Cyrus. – Już się poznaliśmy.

– Rozumiem – mruknął Kreizler. – Więc nie zaskoczy cię wiadomość, że będzie z nami pracowała?

– Nie, sir. – Cyrus lekko skłonił się Sarze. – Panno Howard.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i Cyrus wyszedł z salonu.

– Więc Cyrus też brał w tym udział – westchnął Kreizler, gdy Sara szybko, ale z wdziękiem wypila wódkę. – Przyznaję, że podrażniłście moją ciekawość. Po drodze musicie mi opowiedzieć o tej tajemniczej wyprawie do... właśnie, dokąd?

– Do Santorellich – odrzekłem, połknąwszy ostatnią porcję kawioru. – Zdobyliśmy masę użytecznych informacji.

– Do Santo... – Kreizler był autentycznie poruszony i nagle bardzo spoważniał. – Ale... dlaczego? Jak? Musicie mi wszystko opowiedzieć, wszystko: wskazówki będą tkwić w szczegółach!

Sara i Laszlo zeszli po schodach przede mną, gawędząc, jakby taki rozwój sytuacji był zupełnie oczywisty. Odetchnąłem z ulgą, bo do końca nie wiedziałem, jak Kreizler zareaguje na propozycję Sary, i włożyłem do ust kolejnego papierosa. Zanim go jednak przypaliłem, znów zostałem wytrącony z równowagi, tym razem nieoczekiwanym widokiem Mary Palmer, która stanęła w uchylonych drzwiach jadalni. Jej duże, ładne oczy spoglądały lekliwie na Sarę i dziewczyna zdawała się drzeć.

– Mary – szepnąłem do niej uspokajająco – w najbliższej przyszłości będą się tu działy nieco dziwne rzeczy.

Chyba mnie nie usłyszała; wydała cichy okrzyk i uciekła od drzwi.

Na dworze nadal padał śnieg. Większy z dwóch powozów Kreizlera, barouche w kolorze burgunda, z czarnymi wykończeniami, już czekał. Stevie Taggart zaprzągnął do niego Fredericka i drugiego konia tej samej maści. Sara, naciągnąwszy kaptur peleryny, przeszła przez dziedziniec i Cyrus pomógł jej wsiąść. Kreizler zatrzymał mnie przy drzwiach.

– Niezwykła kobieta, Moore – wyszeptał rzeczowym tonem.

Skinąłem głową i odmruknąłem:

– Tylko się jej nie przeciwstawiaj. Ma nerwy napięte jak struny fortepianu.

– Tak, zauważyłem. Jej ojciec... Czy on nie żyje?

– Wypadek na polowaniu. Przed trzema laty byli ze sobą bardzo zżyci; Sara spędziła potem jakiś czas w sanatorium. – Nie wiedziałem, czy powinienem wyjawić wszystko, lecz zważywszy na naszą sytuację, wydawało się to wskazane. – Krążyły plotki, że popełnił samobójstwo, ale Sara im zaprzecza. Stanowczo. Więc lepiej nie poruszaj tego tematu.

Kreizler skinął głową i włożył rękawiczki, cały czas obserwując Sarę.

– Kobiety o takim usposobieniu – powiedział, gdy ruszyliśmy do powozu – rzadko znajdują szczęście w naszym społeczeństwie. Ale jej zdolności są oczywiste.

Wsiadliśmy do powozu i Sara zaczęła gorliwie relacjonować naszą rozmowę z panią Santorelli. Kiedy jechaliśmy w stronę Broadwayu cichymi, zaśmieżonymi ulicami na południe od Gramercy Park, Kreizler tylko słuchał i jedynym dowodem jego podniecenia były nerwowe ruchy dłoni, ale gdy dotarliśmy do Herald Square, gdzie wokół stacji kolejki nadziemnej odgłosy ludzkiej krzątania stały się dużo donośniejsze, miał już mnóstwo szczegółowych pytań, które wystawiły naszą pamięć na ciężką próbę. Dziwna opowieść o dwóch eks-policjantach i dwóch księżach towarzyszących wywiadowcom Roosevelta wzbudziła ciekawość Laszla, lecz o wiele bardziej (czego się spodziewałem) zainteresował go seksualizm małego Georgia i jego charakter. „Jednym z pierwszych sposobów poznania mordercy jest poznanie jego ofiar” – oświadczył, i kiedy powóz stanął pod dużymi kulistymi latarniami elektrycznymi, które oświetlały zadaszone wejście do gmachu Metropolitan Opera, zapytał Sarę i mnie, jaką opinię wyrobiliśmy sobie o chłopcu. Oboje musieliśmy się chwilę nad tym zastanowić, więc ruszyliśmy ku drzwiom w skupionym milczeniu; Stevie odjechał, a Cyrus dotrzymał nam towarzystwa.

Dla starej gwardii nowojorskiej socjety Metropolitan Opera była „tym żółtym browarem na północy”. Z pozoru krytykowano w ten sposób pudełkowaty kształt neorenesansowego gmachu i kolor cegły użytej do jego budowy, ale nastawienie kryjące się za tą uwagą wynikało z parweniuszowskiej genezy opery. Zajmująca teren między Broadwayem, Siódmą Aleją i ulicami Trzydziestą Dziewiątą i Czterdziestą, otwarta w 1883 roku Metropolitan została ufundowana przez siedemdziesięciu pięciu sławnych (i niesławnych) nowojorskich nuworyszki: ludzi o nazwiskach takich jak Morgan, Gould, Whitney i Vanderbilt, z których żaden, w oczach starej arystokracji, nie był godzien zasiadać w łóżach szacownej Akademii Muzycznej przy Czternastej Ulicy. W reakcji na tę niewypowiedzianą, lecz aż nadto oczywistą ocenę ich wartości, fundatorzy zamówili do nowej opery nie jedno czy dwa, ale trzy piętra łóż; i towarzyskie wojny, które w nich toczono przed, w trakcie i po przedstawieniach, były równie zażarte jak te w Akademii. Mimo tak niezdrowej atmosfery impresariowie, którzy kierowali Metropolitan, Henry Abbey i Maurice Grau, ściągnęli do siebie największe talenty na świecie, i w 1896 roku wieczór w „żółtym browarze” był już muzyczną uczną, której nie mogła przebić żadna inna opera ani trupa.

Gdy wkroczyliśmy do stosunkowo małego hallu, niedorównującego świetnością swym europejskim odpowiednikom, przywitały nas charakterystyczne spojrzenia rozmaitych świątłych obywateli, którzy nie byli zachwyceni widokiem Kreizlera w towarzystwie Murzyna. Większość jednak znała już Cyrusa i z rezygnacją znosiła jego obecność. Wspięliśmy się szybko wąskimi, krętymi schodami i weszliśmy na widownię jako jedni z ostatnich. Łoża Kreizlera znajdowała się z lewej strony drugiego piętra „diamentowej podkowy” (jak nazywano galerię); pospiesznie przecięliśmy wyłożony czerwonym pluszem salonik, aby zająć miejsca. Gdy usiedliśmy, światła zaczęły przygasać. Wyjąłem małą składaną lornetkę i zdążyłem jeszcze poszukać znajomych twarzy w łóżach obok i naprzeciwko. Dostrzegłem Theodore’a i burmistrza Stronga, zajętych, sądząc z min, bardzo poważną rozmową w łóży Roosevelta, a potem przeniósłem wzrok na sam środek „podkowy”, łóż numer 35, gdzie siedział wśród cieni potężny rekin finansowy ze złośliwym nosem – J. Pierpont Morgan. Było z nim kilka pań, ale zanim przyjrzałem się, kim są, sałę okrył mrok.

Victor Maurel, wybitny gaskoński baryton i aktor, dla którego Verdi skomponował wiele ze swych najszlachetniejszych partii, prezentował tego wieczoru znakomitą formę, ale obawiam się, że my w loży Kreizlera – może z wyjątkiem Cyrusa – byliśmy zbyt pochłonięci czym innym, aby w pełni docenić jego występ. W pierwszym antrakcie rozmowa szybko zesła z muzyki na sprawę Santorellego. Sara zastanawiała się, dlaczego cięgi, które Giorgio dostawał od ojca, zdawały się jeszcze potęgować nieprawidłowe skłonności seksualne chłopca. Kreizler także zwrócił uwagę na ten paradoks i powiedział, że gdyby tylko stary Santorelli umiał porozmawiać z synem i odkryć przyczynę jego osobliwego zachowania, być może mógłby na nie wpłynąć. Uciekając się do przemocy, rozpętał tylko wojnę psychologiczną i sprawił, że Giorgio utożsamiał swe duchowe przetrwanie właśnie z tymi praktykami, które ojciec potępiał. Sara i ja głowiliśmy się nad tą koncepcją przez cały drugi akt, ale jeszcze przed przerwą zaczęliśmy ją chwytac – rozumiec, że chłopiec, który zarabiał na życie, pozwalając się wykorzystywać w najgorszy z możliwych sposobów, we własnej opinii dowodził swej niezależności.

To samo można byłoby prawdopodobnie powiedziec o rodzeństwie Zweigów, zauważył Kreizler, potwierdzając moje przypuszczenie, iż nie złoży na karb przypadku podobieństwa między tymi dwiema ofiarami a Georgiem Santorellim. Laszlo stwierdził również, że te nowe informacje są bezcenne: stanowią zarys schematu, fundament, na którym możemy zacząc budować obraz cech popychających naszego mordercę do przemocy. Nie zyskalibyśmy tej wiedzy, gdyby nie determinacja Sary, aby odwiedzić Santorellich, i jej umiejętność wzbudzenia zaufania pani Santorelli. Laszlo podziękował dziewczynie trochę niezdarnie, ale szczerze; wyraz satysfakcji na jej twarzy był wart wszystkich przeżyć tego dnia.

Jednym słowem, w loży panowała dość swojska atmosfera, gdy pod koniec tej samej przerwy przyszedł do nas Theodore z burmistrzem Strongiem. W jednej chwili nastrój się zmienił. William L. Strong, choć używał stopnia pułkownika i miał opinię reformatora, był typowym zamożnym nowojorskim biznesmenem w średnim wieku – to znaczy nie tolerował Kreizlera. Jego Czciogodność nie odpowiedział na nasze pozdrowienia, usiadł na jednym z wolnych foteli i czekał, by zgasło światło. Theodore musiał sam wyjaśnić, że Strong ma coś ważnego do powiedzenia. Rozmów podczas spektaklu nie uważano w Metropolitan za barbarzyństwo – przeciwnie, wiele istotnych spraw prywatnych i finansowych załatwiano właśnie tutaj – lecz ani Kreizler, ani ja nie akceptowaliśmy takiego braku poszanowania dla wysiłku aktorów. Strong nie znalazł więc wdzięcznych słuchaczy, gdy w trakcie złowieszczonego preludium trzeciego aktu rozpoczął swój wykład.

– Doktorze – powiedział, nie patrząc na Kreizlera – komisarz Roosevelt zapewnia mnie, że pańska niedawna wizyta w Kwaterze Głównej Policji miała charakter czysto prywatny. Ufam, że jest to prawda. – Kreizler milczał, co trochę zirytowało Stronga. – Zdumiałem się jednak, widząc pana w operze z pracownicą Wydziału.

Dość niegrzecznie skinął na Sarę.

– Gdyby chciał pan zobaczyć cały mój kalendarz towarzyski – odpaliła dziewczyna – mogę to załatwić.

Theodore energicznie złapał się za głowę, a Strong wyraźnie zakipiał gniewem, ale nie skomentował tej uwagi.

– Być może nie zdaje pan sobie sprawy, doktorze, iż prowadzimy wielką krucjatę, aby wykorzenić korupcję i zepsucie w naszym mieście. – Kreizler znów nie odpowiedział; nie spuszczał wzroku z Victora Maurela i Frances Saville, którzy śpiewali w duecie. – W tej walce mamy wielu wrogów – ciągnął Strong. – Jeśli uda im się znaleźć jakiś sposób, aby nas ośmieszyć lub skompromitować, zrobią to. Czy mówię jasno?

– Jasno, sir? – odezwał się w końcu Kreizler, nadal nie patrząc na Stronga. – Z pewnością mówi pan za głośno, ale czy jasno... – Wzruszył ramionami.

Strong wstał.

– Więc powiem wprost. Jeśli będzie pan utrzymywał jakiegokolwiek kontakty z Wydziałem Policji, da pan naszym wrogom broń do ręki. Przyzwoici ludzie nie akceptują pańskiej pracy, sir, pańskich obelżywych opinii o amerykańskiej rodzinie ani bezecnego sondowania umysłów amerykańskich dzieci. Takie kwestie są domeną rodziców i ich duchowych doradców. Na pana miejscu ograniczyłbym działalność do zakładów dla obłąkanych, gdzie jest jej miejsce. W każdym razie żadna osoba związana z tą administracją nie uznaje takiego plugastwa. Zechce pan o tym pamiętać. – Burmistrz ruszył do wyjścia, ale przystanął na chwilę, by zwrócić się do Sary: – A pani przypominam, że zatrudnienie kobiet w policji było eksperymentem i że eksperymenty często zawodzą!

Po tych słowach Strong wyszedł. Theodore został w tyle, aby nam szepnąć, że w przyszłości nie powinniśmy pokazywać się razem, i podążył za burmistrzem. Był to oburzający, ale typowy incydent: z pewnością wielu ludzi siedzących tego wieczoru na widowni powiedziałoby Kreizlerowi coś podobnego, gdyby tylko mieli okazję. Laszlo, Cyrus i ja, którzy nieraz już to wszystko słyszeliśmy, nie przejęliśmy się tak bardzo jak Sara, nieobyta z tego rodzaju nietolerancją. Niemal do końca spektaklu miała taką minę, jakby chciała posłać Strongowi kulkę ze swojego derringera, lecz finałowy duet Maurela i Saville był tak piękny i wzruszający, że nawet wściekła Sara zapomniała o rzeczywistości. Kiedy zapaliły się światła, wszyscy wstaliśmy, krzycząc „brawo”, na co Maurel lekko się nam uklonił. Ale gdy tylko Sara dostrzegła Theodore’a i Stronga w ich łoży, znów zawrzała gniewem.

– Doprawdy, jak może pan to znosić, doktorze? – spytała, kiedy wychodziliśmy. – Ten człowiek jest idiotą!

– Wkrótce się pani przekona, Saro – odparł spokojnie Kreizler – że nie ma sensu zwracać uwagi na takie wypowiedzi. Choć przyznaję, pewien aspekt zainteresowania burmistrza tą sprawą rzeczywiście mi się nie podoba.

Nie musiałem się nawet zastanawiać – przyszło mi to do głowy, kiedy Strong perorował.

– Ci dwaj księża – powiedziałem. Laszlo skinął głową.

– W rzeczy samej, Moore. Ci dwaj kłopotliwi księża... ciekawe, z czyjego polecenia owi „duchowi doradcy” towarzyszyli policjantom. Na razie musi to jednak pozostać tajemnicą. – Spojrzał na swój srebrny zegarek. – Dobrze. Powinniśmy przybyć na czas. Ufam, że nasi goście również będą punktualni.

– Goście? – zdziwiła się Sara. – A dokąd idziemy?

– Na kolację – odparł zwięźle Kreizler. – I, mam nadzieję, bardzo pouczającą konferencję.

ROZDZIAŁ 10

Często stwierdzam, że trudno jest dziś ludziom pojąć, jak jedna rodzina, prowadząc kilka restauracji, mogła zmienić nawyki żywieniowe całego kraju. Tego właśnie dokonali Delmonico w Stanach Zjednoczonych ubiegłego stulecia. Zanim w 1823 roku otworzyli swą pierwszą małą kafeterię na William Street, obsługującą biznesmenów i finansistów z Dolnego Manhattanu, amerykańska kuchnia produkowała gotowaną lub smażoną strawę, która miała dawać siły do ciężkiej pracy i utrzymywać w żołądku alkohol – zwykle kiepski. Delmonico, choć byli Szwajcarami, przywieźli do Ameryki francuskie metody, i każde następne pokolenie rozwijało je i doskonaliło. Ich jadłospis od samego początku zawierał kilkanaście dań zarówno smacznych, jak i zdrowych, oferowanych, zważywszy na wkład pracy, po rozsądnych cenach. Ich karta win była równie obszerna i wyborna jak w restauracjach Paryża. Odnieśli tak wielki sukces, że nim minęło ćwierć wieku, mieli już dwie restauracje na Dolnym Manhattanie i jedną na Górnym; i jeszcze przed wybuchem wojny secesyjnej przyjezdni, którzy jedli w Delmonico, roznieśli wieści o tym doświadczeniu po całym kraju i zaczęli wymagać od lokalnych restauratorów miłego wystroju wnętrz oraz pożywnych i umiejętnie przyrządzonych posiłków. Pod koniec wieku wyprawy do dobrych restauracji stały się już narodową pasją – i odpowiadali za to Delmonico.

Znakomite jedzenie i wina nie były jedynym powodem prosperity rodziny Delmonico: gości przyciągał także jej jawny egalitaryzm. Dowolnego wieczoru w restauracji na rogu Dwudziestej Szóstej Ulicy i Piątej Alei miało się równą szansę spotkać „Brylantowego” Jima Brady’ego¹¹ i Lillian Russell¹², jak panią Vanderbilt i inne matrony z nowojorskiej śmietanki towarzyskiej. Nie odprawiano nawet ludzi pokroju Paula Kelly’ego. Bardziej może zaskakujące niż fakt, że każdy mógł wejść, było to, że każdy musiał czekać na stolik – nie przyjmowano rezerwacji (oprócz przyjęć w prywatnych gabinetach) i nie faworyzowano nikogo. Oczekiwanie bywało irytujące, ale znaleźć się w kolejce za kimś w rodzaju pani Vanderbilt, kto głośno utyskuje na „takie traktowanie!” – to mogło dostarczyć zdrowej rozrywki.

W wieczór spotkania z braćmi Isaacsonami Laszlo zarezerwował prywatny gabinet, świadom, że nasza rozmowa nie będzie się nadawała dla obcych uszu. Zbliżyliśmy się do długiej na cały kwartał restauracji od strony Broadwayu, powóz skręcił w lewo w Dwudziestą Szóstą Ulicę i podjechał pod główne wejście. Cyrus i Stevie zostali odprawieni – po kolacji mieliśmy wrócić do domów dorożkami. Weszliśmy do środka, gdzie natychmiast przywitał nas młody Charlie Delmonico.

Do 1896 roku starsze pokolenie Delmonico niemal całkowicie już wymarło i Charlie porzucił karierę na Wall Street, aby poprowadzić rodzinny interes. Nie mógłby się lepiej do tego nadawać: uprzejmy, energiczny i nieodmiennie taktowny, doglądał każdego drobiazgu, nigdy nie pozwalając, by troska zmrużyła jego wielkie oczy lub podniosła choć jeden włos schludnej brody.

– Doktor Kreizler. I pan Moore – powiedział, gdy doń podeszliśmy, ściskając nam dłonie i uśmiechając się łagodnie. – Zawsze miło mi panów gościć, zwłaszcza razem. I panna Howard, dawno pani u nas nie było. Cieszę się, że mogła pani powrócić. – W ten sposób Charlie dawał do zrozumienia, iż wie, że Sara wiele przeszła od śmierci ojca. – Pańscy pozostali goście, doktorze, już są i czekają na górze – ciągnął, gdy zdejmowaliśmy okrycia. – Zapamiętałem, jak pan mówił, że kolory oliwkowy i szkarłatny nie sprzyjają trawieniu, więc umieściłem państwa w gabinecie błękitnym, czy to panu odpowiada?

– Jak zwykle troskliwy, Charles – odrzekł Kreizler. – Dziękuję.

– Zapraszam od razu na górę – powiedział Charlie. – Ranhoffer, jak zawsze, jest gotów.

– Oho! – zawołałem na wzmiankę o genialnym kucharzu Delmonico. – Ufam, że się szykuje na nasz surowy sąd?

Wargi Charliego znów rozchylił łagodny uśmiech.

– Zdaje mi się, że zaplanował coś specjalnego. Państwo pozwolą.

11 Finansista i filantrop wywodzący się z dołów społecznych, znany z upodobania do biżuterii i ogromnego apetytu.

12 Amerykańska śpiewaczka i aktorka.

Zostawiwszy z tyłu lustra, mahonie i freski głównej jadalni, podążyliśmy za Charliem do błękitnego gabinetu na piętrze. Isaacsonowie siedzieli przy małym, elegancko nakrytym stoliku, z lekko niepewnymi minami. Ich zakłopotanie wzrosło, gdy zobaczyli Sarę, którą znali z Głównej; ale dziewczyna uprzedziła ewentualne pytania, wyjaśniając lakonicznie, że ktoś musi robić notatki dla komisarza Roosevelta, który prywatnie interesuje się sprawą.

– Naprawdę? – zdziwił się Marcus Isaacson, a jego ciemne oczy rozszerzył niepokój. – Czy to... Czy to jest jakiś sprawdzian? Wiem, że wszystkich w Wydziale czeka lustracja, ale... Sprawa sprzed trzech lat, to niezupełnie w porządku oceniać nas po...

– Oczywiście szanujemy to, że sprawa jest nadal otwarta – wtrącił pospiesznie Lucius, wycierając z czoła kilka kropel potu, gdy kelnerzy wnieśli tace ostrzyg i kieliszki z *sHerry*.

– Spokojnie, panowie sierżanci śledczy – powiedział Kreizler. – To nie jest żaden sprawdzian. Znaleźliście się tutaj właśnie dlatego, że nie macie nic wspólnego z elementem, który odpowiada za obecne kontrowersje. – Na te słowa obaj Isaacsonowie odetchnęli z wyraźną ulgą i zaatakowali *sHerry*. – Jak rozumiem – ciągnął Kreizler – nie byliście ulubieńcami inspektora Byrnesea?

Bracia spojrzeli po sobie i Lucius skinął na Marcusa, który zabrał głos:

– Nie, sir. Byrnes wierzył w metody, które były... no cóż, przestarzałe. Mój brat, to znaczy sierżant śledczy Isaacson, i ja studiowaliśmy za granicą, co budziło podejrzliwość inspektora. Podobnie jak nasze... pochodzenie.

Kreizler pokiwał głową: stosunek starej wydziałowej gwardii do Żydów nie był tajemnicą.

– No dobrze, panowie. Może nam powiecie, co udało wam się odkryć.

Po chwili sprzeczki o to, który ma mówić pierwszy, Isaacsonowie zdecydowali, że Lucius.

– Jak zdaje pan sobie sprawę, doktorze, niewiele można się dowiedzieć ze zwłok w tak zaawansowanym stanie rozkładu. Wykryliśmy jednak kilka faktów, które uszły uwagi koronera i wywiadowców prowadzących śledztwo. Przede wszystkim przyczyna zgonu... Przepraszam, panno Howard, nie będzie pani robić notatek?

Sara uśmiechnęła się do niego.

– W głowie. Później przeniosę je na papier.

Ta odpowiedź bynajmniej nie uspokoiła Luciusa. Nim podjął watek, zmierzył Sarę podejrzliwym spojrzeniem.

– O czym to... ach, tak, przyczyna zgonu.

W tym momencie obsługa przysłała zabrać tace po ostrzygach i podać zieloną zupę żółwiową *au clair*. Lucius znów otarł czoło i skosztował zupy, podczas gdy kelner otwierał butelkę amontillado.

– Mmm, pyszna! – stwierdził Lucius, rozluźniając się nieco. – No więc, jak mówiłem, raporty policji i koronera podały jako przyczynę zgonu obrażenia szyi. Przecięcie tętnicy szyjnej wspólnej i tak dalej. Jest to oczywista interpretacja, jeśli ma się zwłoki z poderżniętym gardłem. Ale niemal natychmiast zauważyłem rozległe uszkodzenia struktur krtani, szczególnie kości gnykowej, która w obu przypadkach była pęknięta. Co, oczywiście, wskazuje na uduszenie.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Dlaczego morderca miałby podrzynać ofiarom gardła, skoro już je udusił?

– Żądza krwi – odparł Marcus bardzo rzeczowo, nie przerywając jedzenia.

– Tak, żądza krwi – potwierdził Lucius. – Prawdopodobnie bał się zabrudzić ubranie, żeby nie zwracać na siebie uwagi podczas ucieczki. Ale musiał zobaczyć krew... lub może ją powąchać. Niektórzy mordercy mówili, że większą satysfakcję sprawia im zapach, nie widok.

Na szczęście skończyłem już zupę. Spojrzałem na Sarę – jadła z wielkim opanowaniem. Kreizler przyglądał się Luciusowi ogromnie zafascynowany.

– Więc sugeruje pan uduszenie – podsumował. – Wspaniale. Co jeszcze?

– Sprawa oczu – odrzekł Lucius, odchylając się, by kelner mógł sprzątnąć talerz po zupie. – Miałem tu kłopot z raportami.

Podano nam teraz *aiguillettes* z okonia w kremowym sosie Mornay – całkiem smaczne. Amontillado zastąpił Hochheimer.

– Przepraszam, panie doktorze – wtrącił cicho Marcus – ale naprawdę muszę to powiedzieć: wyśmienite potrawy. Nigdy w życiu takich nie jadłem.

– Miło mi, sierżancie śledczy – odparł Kreizler. – To dopiero początek. No więc, co z tymi oczami?

– Już mówię – podchwycił Lucius. – W raporcie policyjnym wspomniano, że do oczu dobrały się ptaki lub szczury. Koroner to podtrzymał, co jest dość niezwykle. Nawet gdyby ciała leżały na otwartej przestrzeni, nie w zamkniętym zbiorniku na wodę, dlaczego jakieś zwierzę miałoby wydziobać lub wygryźć tylko oczy? Najbardziej jednak nie pasowało mi do tej teorii to, że ślady noża były zupełnie wyraźne.

Jak na komendę Kreizler, Sara i ja przestaliśmy jeść i spojrzeliśmy po sobie.

– Siady noża? – spytał cicho Kreizler. – W żadnym z raportów nie ma wzmianki o śladach noża.

– Tak, wiem! – zawołał wesoło Lucius. Choć temat był makabryczny, wydawało się, że rozmowa go odpręży; wino także. – To naprawdę dziwne. Ale je zobaczyłem, liczne, bardzo wąskie rowki na kości jarzmowej i brzegu nadoczodołowym, i dodatkowe rysy na kości klinowej.

Praktycznie tych samych słów użył Kreizler, opisując zwłoki Georgia Santorellego.

– Na pierwszy rzut oka – ciągnął Lucius – można by pomyśleć, że te dwa rodzaje nacięć powstały niezależnie od siebie, w wyniku osobnych pchnięć. Mnie jednak wydały się powiązane, więc przeprowadziłem eksperyment. W pobliżu pana Instytutu, doktorze, jest dość dobry sklep ze srebrem stołowym, gdzie sprzedają również noże myśliwskie. Poszedłem tam i kupiłem noże, jednego z nich moim zdaniem prawdopodobnie użyto, o trzech różnych długościach: dziewięć cali, dziesięć i jedenaście. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Najlepiej pasował największy.

Położył na środku stołu lśniący nóż gigantycznych, jak mi się wydało, rozmiarów. Miał rogowy trzonek i mosiężną obsadkę, a na stalowym ostrzu wygrawerowany był jeleń w zaroślach.

– „Arkansaska wykałaczką” – powiedział Marcus. – Nie jest jasne, czy ten model zaprojektował Jim Bowie, czy jego brat, na początku lat trzydziestych, ale wiemy, że obecnie są wytwarzane głównie w Sheffield w Anglii, na eksport do zachodnich stanów. Taki nóż może się przydać myśliwemu, ale służy przede wszystkim do walki.

– Czy można by go użyć do... do krojenia i rąbania? – spytałem, znów przypomniawszy sobie Georgia Santorellego. – To znaczy, czy jest dostatecznie ciężki i czy brzezi byłyby równe?

– Jak najbardziej – odparł Marcus. – Wygląd brzegów zależy od jakości stali, a nóż tych rozmiarów, zwłaszcza jeśli został wyprodukowany w Sheffield, ma wysokogatunkową, twardą stal. – Zawahał się i popatrzył na mnie z tym samym podejrzliwym zdziwieniem, które objawił po południu. – Dlaczego pan o to pyta?

– Taki nóż musi być drogi – wtrąciła Sara, celowo zmieniając temat. – Prawda?

– Zgadza się – potwierdził Marcus. – Ale jest mocny. Wystarczy na wiele lat.

Kreizler wpatrywał się w nóż: to t e g o, mówił jego wzrok, to t e g o n używa.

– Rysy na kości klinowej – podjął Lucius – powstały w tym samym czasie co rowki od ostrza na kości jarzmowej i brzegu nadoczodołowym. Jest to całkowicie naturalne, jako że morderca operował na bardzo małej powierzchni, w oczodole czaszki dziecka, bardzo dużym narzędziem. Mimo to wykazał dużą zręczność. Uszkodzenia mogłyby być znacznie większe. – Pociągnął długi łyk wina. – Ale jeśli chcecie wiedzieć, d l a c z e g o to zrobił, tutaj możemy jedynie spekulować. Być może sprzedawał ludzkie organy anatomom i szkołom medycznym. Choć w takim przypadku wzięłyby chyba nie tylko oczy. Jest to trochę niejasne.

Żadne z nas nie było w stanie nic powiedzieć. Patrzyliśmy na nóż – ja, bojąc się go dotknąć – gdy kelnerzy przynieśli comber barani à la Colbert i butelki Château Lagrange.

– Bravo – odezwał się w końcu Kreizler, podnosząc wzrok na Luciusa, którego pulchna twarz zaczynała czerwienić od wina. – Naprawdę znakomita robota, sierżancie śledczy.

– Och, to jeszcze nie wszystko – odrzekł Lucius, rzucając się na baraninę.

– Jedz powoli – szepnął Marcus. – Pamiętaj o swoim żołądku.

Lucius zignorował tę uwagę.

– To nie wszystko – powtórzył. – Były jeszcze bardzo interesujące pęknięcia kości czołowej i ciemieniowej, na szczycie czaszki. Ale niech to wyjaśni mój... sierżant śledczy Isaacson. – Uśmiechnął się szeroko. – Za bardzo mi smakuje, żebym mógł dalej mówić.

Marcus przyjrzał się bratu i pokręcił głową.

– Jutro będziesz chory – wymamrotał. – I będziesz winił za to mnie, ale ja cię ostrzegąłem.

– Sierżancie śledczy? – interweniował Kreizler, odchylając się do tyłu z kieliszkiem Lagrange w dłoni. – Musi pan posiadać naprawdę nadzwyczajne informacje, jeśli chce prześcignąć swego... współpracownika.

– No cóż, jest to ciekawe – odparł Marcus – i może dowieść czegoś konkretnego. Pęknięcia, które znalazł mój brat, powstały w wyniku ciosów zadanych z góry – prosto z góry. W przypadku napaści, a niewątpliwie mamy tu do czynienia z napaścią, ciosy padają zwykle pod kątem, bo ofiara niewiele różni się wzrostem od napastnika albo stawia opór. Natomiast tutaj charakter obrażeń wskazuje, że napastnik nie tylko całkowicie panował nad swymi ofiarami, lecz także był dostatecznie wysoki, aby bardzo silnie uderzać prosto z góry jakimś tępym narzędziem, może nawet pięścią, choć w to wątpimy.

Daliśmy Marcusowi chwilę na jedzenie, ale kiedy soczysty marylandzki żółw diamentowy zastąpił baraninę (od której Luciusa niemal trzeba było odrywać siłą), ponagliliśmy go, by kontynuował.

– Spróbuję to wyjaśnić możliwie przystępnie. Jeśli weźmiemy pod uwagę wzrost dzieci i opisany przeze mnie sposób zadania ciosów, możemy z grubsza określić wzrost napastnika. – Odwrócił się do Luciusa. – Ile nam wyszło, sześć stóp i dwa cale? – Lucius skinął głową i Marcus mówił dalej: – Nie wiem, czy słyszeliście państwo o antropometrii, stworzonym przez Bertillona systemie identyfikacji i klasyfikacji...

– Och, szkolił się pan w tym systemie? – przerwała mu Sara. – Zawsze chciałam kogoś takiego spotkać.

Marcus wyraźnie się zdumiał.

– Zna pani prace Bertillona?

Gdy Sara z zapalem kiwała głową, wtrącił się Kreizler:

– Muszę się przyznać do ignorancji, sierżancie śledczy. Słyszałem nazwisko, ale niewiele więcej.

Tak więc, racząc się zółciem, omówiliśmy dokonania Alphonse'a Bertillona, francuskiego mizantropa i pedanta, który w latach osiemdziesiątych zrewolucjonizował metody identyfikacji przestępców. Jako skromny urzędnik porządkujący akta paryskiej policji, Bertillon odkrył, że jeśli weźmiemy czternaście wymiarów ludzkiego ciała – nie tylko wzrost, lecz także wielkość stopy, dłoni, ucha i tak dalej – prawdopodobieństwo, że będą one takie same u dwóch różnych osób wynosi 286 milionów do jednego. Mimo ogromnego oporu zwierzchników Bertillon zaczął rejestrować wymiary znanych przestępców i klasyfikować wyniki, szkoląc przy tym personel w osobach „mierniczych” i fotografów; a kiedy dzięki zgromadzonym przez siebie danym rozwiązał kilka głośnych spraw, z którymi paryscy detektywi nie mogli się uporać, zyskał międzynarodową sławę.

System Bertillona szybko przyjął się na kontynencie, trochę później w Londynie i dopiero niedawno w Nowym Jorku. Będąc szefem Sekcji Śledczej, Thomas Byrnes odrzucił antropometrię, z jej dokładnymi pomiarami i staranną fotografią, jako zbyt wielkie wyzwanie intelektualne dla większości jego ludzi – co do tego istotnie się nie mylił. Stworzył już zresztą Galerię Kryminalną, pokój pełen zdjęć znanych amerykańskich przestępców: był dumny ze swego dzieła i uważał je za wystarczające do celów identyfikacji. Poza tym sformułował własne zasady pracy śledczej i nie pozwoliłby ich obalić jakiemuś tam Francuzowi. Jednak po odejściu Byrnesa antropometria zyskała nowych zwolenników, z których jeden najwyraźniej siedział tego wieczoru przy naszym stole.

– Główną wadą systemu Bertillona – podjął Marcus – oprócz konieczności fachowego dokonywania pomiarów, jest to, że pozwala on jedynie dopasować podejrzanego lub przestępcę do jego akt i pseudonimów.

Po małej miseczce sorbetu Elsinore Marcus wyjął papierosy, sądząc zapewne, że to koniec posiłku. Przyjemnie się zdziwił, gdy postawiono przed nim porcję kaczki z galaretką kukurydziano-porczkową oraz kieliszek wspaniałego Chambertin.

– Wybacz pan, że pytam, doktorze – odezwał się z zakłopotaniem Lucius – ale czy ta kolacja kiedyś się skończy, czy też płynnie przejdzie w śniadanie?

– Dopóki będziecie mieli użyteczne informacje, panowie sierżanci, jedzenia nie zabraknie.

– W takim razie... – Marcus schrupał duży kęs kaczki, z lubością przymykając oczy – ...lepiej, abyśmy podtrzymali pana zainteresowanie. No więc, jak zamierzałem powiedzieć, system Bertillona nie dostarcza dowodów popełnienia przestępstwa. Nie pozwala wskazać sprawcy. Ale może nam pomóc wyeliminować podejrzanych. Stwierdziliśmy, że człowiek, który zabił rodzeństwo Zweigów, ma około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu. Wyłania to stosunkowo niewielu kandydatów z akt policji nowojorskiej – bardzo korzystny punkt startu. A co lepsza, tyle miast posługuje się już tym systemem, że możemy sprawdzić archiwa policyjne w całym kraju, nawet w Europie, jeśli będziemy chcieli.

– A jeśli ten człowiek nie był dotąd notowany? – spytał Kreizler.

Marcus wzruszył ramionami.

– To mamy pecha.

Na twarzy Kreizlera odmalowało się rozczarowanie i Marcus – omiótszy wzrokiem talerz, jakby się zastanawiał, czy rzeczywiście dania przestaną napływać, gdy utkniemy w ślepej uliczce – odchrząknął.

– To znaczy, doktorze, mamy pecha, jeśli idzie o oficjalną procedurę. Znam jednak inne techniki, które mogą się okazać użyteczne.

Lucius zaniepokoił się.

– Marcusie – wymamrotał – naprawdę nie wiem, to nie jest jeszcze akceptowane...

Marcus odpowiedział mu cicho, ale stanowczo:

– Nie jest akceptowane w sądzie. Ale ma sens podczas dochodzenia. Mówili śmy o tym.

– Panowie – wtrącił Kreizler – podzielicie się z nami swym sekretem?

Lucius nerwowo łyknął Chambertin.

– To tylko teoria, doktorze, nieuznawana nigdzie na świecie jako dowód sądowy, ale... – Spojrzał na brata, jakby się obawiał, że straci deser. – No dobrze. Mów.

– Chodzi o daktyloskopię – powiedział niemal szeptem Marcus.

– Och – westchnąłem. – Odciski palców.

– Tak – odparł Marcus. – Istotnie.

– Ale... – odezwała się Sara – ...bez urazy, sierżancie śledczy, daktyloskopia została odrzucona przez wszystkie policje na świecie. Nie dowiedziono jej podstaw naukowych i jeszcze nie rozwiązano przy jej użyciu żadnej sprawy.

– Nie czuję się urażony, panno Howard – odrzekł Marcus. – I mam nadzieję, że nie urażę pani, mówiąc, że jest w błędzie. Podstawy naukowe daktyloskopii zostały dowiedzione i rozwiązano dzięki niej ładnych parę spraw, choć rzeczywiście nie w krajach, o których mogła pani wiele słyszeć.

– Moore – włączył się Kreizler, lekko zirytowany – chyba rozumiem, jak musisz się często czuć. Proszę państwa, znów nie wiem, o czym mówicie.

Sara zaczęła objaśniać zagadnienie, ale po tym małym docinku Laszla musiałem jej przerwać i zrobić to sam. Daktyloskopia, powiedziałem, odpowiednio protekcyjnym tonem, jest od dziesięcioleci przedmiotem sporu jako metoda identyfikacji istot ludzkich. Opiera się na przesłance, że linie papilarne pozostają takie same przez całe życie człowieka, ale bardzo wielu antropologów i lekarzy nie uznało jeszcze tego faktu, mimo niezbitych danych naukowych, jak również dowodów praktycznych. Na przykład w Argentynie – kraju, o którym, jak zauważył Marcus Isaacson, ludzie słyszeli niewiele (albo niewiele dobrego) – daktyloskopia odniosła pierwszy sukces, gdy funkcjonariusz policji z Buenos Aires nazwiskiem Vucetich schwytał dzięki niej mordercę, który brutalnie zatłukł kijem dwójkę małych dzieci.

– Rozumiem więc – powiedział Kreizler, gdy kelnerzy pojawili się raz jeszcze, niosąc *petits aspics defoiegras* – że obecnie odchodzi się od systemu Bertillona.

– Jeszcze nie – odrzekł Marcus. – Wciąż trwa walka. Choć dowiedziono jej rzetelności, daktyloskopia przyjmuje się bardzo opornie.

– Pamiętajmy o najważniejszym – dodała Sara; ach, jakże było to satysfakcjonujące, słuchać, jak teraz ona poucza Kreizlera! – Odciski palców pokazują, kto był w danym miejscu. To metoda idealna dla naszych... – Spozrzęła się i dokończyła: – ...dla pracy wywiadowczej.

– Jak zdejmuje się odciski? – zapytał Kreizler.

– Są trzy podstawowe rodzaje odcisków palców – odparł Marcus. – Po pierwsze, oczywiście, odciski widoczne: kiedy dłoń zamoczy się w farbie, krwi, atramencie czy czymś takim, a potem dotknie czegoś innego. Dalej mamy odciski plastyczne, pozostawiane, gdy ktoś dotknie kitu, gliny, mokrego tynku *et cetera*. Ostatnia kategoria, najtrudniejsza do zdjęcia, to odciski ukryte. Jeśli weźmie pan ten kieliszek, doktorze, palce pozostawią na nim ślady potu i organicznego tłuszczu w kształcie pańskich linii papilarnych. Jeśli będę podejrzewał, że tak się stało... – Marcus wyjął z kieszeni dwie małe fiolki, jedną z jakimś białoszarym proszkiem, drugą z czarnym – ...opylę go sproszkowanym tlenkiem aluminium – podniósł białoszarą fiolkę – albo drobno zmielonym grafitem – podniósł czarną. – Wybór zależy od koloru przedmiotu. Biel będzie lepiej widoczna na ciemnym tle, czerń na jasnym; w przypadku szkła mogę użyć dowolnej z tych substancji. Tłuszcze i pot wchłoną proszek i otrzymamy idealny odcisk palca.

– Nadzwyczajne – stwierdził Kreizler. – Ale dlaczego odciski palców nie są uznawane za dowód w sądzie, skoro wykazano naukowo, że ludzkie linie papilarne nigdy się nie zmieniają?

– Mało kto lubi zmiany, nawet jeśli są to zmiany postępowe. – Marcus położył fiolki na stole i uśmiechnął się. – Ale na pewno pan o tym wie, doktorze.

Kreizler skinął głową, po czym odsunął talerz i rozparł się na krześle.

– Jestem panu wdzięczny za ten bardzo pouczający wykład – powiedział – lecz podejrzewam, że ma on jakiś konkretny cel.

Marcus znów odwrócił się do brata, ale Lucius wzruszył tylko z rezygnacją ramionami. Na to Marcus wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki coś płaskiego.

– Prawdopodobnie – oznajmił – żaden koroner by tego nie spozrzęł albo nie uznał za ważne nawet dzisiaj, a co dopiero trzy lata temu.

Położył przedmiot – który okazał się zdjęciem – przed nami i pochyliliśmy głowy, aby mu się przyjrzeć. Fotografia przedstawiała jakieś detale białego koloru – kości, domyśliłem się, ale nie potrafiłem stwierdzić nic bliższego.

– Palce? – zaryzykowała Sara.

– Palce – potwierdził Kreizler.

– A konkretnie – dodał Marcus – palce lewej dłoni Sofii Zweig. Zwróćcie, państwo, uwagę na paznokieć kciuka, palca, który widzicie w całości.

Wyjął z kieszeni szkło powiększające i podał je Sarze, a potem zajął się *swoim foie gras*.

– Wygląda na sfuczony – skonstatował Kreizler. – W każdym razie widać jakieś przebarwienie.

Marcus popatrzył na Sarę.

– Panno Howard?

Przysunęła sobie fotografię i spojrzała na nią przez szkło powiększające. Chwilę wyostrzała wzrok, a potem jej oczy rozszerzyło odkrycie.

– Widzę...

– Co widzisz? – zapytałem, wierząc się niecierpliwie jak pięciolatek.

Kiedy Laszlo zajrzał Sarze przez ramię, zrobił jeszcze bardziej zdumioną minę niż ona.

– Dobry Boże, przecież to...

– Co, co, co? – zawałam i Sara wreszcie podała mi szkło i zdjęcie.

Zgodnie ze wskazówką Marcusa zbadałem paznokieć kciuka. Bez szkła wyglądał na przebarwiony, jak orzekł Kreizler. W powiększeniu nosił wyraźny ślad, w którym rozpoznałem odcisk palca, pozostawiony na jakiejś ciemnej substancji. Oniemiałem ze zdumienia.

– Naprawdę mamy szczęście – powiedział Marcus. – Choć ślad jest częściowy, wystarczy do identyfikacji. Jakimś cudem nie zatarł go ani kononer, ani pracownicy domu pogrzebowego. Ta substancja to krew, przypuszczalnie samej dziewczynki albo jej brata. Odcisk palca jest jednak zbyt duży, aby mógł należeć do któregoś z dzieci. Dzięki trumnie zachował się wyjątkowo dobrze, a my utrwaliiliśmy go na kliszy.

Kreizler miał tak rozpromieniony wyraz twarzy, jak tylko było to w jego przypadku możliwe.

– Mój drogi sierżancie śledczy, pańskie odkrycie jest równie doniosłe jak niespodziewane!

Marcus z uśmiechem zakłopotania spuścił wzrok, a Lucius odezwał się poprzednim, niespokojnym tonem:

– Proszę pamiętać, doktorze, że ten odcisk palca nie ma żadnego znaczenia wobec prawa. To wskazówka, którą można wykorzystać w śledztwie, nic więcej.

– I niczego więcej nie potrzebujemy, może z wyjątkiem deseru... – Laszlo klasnął dwa razy w dłoń, aby wezwać obsługę – ...na który, panowie, w pełni zasłużyliście.

Kelnerzy uprzątnęli ostatnie talerze po kolacji i przynieśli nam gruszki Alliance: nasączone winem, usmażone, posypane cukrem i polane sosem morelowym. Myślałem, że na ich widok Lucius dostanie zawału. Kreizler natomiast nie spuszczał wzroku z obu braci.

– Panowie, wykonaliście to zadanie naprawdę wzorowo. Obawiam się jednak, że jego przesłanki były nieco... fałszywe. Za co was przepraszam.

I tak, przy gruszkach oraz pysznych ptifurkach, które wjechały na stół po nich, wtajemniczyliśmy Isaacsonów w nasz plan. Omówiliśmy wszystko – stan zwłok Georgia Santorellego, kłopoty z Flynnem i Connorem, naradę u Roosevelta i rozmowę Sary z panią Santorelli – w najdrobniejszych szczegółach. Żadne z nas nie próbowało też umniejszyć ryzyka przedsięwzięcia – człowiek, na którego polujemy, powiedział Kreizler, może nieświadomie pragnąć, abyśmy go schwytali, lecz jego świadomość jest nastawiona na przemoc, i jeśli za bardzo się zbliżymy, możemy sami paść jej ofiarą. Ta przestroga dała Marcusowi i Luciusowi do myślenia, podobnie jak informacja, że dochodzenie będzie prowadzone w sekrecie, a jeśli wyjdzie na jaw, władze miejskie się go wyprą. Obaj byli jednak przede wszystkim podnieceni. Podniecenie poczułby zresztą każdy dobry wywiadowca, gdyby otwierała się przed nim życiowa szansa: wypróbowania nowych metod, działania wolnego od nacisków policyjnej biurokracji i zyskania sławy, jeśli śledztwo uwieńczy sukces.

I muszę przyznać, po posiłku, który spożyliśmy, i winie, które mu towarzyszyło, taka konkluzja wydawała się nieunikniona. Jakikolwiek zastrzeżenia Kreizler, Sara i ja mieliśmy wcześniej co do Isaacsonów, ich dokonania je rozproszyły: w ciągu jednego dnia zyskaliśmy ogólne pojęcie o posturze naszego mordercy i broni, jakiej używa, jak również trwały wizerunek pewnego fizycznego atrybutu mogący go ostatecznie zgubić. Jeśli dodać do tego wszystkiego owoc inicjatywy Sary – wstępny obraz wspólnych cech ofiar – zdawało mi się, w alkoholowym upojeniu, że sukces jest w zasięgu ręki.

Miałem jednak również wrażenie, iż moja własna rola była dotąd zbyt mała. Nie położyłem żadnych zasług dla sprawy, prócz tego, że towarzyszyłem Sarze do Santorellich; i kiedy – zegar w Delu już dawno wybił drugą – praktycznie zanieśliśmy Luciusa Isaacsona do dorożki, zacząłem szukać w mętnych myślach jakiegoś sposobu rehabilitacji. To, co wykoncypowałem, było równie mętne: zawoławszy dorożkę dla Kreizlera i Sary (miał ją wysadzić przy Gramercy Park) i pożegnawszy się z nimi, ruszyłem na południe, w stronę Paresis Hall.

ROZDZIAŁ 11

Świadom, że gdy dotrę do Paresis Hall, będę musiał mieć się na baczności, postanowiłem przejść pieszo tę milę z kawałkiem do Cooper Square, aby zimne powietrze trochę mnie otrzeźwiło. Broadway był pusty, nie licząc grupek młodych ludzi w białych mundurach, szuflujących śnieg na duże platformy. Należeli oni do prywatnej armii pułkownika Waringa, geniusza oczyszczania miast, który wysprzątał już Providence w stanie Rhode Island i został sprowadzony do Nowego Jorku, aby dokonać podobnego cudu. Chłopcy Waringa bez wątplenia pracowali wydajnie – ilość śniegu, końskiego nawozu i śmieci na ulicach bardzo się dzięki nim zmniejszyła – ale najwyraźniej sądzili, że mundury dają im władzę równą policyjnej. Od czasu do czasu jakiś czternastoletni mniej więcej dzieciak, ubrany w biały uniform i hełm, łapał niesubordynowanego obywatela beztrzesko wyrzucającego odpadki przed dom i próbował go aresztować. Nie sposób było przekonać owych gorliwców, że nie mają do tego prawa, i zapobiec takim incydentom. Niektóre kończyły się bójką i z tych chłopcy byli najbardziej dumni, toteż zachowałem ostrożność, przechodząc obok nich tej nocy.

Gdy znalazłem się na Cooper Square, byłem już w miarę przytomny i solidnie zmarznięty. Mijając wielki brunatny gmach Cooper Union, zacząłem myśleć o dużej brandy, którą zamówię w Paresis Hall. Zostałem więc kompletnie zaskoczony, gdy zza północnego rogu parku Coopera wyjechał kolebiący się furgon z napisem **GENOVESE i SYNOWIE – WYROBY ŻELAZNE – BKLYN, N.J.**, ciągniony przez parsającego szarego konia, który sprawiał wrażenie, iż wolałby być tej zimnej nocy gdziekolwiek, byle nie na dworze. Furgon zatrzymał się ze zgrzytem i spod plandeki wyskoczyło czterech drabów w górniczych czapkach. Wpadli do parku i za moment pojawili się z powrotem, wlokąc dwóch elegancko ubranych mężczyzn.

– Obrzydliwe cioty! – wrzasnął jeden z drabów, waląc pierwszego mężczyznę w twarz czymś, co wyglądało na kawałek metalowej rurki. Z nosa i ust biedaka buchnęła krew, opryskując mu ubranie i śnieg na ulicy. – Idźcie do domu, jak chcecie się rypać!

Dwaj ambasadorowie Brooklynu trzymali drugiego mężczyznę, który robił wrażenie starszego niż pierwszy, a czwarty drab zbliżył twarz do jego twarzy.

– Lubisz rżnąć chłopców, co?

– Przykro mi, nie jest pan w moim typie – odparł mężczyzna z opanowaniem, które podsunęło mi myśl, że coś takiego zdarza mu się nie po raz pierwszy. – Lubię młodzieńców, którzy się myją.

Ta uwaga kosztowała go trzy solidne ciosy w żołądek, po których zgiął się wpół i zwymiotował na zamrażniętą ziemię.

Była to jedna z sytuacji, w których trzeba szybko myśleć: mogłem się wtrącić i sam oberwać albo...

– Hej! – krzyknąłem do drabów. Odwrócili ku mnie zimne spojrzenia. – Lepiej uważajcie, chłopcy. Idzie tu pół tuzina gliniarzy i mówią, że żadne italiańce z Brooklynu nie będą im rozrabiać w piętnastym rewirze!

– Powaga? – spytał drab wyglądający na przywódcę i ruszył w stronę furgonu. – A którędy idą?

– Broadwayem! – odparłem, wskazując kciukiem za siebie.

– Chodźta, chłopaki! – zawołał drab. – Dołożymy ajryszom!

Wywołało to radosne okrzyki pozostałych i cała czwórka załadowała się do furgonu; spytali, czy chcę z nimi jechać, lecz nie zaczęli na odpowiedź.

Podszedłem do rannych mężczyzn, ale zdążyłem tylko powiedzieć: „Czy mogę panom...”, a uciekli biegiem; starszy trzymał się za żebra i lekko utykał. Uświadomiłem sobie, że kiedy draby nie znajdą policjantów, mogą wrócić po mnie, więc przeszedłem szybko przez Boverly Street, pod torami kolejki nadziemnej, do lokalu Biffa Ellisona.

Elektryczny neon Paresis Hall nadal palił się jasno, choć dochodziła trzecia rano. Speluna wzięła nazwę od patentowego leku, który reklamowano w toaletach jako remedium na poważniejsze choroby weneryczne. W oknach Paresis były rolety, za co porządni obywatele z sąsiedztwa dziękowali Bogu. Za ruchliwymi drzwiami – wokół których stała zbieranina zniewieściałych mężczyzn i chłopców, usiłujących przygadać sobie wchodzących i wychodzących gości – znajdował się długi szynkwaz z mosiężną poręczą oraz duża liczba okrągłych drewnianych stolików i prostych krzeseł, takich, które łatwo się łamią podczas bójek i łatwo dają się potem zastąpić nowymi. Przy końcu długiej, wysokiej sali zbudowano toporną scenę, na której kolejni chłopcy i mężczyźni w różnych stadiach kobiecego przebrania podrygiwali do żywej, brzęczącej trochę nieczysto muzyki produkowanej przez pianino, klarnet i skrzypce.

Podstawową funkcją Paresis Hall było stręczenie gościom prostytutek, które tam pracowały. Grupa ta obejmowała rozmaite typy, od młodych chłopców jak Georgio Santorelli przez homoseksualistów nienoszących kobiecych ubrań po nieliczne kobiety z krwi i kości, które kręciły się tam w nadziei, że jakiś klient ponownie odkryje w sobie heteroseksualistę. Większość transakcji umówionych w Paresis finalizowano w okolicznych tanich hotelach, ale na piętrze było kilkanaście pokoi, z których Ellison pozwalał korzystać swoim ulubieńcom.

Najbardziej charakterystyczny dla Paresis Hall, i zaledwie kilku innych takich lokali w mieście, był niemal całkowity brak sekretności, która na ogół znamionowała homoseksualne praktyki w owych czasach. Nie musząc się niczego obawiać, goście bawili się hałaśliwie i hojnie wydawali pieniądze, toteż lokal przynosił olbrzymi dochód. Jednak ani skala, ani niezwykłość jego działalności nie mogły zapobiec temu, że w gruncie rzeczy był taki sam jak wszystkie inne spelunki: obskurny, zadymiony i całkowicie odstarczający.

Nie byłem w środku nawet pół minuty, gdy czyjeś szczupłe, ale silne ramię objęło mnie za szyję, a zimny kawałek metalu dotknął gardła. Po woni bzu poznałem, że gdzieś z tyłu stoi Ellison, i domyśliłem się, że metal jest wizytówką jego kompana, Rileya Brzytwy. Riley był kościstym małym opryskiem z Hell's Kitchen¹³, który, choć należał do Gophersów, pracował czasem dla Biffa, gdyż podzielał jego preferencje seksualne.

– Myślałem, że Kelly i ja wyraziliśmy się onegdaj zupełnie jasno, Moore – zagrzmiał, wciąż niewidoczny, Ellison. – Nie wrobisz mnie w sprawę Santorellego. Chojrak z ciebie czy zwykły wariat, że tu przyszedłeś?

– Ani jedno, ani drugie, Biff – odparłem tak wyraźnie, jak tylko pozwolił mi strach: Riley uwielbiał robić użytek ze swej brzytwy. – Chciałem, abyś wiedział, że ci się przysłużyłem.

Ellison wybuchnął śmiechem.

– Ty, gryziopórku? A co ty mogłeś dla mnie zrobić?

Po tych słowach stanął przede mną. Jego absurdalny garnitur w krateczkę i szary melonik cuchnęły wodą kolońską, a w wielkiej łapie trzymał długie, cienkie cygaro.

– Powiedziałem komisarzowi, że nie miałeś z tym nic wspólnego – wykrztusiłem.

Podszedł bliżej, rozchylając grube wargi. Poczułem odór kiepskiej whisky.

– Naprawdę? – zapytał z błyskiem w małych oczkach. – I uwierzył ci?

– Jasne – odrzekłem.

– Tak? Dlaczego?

– Po prostu. Powiedziałem mu, że to nie w twoim stylu.

Ellison musiał chwilę pomilczeć, aby komórki, które w jego przypadku tylko udawały mózg, mogły to przetrawić. Potem się uśmiechnął.

– Niech cię, Moore, masz rację. To nie w moim stylu! A to ci historia. Puść go, Brzytwa.

Na to pracownicy i goście, którzy zebrali się, by zobaczyć, czy dojdzie do rozlewu krwi, odeszli rozczarowani. Odwróciłem się do żyłastego Rileya Brzytwy i patrzyłem, jak składa swą ulubioną broń, chowa ją do kieszeni i przygładza wypomadowane wąsy. Potem oparł ręce na biodrach, gotów do walki – ale ja tylko poprawiłem muszkę i mankiety koszuli.

– Pij mleko, Riley – powiedziałem. – Podobno od niego się rośnie.

Riley znów sięgnął do kieszeni, ale Ellison roześmiał się i powstrzymał go wylewnym uściskiem.

– Daj spokój, Brzytwa, niech se facet pożartuje, to nie boli. – Odwrócił się i objął mnie ramieniem. – Chodź, Moore, postawię ci kielicha. A ty mi opowiesz, jakim cudem tak nagle mnie polubiłeś.

Stanęliśmy przy barze, gdzie mogłem oglądać cały załosny proceder Paresis Hall w dużym lustrze, wiszącym za niezliczonymi butelkami podłego alkoholu. Przypomniawszy sobie, z kim i czym mam do czynienia, zrezygnowałem z wymarzonej brandy (oprócz tego, że na pewno była przerażająco lichej jakości, mogli ją zaprawić dowolną kombinacją kamfory, benzyny, kokainy oraz wodzianu chloralu) i zamówiłem piwo. Sikacz, który mi podano, mógł kiedyś być piwem, ale raczej na wczesnym etapie swego istnienia. Gdy pociągnąłem łyk, szansonistka na scenie w drugim końcu sali zapiszczała:

*Nikt nie wymawia jego imienia,
Lecz nadal żyją o nim wspomnienia,
Choć opuścił dom rodzinny już tak dawno.*

Ellison podniósł szklaneczkę whisky, po czym odwrócił się, gdy chłopiec-prostytutka poklepał go po siedzeniu. Biff mocno uszczypnął dzieciaka w policzek.

– No, Moore? – powiedział, patrząc w jego wymalowane oczy. – Skąd ta przysługa? Nie mów mi, że chciałbyś spróbować mojego towaru.

– Nie dzisiaj, Biff – odparłem. – Pomyślałem sobie, że skoro ci pomogłem z glinami, będziesz może skłonny udzielić mi jakichś informacji, no wiesz, do artykułu.

Chłopiec zniknął w hałaśliwym tłumie, a Ellison zmierzył mnie wzrokiem.

– Od kiedy świętojebliwy „New York Times” drukuje takie artykuły? A w ogóle, to gdzie ty, do diabła, byłeś? Na pogrzebie?

– W operze – wyjaśniłem. – A „Times” nie jest jedyną gazetą w mieście.

– Tak? – Nie robił wrażenia przekonanego. – Naprawdę nic o tym nie wiem, Moore. Gloria najsamperw była w porządku. Całkiem w porządku. Do licha, pozwoliłem jej nawet używać pokoju na górze. Ale potem zrobiła się... nieposłuszna. Zaczęła prosić o większe działki, mówić innym dziewczynkom, że też powinny. Więc parę wieczorów temu mówię do niej: Gloria, tylko tak dalej, a wylecisz stąd na tę swoją śliczną buziuchnę. Wtedy powiedziała, że będzie grzeczna, ale już jej nie wierzyłem. Zamiarowałem się jej pozbyć – nie na amen, kapujesz? – po prostu, wyrzucić cipę, niech popracuje parę tygodni na ulicy i zobaczy, jak jej się to spodoba. A tutaj to. – Gołnął whisky i wydmuchał dym z cygara. – Mały szlifibruk się doigrał, Moore.

Czekałem, że będzie mówił dalej, ale jego uwagę zajęło dwóch młodych mężczyzn w pończochach i podwiązках, wykrzykujących do siebie pogrożki na parkiecie. Wkrótce błysnęły noże. Ellison zachichotał i wygłosił komentarz:

– Potnijcie się, kurwy, a żaden klient na was nie spojrzy!

– Biff? – odezwałem się w końcu. – Więc to jest wszystko, co możesz mi powiedzieć?

– To wszystko – odparł, kiwając głową. – Może byś się stąd wyniósł, zanim narobisz kłopotów?

– Dlaczego? Ukrywasz coś? Może na górze?

– Niczego nie ukrywam – zaprzeczył rozdrażniony. – Po prostu nie lubię mieć u siebie reporterów. Moi klienci też tego nie lubią. Niektórzy to szanowane ludzie, muszą mieć wzgląd na swoje rodziny i stanowiska.

– Więc może pozwolisz mi obejrzeć pokój, z którego korzystała Gloria? Na dowód, że jesteś w porządku.

Ellison westchnął i oparł się o bar.

– Nie przeginaj, Moore.

– Pięć minut – poprosiłem. Zastanowił się i skinął głową.

– Pięć minut. Ale z nikim nie gadaj. Trzecie drzwi z lewej, jak wejdiesz po schodach. – Ruszyłem z miejsca. – Hej! – Kiedy się odwróciłem, podał mi piwo. – Nie lekceważ mojej gościnności, chłopie.

Wziąłem piwo i zacząłem się przepychać przez tłum ku schodom na tyłach Paresis Hall. Sporo chłopców i mężczyzn zaczęło mnie, widząc wieczorowy strój i wyczuwając pieniądze. Robili rozmaite propozycje, niektórzy głaskali mnie po torsie i udach. Zacisnąłem jednak dłoń na portfelu i trzymałem kurs, starając się nie słyszeć odrażających sugestii, którymi mnie zasypywano. Kiedy mijałem scenę, zawodzący śpiewak – gruby mężczyzna w średnim wieku, mocno upudrowany i uszminowany, w cylindrze na głowie – zaintonował refren:

Matka wciąż smutna, po kątach płacze,

Ojciec powtarza: „Nie, nie wybaczę”,

Zdjęcie w ramce odwrócone jest do ściany!

Na schodach nie paliła się żadna lampa, ale wpadało tam dość światła z głównej sali, bym mógł widzieć drogę. Stara, wyblakła farba oblażyła płatami ze ścian, a kiedy wszedłem na pierwszy stopień, z tyłu dobiegło mnie sapanie. Spojrzawszy w ciemną wnękę po drugiej stronie drzwi, zobaczyłem słaby zarys dwóch sylwetek: chłopca stojącego twarzą do ściany i starszego mężczyzny, który przywarł do jego nagich pośladków. Wzdrygnąłem się tak, że aż zaczęłem nogą o stopień i omal nie upadłem. Pospiesznie wszedłem na górę i zatrzymałem się, aby pociągnąć długi łyk piwa.

Trochę spokojniejszy, ale coraz mniej pewny sensowności mojej inicjatywy, znalazłem trzecie drzwi po lewej stronie: cienkie, zwyczajne, drewniane, jak wszystkie inne w tym korytarzu. Chwyciłem za klamkę, ale potem pomyślałem, że lepiej będzie zapukać. Ku memu zaskoczeniu odezwał się chłopiący głos:

– Kto tam?

Powoli otworzyłem drzwi. Całe umeblowanie pokoju składało się z łóżka i nocnego stolika. Ściany pokrywała zbrązowiała, niegdyś czerwona farba, łuszcząca się w rogach. Jedyne, małe okno wychodziło na ślepy ceglany mur sąsiedniego domu, oddalonego o jakieś dziesięć stóp.

Na łóżku siedział jasnowłosy, może piętnastoletni chłopak, z twarzą wymalowaną jak Giorgio Santorelli. Miał na sobie lekką płócienną koszulę z koronkowym kołnierzem i mankietami oraz teatralne trykoty. *Maquillage* wokół oczu był rozmazany – chłopak płakał.

– Nie pracuję teraz – powiedział, siląc się na falset. – Może mógłbyś wrócić za godzinę.

– Nie szkodzi – odparłem. – Ja nie...

– Powiedziałam, że nie pracuję! – krzyknął chłopak, już zupełnie normalnym głosem. – O Boże, wyjdź stąd, nie widzisz, że jestem zdenerwowana?

Wybuchnął płaczem i ukrył twarz w dłoniach. Nadal stojąc przy drzwiach, poczułem nagle, że w pokoju jest bardzo gorąco. Kilka minut obserwowałem chłopca, aż coś mi przyszło do głowy.

– Znałeś Głorię – powiedziałem.

Chłopak pociągnął nosem i starannie wytarł oczy.

– Tak. Znałam ją. Och, moja twarz. Proszę, idź sobie.

– Nie, nie rozumiesz. Usiłuję się dowiedzieć, kto go... ją zabił.

Podniósł na mnie żalosne spojrzenie.

– Jesteś gliną?

– Nie, reporterem.

– Reporterem? – Na powrót wbił wzrok w podłogę, znowu wytarł oczy i zaśmiał się gorzko. – No to mam dla ciebie niezłą historię. – Popatrzył smętnie w okno. – Nie wiem, kogo znaleźli na tym moście, ale to nie mogła być Gloria.

– To nie była Gloria? – Od gorąca zachciało mi się pić i pociągnąłem kolejny solidny łyk piwa. – Dlaczego tak sądzisz?

– Bo Gloria w ogóle nie wychodziła z pokoju.

– Nie wychodziła? – Pomyślałem, że za długo już jestem na nogach i za dużo wypięm: nie bardzo rozumiałem chłopca. – Jak to?

– A tak to. Tamtej nocy byłam w korytarzu, pod moim pokojem, z klientem. Widziałam, jak Gloria wchodzi do siebie, sama. Sterczałam tu dobrą godzinę i jej drzwi ani razu się nie otworzyły. Pomyślałam, że śpi. Mój klient dał mi tylko na kielicha i poszedł, nie chciał zapłacić stawki za Sally. To ja. Sally jest droga i nie miał tyle. Więcostałam tu jeszcze z pół godziny, czekając, że może przyplącze się ktoś inny. Nie miałam ochoty pracować na sali. Aż nagle wpada jedna z dziewcząt i wrzeszczy, że jakiś glina właśnie jej powiedział, że znaleźli Głorię martwą na mieście. Wparowałam tu zaraz i rzeczywiście jej nie było. Ale w ogóle nie wychodziła.

– No cóż... – Z wysiłkiem szukałem rozwiązania. – Może wyszła przez okno.

Przebiegłem pokój, potykając się trochę; naprawdę potrzebowałem snu. Okno zaskrzypiało, gdy je otwierałem, a kiedy wystawiłem głowę na zewnątrz, powietrze nie było tak zimne jak powinno.

– Przez okno? – usłyszałem głos Sally. – Jak? Wyfrunęła? To prosty spadek w dół, a Gloria nie miała drabiny ani sznura, ani niczego. Zresztą spytałam jedną z dziewcząt pracujących z zaułku, czy widziała, jak Gloria tędy wychodzi. Powiedziała, że nie.

Spadek z okna był rzeczywiście stromy; nie wyglądał na prawdopodobną drogę ucieczki. Co do dachu, dzieliły mnie od niego dwa piętra ceglanego muru, bez schodów czy drabinki przeciwpożarowej, bez żadnych punktów oparcia. Cofnąłem głowę i zamknąłem okno.

– W takim razie – powiedziałem – w takim razie...

Nagle osunąłem się na łóżko. Sally wydała krótki pisk, a potem drugi, gdy spojrzała w stronę drzwi. Podążywszy za jej wzrokiem, zobaczyłem w progu Ellisona, Rileya Brzytwę i kilku ich ulubieńców. Riley wyjął swój znak firmowy i wycierał go o dłoń. Pomimo oszołomienia natychmiast zrozumiałem, że zaprawili mi piwo chloralem. Dużą dawką chloralu.

– Ostrzegałem cię, żebyś z nikim nie gadał, Moore – powiedział Ellison i zwrócił się do chłopców: – Przystojniak z niego, co, dziewczęta? Która chce się zabawić z panem reporterem?

Dwóch wymalowanych młodzieńców wskoczyło na łóżko i zaczęło mnie szarpać za ubranie. Udało mi się lekko podnieść i oprzeć na łokciach, ale Riley błyskawicznie wyrzwał mnie w szczękę. Padając, usłyszałem, jak śpiewak na dole zawodzi „Przez ciebie stałam się, kim jestem – obyś był zadowolony”; potem chłopcy bili się o mój portfel i ściągali mi spodnie, a Riley wiązał mi ręce. .

Szybko traciłem świadomość, ale w ostatniej chwili wydało mi się, że widzę, jak niczym dziki wilczek wpada do pokoju Stevie Taggert, wymachujący długim kijem nabitym zardzewiałymi gwoździami.

ROZDZIAŁ 12

W moim narkotycznym śnie występowały dziwaczne stworzenia, pół ludzie, pół zwierzęta, fruujące, wspinające się i ześlizgujące po bokach wysokiego kamiennego muru, na którym siedziałem zrozpaczony, nie mogąc zejść. W pewnym momencie pierwotny krajobraz wokół muru zniszczyło trzęsienie ziemi, które zdawało się mówić głosem Kreizlera. Po nim dziwnych stworzeń przybyło, a moja potrzeba zejścia na dół stała się jeszcze bardziej rozpaczliwa. Świadomość, gdy wreszcie ją odzyskałem, przyniosła niewielką ulgę, ponieważ nie wiedziałem, gdzie jestem. Umysł miałem niezwykle jasny, z czego wywnioskowałem, że musiałem spać wiele godzin; ale widne, przestronne wnętrza wokół było mi zupełnie obce. Umeblowane niejednolicie, mieszanką urzędniczych biur i eleganckich włoskich sprzętów, wyglądało absurdalnie, jak z kolejnego snu. Ostrołukowe neogotyckie okna nadawały mu klasztorny charakter, lecz rozmiarami przypominało raczej halę fabryczną. Chcąc się dokładniej rozejrzeć, spróbowałem wstać, ale bezsilnie opadłem na poduszki, a że w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, musiałem się zadowolić badaniem mojego dziwnego otoczenia w pozycji na wznak. Leżałem na otomanie, która mogła pochodzić z początku wieku. Sądząc po jej srebrno-zielonym obiciu, tworzyła komplet z krzesłami, jak również stojącą w pobliżu sofą i dwuosobowym fotelem. Na długim, intarsjowanym mahoniowym stole jadalnym stały srebrne świeczniki, a obok nich maszyna do pisania Remingtona. Takich kontrastów było więcej: *vis-à-vis* otomany wisiał oprawny w okazałą ramę olejny widok Florencji i olbrzymi plan Manhattanu, w który powbijano szpilki z małymi czerwonymi chorągiewkami. Na przeciwległej ścianie znajdowała się spora szkolna tablica, zupełnie czysta, a pod nią stało największe z pięciu biur, które tworzyły okrąg. Z sufitu zwisały duże wentylatory, a dwa ogromne perskie dywany ze skomplikowanymi wzorami na zielonym tle zakrywały środek podłogi.

Nie mogło to być mieszkanie żadnego normalnego człowieka i na pewno nie było to biuro. Halucynacja, pomyślałem, ale raptem spojrzałem w okno na wprost i zobaczyłem dwa znajome widoki: szczyt domu towarowego McCreery'ego, z eleganckim mansardowym dachem i ostrołukowymi oknami z żeliwa, a z lewej ostatnie piętro hotelu St. Denis. Te dwie instytucje zajmowały, jak wiedziałem, przeciwległe rogi Jedenastej Ulicy, po zachodniej stronie Broadwayu.

„Więc muszę być naprzeciwko”, wymamrotałem. Zaczęły dochodzić do moich uszu dźwięki z zewnątrz: rytmiczny stukot końskich podków i tarcie kół tramwaju o szyny. Potem, nagle, zadzwonił głośno dzwon. Tak szybko, jak tylko mój stan pozwalał, odwróciłem się w lewo i zobaczyłem w drugim oknie iglicę kościoła Łaski Bożej przy Dziesiątej Ulicy. Wydawało mi się, że jest w zasięgu ręki.

Wreszcie usłyszałem ludzkie głosy i użyłem całej mojej siły, aby usiąść. Miałem gotowe pytania, lecz kompletnie zaniemówiłem na widok póttuzina nieznanymi mi robotników, którzy wtoczyli do pokoju na małym wózek bardzo ozdobnie rzeźbiony stół bilardowy, a potem krótki fortepian. Prychali i kleli pod nosem, ale jeden z nich zauważył, że siedzę.

– Hej! – zawołał, szczerząc zęby. – Patrzcie no, pan Moore się obudził! Jak się pan czuje?

Pozostali mężczyźni uśmiechnęli się i uchylili kaszkietów, najwyraźniej nie oczekując odpowiedzi.

Mówienie było trudniejsze niż przypuszczałem i udało mi się tylko wykrztusić:

– Gdzie ja jestem? Kim wy jesteście?

– Jesteśmy głupcami, ot co – odparł pierwszy mężczyzna. – Jechaliśmy z tym przeklętym stołem na dachu windy: jedyny sposób, żeby go tu wtarabanić. Cyrkowy numer, ale doktor płaci i wymaga.

– Kreizler? – spytałem.

– Zgadza się – potwierdził mężczyzna. Rozproszyło mnie lekkie burczenie w brzuchu.

– Jestem głodny – oznajmiłem.

– Nic dziwnego – odpowiedział mi kobiecy głos, dochodzący z tylnych zakamarków ogromnego pokoju. – Dwie noce i dzień bez jedzenia muszą mieć taki skutek, John.

Z cienia wyłoniła się Sara, ubrana w prostą granatową suknię, która nie krępowała jej ruchów. Niosła tacę z parującą miską.

– Zjedz trochę bulionu i chleba, dodadzą ci siły.

– Sara! – wyjąkałem, gdy usiadła na otomanie i postawiła mi tacę na kolanach. – Gdzie ja jestem?

Jej uwagę zajęli jednak robotnicy, którzy, zobaczywszy, że usiadła przy mnie, poczęli szeptać między sobą, a potem roześmiali się konspiracyjnie. Nie patrząc na nich, Sara odezwała się cicho:

– Pan Jonas i jego ludzie nie orientują się w naszym przedsięwzięciu, a ponieważ wiedzą, że nie jestem służącą, zdają się mnie brać za kogoś w rodzaju waszej wspólnej kochanki. – Zaczęła mnie karmić pysznym, słonawym bulionem z kury. – Co ciekawe, wszyscy mają żony...

Zrobiłem przerwę w radosnym siorbaniu, by zapytać:

– Gdzie my jesteśmy, Saro?

– W domu, John. W każdym razie to mieszkanie zastąpi nam dom na czas śledztwa.

– Obok kościoła Łaski i naprzeciwko McCreery’ego, to jest dom?

– Nasz sztab – odparła, wymawiając to słowo z wyraźną lubością. I nagle się zatroskała. – À propos, muszę biec na Mulberry Street, złożyć raport Theodore’owi. Zainstalowano nam telefon, bardzo mu na tym zależało. – Odwróciła się w drugą stronę pokoju. – Cyrusie! Możesz tu przyjść i pomóc panu Moore’owi?

Cyrus wnet do nas dołączył; rękawy koszuli w biało-niebieskie paseczki miał podwinięte, a jego szeroki tors opinały szelki. Popatrzył na mnie z większym zaniepokojeniem niż współczuciem, ewidentnie nie paląc się do karmienia inwalidy.

– Nie trzeba – oświadczyłem, biorąc od Sary łyżkę. – Czuję się dużo lepiej, dam sobie radę. Ale nie powiedziałaś mi...

– Cyrus wszystko wie – odrzekła, zdejmując prosty płaszcz z pięknie rzeźbionego, dębowego wieszaka, który stał przy drzwiach. – A ja jestem już spóźniona. Dokończ bulion, John. Panie Jonas! – Zniknęła w korytarzu. – Potrzebuję windy!

Zobaczywszy, że istotnie mogę jeść sam, Cyrus znacznie się odprężył i przysunął sobie jedno z delikatnych krzesel ze srebrno-zieloną tapicerką i prostym oparciem.

– Wygląda pan dużo lepiej, sir – powiedział.

– Żyję – odparłem. – A co dziwniejsze, jestem w Nowym Jorku. Byłem pewien, że obudzę się w Ameryce Południowej albo na korsarskim statku. Powiedz mi, Cyrusie – ostatnie, co pamiętam, to Stevie z kijem. Czy on...?

– Tak, sir – potwierdził spokojnie Cyrus. – Między nami mówiąc, odkąd Stevie zobaczył te zwłoki na moście, ma kłopoty ze spaniem. Tamtej nocy włóczył się po ulicach i spostrzegł pana na Broadwayu. Powiedział, że szedł pan... trochę chwiejnie, sir, więc ruszył za panem. Przypilnować, żeby nic się panu nie stało. Kiedy dojrzał, że wchodzi pan do Paresis Hall, postanowił zaczekać przed wejściem. Ze zrozumiałych względów. Ale zaraz przyuważył go policjant i oskarżył wie pan o co. Stevie zaprzeczył i powiedział, że czeka na pana. Policjant mu nie uwierzył, więc Stevie wpadł do środka. Nie myślał, żeby pana ratować, chciał po prostu uciec, ale sprawy tak się potoczyły, że na to wyszło. Oczywiście policjant nikogo nie aresztował, ale zadbał, żeby pana puścili.

– Rozumiem. A jak się znalazłem... właśnie, gdzie my, do licha, jesteśmy, Cyrusie?

– Broadway 808, panie Moore. Ostatnie piętro, czyli piąte. Pan doktor wynajął to mieszkanie na naszą bazę operacyjną. Nie tak blisko Mulberry Street, żeby ktoś zwrócił uwagę, ale powozem można tam dojechać w parę minut. Albo, jeśli jest duży ruch, tramwajem.

– A co z całym tym... wyposażeniem, czy jak je nazwać?

– Pan doktor i panna Howard wybrali się wczoraj po meble na Brooklyn, do dostawcy sprzętów biurowych. Ale pan doktor powiedział, że nie wytrzymałby wśród takiej tandety nawet jednego dnia, a co dopiero dłuższy czas. Więc wzięli tylko biurka, a potem pojechali na aukcję na Piątą Aleję. Wyprzedawano rzeczy markiza Luigiego Carcano z Italii. Kupili ich całkiem sporo.

– Widzę – mruknąłem, bo robotnicy wnosili akurat duży zegar, dwie chińskie wazy i jakieś zielone draperie.

– Jak tylko zainstalowaliśmy większość sprzętów, pan doktor postanowił przewieźć pana od siebie tutaj.

– To pewnie było to trzęsienie ziemi – stwierdziłem.

– Słucham?

– Miałem taki sen. Dlaczego mnie przewiózł?

– Powiedział, że nie możemy tracić więcej czasu na pielęgnowanie pana. Dał panu jeszcze trochę chloralu, żeby lżej pan to zniosł. Chciał, żeby był pan gotów do pracy, kiedy pan oprzytomnieje.

Rozległ się jakiś hałas za drzwiami i usłyszałem, jak Kreizler mówi: „Naprawdę? To dobrze!” Wpadł do pokoju, a zaraz za nim Stevie Taggart i Lucius Isaacson.

– Moore! – wykrzyknął. – Wreszcie się obudziłeś, co? – Podeszedł i ujął mnie za nadgarstek, aby zmierzyć puls. – Jak się czujesz?

– Lepiej, niż się spodziewałem.

Stevie usiadł na parapecie i zaczął się bawić dość dużym scyzorykiem.

– Rozumiem, że muszę za to podziękować tobie, Stevie – zawołałem. – Nie zapomnę o tym długu.

Chłopak tylko się uśmiechnął i odwrócił do okna, tak że włosy zasłoniły mu twarz; nigdy nie wiedział, jak ma reagować na pochwały.

– To cud, że Stevie za tobą poszedł, Moore – stwierdził Kreizler, podnosząc mi powieki i badając oczy. – Po sprawiedliwości, powinieneś już nie żyć.

– Dziękuję, Kreizler – odparłem. – W takim razie pewnie nie jesteś ciekaw, co odkryłem.

– A co odkryłeś? – zapytał, wkładając mi do ust jakiś przyrząd. – Że nie widziano, jak mały Santorelli opuszczał Paresis Hall? Że według świadka był cały czas w pokoju, z którego nie ma drugiego wyjścia?

Myśl, że narażałem się niepotrzebnie, była naprawdę przygnębiająca.

– Skąd o tym wiesz?

– Najpierw sądziliśmy, że pan majaczy – odezwał się Lucius Isaacson, podchodząc do jednego z biurków i wysypując na nie zawartość papierowej torby. – Ale wciąż pan to powtarzał, więc przesłuchaliśmy z Marcusem pańską przyjaciółkę Sally. Bardzo interesujące. Marcus pracuje teraz nad możliwymi wyjaśnieniami.

Cyrus przeciął pokój, aby podać Luciusowi jakąś kopertę.

– Komisarz Roosevelt przesłał to przez posłańca, sierżancie śledczy.

Lucius szybko otworzył kopertę i przeczytał wiadomość.

– No to załatwione – powiedział niepewnie. – Mój brat i ja zostaliśmy „czasowo wyłączeni z Sekcji Śledczej z powodów osobistych”. Mam tylko nadzieję, że nie dowie się o tym nasza matka.

– Doskonale – oświadczył Kreizler. – Będziecie mieli dostęp do zasobów Kwatery Głównej, nie musząc się tam regularnie pojawiać – idealne rozwiązanie. Może znajdziecie trochę czasu, by nauczyć Johna nieco bardziej profesjonalnych metod wywiadowczych. – Roześmiał się, a potem zniżył głos, bo osłuchiwał mi serce. – Nie zamierzam umniejszać twojej zasługi, Moore. Zdobyłeś ważne informacje. Ale postaraj się pamiętać, że ta sprawa to nie żart, szczególnie dla wielu spośród osób, z którymi przyjdzie nam rozmawiać. W pewne miejsca rozsądniej będzie chodzić parami.

– Wygłaszasz kazanie do nawróconego – odparłem. Kreizler popukał i postukał mnie jeszcze trochę, po czym wstał z otomany.

– Jak twoja szczęka?

Dotąd o tym nie pomyślałem, ale gdy dotknąłem podbródka, trochę mnie zabołało.

– Ten karzeł niewiele może bez brzytwy – powiedziałem jednak.

– Dzielny chłopak! – Kreizler roześmiał się, klepiąc mnie lekko po plecach. – Dopij bulion i ubierz się. – Dopiero teraz zauważyłem, że jestem w nocnej koszuli. – Mamy ocenę w Bellevue i chcę, żeby ludzie Jonasa skończyli z meblami. Nasze pierwsze zebranie odbędzie się o piątej.

– Ocena? – zapytałem, wstając. Spodziewałem się, że upadnę, ale bulion naprawdę przywrócił mi siły. – Kto?

– Harris Markowitz z Forsyth Street 75 – odrzekł Lucius i podszedł do mnie (nie chcę powiedzieć, że kołysząc się jak kaczką, ale tak to wyglądało) z kilkoma kartkami zapisanego na maszynie papieru. – Właściciel sklepu z męską galanterią. Parę dni temu pani Markowitz przysłała na Dziesiąty Komisariat, aby zgłosić, że jej mąż otruł dwójkę wnucząt – Samuela i Sophie Rieter, lat dwanaście i szesnaście – dosypując im do mleka jakiegoś „proszku”.

– Trucizna? – zdziwiłem się. – Nasz człowiek nie jest trucicielem.

– O ile nam wiadomo – zauważył Kreizler. – Jego działania mogą być jednak bardziej urozmaicone, niż przypuszczamy. Choć rzeczywiście nie sądzę, aby ten Markowitz miał więcej wspólnego ze sprawą niż Henry Wolff.

– Ofiary pasują jednak do schematu – zaoponował Lucius grzecznie, ale stanowczo. Zwrócił się do mnie: – Młodzi Rieterowie byli świeżymi imigrantami, rodzice przysłali ich z Czech, aby zamieszkali u dziadków i najęli się gdzieś do służby.

– Byli imigrantami, owszem – odparł Kreizler. – I trzy lata temu mogłoby to zrobić na mnie wrażenie. Ale obecna predylekcja naszego mordercy do prostytutek, jak również okaleczanie zwłok, wydają się zbyt znaczące, aby przykładać pierwszorzędną wagę do przesłanki „imigranckiej”. Niemniej, nawet jeśli Markowitz nie ma nic wspólnego z naszą sprawą, istnieje inny powód, aby badać takie przypadki. Drogą eliminacji możemy zyskać wyraźniejszy obraz tego, kim poszukiwany przez nas człowiek nie jest – obraz negatywowo, jeśli mogę się tak wyrazić, z którego wywołały w końcu pozytyw.

Cyrus przyniósł mi ubranie i zacząłem je wkładać.

– Ale czy nie wzbudzimy podejrzeń, przeprowadzając tyle ocen dzieciobójców?

– Musimy liczyć na brak wyobraźni policji – odrzekł Laszlo. – To, że ja się tym zajmuję, jest normalne. Wytłumaczeniem dla twojej obecności, Moore, będzie oczywiście zbieranie materiałów do artykułu. Mam nadzieję, że zanim ktoś w Kwaterze Głównej skojarzy to z obecną serią morderstw, zakończymy już dochodzenie. – Odwrócił się do Luciusa. – A zatem, sierżancie śledczy, zechce pan przedstawić szczegóły sprawy naszemu poszukiwaczowi przynagła.

– Markowitz był dość sprytny – zaczął Lucius, niemal jakby go podziwiał. – Posłużył się opium, którego ślady w organizmie, jak pan może wie, znikają w ciągu kilku godzin od zgonu. Wsypał je do dwóch szklanek mleka, które dzieci wypili przed snem. Kiedy zapadły w śpiączkę, Markowitz włączył palnik gazowy w ich pokoju. Gdy następnego dnia przybyła policja, cuchnęło tam gazem i wywiadowca kierujący śledztwem wyciągnął oczywisty wniosek. Z pozorów się on potwierdził, gdyż koroner – w tym przypadku całkiem kompetentny człowiek – zbadał treść żołądków i nie znalazł niczego niezwykłego. Kiedy jednak żona zaczęła się upierać przy otruciu, wpadłem na pewien pomysł. Poszedłem do Markowiczów i poprosiłem o pościel, w której spały dzieci. Istniało prawdopodobieństwo, że przynajmniej jedna z ofiar wymiotowała podczas snu lub w agonii. Jeśli prześcieradła i koce nie zostały jeszcze uprane, powinny być na nich plamy. I rzeczywiście były. Przeprowadziliśmy standardowe testy i wykryliśmy ślady opium. W wymiocinach. Podczas konfrontacji Markowitz przyznał się do winy.

– Markowitz nie pije? – spytał Kreizler. – Nie zażywa narkotyków?

– Ponoć nie – odparł Lucius, wzruszając ramionami.

– I śmierć wnuków nie mogła mu przysporzyć korzyści materialnych?

– Żadnych.

– Świetnie! Mamy więc kilka niezbędnych elementów: premedytację, działanie na trzeźwo i brak wyraźnego motywu. To wszystko charakteryzuje naszego człowieka. Jeśli jednak stwierdzimy, że Markowitz nim nie jest – a sądzę, iż tak właśnie będzie – staniemy przed zadaniem ustalenia, dlaczego nie. – Laszlo wziął kawałek kredy i zaczął stukać w tablicę, jakby próbował wydobyć z niej informację. – Czym się różni od zabójcy Santorellego? Dlaczego nie okaleczył ciała? Kiedy się tego dowiemy, będziemy mogli jeszcze trochę wyostrzyć nasz imaginacyjny portret mordercy. W miarę jak będziemy uzupełniać listę jego cech, coraz więcej podejrzanych da się wyeliminować na pierwszy rzut oka. Na razie jednak mamy szerokie pole. – Wciągnął rękawiczki. – Stevie, powozisz! Chcę, żeby Cyrus dopilnował ustawiania fortepianu. Nie pozwól im go zmasakrować, Cyrusie. Sierżancie śledczy, będzie pan w Instytucie?

Lucius skinął głową.

- Powinni przywieźć ciała do południa.
- Jakie ciała? – spytałem.
- Dwóch chłopców zabitych wcześniej w tym roku – odparł Laszlo, idąc do drzwi.
- Szybciej, Moore, bo się spóźnimy!

ROZDZIAŁ 13

Zgodnie z przepowiednią Kreizlera, Harris Markowitz zupełnie się nie nadawał na podejrzanego w naszej sprawie. Prócz tego, że był niski, krępy i dobrze po sześćdziesiątce – a więc całkowicie niepodobny do typu fizycznego, jaki Isaacsonowie opisali w Delmonico – zdradzał wyraźne symptomy obłędu. Oświadczył, że zabił swoje wnuki, aby ocalić je przed światem, który uważał za monstrualnie zły, i przedstawił najważniejsze aspekty tego zła w serii chaotycznych, wielce zagmatwanych wywodów. Taka kiepska systematyzacja bezpodstawnych lęków i poglądów, jak również kompletna obojętność wobec własnego losu, często znamionują przypadki *dementia praecox*, powiedział mi Kreizler, gdy opuściliśmy Bellevue. Chociaż więc Markowitz na pewno nie miał nic wspólnego ze sprawą, rozmowa z nim mogła nam pomóc, jak na to liczył Laszlo, w ustaleniu cech osobowości naszego mordercy poprzez porównanie. Po pierwsze, nasz człowiek nie zabijał dzieci powodowany przewrotną troską o ich dobro. Wściekłe okaleczanie zwłok wyraźnie temu przeczyło. Na pewno nie było mu też obojętne, co się z nim stanie. Ale przede wszystkim fakt, że nie ukrywa swych ofiar, wymownie świadczył o tym, iż zabijanie naprawdę wstrząsa jakąś jego częścią. Innymi słowy, metody mordercy były dowodem na jego zdrowie psychiczne, a nie na chorobę.

Głowiłem się nad tym konceptem przez całą drogę powrotną, ale po przybyciu na Broadway 808 moją uwagę pochłonęły pierwsze naprawdę przytomne oględziny budynku, który, jak powiedziała Sara, miał w najbliższej przyszłości zastępować nam dom. Była to elegancka kamienica z żółtej cegły, zaprojektowana, jak poinformował mnie Kreizler, przez Jamesa Renwicka, architekta odpowiedzialnego również za neogotycki kościół Łaski Bożej obok i skromniejszy hotel St. Denis po drugiej stronie ulicy. Południowe okna naszego sztabu wychodziły prosto na dziedziniec kościoła, leżący w cieniu jego ogromnej, spiczastej wieży. Ten krótki odcinek Broadwayu miał dość sielski, pastoralny charakter, mimo że znajdowaliśmy się w samym środku jednego z najruchliwszych ciągów handlowych w mieście: oprócz McCreeryego nieopodal numeru 808 mieściły się sklepy, w których sprzedawano dosłownie wszystko, od tkanin przez buty po materiały piśmienne. Największym pomnikiem Merkurego był tu olbrzymi gmach o żeliwnej fasadzie, stojący naprzeciw kościoła przy Dziesiątej Ulicy, dawniej dom towarowy A.T. Stewarta, obecnie własność Hiltona, Hughesa i Spółki, a w przyszłości Johna Wanamakera.

Duża, zakratowana, zupełnie nowa winda zawiozła nas po cichu na piąte piętro. Tam stwierdziliśmy, że pod naszą nieobecność dokonał się wielki postęp. Sprzęty były teraz ustawione w taki sposób, że mieszkanie rzeczywiście wyglądało na ludzką siedzibę, choć osobie postronnej nadal trudno byłoby odgadnąć, do czego owa siedziba służy. Punktualnie o piątej każde z nas usiadło przy jednym z pięciu biurka, zza których dobrze się nawzajem widzieliśmy i mogliśmy swobodnie rozmawiać. Kiedy wieczorne słońce zaczęło opadać ku Hudsonowi, rzucając soczyste złote promienie ponad dachami zachodniego Manhattanu i przez nasze neogotyckie frontowe okna, uświadomiłem sobie, że staliśmy się, niezwykle szybko, jednym zespołem.

Mieliśmy wrogów, to pewne: Lucius Isaacson zameldował, że gdy kończył obdukcję zamordowanych chłopców, przyszli do Instytutu dwaj mężczyźni podający się za przedstawicieli cmentarza, z którego zabrano ciała, i zażądali ich wydania. Lucius miał już wszystkie potrzebne informacje i zdecydował się nie stawiać oporu – ale opis tych dwóch mężczyzn pasował, co do siniaka, do zbirów, którzy przepędzili Sarę i mnie z mieszkania Santorellich. Na szczęście ekspolicjanci nie rozpoznali w Luciusie wywiadowcy (prawdopodobnie zostali zwolnieni, zanim wstąpił do policji); było jednak oczywiste, że Instytut nie jest już dla nas bezpiecznym miejscem, ponieważ nie mieliśmy pojęcia, na czyj rozkaz ci ludzie działają ani jaki mają cel.

Co do wyników Luciusowych badań – były dokładnie takie, na jakie liczyliśmy: obydwie ciała nosiły identyczne ślady noża jak zwłoki Georgia Santorellego i rodzeństwa Zweigów. Marcus wziął jeszcze dwie szpilki z czerwonymi chorągiewkami i wbił je w plan Manhattanu, jedną w most Brooklyński, drugą w przystań promu na Ellis Island. Kreizler wypisał daty tych zabójstw – pierwszy styczeń i drugi lutego – po prawej stronie tablicy, razem z trzecim marca, dniem śmierci Georgia Santorellego. Gdzieś w tych datach, o czym wszyscy wiedzieliśmy, krył się jeden z wielu schematów, które musieliśmy rozszyfrować. (Ten schemat, co Kreizler podejrzewał od samego początku, miał się okazać o wiele bardziej skomplikowany niż oczywista zbieżność numeru miesiąca i dnia.)

Marcus Isaacson opowiedział o swych wysiłkach, wciąż daremnych, by ustalić, jak „Gloria” mogła się wydostać z Paresis Hall niezauważona przez nikogo. Sara poinformowała nas, że obmyślili z Rooseveltem sposób, abyśmy mogli odwiedzać miejsca przyszłych zbrodni popełnionych przez naszego mordercę, zanim spaskudzą je inni wywiadowcy albo ciężka ręka koronera. Theodore podejmował tu duże osobiste ryzyko, ale był już w pełni oddany planowi Kreizlera. Co do mnie, zrelacjonowałem nasze spotkanie z Harrisem Markowiczem. Kiedy omówiliśmy wszystkie te sprawy, Kreizler wstał zza biurka i wskazał tablicę, na której, jak powiedział, stworzymy imaginacyjny portret naszego człowieka: będziemy notować, dopasowywać, korygować i łączyć jego cechy fizyczne i psychiczne, aż osiągniemy cel. Na początek wypisał fakty i teorie, które odkryliśmy i wysnuliśmy do tej pory.

Kiedy skończył, wydawało się, że na olbrzymiej czarnej powierzchni jest bardzo niewiele białych znaków – i przynajmniej część z nich, ostrzegł nas Kreizler, nie miała na niej pozostać. Używa kredy, wyjaśnił, gdyż wie, że popełnimy po drodze mnóstwo błędów. Znajdujemy się na niezbadanym terytorium i nie możemy pozwolić, aby zniechęciły nas niepowodzenia i trudności czy ilość materiału, który będziemy musieli opanować. To ostatnie stwierdzenie zbiło nas nieco z tropu; wtedy Kreizler wyjął cztery oddzielne, ale identyczne pliki książek i pism.

Artykuły przyjaciela Laszla, Adolfa Meyera, i innych alienistów; dzieła filozofów i ewolucjonistów od Humea i Locke'a po Spencera i Schopenhauera; monografie starszego Forbesa Winslowa, którego poglądy zainspirowały Kreizlerową teorię kontekstu; i wreszcie, w całym swym ciężkim, dwutomowym splendorze, *Podstawy psychologii* naszego dawnego profesora, Williama Jamesa – to wszystko i jeszcze więcej wylądowało na naszych biurkach z głośnym, uroczystym hukiem. Isaacsonowie, Sara i ja wymieniliśmy niespokojne spojrzenia; czuliśmy się jak uczniowie w pierwszym dniu szkoły i faktycznie nimi byliśmy.

Kreizler wytłumaczył nam cel tej „pracy domowej”. Od tej chwili, powiedział, musimy dokładać wszelkich sił, aby pozbyć się naszych ustalonych poglądów na ludzkie zachowanie. Musimy się starać patrzeć na świat oczami mordercy i oceniać ten świat według jego norm. Liczą się wyłącznie jego doświadczenia, kontekst jego życia. Aspekty jego zachowania, które nas zdumiewają – od najbardziej trywialnych po najstraszliwsze – musimy próbować wyjaśnić, wskazując wydarzenia z dzieciństwa, które mogły na nie wpłynąć. Ten ciąg przyczyn i skutków – zwany „determinizmem psychologicznym”, jak mieliśmy się wkrótce dowiedzieć – czasem może nie wydawać nam się zbyt logiczny, ale będzie konsekwentny.

Kreizler podkreślił, że nic dobrego nie wyniknie z wyobrażania sobie tego człowieka jako potwora, ponieważ jest on bez wątpienia mężczyzną (lub kobietą), a ten mężczyzna lub ta kobieta był/była kiedyś dzieckiem. Przede wszystkim musimy poznać to dziecko, poznać jego rodziców, jego rodzeństwo, cały jego świat. Nie ma sensu mówić o złu, barbarzyństwie i szaleństwie; żadne z tych pojęć ani trochę nie przybliży nas do mordercy. Jeśli jednak uda nam się wyobrazić sobie tkwiące w nim dziecko, schwytamy dorosłego człowieka w rzeczywistości.

– A jeżeli nie będzie to dostateczną nagrodą – zakończył Kreizler, prześlizgując się wzrokiem po naszych zagapionych twarzach – zawsze mamy jeszcze jedzenie.

Jedzenie, jak się w najbliższych dniach przekonaliśmy, było jednym z głównych powodów, dla których Laszlo wybrał Broadway 808: mieliśmy stąd parę minut drogi do najlepszych restauracji Manhattanu. Dziewiąta Ulica i University Place oferowały wyśmienite francuskie dania przy prawdziwych paryskich *banquettes* w Cafe Lafayette i małej jadalni równie małego hotelu prowadzonego przez Louisa Martina. Gdyby wzięła nas chętka na kuchnię niemiecką, mogliśmy przejść się Broadwayem do Union Square i odwiedzić tę wielką, wyłożoną ciemnym drewnem mekkę smakoszy, Lüchowa. Cafe Boulevard u zbiegu Dziesiątej Ulicy i Drugiej Alei zapraszało na obfite posiłki węgierskie, a jeśli idzie o potrawy włoskie, nie istniały lepsze od tych, które podawano w restauracji hotelu Gonfarone na rogu ulic Ósmej i MacDougal. I, oczywiście, zawsze było jeszcze Delmonico, bardziej oddalone, lecz zdecydowanie warte wyprawy. Wszystkie te przybytki kulinarnej doskonałości miały się stać naszymi nieoficjalnymi pokojami narad podczas niezliczonych lunchów i kolacji, choć w wielu wypadkach ponura działalność, która nas absorbowała, wybitnie utrudniała skupienie się na doznaniach smakowych.

Było tak zwłaszcza w tych pierwszych dniach, kiedy narastała w nas świadomość, że choć przecieramy nowy szlak i musimy krok po kroku przestudiować i zrozumieć wszystkie psychologiczne i kryminologiczne elementy, które stworzą podstawę końcowego sukcesu, walczymy również z czasem. Na ulicach pod naszymi ostrołukowymi oknami znajdowały się dziesiątki dzieci, które, jak Georgio Santorelli, uprawiały zawsze ryzykowny handel ciałem, nie wiedząc, że zawisło nad nimi nowe i wyjątkowo groźne niebezpieczeństwo. Dziwnie się czułem, gdy siedłem z Kreizlerem na ocenę albo studiowałem notatki na Broadway u 808, albo ślęczałem do późnej nocy nad książkami w domu mojej babki, starając się zmusić mózg, aby wchłaniał wiedzę w tempie, do którego nie był (delikatnie mówiąc) przyzwyczajony, i cały czas jakiś głos szeptał mi w głowie: „Pospiesz się, bo zginie następne dziecko!” Przez pierwsze dni nieomal doprowadzało mnie to do szału – ciągłe analizowanie stanu rozmaitych zwłok, jak również miejsc, w których je znaleziono, szukanie schematów w obydwu kategoriach i jednocześnie zmaganie się z takimi ustępami jak poniższy, z Herberta Spencera:

„Czy drganie cząsteczki może zostać zarejestrowane w świadomości obok wstrząsu nerwowego i czy te dwie rzeczy mogą zostać uznane za jedną? Żaden wysiłek nie pozwala nam ich utożsamiać. Fakt, że jednostka czucia nie ma nic wspólnego z jednostką ruchu, staje się jeszcze bardziej oczywisty, gdy je ze sobą zestawimy”.

„Pożycz mi derringera, Saro – zawołałem, gdy pierwszy raz natknąłem się na ten akapit. – Strzelę sobie w łeb”. Dlaczego, do diabła, mam się starać zrozumieć takie rzeczy, zastanawiałem się podczas tego pierwszego tygodnia, jeśli chcę się dowiedzieć jedynie gdzie, gdzie jest nasz morderca? Z czasem jednak pojąłem sens tych wysiłków. Weźmy, na przykład, ów cytat ze Spencera – w końcu dotarło do mnie, że próby takich ludzi jak Spencer, aby zinterpretować czynności umysłu jako złożony efekt przemiany materii w ludzkim organizmie, nie powiodły się. To niepowodzenie wzmocniło pogląd młodszych alienistów i psychologów, jak Kreizler i Adolf Meyer, że początki świadomości należy rozpatrywać przede wszystkim w kontekście kształtujących doświadczeń z dzieciństwa, a dopiero potem w kategoriach czysto fizjologicznych. Pogląd ten stanowił klucz do zrozumienia, że droga naszego mordercy od narodzin do bestialstwa nie była przypadkowym rezultatem procesów fizycznych, których w żaden sposób nie moglibyśmy odtworzyć, lecz produktem wyobraźalnych zdarzeń.

Do nas należało odgadnięcie, jaki straszliwy łańcuch doświadczeń przekonał mordercę, że jego metody będą najwłaściwszą reakcją na życiowe wyzwania.

Tak, szybko stało się jasne, że jeśli chcemy mieć jakąkolwiek nadzieję na obleczenie naszego imaginacyjnego człowieka w ciało, musimy wiedzieć to wszystko i jeszcze więcej, dużo więcej. Kiedy to do nas dotarło, zaczęliśmy czytać i studiować z większą determinacją i pośpiechem, a nasze myśli i poglądy wymienialiśmy o wszelkich porach dnia i nocy. Sara i ja często przerzucaliśmy się refleksjami po trzeszczących liniach telefonicznych o drugiej nad ranem – ku czarnej rozpaczyci mojej babki – w miarę jak, najpierw na ślepo, potem bardziej umiejętnie, sięgaliśmy po szerszą wiedzę. Ow chlubny fakt szybkiego zdobywania edukacji (wszystkie materiały zostały przeżute i połknięte, choć nie do końca strawione, w ciągu pierwszych dziesięciu dni) zaćmiewało nasze zadanie praktyczne, konieczność analizowania tropów i teorii, które odkryli i wysnuli bracia Isaacsonowie. Co prawda nie było tego wiele: mieliśmy dotąd za mały dostęp do miejsc zbrodni. Świadomość, że aby zbudować szczegółowy obraz metod działania mordercy, potrzebujemy więcej danych, jeszcze potęgowała w naszym sztabie atmosferę niezdrowego oczekiwania. Choć zagrzebani w pracy, zdawali sobie wszyscy sprawę, że coś musi się zdarzyć.

I kiedy marzec przeszedł w kwiecień, wreszcie się zdarzyło. W nocy z piątku na sobotę o godzinie 1.45 drzemałem w moim pokoju w domu babki z egzemplarzem drugiego tomu *Podstaw* profesora Jamesa na twarzy. Po południu na Broadwayu 808 podjąłem szczytny wysiłek zgłębienia myśli Jamesa o „Koniecznych prawdach i skutkach doświadczenia”, ale przeszkodził mi Stevie Taggart, który wydarł z „Heralda” program gonitw mających się odbyć następnego dnia na nowym torze wyścigowym Akwedukt na Long Island i chciał, abym mu podał typy. Ostatnio zatrudniałem Steviego jako posłańca w kontaktach z moim bukmacherem (oczywiście bez wiedzy Kreizlera) i chłopak zasmakował w tej rozrywce królów. Poradziłem mu, aby sam nie stawiał pieniędzy, póki nie zorientuje się dokładnie, o co chodzi, ale z jego przeszłością nie potrwało to długo. W każdym razie, kiedy tej nocy zadzwonił telefon, byłem pogrążony w głębokim śnie, który sprowadziły na mnie godziny trudnej lektury. Na dźwięk dzwonka błyskawicznie usiadłem i dzieło Jamesa walnęło o przeciwległą ścianę. Telefon zabrzączał znowu, gdy wkładałem kimono, i jeszcze raz, zanim niezdarnie pokonałem sień i podniosłem słuchawkę.

– Czysta tablica – wymamrotałem sennie, zakładając, że to Sara.

To była ona.

– Słucham? – powiedziała.

– Rozmawialiśmy o tym dziś po południu – wyjaśniłem, przecierając oczy. – Czy umysł jest w momencie narodzin czystą tablicą, czy też mamy wrodzoną wiedzę o pewnych rzeczach. Ja stawiam na czystą tablicę.

– John, ucisz się na chwilę. – W jej głosie dzwięczał niepokój. – Stało się.

Natychmiast oprzytomniałem.

– Gdzie?

– Castle Garden. Battery. Isaacsonowie przygotowują aparat fotograficzny i resztę sprzętu. Muszą się zjawić przed nami, aby dało się odprawić funkcjonariusza, który był pierwszy na miejscu. Theodore jest tam teraz, pilnuje, żeby wszystko poszło gładko. Dzwoniłam już do doktora Kreizlera.

– Dobrze.

– John...

– Tak?

– Nigdy... Ja jedna nigdy nie... Czy to będzie bardzo straszne?

Cóż mogłem powiedzieć? Skupiłem się na kwestiach praktycznych.

– Weź sole trzeźwiące. I spróbuj się za bardzo nie denerwować. Będziemy tam z tobą. Wstąp po mnie dorożką, pojedziemy razem.

Usłyszałem, jak bierze głęboki oddech.

– Dobrze, John.

CZĘŚĆ DRUGA

ASOCJACJA

Ten sam zewnętrzny obiekt może przywieść nam na myśl dowolną, jedną z wielu realności poprzednio z nim związanych – albowiem w zmiennych kolejach naszego zewnętrznego doświadczenia wciąż napotykamy te same rzeczy w różnych zbiorowościach.

William James, *Podstawy psychologii*

Cokolwiek uważałem za słuszne, innym wydawało się złe; cokolwiek potępiałem, inni to pochwalali. Wszczytałem waśnie, gdziekolwiek się znalazłem, Spotykałem się z niechęcią, dokądkolwiek poszedłem; choć pragnąłem szczęścia, zadawałem tylko cierpienie; więc nazwano mnie „Żałośliwym”: Żałość jest wszystkim, co mam.

Richard Wagner, *Walkiria*

ROZDZIAŁ 14

Zanim Sara dotarła dorożką na Washington Square, jej obawy ustąpiły miejsca twardej determinacji. Wydawało mi się, że nie słyszy błahych pytań, które zadawałem, gdy mknęliśmy po granitowych płytach Broadwayu; siedziała zapatrzona przed siebie, niewzruszenie skupiona na – na czym? Nie chciała nic powiedzieć. Podejrzewałem jednak, iż zaprzęta ją bez reszty ów wielki życiowy cel: dowiedzenie, że kobieta może być zdolnym, kompetentnym funkcjonariuszem policji. Wpatrywała się więc w grzbiet utrudzonego konia i prawie nie odzywała, zbierając wszystkie siły psychiczne, aby, kiedy przyjdzie pora, zachować się jak doświadczony wywiadowca. Wszystko to kontrastowało z moimi wysiłkami, by rozładować napięcie pustą gadaniną. Przy Prince Street zacząłem mieć już dość własnego nerwowego głosu, a przy Broome zaniechałem wszelkich prób nawiązania rozmowy na rzecz obserwacji, jak prostytutki i ich klienci wychodzą z kabaretów. Na jednym rogu jakiś norweski marynarz, tak pijany, że ślina ciekła mu z ust na mundur, dawał się podpierać dwóm tancerkom, podczas gdy trzecia powoli i bezczelnie przeszukiwała mu kieszenie. Nie był to wcale niezwykły widok, ale tej nocy podsunął mi pewną myśl.

– Saro – odezwałem się, gdy przecięliśmy Canal Street i dorożka poturkotała w stronę ratusza – czy byłeś kiedyś u Shanga Drapera?

– Nie – odparła szybko, jej oddech stężał w lodowatym powietrzu; kwiecień, jak zawsze w Nowym Jorku, przyniósł niewielkie wytchnienie po mrozach marca.

Nie był to najlepszy związek rozmowy, ale się go chwyciłem.

– Chodzi mi o to, że przeciętna prostytutka zna więcej sposobów na oszukanie klienta, niż umiałbym wymenić, a dzieci, które pracują w takich miejscach jak zamtuż Drapera, czy zresztą Paresis Hall, są równie sprytne. Może więc nasz człowiek jest jednym z tych klientów? Może został oszukany o jeden raz za dużo i teraz się mści? Była taka teoria co do zabójstw Rozpruwacza.

Sara poprawiła ciężką derkę, która grzała nam nogi, nadal niespecjalnie zainteresowana.

– Przypuszczam, że jest to możliwe, John. Dlaczego pomyślałeś o tym właśnie teraz?

Odwrociłem się do niej.

– Te trzy lata między Zweigami i pierwszym morderstwem w styczniu... a jeśli nasza hipoteza, że zginęło więcej dzieci, tylko nie odnaleziono ich ciał, jest błędna? A jeśli on nie popełnił żadnych innych morderstw w Nowym Jorku, ponieważ go tu nie było?

– Nie było go tutaj? – Sara wreszcie się ożywiła. – To znaczy pojechał gdzieś? Opuścił miasto?

– A jeśli musiał? Na przykład miał rejs? Połowa klientów u Drapera czy Ellisona to marynarze. To mogłoby mieć sens. Gdyby był stałym gościem, nie wzbudzałby żadnych podejrzeń, mógłby nawet znać tych chłopców.

Sara zastanowiła się i skinęła głową.

– To nie jest zła myśl, John. Wtedy z pewnością mógłby przychodzić i wychodzić niezauważony. Zobaczymy, co powiedzą na to inni, kiedy... – Zająknęła się i odwróciła twarz ku ulicy, znów niespokojna. – Kiedy dojedziemy na miejsce.

W dorożce ponownie zapadła cisza.

Castle Garden stoi w parku Battery, musieliśmy więc dotrzeć na sam koniec Broadwayu. Oznaczało to szybką podróż przez mozaikę stylów architektonicznych, które składały się wówczas na wydawniczo-finansowe centrum Manhattanu. W pierwszej chwili dziwił trochę widok takich olbrzymów, jak gmach „Worlda” czy jedenastopiętrowy Narodowy Bank Obuwniczo-Skórzany, strzelających w niebo (w tej epoce sprzed wieżowców Woolwortha i Singera zdawały się strzelać w niebo) ponad przysadzistymi wiktoriańskimi zabytkami w rodzaju Starej Poczty czy siedziby Towarzystwa Ubezpieczeniowego Godziwe Życie. Ale im dłużej człowiek tu przebywał, tym wyraźniej dostrzegał wspólną cechę wszystkich tych budynków, przebijającą największe nawet różnice stylu: bogactwo. Spędziłem na Dolnym Manhattanie sporą część dzieciństwa (mój ojciec zarządzał niedużą spółką inwestycyjną) i zawsze zaskakiwała mnie fantastyczna aktywność, która towarzyszyła zarabianiu i przechowywaniu pieniędzy. Aktywność ta mogła się wydawać na przemian pociągająca i odstręczająca, ale w 1896 stanowiła już bezsprzecznie najważniejszą rację bytu Nowego Jorku.

Tej nocy znów poczułem promieniowanie owej olbrzymiej ukrytej energii, chociaż o drugiej trzydzieści okolica była ciemna i pogrążona we śnie; i kiedy mijaliśmy cmentarz przy kościele Trójcy Świętej – gdzie spoczywał ojciec amerykańskiego systemu bankowego, Alexander Hamilton – uśmiechnąłem się w zdumieniu, myśląc: jest naprawdę bezczelny. Kimkolwiek był nasz człowiek i cokolwiek nim powodowało, nie ograniczał już swej działalności do gorszych dzielnic. Zapuścił się w tę ostoję zamożnej elity i śmiało zostawił ciało w parku Battery, parę kroków od biur najbardziej wpływowych magnatów finansowych w mieście. Tak, jeśli nasz morderca rzeczywiście miał wszystkie klepki, jego najnowszy wyczyn był nie tylko barbarzyński, lecz także zuchwały, w ten szczególny sposób, który zawsze wzbudzał w nowojorczykach jednocześnie odrazę i niechętnie uznanie.

Wysiedliśmy z dorożki na Bowling Green i przeszliśmy przez ulicę, aby wejść do parku. Przy Battery Place stała kolaska Kreizlera, z owiniętym wielką derką Steviem Taggertem na koźle.

– Cześć, Stevie – przywitałem go. – Wpatrujesz chłopców w mundurach?

Skinął głową i wzdrygnął się.

– I trzymam się z daleka od tego – powiedział, wskazując park. – To straszne okropieństwo, panie Moore.

W parku nieliczne latarnie poprowadziły nas prostą alejką ku wyniosłym kamiennym murom Castle Garden. Dawniej był to silnie uzbrojony fort o nazwie Castle Clinton, który bronił Nowego Jorku w wojnie 1812 roku. Potem przekazano go miastu i przerobiono na kryty pawilon, służący przez lata jako opera. W 1855 został przekształcony ponownie, w nowojorską stację imigracyjną; i zanim w 1892 przejęła tę funkcję Ellis Island, przez stary kamienny fort w parku Battery przewinęło się siedem milionów przeszczepionych dusz. Władze miejskie długo szukały dla budowli nowego przeznaczenia i ostatecznie postanowiono ulokować w jej okrągłych murach nowojorskie Akwarium. Trwały właśnie prace adaptacyjne i ich oznaki przywitały Sarę i mnie, nim jeszcze udało nam się wyraźnie dostrzec sylwetkę fortu na tle nocnego nieba.

Przy wejściu natknęliśmy się na Marcusa Isaacsona i Cyrusa Montrose'a, stojących nad jakimś mężczyzną ubranym w długi płaszcz i ściskającym w dłoniach kapelusz z szerokim rondem. Do płaszcza miał przypiętą odznakę, ale w tej chwili nie wyglądał zbyt urzędowo: siedział na stercie desek, trzymając pobladłą twarz nad wiadrem i ciężko oddychając. Marcus próbował zadawać mu pytania, ale mężczyzna był wyraźnie w szoku. Cyrus i Marcus skinęli nam głowami na powitanie.

– Strażnik? – zapytałem.

– Tak – odparł Marcus. Głos miał energiczny, ale bardzo opanowany. – Znalazł zwłoki koło pierwszej, na dachu. Ponoć robi obchód mniej więcej co godzina. – Pochylił się nad mężczyzną. – Panie Miller? Wracam na górę. Nie musi się pan spieszyć, proszę do nas przyjść, jak będzie pan w stanie. Ale pod żadnym pozorem nie wolno panu iść do domu. Rozumie pan?

Mężczyzna podniósł twarz, na której malowało się przerażenie, i tępo skinął głową. Potem znów szybko zgiął się nad wiadrem, ale nie zwymiotował. Marcus zwrócił się do Cyrusa:

– Przypilnuj, żeby nie zwiął, dobrze? Potrzebujemy dużo więcej informacji.

– Tak jest, sierżancie śledczy – odrzekł Cyrus, po czym Marcus, Sara i ja przeszliśmy przez ogromną czarną bramę Castle Garden.

– Strażnik kompletnie się rozsypał – stwierdził Marcus, pokazując głową do tyłu. – Wydobyłem zeń tylko gorące zapewnienia, że o dwunastej piętnaście zwłok jeszcze nie było i że sam zarygłował te frontowe drzwi. Tylne są zawsze zamknięte na łańcuch, sprawdziłem je, nie widać, żeby majstrowano przy kłódkach. Obawiam się, że przypomina to sytuację z Paresis Hall, John. Nie ma jak wejść ani wyjść, ale komuś się to udało.

Remont wnętrza Castle Garden jeszcze trwał. Wśród siatek, tynku i farby stały olbrzymie akwaria, jedne w budowie, drugie skończone, ale puste, inne zajęte już przez lokatorów: rozmaite gatunki egzotycznych ryb, których wielkie oczy i płochliwe ruchy wydawały się aż nadto na miejscu, zważywszy, co wydarzyło się tej nocy w ich nowym domu. Srebrzyste i bajecznie kolorowe łuski błyszcząły w nikłym świetle kilku roboczych lamp, co jeszcze potęgowało niesamowite wrażenie, że ryby są przestraszonymi widzami, szukającymi drogi ucieczki z tego przybytku śmierci, z powrotem w głębokie, ciemne regiony, gdzie nie mieli wstępu ludzie i ich brutalność.

Po starych schodach w jednej ze ścian fortu wspięliśmy się na dach, którym przykryto otwarty niegdyś centralny dziedziniec. Miał on pośrodku dziesięcioboczną wieżyczkę z dwoma oknami w każdym licu i dawał imponujący widok na nowojorski port oraz nową jeszcze wtedy Statuę Wolności Bartholdiego na Bedloe's Island.

Przy krawędzi dachu od strony rzeki stali Roosevelt, Kreizler i Lucius Isaacson. Obok zobaczyłem duży, skrzynkowy aparat fotograficzny na drewnianym statywie, a przed nim, skąpany w świetle kolejnej lampy roboczej, leżał powód naszego zgromadzenia. Krew było widać nawet z daleka.

Uwagę Luciusa pochłaniały zwłoki, ale Kreizler i Roosevelt byli od nich odwrócen i gwałtownie dyskutowali. Gdy Kreizler zobaczył, że wyłaniamy się ze schodów, ruszył ku nam. Roosevelt podążył za nim, kręcąc głową. Marcus podszedł do aparatu, a Laszlo zwrócił się do Sary i do mnie:

– Sądząc ze stanu, w jakim są zwłoki, nie ma żadnych wątpliwości. To robota naszego człowieka.

– Pierwszy był na miejscu posterunkowy z Dwudziestego Siódmego Komisariatu – dodał Theodore. – Mówi, że widywał chłopca regularnie w Złotej Zasadzie, ale nie pamięta, jak się nazywał.

(Klub Rozrywkowy Złota Zasada był domem publicznym przy Zachodniej Czwartej Ulicy, specjalizującym się w chłopiących prostytutkach.)

Kreizler położył dłonie na ramionach Sary.

– To nie jest przyjemny widok.

Skinęła głową.

– Nie oczekiwałam tego.

Laszlo uważnie obserwował jej reakcje.

– Chciałbym, abyś pomogła sierżantowi śledczemu przy obdukcji, wie, że pracowałaś jako pielęgniarka. Niedługo będą tu wywiadowcy z rewiru i każdy z nas ma dużo do zrobienia.

Sara ponownie skinęła głową, wzięła głęboki oddech i ruszyła w stronę Luciusa i zwłok. Kreizler zaczął coś do mnie mówić, ale go uciszyłem i postąpiłem parę kroków za Sarą, ku jasnemu półkolu elektrycznego światła w kącie dachu.

Ofiarą był chłopiec o oliwkowej cerze, delikatnych semickich rysach i gęstych czarnych włosach z prawej strony głowy, bo z lewej zostały wydarte wraz ze skórą, przez co odstąpiła się gładka powierzchnia czaszki. Prócz tego (i nieobecności ran na pośladkach) okaleczenia wydawały się identyczne z tymi, które widziałem u Georgia Santorellego: oczy zostały wylupione, genitalia ucięte i włożone w usta, tors był porznięty głębokimi, krzyżującymi się liniami, nadgarstki związane, a prawą dłoń odrąbano i zabrano z miejsca zbrodni. Jak powiedział Kreizler, nie było żadnych wątpliwości, czyje to dzieło. Równie dobrze morderca mógłby się podpisać. Ta sama straszliwa żałość, którą czułem na wieży mostu Williamsburskiego, powróciła, aby zaprzecić mi dech i wstrząsnąć każdym nerwem mojego ciała.

Nie podchodząc bliżej, bacznie obserwowałem Sarę, gotów jej pomóc, gdyby zasłabła, ale nie chcąc, by pomyślała, że się tego spodziewam. Zobaczywszy ciało, wytrzeszczyła oczy i potrząsnęła głową, szybko i gwałtownie. Potem mocno spłotła dłonie, wzięła kolejny głęboki oddech i stanęła przy Luciusie.

– Sierżancie śledczy – powiedziała – doktor Kreizler mówi, że mam panu pomóc.

Lucius podniósł wzrok – opanowanie Sary zrobiło na nim wrażenie. Wytarł czoło chusteczką.

– Tak. Dziękuję, panno Howard. Zaczniemy od obrażeń czaszki...

Wróciłem do Kreizlera i Roosevelta.

– Twarda z niej sztuka – stwierdziłem, kręcąc głową, ale żaden nie zareagował na tę uwagę.

Kreizler uderzył mnie w pierś jakąś gazetą i przemówił cierpkim tonem:

– Twój przyjaciel Steffens napisał niezły artykuł do porannego wydania „Postu”, John. Jak, jak można być tak głupim?

– Nie ma na to żadnego usprawiedliwienia – dodał ponuro Roosevelt. – Mogę tylko suponować, że Steffens czuje się w porządku, bo nie ujawnił twojego zaangażowania w śledztwo, doktorze. Z samego rana wezwę go do siebie i, do pioruna, wyjaśnię mu sytuację!

Poczesne miejsce na pierwszej stronie „Postu” zajmował artykuł stwierdzający, że „wyższe czynniki policyjne” uznały, iż zabójstwa Zweigów i Santorellego są dziełem tego samego człowieka. Artykuł zwracał mniejszą uwagę na niezwykle charakter zbrodni, podkreślał zaś to, iż śmierć Zweigów wskazuje, że „diabelskiego łotra” interesują nie tylko dziecięce prostytutki. Widać teraz jasno, oświadczał Steffens w swym najlepszym prowokatorskim stylu, że „żadne dziecko nie jest bezpieczne”. Były też inne sensacyjne szczegóły: Santorelli, informował artykuł, został przed śmiercią „wykorzystany” (w rzeczywistości Kreizler nie znalazł żadnych dowodów gwałtu), a w pewnych kręgach mówi się, iż morderstw dokonała jakaś istota nadprzyrodzona, lecz „na znacznie bardziej podejrzanych” wyglądają „niesławny Ellison i jego kamraci”.

Złożyłem gazetę i powoli postukałem nią o udo.

– Bardzo źle się stało.

– Owszem – mruknął Kreizler, hamując gniew. – I musimy spróbować to zło naprawić. Moore, czy mógłbyś nakłonić swoich szefów, aby wydrukowali artykuł dementujący te spekulacje?

– Może mógłbym – odparłem. – Ale wtedy zorientowaliby się, że mam coś wspólnego ze śledztwem. I pewnie kazali komuś pogrzebać głębiej. Przez powiązanie z Zweigami wielu ludzi dużo bardziej się tym zainteresuje.

– Tak, jeśli spróbujemy przeciwdziałać, tylko pogorszymy sprawę – stwierdził Theodore. – Trzeba powiedzieć Steffensowi, żeby siedział cicho, i mieć nadzieję, że artykuł zostanie zignorowany.

– Jak może zostać zignorowany?! – wybuchnął Laszlo. – Nawet jeśli ujdzie uwagi wszystkich innych ludzi w tym mieście, jest jeden człowiek, który go spostrzeże, i lękam się, naprawdę lękam się jego reakcji!

– Myślisz, że ja nie, doktorze? – odparował Theodore. – Wiedziałem, że prasa w końcu się wtrąci, to dlatego nagliłem was do pośpiechu. Nie możecie ciągnąć śledztwa tygodniami i oczekiwać, że nikt nie wspomni o sprawie!

Theodore oparł ręce na biodrach, a Kreizler odwrócił się, niezdolny do odpowiedzi. Przemówił dopiero po dłuższej chwili, tym razem spokojniej:

– Masz rację, komisarzu. Zamiast się spierać, powinniśmy korzystać z szansy, która się nam nadarzyła. Ale na miłość boską, Roosevelt, nawet jeśli musisz omawiać służbowe sprawy z Riisem i Steffensem, uczyn z tej wyjątek.

– O to się nie trap, doktorze – odparł Roosevelt pojednawczym tonem. – Steffens już wcześniej irytował mnie swymi spekulacjami i ten przypadek będzie ostatni.

Kreizler jeszcze raz z oburzeniem pokręcił głową, po czym wzruszył ramionami.

– A więc, do roboty.

Dołączyliśmy do Isaacsonów i Sary. Marcus robił szczegółowe zdjęcia zwłok, a Lucius kontynuował obdukcję, dyktując Sarze terminy medyczne spokojnym i rzeczowym tonem. Co zdumiewające, nasi wywiadowcy w ogóle nie demonstrowali dziwactw, które normalnie budziły śmiech lub konsternację obserwatorów: poruszali się po dachu jak w natchnieniu, tropiąc pozornie nieistotne szczegóły niczym psy gończe i wydając polecenia, jakby to oni, nie Roosevelt czy Kreizler, kierowali śledztwem. My wszyscy, nawet Theodore, pomagaliśmy im, jak mogliśmy, robiąc notatki, trzymając przyrządy i lampy i w ogóle pilnując, by nawet na chwilę się nie rozproszyli.

Gdy Marcus skończył fotografować ciało, zostawił Luciusa i Sarę przy ich ponurym zajęciu i wziął się do „opylania” dachu w poszukiwaniu odcisków palców. Roosevelt, Kreizler i ja wynajdywaliśmy mu powierzchnie na tyle gładkie i twarde, aby mogły „utrwalić” ślady: klamki u drzwi, okna, a nawet nowy ceramiczny komin biegnący wzdłuż dziesięciobocznej wieżyczki, zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym leżały zwłoki. Właśnie ten ostatni obiekt przyniósł nam plon, głównie dlatego, wyjaśnił Marcus, że leniwy strażnik pozwolił, aby ogień w piecu na dole wygasł kilka godzin wcześniej. Przy wyjątkowo czystym kawałku glazurowanej ceramiki, mniej więcej na wysokości, gdzie człowiek wzrostu, jaki Isaacsonowie przyjęli dla naszego mordercy, położyłby dłoń, gdyby opierał się o komin, Marcus wybałuszył oczy i wpadł w podniecenie. Polecił Theodore’owi i mnie, abyśmy rozpostarli brezentową płachtę i zasłonili go przed wiatrem, który wiał od strony portu. Potem delikatnym pędzlem z wielbłądziej sierści rozproszając na kominie grafitowy proszek i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ukazał się nam komplet lekko zamazanych odcisków. Ich umiejscowienie dokładnie odpowiadało hipotetycznemu punktowi oparcia mordercy.

Wyjawszy z kieszeni płaszcza zdjęcie zakrwawionego kciuka Sofii Zweig, Marcus przystawił je do komina. Laszlo przysunął się bliżej i bacznie obserwował całą procedurę. Ciemne oczy Marcusa zaiskrzyły się, gdy porównywał odciski, a gdy odwrócił się do Kreizlera, wręcz płonął. „Pasuje”, powiedział zaskakująco opanowanym głosem. Poszli z Kreizlerem po aparat fotograficzny, a Theodore i ja dalej trzymaliśmy brezent. Marcus zrobił kilkanaście zbliżeń odcisków. Błyski magnezji oświetlały cały dach, ale szybko nikły w ciemnościach.

Potem Marcus kazał nam zbadać krawędzie dachu: czy znajdziemy, jak to ujął, „jakiejkolwiek ślady ludzkiej działalności – nawet najmniejsze rysy, szczyrby albo dziury w kamieniarce”. Oczywiście budowla, która stoi przy nowojorskim porcie, musi mieć mnóstwo rys, szczyrb i dziur w kamieniarce, ale posłusznie zabraliśmy się we trzech do roboty i krzyczeliśmy, gdy któryś natrafił na coś, co zdawało się odpowiadać powyższym mglistym wskazówkom. Marcus, który badał masywną balustradę wieńczącą dach, podbiegał, aby sprawdzić każde z tych znalezisk. Większość alarmów okazała się fałszywa, ale na samym krańcu dachu, w najciemniejszym, najgłębszym kącie, Roosevelt odkrył ślady, które Marcus uznał za bardzo obiecujące.

Jego następna prośba była dość dziwna. Wziął linę i obwiązał się jednym końcem w pasie, po czym okręcił ją wokół balustrady i podał Rooseveltowi i mnie. Mieliliśmy popuszczać linę, w miarę jak będzie schodził po tylnym murze fortu. Kiedy go spytaliśmy o cel tej gimnastyki, wyjaśnił tylko, że pracuje nad teorią, w jaki sposób morderca osiąga pozornie niedostępne miejsca. Tak wielkie było skupienie sierżanta śledczego i nasze pragnienie, by go nie rozpraszać, że zadowoliliśmy się tą odpowiedzią.

Schodząc po murze, Marcus wydawał co jakiś czas radosne okrzyki odkrywcy, po czym wołał, żeby spuścić go niżej. W trakcie tych zmagania z liną streściłem Rooseveltowi i Kreizlerowi (który ze względu na kaleką rękę nie mógł nam pomóc) moje wcześniejsze przemyślenia dotyczące zajęcia i zwyczajów mordercy. Reakcja Laszla była uważna, ale mieszana.

– Możesz mieć rację, że jest stałym gościem w lokalach, gdzie ci chłopcy pracują, Moore. Ale co do sugestii, że to człowiek nietutejszy, przejezdny... – Laszlo odszedł kilka kroków, by przyrzeć się pracy Luciusa Isaacsona. – Pomyśl, co on robi: zostawia sześć ciał, sześć, o których wiemy, w coraz bardziej publicznych miejscach.

– Rzeczywiście – powiedział z wysiłkiem Theodore, gdy znów popuściliśmy nieco linę – wskazuje to na człowieka, który zna miasto.

– Zna je bardzo dobrze – wtrącił Lucius, przysłuchujący się naszej rozmowie. – Po tych okaleczeniach nie widać pośpiechu. Brzegi nie są zwichrowane ani postrzępione. Morderca dysponował czasem. Sądzę, że – w tym i w pozostałych przypadkach – dokładnie wiedział, jak długo mu zejdzie.

Prawdopodobnie wedle tego wybiera miejsca. To by się zgadzało z naszym wcześniejszym założeniem, że potrafi planować. A sposób wyłupienia oczu znów świadczy o bardzo zręcznej, pewnej ręce, jak również niezłej znajomości anatomii.

Kreizler zastanowił się chwilę.

– Kto mógłby to zrobić, sierżancie śledczy? Lucius wzruszył ramionami.

– Według mnie mamy kilka możliwości. Oczywiście lekarz, a przynajmniej człowiek o znacznej wiedzy medycznej. Być może wprawny rzeźnik... albo bardzo doświadczony myśliwy. Taki, który nie zwykł marnować upolowanej zwierzyny, który umiałby nie tylko sprawić główne partie mięsa, lecz także wykorzystać drugorzędne źródła pożywienia: oczy, wnętrzności, kopyta i resztę.

– Skoro jest taki rozważny, dlaczego popełnia te okropności na otwartej przestrzeni? – zapytał Theodore. – Dlaczego się gdzieś nie schowa?

– Ostentacja – odrzekł Kreizler, podchodząc do nas. – Świadomość, że jest w ogólnie dostępnym miejscu, zdaje się wiele dlań znaczyć.

– Pragnienie, by zostać schwytanym? – podesunąłem. Kreizler skinął głową.

– Na to wygląda. Walczące z pragnieniem ucieczki. – Odwrócił się, by popatrzeć na port. – Te miejsca mają ze sobą jeszcze coś wspólnego...

W tym momencie Marcus krzyknął, żeby go wciągnąć z powrotem. Spełniliśmy polecenie kilkoma długimi, mozolnymi szarpnięciami, odliczanymi przez Roosevelta. Na pytanie Kreizlera, co znalazł, Marcus odparł, że nie chce nic mówić, póki nie będzie w miarę pewny swojej teorii, i zajął się robieniem notatek. Tymczasem Lucius zawołał:

– Doktorze? Chciałbym, żeby pan na coś spojrział.

Kreizler natychmiast podszedł do zwłok, ale Theodore i ja chwilę się ociągaliśmy – niezaprawione oko ma ograniczoną odporność. Nawet Sara, z początku taka dzielna, teraz odwracała wzrok, kiedy tylko mogła – długotrwała obdukcja niewątpliwie wyczerpała ją psychicznie.

– Kiedy badał pan Georgia Santorellego, doktorze – zaczął Lucius, zdejmując sznurek, którym były związane nadgarstki chłopca – czy zauważył pan jakieś otarcia lub skaleczenia w tej okolicy?

Uniósł lewą dłoń ofiary i pokazał przegub.

– Nie – odparł sucho Kreizler. – Prócz tego, że prawa dłoń była odcięta, nie zauważyłem nic znaczącego.

– Żadnych zadrapań lub siniaków na przedramieniu? – dopytywał się Lucius.

– Żadnych.

– Tak. To by potwierdzało naszą hipotezę. – Puścił martwą rękę i otarł czoło. – To dość szorstki szpagat – podjął, wskazując najpierw kawałek sznurka, a potem znowu nadgarstek chłopca. – Nawet podczas krótkiej walki zostawiłby wyraźne ślady.

Sara przeniosła wzrok ze sznurka na Luciusa.

– Więc... więc nie było żadnej walki?

W jej głosie dźwięczał prawdziwy smutek, który napełnił i moje serce, ponieważ wnioski były oczywiste. Lucius wypowiedział je głośno:

– Podejrzewam, że chłopiec pozwolił się związać i że nawet podczas duszenia nie stawiał oporu. Mógł nie zdawać sobie sprawy, co się dzieje. Zwróćcie uwagę, gdyby doszło do ataku i jakiejś obrony, znaleźlibyśmy również skaleczenia albo chociaż siniaki na ramionach. Ale znowu nic takiego nie ma. Więc... – Popatrzył na nas. – Sądzę, że chłopiec znał mordercę. Mogli się nawet angażować w takie wiązanie przy innych okazjach. W celu... seksualnym, według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Theodore gwałtownie zaczerpnął oddechu.

– Dobry Boże...

Spojrzawszy na Sarę, zobaczyłem błyski w kąciakach jej oczu: napływające łzy, które szybko pohamowała.

– To ostatnie to oczywiście tylko teoria – dodał Lucius. – Tego jednak, że chłopiec znał mordercę, jestem pewien.

Kreizler powoli skinął głową, przymrużył oczy i wyszeptał:

– Znał go i ufał mu.

Lucius wreszcie wstał i odwrócił się od zwłok.

– Tak – powiedział i zgasił lampę.

Wtedy Sara zerwała się na równe nogi i pobiegła na najdalszy koniec dachu. Spojrzeliśmy pytająco po sobie i ja poszedłem za nią. Zbliżywszy się powoli, zobaczyłem, że patrzy na Statuę Wolności i że, co trochę mnie zaskoczyło, wcale nie wstrząsa nią szloch. Stała zupełnie nieruchomo, wręcz sztywno. Nie odwracając się, powiedziała:

– Proszę, nie podchodź bliżej, John. – Jej ton był jak najdalszy od hysterii, wprost lodowato spokojny. – Wolałabym nie mieć koło siebie żadnych mężczyzn. Chociaż przez chwilę.

Zatrzymałem się stropiony.

– Przepraszam, Saro. Chciałem ci tylko pomóc. Wiele tej nocy widziałaś.

Zaśmiała się krótko, z goryczą.

– Tak. Ale nie jesteś w stanie mi pomóc. – Umilkła, lecz nie ruszyłem się z miejsca. – A my myśleliśmy – podjęła w końcu – że to może być kobieta...

– Myśleliśmy? – powtórzyłem. – O ile wiem, nie wykluczyliśmy jeszcze tej ewentualności.

– Wy może nie. Zapewne nie powinnam tego od was oczekiwać. Płec działa tu na waszą niekorzyść.

Odwrociłem się, wyczuwając czyjaś bliskość, i zobaczyłem, że ostrożnie podchodzi do nas Kreizler. Gestem nakazał mi milczenie.

– Ale mówię ci, John – ciągnęła Sara – to dzieło mężczyzny. Gdyby tego chłopca zabiła kobieta, nie... – Zabrakło jej słów. – Całe to cięcie, wiązanie, klucie... Nigdy tego nie zrozumiem. Ale nie sposób się pomylić, gdy... już się to zobaczy. – Roześmiała się ponuro. – I najwyraźniej zawsze zaczyna się od zaufania...

Znów zapadła niezręczna cisza; tymczasem Kreizler dotknął mojego ramienia i ruchem głowy wskazał drugi koniec dachu.

– Daj mi parę minut, John – dokończyła wreszcie Sara. – Dojdę do siebie.

Odeszliśmy po cichu i kiedy Sara nie mogła nas już słyszeć, Laszlo mruknął:

– Oczywiście ma rację. Nigdy nie spotkałem się z żadną kobietą psychozą – poporodową czy inną – którą można by z tym porównać. Ale minąłby pewnie absurdalnie długi czas, zanimbym to sobie uświadomił. W przyszłości powinniśmy lepiej wykorzystywać perspektywę Sary, John. – Rozejrzał się szybko dookoła. – Najpierw jednak musimy się stąd wynieść.

Sara pozostała na krawędzi dachu, a my zaczęliśmy zbierać sprzęt Isaacsonów i usuwać wszelkie ślady naszej obecności, przede wszystkim smugi proszku do wykrywania odcisków palców. Podczas tej krzątaniny Marcus skonstatował, że trzy z sześciu morderstw, które teraz z pełnym przekonaniem przypisywaliśmy naszemu człowiekowi, zdarzyły się na dachach: fakt znaczący, ponieważ w 1896 nowojorskie dachy były drugorzędnymi, ale licznie uczęszczanymi trasami miejskiej komunikacji, górnym odpowiednikiem chodników z własnym, charakterystycznym typem ruchu. Zwłaszcza w czynszowych slumsach pewne kategorie osób załatwiały swoje interesy, nie schodząc czasem na ulicę przez cały dzień – wierzyciele ściągający długi, pracownicy administracji i Kościoła, domokrażcy, pielęgniarki i tak dalej. Wysokość czynszu zależała na ogół od wysiłku, jakiego wymagało dotarcie do danego mieszkania, a zatem najbiedniejsi lokatorzy zajmowali najwyższe piętra. Ludzie, którzy mieli do nich sprawy, zamiast wielokrotnie pokonywać strome i często niebezpieczne schody, wędrowali od domu do domu po dachach. Co prawda nadal nie wiedzieliśmy, jak morderca dostaje się na te dachy, ale było oczywiste, że porusza się po nich z wielką wprawą. Tak więc hipoteza, że wykonywał, lub wykonuje, któryś z tych „dachowych” zawodów, była warta zbadania.

– Czymkolwiek ten człowiek się zajmuje – powiedział Theodore, zwijając linę, na której spuszczałyśmy Marcusa po murze – tylko chłodny umysł mógłby tak precyzyjnie zaplanować podobny akt przemocy i tak starannie go dokonać, wiedząc, że w każdej chwili może zostać schwytany.

– Istotnie – przyznał Kreizler. – To sugeruje wojskowego ducha, prawda, Roosevelt?

– Co takiego? – Theodore odwrócił się do Kreizlera z bez mała urażoną miną. – Wojskowy? Nie to miałem na myśli, doktorze, zupełnie nie to! Za nic nie nazwałbym tego dziełem żołnierza.

Laszlo nieznacznie się uśmiechnął, świadom, że Theodore (który wyczyny na wzgórzu San Juan¹⁴ miał wtedy jeszcze przed sobą) od dzieciństwa traktuje sztukę wojсковą z tą samą chłopcęcią czcią.

– Być może – odparł przekornie Kreizler. – Ale chłodna głowa do starannie zaplanowanej przemocy? Czy nie tego uczy się żołnierzy?

Theodore głośno odchrząknął i odsunął się od Kreizlera, którego uśmiech tylko stał się szerszy.

– Proszę to zanotować, sierżancie śledczy – zawołał Laszlo. – Niezbite dowody wojskowej przeszłości!

14

Chodzi o udział Roosevelta w wojnie amerykańsko-hispańskiej 1898 roku, gdy – zrzekłszy się funkcji zastępcy sekretarza Departamentu Marynarki – wyruszył na Kubę na czele sformowanego przez siebie pułku kawalerii, tzw. „Surowych Jeźdźców”, i walczył m.in. w bitwie o wzgórze San Juan.

Roosevelt jeszcze raz się odwrócił, z gniewem w oczach, ale ledwie ryknął „Do pioruna!”, na dach wpadł Cyrus.

– Panie doktorze! – wykrzyknął. – Lepiej się stąd zbierajmy! Wyciągnął swą wielką rękę i wszyscy powiedliśmy za nią wzrokiem.

Wokół parku Battery, w pobliżu bram, zbierali się ludzie: nie eleganccy, kulturalni przechodnie, jacy bywali tu w ciągu dnia, lecz kłębiące się grupki nędznie odzianych mężczyzn i kobiet, których ubóstwo było widoczne nawet z daleka. Częśćniosła pochodnie i wielu towarzyszyły dzieci, którym ten niezwykły poranny spacer zdawał się sprawiać dużą przyjemność. Tłum na razie zachowywał się spokojnie, ale w powietrzu wisiała groźba linczu.

ROZDZIAŁ 15

Sara podeszła i stanęła przy mnie.

– John, kim oni są?

– Pierwsze, co mi przychodzi do głowy – odparłem, czując inny i dużo poważniejszy niepokój niż w którymkolwiek momencie tej nocy – to, że przeczytali poranne wydanie „Posta”.

– Czego mogą chcieć? – zapytał Lucius; mimo zimna czoło miał bardziej spocone niż zwykle.

– Zapewne chcą wyjaśnień – odrzekł Kreizler. – Ale skąd wiedzieli, że mają przyjść tutaj?

– Był tu policjant z Dwudziestego Siódmego – powiedział Cyrus, wciąż bardzo niespokojny, gdyż podobny motłoch zakatował na śmierć jego rodziców. – Rozmawiał z dwoma mężczyznami, coś im tłumaczył. Potem tamci weszli w tłum i zaczęli gardłować, jak to giną tylko ubogie imigranckie dzieci. Zdaje się, że większość tych ludzi przyszła z East Side.

– Ten policjant to bez wątpienia posterunkowy Barclay – stwierdził Theodore, z twarzą pałającą tym szczególnym gniewem, który budziła w nim niesubordynacja podwładnych. – On był tu przed nami.

– Miller ucieka! – zawołał nagle Marcus. Spojrzawszy w dół, zobaczyłem, że strażnik pędzi bez kapelusza w stronę promu na Bedloe’s Island.

– Na szczęście zatrzymałem jego klucze – dodał Marcus. – Coś mi się wydawało, że nie zostanie tu długo.

W tym momencie zgiełk wśród największej grupy, znajdującej się na wprost nas i doskonale widocznej przez bezlistne gałęzie parkowych drzew, zaczął się wzmacniać i osiągnął *crescendo* w serii jadowitych wrzasków. Usłyszeliśmy stukot końskich kopyt i kół powozu i na głównej alei parku pojawiła się kolaska Kreizlera. Poganiając Fredericka batem, Stevie okrążył fort i podjechał pod tylną bramę.

– Brawo, Stevie – mruknąłem, odwracając się do pozostałych. – To najlepsza droga ucieczki: tylnym wyjściem i wzdłuż rzeki!

– Lepiej się spieszymy – powiedział Marcus. – Idą tu.

Dalej wznosząc okrzyki, tłum zebrany pod głównym wejściem wtargnął do parku, na co grupy z prawej i lewej strony także ruszyły naprzód. Stało się jasne, że z pobliskich ulic napływa coraz więcej ludzi i wkrótce ciżbę będzie można liczyć na setki. Ktoś dokonał mistrzowskiej prowokacji.

– Do kroćset! – wykrzyknął Theodore. – Gdzie jest nocny patrol z Dwudziestego Siódmego? Przypieczę ich na rozżarzonych węglach!

– Świetny plan na resztę poranka – odparł Kreizler, kierując się w stronę schodów.

– Ale w tej chwili musimy uciekać.

– Kiedy to miejsce przestępstwa! – zaprotestował z oburzeniem Theodore. – Nie spustoszy mi go żaden motloch, o cokolwiek by miał pretensje! – Rozejrzał się po dachu i podniósł solidny kawałek deski. – Doktorze, nie mogą tu zastać ciebie i Moore’a. Weźcie pannę Howard i jedźcie. Sierżanci śledczy i ja stawimy czoło tym ludziom przy frontowej bramie.

– Stawimy? – wyrwało się Luciusowi.

– Bez obawy, młodzieńcze – odrzekł Roosevelt z uśmiechem, energicznie ściskając go za ramię, po czym przebił nocne powietrze kilkoma sztychami swojej deski. – Ten fort obronił nas przed Imperium Brytyjskim, na pewno oprze się ciżbie z Lower East Side!

Była to jedna z tych chwil, w których chciało się Theodore’a uderzyć, choćby nawet jego junactwo miało jakiś sens.

Aby ukryć charakter naszej wizyty w forcie, musieliśmy zabrać cały sprzęt Isaacsonów. Przedarłszy się na dół i między akwariami, załadowaliśmy liczne pudła do kolaski. Kiedy się odwróciłem, by życzyć braciom powodzenia, Marcus zdawał się szukać czegoś na ziemi, a Lucius niespokojnie sprawdzał służbowy rewolwer.

– Być może nie uda wam się uniknąć walki – powiedziałem z uśmiechem, który miał im dodać otuchy – ale nie pozwólcie, żeby Roosevelt sam ją sprowokował.

Lucius tylko jęknął, ale Marcus uśmiechnął się dzielnie i uściśnił mi dłoń.

– Spotkamy się w sztabie – odparł.

Po tych słowach zamknęli tylne drzwi fortu i na powrót założyli łańcuchy z kłódkami. Chwyciwszy się burty, wskoczyłem na stopień powozu – Kreizler i Sara zajęli już ławeczkę, a Cyrus siedział ze Steviem na koźle – i gwałtownie ruszyliśmy alejką prowadzącą na nabrzeże, a potem ku północy. Zgiełk tłumy zebranego wokół Castle Garden narastał, ale kiedy znaleźliśmy się na wysokości frontowej bramy, gniewne okrzyki nagle ucichły. Wykręciłem głowę do tyłu i zobaczyłem przed masywnym portalem Theodore’a spokojnie trzymającego deskę w jednej ręce i pokazującego ku skrajowi parku drugą. Żadny działający głupiec po prostu nie mógł usiedzieć w środku. Isaacsonowie stali tuż za nim, gotowi w każdej chwili zaryglować drzwi. Wyglądało jednak na to, że nie będzie to konieczne – zdawało się, że tłum słucha Roosevelta.

Gdy zbliżyliśmy się do północnego krańca parku, Stevie zaciął konia i omal nie wpadliśmy na oddział mniej więcej dwudziestu policjantów, biegnących w stronę Castle Garden. Przy Battery Place skręciliśmy ostro w lewo, aby trzymać się pustego nabrzeża, i w tym momencie ujrzałem – przelotnie, lecz wyraźnie – luksusowy brougham¹⁵ stojący w miejscu, które dawało znakomity widok na fort. W drzwiczkach broughamu pojawiła się dłoń – starannie wymanikiurowana, z gustownym srebrnym sygnetem na małym palcu – a po niej głowa i tors mężczyzny. Nawet w słabym świetle latarni dostrzegłem błysk eleganckiej szpilki do krawata, a zaraz potem przystojne irlandzkie rysy Paula Kelly’ego. Wrzasnąłem do Kreizlera, żeby spojrział, lecz jechaliśmy za szybko, aby mógł zdążyć. Kiedy jednak usłyszał, kogo zobaczyłem, poznałem po jego twarzy, że wyciągnął oczywisty wniosek.

Zgromadzenie pod Castle Garden było więc sprawką Kelly’ego, prawdopodobnie odpowiedzią na uwagi Steffensa o Biffie Ellisonie, które zamieściliśmy w „Post”. Wszystko się zgadzało – Kelly nigdy nie rzucał czczych pogróżek, a podburzenie głęboko i wiecznie niezadowolonego pospólstwa było dla tak przebiegłego człowieka dziecinną igraszką. Niemniej jego posunięcie naraziło nasz zespół na wielkie niebezpieczeństwo – które jeszcze nie minęło; i trzymając się burty pędzącego powozu, ślubowałem sobie, że jeśli coś się stanie Theodore’owi lub Isaacsonom, nie подарuję tego szefowi Five Pointersów.

Stevie nie opuścił Frederickowi przez całą drogę, i nikt go o to nie prosił. Na koślawo wybrukowanych ulicach West Side stały kałuże i zanim dotarliśmy na Broadway 808, byłem cały ubłocony, przemarznięty do szpiku kości i gotów ogłosić fajrant na tę noc (albo poranek, bo niewiele już brakowało do świtu). Musieliśmy jednak wtaszczyć sprzęt do mieszkania i na gorąco zanotować nasze refleksje o morderstwie. Kiedy winda wjechała na piąte piętro, Kreizler odkrył, że nie ma klucza, więc dałem mu swój, oblepiony błotem. Ogólnie biorąc, o 5.15 tego sobotniego ranka zameldowała się w sztabie przemoczona i wyczerpana grupka wywiadowców.

Tym większe było więc moje zaskoczenie i radość, gdy przywitały mnie zapachy smażących się steków i jajek oraz świeżo zaparzonej, mocnej kawy. W małej kuchni na końcu naszego piętra paliło się światło i zobaczyłem, jak Mary Palmer – w ładnej białej bluzce, szkockiej spódnicy i fartuchu zamiast codziennego niebieskiego mundurka – krząta się szybko i sprawnie przy garnkach. Odstawiłem pudła, które dźwigałem.

– Bóg zesłał mi anioła – powiedziałem, człapiąc w stronę kuchni.

Na widok mojej zabłoconej postaci wyłaniającej się z cienia Mary lekko drgnęła, ale jej błękitne oczy wnet nabrały spokojnego wyrazu i z nieśmiałym uśmiechem podała mi kawałek skwierczącego steku na końcu długiego widelca, a potem kubek kawy.

– Mary, skąd ci... – zacząłem, ale głód nie pozwolił mi dokończyć. Skupiłem się na pysznym jedzeniu.

Dziewczyna mogłaby nakarmić pułk wojska: na głębokich żelaznych patelniach, które musiała przynieść z domu Kreizlera, smażył się dobry mendel jajek i plastry całej połędwicy wołowej. Chętnie zostałbym tam dłużej, pławiąc się w ciepłe i aromatach, ale odwróciwszy się, zobaczyłem Laszla, który stał za mną ze skrzyżowanymi ramionami i nachmurzoną miną.

– Ach tak – powiedział. – Teraz już wiem, gdzie się podział mój klucz.

Uznałem, że ta przygana jest żartem.

– Laszlo – wybełkotałem z pełnymi ustami – czuję, że wracam do życia...

– Czy mógłbyś nas na chwilę zostawić, Moore? – poprosił Kreizler, tym samym surowym tonem.

Z twarzy dziewczyny wyczytałem, iż wie, choćbym ja tego nie wiedział, że sprawa jest poważna. Zgarnąłem więc na talerz parę jajek i drugi stek, chwyciłem mój kubek z kawą i skierowałem się do pokoju.

Gdy tylko wyszedłem z kuchni, Kreizler zaczął upominać Mary, nie przebieając w słowach. Na swoją obronę biedaczka miała tylko sporadyczne „nie” i ciche chlipnięcia. Nie rozumiałem tego; według mnie spisała się na medal i Kreizler traktował ją podle. Te rozważania przerwali mi niebawem Cyrus i Stevie, zawisając nad moim talerzem jak dwa sępy.

– Spokojnie, chłopcy – powiedziałem, zastaniając jedzenie. – Obędzie się bez przemocy. Jest tego jeszcze mnóstwo.

Rzucili się natchmiast w stronę kuchni i po drodze wpadli na Kreizlera.

– Zjedzcie coś – polecił im szorstko – i odwieźcie Mary do domu. Jak najszybciej.

Obydwał przytaknęli mamrotliwie i runęli na niepodejrzewające niczego steki i jajka. Kreizler przyciągnął jedno z zielonych krzesel markiza Carcano między biurko Sary i moje i opadł na nie ze znużeniem.

– Nie chcesz nic zjeść, Saro? – zapytał cicho. Dziewczyna opierała głowę na rękach złożonych na blacie biurka, ale podniosła ją na chwilę, by się uśmiechnąć i powiedzieć:

– Nie. Dziękuję, doktorze, nie mogłabym. Zresztą nie sędzę, aby Mary chciała mnie widzieć w kuchni.

Laszlo skinął głową.

– Nie byłeś dla niej trochę za ostry, Kreizler? – spytałem na tyle surowo, na ile pozwoliło mi jedzenie w ustach.

Westchnął i zamknął oczy.

– Muszę cię prosić, John, abys się nie wtrącał. Może i jestem ostry, ale nie chcę, by Mary wiedziała cokolwiek o śledztwie. – Otworzył oczy i spojrział w stronę kuchni.

– Z wielu powodów.

Są w życiu chwile, gdy człowiek czuje się tak, jakby wszedł w trakcie przedstawienia do niewłaściwego teatru. Nagle zdałem sobie sprawę, że między Laszlem, Mary i Sarą przebiegają jakieś bardzo dziwne prądy. Nie potrafiłbym ich nazwać, nawet gdyby mi za to płacono, ale kiedy wyciągnąłem z dolnej szuflady biurka butelkę dobrego francuskiego koniaku i wlałem trochę do parującej kawy, dotarło do mnie, że atmosfera w pokoju jest naładowana elektrycznością. To instynktowne odczucie potwierdziło się, gdy Mary, Stevie i Cyrus wyszli z kuchni i Kreizler poprosił o zwrot swojego klucza. Mary oddała mu go z wyraźną niechęcią i opuszczając pokój, posłała Sarze szybkie, złe spojrzenie. Nie było wątpliwości – coś się za tym wszystkim kryło.

Mieliśmy jednak ważniejsze sprawy na głowie i po wyjściu tamtych mogliśmy się zabrać do ich omawiania. Kreizler podszedł do tablicy, którą już wcześniej podzielił na trzy części: DZIECIŃSTWO z lewej strony, INTERWAŁ pośrodku oraz ASPEKTY ZBRODNI z prawej, i w odpowiednich rubrykach zaczął notować teorie wysnute przez nas na dachu Castle Garden, zostawiając trochę miejsca na spostrzeżenia, które mogli poczynić Isaacsonowie, odkąd się rozstaliśmy. Na koniec dał krok do tyłu, aby ocenić rezultat; i chociaż świadczył on, według mnie, o pracowitej nocy, Laszlo wyglądał na niezadowolonego. Dłuższy czas przestępował z nogi na nogę, podrzucając kredę, i wreszcie oświadczył, że musimy dodać jeszcze jeden znaczący szczegół: w prawym górnym rogu tablicy, pod nagłówkiem ASPEKTY ZBRODNI, napisał WODA.

Ja się stropiłem, ale Sara po chwili namysłu powiedziała, że od stycznia wszystkie morderstwa są popełniane nad wodą, a Zweigów znaleziono w zbiorniku wodnym. Kiedy spytałam, czy nie jest to zwykły przypadek, Kreizler odparł, że wątpi, aby tak staranny planista jak nasz morderca pozostawiał wiele przypadkowi. Potem podszedł do swojego biurka i wyciągnął ze sterty książek jakiś stary, oprawiony w skórę tom. Gdy włączył małą lampkę, zebrałem się w sobie, oczekując długiego naukowego cytatu z kogoś w rodzaju profesora Mosso z Turynu (który, jak się niedawno dowiedziałem, dokonał przełomowych odkryć, mierząc fizyczne objawy stanów emocjonalnych). Ale to, co Laszlo przeczytał, cichym, zmęczony głosem, było zupełnie inne.

– „Któż sam pojąć może swe błędy? Oczyszczyć mnie, Panie, z ukrytych win”.

Kreizler zgasił lampkę i usiadł. Zaryzykowałem przypuszczenie, że cytat pochodził z Biblii, na co Laszlo skinął głową i powiedział, że nigdy nie przestał go zdumiewać, ile wzmianek o „oczyszczaniu” można znaleźć w pismach religijnych. Dodał szybko, że bynajmniej nie sądzi, aby nasz człowiek cierpiał na jakąś religijną manię czy demencję; zacytował ten fragment, aby wykazać, cokolwiek poetycko, w jakim stopniu dręczy mordercę poczucie grzechu i winy, na które woda jest typowym metaforycznym antidotum.

Sara nie mogła przełknąć tej uwagi. Niecierpliwym, wręcz wzburzonym tonem oświadczyła, że Kreizler uparcie trzyma się poglądu, iż morderca jest świadom natury swoich czynów i pragnie, by go schwytano – a przecież dalej zabija młodych chłopców. Jeśli przyjmiemy, że jest zdrow na umyśle, powstaje pytanie, jaką satysfakcję lub korzyść może czerpać z tej rzezi. Zanim Laszlo skomentował ów cięty wywód, pomilczał chwilę, ważąc słowa. Wiedział, że dla Sary była to długa i trudna noc. Ja wiedziałem również, że ostatnią rzeczą, jaką chce się usłyszeć po obejrzeniu tych zmasakrowanych zwłok, jest szczegółowa analiza psychiki sprawcy; smutek, gniew i przerażenie są zbyt wielkie. Nie zmieniało to jednak faktu, że musieliśmy taką analizę przeprowadzić, i to właśnie teraz, na gorąco. Trzeba więc było nakłonić Sarę, aby skupiła się na tym zadaniu, i Laszlo spróbował to zrobić okrężną drogą, zadając jej kilka łagodnych, pozornie niezwiązanych ze sprawą pytań.

Wyobraź sobie, powiedział, że wchodzisz do dużego, dość zniszczonego pomieszczenia, rozbrzmiewającego głosami ludzi, którzy bez ustanku mamroczą coś pod nosem. Nagle ci ludzie padają na twarz, niektórzy z łkaniem. Gdzie jesteś? W zakładzie dla obłąkanych, odparła bez namysłu Sara. Owszem, przyznał Kreizler, ale równie dobrze możesz być w kościele. W pierwszym miejscu takie zachowanie będzie szalone, w drugim nie tylko normalne, lecz także jak najbardziej godne szacunku. Laszlo podał inne przykłady: gdyby jakiejś kobiecie i jej dzieciom groziła wszelka możliwa przemoc ze strony grupy mężczyzn, i jedyną bronią, jaką matka by dysponowała, był, powiedzmy, topór rzeźniczy, czy Sara uznałaby jej z konieczności makabryczne wysiłki, aby zabić napastników, za działanie szalonej sadystki? Albo gdyby inna matka dowiedziała się, że jej mąż bije i wykorzystuje seksualnie ich dzieci, i w środku nocy poderżnęła mu gardło, czy kwalifikowałoby się to jako niedopuszczalne okrucieństwo? Sara stwierdziła, że odpowie „nie” na obydwa pytania, ale jej zdaniem takie przypadki bardzo się różnią od naszego. Laszlo miał na to gotową ripostę: jedyna różnica, oświadczył, tkwi w jej percepcji poszczególnych przykładów. Dorosły broniący dziecka lub dziecko broniące się samo – w takim kontekście Sara potrafiłaby usprawiedliwić nawet najstraszliwszą przemoc. A jeśli nasz morderca widzi w swych czynach właśnie taką obronę? Czy Sara mogłaby uelastyczyć swoje stanowisko na tyle, by zrozumieć, że każda ofiara i sytuacja prowadząca do zbrodni przypomina mordercy jakieś dawne zagrożenie lub akt przemocy i zmusza go, z przyczyn, których jeszcze w pełni nie ustaliliśmy, do zastosowania brutalnych środków?

Sara nadal raczej nie chciała niż nie mogła tego wszystkiego pojąć. Natomiast ja, ku własnemu zaskoczeniu, stwierdziłem, że rozumiuję dokładnie tak samo jak Kreizler. Może brandy zwiększyła moją sprawność intelektualną; w każdym razie bąknąłem, że każde zwłoki wydają się, w świetle słów Laszla, swego rodzaju lustrem. Kreizler z satysfakcją podniósł pięść i powiedział: właśnie – zwłoki stanowią lustrzane odbicie jakichś okrutnych doświadczeń, które miały decydujący wpływ na kształtowanie się psychiki naszego mordercy. Czy wybierzemy podejście biologiczne i skupimy się na powstawaniu tego, co profesor James nazwał „drogą impulsów nerwowych”, czy też drogę filozoficzną, wiodącą do dyskusji o rozwoju duszy, uzyskamy to samo: obraz człowieka, dla którego przemoc jest nie tylko głęboko zakorzenionym zachowaniem, lecz także punktem wyjścia znaczących przeżyć. To, co morderca widzi, patrząc na te martwe dzieci, stanowi jedynie odzwierciedlenie tego, co – jak uważa – zrobiono jemu w jakimś momencie odległej przeszłości. Oczywiście, kiedy my patrzymy na ciała, myślimy przede wszystkim o tym, by pomścić zmarłych i ochronić przyszłe ofiary. Ale jak na ironię, morderca sądzi, że to właśnie zapewnia sobie: pomstę za dziecko, którym był, i ochronę udręczonego dorosłego, którym się stał.

Choć Kreizler wyjaśnił to Sarze z wielką starannością, nie udało mu się wpłynąć na jej stanowisko. Było po prostu za wcześnie, by oczekiwać, że dziewczyna ochłonie po przeżyciach, w Castle Garden i wróci do równowagi. Wiła się na krześle, kręcąc głową i protestując, że wszystko, co Kreizler mówi, brzmi jak dość absurdałna racjonalizacja: porównuje emocjonalne i fizyczne niedole dzieciństwa z najgorszym rodzajem żądy krwi u dorosłego, a żadna taka zależność nie istnieje – te dwa zjawiska są wobec siebie całkowicie niewspółmierne. Kreizler odparł, iż może się tak wydawać, ale tylko dlatego, że Sara sama ustala tę miarę, opierając się na własnych doświadczeniach. Gniew i destrukcyjność nie były przewodnimi instynktami jej życia... ale gdyby się nimi stały, znacznie wcześniej, niż zaczęła świadomie rozumować? Jakie zwykłe praktyczne działania mogłoby ulżyć tak głęboko zakorzenionej wściekłości? Naszemu człowiekowi nie przynosiły tej ulgi nawet brutalne morderstwa; w przeciwnym razie nadal spokojnie robiłby swoje, ukrywając ciała i nie narażając się na schwytanie.

Widząc, że wszystkie te rozsądne argumenty nie przekonują naszej upartej partnerki, zaproponowałem, abyśmy poszli do domów trochę się przespać. Podczas naszej rozmowy nad miastem wstało słońce, a po całonocnym czuwaniu zwykle wywołuje to w człowieku stan krańcowej dezorientacji. Na pewno Kreizler też wiedział, że odpoczynek sprowadzi wiele spraw do właściwych wymiarów; mimo to, gdy Sara i ja wychodziliśmy, zwrócił się do niej z jeszcze jedną prośbą: niech nie pozwoli, aby odraza i gniew przesłoniły jej cel naszego przedsięwzięcia. Tej nocy wyszło na jaw, że jej rola jest jeszcze ważniejsza, niż początkowo myślał: morderca spędził dzieciństwo wśród mężczyzn i kobiet, i cokolwiek reszta z nas może wnioskować o kobietach mających nań wpływ, nasze teorie będą jedynie stronniczymi przypuszczeniami. Do Sary należy więc zapewnienie nam innej perspektywy, „stworzenie” kobiety, lub kobiet, które mogły się przyczynić do narodzin takiej wściekłości. Bez tego nie możemy liczyć na sukces.

Usłyszawszy o tym nowym obowiązku, Sara ze znużeniem skinęła głową. Wiedziałem, że muszę ją uwolnić od Kreizlera, który był męczący nawet po przespanej nocy. Otworzyłem drzwi i zaprowadziłem dziewczynę do windy. Kiedy zjeżdżaliśmy, jedynym słyszalnym dźwiękiem był cichy, dziwnie kojący szum maszynerii, rozbrzmiewający echem w ciemnym szybie.

Na parterze spotkaliśmy Isaacsonów. Ich powrót opóźnił nie motłoch pod Castle Garden (ludzie rozeszli się wkrótce po naszym odjeździe), lecz Theodore, który niemal siłą zaciągnął wywiadowców do jednego ze swych ulubionych lokali przy Bowery Street na zwycięskie śniadanie złożone ze steków i piwa. Wyglądali obaj na równie wyczerpanych jak Sara i ja, a ponieważ przed pójściem do domu musieli jeszcze zdać sprawozdanie Kreizlerowi, zamieniliśmy tylko parę słów. Umówiłem się z Marcusem, że po południu odwiedzimy Klub Rozrywkowy Złota Zasada, po czym Isaacsonowie wsiedli do windy, a Sara i ja wyszliśmy na opustoszały Broadway poszukać dorożki.

Niewielu fiaków zdecydowało się wyjechać na poranne zimno, ale litościwie stali pod hotelem St. Denis naprzeciwko. Pomogłem Sarze wsiąść do dorożki i zanim podała woźnicy adres, spojrzała we wciąż oświetlone okna na piątym piętrze numeru 808.

– Nie pozwala sobie na chwilę wytchnienia – powiedziała cicho. – Zupełnie jakby... jakby chodziło o jakąś sprawę osobistą.

– No cóż – odparłem, ziewając szeroko – to śledztwo może uwiarygodnić wiele jego zawodowych koncepcji.

– Nie – zaproponowała Sara, nadal cicho. – To coś innego, coś poważniejszego...

Popatrzywszy za jej przykładem ku oknom naszego sztabu, dałem wyraz własnemu zaniepokojeniu:

– Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z Mary.

Sara uśmiechnęła się.

– Nigdy nie byłeś zbyt spostrzegawczy, jeśli idzie o sprawy sercowe, John.

– To znaczy? – spytałem autentycznie zbity z tropu.

– To znaczy – odrzekła Sara lekko protekcyjnym tonem – że jest w nim zakochana. – Kiedy rozdziawiłem usta, zastukała w dach powozu. – Na Gramercy Park proszę.

Sara nadal się uśmiechała, gdy dorożka zawróciła i ruszyła w górę Broadwayu. Paru innych fiaków zapytało, czy ich nie potrzebuję, ale po tej ostatniej rewelacji mogłem jedynie tępo pokręcić głową. Może jeśli pójde – a raczej powlokę się – do domu pieszo, pomyślałem, przeanalizuję to sobie; głęboko się jednak myliłem. Znaczenie uwagi Sary i wyraz jej twarzy, gdy ją wygłaszała, były zbyt dziwaczne, aby dały się rozgryźć w ciągu kilku mozolnych minut. Tyle miałem z tego spaceru, że jeszcze bardziej się zmordowałem, i kiedy padłem na łóżko w domu babki, byłem zbyt słaby na ciele i zbyt skłopotany na duszy, by przynajmniej zdjąć zabłocone ubranie.

ROZDZIAŁ 16

Obudziłem się w południe, nie wiedząc czemu okropnie rozdrażniony. Humor jeszcze mi się pogorszył, gdy przyszedł posłaniec z listem od Laszla. Okazało się, że niejaka pani Edwardowa Hulse z Long Island próbowała w nocy zabić swoje dzieci nożem rzeźniczym. Choć policja powierzyła kobietę opiece męża, Kreizler został poproszony o ocenę jej stanu psychicznego i zaproponował Sarze, by mu towarzyszyła. Nie zamierzali doszukiwać się związku między panią Hulse i naszą sprawą, wyjaśnił Laszlo, tylko Sara (niewątpliwie odzyskawszy zapał po kilku godzinach snu) chciała zebrać trochę danych do portretu imaginacyjnej kobiety, który Laszlo kazał jej stworzyć, abyśmy mogli lepiej zrozumieć naszego imaginacyjnego mężczyznę. W samej wiadomości nie było nic irytującego; chodziło raczej o sposób, w jaki Kreizler ją sformułował: jakby wybierali się z Sarą na przyjemną, stymulującą wycieczkę za miasto. Zmiałwszy kartkę, kwaśno życzyłem im miłego dnia, i chyba nawet splunąłem do umywalki. Odebrałem telefon od Marcusa Isaacsona i umówiliśmy się o piątej pod stacją kolejki nadziemnej na rogu Trzeciej Alei i Czwartej Ulicy. Potem ubrałem się i oceniłem własne perspektywy na to popołudnie – wydały mi się nieliczne i nieciekawe. Po wyjściu z sypialni odkryłem, że babka ma gości na lunchu: jedną ze swych głupawych siostrzenic, jej równie „sympatycznego” męża (który był udziałowcem w spółce inwestycyjnej mego ojca) i ich córkę. Cała trójka zasypała mnie pytaniami o ojca – pytaniami, na które nie potrafiłem odpowiedzieć, ponieważ nie miałem z nim kontaktu od wielu miesięcy.

Zainterесowali się również uprzejmie matką (która, to akurat wiedziałem, podróżowała w tym czasie po Europie z damą do towarzystwa) i taktownie nie wspomnieli o mojej eksnarzeczonej, Julii Pratt, znanej im na gruncie towarzyskim. Całą rozmowę punktowały nieszczerе uśmiechy i chichoty, i w jej wyniku popadłem w totalne przygnębienie.

Powiniennem wyjaśnić, że nie mogłem miło gawędzić z większością moich krewnych od wielu lat, z przyczyn, które choć ważne, były bardzo proste. Tuż po tym, jak skończyłem Harvard, mój brat – który miał jeszcze większe problemy z wejściem w dorosłość niż ja – wypadł w Bostonie z łodzi i utonął. Drobiazgowa sekcja zwłok wykazała coś, co mógłbym powiedzieć każdemu, kto by mnie tylko spytał: że mój brat był nałogowym alkoholikiem i morflnistą. (Pod koniec życia regularnie towarzyszył w pijatykach młodszemu bratu Roosevelta, Elliotowi, który kilka lat później umarł wskutek dypsomanii.) Na pogrzebie wygłoszono mnóstwo pełnych szacunku, lecz całkowicie bezsensownych mów, starannie omijając temat zmagania mego brata ze straszlivymi atakami melancholii. Jego depresja miała wiele przyczyn, ale w głębi duszy uważam, i uważałem wtedy, iż przede wszystkim była rezultatem dorastania w rodzinie – i środowisku – w których okazywanie jakichkolwiek uczuć spotykało się w najlepszym wypadku z dezaprobatą, a w najgorszym z represjami. Niestety, wyraziłem tę opinię podczas pogrzebu i omal nie zamknięto mnie przez to w zakładzie dla obłąkanych. Moje stosunki z rodziną właściwie nigdy się nie poprawiły. Tylko babka, która uwielbiała mego brata, wykazała odrobinę zrozumienia i gotowość przyjęcia mnie do swego domu oraz życia. Dla pozostałych krewnych byłem co najmniej upośledzony umysłowo, a może wręcz niebezpieczny.

Z tych oto przyczyn rodzinna wizyta na Washington Square stała się dla mnie tego dnia ostatnią kroplą goryczy i kiedy wyszedłem z domu na zimny dzień, mój nastrój nie mógł być gorszy. Uprzymiwniwszy sobie, że nie mam zielonego pojęcia, dokąd idę, usiadłem na schodkach i nagle zrozumiałem, że jestem zazdrosny. Tak mnie to zaskoczyło, że aż wytrzeszczyłem zaspane oczy. W jakiś sposób moja nieświadomość wyciągnęła nieprzyjemne wnioski z informacji, które otrzymałem tej nocy: jeśli Mary Palmer rzeczywiście była zakochana w Kreizlerze i uważała Sarę za zagrożenie, i zarówno Kreizler, jak i Sara o tym wiedzieli, i dlatego Kreizler wyprosił Mary ze sztabu, ale nie miał nic przeciwko spędzaniu urokliwych wiosennych popołudni z Sarą – cóż, wszystko było jasne. Moja zazdrość nie miała bynajmniej podłoża sercowego; próbowałem flirtować z Sarą tylko raz, przed paru laty, i to po pijanemu. Nie, czułem się urażony, ponieważ mnie z czegoś wykluczono. W taki dzień wypad z przyjaciółmi na Long Island na pewno dobrze by mi zrobił.

Pomedytowałem kilka minut, czyby nie odwiedzić pewnej aktorki, z którą spędziłem wiele dni (i jeszcze więcej nocy) od finału sprawy Julii Pratt; a potem, z jakiegoś tajemniczego powodu, moje myśli pobiegły ku Mary Palmer. Ja czułem się źle, ale jeśli to, co powiedziała mi Sara, było prawdą, ona musiała się czuć jeszcze gorzej. Może podskoczyć na Siedemnastą Ulicę, pomyślałem, i gdzieś ją wyciągnąć? Kreizler pewnie tego nie pochwali, ale Kreizler pojechał sobie na wycieczkę w miłym towarzystwie, więc jego pretensje się nie liczą. (Uraza nieuchronnie znalazła drogę do mego rozumowania.) Tak, kiedy minąłem nowy łuk triumfalny na północnym krańcu Washington Square Park, pomysł zaczął mi się naprawdę podobać – ale dokąd mógłbym zabrać dziewczynę?

Na Broadwayu dopadłem kilku gazeciarzy i uwolniłem ich od części towaru. Nocnym wypadkom pod Castle Garden poświęcono dużo uwagi na pierwszych stronach. Nastroje w imigranckich dzielnicach budziły coraz większe obawy. Tworzono komitet obywatelski, który miał pójść do ratusza i wyrazić zaniepokojenie morderstwami, a głównie ich prawdopodobnym wpływem na porządek w mieście. Wszystko to niewiele mnie w tym momencie obchodziło – szybko przzerzuciłem się na rubrykę kulturalną. Nie bardzo było w czym wybierać i zaciekawiła mnie dopiero reklama teatru rewiowego Kostera i Biala na Dwudziestej Trzeciej Ulicy. Oprócz śpiewaków, komików-akrobatów i rosyjskich klaunów, Koster i Bial oferowali pokaz krótkich filmów, według reklamy pierwszy w Nowym Jorku. Program wydawał się odpowiedni i teatr był blisko domu Kreizlera. Zatrzymałem pierwszą przejeżdżającą dorożkę.

U Kreizlera zastałem Mary samą i tak przygnębioną, jak się spodziewałem. Najpierw jednak stanowczo oparła się mojej propozycji. Odwróciła wzrok i potrząsnęła energicznie głową, pokazując pokoje, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że ma zbyt wiele pracy, aby nawet myśleć o wyjściu z domu. Ja jednak uparłem się dziewczynę rozweselić: opisałem program Kostera i Biala z niezwykłym zapałem, a na jej nieufne spojrzenia odparłem, że chcę się tylko zrewanżować za wspaniałe śniadanie. Uspokojona i wyraźnie podekscytowana, w końcu ustąpiła i poszła po płaszcz oraz mały czarny kapelusik. Nie powiedziała ani słowa, gdy wychodziliśmy, ale uśmiechała się z jawnym zadowoleniem i wdzięcznością.

Choć kierowały mną nie do końca czyste motywy, mój pomysł okazał się znakomity. Zajęliśmy miejsca u Kostera i Biala (był to bardzo przeciętny, nieduży teatr) pod koniec występu kabaretowej trupy z Londynu. Zdążyliśmy akurat na rosyjskich klaunów, których nieme błazeństwa dość się Mary podobały. Komicy-akrobaci, którzy przerzucali się docinkami i żartami, wykonując jednocześnie naprawdę niezwykle ćwiczenia gimnastyczne, także byli dobrzy. Mógłbym sobie za to darować francuskich śpiewaków i dziwaczną tancerkę, która wystąpiła po nich. Widzowie byli liczni i rozbawieni, wydawało mi się, że Mary obserwuje ich z równą przyjemnością jak przedstawienie.

Wszyscy utkwili jednak wzrok przed sobą, gdy na proscenium spuszczone lśniący biały ekran i sala pogrążyła się w mroku. Potem skądś z tyłu błysnęło światło i w pierwszych rzędach wybuchł lekki popłoch, bo ujrzeliśmy ścianę błękitnej morskiej wody, która zdawała się wlewać do teatru. Naturalnie nikt z nas nie zetknął się dotąd ze zjawiskiem ruchomych obrazów, a w tym przypadku było ono wyjątkowo realistyczne, ponieważ czarno-biała klisza została ręcznie pokolorowana. Gdy na widowni znów zapanował porządek i dobiegła końca pierwsza projekcja, *Morskie fale*, pokazano nam jeszcze jedenaście podobnych krótkich scenek, między innymi *Bokerską burleskę* i kilka mniej zabawnych filmów o tym, jak niemiecki kajzer dokonuje przeglądu wojsk. Siedząc tam, człowiek nie zdawał sobie sprawy, że jest świadkiem narodzin nowej formy komunikacji i rozrywki, mającej, dzięki takim współczesnym mistrzom jak D.W. Grimth, radykalnie zmienić nie tylko Nowy Jork, lecz w ogóle świat; ja myślałem raczej o tym, że te migające barwne obrazki na krótki czas zbliżyły mnie z Mary Palmer, przynosząc ulgę w samotności, która w moim przypadku była przejściowym, a w jej stałym aspektem egzystencji.

Kiedy znów znaleźliśmy się na ulicy, umysłowy trening minionych tygodni sprawił, że moje odprężenie ustąpiło miejsca niespokojnej dociekliwości. Obserwując mą bardzo zadowoloną, bardzo atrakcyjną towarzyszkę rozkoszującą się zimnym, słonecznym popołudniem, zadałem sobie pytanie: jak to możliwe, by ta dziewczyna zabiła swego ojca? Całkowicie się zgadzałem, że niewiele jest czynów równie niegodziwych, jak zgwałcenie własnej córki, ale inne dziewczęta przeżywają to samo i nie przykuwają winnego do łóżka, aby upiec go żywcem. Co pchnęło Mary do morderstwa?

Początki wyjaśnienia – wkrótce sobie uświadomiłem – mimo upływu lat można było odkryć dość łatwo. Kiedy Mary przyglądała się psom i gołębiom w parku Madison Square albo kiedy jej błękitne oczy pochwytyły taki błyszczący cud jak olbrzymi złoty posąg nagiej Diany na szczycie czworobocznej wieży Madison Square Garden¹⁶, poruszała wargami, jakby pragnęła dać wyraz swej radości – a potem mocno je zaciskała i na jej twarzy malował się lęk przed tym, jakie bezładne, upokarzające dźwięki mogłyby wyjść z jej ust, gdyby spróbowała przemówić. Pamiętałem, że Mary uważano za niedorozwiniętą, a dzieci z reguły nie są miłe dla takich rówieśników. W dodatku jej matka uznała, że nadaje się wyłącznie do prac domowych. A zatem kiedy ojciec zaczął ją napastować, Mary musiała już być tak sfrustrowana i udęczona, że niewiele brakowało do wybuchu. Jedna ułomność, jedno bolesne doświadczenie mniej, i jej życie mogłoby się potoczyć inaczej; w połączeniu, doprowadziły do tragedii.

Może nasz morderca miał bardzo podobne życie, pomyślałem, gdy weszliśmy z Mary do Madison Square Garden, aby napić się herbaty w arkadowej restauracji na dachu. Zdążyłem już zauważyć, że przy gadatliwym towarzyszu Mary jeszcze boleśniej odczuwa swą niezdolność do prowadzenia rozmowy, więc zacząłem się z nią porozumiewać uśmiechem i gestami, snując jednocześnie w myślach płodny, jak mi się zdawało, wątek psychologicznego rozumowania. Kiedy Mary sączyła herbatę i wyciągała szyję, aby obejrzeć całą wspaniałą panoramę, jaka roztaczała się z dachu, przypomniałem sobie, co powiedział w nocy Kreizler: że punktem wyjścia była dla naszego mordercy przemoc w dzieciństwie. Najprawdopodobniej oznaczało to bicie przez dorosłych – zgodnie z teorią Laszla, że kierował się on zarówno instynktem samoobrony, jak i zemsty. Ale tysiące małych chłopców przeżywa to samo. Czemu u tego jednego, jak u Mary, przepełniła się pozornie nieokreślona, lecz bardzo realna miara wytrzymałości? Czy on także cierpiał na jakieś upośledzenie lub deformację, które w dzieciństwie czyniły go obiektem drwin i wzgardy? I czy padł na dodatek ofiarą jakiejś nikczemnej, poniżającej napaści seksualnej?

Nadal wydaje mi się dziwne, że tak urocza dziewczyna jak Mary Palmer pobudziła mnie do takich ponurych refleksji, ale dziwne czy nie, czułem, że jestem na dobrym tropie, i chciałem ją odwieźć do domu, aby zdążyć na spotkanie z Marcusem Isaacsonem i podzielić się z nim moimi przemyśleniami. Było mi trochę przykro kończyć ekskursję, która sprawiła Mary taką radość – kiedy dojeżdżaliśmy na Siedemnastą Ulicę, dziewczyna wręcz promieniała – ale ona także miała obowiązki; i spostrzegłem, że błyskawicznie sobie o nich przypominała na widok kolaski Kreizlera pod domem.

Stevie czyścił Fredericka, a Kreizler stał, paląc papierosa, na małym żelaznym balkonie, który biegł wzdłuż okien salonu na pierwszym piętrze. Wchodząc przez furtkę, oboje z Mary nastawiliśmy się na reprimendę; i oboje przeżyliśmy zaskoczenie, gdy twarz Kreizlera rozjaśnił szczery uśmiech. Laszlo wyjął swój srebrny zegarek, sprawdził godzinę i odezwał się wesołym tonem:

– Musieliście mieć udane popołudnie. Czy pan Moore dobrze się tobą zajął, Mary?

Dziewczyna skinęła głową z szerokim uśmiechem i pospieszyła do drzwi. W progu odwróciła się i zdjawszy czarny kapelusik, powiedziała „Dziękuję” niemal bez śladu trudności. Potem zniknęła w środku, a ja podniosłem wzrok na Kreizlera.

– Chyba jednak doczekaliśmy się wiosny, John – zauważył, ręką z papierosem wskazując park Stuyvesanta. – Mimo zimna drzewa puszczają liście.

– Myślałem, że będziesz jeszcze na Long Island – odparłem.

Wzruszył ramionami.

– Niewiele nowego mogłem się tam dowiedzieć. Natomiast Sarę bardzo zainteresował stosunek pani Hulse do dzieci, więc ją zostawiłem.

Wydało mi się to trochę dziwne, zważywszy teorie, które wysmażyłem, ale ton Kreizlera był zupełnie normalny.

– Wejdiesz na drinka, John?

– O piątej jestem umówiony z Marcusem, idziemy powęszyć w Złotej Zasadzie. Wybierzesz się z nami?

– Bardzo bym chciał – odrzekł Laszlo. – Nie powinienem się jednak pokazywać w zbyt wielu miejscach związanych ze sprawą. Ufam, że porobicie w głowach mnóstwo notatek. Pamiętaj, wskazówki będą w szczegółach.

– À propos – powiedziałem – nasunęło mi się kilka pomysłów, które mogą być użyteczne.

– Doskonale. Omówimy je przy kolacji. Zadzwoń do mnie do Instytutu, jak skończycie. Muszę tam coś załatwić.

Skinąłem głową i odwróciłem się, by odejść, ale moja ciekawość była zbyt silna, abym mógł pozostawić pewne kwestie nierozstrzygnięte.

– Laszlo? – spytałem niepewnie. – Nie jesteś zły, że wyszedłem z Mary?

Znów tylko wzruszył ramionami.

– Rozmawiałeś z nią o sprawie?

– Nie.

– Więc przeciwnie, jestem ci wdzięczny. Mary ma za mało kontaktu z ludźmi, za mało nowych doświadczeń. Na pewno wywrze to dodatni wpływ na jej usposobienie.

I to wszystko. Ponownie się odwróciłem i wyszedłem przez furtkę, rozumiejąc z zachowania moich przyjaciół jeszcze mniej niż rano. Na rogu Trzeciej Alei i Osiemnastej Ulicy wsiadłem do kolejki, starając się myśleć o śledztwie zamiast o prywatnych sprawach innych ludzi. Kiedy mijaliśmy Cooper Square, zaczęło mi się to udawać, a kiedy spotkałem się z Marcusem przy Czwartej Ulicy, byłem już gotów poświęcić należytą uwagę jego najświeższym teoriom o metodach działania naszego mordercy i wykład o nich potrwał niemal całą drogę do Klubu Rozrywkowego Złota Zasada.

ROZDZIAŁ 17

Myśl, że nasz morderca jest doświadczonym amatorem wspinaczki górskiej i skałkowej, nasunęła się Marcusowi, gdy przyniosłem z Paresis Hall opowieść chłopca imieniem Sally. Próby znalezienia dowodów takiej aktywności na wieży mostu Williamsburskiego i w Paresis spelzy jednak na niczym, toteż Marcus miał zamiar porzucić tę koncepcję. Wciąż jednak do niej powracał, zastanawiała go bowiem szybkość, z jaką morderca pokonał różne trudne miejsca, jak również brak drabin czy innych konwencjonalnych pomocy. Zdaniem Marcusa nie istniało inne wytłumaczenie: aby wchodzić i wychodzić przez okna pokoi swych ofiar, morderca musi stosować zaawansowane techniki wspinaczkowe. O jego nadzwyczajnej wprawie świadczył fakt, że opuszczając budynki, jest zmuszony nieść chłopców, którzy prawie na pewno nie mają pojęcia o wspinaczce. Zgadzało się to z teorią Isaacsonów, że morderca jest potężnym, silnym mężczyzną. Wobec wszystkich tych poszlak Marcus dokładniej zapoznał się z metodami wspinaczki górskiej i wrócił na most oraz do Paresis Hall.

Tym razem jego lepiej wyszkolone oko rzeczywiście dostrzegło pewne ślady na murze lokalu Ellisona, ślady, które mogły pozostawić nabite gwoździemi buty wspinacza, jak również haki. Nie był to jeszcze przekonujący dowód, więc nie wspomniał o tym na żadnej z naszych porad. Ale w Castle Garden znalazł na tylnej krawędzi dachu włókna liny: kolejną poszlakę, że morderca jest wspinaczem. Włókna prowadziły do frontowej balustrady, która okazała się bardzo solidnie umocowana. Właśnie wtedy Marcus poprosił, abyśmy go spuścili po tylnej ścianie fortu, i odkrył na niej ślady identyczne ze śladami w Paresis Hall. Wówczas zaczął ustalać prawdopodobny przebieg wydarzeń w Castle Garden.

Morderca, z ofiarą na plecach, wspiął się na dach fortu, używając haków. (Strażnik nie słyszał uderzeń młotka, ponieważ, jak dowiedział się Marcus, przez większość czasu spał, czego morderca był z pewnością świadom.) Na dachu nasz człowiek zabił chłopca, a potem przełożył linę przez balustradę i „zrapellował” z powrotem na ziemię. „Rapelling” to europejska nazwa techniki schodzenia po stromej górskiej ścianie za pomocą liny, którą zaczepiono o jakiś solidny występ skalny na szczycie. Wspinacz owija się jednym końcem, a drugi spuszcza luźno, aby mógł ściągnąć linę, gdy znajdzie się na dole. Kiedy nasz morderca schodził po murze, usunął haki, które posłużyły mu do wejścia.

Zadowolony ze swego rozumowania, Marcus postanowił najpierw poszukać konkretnych dowodów na jego potwierdzenie w Paresis Hall, ponieważ od zabójstwa Georgia Santorellego minęło dużo czasu i policja nie patrolowała już okolicy. Nagle jednak uświadomił sobie, że w Paresis morderca nie wspinał się z ulicy, tylko spuścił z dachu, i prawdopodobnie w ogóle nie użył haków (ślady, które Marcus uznał wcześniej za dziury po hakach, powstały więc w inny sposób, zapewne niemający żadnego związku z naszą sprawą). Wobec tego przed spotkaniem ze mną Marcus wrócił do Castle Garden i podjął poszukiwania, których nie zdążył dokończyć w nocy – miałem rację, że szukał czegoś na ziemi tuż przed naszym pospiesznym odjazdem. Nieliczni policjanci, którzy pełnili wartę w Castle Garden, nie pilnowali tylnej bramy fortu, toteż Marcus mógł swobodnie przepatrzeć teren.

W tym momencie opowieści mój towarzysz sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął dość niepozorny stalowy kolec, który znalazł w trawie. Miał on na jednym końcu ucho: do zabezpieczenia liny, jak wyjaśnił mi Marcus. Po powrocie do domu opylił hak i wykrył na nim odciski palców idealnie pasujące do tych, które zdjęliśmy w nocy z ceramicznego komina. Pełen podziwu, musiałem mocno poklepać chłopaka po plecach: Marcus był nie mniej wytrwały niż rozmaici wywiadowcy, których poznałem przez lata prowadzenia kroniki policyjnej, a znacznie bardziej inteligentny. Nic dziwnego, że stara gwardia z Sekcji Śledczej za nim nie przepadała.

Przez resztę drogi Marcus wyłożył mi szersze implikacje swych odkryć. W Ameryce Północnej roku 1896 wspinaczka górską nie upowszechniła się jeszcze jako forma rekreacji, ale w Europie sport ten miał długą tradycję. Od początku stulecia fachowe ekipy z tego kontynentu zdobywały szczyty w Alpach i na Kaukazie, a pewien śmiały Niemiec wybrał się nawet do wschodniej Afryki i wszedł na Kilimandżaro. Prawie wszyscy ci tak zwani alpiniści, powiedział mi Marcus, byli Anglikami, Szwajcarami lub Niemcami; i w tych krajach wspinaczka górską i skałkową mniej ambitnej natury zyskała wielką popularność. Zważywszy, że nasz morderca objawiał w tym sporcie prawdziwe mistrzostwo, można przypuszczać, iż zaczął go uprawiać dość dawno temu, choćby nawet w dzieciństwie; było więc bardzo prawdopodobne, że jego rodzina przybyła do Ameryki z któregoś z tych trzech europejskich państw, w niezbyt odległej przeszłości. Na razie wskazówka ta nie miała dużego znaczenia, ale łatwo było zrozumieć, że kiedy dodamy ją w przyszłości do innych informacji, może się stać wysoce pouczająca. W takiej właśnie wiedzy kryły się realne powody do nadziei.

Potrzebowaliśmy obfitych zasobów tego ostatniego uczucia podczas naszej wizyty w Klubie Rozrywkowym Złota Zasada, zakazanej malej spelunie, która nie mogłaby nosić bardziej smutno-ironicznej nazwy. Paresis Hall miał przynajmniej te plusy, że zajmował lokal nad ziemią i był dość przestronny. Złota Zasada mieściła się w wilgotnej, ciasnej suterenie, podzielonej na maleńkie „pokoje” cienkimi przepierzeniami, w związku z czym wszyscy słyszeli, co robi każdy klient, nawet jeśli tego nie widzieli. Klub, prowadzony przez potężną, odpychającą kobietę zwaną Szkocką Ann, oferował tylko zniewieściałych młodych chłopców, którzy się szminkowali, mówili falsetem i używali kobiecych imion, pozostawiając inne odmiany męskiego homoseksualizmu lokalom w rodzaju Paresis Hall. W 1892 roku Złota Zasada zyskała rozgłos, gdy wielebny Charles Parkhurst, prezbiteriański pastor i przewodniczący Towarzystwa Zapobiegania Przystępczości, odwiedził ją podczas swej kampanii o ujawnienie powiązań między nowojorskim podziemiem kryminalnym i różnymi agendami władz miejskich, przede wszystkim Wydziałem Policji.

Odkrycia Parkhursta, jak bardzo zdegenerowała się duża część społeczności Nowego Jorku, skłoniły senat stanowy do powołania komisji, która zbadała problem urzędniczej korupcji w mieście. Komisja, kierowana przez Clarence’a Lexowa, stwierdziła na zakończenie swych prac, że należałoby „postawić w stan oskarżenia całą nowojorską policję”, i wielu członków starej gwardii poczuło żądło reformy. Jak już jednak mówiłem, degeneracja i korupcja są stałymi, a nie przelotnymi aspektami życia w Nowym Jorku. Wizyta w takim miejscu jak Złota Zasada nieodmiennie i dobitnie przypomina człowiekowi, że popędy i pragnienia, z których rodzą się podobne lokale – popędy, które w każdej innej części Stanów Zjednoczonych spotkałby ostracyzm towarzyski albo wręcz kara sądowa – mają tyle samo apostołów i obrońców co „przyzwoite społeczeństwo”.

Naturalnie obrońcy przyzwoitości i apostołowie degeneracji są często tymi sami ludźmi, co stało się jasne dla Marcusa, gdy owego sobotniego wieczoru weszliśmy w niepozorne drzwi Złotej Zasady. Niemal natychmiast zobaczyliśmy niemłodego, brzuchatego mężczyznę w kosztownym wieczorowym ubraniu, który opuścił lokal, zasłaniając twarz dłońmi, i pospieszenie wszedł do bardzo eleganckiego powozu czekającego nań pod domem. Za mężczyzną wybiegł piętnasto- czy szesnastoletni chłopiec, odpowiednio wyszykowany do nocnej pracy i z wielką satysfakcją liczący pieniądze. Zawołał coś do swego klienta tym charakterystycznym ostrym falsetem, który osobom nieprzyzwyczajonym wydawał się tak dziwny i drażniący; potem przeszedł obok nas, kręcąc biodrami i obiecując pełen zestaw rozrywek, jeśli tylko go wybierzemy. Marcus szybko się odwrócił i wbił spojrzenie w sufit, ale ja odpowiedziałem chłopcu, że nie jesteśmy klientami i chcemy się widzieć ze Szkocką Ann.

– Oho – mruknął ospale, już swym normalnym głosem. – Znów gliny. Ann!

Ruszył w głąb sutereny, skąd dobiegał czyjś ochryply śmiech. Poszliśmy za nim kilka kroków i zatrzymaliśmy się przy drzwiach do dużego pokoju. Wewnątrz stało parę sztuk niegdyś okazałych, teraz sfatygowanych mebli, a zimną, zapleśniałą podłogę przykrywał wytarty perski dywan. Po dywanie pełzał na czworakach trzydziestoparoletni, roześmiany, półnagi mężczyzna, a kilku jeszcze skąpiej ubranych chłopców przeskakiwało nad jego grzbietem.

– Skoki przez plecy – wymamrotał Marcus, obejmując scenkę nerwowym spojrzeniem. – Czy nie namówili na coś takiego Parkhursta, kiedy tu przyszedł?

– To było u Hattie Adams w Tenderloinie – odparłem. – Parkhurst nie wytrzymał długo w Złotej Zasadzie. Kiedy odkrył, co się tu naprawdę dzieje, dał drapaką.

Z pomieszczeń na tyłach wynurzyła się Szkoeka Ann, mocno uszmkowana, ewidentnie pijana i nie pierwszej młodości, jeśli w ogóle kiedyś była młoda. Cienka różowa sukienka opinała jej ciało po samą szyję, a na twarzy malował się znużony, ponury wyraz, jakim właściciele domów publicznych witają przychodzących niespodzianie stróżów prawa.

– Nie wiem, czego chcecie, chłopcy – odezwała się grubym głosem, zniszczonym przez alkohol i tytoń – ale płacę już dwóm kapitanom z rewiru po pięćset dolców miesięcznie, żeby się mnie nie czepiali, więc nic mi nie zostaje dla tajniaków. A wszystko, co wiem o tym morderstwie, powiedziałam już jednemu wywiadowcy...

– Bardzo dobrze – wtrącił Marcus, pokazując odznakę, i poprowadził Ann za ramię do frontowych drzwi. – Więc masz to świeżo w pamięci. Nie bój się, chodzi nam tylko o informacje.

Uspokojona, że obędzie się bez łapówki, Szkocka Ann opowiedziała nam historię Fatimy, czyli Alego Ibn Ghaziego, czternastoletniego Syryjczyka, który mieszkał w Ameryce niewiele ponad rok. Matka Alego umarła kilka tygodni po przybyciu rodziny do Nowego Jorku, zaraziwszy się jakąś chorobą w syryjskim getcie koło Washington Market. Ojciec chłopca, niewykwalifikowany robotnik, nie mógł potem znaleźć żadnej pracy i zaczął żebrać. Aby pobudzić hojność przechodniów, zabierał ze sobą dzieci, i właśnie kiedy Ali służył mu za przynętę na jakimś rogu nieopodal Złotej Zasady, zobaczyła go Szkocka Ann. Delikatne wschodnie rysy czyniły chłopca, jak ujęła to Ann, „idealnym kandydatem” do jej lokalu. Szybko „zawarła umowę” z ojcem, umowę, która bardzo przypominała oddanie do terminu albo wręcz sprzedaż, i tak narodziła się „Fatima”. Słyszając to absurdalne zawołanie, odkryłem, że tracę już cierpliwość do praktyki zmieniania chłopcom imion, aby można ich było stręczyć dorosłym mężczyznom, którzy albo mają jakieś czcze skrupuły co do tego, kogo molestują, albo lubią wyjątkowo idiotyczne perwersje. „Goście szaleli za Fatimą” – stwierdziła Szkocka Ann. Chętnie bym babie przyłożył, ale Marcus kontynuował przesłuchanie ze spokojem i profesjonalizmem. Ann mogła nam udzielić niewielu innych informacji o Alim i zaniepokoiła się, gdy powiedzieliśmy, że chcemy obejrzeć pokój, w którym pracował, oraz porozmawiać z chłopcami, którzy się z nim przyjaźnili.

– Zapewne nie było ich wielu – dodał niedbale Marcus. – Przypuszczam, że był trudnym młodzieńcem.

– Fatima? – zdziwiła się Ann, odchylając głowę. – Jeśli tak, nic mi o tym nie wiadomo. Och, potrafiła udawać jędrę przy klientach – nie uwierzycie, ilu lubi takie rzeczy – ale nigdy nie narzekała i inne dziewczęta za nią przepadały.

Wymieniliśmy z Marcusem szybkie, zdumione spojrzenia. Nie pasowało to do „schematu ofiary”, którego oczekiwaliśmy. Gdy szliśmy za Ann brudnym, wąskim korytarzem biegnącym między wydzielonymi na tyłach pokojkami, Marcus zastanowił się nad tą niekonsekwencją, po czym skinął głową i mruknął do mnie:

– Ty byś się nie pilnował przy kimś, komu cię sprzedano? Zaczekajmy, aż usłyszymy, co powie reszta dziewcząt. To znaczy chłopców. – Potrząsnął głową. – Do diaska, to się udziela.

Młodzi pracownicy Złotej Zasady całkowicie zgadzali się ze swoją burdelmamą. Stojąc w korytarzu i rozmawiając pojedynczo z kilkunastoma uszminkowanymi chłopcami, których łapaliśmy, gdy wychodzili z pokoi – przez cały czas zmuszeni słuchać nieprzyzwoitych pomruków, jęków i namiętnych wyznań dobiegających zza cienkich przepierzeń – otrzymywaliśmy raz po raz portret Alego Ibn Ghaziego pozbawiony jakichkolwiek elementów agresji czy krnąbrności. Było to niepokojące, ale nie mieliśmy czasu na przemyślenia, ponieważ dogasały już ostatnie promienie dziennego światła, a musieliśmy jeszcze zbadać budynek z zewnątrz. Gdy tylko pokój, z którego Ali zwykle korzystał, wychodzący na uliczkę za klubem, został zwolniony przez dwóch spłoszonych mężczyzn i wyraźnie zmęczonego chłopca, weszliśmy do środka, nie zważając na ciepłe, wilgotne powietrze i zapach potu, aby sprawdzić teorię Marcusa co do metod poruszania się mordercy.

Przynajmniej tam znaleźliśmy to, czego oczekiwaliśmy: brudne okno, które dawało się otworzyć, a powyżej cztery piętra gładkiego pionowego muru z cegły prowadzącego na dach domu. Musieliśmy obejrzeć ten dach, zanim słońce całkiem zajdzie; niemniej, gdy opuściliśmy pokój, zatrzymałem się, aby spytać chwilowo beczynnego chłopca z sąsiedniej „celi”, o której godzinie Ali wyszedł ze Złotej Zasady w noc swojej śmierci. Młodzieniec zmarszczył brwi i zastanawiał się chwilę, patrząc w poczerńiałe lustro.

– Do diabła, to dziwne – powiedział tonem, który wydawał się zbyt zblazowany, aby mógł wyjść z tak młodych ust. – Skoro już o tym mowa, nie przypominam sobie, żebym w ogóle widział, jak wychodzi. – Podniósł rękę i dodał: – Ale mogłem być zajęty. W końcu był piątek. Niech pan spyta inne dziewczęta.

To samo pytanie, zadane różnym wymalowanym obliczom, gdy opuszczaliśmy klub, przyniosło identyczne odpowiedzi. Tak więc Ali niemal na pewno został uprowadzony przez okno swego pokoju, a potem po tylnej ścianie budynku. Marcus i ja pokonaliśmy biegiem stopnie do wejścia na parter, małą sień i zapluskwione schody, kończące się czarnymi, zachlapanymi smołą drzwiami na dach. Powodem naszego pośpiechu było coś więcej niż zachód słońca: obydwa zdawaliśmy sobie sprawę, że podążamy tropem mordercy dokładniej, niż mogliśmy dotąd, i ta świadomość jednocześnie nas niepokoiła i podniecała.

Dach wyglądał jak wszystkie dachy w Nowym Jorku: kominy, zrujnowane komórki na narzędzia, ptasie odchody oraz tu i ówdzie butelka lub niedopałek papierosa, świadczące o sporadycznych wizytach ludzi. (Ponieważ była wczesna, nadal zimna wiosna, brakowało jeszcze oznak stałego użytkowania – krzeseł, stołów, hamaków – które pojawiały się w miesiącach letnich.) Niczym pies myśliwski Marcus pognał od razu na tył lekko spadzistego dachu i nie bacząc na wysokość, wychylił się, aby spojrzeć w uliczkę. Potem zdjął płaszcz, rozciągnął go i położył się na brzuchu, tak że głowa zwisała mu poza krawędzią budynku.

– Te same ślady – powiedział, nie odwracając się, ale z głosu poznałem, że się uśmiecha. – Wszystko pasuje. A tutaj... – Wydłubał coś niewidocznego dla mnie z jednej z licznych łat smoły. – Włókna liny. Musiał ją zaczepić o ten komin. – Wskazał palcem przysadzisty ceglany komin bliżej przodu dachu. – To długa lina. Plus reszta sprzętu. Musi mieć na to wszystko jakąś torbę. Powinniśmy o tym wspominać, kiedy wypyujemy ludzi.

Przyglądając się monotonnej przestrzeni innych dachów tego kwartału, powiedziałem:

– Prawdopodobnie nie użył schodów w tym domu, jest na to za sprytny.

– I umie się poruszać po dachach – dodał Marcus, gdy wstał, schował włókna do kieszeni i podniósł płaszcz. – Chyba możemy być już w miarę pewni, że spędził na nich dużo czasu, przypuszczalnie w związku z jakąś pracą.

Skinąłem głową.

– Więc mógł z łatwością obejrzeć sąsiednie budynki, znaleźć taki, w którym najmniej się dzieje, i tam skorzystać ze schodów.

– Albo w ogóle dał sobie spokój ze schodami – odparł Marcus. – Pamiętaj: była noc, mógł się wspinać po ścianach niezauważony przez nikogo.

Spojrząwszy ku zachodowi, zobaczyłem, że barwa odbijających słońce fal Hudson River szybko przechodzi z jaskrawej czerwieni w czerń. W niemal kompletnym już mroku dwa razy obróciłem się dookoła, postrzegając całą okolicę w nowy sposób.

– Kontrola – wymamrotałem. Marcus doskonale mnie zrozumiał.

– Tak – odrzekł. – To jest jego świat, tu, na górze. Bez względu na to, jaki zamęt panuje w jego umyśle, na dachach ten człowiek zachowuje niewzruszoną pewność siebie.

Westchnąłem i zadrzałem, gdy uderzyła nas rzeczna bryza.

– Pewność siebie samego diabła – mruknąłem i ku swemu zaskoczeniu otrzymałem odpowiedź:

– To nie diabeł, proszę pana – dobiegł nas od strony wyjścia na schody cienki, przestraszony głos. – To święty.

ROZDZIAŁ 18

Kto tam jest? – zapytał ostro Marcus, ruszając powoli w stronę głosu. – Wyjdź, bo cię aresztuję za utrudnianie pracy policji!

– Proszę, nie! – odparł głos, po czym zza klatki schodowej wyłonił się jeden z uszmkowanych pracowników Złotej Zasady.

Nie pamiętałem go z dołu. *Maquillage* miał zupełnie rozmazany, a jego ramiona okrywał koc.

– Ja tylko chcę pomóc – pisnął żałośnie, mrugając z przestraszonym.

Ścisnęło mi się serce, bo uświadomiłem sobie, że nie może mieć więcej jak dziesięć lat. Pociągnąwszy Marcusa do tyłu, skinąłem na chłopca, by podszedł bliżej.

– Nie bój się, wiemy, że chcesz pomóc – powiedziałem. – Ale chodź tu do nas.

Nawet w gasnącym świetle dostrzegłem, że twarz chłopca, jak również koc, którym był owinięty, są poplamione sadzami i smołą.

– Siedziałeś tutaj całą noc?

Chłopiec skinął głową.

– Odkąd nam powiedzieli. – Zaczął płakać. – To nie miało się stać!

– Co? – spytałem natarczywie. – Co nie miało się stać? Morderstwo?

Na dźwięk tego słowa chłopiec zasłonił uszy piąstkami i gwałtownie potrząsnął głową.

– On miał być dobry, Fatima tak mówił, wszystko miało się dobrze skończyć!

Podszedłem do chłopca, objąłem go ramieniem i podprowadziłem do niskiego murku, który oddzielał nasz dach od sąsiedniego.

– Nie płacz – powiedziałem. – Nie płacz, już nic więcej się nie stanie.

– Ale on może wrócić! – zaprotestował chłopiec.

– Kto?

– On, święty Fatimy, ten, co miał go stąd zabrać!

Marcus i ja wymieniliśmy szybkie spojrzenia: o n.

– Posłuchaj – odezwałem się cicho do chłopca – może na początek powiesz mi, jak masz na imię.

Pociągnął nosem.

– Na dole...

– Mniejsza o to, jak cię nazywają na dole. – Zakotysałem lekko jego ramionami. – Powiedz mi, z jakim imieniem się urodziłeś.

Chłopiec milczał, mierząc nas nieufnie wielkimi oczyma. Muszę przyznać, że sam nie bardzo wiedziałem, co robić. W końcu wyjąłem chusteczkę i zacząłem mu ścierać szminkę z twarzy. To zadziałało.

– Joseph – wyszeptał.

– Miło mi, Josephie – powiedziałem przyjaźnie. – Ja nazywam się Moore, a ten pan to sierżant śledczy Isaacson. Teraz może nam opowiesz o tym twoim świętym.

– Och, on nie był mój – odparł szybko Joseph. – On był Fatimy.

– To znaczy Alego Ibn Ghaziego? Pospiesznie skinął głową.

– Ona... On... Fatima mówiła od jakichś dwóch tygodni, że znalazła świętego. Nie świętego patrona, jak w kościele, nie, po prostu człowieka, który był miły i miał ją zabrać od Szkockiej Ann, żeby z nim zamieszkała.

– Rozumiem. Więc chyba dobrze znałeś Alego?

Kolejne skinięcie.

– Był moim najlepszym przyjacielem w klubie. Oczywiście wszystkie dziewczęta ją lubiły, ale przyjaźniła się tylko ze mną.

Mniej więcej wytarłem Josephowi twarz i okazał się całkiem ładnym, sympatycznym chłopcem o piwnych oczach.

– Wygląda na to, że Ali był dla wszystkich miły – zauważyłem. – Pewnie dla klientów też.

– Kto tak panu powiedział? – zdziwił się Joseph i zaczął szybko wyrzucać z siebie słowa: – Fatima nienawidził tu pracować. Przy Szkockiej Ann zawsze udawał, że to lubi, bo nie chciał wrócić do ojca. Ale nienawidził tego, i kiedy był sam z klientem, potrafił się naprawdę zeżłościć. Ale niektórzy klienci...

Chłopiec odwrócił się, wyraźnie zmieszany.

– Wszystko w porządku, Josephie – uspokoił go Marcus. – Mów dalej.

– No więc... – Joseph powiódł po nas spojrzeniem. – Niektórzy klienci lubią, jak się tego nie lubi. – Spuścił wzrok na stopy. – Niektórzy nawet więcej za to płacą. Szkocka Ann zawsze myślała, że Fatima udaje, żeby zarobić więcej pieniędzy. Ale ona naprawdę tego nienawidziła.

Poczułem w żołądku ostre ukłucie zarazem fizycznego obrzydzenia i głębokiego współczucia, a twarz Marcusa zdradzała podobną reakcję. Otrzymaliśmy jednak odpowiedź na nasze wcześniejsze pytanie.

– Mamy to – szepnął do mnie Marcus. – Ukryte, ale prawdziwe, odraza i opór. – Odezwał się głośno do Josepha: – Czy jakiś klient rozniewał się kiedyś na Fatimę?

– Raz czy dwa – odparł chłopiec. – Ale na ogół, jak mówię, to im się podobało.

Na chwilę zapadło milczenie i dopiero zgrzyt kolejki na Trzeciej Ulicy przywołał mnie do rzeczywistości.

– Ten jego święty... – powiedziałem. – To bardzo ważne, Josephie... czy kiedykolwiek go widziałeś?

– Nie, proszę pana.

– Czy Fatima kiedykolwiek spotkał się z jakimś mężczyzną, na dachu? – spytał Marcus. – Albo czy zauważyłeś kogoś z dużą torbą lub workiem?

– Nie, proszę pana – odparł Joseph, lekko zdziwiony, i zaraz rozjaśnił się, bo miał dla nas inną informację: – Ten człowiek przyszedł do klubu więcej niż raz po tym, jak Fatima go poznała. To wiem na pewno. Ale zabronił jej mówić, kim jest.

Marcus uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

– Więc to klient.

– I nie domyśliłeś się, kto to był? – zapytałem.

– Nie – odrzekł Joseph. – Fatima powiedziała, że jeśli dochowam tajemnicy i będę grzeczny, może ten człowiek mnie też kiedyś zabierze.

Spoglądając raz jeszcze ponad dachami, mocno objąłem chłopca ramieniem.

– Miejmy nadzieję, Josephie, że to się nigdy nie stanie – powiedziałem, a w jego oczach znów pojawiły się łzy.

Nie uzyskaliśmy już tego wieczoru żadnych istotnych informacji, ani w Złotej Zasady, ani od innych lokatorów budynku, ani w okolicy. Zanim stamtąd odeszliśmy, uznałem jednak, że powinienem spytać Josepha, czy nie chciałby zrezygnować z pracy u Szkockiej Ann – był o wiele za młody do takiego zajęcia, nawet jak na standardy domów publicznych, i sądziłem, że mógłbym przekonać Kreizlera, aby przyjął go do Instytutu w ramach działalności dobroczynnej. Joseph jednak, który stracił rodziców, mając trzy lata, namieszkał się już w instytucach, sierocińcach i rodzinach zastępczych (nie mówiąc o zaułkach i pustych wagonach kolejowych), i choćbym mu nie wiem jak długo tłumaczył, że zakład Kreizlera jest „inny”, nie robiło to na nim wrażenia. Złota Zasada była jedynym domem, jaki kiedykolwiek znał, gdzie go dobrze karmiono i nie bito – Szkockiej Ann zależało na tym, aby jej chłopcy byli względnie zdrowi i nieposiniaczeni. Fakt ten liczył się dla Josepha bardziej niż wszystko, co mogłem mu powiedzieć o moralnych i fizycznych niebezpieczeństwach czyhających nań w tym miejscu. W dodatku historia Alego Ibn Ghaziego i „świętego” uczyniła go nieufnym wobec ludzi, którzy obiecują lepsze życie gdzie indziej.

Nie pozostało mi więc nic innego, jak pożegnać się z przestraszonym małym dziesięcioletkiem, ale raptem, gdy już wychodziłem ze Złotej Zasady, wpadłem na pomysł, który mógłby zarówno ochronić Josepha, jak i posunąć do przodu nasze śledztwo.

– Josephie – powiedziałem, przyklękając w wejściu do klubu, aby z nim pomówić – czy masz dużo kolegów, którzy pracują w takich miejscach?

– Dużo? – zapytał, z namysłem kładąc palec na ustach. – Czyja wiem... chyba kilku mam. Bo co?

– Chcę, żebyś im powtórzył, co ci powiem. Człowiek, który zamordował Fatimę, zabił też kilkoro innych dzieci, które zajmują się tym samym – głównie chłopców, ale może nie tylko. Najważniejsze jest to, że z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie rozumiemy, zabrał ich wszystkich z takich domów jak twój. Więc chcę, abyś powiedział kolegom, że od tej pory muszą być bardzo, bardzo ostrożni ze swoimi klientami.

Joseph zareagował na to dość natarczywe ostrzeżenie, cofając się trochę i lekko rozglądając po ulicy. Nie uciekł jednak.

– Dłaczego tylko z takich miejsc? – spytał.

– Jak mówię, jeszcze nie wiemy. On może wrócić, więc powiedz wszystkim chłopcom, których znasz, żeby mieli oczy otwarte. Uważajcie na kogoś, kto się złości, gdy któryś z was jest... – zabrakło mi słowa – ...trudny.

– To znaczy hardy? – spytał Joseph. – Tak to nazywa Szkocka Ann: hardy.

– Zgadza się. Być może właśnie z tego powodu morderca wybrał Fatimę. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie wiem. Ale uważaj na to. I przede wszystkim nigdzie z nikim nie chodź. Nigdy nie opuszczaj klubu – nieważne, jak miły ktoś ci się wydaje albo ile pieniędzy proponuje. To samo tyczy się twoich kolegów. Dobrze?

– Tak, dobrze, panie Moore – odrzekł powoli Joseph. – Ale może... może pan i sierżant śledczy Isaacson moglibyście czasem do nas zajrzeć. Inni policjanci, ci, co byli tu rano... chyba nie bardzo ich to obchodzi. Powiedzieli tylko, żebyśmy z nikim nie rozmawiali o Fatimie.

– Postaramy się – obiecałem, wyjmując z kieszeni płaszcza pióro i kartkę. – A jeśli kiedyś będziesz chciał coś komuś powiedzieć, cokolwiek, coś, co uznasz za ważne, przybiegnij zaraz pod ten adres w dzień, a pod ten w nocy.

Podąłem mu nie tylko adres naszego sztabu, lecz także numer domu mojej babki przy Washington Square, i zastanowiłem się chwilę, co staruszka pomyślałaby sobie o tym chłopcu, gdyby rzeczywiście przyszedł. Potem poprosiłem, aby zapisał mi numer telefonu Złotej Zasady.

– Nie chodź do żadnych innych policjantów, najpierw opowiedz wszystko nam. I nie mów innym policjantom, że tu byliśmy.

– Niech się pan nie martwi – odparł szybko Joseph. – Jesteście pierwszymi glinami, jakich spotkałem, z którymi chciałem rozmawiać.

– Pewnie dlatego, że ja nie jestem gliną – powiedziałem, uśmiechając się.

Chłopiec odwzajemnił uśmiech, a mną wstrząsnęło odkrycie, że widzę w jego twarzy rysy kogoś innego.

– Nie wygląda pan na glinę – stwierdził Joseph, po czym jego brwi zmarszczyły kolejne pytanie: – Więc dlaczego próbuje się pan dowiedzieć, kto zabił Fatimę?

Położyłem dłoń na głowie chłopca.

– Ponieważ chcę go powstrzymać.

W tym momencie z frontowego hallu Złotej Zasady wybuchł zgrzytliwy głos Szkockiej Ann. Skinąłem w tamtą stronę.

– Lepiej już idź. I pamiętaj, co ci mówiłem.

Szybkim, młodzieńczym krokiem Joseph wszedł do klubu, a ja wstałem i zobaczyłem, że Marcus uśmiecha się do mnie.

– Nieźle to rozegrałeś – powiedział. – Spędziłeś dużo czasu z dziećmi?

– Trochę – odparłem, nie rozwijając tematu; nie miałem ochoty wyznawać, jak bardzo oczy i uśmiech małego Josepha przypomniały mi mego zmarłego brata, gdy był w tym samym wieku.

Wracając spacerem przez miasto, omówiliśmy z Marcusem nowe perspektywy. Pewni już, że człowiek, którego szukamy, jest dobrze obeznany z miejscami w rodzaju Złotej Zasady i Paresis Hall, próbowaliśmy ustalić, kto, oprócz klientów, regularnie odwiedza takie lokale. Przyszła nam do głowy idea reportera lub pisarza społecznego typu Jake'a Riisa – człowieka próbującego zdemaskować wielkomiejskie zło, doprowadzonego do ostateczności, być może na skutek zbyt długiego z nim obcowania – ale niemal natychmiast zdaliśmy sobie sprawę, że nikt jeszcze nie podjął prasowej krucjaty przeciwko prostytucji dziecięcej, a już na pewno nie przeciwko homoseksualnej prostytucji dziecięcej. Pozostali nam więc pracownicy misji i innych organizacji kościelnych, kategoria, która wydawała się bardzo obiecująca. Pamiętając, co Kreizler mówił o związkach manii religijnej z masowym zabijaniem, zastanawiałem się, czy istotnie nie mamy do czynienia z kimś, kto postanowił być narzędziem gniewu Bożego na ziemi. Kreizler nie uważał motywacji religijnej za prawdopodobną, ale mógł się mylić; poza tym działacze kościoła często wędrowali po dachach, gdy wykonywali swą pracę w czynszówkach. Ostatecznie jednak odrzuciliśmy z Marcusem tę hipotezę ze względu na coś, co powiedział nam Joseph. Człowiek, który zabił Alego Ibn Ghaziego, odwiedzał Złotą Zasadę regularnie i jego wizyty przechodziły bez echa. Tymczasem każdy szanujący się reformator próbowałby za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę.

– Kimkolwiek on jest – oświadczył Marcus, gdy byliśmy już blisko Broadwayu 808 – wiemy jedno: może przychodzić i wychodzić niezauważony. Zupełnie jakby przynależał do tych lokali.

– Zgadza się – odparłem. – Co przywodzi nas z powrotem do klientów, co oznacza, że mógłby to być niemal każdy.

– Może twoja teoria o rozeźlonym kliencie jednak ma sens. Nawet jeśli nie jest nietutejszy, mógł zostać naciągnięty o jeden raz za dużo.

– Wątpię. Widywałem mężczyzn okradzionych przez kurwy. Mogliby im porachować wszystkie kości, ale takie okaleczenia? Musiałby być obłąkany.

– Więc może powinniśmy wrócić do innej teorii dotyczącej Rozpruwacza – powiedział Marcus. – Może jego mózg niszczy choroba, choroba, którą się zaraził w takim miejscu jak Paresis Hall czy Złota Zasada.

– Nie – odparłem, wyciągając ręce przed siebie i próbując zobaczyć to wszystko jaśniej. – Jedyna stała, której możemy się trzymać, to ta, że morderca nie jest szaleńcem. Nie wolno nam tego teraz kwestionować.

Marcus milczał chwilę, a potem przemówił ostrożnie:

– John, na pewno zadawałeś sobie pytanie, co będzie, jeśli podstawowe założenia Kreizlera są błędne?

Z głębokim, ciężkim westchnieniem odrzekłem:

– Zadawałem sobie to pytanie.

– I co sobie odpowiedziałeś?

- Jeśli są błędne, poniesiemy klęskę.
- Czy ta odpowiedź cię zadowala?

Dotarliśmy już na południowo-zachodni róg Jedenastej Ulicy i Broadwayu, gdzie mijały się tramwaje i powozy wiozące ludzi wszystkich stanów na sobotnie zabawy i przyjęcia. Pytanie Marcusa zawisło na chwilę nad tą sceną, sprawiając, że poczułem się wyłączony z normalnego rytmu życia miasta i niepewny najbliższej przyszłości. Istotnie, co nam przyjdzie z całej tej wyęžonej nauki i pracy, jeśli nasze podstawowe założenia są błędne?

- To kręta droga, Marcusie – powiedziałem w końcu cicho – ale nie mamy innej.

ROZDZIAŁ 19

W nocy była śnieżycyca i Niedziela Wielkanocna ujrzała miasto przykryte lekkim białym puchem. O dziewiątej rano termometr wskazywał minus dziesięć stopni i wielce mnie kusiło, aby spędzić cały dzień w domu i w łóżku. Lucius Isaacson miał jednak dla nas ważną wiadomość, a w każdym razie powiedział tak przez telefon; toteż, gdy dzwony kościoła Łaski Bożej wzywały na nabożeństwo i tłum wiernych kłębił się pod wejściem, wczłapałem do sztabu, który opuściłem zaledwie kilka godzin wcześniej.

Lucius przesłuchał poprzedniego wieczoru ojca Alego Ibn Ghaziego, od którego nie dowiedział się prawie nic. Stary Ghazi był niezwykle powściągliwy, zwłaszcza gdy zobaczył odznakę. Z początku Lucius uznał jego zachowanie za typowy wyraz niechęci mieszkańca slumsów do współpracy z policją, ale kiedy wychodził, gospodarz domu powiedział mu, że Ghaziego odwiedziła po południu nieduża grupka mężczyzn – w tym dwóch księży, których opis zgadzał się z opisem podanym przez panią Santorelli; gospodarz zauważył również, że jeden z nich miał na palcu charakterystyczny sygnet Kościoła episkopalnego. Jednym słowem, choćby wydawało się to nieprawdopodobne, katolicy i protestanci w jakimś celu połączyli siły. Gospodarz nie mógł służyć pomocą w roszyfrowaniu tego celu, ponieważ nie wiedział, o czym księża rozmawiali z Ghazim; ale zaraz po ich wyjściu Ghazi uregulował pokaźny zaległy czynsz, w całości i dużymi banknotami. Lucius przekazałby nam te wiadomości poprzedniego wieczoru, ale wracając z syryjskiego getta, wstąpił do kostnicy, aby się dowiedzieć, czy koroner zbadał już ciało Alego, a jeśli tak, jak brzmi oficjalny werdykt. Myślał, że załatwi to szybko, tymczasem kazano mu czekać prawie trzy godziny i na koniec został poinformowany, że zwłoki przewieziono już na cmentarz, a jedyny egzemplarz raportu koronera, niezwykle krótkiego, o czym zapewnił Luciusa dyżurny urzędnik, przesłano do biura burmistrza Stronga.

Nie mogliśmy odgadnąć, do czego właściwie zmierzają ci dwaj księża, koroner, burmistrz i kto tam jeszcze jest w to zamieszany; byliśmy natomiast pewni, że zależy im na zaciemnieniu i zatajeniu faktów. Świadomość, że stoimy przed trudniejszym zadaniem niż zwyczajne ujęcie mordercy – świadomość, która zakiełkowała po zabójstwie Georgia Santorellego – zaczęła rosnąć i irytować każde z nas.

Spięci ostrogą tej irytacji, zwiększyliśmy w następnym tygodniu tempo pracy. Isaacsonowie po kilka razy odwiedzali miejsca zbrodni i domy publiczne, poświęcając całe godziny na poszukiwanie nowych tropów i całe dni na wydobywanie nowych informacji ze wszystkich osób, które mogły widzieć lub słyszeć coś ważnego. Z reguły jednak napotykali skutki interwencji podobnych do tej, która uciszyła ojca Alego Ibn Ghaziego. Marcus, na przykład, chciał poddać strażnika z Castle Garden dużo bardziej surowemu przesłuchaniu niż w noc śmierci Alego, lecz kiedy wrócił do fortu, powiedziano mu, że strażnik zrezygnował z posady i opuścił Nowy Jork, nie podając nowego adresu. Można było śmiało założyć, że dokądkolwiek gość wyjechał, zabrał ze sobą jeden z tych imponujących plików pieniędzy, które dwaj niezidentyfikowani księża rozdawali po całym mieście.

Kreizler, Sara i ja realizowaliśmy tymczasem zadanie oblekania naszego imaginacyjnego mężczyzny w ciało, wykorzystując osoby, które popełniły podobne zbrodnie, jako punkty odniesienia. Co smutne, obiektów nadal nam nie brakowało; ich liczba jeszcze rosła, w miarę jak poprawiała się pogoda, a jeden incydent, dość nieoczekiwanie, był wręcz spowodowany pogodą: Kreizler i ja zbadaliśmy przypadek niejakiego Williama Scarleta, który został aresztowany we własnym mieszkaniu podczas próby zabicia siekierą swej ośmioletniej córki i tłumaczył się tym, że potężna burza, która przeszła w nocy nad miastem, wprawiła go w szal. Co dziwne, Laszlo nie znalazł powodów, by to zakwestionować, więc niewiele wzbogaciliśmy naszą wiedzę.

Następnego dnia Kreizler wybrał się z Sarą na Park Row, by zbadać sprawę Nicola Garola, imigranta, który ciężko poranił nożem swą bratową i jej trzyletnią córkę, po tym jak dziewczynka poskarżyła się, że próbował zrobić jej „krzywdę”. W tym wypadku „krzywdą” oznaczała, zdaniem Laszla, napaść seksualną, a fakt, że chodziło o imigrantów, również był intrygujący. Rodzinny charakter sprawy umniejszył jednak jej znaczenie dla naszego śledztwa, choć trzeba przyznać, że bratowa Garola dostarczyła Sarze ciekawych materiałów do portretu imaginacyjnej kobiety.

Poza tym trzeba było jeszcze dwa razy dziennie przeglądać prasę i wylawiać użyteczne informacje. Był to proces dość okrężny, nowojorskie gazety jedna po drugiej przestawały bowiem pisać o zabójstwach chłopięcych prostytutek, a komitet obywatelski, który miał pójść do ratusza, wcale nie powstał. Jednym słowem, iskra zainteresowania sprawą, tłąca się poza imigranckimi gettami po śmierci Alego, została bardzo dokładnie zduszona i codzienne gazety oferowały nam tylko doniesienia o morderstwach popełnionych w innych częściach kraju. Czytaliśmy je cierpliwie, aby zdobyć więcej elementów, których można by użyć do budowania teorii.

To zajęcie nie podnosiło na duchu: Nowy Jork mógł być stolicą brutalnych zbrodni, zwłaszcza takich, których ofiarami padały dzieci, ale reszta kraju robiła swoje, by utrzymać narodowe statystyki na wysokim poziomie. Przykładowo, pewien włóczęga z Indiany (pacjent zakładu psychiatrycznego, zwolniony niedawno jako zdrowy) zabił dzieci kobiety, która przyjęła go do pracy; trzynastoletniej dziewczynce z Waszyngtonu poderżnięto gardło w parku Rock Creek z powodów absolutnie niezrozumiałych dla nikogo; a kaznodzieja z Salt Lake City zamordował aż siedmioro dziewcząt i spalił ich szczątki w piecu. Przystudiowaliśmy te sprawy i wiele więcej; właściwie każdy dzień przynosił nam co najmniej jeden przypadek, z którym mogliśmy porównać tworzony przez nas portret mordercy.

Nawet służący Kreizlera wnosili swój wkład w śledztwo, poprzez przykład albo bezpośredni udział. Opisałem już moje spekulacje dotyczące Mary Palmer i możliwość analogii między jej przypadkiem i naszym. Zostały one należycie rozważone, a ich najważniejsze aspekty zanotowane na naszej wielkiej tablicy, choć nie skonsultowaliśmy się z samą Mary, ponieważ Laszlo w dalszym ciągu nalegał, by mówić jej o sprawie jak najmniej. Cyrus natomiast dobrał się do większości lektur, które Kreizler nam zlecił, i łapczywie je pochłonał. Odzywał się na naszych zebraniach tylko wtedy, gdy go o coś pytano, ale potrafił być wówczas bardzo wnikliwy. Na przykład w trakcie pewnej nocnej konferencji, gdy rozpatrywaliśmy umysłowy i fizyczny stan mordercy bezpośrednio po dokonaniu zbrodni, nagle napotkaliśmy przeszkodę w postaci faktu, że żadne z nas nigdy nie odebrało życia innej istocie ludzkiej. Wiedzieliśmy oczywiście, że jest w pokoju ktoś, kto to zrobił, ale nikt nie miał specjalnej ochoty prosić Cyrusa o fachową opinię – to znaczy nikt oprócz Kreizlera, który bez żenady zadał mu pytanie w prostych, jednoznacznych słowach. Cyrus, odpowiadając w podobny sposób, potwierdził, że tuż po tym, co zrobił, nie byłby zdolny do skomplikowanego planowania ani dużego wysiłku fizycznego; zaskoczył nas jednak, gdy zaakcentował tę wypowiedź interesującymi uwagami na temat Cesare Lombrosa, Włocha uznawanego przez niektórych za ojca nowoczesnej kryminologii.

Lombroso wierzył w istnienie przestępczego „typu” człowieka (w skrócie, miała to być jednostka o cechach atawistycznych, pierwotnych), ale Cyrus stwierdził, że jego zdaniem taka teoria jest nie do przyjęcia, zważywszy na szeroką gamę motywacji i zachowań, które, jak się ostatnio dowiedział, mogą być związane z czynami kryminalnymi – łącznie z jego własnym. Co ciekawe, doktor H.H. Holmes oświadczył podczas swego procesu, iż uważa się za reprezentanta przestępczego typu Lombrosa. Jego zbrodnie tłumaczy umysłowa, moralna i fizyczna degeneracja, powiedział, a więc, oczywiście, nie powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności prawnej. Nie przekonał tym argumentem sędziów, a my, po omówieniu jego i innych przypadków, doszliśmy do wniosku, że czyny naszego mordercy nie dadzą się przypisać ewolucyjnej regresji tak samo jak czyny Holmesa. Obydwa wykazywali po prostu zbyt duże zdolności intelektualne.

Pewnego dnia mały Stevie Taggart, wioząc mnie przez miasto, zapytał:

– Panie Moore, względem tego człowieka, którego szukacie... Słyszałem, jak doktor Kreizler mówił, że żaden z chłopców nie został przed śmiercią... no wie pan, „wykorzystany”. To prawda?

– Jak dotąd tak, Stevie. Czemu pytasz?

– Bo się zastanawiam, sir. Czy to znaczy, że on nie jest ciotą?

Zaskoczyła mnie ta bezpośredniość – czasem trzeba się było bardzo starać, aby pamiętać, że Stevie ma dopiero dwanaście lat.

– Nie, to nie znaczy, że nie jest... ciotą, Stevie. Ale fakt, że jego ofiary robią to, co robią, nie znaczy też, że nią jest.

– A może on po prostu nienawidzi ciot?

– Jest to możliwe.

– Bo ja sobie myślę, panie Moore, że może on jest ciotą i może nienawidzi ciot. Niby jak ten strażnik, co się mnie tak czepiał na Randalls Island.

– Obawiam się, że nie rozumiem – odparłem.

– No wie pan, w sądzie, jak miałem sprawę o to, że rozwalilem mu łeb, próbowali zrobić ze mnie wariata. Mówili, że ma żonę i dzieci, i w ogóle, więc jak może być ciotą? A w schronisku, jak przyłapał na tym jakichś chłopców, rany, ale im spuszczał manto. Ale jednocześnie nie byłem pierwszym, z którym tego próbowałem. O nie. Więc myślę sobie, że może właśnie dlatego miał taki paskudny charakter: bo nie wiedział tak naprawdę, kim właściwie jest. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Co dziwne, istotnie rozumiałem, o co mu chodzi. Odbyliśmy w sztabie wiele długich dyskusji o seksualnych upodobaniach naszego mordercy, i mieliśmy ich odbyć jeszcze więcej; Stevie zaś praktycznie ujął wszystkie nasze wnioski w tym jednym zdaniu.

Naprawdę nie było wśród nas nikogo, kto nie pracowałby w godzinach nadliczbowych nad pomysłami i teoriami, które mogłyby popchnąć śledztwo do przodu; jednak, co było do przewidzenia, najbardziej trudził się Kreizler. Pamiętałem, jak Sara powiedziała, że odnosi wrażenie, iż Kreizlerowi chodzi o jakąś sprawę osobistą; i chociaż chciałem ją poprosić, by rozwinęła tę myśl, lękałem się, że ożywiłoby to tylko moją skłonność do spekulowania o ich wzajemnych stosunkach.

Doszło jednak do takiej rozmowy pewnego ranka, gdy Kreizler – prosto po długiej nocy w Instytucie – wybierał się na ocenę poczytalności mężczyzny, który poćwiartował swoją żonę na zaimprovizowanym ołtarzu. Laszlo zbierał ostatnio dowody na uzasadnienie teorii, że nasze morderstwa mają charakter dziwacznych rytuałów, podczas których sprawca – podobnie jak wirujący derwisz – stosuje radykalne, lecz dość sformalizowane środki, aby osiągnąć psychiczną ulgę. Kreizler opierał tę teorię na następujących faktach: morderca dusił ofiary, zanim je okaleczył, co dawało mu pełną swobodę działania; dokonywał tych okaleczeń według niezwykle konsekwentnego schematu, skupiając się na wyłupieniu oczu; i wreszcie, wszystkie zbrodnie popełnił w pobliżu wody i na konstrukcjach, których funkcja była z wodą związana. Wiadomo było, że niektórzy mordercy traktują swe ponure czyny jako prywatne obrzędy, i Kreizler sądził, że jeśli porozmawia z dostateczną liczbą takich ludzi, dowie się, jak odczytać przesłanie, które okaleczenia mogą zawierać.

Rzeczono ranka Sara i ja przypadkiem znaleźliśmy się pod numerem 808, akurat kiedy Laszlo zasnął, próbując wsiąść do kolaski. Powąchał sole trzeźwiące i pokrył incydent śmiechem, ale Cyrus powiedział nam, że jego pan nie spał od dwóch dni.

– Wykończy się, jeśli nie zwolni tempa – stwierdziła Sara, gdy powóz odjechał i wsiedliśmy do windy. – Próbuje nadrobić pracą brak tropów i faktów. Jakby mógł wymusić odpowiedzi.

– Zawsze był taki – odparłem, kręcąc głową. – Nawet kiedy byliśmy dziećmi. Zawsze do czegoś dążył, zawsze był śmiertelnie poważny. Wówczas wydawało mi się to zabawne.

– Teraz nie jest już dzieckiem i powinien się nauczyć dbać o siebie.

Przemówiła tu twarda strona Sary, ale usłyszałem inny ton, kiedy zapytała, ze sztuczną, jak mi się zdawało, obojętnością i nie patrząc na mnie:

– Czy w jego życiu nigdy nie było kobiety, John?

– Ma siostrę – odrzekłem, wiedząc, że nie o to jej chodzi. – Byli ze sobą bardzo blisko, ale wyszła za męża. Za jakiegoś Anglika, baroneta czy kogoś w tym rodzaju.

Sara utrzymała obojętny ton, według mnie z wysiłkiem.

– Ale nie miał żadnej... przyjaciółki?

– Aha. Miał, Frances Blake. Poznał ją na Harvardzie i przez parę lat wyglądało na to, że się pobiorą. Ja sobie tego nie wyobrażałem, moim zdaniem była jędzowata. Ale jemu wydawała się czarująca.

Zobaczyłem najbardziej złośliwy uśmiech Sary, to delikatne wydęcie górnej wargi.

– Może mu kogoś przypominała.

– Mnie przypominała jędzę. Słuchaj, Saro, co miałaś na myśli, mówiąc, że Kreizler zachowuje się tak, jakby chodziło mu o sprawę osobistą? Jaką sprawę?

– Nie wiem, John – odparła, gdy weszliśmy do naszego sztabu, gdzie Isaacsonowie kłócili się namiętnie o jakiś szczegół dowodowy. – Powiem ci tyle... – zniżyła głos, dając mi do zrozumienia, że nie chce kontynuować tej rozmowy w obecności naszych kolegów – w grę wchodzi coś więcej niż jego reputacja, coś więcej niż naukowa ciekawość. To coś starszego i głębszego. Twój przyjaciel, doktor Kreizler, jest bardzo głębokim człowiekiem.

Po tych słowach Sara poszła do kuchni zrobić sobie herbaty, a ja zostałem wciągnięty w dyskusję Isaacsonów.

Tak minęła nam większa część kwietnia: pogoda się poprawiała, drobne elementy informacji powoli, lecz regularnie trafiały na swoje miejsca w układance, a niezadanych pytań osobistych przybywało. Mówiłem sobie, że na te sprawy przyjdzie czas później – teraz liczyło się tylko śledztwo, bieżąca praca, od której zależało kto wie ile istnień ludzkich. Kluczem była koncentracja – koncentracja i przygotowanie, gotowość stawienia czoła wszystkiemu, co może się wylęgnąć z umysłu człowieka, którego szukaliśmy. Przyjąłem tę postawę z pewnością siebie, sądząc – po obejrzeniu dwóch spośród jego ofiar – że widziałem już najgorsze.

Pewien incydent, który zdarzył się pod koniec miesiąca, postawił jednak nasz zespół wobec nowej potworności, zrodzonej nie z krwi, lecz ze słów – potworności, która na swój sposób była równie straszliwa jak wszystkie poprzednie.

ROZDZIAŁ 20

Pewnego wyjątkowo przyjemnego czwartkowego wieczoru siedziałem przy biurku, czytając w „Timesie” artykuł o niejakim Henrym B. Bastianie z Rock Island w Illinois, który kilka dni wcześniej zabił trzech chłopców pracujących na jego farmie, poćwiartował ich ciała i nakarmił nimi świnie. (Mieszkańcy miasteczka nie potrafili odgadnąć przyczyny tej nikczemnej zbrodni, a kiedy policja przyszła aresztować Bastiana, ten popełnił samobójstwo, pozbawiając świat szansy poznania i zbadania swoich motywów.) Sara poszła się pokazać na Mulberry Street, co zresztą robiła coraz rzadziej, a Marcus Isaacson jej towarzyszył. Często odwiedzał Kwaterę Główną po godzinach urzędowych, aby w spokoju przeglądać akta antropometryczne: wciąż miał nadzieję, że nasz morderca był już kiedyś notowany. Lucius i Kreizler pojechali tymczasem na całe popołudnie do zakładu dla obłąkanych na Ward’s Island, gdzie studiowali zjawiska rozdzielenia osobowości i zaburzeń czynności mózgu, aby ustalić, czy któraś z tych patologii mogłaby charakteryzować naszego mordercę. Kreizler uważał, iż jest to, delikatnie mówiąc, niezbyt prawdopodobne, głównie dlatego, że pacjenci o podwójnej świadomości (która bierze się z urazu psychicznego lub fizycznego) zazwyczaj nie są zdolni – inaczej niż nasz morderca – do szczegółowego planowania. Ale uparł się sprawdzać nawet najbardziej niewiarygodne teorie. Poza tym naprawdę lubił takie wypadki z Lucusem, ponieważ mógł wtedy wymieniać okruchy swej wybitnej wiedzy medycznej na bezcenne lekcje kryminologii. Kiedy więc zatelefonował koło szóstej, by powiedzieć, że skończyli już z sierżantem śledczym swe badania, nie byłem wcale zaskoczony, słysząc w jego głosie więcej wigoru niż w ostatnich dniach, i zareagowałem z równym zapałem, gdy zaproponował, abyśmy spotkali się na kielicha w ogródku winiarni Brübachera przy Union Square i podzielili odkryciami dnia.

Poświęciłem jeszcze pół godziny popołudniowej prasie, a potem napisałem kartkę do Sary i Marcusa, że czekamy na nich u Brübachera. Przypiąwszy ją do frontowych drzwi, porwałem laskę z eleganckiego ceramicznego stojaka markiza Carcano i wyszedłem w ciepły wieczór, całkiem wesół jak na człowieka, który spędził dzień w świetle krwi, okaleczeń i zbrodni.

Na Broadwayu panował świąteczny nastrój, ponieważ jak w każdy czwartek sklepy były otwarte do późna. Nie zapadł jeszcze zmrok, ale dom towarowy McCreery'ego trzymał się widać nadal zimowych godzin oświetlenia: jasne witryny wskazywały tłumom drogę niczym latarnie morskie, obiecując satysfakcję z zakupów. W kościele Łaski Bożej dobiegło końca wieczorne nabożeństwo i pod wejściem stało jeszcze kilkoro wiernych, których lekkie stroje były świadectwem spóźnionego, lecz nieodwracalnego nadejścia wiosny. Postukując laską o trotuar, skierowałem się na północ, skory wrócić choć na kilka minut między żywych i świadom, że udaję się w odpowiednie po temu miejsce.

„Papa” Brübacher, prawdziwie *gemutlich* restaurator, zawsze rad widzieć stałych klientów, miał jedną z najlepiej zaopatrzonych w piwo i wino piwniczek w Nowym Jorku, a taras jego lokalu, usytuowany naprzeciw wschodniej pierzei Union Square, był idealnym miejscem do obserwacji ludzi spacerujących po parku, gdy słońce chowało się za zachodnim krańcem Czternastej Ulicy. Nie to było jednak głównym powodem, dla którego tacy amatorzy hazardu jak ja odwiedzali winiarnię. Kiedy na Broadwayu pojawiły się tramwaje, jakiś nieznanymi motorniczy wbił sobie do głowy, że jeśli wężowate zakręty torów wokół Union Square nie będą brane z maksymalną prędkością, pałak wyczepli się z przewodu. Inni motorniczowie uwierzyli w tę nigdy niedowiedzioną teorię i wkrótce odcinek Broadwayu biegnący wzdłuż parku został ochrzczony „wirażem nieboszczyka” ze względu na częstotliwość, z jaką niczego niepodważający piesi i pasażerowie powozów tracili życie lub zdrowie pod kołami rozpędzonych tramwajów. Taras Brübachera dawał znakomity widok na cały ten spektakl; w ciepłe popołudnia i wieczory, ilekroć nadjeżdżała któraś z niebezpiecznych maszyn, goście mieli zwyczaj robić zakłady o prawdopodobieństwo wypadku. Zakłady te bywały czasem dość wysokie, a poczucie winy, które odzywało się w zwycięzcach, gdy rzeczywiście doszło do kolizji, bynajmniej nie kładło kresu grze. Przeciwnie, liczba wypadków, a tym samym liczba zakładów, tak wzrosła, że winiarnia Brübachera stała się obowiązkowym przystankiem dla każdego przybysza z prowincji aspirującego do miana hazardzisty.

Kiedy przeszedłem przez Czternastą Ulicę na małą, okoloną krawężnikiem wysepkę leżącą po wschodniej stronie Union Square, gdzie stał wspaniały konny posąg generała Waszyngtona wyrzeźbiony przez Henry'ego K. Browna, usłyszałem charakterystyczne okrzyki – „Dwie dychy, że staruszka nie zdąży!”, „Gość nie ma jednej nogi, już po nim!” – dobiegające z lokalu papy Brübachera. Na ten zew gry przyspieszyłem kroku, u celu przesadziłem obrośniętą bluszczem żelazną balustradę, którą taras był ogrodzony, i usadowiłem się obok kilku moich starych kompanów. Zamówiwszy litr łagodnego, ciemnego Würzburgera, który miał pianę gęstą jak bita śmietana, wstałem jeszcze na chwilę, aby uściskać starego Brübachera, a potem wreszcie zabrałem się z pasją do obstawiania.

Zanim tuż po siódmej nadeszli Kreizler i Lucius, zdążyłem być świadkiem dwóch szczęśliwych ucieczek niań z wózkami i jednego otarcia się tramwaju o bardzo eleganckie lando. Rozgorzała burzliwa dyskusja, czy ten ostatni incydent można nazwać zderzeniem, i rad się z niej wycofałem, by usiąść w stosunkowo pustym kącie tarasu z Lucusem i Kreizlerem, którzy zamówili butelkę Didesheimera. Ale ich dyskusja, pełna wzmianek o częściach i funkcjach mózgu, okazała się równie mało zajmująca. Wreszcie dzwonek nadjeżdżającego tramwaju dał sygnał do nowej rundy zakładów i postawiłem właśnie całą zawartość portfela na zwinność ulicznego sprzedawcy owoców, gdy podniósłszy wzrok, zobaczyłem Marcusa i Sarę.

Chciałem zaproponować, by włączyli się do gry, bo owocarz miał wyjątkowo ciężki wózek i jego pojedynek z tramwajem zapowiadał się emocjonująco; ale kiedy przyjrzałem się uważniej ich twarzom i zachowaniu – Marcus był zaczerwieniony i zdenerwowany, Sara blada i odrętwiała – uświadomiłem sobie, że wydarzyło się coś niezwykłego, i schowałem pieniądze.

– Co się wam, do licha, stało? – zapytałem, odstawiając kufel na stolik. – Saro, dobrze się czujesz?

Bezwolnie skinęła głową, a Marcus zaczął się gorączkowo rozglądać po tarasie, wykręcając sobie palce.

– Telefon – powiedział. – John, gdzie tu jest telefon?

– W środku, tuż za drzwiami. Powiedz Brübacherowi, że jesteś moim znajomym, to pozwoli ci...

Marcus już pędził w stronę wejścia do restauracji. Kreizler i Lucius, którzy przerwali rozmowę i wstali, przyglądali się temu ze zdumieniem.

– Sierżancie śledczy – powiedział Kreizler, gdy Marcus ich mijał. – Czy...

– Przepraszam, doktorze – odparł Marcus. – Muszę... Sara ma coś, co powinien pan zobaczyć.

Marcus wbiegł w otwarte drzwi restauracji, dopadł telefonu i przyłożywszy małą stożkową słuchawkę do ucha, szybko postukał w widełki. Brübacher spojrzął nań zaskoczony, ale skinąłem mu głową i zostawił Marcusa w spokoju.

– Centrala? Halo, centrala? – Marcus zaczął mocno tupać prawą nogą. – Centrala! Proszę mnie połączyć z Toronto. Tak, zgadza się, Kanada.

– Kanada? – powtórzył Lucius, wybałuszając oczy. – O Boże, Alexander Macleod! To znaczy, że...

Lucius spojrzął na Sarę z taką miną, jakby nagle zrozumiał, co przeszła, a potem dołączył do brata przy telefonie. Podprowadziłem dziewczynę do stolika Kreizlera i tam bardzo powoli wyjęła z torebki jakąś kopertę.

– Ten list przyszedł wczoraj na adres Santorellich – powiedziała suchym, zbolałym głosem. – Pani Santorelli przyniosła go dziś rano do Kwatery Głównej. Nie potrafiła go przeczytać i prosiła o pomoc. Wszyscy jej odmawiali, ale nie chciała pójść do domu. Znalazłam ją, jak siedziała na schodkach przy wejściu. Przetłumaczyłam jej go. W każdym razie większą część. – Wepchnęła list w dłoń Laszla i spuściła głowę. – Nie chciała go zatrzymać, a w Kwaterze na nic by się nikomu nie przydał, więc Theodore poprosił, żebym go wzięła i pokazała panu, doktorze.

Lucius wrócił do stolika i obaj przyglądaliśmy się z niecierpliwością, jak Kreizler otwiera kopertę. Gdy przebiegł wzrokiem treść listu, odetchnął szybko, ale cicho, i pokiwał głową. „Więc tak”, mruknął tonem, który zdawał się mówić, że oczekiwał czegoś podobnego. Potem usiadł i bez żadnego wstępu, bardzo spokojnym głosem, odczytał list (zachowałem w tej transkrypcji ortografię autora):

Moja droga pani Santorelli!

Nie wiem, czy to pani jest źrudłem tych podłych KLAMST, co to je czytam w gazetach, czy stoi za nimi policja, a dziennikarze należą do spisku, ale myślę sobie, że to może być pani, więc korzystam ze sposobności, żeby coś wyjaśnić.

W niektórych częściach świata, skąd pochodzą tacy brudni imigranci jak pani, często jada się ludzkie mięso, ponieważ brakuje innego porzywienia i inaczej ludzie umarli by z głodu. Osobiście o tym czytałem i wiem, że to prawda. Rzecz jasna na ogół je się dzieci, bo są najmiekkiejsze i najsmaczniejsze, zwłaszcza ich tyłki.

Potem takie ludzie, co je jedzą, przyjeżdżają do Ameryki i srają, ich dzieci srają dookoła, co jest brudne, brudniejsze niż dziki indianiec.

18 lutego zobaczyłem, jak pani syn paraduje z popiołem i szminką na twarzy.

Postanowiłem zaczekać i widziałem go jeszcze kilka razy, nim pewnej nocy zabrałem go z TEGO MIEJSCA. Bezczelny chłopak, od razu wiedziałem, że muszę go zjeść.

Więc poszliśmy prosto na most i związałem go i szybko zabiłem. Wyłupiłem mu oczy i zabrałem jego tyłek i żywiłem się nim przez tydzień, upieczonym z cebulą i marchewką.

Ale go nie wypieprzyłem, chociaż mogłem, a on by tego chciał. Umarł niezbrukany przeze mnie i powinni o tym napisać w gazetach.

– Nie ma zakończenia ani podpisu – powiedział Kreizler głosem, który był bardzo zbliżony do szeptu. – To zrozumiałe.

Odchylił się do tyłu, nie spuszczać oczu z listu.

– Jezu Chryste – jęknąłem, cofając się parę kroków, aż opadłem na krzesło.

– To na pewno on – stwierdził Lucius, gdy wziął list ze stołu i przebiegł go wzrokiem. – Ta historia z... pośladkami, nie pisała o tym żadna gazeta.

Odłożył list i podszedł do Marcusa, który nadal wykrzykiwał do telefonu nazwisko Alexandra Macleoda.

Patrząc tępo przed siebie, Sara zaczęła po omacku szukać z tyłu krzesła, na co Laszlo chwycił jedno i wsunął je pod nią.

– Nie mogłam przetłumaczyć biedaczce całego listu – odezwała się, wciąż niemal niesłyszalnym głosem. – Ale go jej streściłam.

Kreizler ukucnął przy niej.

– Dobrze zrobiłaś, Saro – powiedział uspokajającym tonem i na tyle cicho, by nie usłyszeli go inni goście restauracji. – Skoro morderca się nią zainteresował, powinna być tego świadoma, i wiedzieć, co myśli. Ale na pewno nie potrzebuje szczegółów. – Wróciwszy na swoje krzesło, postukał palcem w list. – Wygląda na to, że Opatrzność dała nam w ręce prawdziwy skarb. Proponuję, abyśmy zrobili z niego użytek.

– Użytek? – powtórzyłem, nadal w niejakim szoku. – Laszlo, jak możesz...

Ignorując mnie, Kreizler zwrócił się do Luciusa:

– Sierżancie śledczy, czy mogę spytać, z kim próbuje się skontaktować pański brat?

– Z Alexandrem Macleodem – odparł Lucius. – To najlepszy grafolog w Ameryce Północnej. Marcus z nim studiował.

– Doskonale – oświadczył Kreizler. – Idealne wprowadzenie. Od analizy pisma będziemy mogli przejść do bardziej ogólnej dyskusji.

– Chwileczkę – powiedziałem, wstając z krzesła. Starłem się nie podnosić głosu i nie dawać wyrazu całej grozie i obrzydzeniu, które mnie ogarnęły, gdy słuchałem listu; byłem jednak zdumiony ich podejściem. – Właśnie przeczytaliśmy, że ten... ten człowiek nie tylko zabił chłopca, lecz także go zjadł, przynajmniej częściowo. A wy się zwracacie do jakiegoś cholernego grafologa?

Sara podniosła głowę, siłać się na opanowanie.

– Nie, nie, oni mają rację, John. Wiem, że to straszne, ale zastanów się chwilę.

– W rzeczy samej, Moore – dodał Kreizler. – Koszmar mógł się pogłębić dla nas, ale wyobraź sobie, o ile bardziej pogłębił się dla człowieka, którego szukamy. Ten list dowodzi, że jego desperacja osiągnęła nowy wymiar. Morderca może już wkraczać w końcową fazę autodestrukcji...

– Bzdura! Wybacz, Kreizler, ale to bzdura! – Serce nadal biło mi szybko, a mój głos drżał, gdy zmuszałem się do szeptu. – Nadal będziesz się upierał, że ten człowiek jest normalny, że chce, byśmy go schwytali? Na litość boską, on zjada swoje ofiary!

– Tego nie wiemy – wtrącił Marcus cicho, lecz stanowczo, wychylając się z drzwi restauracji i zasłaniając mikrofon dwoma palcami.

– Właśnie – poparł go Kreizler, po czym wstał i podszedł do mnie, a Marcus znów zaczął mówić do telefonu. – Może zjada ciała swych ofiar, a może nie, John. Na pewno wiemy tylko tyle, że mówi nam, iż je zjada, świadom, że takie stwierdzenie nami wstrząśnie i zwiększymy wysiłki, by go schwycić. To jest działanie zdroworozsądkowe. Pamiętaj, czego się nauczyliśmy: gdyby był obłąkany, zabijałby, gotował mięso, zjadał je i Bóg jeden wie, co jeszcze robił, nikogo o tym nie zawiadamiając, a już na pewno nie osobę, o której wiedział, że pójdzie z tą wiadomością prosto na policję. – Chwycił mnie mocno za ramiona. – Tylko pomyśl, co on nam dał: nie tylko swój charakter pisma, lecz także informacje, mnóstwo informacji do zinterpretowania!

Wtedy Marcus znów wrzasnął „Alexander!”, tym razem z satysfakcją, i uśmiechając się, mówił dalej:

– Tak, tu Marcus Isaacson z Nowego Jorku. Mam pilną sprawę i muszę się upewnić co do paru szczegółów...

Po tych słowach Marcus zniżył głos i wcisnął się w kąt przy drzwiach; Lucius został przy nim, wytężając słuch.

Rozmowa telefoniczna Marcusa potrwała jeszcze piętnaście minut. Przez ten czas list leżał na stole, na swój sposób równie makabryczny i odstręczający jak zwłoki, które oglądaliśmy wcześniej. Prawdę mówiąc, w pewnym sensie budził jeszcze większe przerażenie, morderca bowiem, mimo upiornego realizmu swych czynów, był dla nas dotąd tylko imaginacyjnym zbiorem cech. Kiedy jednak usłyszeliśmy jego własny i prawdziwy głos, wszystko gwałtownie się zmieniło. Przestał być abstrakcją – był sobą, jedynym człowiekiem, którego umysł mógł zaplanować te czyny, jedynym człowiekiem zdolnym wymówić te słowa. Przyglądając się rozkrzyczanym graczom na tarasie, a potem przechodniom na ulicy, uświadomiłem sobie nagle, że gdybym go teraz spotkał, miałbym o wiele większe szansę go rozpoznać. Było to nowe i niepokojące uczucie, trudne dla mnie do przełknięcia; niemniej, zmagając się z nim, zaczynałem rozumieć, że Kreizler ma rację. Bez względu na to, jak straszne i przykre myśli opętały mordercę, nie mogliśmy zlekceważyć jego listu jako bredzenia szaleńca – był niezaprzeczalnie logiczny, choć jak bardzo logiczny, miałem się dopiero dowiedzieć.

Gdy Marcus wrócił do stolika, wziął list i przez jakieś pięć minut uważnie go studiował. Potem zaczął wydawać ciche pomruki zadowolenia, na co wszyscy skupiliśmy się wokół niego wyczekująco. Kreizler wyjął notatnik i pióro, gotów zapisać wszelkie cenne uwagi. Nadal co parę minut rozlegały się wrzaski gości robiących zakłady, więc krzyknąłem do nich, żeby się uciszeli. Taka prośba normalnie wywołałaby ryk oburzenia i drwin, ale w moim głosie zadźwięczała chyba powaga chwili, ponieważ ją spełniono. Wówczas, w gasnącym świetle tego cudownie łagodnego wiosennego wieczoru, Marcus rozpoczął swój wykład, szybko, ale wyraźnie.

– Grafologia dzieli się na dwa główne obszary – powiedział ochryplym z emocji głosem. – Po pierwsze, mamy badanie dokumentów w tradycyjnym sensie prawnym, to znaczy ściśle naukową analizę porównawczą, której celem jest ustalanie autorstwa; po drugie, zbiór technik, które są bardziej... spekulacyjne. Większość ludzi nie uważa tego drugiego obszaru za naukowy i ma on niewielkie znaczenie w sądzie. Ale my nieraz się przekonaliśmy, że jest bardzo użyteczny. – Spojrzał na Luciusa, który bez słowa skinął głową. – Tak więc, zacznijmy od spraw podstawowych.

Marcus zrobił przerwę, aby zamówić wysoką szklanekę Pilsenera do przepłukiwania gardła, i podjął wątek.

– Mężczyzna, który napisał ten list – charakter pisma jest bez wątpienia męski – ma za sobą dobrych kilka lat nauki szkolnej, która obejmowała kaligrafię. Pobierał tę naukę w Stanach Zjednoczonych, nie dawniej niż piętnaście lat temu.

Widząc moją zdumioną minę, Marcus wyjaśnił:

– Widać wyraźne oznaki, że był ćwiczony, intensywnie i regularnie, w systemie kaligraficznym Palmera. Otóż system Palmera wprowadzono na początku lat osiemdziesiątych i szybko przyjęły go szkoły w całym kraju. Dominował aż do zeszłego roku, kiedy to zaczął być wypierany na Wschodzie i w niektórych dużych miastach Zachodu przez metodę Zanera i Blossera. Zakładając, że nasz morderca zakończył edukację podstawową nie później niż w wieku lat piętnastu, nie może mieć teraz więcej niż trzydzieści jeden lat.

Ten tok rozumowania wydawał się logiczny i poskrzypując piórem, Kreizler zapisał jego punkty w notatniku.

– Idźmy dalej – ciągnął Marcus. – Jeśli przyjmujemy, że nasz człowiek ma teraz koło trzydziestki i że skończył szkołę jako piętnastolatek albo wcześniej, miał następne piętnaście lat na rozwinięcie zarówno swojego charakteru pisma, jak i osobowości. Nie był to chyba szczególnie przyjemny okres. Przede wszystkim, co już odgadaliśmy, jest niepoprawnym łgarzem i oszustem: w rzeczywistości zna gramatykę i ortografię, ale zadał sobie sporo trudu, byśmy pomyśleli, że nie zna. Widzicie, tutaj, na początku listu, napisał „zrudłem”, a potem „kozystam” i „porzywienie”. Chciał nam wmówić, że jest nieukiem, ale się zdradził – pod koniec, oznajmiając, co zrobił z ciałem Georgia, pisze „żywiłem się nim przez tydzień” i nie popełnia błędu.

– Można domniemywać – powiedział Kreizler – że pod koniec listu bardziej zależało mu na przedstawieniu swoich racji niż uprawianiu gierki.

– Właśnie, doktorze – odparł Marcus. – Jego charakter pisma jest niezwykle naturalny. Fakt, że błędy ortograficzne zostały popełnione celowo, wyraźnie się w nim objawia – fałszywe ustępy są o wiele bardziej rozchwiane i niepewne. Zwłaszcza poprzeczki litery „t” nie mają takiej twardości i rozmachu jak w reszcie listu. Jego gramatyka ujawnia to samo: w niektórych miejscach stara się naśladować mowę niewykształconego farmera – na przykład „takie ludzie” – a potem przepuszcza zdanie w rodzaju „Umarł niezbrukany przeze mnie i powinni o tym napisać w gazetach”. Jest to niekonsekwentne, ale morderca nie dostrzegł tej niekonsekwencji, zakładając, że w ogóle przeczytał list po napisaniu. To wskazuje, że może mieć wygórowaną opinię o własnym sprycie, choć niewątpliwie potrafi planować.

Po kolejnym łyku Pilsenera Marcus zapalił papierosa i mówił dalej, wreszcie zwalnając trochę tempo.

– Do tego momentu stoimy na dość pewnym gruncie. To wszystko ma podstawy naukowe i obroniłoby się w sądzie. Koło trzydziestki, przyzwoite wykształcenie, świadoma próba oszustwa: żaden sędzia by tego nie zakwestionował. Dalej jednak sprawa nie jest taka prosta. Czy samo pismo zdradza jakieś cechy charakteru? Wielu grafologów uważa, że wszyscy ludzie, nie tylko przestępcy, ujawniają podczas fizycznej czynności pisania swą naturę, bez względu na to, co konkretnie napiszą. Macleod przeprowadził dużo badań na tym polu i sądzę, że możemy z pożytkiem zastosować tu jego reguły.

Nagle z drugiego końca tarasu dobiegł nas krzyk: „Jezu Chryste, w życiu nie widziałem, żeby grubas tak zasuwał!” i miałem już ponownie poprosić o ciszę, ale moi znajomi mnie ubiegli. Marcus mógł więc spokojnie kontynuować.

– Po pierwsze, zamaszyste trzonki i niezwykła kanciastość wielu liter sugerują człowieka udręczonego, który odczuwa jakieś ogromne wewnętrzne napięcie i nie potrafi go rozładować inaczej niż poprzez gniew. Prawdę mówiąc, pociągnięcia pióra są tak ostre i szybkie – widzicie, tutaj? – że można zupełnie śmiało założyć skłonność do przemocy fizycznej lub wręcz sadyzmu. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana, ponieważ mamy tu inne, kontrastowe elementy. W wysokim rejestrze, tak zwanej „górnjej strefie” pisma, widzimy małe, ozdobne zawijasy. Zazwyczaj świadczą one o wyobraźni piszącego. Natomiast w strefie dolnej panuje spory zamęt, jest to najbardziej widoczne w tendencji do umieszczania pętelek takich liter jak „g” czy „f” po niewłaściwej stronie trzonka. Nie zdarza się to za każdym razem, ale fakt, że w ogóle się zdarza, jest istotny, biorąc pod uwagę, że ten człowiek uczył się kaligrafii i że we wszystkich innych przypadkach postępuje bardzo konsekwentnie, wręcz z wyrachowaniem.

– Doskonale – powiedział Kreizler; spostrzegłem jednak, że jego pióro się nie porusza. – Ale zastanawiam się, sierżancie śledczy, czy tych ostatnich wniosków nie można by wysnuć z samej treści listu, jak również z pańskiej wstępnej, nieco bardziej naukowej analizy pisma?

Marcus uśmiechnął się i skinął głową.

– Zapewne tak. I to pokazuje, dlaczego tak zwana sztuka odczytywania osobowości z charakteru pisma nie została jeszcze uznana za naukę. Pomyślałem jednak, że powinienem przedstawić te spostrzeżenia, bo przynajmniej dowodzą one, że nie ma sprzeczności między treścią i formą. Gdyby list był sfalszowany, niemal na pewno znaleźlibyśmy coś takiego.

Kreizler pokiwał na to głową, ale znów nic nie zapisał.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o charakter pisma – zakończył Marcus. – Opyłem jeszcze tylko sam papier, żeby się upewnić co do odcisków palców.

Kiedy to robił, zabrał głos Lucius, który od jakiegoś czasu przyglądał się kopercie.

– Ze stempla pocztowego wynika raczej niewiele. List został nadany na Starej Pocztce koło ratusza, ale nasz człowiek prawdopodobnie pojechał tam celowo. Jest wystarczająco rozważny, by się spodziewać, że stempel będzie badany. Nie możemy jednak wykluczyć możliwości, że mieszka w okolicy ratusza.

Marcus wyjął z kieszeni fotografie odcisków i porównywał je z posypanym proszkiem listem.

– Mhm – mruknął. – Pasuje.

I gdy to powiedział, irracjonalna nadzieja, że list jest fałszerstwem, zgasła.

– Pozostaje nam więc – odezwał się Kreizler – niełatwe zadanie zinterpretowania treści listu. – Wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę, dochodziła dziewiąta. – Byłoby lepiej, gdybyśmy mieli świeże głowy, ale...

– Tak – powiedziała Sara, która wreszcie wróciła do równowagi – ale.

Wszyscy wiedzieliśmy, czym jest to „ale” – morderca nie uwzględniał w swym harmonogramie przerw na odpoczynek dla ścigających go ludzi. Zaprzątnięci tą myślą, wstaliśmy, aby udać się na Broadway 808, gdzie zaparzymy sobie kawę. Jeśli ktoś z nas był na tyle niemądry, że porobił jakieś plany na resztę wieczoru, musiał z nich zrezygnować.

Kiedy opuszczaliśmy taras, Laszlo dotknął mojego ramienia, sygnalizując, że chce porozmawiać na osobności.

– Miałem nadzieję, że się mylę, John – powiedział, gdy pozostali trochę odeszli. – I nadal mogę się mylić, ale... Od początku podejrzewałem, że morderca śledzi nasze działania. Jeśli mam rację, prawdopodobnie poszedł za panią Santorelli na Mulberry Street i bacznie się przyglądał, z kim rozmawia. Sara mówi, że przetłumaczyła list tej nieszczęsnej kobiecie w pobliżu wejścia do budynku. Jeśli morderca tam był, musiał je widzieć. Mógł przyjść za Sarą tutaj; może nas obserwować w tej chwili.

Odwrociłem się, by spojrzeć na Union Square, ale Kreizler szarpnął mnie z powrotem.

– Nie rób tego, i tak go nie zobaczysz, a nie chcę, żeby inni czegoś się domyślili. Zwłaszcza Sara. Mogłoby to źle wpłynąć na ich pracę. Ty i ja powinniśmy jednak zwiększyć środki ostrożności.

– Ale... Obserwuje nas? Dlaczego?

– Może z próżności – odparł Laszlo. – Jak również z desperacji.

Byłem wstrząśnięty.

– Mówisz, że podejrzewałeś cały czas?

Kreizler skinął głową i powoli ruszyliśmy za innymi.

– Już od pierwszego dnia. Odkąd znaleźliśmy w kolasce tę zakrwawioną szmatę. Strona, która była w nią zawinięta, została wyrwana z...

– Twojego artykułu – wtrąciłem szybko. – Tyle się domyśliłem.

– Tak – potwierdził Laszlo. – Morderca musiał obserwować przyczółek mostu, gdy przybyłem na miejsce zbrodni. Sądzę, że podrzucając mi tę stronę, chciał mnie, po swojemu, o tym zawiadomić. I zakpić ze mnie.

– Ale jak możesz być pewien, że to morderca ją podrzucił? – zapytałem, szukając sposobu, by oddalić przerażający wniosek, że jesteśmy, przynajmniej od czasu do czasu, szpiegowani przez zbrodniarza.

– Szmata – wyjaśnił Kreizler. – Choć była zakrwawiona i brudna, uderzająco przypominała materiał koszuli Georgia Santorellego, której, jeśli pamiętasz, brakowało rękawa.

Idąca przodem Sara zaczęła oglądać się ciekawie przez ramię i Laszlo przyspieszył kroku.

– Pamiętaj, Moore – powiedział – ani słowa innym.

Kreizler dogonił Sarę, a ja rzuciłem jeszcze jedno ukradkowe, nerwowe spojrzenie ku mrocznemu parkowi na Union Square, po drugiej stronie Czwartej Alei.

Gra, jak to mówią, szła teraz o najwyższą stawkę.

ROZDZIAŁ 21

Po pierwsze – powiedział Kreizler, gdy weszliśmy tego wieczoru do sztabu i zaczęliśmy się sadowić przy biurkach – sądzą, iż możemy wreszcie rozstrzygnąć jedną nurtującą nas wątpliwość.

W prawym górnym rogu tablicy, pod nagłówkiem ASPEKTY ZBRODNI, widniało słowo SAM, opatrzone znakiem zapytania, który Laszlo teraz start. Już wcześniej byliśmy stosunkowo pewni, że nasz morderca nie ma współników: ani para, ani grupa ludzi, rozmowaliśmy, nie mogłaby przez lata uprawiać takiego procederu w tajemnicy – ktoś w końcu by się z czymś zdradził. Jedynym kruczkiem w tej teorii podczas wstępnej fazy śledztwa było pytanie, jak samotny człowiek mógł sobie poradzić z wchodzeniem na dachy i mury rozmaitych domów publicznych i miejsc zbrodni; Marcus wyjaśnił jednak tę kwestię. A zatem, choć fakt, że list był napisany w pierwszej osobie liczby pojedynczej, jako taki niczego nie przesądzał, w połączeniu z innymi przesłankami zdawał się bezsprzecznie dowodzić, iż morderca działa sam.

Wszyscy skinęliśmy głowami na znak zgody i Kreizler mówił dalej:

– Przejdźmy do nagłówka. Dlaczego „Moja droga pani Santorelli”?

– Może z nawyku – podsunął Marcus. – Zgodnie z tym, czego nauczył się w szkole.

– „Moja droga”? – zdziwiła się Sara. – Czy podstawową formułką nie jest po prostu „droga”?

– Sara ma rację – stwierdził Lucius. – Nagłówek jest przesadnie poufale i serdeczny. Morderca wie, że jego list będzie dla tej kobiety wielkim ciosem, i cieszy się z tego. Sadystycznie bawi się swą ofiarą.

– Zgoda – odparł Kreizler, podkreślając słowo SADYZM, które widniało już z prawej strony tablicy.

– Chciałbym też zauważyć, doktorze – dodał Lucius ze stanowczością – że mówię nam to coś więcej o charakterze jego łowów. – (Lucius nabrał ostatnio przekonania, że wiedza anatomiczna mordercy bierze się stąd, iż jest on doświadczonym myśliwym, wiele jego działań przypomina bowiem podchodzenie zwierzyny.) – Rozważyliśmy już aspekt żądzы krwi, ale to bawienie się ofiarą dowodzi czegoś jeszcze, a mianowicie mentalności sportsmena.

Laszlo zastanawiał się chwilę.

– To rozsądna teza, sierżancie śledczy – powiedział, pisząc SPORTSMEN na granicy rubryk DZIECIŃSTWO i INTERWAŁ. – Ale potrzebuję więcej dowodów – postawił po słowie znak zapytania – zważywszy na warunek wstępny i jego implikacje.

Warunek ów stanowiła pewna ilość wolnego czasu w dzieciństwie, aby nasz człowiek mógł polować nie tylko w celu zdobycia pożywienia, lecz także dla przyjemności. To z kolei oznaczało, że albo pochodzi z miejskiej arystokracji (która w tych dniach sprzed przepisów o zatrudnianiu dzieci była jedyną naprawdę niepracującą klasą w mieście, jako że nawet stan średni oddawał swe latorośle na służbę), albo wychował się na wsi. Przyjęcie dowolnego z tych założeń znacznie ograniczyłoby obszar naszych poszukiwań, ale musieliśmy być całkowicie pewni swego.

– Co do pierwszego zdania – ciągnął Kreizler – oprócz zdecydowanego nacisku na „kłamstwa”...

– Poprawił to słowo atramentem kilka razy – przerwał mu Marcus. – Kryją się za nim silne emocje.

– W takim razie kłamstwa nie są dla niego niczym nowym – zawyrokowała Sara.

– Odnosi się wrażenie, że aż nazbyt dobrze poznał nieuczciwość i hipokryzję.

– A mimo to nadal go one oburzają – zauważył Kreizler. – Jakież teorie?

– To się wiąże z chłopcami – powiedziałem. – Po pierwsze, ubierają się jak dziewczęta, to rodzaj oszustwa. Po drugie, są prostytutkami, więc powinni mieć uległy charakter, wiemy jednak, że ci, których zabił, potrafili być krnąbrni.

– Dobrze – zgodził się Kreizler, kiwając głową. – Więc nie lubi fałszu. Ale sam jest kłamcą... jak to wyjaśnimy?

– Nauczył się – odrzekła krótko Sara. – Stykał się z nieuczciwością, być może był nią otoczony, i rzeczywiście jej nienawidzi, ale przyswoił ją sobie, by móc przeżyć.

– I tego rodzaju zachowań uczymy się raz na zawsze – dodałem. – Tak samo musiało być z przemocą: bywał jej świadkiem, nie podobała mu się, ale ją sobie przyswoił. Prawo przyzwyczajenia i korzyści, dokładnie jak u profesora Jamesa: nasz umysł działa, mając na uwadze własną korzyść, którą jest przetrwanie organizmu, a nasze sposoby dążenia do tej korzyści kształtują się w dzieciństwie i wieku młodzieńczym.

Lucius chwycił tom pierwszy *Podstaw psychologii* Jamesa i znalazł odpowiedni fragment.

– „Charakter twardnieje jak gips” – przeczytał, podniósłszy palec – „by już nigdy nie zmięknąć”.

– Nawet jeśli...? – przycisnął go Kreizler. Lucius odwrócił stronę i przebiegł ją wzrokiem.

– Nawet jeśli pewne nawyki stają się przeszkodą w wieku dojrzałym. Cytuję: „Przyzwyczajenie skazuje nas wszystkich na rozgrywanie bitwy życia w umocnieniach naszego wychowania lub naszych wczesnych wyborów i na szukanie satysfakcji w zajęciu, które nam nie odpowiada, ponieważ do żadnego innego się nie nadajemy, a jest za późno, by zacząć od początku”.

– Przeczytał pan to z żarem, sierżancie śledczy – stwierdził Kreizler – ale potrzebujemy przykładów. Założyliśmy, że nasz człowiek doświadczył lub doświadczał przemocy, być może natury seksualnej... – wskazał małą pustą ramkę w rubryce **DZIECIŃSTWO**, zatytułowaną **KSZTAŁTUJĄCA PRZEMOC I/LUB MOLESTOWANIE** – ...i że właśnie dlatego sam się jej teraz dopuszcza. Ale co z bardzo silnymi emocjami skupionymi na nieuczciwości? Czy z nimi jest podobnie?

Wzruszyłem ramionami.

– Mógł zostać oskarżony o nieuczciwość. Najprawdopodobniej niesłusznie. Być może wiele razy.

– Trafne – orzekł Kreizler i zapisał z lewej strony tablicy NIEUCZCIWOŚĆ, a pod spodem ETYKIETKA KŁAMCY.

– Jest jeszcze sytuacja rodzinna – dodała Sara. – W rodzinie może być wiele kłamstwa. Pierwsze, co przychodzi na myśl, to cudzołóstwo, ale...

– Ale to nie wiąże się z przemocą – dokończył Kreizler. – A podejrzewam, że musi. Czy nieuczciwość mogłaby dotyczyć przemocy? Aktów przemocy, które zostały z premedytacją zatajone, to znaczy nie przyznano się do nich ani w rodzinie, ani poza nią?

– Oczywiście – odparł Lucius. – I sprawa wyglądałaby jeszcze gorzej, gdyby wizerunek rodziny był zupełnie inny.

Kreizler uśmiechnął się z prawdziwą satysfakcją.

– Właśnie. Mamy więc z pozoru porządnego ojca, który, na przykład, bije żonę i dzieci...

Lucius lekko się wykrzywił.

– Niekoniecznie chodziło mi o ojca. Mógłby to być dowolny członek rodziny.

Kreizler machnął lekceważąco ręką.

– Zdrada ojca byłaby najbardziej bolesna.

– Nie matki? – zapytała ostrożnie Sara.

Było to pytanie wykraczające poza nasz właściwy temat: wydawało się, że dziewczyna próbuje rozszyfrować nie tylko mordercę, lecz także Kreizlera.

– Nie znajduje to potwierdzenia w literaturze – odrzekł Laszlo. – Wyniki najnowszych badań Breuera i Freuda nad histerią niemal we wszystkich przypadkach wskazują na wykorzystanie seksualne przez ojca w okresie poprzedzającym pokwitanie.

– Z całym szacunkiem, doktorze – zaprotestowała Sara – Breuer i Freud sami nie są pewni znaczenia swych odkryć. Freud początkowo uznał wykorzystanie seksualne za przyczynę wszelkiej histerii, ale ostatnio odszedł od tego poglądu i stwierdził, że mogą nią być także fantazje dotyczące wykorzystania.

– To prawda – przyznał Kreizler. – W ich teoriach jest wiele niejasności. Sam nie akceptuję jednokierunkowego nacisku na seks, nawet z wyłączeniem przemocy. Ale spójrz na to pod kątem empirycznym, Saro: ile znasz rodzin, którymi rządzą apodyktyczne, okrutne matki?

Sara wzruszyła ramionami.

– Okrucieństwo ma wiele twarzy, doktorze, ale powiem o tym więcej, gdy dojdziemy do końca listu.

Kreizler napisał już OKRUTNY, ALE Z POZORU PORZĄDNY OJCIEC z lewej strony tablicy i wyraźnie chciał, wręcz się niecierpliwił, abyśmy przeszli dalej.

– Cały pierwszy akapit – powiedział, uderzając w list – mimo błędów ortograficznych ma konsekwentny ton.

– Natychmiast się to dostrzega – podchwycił Marcus. – Morderca jest przekonany, że ściga go wielu ludzi.

– Chyba wiem, do czego pan zmierza, doktorze – odezwał się Lucius, znów przrzucając stertę książek i papierów na swoim biurku. – Jeden z artykułów, które dał nam pan do przeczytania, ten w pańskim tłumaczeniu... Mam! – Wyciągnął jakiś plik kartek. – Doktor Krafft-Ebing. Omawia on „intelektualną monomanię”, jak również to, co Niemcy nazywają *primäre Verrücktheit*¹⁷ i proponuje, aby zastąpić obydwie terminy słowem „paranoja”.

Kreizler skinął głową i napisał PARANOIK w rubryce INTERWAŁ.

– Odczucia, być może nawet urojenia prześladowcze, które powstały po jakimś wstrząsie lub serii wstrząsów psychicznych – powiedział – ale nie powodują *dementia praecox*: wybornie zwięzła definicja Kraffta-Ebinga, która istotnie zdaje się tu pasować. Bardzo wątpię, aby nasz człowiek cierpiał już na urojenia, ale jego zachowanie jest pewnie dość aspołeczne. Co nie oznacza, że szukamy mizantropa, to byłoby zbyt proste.

– Czy skłonności aspołecznych nie mogłyby zaspokajać same morderstwa? – spytała Sara. – I przez resztę czasu byłby obłąd pierwotny, z pozoru normalny i... Nie wiem, czynny, aktywny w swym środowisku?

– Może nawet zbyt aktywny – zgodził się Kreizler. – Nie będzie to człowiek, który, zdaniem sąsiadów, mógłby zabijać dzieci i twierdzić, że je zjada. – Zanotował te uwagi na tablicy, po czym odwrócił się do nas. – I tak dochodzimy do drugiego, jeszcze bardziej niezwykłego akapitu.

– Jedno wynika z niego od razu – oświadczył Marcus. – Morderca nie wyjeżdżał za granicę. Nie wiem, co gość czytał, ale ostatnimi czasy nie spotyka się w Europie masowego kanibalizmu. Ludzie jedzą tam mniej więcej wszystko inne, ale nie siebie nawzajem. Chociaż z Niemcami to nigdy nic nie wiadomo... – Spostrzegł się i zerknął na Kreizlera. – Och. Bez obrazy, doktorze.

Lucius klasnął dłońią w czoło, ale Kreizler tylko się kwaśno uśmiechnął. Dziwactwa Isaacsonów już ani trochę go nie konsternowały.

– Nie obraziłem się, sierżancie śledczy. Istotnie, z Niemcami nigdy nic nie wiadomo. Ale jeśli przyjmujemy, że morderca nie opuszczał Stanów Zjednoczonych, co z pańską teorią, że jego umiejętności wspinaczkowe świadczą o europejskich korzeniach?

Marcus wzruszył ramionami.

– Amerykanin w pierwszym pokoleniu. Jego rodzice byli imigrantami.

Sara szybko złapała oddech.

– „Brudnymi imigrantami”!

Na twarzy Kreizlera znów odmalowała się satysfakcja.

– Owszem – powiedział, pisząc RODZICE – IMIGRANCI z lewej strony tablicy.
– W tych słowach dźwięczy obrzydzenie, prawda? Tego rodzaju nienawiść zwykle ma określoną przyczynę, choć może być ona ukryta. W tym wypadku morderca miał zapewne niedobre stosunki z jednym lub z obojgiem rodziców i w końcu zaczął pogardzać wszystkim, co się z nimi wiązało, łącznie z ich dziedzictwem.

– Niemniej jest to jego własne dziedzictwo – zauważyłem. – Co mogłoby po części tłumaczyć bestialstwo jego zbrodni. Czuje obrzydzenie do samego siebie i stara się oczyścić z tego brudu.

– Interesujące sformułowanie, John – stwierdził Kreizler. – I wrócimy do niego. Ale najpierw spróbujmy odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie praktyczne. Polowania, wspinaczka i nasza nowa hipoteza, że nigdy nie był za granicą: czy możemy już ustalić, gdzie się wychował?

– Nie z większą dokładnością niż dotąd – odparł Lucius. – Albo w bogatej rodzinie w mieście, albo na wsi.

Laszlo zwrócił się do Marcusa:

– Czy jakiś region byłby lepszy do nauki wspinaczki niż inny?

Marcus potrząsnął głową.

– Można się jej nauczyć wszędzie, gdzie są duże formacje skalne. W Stanach Zjednoczonych jest mnóstwo takich miejsc.

– Hmm – westchnął Laszlo, z lekkim rozczarowaniem. – Wciąż za mało danych. Zostawmy to na razie i wróćmy do drugiego akapitu. Sam język zdaje się potwierdzać pańską teorię dotyczącą „zawijasów w górnej strefie pisma”, Marcusie. Autor naprawdę puścił tu wodze wyobraźni.

– Niezła ta wyobraźnia – mruknąłem.

– Słusznie, John – odrzekł Kreizler. – Bez wątplenia nadmierna i chorobliwa.

Lucius strzelił palcami.

– Czekajcie – powiedział, znów sięgając po książki. – Coś sobie przypominam...

– Przykro mi, Luciusie – zawołała Sara, posyłając mu swój charakterystyczny złośliwy uśmiezek. – Byłam szybsza. – Podniosła jakieś pismo medyczne. – Nawiązuje to również do naszej dyskusji o nieuczciwości, doktorze – dodała. – W artykule „Plan badania nieprawidłowości rozwoju umysłowego dzieci” doktor Meyer wymienia sygnały zwiastujące przyszłe niebezpieczne zachowania. Nadmierna wyobraźnia jest jednym z nich. – I przeczytała fragment artykułu, który ukazał się w „Poradniku Illinoiskiego Towarzystwa Studiów nad Dzieckiem” w lutym 1895:

– „Dzieci spontanicznie wyobrażają sobie po ciemku rozmaite obrazy. O nieprawidłowości mówimy wówczas, gdy stają się one obsesją, to znaczy dziecko nie może powstrzymać ich napływu. Najbardziej natrętne są te obrazy, które budzą strach i nieprzyjemne uczucia”. – Zaakcentowała ostatnie zdanie cytatu: – „Nadmiar wyobraźni może prowadzić do wymyślania kłamstw i powodować przymus ich wygłaszania”.

– Dziękuję, Saro – powiedział Kreizler. CHOROBLIWA WYOBRAŹNIA znalazła się na tablicy zarówno w rubryce DZIECIŃSTWO, jak i ASPEKTY, co mnie zdziwiło. Na moją prośbę o wyjaśnienie, Laszlo odparł:

– Napisał ten list jako człowiek dorosły, John, ale tak specyficzna wyobraźnia nie mogła się narodzić w wieku dojrzałym. Posiadał ją zawsze. Nawiasem mówiąc, potwierdzają się tu słowa Meyera, ponieważ to dziecko rzeczywiście stało się niebezpieczne.

Marcus z namysłem stukał ołówkiem o dłoń.

– Czy cały ten kanibalizm może być koszmarem z dzieciństwa? Mówi, że o tym czytał. Czy mógł czytać o tym wtedy? Efekt byłby większy.

– Zadzajcie sobie prostsze pytanie – odparł Laszlo. – Co najbardziej pobudza wyobraźnię? Wyobraźnię normalną, ale również, i przede wszystkim, chorobliwą?

Sara nie miała z tym problemu.

– Strach.

– Strach przed tym, co się widzi – indagował Laszlo – czy przed tym, co się słyszy?

– I jednym, i drugim – odrzekła Sara. – Ale głównie przed tym, co się słyszy, „nie jest tak straszne w rzeczywistości” *et cetera*.

– Czy czytanie nie jest formą słuchania? – zapytał Marcus.

– Tak, ale nawet dzieci z zamożnych rodzin uczą się czytać dopiero w późnym dzieciństwie – zauważył Kreizler. – Potraktujcie to wyłącznie jako hipotezę, niemniej przypuszczam, że historia o kanibalizmie była wówczas tym samym co teraz: opowieścią mającą przerażać. Tyle że teraz zamiast się jej bać, nasz człowiek sam nią straszy. Trochę go już poznaliśmy, nie sądzicie, że sprawiałoby mu to olbrzymią satysfakcję, wręcz go bawiło?

– Ale kto mu ją opowiedział? – spytał Lucius. Kreizler wzruszył ramionami.

– Kto na ogół opowiada dzieciom straszne historie?

– Dorośli, którzy chcą, żeby się grzecznie zachowywały – odparłem szybko. – Mój ojciec miał opowieść o izbie tortur cesarza japońskiego, przez którą nie spałem po nocach, wyobrażając sobie każdy szczegół...

– Doskonale, Moore! Właśnie o to mi chodziło.

– Ale co z... – Lucius zająknął się. – Co z... Przepraszam, naprawdę nie wiem, jak mówić o pewnych rzeczach w obecności damy.

– Tak, jakby jej tu nie było – odrzekła Sara, lekko zniecierpliwionym tonem.

– No więc – podjął Lucius, wcale nie bardziej pewnie – co z akcentem na... pośladki?

– Właśnie – wpadł mu w słowo Kreizler. – Czy to część oryginalnej historii? Czy dodatek naszego człowieka?

– Yyyy... – stęknąłem, bo coś mi przyszło do głowy, ale również nie wiedziałem, jak to sformułować przy kobiecie. – To... te... te wzmianki nie tylko o brudzie, lecz także o... o defekacji...

– Używa czasownika „s r a ć” – wypaliła Sara i wszyscy, nie wyłączając Kreizlera, podskoczyliśmy na krzesłach. – Doprawdy, panowie – ciągnęła z pogardą w głosie – gdybym wiedziała, że jesteście tacy skromni, pozostałabym przy pracy biurowej.

– Kto jest skromny? – zapytałem; nie była to moja najmocniejsza riposta.

Sara spojrzała na mnie koso.

– Ty, Johnie Schuyler Moore. Przypadkiem wiem, że zdarzało ci się płacić osobom płci żeńskiej, aby spędzały z tobą intymne chwile – one zapewne nie znały takiego języka?

– Znały – zaprzeczyłem, świadom, że jestem czerwony jak piwonია. – Ale one nie były, nie były...

– Nie były...? – spytała groźnie Sara.

– Nie były... damami!

Sara zerwała się z krzesła, położyła jedną rękę na biodrze, a drugą wyjęła spomiędzy fałd sukni swojego derringera.

– Chciałabym was wszystkich ostrzec – wycodziła przez zęby – że jeśli jeszcze któryś użyje słowa „dama” w takim znaczeniu i w mojej obecności, będzie s r a ć nowym, sztucznie sprokurowanym otworem w ciele.

Schowwała rewolwer i usiadła. Na pół minuty w pokoju zaległo grobowe milczenie, a potem Kreizler odezwał się cicho:

– Omawiałeś chyba wzmianki o sraniu, Moore?

Posłałem Sarze dość urażone i gniewne spojrzenie – które, szelma, całkowicie zignorowała – i podjąłem wątek:

– Wydają się powiązane: aluzje skatologiczne i wzmianka o tej części anato... – Czuję, że wzrok Sary wypala mi dziurę w głowie. – I wzmianka o tyłku – dokończyłem tak hardo, jak tylko mogłem.

– Rzeczywiście są powiązane – odparł Kreizler. – Metaforycznie, jak również anatomicznie. Jest to zastanawiające. Nie ma wiele literatury poświęconej tym zagadnieniom. Meyer rozważał przyczyny i implikacje moczenia nocnego, a każdy, kto pracuje z dziećmi, spotyka czasem jednostki z obsesją na punkcie kału. Większość alienistów i psychologów widzi w tym formę mizofobii, chorobliwego lęku przed brudem i nieczystością, jaki nasz człowiek niewątpliwie odczuwa. – Napisał MIZOFOBIA pośrodku tablicy, ale gdy się odsunął, miał niezadowoloną minę. – Wydaje mi się jednak, że chodzi tu o coś więcej...

– Doktorze – powiedziała Sara – znów muszę pana poprosić, aby rozszerzył pan swą koncepcję matki i ojca w tej sprawie. Wiem, że ma pan olbrzymie doświadczenie z dziećmi powyżej pewnego wieku, ale czy kiedykolwiek zajmował się pan bliżej niemowlęciem?

– Wyłącznie jako zwykły lekarz – odrzekł Kreizler. – A i to rzadko. Czemu pytasz, Saro?

– Nie jest to okres dzieciństwa, kiedy płęć męska odgrywa dużą rolę. Czy znacie mężczyzn, którzy aktywnie uczestniczyli w wychowywaniu dzieci młodszych niż, powiedzmy, trzy lub cztery lata?

Wszyscy potrząsnęli głowami. Przypuszczam, że nawet gdyby któryś znał takiego mężczyznę, zaprzeczyłby temu, nie chcąc znów zobaczyć derringera. Sara ponownie zwróciła się do Laszla:

– Kiedy spotyka pan dzieci z obsesją na punkcie defekacji, doktorze, jaką formę to na ogół przybiera?

– Nadmiernego popędu albo chorobliwej niechęci. Na ogół.

– Popędu albo niechęci do czego?

– Do siadania na nocniku.

– A w jaki sposób opanowały tę sztukę? – indagowała Sara.

– Zostały nauczone.

– Przez mężczyzn, na ogół?

Kreizler milczał pokonany. Cel powyższego przesłuchania z początku wydawał się niejasny, ale teraz już wiedzieliśmy, do czego Sara zmierza: jeśli obsesyjne zainteresowanie mordercy kałem, poślądkami i szeroko pojętym „brudem” (żaden temat nie występował w liście częściowej) zostało rozbudzone w dzieciństwie, najprawdopodobniej miała w tym udział kobieta – matka, niania, bona, wszystko jedno.

– Rozumiem – powiedział w końcu Kreizler. – Zakładam więc, że sama byłaś świadkiem takiej nauki, Saro?

– Niekiedy – odparła. – I słyszałam opowieści. Dziewczyna zawsze je słyszy. Uważa się, że będzie potrzebowała tej wiedzy. Cała sprawa może być niezwykle trudna, kłopotliwa, frustrująca, czasem nawet brutalna. Nie wspominałabym o tym, gdyby te wzmianki nie były tak natarczywe. Czy nie sugeruje to czegoś wyjątkowego?

Laszlo przekrzywił głowę.

– Niewykluczone. Ale niestety nie mogę uznać takich argumentów za rozstrzygające.

– Czy przynajmniej uzna pan możliwość, że jakaś kobieta, zapewne matka, choć niekoniecznie, odegrała bardziej mroczną rolę, niż pan dotąd dopuszczał?

– Mam nadzieję, że nie jestem głuchy na żadne możliwości – odrzekł Kreizler i odwrócił się do tablicy, ale nic nie napisał. – Obawiam się jednak, że zбочyliłmy zbyt daleko w sferę minimalnego prawdopodobieństwa.

Sara wyprostowała się na krześle, rozczarowana, że znów nie udało jej się pokazać Kreizlerowi innego wymiaru imaginacyjnej historii naszego mordercy. Muszę przyznać, że sam byłem trochę zakłopotany; w końcu to Kreizler poprosił Sarę, aby formułowała podobne teorie, bo żaden z nas nie jest w stanie. Takie odrzucenie jej spostrzeżeń było w najlepszym razie arbitralne, zwłaszcza że brzmiały one (przynajmniej dla mojego na wpół wykształconego ucha) równie sensownie jak jego własne hipotezy.

– W trzecim akapicie znów wyraża niechęć do imigrantów – powiedział Kreizler, brnąc dalej. – A potem mamy wzmiankę o „indiańcu”. Kolejna próba przekonania nas, że jest prostakiem, czy coś więcej?

– Ważny wydaje się cały zwrot – odparł Lucius. – „Brudniejsze niż dziki Indianiec”. Szukał porównania i to mu przyszło do głowy.

Marcus zastanowił się nad pytaniem.

– Skoro przyjmujemy, że niechęć do imigrantów ma podłoże rodzinne, on sam nie jest Indianinem. Ale musiał mieć z nimi jakąś styczność.

– Dlaczego? – zapytał Kreizler. – Nienawiść rasowa nie wymaga kontaktów.

– Nie, ale zazwyczaj się z nimi wiąże – stwierdził Marcus. – I niech pan spojrzy na sam ten zwrot: jest dość zdawkowy, jakby morderca w sposób naturalny kojarzył brud z Indianami i zakładał, że wszyscy inni również.

Skinąłem głową, pojmując, do czego zmierza.

– To wskazywałoby na Zachód. Na Wschodzie raczej się tak nie mówi. Nie, żebyśmy byli bardziej światli, skądże znowu, po prostu ludzie nie mają tego typu skojarzeń. Podam inny przykład: gdyby napisał „brudniejsze niż jakiś czarnuch”, pomyślelibyśmy o Południu, prawda?

– Albo o Mulberry Street – podsunął cicho Lucius.

– Słusznie – przyznałem. – Nie twierdzą, że takie postawy są ograniczone geograficznie. Równie dobrze mógłby to powiedzieć ktoś, kto przeczytał za dużo historii o Dzikim Zachodzie...

– Albo cierpi na nadmiar wyobraźni – wtrąciła Sara.

– Ale – podjąłem – może to być jakaś wskazówka.

– Ewidentna wskazówka – oświadczył Kreizler, co mnie trochę ubodło. – Ale jak ktoś kiedyś powiedział, nie wolno lekceważyć oczywistości. Co pan na to, Marcusie? Jak się panu podoba idea wychowania na pograniczu?

Marcus podumał chwilę.

– Ma swoje zalety. Po pierwsze, tłumaczyłaby nóż, który jest bronią pogranicza. Dałaby nam też polowanie, dla sportu i z potrzeby, bez wymogu zamożności rodziny. I chociaż na Zachodzie jest mnóstwo terenów nadających się do uprawiania wspinaczki, pewne rejony są bardziej popularne, co mogłoby nam pomóc. Wreszcie, żyją tam całe społeczności niemieckich i szwajcarskich imigrantów.

– Zapiszemy to jako hipotezę numer jeden – oznajmił Kreizler i tak też zrobił – ale na razie nie możemy pójść dalej. Zajmijmy się więc następnym akapitem, w którym nasz człowiek wreszcie przechodzi do konkretów. – Wziął list i zaczął powoli masować sobie kark. – Osiemnastego lutego zobaczył małego Georgia. Spędziłem więcej czasu, niż miałbym ochotę przyznać, na przeglądaniu kalendarzy i almanachów, i mogę wam od razu powiedzieć, że osiemnastego lutego wypadała w tym roku Środa Popielcowa.

– Wspomina o popiele na twarzy – zauważył Lucius. – To by znaczyło, że chłopiec był w kościele.

– Santorelli są katolikami – wtrącił Marcus. – W pobliżu Paresis Hall nie ma zbyt wielu kościołów, katolickich czy innych, ale moglibyśmy sprawdzić rozleglejszy teren. Może ktoś będzie pamiętał Georgia. Chłopiec rzuciłby się w oczy, zwłaszcza w kościelnej scenerii.

– Jest też możliwe, że morderca zobaczył go koło kościoła – dodałem. – Albo nawet w środku. Jeśli dopisze nam szczęście, ktoś mógł być świadkiem ich spotkania.

– Zdaje się, że w najbliższych dniach będziecie obaj bardzo zajęci – stwierdził Kreizler, na co Marcus i ja, uświadamiając sobie, że czekają nas długie piesze wędrówki, wymieniliśmy chmurne spojrzenia. – Chociaż – ciągnął Laszlo – ze względu na czasownik „paradować”, wątpię, aby spotkali się w pobliżu jakiejś świątyni, szczególnie tej, w której Georgio był właśnie na nabożeństwie.

– To rzeczywiście sugeruje, że chłopiec kupczył swoim towarem – powiedziałem.

– To sugeruje wiele rzeczy. – Laszlo pomyślał chwilę, wsłuchując się w brzmienie wyrazu: – „Paradować...” Może masz rację, Moore, że nasz człowiek jest dotknięty jakimś kalectwem lub deformacją. W tym słowie dźwięczy zazdrość, jakby sam nie mógł się tak zachowywać.

– Nie zgadzam się z tym – oświadczyła Sara. – Moim zdaniem brzmi to raczej... pogardliwie. Oczywiście powodem może być zajęcie Georgia, ale nie sądzę. W tonie nie ma współczucia ani ubolewania, tylko szorstkość. I pewna znajomość rzeczy, jak w przypadku kłamstw.

– Tak jest – powiedziałem. – To surowy ton nauczyciela, który dobrze wie, co knujesz, bo sam był kiedyś chłopcem.

– Więc myślicie, że gardzi manifestowaniem seksualizmu właśnie dlatego, że sam się tak zachowywał, a nie dlatego, że nie mógł? – Laszlo przekrzywił głowę i rozważył tę koncepcję. – Być może. Ale czy dorośli z jego otoczenia nie ukróciłiby takich wybryków? I czy nie wracamy w ten sposób do idei zazdrości, nawet bez fizycznej deformacji?

– Ale musiał się tak zachować przynajmniej raz – zareplikowała Sara – aby zastosowano restrykcje.

Laszlo zastanowił się i skinął głową.

– Tak. Tak, masz rację, Saro.

Uśmiechnęła się na to, lekko, ale z satysfakcją.

– I czy przestrzegał zakazu, czy go łamał – ciągnął Kreizler – ziarno przyszłych konfliktów zostało zasiane. Dobrze. – Nabazgrał pospiesznie kilka uwag z lewej strony tablicy. – Przejdźmy do popiołu i szminki.

– Wymienia je jednym tchem – powiedział Lucius – podczas gdy dla przeciętnego obserwatora nie pasowałyby do siebie.

– Jakby jego zdaniem jedno nie było lepsze od drugiego – dodał Marcus. – W tonie brzmi dezaprobata.

– I przedstawia to pewien problem. – Kreizler podszedł do swojego biurka i wziął książkowy kalendarz z krzyżem na okładce. – Osiemnastego lutego zobaczył Georgia Santorellego po raz pierwszy. Bardzo wątpię, aby to spotkanie było przypadkowe. Okoliczności wskazują, że szukał dokładnie takiego chłopca właśnie tego dnia. Musimy więc przyjąć, że Środa Popielcowa jest znacząca. Ponadto popiół w połączeniu ze szminką najwyraźniej spotęgował jego reakcję, którą zasadniczo był gniew. Mogłoby to świadczyć o oburzeniu tym, iż chłopiec jego profesji miał czelność wziąć udział w chrześcijańskim obrzędzie... ale, jak zauważyli panowie wywiadowcy, w jego języku nie wyczuwa się czci dla tego obrzędu. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie sądziłem, że mamy do czynienia z człowiekiem cierpiącym na jakąś manię religijną. Ewangeliczne i mesjanistyczne elementy, które zwykle cechują takie patologie, są nieobecne, nawet w tym liście. I chociaż harmonogram morderstw nieco osłabił moje przekonanie, wskazówki pozostają sprzeczne. – Kreizler utkwiał wzrok w kalendarzu. – Gdyby tylko można było przypisać jakieś znaczenie do dnia, w którym zginął Georgio...

Wiedzieliśmy, o co mu chodzi. Dokonana niedawno przez Laszla analiza dat morderstw wykazała, że wszystkie oprócz jednego dadzą się powiązać z kalendarzem chrześcijańskim: pierwszy stycznia był pamiątką obrzezania Jezusa i świętem głupców; drugiego lutego wypadało święto oczyszczenia Maryi Panny, czyli Matki Boskiej Gromnicznej; a Ali Ibn Ghazi zmarł w Wielki Piątek. Oczywiście były dni świąteczne bez morderstw – na przykład Objawienie Pańskie minęło spokojnie, podobnie jak Pięć Ran Chrystusowych dwudziestego lutego – ale gdyby trzeci marca, dzień śmierci Santorellego, miał jakąś konotację chrześcijańską, zyskalibyśmy względną pewność, że nasz człowiek wybiera daty według klucza religijnego. Jednak taka konotacja nie istniała.

– Więc może powinniśmy wrócić do teorii cyklu lunarnego – powiedział Marcus.

Miał na myśli starą mądrość ludową, nad którą debatowaliśmy sporo czasu, mówiącą, że takie zachowanie, jakie prezentuje nasz morderca, może być związane z fazami księżyca.

– To mi się nadal nie podoba – odparł Kreizler, machając ręką i nie spuszczać oczu z kalendarza.

– Księżyc ma wpływ na pewne zmiany behawioralne i fizyczne – przypomniała Sara. – Na przykład wiele kobiet uważa, iż reguluje on cykl menstruacyjny.

– A popędy naszego człowieka rzeczywiście wydają się cykliczne – dodał Lucius.

– To prawda – odrzekł Kreizler. – Ale hipoteza astrologicznego wpływu na psychobiologię, niedająca się zresztą udowodnić, odciąga nas od rytualnego charakteru morderstw. Przysnaję, że ten deklaracyjny kanibalizm jest nowym i niewątpliwie wyróżniającym się elementem owych rytuałów. Lecz okrucieństwo systematycznie rosło i właściwie należało się spodziewać, że osiągnie podobne *crescendo*, choć fakt, że morderca nie okaleczył w ten sam sposób zwłok Alego może sugerować, iż poprzednio zapuścił się na teren, który, bez względu na szokujące stwierdzenia listu, w gruncie rzeczy go nie pociągał.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza i wówczas w mojej głowie zaczął się kształtować pewien pomysł.

– Kreizler – powiedziałem, starannie ważąc słowa – przyjmijmy na moment, że mamy rację co do tego wszystkiego. Sam stwierdziłeś, że zdaje się to przemawiać za religijnym aspektem morderstw.

Laszlo odwrócił się do mnie i dostrzegłem na jego twarzy oznaki znużenia.

– Można to tak ująć.

– Więc co z tymi dwoma księżmi? Doszliśmy już do wniosku, że zachowują się tak, jakby próbowali kogoś chronić. A jeśli jest to ktoś z ich własnego grona?

– Aha – mruknął Lucius. – Myślisz o kimś takim jak ten wielebny z Salt Lake City, John?

– Właśnie – odparłem. – Święty człowiek, który bardzo zbłądził. Wiodący drugie, sekretne życie. Przypuścimy, że jego przełożeni zwiedzieli się, co robi, ale z jakiegoś powodu nie mogą go znaleźć... może zaczął się ukrywać. Groziłby im ogromny skandal. A zważywszy na rolę, jaką Kościoły katolicki i episkopalny odgrywają w życiu miasta, ich przywódcy mogliby bez trudu skłonić nie tylko burmistrza, lecz także najbogatszych obywateli, aby pomogli im zatuszować sprawę. To znaczy, dopóki nie załatwią jej po cichu sami. – Wyprostowałem się na krześle, dość dumny z tego rozumowania, lecz niepewny reakcji Kreizlera. Jego przedłużające się milczenie wyglądało na zły znak, więc dodałem, lekko speszony: – To tylko luźna myśl.

– To piekielnie dobra myśl – orzekł Marcus, z entuzjazmem stukając ołówkiem w blat biurka.

– To mogłoby powiązać wiele spraw – zgodziła się Sara. Kreizler wreszcie zareagował powolnym skinieniem głowy.

– Istotnie, mogłoby – powiedział, notując pośrodku tablicy KSIĄDZ INCOGNITO? – Przeszłość i charakter, które opisaliśmy, pasowałyby do osoby duchownej równie dobrze jak do świeckiej, cierpiącej na manię religijną. Osobiste konflikty rozgrywane według planu, który jest dla mordercy naturalny, a nawet wygodny. Wytropienie tych dwóch księży niewątpliwie rzuciłoby na sprawę więcej światła. – Odwrócił się do nas. – A to...

– Wiem, wiem – przerwałem mu, podnosząc rękę. – Sierżanci śledczy i ja.

– Jakże jest miło, gdy ktoś zgaduje nasze życzenia – odparł Kreizler ze śmiechem.

Kiedy Marcus i ja omawialiśmy nasze rosnące zadania wywiadowcze na najbliższe dni, Lucius znów spojrzał do listu.

– W następnej linijce – oznajmił – powraca kwestia sadyzmu. Morderca postanawia zaczekać i przed zabójstwem spotyka się z chłopcem parę razy: znowu, bawi się nim, cały czas wiedząc, co robi. Jak polujący dla przyjemności, sadystyczny myśliwy.

– Tak, obawiam się, że nie ma w tym zdaniu nic nowego, nie licząc końca. – Kreizler postukał kredą w tablicę. – „To miejsce” – jedyne słowa, oprócz „kłamstw”, napisane dużymi literami.

– Znowu nienawiść – stwierdziła Sara. – Do Paresis Hall w szczególności czy do uprawianego tam procederu?

– Może do jednego i drugiego – odrzekł Marcus. – W końcu Paresis Hall obsługuje bardzo specyficzną klientelę: mężczyzn, którzy lubią, jak chłopcy przebierają się za kobiety.

Kreizler znów postukał w ramkę z nagłówkiem KSZTAŁTUJĄCA PRZEMOC I/LUB MOLESTOWANIE.

– Wróciliśmy do sedna sprawy. To nie jest człowiek, który nienawidzi wszystkich dzieci, ani człowiek, który nienawidzi wszystkich homoseksualistów, ani, jeśli o to idzie, człowiek, który nienawidzi wszystkich chłopców-prostytutek ubierających się jak kobiety. Nasz morderca ma bardzo szczególne gusta.

– Ale nadal uważa go pan za homoseksualistę, prawda, doktorze? – zapytała Sara.

– Tylko w takim sensie – odparł Kreizler – w jakim londyńskiego Rozpruwacza można nazwać heteroseksualistą, bo jego ofiarami były kobiety. Ta kwestia praktycznie nie ma znaczenia, list tego dowodzi. Nasz człowiek może być homoseksualistą, może być pedofilem, ale jego dominującą perwersją jest sadyzm, i w jego intymnych stosunkach przemoc zdaje się grać o wiele większą rolę niż uczucia seksualne czy miłosne. Może nawet nie rozróżniać przemocy i seksu. Z całą pewnością wszelkie pobudzenie szybko obraca się u niego w przemoc. A to, bezsprzecznie, jest schematem, który powstał w wyniku tych pierwszych kształtujących doświadczeń. Jego ówczesni antagoniści byli niewątpliwie płci męskiej i kiedy teraz wybiera sobie ofiary, fakt ten liczy się o wiele bardziej niż taka czy inna orientacja seksualna.

– W takim razie, czy to mężczyzna dopuścił się tamtych dawnych czynów? – spytał Lucius. – Czy może inny chłopiec?

Kreizler wzruszył ramionami.

– Trudne pytanie. Ale wiemy jedno: pewni chłopcy budzą w naszym człowieku tak gwałtowną wściekłość, że całą swoją egzystencję podporządkował jej wyrażaniu. Jacy chłopcy? Mówił o tym Moore: ci, którzy są – albo w oczach mordercy, albo faktycznie – kłamliwi, jak również krnąbrni.

Sara wskazała list ruchem głowy.

– „Bezczelni”.

– Tak – odparł Kreizler. – Nasze domniemanie było słuszne. Założyliśmy dalej, że wybrał przemoc jako formę wyrażania swej wściekłości, ponieważ nauczył się tego w środowisku domowym, najprawdopodobniej od okrutnego ojca, którego czyny zatajano i puszczano płazem. Co było powodem tej pierwotnej przemocy, w rozumieniu naszego mordercy? Nad tym też się zastanawialiśmy.

– Chwileczkę – wtrąciła Sara, olśniona jakąś myślą. Podniosła wzrok na Kreizlera. – Zatoczyliśmy koło, prawda, doktorze?

– W rzeczy samej – potwierdził Kreizler, rysując linię od lewej strony tablicy do prawej: od cech mordercy do cech jego ofiar. – Nie wiemy, czy nasz człowiek był jako dziecko kłamliwy, czy przedwcześnie rozwinięty seksualnie, czy też ogólnie biorąc tak niegrzeczny, że oprócz bicia wymagał zastraszania, ale w jakiś zasadniczy sposób bardzo przypominał chłopców, których teraz zabija.

Była to jakaś myśl. Jeżeli popełniając zbrodnię, morderca usiłował zniszczyć nie tylko uprzykrzone elementy otaczającego go świata, lecz także i przede wszystkim części samego siebie, których nie potrafił znieść, Kreizler mógł mieć rację, że wkroczył on w nową i znacznie bardziej autodestrukcyjną fazę; co więcej, w tym świetle końcowa autbdestrukcja wydawała się niemal pewna. Dlaczego jednak, spytałem Kreizlera, miałby postrzegać te aspekty siebie jako nieznośne? A nawet jeśli, dlaczego się po prostu nie zmieni?

– Sam to powiedziałaś, Moore – odparł Laszlo. – Tego rodzaju zachowań uczymy się raz na zawsze. Czyli, parafrazując naszego dawnego profesora, morderca szuka satysfakcji w zajęciu, które mu nie odpowiada, ponieważ do żadnego innego się nie nadaje, a jest za późno, by zacząć od początku. W końcu więc czwartego akapitu, opisując uprowadzenie chłopca, przybiera bardzo stanowczy ton. Czy wspomina o pragnieniu? Nie, mówi nam, że „musi”. Musi, ponieważ według takich reguł jego świat – nieprzyjemny, ale własny – zawsze funkcjonował. Nasz człowiek stał się czymś, co profesor James nazywa „chodzącym kłębkim nawyków”, i lęka się, że porzucając te nawyki, porzuciłby samego siebie. Pamiętajcie, co powiedzieliśmy kiedyś o Georgio Santorellim – że zaczął utożsamiać swe duchowe przetrwanie z tymi właśnie praktykami, za które ojciec go karał? Podobnie jest z naszym mordercą. Bez wątpienia zabijanie sprawia mu równie małą przyjemność, jak Georgiowi sprawiała jego praca. Ale, tak samo jak Georgio, musi robić to, co robi, choć czuje przez to głębokie obrzydzenie do samego siebie, które już wyczytałeś z jego listu, Moore.

Przyznam, że nie bardzo zdawałem sobie sprawę, ile trafnych spostrzeżeń poczyniłem tego wieczoru, lecz bez trudu nadązałem teraz za Laszlem, gdy je rozwijał.

– Wraca do tego pod koniec listu – powiedziałem. – Ta uwaga, że „nie zbrukał” Georgia... brud, którego nienawidzi, jest w nim samym, jest jego częścią.

– I zostałyby przeniesiony podczas aktu seksualnego – dodał Marcus. – Ma pan więc rację, doktorze; seks nie jest czymś, co morderca ceni czy lubi. To przemoc jest jego celem.

– Czy byłoby możliwe, że wręcz nie jest zdolny do uprawiania seksu? – zapytała Sara. – To znaczy, biorąc pod uwagę jego hipotetyczną przeszłość. W jednej z rozpraw, które dał nam pan do przeczytania, była mowa o pobudzeniu seksualnym i reakcjach lękowych...

– Doktor Peyer z Uniwersytetu w Zurychu – wtrącił Kreizler. – Te obserwacje wynikły z jego szerszych badań nad *coitus interruptus*.

– Zgadza się – ciągnęła Sara. – Najbardziej podatni są mężczyźni, którzy mieli trudne dzieciństwo. Ustawiczny lęk mógł doprowadzić do stłumienia libido, co spowodowało impotencję.

– Facet jest dość czuły na tym punkcie – zauważył Marcus i sięgnąwszy po list, przeczytał: – „Nie wypieprzyłem go, chociaż mogłem”.

– Słusznie – powiedział Kreizler i bez wahania napisał IMPOTENCJA pośrodku tablicy. – To jeszcze spotęgowałoby jego frustrację i wściekłość, prowadząc do większego okrucieństwa. I właśnie owo okrucieństwo będzie teraz najtrudniejszą zagadką, jaką musimy rozwikłać. Jeśli okaleczenia zwłok rzeczywiście są prywatnymi rytuałami, które wiążą się z religią wyłącznie poprzez daty, to bez względu na to, czy morderca jest księdzem, czy hydraulikiem, tym ważniejsze staje się zrozumienie szczegółów, ponieważ będą one specyficzne dla niego. – Podszedł do listu. – Obawiam się jednak, że ten dokument niewiele nam w tym pomoże. – Potarł oczy i spojrzął na swój srebrny zegarek. – I jest już późno. Proponuję, abyśmy zakończyli zebranie.

– Zanim to zrobimy, doktorze – powiedziała Sara cicho, ale stanowczo – chciałabym wrócić do pewnej kwestii dotyczącej dorosłych w przeszłości tego człowieka.

Kreizler skinął głową bez specjalnego entuzjazmu.

– Udział kobiet – westchnął.

– Tak. – Sara wstała, podeszła do tablicy i zaczęła pokazywać różne jej sekcje. – Wyszuliśmy teorię, że mamy tu człowieka, który jako dziecko był dręczony, zawstydzany, ganiony i wreszcie bity. Nie mogę zakwestionować tezy, że bicie wymierzała mu męska ręka. Ale intymny charakter bardzo wielu spośród innych aspektów zdaje się dobitnie świadczyć o dość złowieszczej obecności kobiety. Wsłuchajcie się w ton tego listu – który został przecież zaadresowany do pani Santorelli – jest obronny, zdesperowany, chwilami nawet płaczący, a treść wyraża obsesję na punkcie szczegółów skatologicznych i anatomicznych. Jest to głos chłopca, którego stale oceniano i poniżano, któremu dawano odczuć, że jest „brudny”, który w nikim nie miał oparcia. Jeśli jego charakter naprawdę ukształtował się w dzieciństwie, doktorze, muszę powtórzyć, że przede wszystkim odpowiadała za to matka.

Na twarzy Kreizlera odmalowała się irytacja.

– Gdyby tak było, Saro, czy nie zrodziłoby to olbrzymiej urazy? I czy jego ofiarami nie byłyby kobiety, jak w przypadku Rozpruwacza?

– Nie kwestionuję pańskich wniosków dotyczących ofiar – zaznaczyła Sara. – Proszę o głębsze spojrzenie w innym kierunku.

– Najwyraźniej uważasz – odparł Laszlo, nieco zgryźliwie – że mam klapki na oczach. Przypominam ci więc, że nabyłem trochę doświadczenia w tej dziedzinie.

Sara popatrzyła nań chwilę, a potem spokojnie zapytała:

– Dlaczego tak stanowczo odrzuca pan tezę aktywnego udziału kobiety w kształtowaniu charakteru mordercy?

Laszlo zerwał się z krzesła, uderzył dłonią w biurko i wykrzyknął:

– Bo jej rola nie mogła być aktywna, do diabła!

Marcus, Lucius i ja na moment zamarliśmy, a potem spojrzeliśmy po sobie z zakłopotaniem. Ten dość szokujący wybuch nie był niczym usprawiedliwiony, a zważywszy zawodowe poglądy Laszla, zdawał się w ogóle nie mieć sensu. A mimo to trwał:

– Gdyby jakaś kobieta odegrała aktywną rolę w życiu tego człowieka, w którymkolwiek momencie, nie byłoby nas tutaj – nie doszłoby do tych zbrodni! – Kreizler próbował zapanować nad sobą, ale nie bardzo mu się to udawało. – Cały ten pomysł jest absurdalny, nie ma w literaturze niczego, co by go potwierdzało! Toteż naprawdę nie mogę ustąpić, Saro. Przyjmijmy założenie o kobiecej bierności i przejdziemy do kwestii okaleczeń! Jutro!

Jak, mam nadzieję, już pokazałem, Sara Howard nie była kobietą, która spokojnie wysłuchałaby podobnej tyrady z ust mężczyzny, nawet takiego, którego podziwiała i dla którego (przynajmniej moim zdaniem) żywiła głębsze uczucia. Przy ostatnim strzale Laszla zmrużyła oczy, a gdy się odezwała, jej głos był samym lodem:

– Skoro najwyraźniej podjął pan decyzję w tej sprawie już dawno temu, doktorze, nie było sensu mnie prosić, abym ją badała.

Złakłem się, że sięgnie po derringera, ale wybrała płaszcz.

– Być może uznał pan, że to zajęcie mnie zabawi – podjęła gniewnie. – Więc powiem panu, że nie potrzebuję być zabawiana, komplementowana ani dopieszczana w inny sposób, przez żadnego z was!

I po tych słowach wypadła z pokoju. Isaacsonowie i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia, ale nie musieliśmy nic mówić. Wszyscy trzej wiedzieliśmy, że Sara miała rację, a Kreizler wykazał głupi, niezrozumiały upór. Kiedy Laszlo westchnął i opadł na krzesło, pomyślałem, że może sam zdaje sobie z tego sprawę, ale poprosił tylko, byśmy wyszli, tłumacząc się zmęczeniem, a potem wbił wzrok w leżący przed nim list. Zebraliśmy nasze rzeczy i opuściliśmy sztab, mówiąc Kreizlerowi dobranoc, ale nam nie odpowiedział.

Gdyby ten incydent nie pociągnął za sobą żadnych następstw, pewnie bym o nim nie wspomniał. Co prawda był pierwszą prawdziwą kłótnią, jaka wybuchła na Broadwayu 808, ale należało się spodziewać, że do nich dojdzie, i bez wątpienia szybko byśmy o wszystkim zapomnieli. Lecz ta ostra wymiana zdań między Kreizlerem i Sarą miała następstwa, pouczające następstwa, które nie tylko ujawniły pewne nieznanne, nawet mnie, fakty z przeszłości Kreizlera, lecz także oświetliły nam drogę do spotkania twarzą w twarz z jednym z najbardziej niepokojących przestępców w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ 22

W następnym tygodniu prawie nie widywaliśmy Kreizlera. Jak się później dowiedziałem, spędził niemal cały ten czas na rozmowach z mężczyznami, których aresztowano za akty przemocy wobec rodziny, oraz z ich żonami i dziećmi. Kiedy wpadał do sztabu, mówił tyle co nic i zbierał od nas dane z wielką, wręcz rozpaczliwą determinacją. Nie zdobył się na to, by przeprosić Sarę; ale chociaż te nieliczne słowa, które ze sobą zamienili, były niezręczne i sztywne, dziewczyna w głębi serca wybaczyła mu tamten wybuch, przypisując go wzrostowi emocjonalnego zaangażowania Kreizlera w śledztwo oraz nerwowości, którą wszyscy zaczęliśmy odczuwać w związku z końcem miesiąca. Jakikolwiek terminarz miałby morderca, jeśli trzymał się swego schematu, musiał wkrótce znowu uderzyć. Oczekiwanie na kolejną zbrodnię rzeczywiście wydawało się wówczas aż nadto zadowalającym wytłumaczeniem nietypowego zachowania Kreizlera; okazało się jednak, że nie tylko ono wywierało presję na mojego przyjaciela.

Jeśli chodzi o nas, Marcus i ja postanowiliśmy w tych pierwszych dniach maja podzielić się zadaniami, które sformułowaliśmy podczas analizy listu mordercy. Marcus odwiedzał wszystkie kościoły katolickie na Lower East Side (i jeszcze niektóre poza tą dzielnicą), usiłując znaleźć kogoś, kto mógł widzieć Georgia Santorellego, a ja miałem się dowiedzieć czegoś więcej o dwóch tajemniczych księżach. Spędziwszy sobotę i niedzielę na próbach wydobywania nowych informacji od właściciela domu, w którym mieszkał ojciec Alego Ibn Ghaziego, jak również od pani Santorelli i jej sąsiadów (Sara ponownie służyła mi za tłumaczkę), zrozumiałem, że ktoś rozdał jeszcze więcej pieniędzy, aby zapewnić sobie milczenie większej liczby osób. Nie pozostało mi więc nic innego, jak zwrócić się do zamieszanych w sprawę organizacji kościelnych. Uznaliśmy, że jako reporter z „Timesa” będę miał do nich najłatwiejszy i najszybszy dostęp. Postanowiłem zacząć mój wywiad u samej góry: od wizyt u rzymskokatolickiego arcybiskupa Nowego Jorku, Michaela Corrigan, oraz episkopalnego biskupa Nowego Jorku, Henry’ego Codmana Pottera. Ponieważ obydwaj mieszkali w bardzo przyjemnych rezydencjach powyżej Pięćdziesiątej Ulicy blisko Madison Avenue, pomyślałem sobie, że załatwię obie rozmowy jednego dnia.

Najpierw udałem się do Pottera. Kościół episkopalny miał podówczas w Nowym Jorku zaledwie kilkadziesiąt tysięcy wyznawców, lecz wśród tych kilkudziesięciu tysięcy były najzamożniejsze rodziny w mieście; fakt ten odzwierciedlały luksusowo urządzone kościoły i kaplice, liczne parafialne nieruchomości oraz wielkie zaangażowanie w sprawy miejskie. Biskup Potter – często nazywany „pierwszym obywatelem Nowego Jorku” – nad ruch, gwar i brud metropolii przedkładał malownicze wioski i kościoły swych prowincjonalnych parafii; ale wiedział, gdzie Kościół zarabia pieniądze, i starał się powiększyć grono wiernych w mieście. Chcę przez to powiedzieć, że Potter był człowiekiem, którego pochłaniały wielkie rzeczy; i choć czekałem w jego eleganckim salonie dłużej, niż zajęłoby mu odprawienie mszy, kiedy się w końcu pojawił, oświadczył, że może mi poświęcić tylko dziesięć minut.

Zapytałem go, czy jest świadom, że jakiś męczyzna przebrany za księdza i noszący na palcu sygnet z krzyżami Kościoła episkopalnego, dużym czerwonym i mniejszym białym, odwiedza ludzi, którzy posiadają informacje dotyczące niedawnych zabójstw dzieci, i płaci im duże sumy, aby milczeli. Jeśli moje pytanie zaszokowało Pottera, nie okazał tego: z olimpijskim spokojem odparł, że człowiek ten musi być oszustem albo szaleńcem, albo jednym i drugim – utrudnianie pracy policji, a zwłaszcza śledztwa o morderstwo, nie leży w interesie Kościoła episkopalnego. Wtedy zapytałem, czy osobie postronnej łatwo byłoby zdobyć taki sygnet. Wzruszył ramionami, rozsiadł się wygodnie, tak że fałdy szyi opadły mu na sztywny biało-czarny kołnierzyk, i stwierdził, że nie ma pojęcia – przypuszcza, że mógłby go wykonać każdy umiętny złotnik. Było oczywiste, że nic u gościa nie wskóram, ale dla sportu zapytałem, czy wie o częściowo spełnionej groźbie Paula Kelly’ego, że podburzy społeczność imigranckie do protestu przeciwko tym morderstwom. Potter odrzekł, iż niewiele wie o panu Kellym, a co dopiero o groźbach, jakie mógł on rzucać. Kościół episkopalny ma bardzo mało członków wśród, jak ich nazwał, „niedawno przybyłych do miasta obywateli”, więc ani on sam, ani jego podwładni nie poświęcają specjalnej uwagi takim sprawom. Na koniec Potter zasugerował, abym odwiedził arcybiskupa Corrigan, który ma o wiele większy kontakt z tymi społecznościami. Odparłem, że właśnie się do niego wybieram, i wyszedłem.

Przyznam, że byłem podejrzliwie nastawiony jeszcze przed rozmową z Potterem, a jego zupełnie niekapłańska obojętność tylko te podejrzenia umocniła. Gdzie się podziało współczucie dla ofiar zbrodni? Gdzie zapewnienie, że wystarczy, abym powiedział słowo, jeśli potrzebuję pomocy? Gdzie gorące życzenie, aby ten diabelski morderca został schwyty, i silny uścisk dłoni na przypieczętowanie tego życzenia?

Wszystko to, jak wkrótce się przekonałem, było w rezydencji arcybiskupa Corrigan, schowanej za prawie gotowym przepychem nowej katedry św. Patryka przy Piątej Alei między ulicami Pięćdziesiątą i Pięćdziesiątą Pierwszą. Nowy święty Pat stanowił niezaprzeczalny dowód, że architekt James Renwick dopiero się rozgrzewał, projektując sąsiada naszego sztabu, kościół Łaski Bożej. Wieże, łuki, witrażowe okna, drzwi z brązu – wszystko zaplanowano na skalę, i wykonano z szybkością, nie spotykaną nawet w Nowym Jorku.

Arcybiskup Corrigan był znacznie bardziej ożywiony i sympatyczny niż Potter. Oprowadził mnie po katedrze, pokazując, co jeszcze zostało do zrobienia: stacje Drogi Krzyżowej czekały na zawieszenie, kaplica Najświętszej Marii Panny miała dopiero fundamenty, za kuranty dotąd nie zapłacono, a wieże trzeba było zwieńczyć. Zacząłem już myśleć, że chce mnie poprosić o datek, ale wkrótce odkryłem, że to wszystko było tylko wstępem do wizyty w Katolickim Towarzystwie Opieki nad Sierotami, gdzie miałem zobaczyć inne oblicze Kościoła. Towarzystwo mieściło się po drugiej stronie Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, w trzypiętrowym budynku z przyjemnym dziedzińcem, po którym spacerowała grzeczna dziewczynka. Corrigan zabrał mnie tam, jak powiedział, aby mi uświadomić głębię troski Kościoła o osierocone i opuszczone nowojorskie dzieci; dla arcybiskupa były one ponoć równie ważne jak wspaniała katedra, w której cieniu stał dom Towarzystwa.

I bardzo pięknie – tylko że nagle zdałem sobie sprawę, iż o nic go jeszcze nie spytałem. Ten niezwykle miły, serdeczny, troskliwy jegomość wiedział, dlaczego przyszedłem, co stało się już całkiem jasne, gdy zacząłem mu zadawać pytania, które wcześniej zadałem Potterowi. Corrigan odpowiadał na nie tak, jakby powtarzał wyuczoną lekcję: Och, to prawda, strasznie szkoda tych zamordowanych chłopców; okropność; nie, nie pojmuje, dlaczego jakiś człowiek podający się za katolickiego księdza miałby utrudniać śledztwo (ale sama ta sugestia specjalnie go nie zaszokowała); oczywiście, popyta swoich ludzi, ale może mnie zapewnić... *Et cetera, et cetera*. W końcu postanowiłem oszczędzić mu dalszych wysiłków, usprawiedliwiając się pilnym spotkaniem w innej części miasta.

Teraz byłem już pewien, że nie popadłem w chorobę, którą doktor Krafft-Ebing nazwał „paranoją”: mieliśmy do czynienia ze spiskiem, ze świadomą próbą zatuszowania faktów dotyczących morderstw. A jakież inny powód mogli mieć ci szacowni dżentelmeni, aby podjąć taką próbę – myślałem z rosnącym podnieceniem – jeśli nie chęć ochrony samych siebie przed skandalem, który by wybuchł, gdyby ujawniono, że morderca należy do ich grona.

Marcus zgodził się z moim rozumowaniem i w następnych dniach odgrywaliśmy rolę adwokata diabła, próbując znaleźć słabe punkty w teorii księdza-renegata. Nie przychodziło nam jednak do głowy nic, co by ją zdecydowanie podważało. Może i było mało prawdopodobne, aby, na przykład, ksiądz wyćwiczył się we wspinaczce, ale nie było to niemożliwe; a co do uwagi o „indiańcu”, jej źródłem mogła być praca misjonarska na Zachodzie. Umiejętności myśliwskie przedstawiały pewien problem, ponieważ Lucius uważał, że morderca spędził życie na polowaniu – ale nasz imaginacyjny ksiądz mógł z łatwością dojść do swego mistrzostwa w dzieciństwie. Księża nie rodzą się przecież księżmi. Mają rodziców, krewnych i przeszłość jak wszyscy inni ludzie. A to oznaczało, że wszelkie psychologiczne spekulacje Kreizlera można dopasować do portretu stworzonego przez Marcusa i przeze mnie równie dobrze jak do każdego innego.

Przez resztę tygodnia szukaliśmy z Marcusem danych na poparcie naszej teorii. Stwierdziliśmy, że ksiądz, który byłby tak obeznany z dachami jak nasz morderca, musiałby się zajmować działalnością dobroczynną, i zabraliśmy się do sprawdzania tych katolickich i episkopalnych organizacji, które pomagały biednym. Napotkaliśmy przy tym duży opór i zdobyliśmy niewiele informacji. Nie osłabiło to jednak naszego entuzjazmu; przeciwnie, w piątek byliśmy już tak pewni swego, że postanowiliśmy opowiedzieć o wszystkim Sarze i Luciusowi. Ci wyrazili uznanie dla naszych wysiłków, ale podkreślili również drobne niekonsekwencje, po których Marcus i ja się prześliznęliśmy. Co z teorią przeszłości wojskowej, zapytał Lucius. Gdzie ksiądz mógłby się nauczyć takiego opanowania w obliczu niebezpieczeństwa? Może, odparliśmy, był kapłanem w jakimś pułku na Zachodzie. To dałoby nam nie tylko doświadczenie wojskowe, lecz także Indian i pogranicze. Skoro spędził wiele lat na pograniczu, podchwyciła Sara, kiedy zdążył tak dobrze poznać Nowy Jork? W dzieciństwie, odrzekliśmy. Gdyby tak było, ciągnęła Sara, musielibyśmy przyjąć, że istotnie pochodzi z zamożnej rodziny, aby wytłumaczyć umiejętności wspinaczkowe i myśliwskie. W porządku, powiedzieliśmy, więc był zamożny. Potem wypłynęła kwestia, że katolicy i protestanci działają razem: czy jeden Kościół, spytała Sara, nie byłby zadowolony, gdyby drugi miał na karku księdza-mordercę? Nie znaleźliśmy na to skuteczniejszego argumentu niż stwierdzenie, że Sara i Lucius są zwyczajnie zazdrośni o nasze osiągnięcia.

Kreizler przyszedł koło piątej, ale nie włączył się do dyskusji; odciągnął mnie dość natarczywie na bok i powiedział, że mam mu natychmiast towarzyszyć na Dworzec Główny. Choć w ostatnich dniach rzadko Laszla widywałem, nie przestałem się o niego martwić, i ten nagły, tajemniczy komunikat, że wybieramy się gdzieś pociągiem, nie przypadł mi do gustu. Zapytałem, czy będę czegoś potrzebował, ale Kreizler odparł, że nie, jedziemy tylko kawałek na północ linią Hudson River, aby porozmawiać z pensjonariuszem pewnego zakładu. Zdecydował się umówić nas na wieczór, wyjaśnił, ponieważ większości personelu już nie będzie i nasza wizyta przejdzie w miarę niezauważona. Więcej szczegółów nie chciał podać, co wówczas wydało mi się bardzo dziwne, ale wiedząc to, co wiem teraz, przyznaję mu rację, bo gdyby mnie poinformował, dokąd konkretnie się udajemy i z kim mamy się spotkać, prawie na pewno odmówiłbym udziału w wyprawie.

Z centrum Manhattanu do tego małego, leżącego nad Hudsonem miasteczka, któremu dawny holenderski kupiec dał nazwę chińskiego miasta Tsing-sing, jedzie się pociągiem niecałą godzinę; ale zarówno dla gości, jak i dla więźniów, podróż do Sing Singu jest zwykle oderwana od realnego czasu i wydaje się im równocześnie najkrótszą i najdłuższą z możliwych. Położone nad samą rzeką i dające wspaniałą widok na klify drugiego brzegu Tappan Zee¹⁸, więzienie Sing Sing (pierwotnie zwane „Mount Pleasant”) zostało otwarte w 1827 roku, wśród głosów zachwytu, że urzeczywistnia najnowocześniejsze idee penologiczne. Istotnie, w owej epoce, kiedy zakłady karne były w gruncie rzeczy małymi fabrykami, wytwarzającymi wszystko, od grzebieni przez meble po szlifowany kamień, więźniom naprawdę wiodło się lepiej (a w każdym razie mieli lepiej wypełniony czas) niż siedemdziesiąt lat później. Ale więzienna produkcja umarła z powstaniem związków zawodowych, które nie mogły pozwolić, aby tania praca skazańców zaniżała stawki; i właśnie z tego powodu Sing Sing przeobraził się do 1896 roku w straszliwie bezsensowną instytucję, gdzie więźniowie nadal nosili pasiaste drelichy, nadal przestrzegali zasady milczenia i nadal maszerowali w nogę, mimo że niemal wszystkie zajęcia, do których kiedyś tak chodzili, już im odebrano.

Nie uśmiechała mi się perspektywa wizyty w tak brutalnym i beznadziejnym miejscu, ale było to nic w porównaniu z lękiem, który poczułem, gdy Kreizler wreszcie mi powiedział, z kim mamy się zobaczyć.

Utkwiwszy nieruchomo swe czarne oczy w moich, oznajmił:

– To Jesse Pomeroy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, jakbyśmy się obawiali, że sam dźwięk tego nazwiska może rozpętać w naszym prawie pustym wagonie kolejowym przemoc i zniszczenie, a zaczynając omawiać sprawę, ściszyliśmy głosy. Bo chociaż znaleźliśmy morderców, którzy mieli na koncie więcej ofiar niż Jesse Pomeroy, żaden nie budził takiej grozy jak on. Otóż Pomeroy zwabiał małe dzieci w ustronne miejsca niedaleko podmiejskiej osady, w której mieszkał, po czym rozbierał je, wiązał i znęcał się nad nimi, używając noża i bata. W końcu – działo się to w 1872 roku – schwytano go i zamknięto, ale odbywając wyrok, zachowywał się tak przykładnie, że kiedy jego matka – dawno porzucona przez męża – wystąpiła po zaledwie szesnastu miesiącach ze wzruszającą prośbą o zwolnienie warunkowe, sąd je Jessemu przyznał. Wkrótce po jego wyjściu na wolność w pobliżu domu Pomeroyów doszło do nowej i jeszcze bardziej przerażającej zbrodni: na plaży znaleziono czteroletniego chłopca z podejrzanym gardłem i straszliwymi okaleczeniami na ciele. Podejrzewano Jessego, lecz brakowało dowodów, jednakże kilka tygodni później w piwnicy Pomeroyów odkryto zwłoki zaginionej dziesięcioletniej dziewczynki. Ona również była maltretowana i została okaleczona. Jessego aresztowano i w następnych tygodniach wznowiono wszystkie nierozwiązane sprawy, które dotyczyły zaginięcia miejscowych dzieci. Żadnej z nich nie udało się przypisać Pomeroyowi, lecz oskarżenie o zabójstwo dziewczynki miało solidne podstawy. Adwokaci Jessego powołali się rzecz jasna na niepoczytalność klienta, ale nic nie wskórali. Pomeroy został skazany na śmierć przez powieszenie, jednakowoż wyrok ten zamieniono na dożywocie w pojedynczej celi z uwagą na wiek przestępcy.

Widzicie, Jesse Pomeroy wszedł na drogę zbrodni jako dwunastolatek, a kiedy zamknięto go na zawsze w samotnej więziennej celi – gdzie nadal przebywa, gdy piszę te słowa – miał lat czternaście.

Kreizler zetknął się z „synem szatana”, jak nazwała Pomeroya prasa, latem 1874 roku, gdy adwokaci wystąpili o uznanie go za niewinnego z racji niepoczytalności. Takie wnioski po dziś dzień rozpatruje się według „zasady McNaghtena”, sięgającej sprawy pewnego nieszczęsnego Anglika, który w 1843 roku uroił sobie, że premier Robert Peel chce go zabić. McNaghten postanowił temu zapobiec, zabijając Peela, co wprawdzie mu się nie udało, ale w zamian uśmiercił sekretarza premiera. Został jednak uniewinniony, ponieważ jego obrońcy dowiedli, iż nie rozumiał natury ani zła popełnionego czynu. Po tym otwarciu śluz niepoczytalność zalała sale sądowe całego świata i trzydzieści lat później adwokaci Jessego Pomeroya powołali cały sztab ekspertów, którzy mieli ocenić stan psychiczny ich klienta i uznać go za równie obłąkanego jak McNaghten. Jednym z tych ekspertów był bardzo młody doktor Laszlo Kreizler, który wraz z kilkoma innymi alienistami orzekł, iż Pomeroy jest zupełnie zdrowy na umyśle. Sędzia ostatecznie przychylił się do opinii tej grupy, ale nie omieszkał powiedzieć, że wyjaśnienia doktora Kreizlera uważa za szarłatańskie i wręcz nieprzyzwoite.

Trudno się dziwić temu oświadczeniu, zważywszy, jaki nacisk położył Laszlo na życie rodzinne Pomeroya. Kiedy dojeżdżaliśmy do Sing Singu, nagle uświadomiłem sobie jednak, że to inny element Kreizlerowej ekspertyzy sprzed dwudziestu lat ma szczególne znaczenie dla naszego obecnego śledztwa: Pomeroy urodził się z zajęczą wargą, a po przebytej w niemowlęctwie ospie pozostały mu blizny na twarzy oraz, co było jeszcze bardziej złowieszcze, owrzodziałe i martwe oko. Już przed laty nie wydawało się przypadkowe, że Pomeroy przede wszystkim wylupiał swym ofiarom oczy, ale podczas procesu uparcie milczał, gdy pytano go o ten aspekt zbrodni, uniemożliwiając sformułowanie jakichkolwiek pewnych wniosków.

– Nie rozumiem, Kreizler – stwierdziłem, gdy pociąg zatrzymał się na stacji Sing Sing. – Po co tu przyjechaliśmy?

– Możesz za to podziękować Adolfowi Meyerowi – odparł Laszlo.

Wysiedliśmy na peron i jakiś staruszek w nadjedzonym przez mole kaszkiecie podszedł do nas, oferując swą bryczkę.

– Rozmawiałem z nim dzisiaj kilka godzin przez telefon.

– Z doktorem Meyerem? – spytałem. – Ile mu powiedziałaś?

– Wszystko – odrzekł Kreizler. – Mam do niego bezwzględne zaufanie, chociaż uważa, iż w pewnych sprawach się myłę. Na przykład całkowicie zgadza się z Sarą co do roli kobiety w kształtowaniu osobowości naszego mordercy. Ścisłe biorąc, właśnie to, oprócz kwestii oczu, przypomniało nam o Pomeroyu.

– Rola kobiety?

Wsiadliśmy do bryczki staruszka i ruszyliśmy ze stacji.

– Kreizler, o co ci chodzi?

– Mniejsza z tym, John – odparł, wypatrując murów więzienia w szybko zapadającym zmroku. – Wkrótce sam się przekonasz, a są rzeczy, o których muszę ci powiedzieć, zanim będziemy na miejscu. Przede wszystkim naczelnik zgodził się na naszą wizytę, dopiero kiedy zaproponowałem sporą łapówkę, i nie przywita nas osobiście. Poza nim tylko jeden człowiek, strażnik nazwiskiem Lasky, wie, kim jesteśmy i po co przychodzimy. On weźmie pieniądze, a potem wprowadzi nas i wyprowadzi, mam nadzieję, że niezauważenie. Odzywaj się jak najmniej, a do Pomeroya wcale.

– Dlaczego? – zapytałem. – Przecież nie należy do personelu więzienia.

– To prawda – przyznał Laszlo, gdy tuż przed nami wyrósł ponury gmach głównego bloku Sing Singu. – Ale chociaż sędzę, że Jesse może nam pomóc w kwestii okaleczeń, jest zbyt przewrotny, aby to zrobić, jeśli się zorientuje, o co chodzi. Więc, z różnych względów, nie mów mu, jak się nazywaś ani czym się zajmujemy. Chyba nie muszę ci przypominać – zniżył głos, bo stanęliśmy pod bramą więzienia – jak wiele niebezpieczeństw czyha w tym miejscu.

ROZDZIAŁ 23

Główny blok Sing Singu był usytuowany równolegle do Hudsonu, a liczne przybudówki, warsztaty i więzienie kobiece z dwustoma celami biegły prostopadle ku nabrzeżu. Z wielu budynków wyrastały wysokie kominy, dopełniające obrazu posepnej fabryki, której głównym produktem, w tym punkcie jej historii, było ludzkie nieszczęście. Więźniowie dzielili cele zaprojektowane jako pojedyncze, a rzadkie i niedbałe remonty nie mogły przeciwdziałać potężnym siłom zniszczenia: oznaki rozkładu było widać i czuć wszędzie. Zanim jeszcze Kreizler i ja przeszliśmy przez bramę, z dziedzińca dobiegł nas monotony odgłos maszerujących stóp, i chociaż tego żalosnego tupotu nie akcentował już świst bata – chłosty zakazano w 1847 roku – złowieszcze drewniane pałki strażników nie pozostawiały wątpliwości co do podstawowej metody utrzymywania dyscypliny w tym miejscu.

Strażnik Lasky, postawny, niedogolony mężczyzna w odpowiednio ponurym humorze, wreszcie się zjawił i poprowadził nas przez brukowany, okolony wyliniałą trawą dziedzińiec do głównego bloku. W kącie przy drzwiach kilku więźniów zakutych w żelazne lub drewniane dyby, utrzymujące ich ręce w górze i daleko od ciała, słuchało gniewnych wymyślań strażników, których ciemne mundury były równie niechlujne jak uniform Lasky'ego, a usposobienie wydawało się jeszcze gorsze. Gdy weszliśmy do budynku, Kreizlera i mnie poraził nagle okrzyk bólu: w jednej z cel o powierzchni cztery na osiem stóp strażnicy dźgali więźnia „kolibrem” – przyrządem aplikującym wstrząsy elektryczne. Obydwaj widywaliśmy już takie rzeczy, ale obeznanie nie zrodziło akceptacji. Spojrzawszy na Laszla, wyczytałem z jego twarzy, że myśli to samo, co ja: przy takim systemie penitencjarnym naprawdę nie ma się co dziwić wysokiemu wskaźnikowi recydywy.

Jessego Pomeroya trzymano na drugim końcu bloku, musieliśmy więc przejść obok dziesiątek cel pełnych twarzy, które wyrażały całą gamę uczuć, od najgłębszej rozpacz i smutku po najbardziej ponurą wściekłość. Ponieważ zasada milczenia obowiązywała stale, nie słyszeliśmy wyraźnych głosów, tylko od czasu do czasu jakiś szept. Połączenie echa naszych kroków, rozbrzmiewającego w całym budynku, z natarczywymi spojrzzeniami więźniów stało się wkrótce niemal nie do zniesienia. Dotarwszy na koniec bloku, weszliśmy w krótki, wilgotny korytarzyk, który prowadził do małego pomieszczenia bez okien, jedynie z wąskimi szczelinami wyciętymi w kamiennym murze tuż pod sufitem. Jesse Pomeroy siedział w jakimś dziwnym drewnianym kojcu. Ze szczytu kojca wychodziły rury wodociągowe, ale jego wnętrze, jeśli dobrze widziałem, było zupełnie suche. Po paru sekundach uświadomiłem sobie, co to takiego: niesławny „prysznic”, w którym polewano niegdyś szczególnie krnąbrnych więźniów doprowadzaną pod ciśnieniem lodowatą wodą. Kara ta spowodowała tyle zgonów wskutek wstrząsu, że zakazano jej już parędziesiąt lat wstecz, ale jak widać nikt nie pofatygował się przyrzędu rozebrać; zapewne strażnicy nadal stwierdzali, że skuteczna jest sama groźba zastosowania tortury.

Pomeroy miał na przegubach dłoni ciężkie kajdany, a jego głowa tkwiła w spoczywającym na ramionach „kasku”. To urządzenie, groteskowa kara dla najbardziej opornych, było wysoką na dwie stopy żelazną klatką, której ciężar doprowadzał wiele ofiar na skraj szaleństwa. Ale mimo kajdan i kasku Jesse trzymał w ręku książkę i spokojnie czytał. Kiedy podniósł głowę, z uwagą odnotowałem blizny na jego twarzy, brzydkie zniekształcenie górnej wargi (którego nie mogły zakryć mizerne, rzadkie wąsy) i wreszcie zmętniałe, odrażające lewe oko. Było zupełnie oczywiste, dlaczego przyjechaliśmy.

– No, no – powiedział cicho Pomeroy, podnosząc się ze stołka.

Choć Jesse miał trzydzieści parę lat i wysoką klatkę na głowie, był tak niski, że mógł stać we wnętrzu kojca. Jego szkaradne usta rozciągnął uśmiech wyrażający tę specyficzną mieszankę podejrzliwości, zdumienia i zadowolenia typową dla więźniów, których niespodziewanie odwiedzają goście.

– Doktor Kreizler, jeśli się nie mylę.

Laszlo uśmiechnął się w sposób, który robił wrażenie szczerego.

– Witaj, Jesse. Minęło dużo czasu, dziwię się, że mnie pamiętasz.

– Och, pamiętam cię doskonale – odrzekł Pomeroy głosem chłopięcym, ale podszytym groźbą. – Pamiętam was wszystkich. – Popatrzył jeszcze chwilę na Kreizlera, a potem nagle odwrócił się do mnie. – Ale ciebie nigdy nie widziałem.

– To prawda – potwierdził Kreizler, nim zdążyłem się odezwać. – Nie widziałeś. – Zwrócił się do strażnika, który miał wybitnie cierpiętniczą minę. – W porządku, Lasky. Może pan poczekać na zewnątrz.

Podał strażnikowi gruby zwitek banknotów i na twarzy Laskyego pojawiło się coś w rodzaju zadowolenia.

– Dobrze, sir – mruknął, po czym odwrócił się do Pomeroya. – Zachowuj się, Jesse. Raz już dzisiaj oberwałeś, ale możesz oberwać jeszcze bardziej.

Pomeroy nie zareagował na tę uwagę, tylko dalej przyglądał się Kreizlerowi.

– Ciężko jest zdobyć wykształcenie w tym miejscu – powiedział, gdy za Laskym zamknęły się drzwi. – Ale próbuję. Myślę sobie, że może właśnie tutaj popełniłem błąd: nie dbałem o wykształcenie. Wiesz, nauczyłem się już hiszpańskiego.

Nadal mówił jak młody chłopak, którym był przed dwudziestu laty. Kreizler skinął głową.

– To godne podziwu. Widzę, że nosisz kask.

Jesse wybuchnął śmiechem.

– Ach, twierdzą, że przypaliłem jednemu gościowi twarz papierosem, kiedy spał. Podobno całą noc plotłem drut, żeby móc go dosięgnąć przez kraty. Ale sam powiedz... – Odwrócił się w moją stronę i jego zmętniałe oko poruszyło się bezproduktywnie. – Czy to jest do mnie podobne?

Zachichotał radośnie i złośliwie – znowu zupełnie jak młody chłopak.

– Rozumiem więc, że zdudziło ci się obdzieranie szczurów żywcem ze skóry – powiedział Kreizler. – Kiedy tu byłem parę lat temu, słyszałem, że prosiłeś innych więźniów, aby je dla ciebie łapali.

Kolejny chichot, tym razem niemal wstydlivy.

– Szczury. Strasznie się wiją i piszczą. Mogą też niezłe ugryźć, jak się nie uważa.

Pokazał kilka małych, ale paskudnych blizn na dłoniach. Kreizler pokiwał głową.

– Równie gniewny jak dwadzieścia lat temu, co, Jesse?

– Dwadzieścia lat temu nie byłem gniewny – stwierdził Pomeroy, nie przestając się uśmiechać. – Byłem niepoczytalny, tylko nie mogłiśta się na tym poznać. Tak czy owak, co tu, do diabła, robisz, doktorku?

– Nazwij to ponowną oceną – odparł czujnie Kreizler. – Odwiedzam czasem stare przypadki i sprawdzam, jak się rozwijają. A że i tak miałem tu coś do załatwienia...

Po raz pierwszy głos Pomeroya stał się śmiertelnie poważny.

– Nie żartuj sobie ze mną, doktorku. Nawet w tych kajdankach mógłbym ci wyłupić oczy, zanim Lasky zdąży tu wejść.

Twarz Kreizlera ożywiła się na moment, ale jego ton pozostał opanowany.

– I pewnie uznałbyś to za kolejny dowód swojej niepoczytalności?

Jesse zachichotał.

– A ty nie?

– Nie, jak dwadzieścia lat temu – odrzekł Kreizler, wzruszając ramionami. – Okaleczyłeś oczy obojgu dzieciom, które zabiłeś, jak również tym, nad którymi się znęcałeś. Ale nie widziałem w tym szaleństwa, przeciwnie, twoje zachowanie było całkowicie zrozumiałe.

– Naprawdę? – Pomeroy znów uderzył w kpiący ton. – Jak to? Kreizler milczał chwilę, a potem nachylił się do przodu.

– Nie spotkałem jeszcze człowieka, Jesse, który by oszalał ze zwykłej zazdrości.

Pomeroy momentalnie spowaźniał i tak szybko podniósł rękę do twarzy, że uderzył się o prety kasku. Potem zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał się rzucić na Laszla. Szykowałem się do kontrataku, ale Jesse tylko wybuchnął śmiechem.

– Coś ci powiem, doktorku: jeśli zapłaciłeś za to twoje wykształcenie, każ sobie zwrócić forszę. Myślisz, że jak mam felerne oko, to mściłem się na ludziach z dwoma dobrymi? Akurat. Spójrz na mnie, jestem katalogiem błędów Matki Natury. Dlaczego nigdy nie rozciąłem nikomu ust ani nie porznąłem twarzy? – Teraz Jesse pochylił się ku nam. – A jeśli to tylko zazdrość, doktorku, dlaczego nie odrąbujesz ludziom rąk?

Spojrawszy szybko na Kreizlera, zorientowałem się, że nie był przygotowany na taką uwagę. Ale już dawno nauczył się kontrolować swe reakcje podczas lekarskich wywiadów i tylko zamrugnął, nie spuszczać wzroku z Pomeroya. Jesse rozszyfrował jednak te mrugnięcia i odchylił się do tyłu z uśmiechem satysfakcji.

– Tak, naprawdę jesteś bystry – zachichotał.

– Więc okaleczenia oczu nic nie znaczą – powiedział Kreizler; teraz, z perspektywy czasu, widzę, że ostrożnie manipulował swym rozmówcą. – Były to po prostu akty ślepej przemocy.

– Nie wkładaj mi w usta cudzych słów, doktorku. – Pomeroy znowu przybrał ostrzegawczy ton. – Już to przerabialiśmy, dawno temu. Mówię tylko, że nie miałem zdrowego powodu, żeby to robić.

Kreizler z namysłem przekrzywił głowę.

– Być może. Skoro jednak nie chcesz powiedzieć, jaki powód miałeś, dalsza dyskusja mija się z celem. – Laszlo wstał. – A że muszę zdążyć na pociąg do Nowego Jorku...

– Siadaj.

Groźba zawarta w tym rozkazie była niemal dotykalna, ale Kreizler udał kamienną obojętność. To zbiło Pomeroya z tropu.

– Powiem ci to raz i nie będę powtarzał – podjął gorączkowo. – Byłem niepoczytalny, ale już nie jestem, co znaczy, że jak teraz o tym myślę, widzę wszystko zupełnie jasno. Nie miałem żadnego zdrowego powodu, żeby zrobić tym dzieciakom, co zrobiłem. Po prostu... po prostu nie mogłem już tego dłużej znieść i tyle. Musiałem to powstrzymać.

Laszlo wiedział, że jest blisko. Aby zachęcić Pomeroya do mówienia usiadł, po czym zapytał łagodnie:

– Co musiałeś powstrzymać, Jesse?

Pomeroy podniósł wzrok ku wąskiej szparze u szczytu kamiennego muru; było już przez nią widać kilka gwiazd.

– To gapienie się – wymamrotał zupełnie nowym, beznamiętnym tonem. – To patrzanie. Cały czas patrzanie. Musiałem z tym skończyć.

Ponownie odwrócił się do nas; miałem wrażenie, że w jego zdrowym oku lśnią lzy, ale jego wargi znów wykrzywił uśmiech.

– Wiesz, chodziłem do menażerii w mieście. Jak byłem bardzo mały. I kiedyś do mnie dotarło, że cokolwiek by te zwierzęta robiły, ludzie się na nie patrzą. Gapią się na nie z tymi tępymi, bezmyślnymi minami, wytrzeszczają oczy i rozdziawiają gęby – szczególnie dzieci, bo takie to jeszcze nic nie rozumieją. A te cholerne zwierzęta patrzyły na ludzi i było widać, że są wściekłe, jak mi Bóg miły, rozjuszone, to dobre słowo. Chciały tylko jednego – rozerwać tych ludzi na strzępy, żeby wreszcie przestali się gapić. Chodziły tam i z powrotem, tam i z powrotem, myśląc sobie, że gdyby chociaż na minutę mogły wyjść z klatek, pokazałyby im, co się dzieje, jak ktoś nie zna miary. Ja nie siedziałem w klatce, ale tak samo, odkąd pamiętam, widziałem dookoła te cholerne bezmyślne oczy. Wpatrzone, wlepione we mnie, cały czas, wszędzie. Powiedz mi, doktorku, sam mi powiedz, czy to nie wystarczy, żeby człowiek oszalał... Więc jak już byłem starszy i widziałem, że któryś z tych bezmyślnych małych drani stoi z lizakiem w łapie i wybałusza na mnie gały... no cóż, doktorku, nie siedziałem wtedy w klatce, więc nic nie mogło mnie powstrzymać od zrobienia tego, co trzeba było zrobić.

Pomeroy umilkł i znieruchomiał, czekając na reakcję Kreizlera.

– Powiadasz, że zawsze tak było, Jesse? – spytał Laszlo. – Odkąd pamiętasz? Ze wszystkimi ludźmi, których znałeś?

– Ze wszystkimi oprócz mojego taty – odparł Pomeroy, parszając niewesołym, niemal żalonym śmiechem. – Pewnie miał tak dość patrzenia na mnie, że uciekł. Nie, żebym to wiedział, w ogóle go nie pamiętam. Ale tak sobie wykombinowałem z tego, jak się zachowywała moja mama.

Po twarzy Kreizlera znów przebiegł błysk podniecenia.

– A jak się zachowywała?

– A tak!

W ułamku sekundy znalazł się przed Laszlem, z kaskiem zaledwie kilka stóp od jego twarzy. Zerwałem się na równe nogi, ale Jesse nie postąpił bliżej.

– Uspokój swojego goryla, doktorku – powiedział, nie spuszczać zdrowego oka z Kreizlera. – To tylko pokaz. Zawsze w ten sposób, tak ja to widziałem. Przyglądała mi się w każdej minucie, po co, nie mam pojęcia. Dla mojego dobra, mówiła, ale na to nie wyglądało. – Klatka ciążyła Jessemu na wyciągniętej szyi i w końcu cofnęła głowę. – Tak, lubiała patrzeć na moją gębę. – Znów roześmiał się ponuro. – Ale pocałować to już jej nie chciała! – Najwyraźniej uderzyła go jakaś myśl i milczał przez chwilę, znowu spoglądając ku szczelinom w murze. – Ten pierwszy dzieciak, którego dopadłem... kazałem mu ją pocałować. Z początku nie chciał, ale jak... Nieważne. Zrobił to.

Laszlo odczekał kilka sekund i zapytał:

– A człowiek, któremu parzyłeś dziś twarz?

Jesse splunął na podłogę przez pręty kasku.

– Ta sama historia! Cholerny idiota nie mógł upilnować oczu, dwadzieścia razy mu mówiłem, żeby... – Spostrzegłszy się, Pomeroy urwał i odwrócił się do Kreizlera z autentycznym lękiem na twarzy, ale lęk ten szybko ustąpił miejsca zabójczemu uśmieškowi. – Oj! Chyba się wsypałem, co? Dobra robota, doktorku.

Laszlo wstał.

– Nie moja, Jesse.

– Akurat. – Pomeroy wybuchnął śmiechem. – Ale niech tam. Do końca życia nie wykombinuję, jak ci się udało tak mnie podpuścić. Gdybym miał kapelusz, tobym go przed tobą zdjął. A że nie mam...

Jednym szybkim ruchem Pomeroy schylił się, wyjął z buta jakiś lśniący przedmiot i wyciągnął go groźnie w naszą stronę. Stanął na palcach, napinając mięśnie, gotów w każdej chwili rzucić się naprzód. Odruchowo cofnąłem się pod ścianę, a Kreizler zrobił to samo, chociaż wolniej. Kiedy z gardła Pomeroya wydarł się charczący śmiech, spojrzałem uważniej na jego broń – był to długi, gruby kawałek szkła, owinięty na jednym końcu zakrwawioną szmatą.

ROZDZIAŁ 24

Szybciej niż większość ludzi zdołałaby to zrobić bez kajdan, Pomeroy kopnął stołek, na którym wcześniej siedział, przez całą celę, i zablokował nim klamkę u drzwi, aby utrudnić ich otwarcie od strony korytarza.

– Bez obawy – powiedział, nadal szczerząc zęby. – Nie potnę was, chcę się tylko trochę zabawić z tym głupim osiłkiem! – Odwrócił się, znów roześmiał i zawołał: – Hej, Lasky! Masz na oku inną posadę? Jak naczelnik zobaczy, co zrobiłem tym chłopcom, nie da ci pilnować nawet wychodka!

Lasky zaklął w odpowiedzi i zaczął walić w drzwi. Pomeroy trzymał szkło wycelowane mniej więcej w nasze gardła, ale nie robił żadnych groźnych ruchów, tylko śmiał się coraz głośniej, w miarę jak rosła wściekłość strażnika. Niebawem obluźowały się zawiasy i zaraz potem stołek wyleciał spod klamki. Drzwi rąbnęły z hukiem na podłogę celi, a Lasky za nimi. Kiedy się pozbierał, zobaczył najpierw, że Kreizlerowi i mnie nic nie jest, a później, że Pomeroy ma broń. Chwyciwszy stołek, Lasky natarł na Jessego, który stawił mu tylko symboliczny opór.

Podczas całego zajścia Kreizler nie okazał lęku o nasze bezpieczeństwo, tylko powoli kręcił głową, jakby doskonale rozumiał, co się dzieje. Lasky szybko odebrał Pomeroyowi szkło i zaczął go bezlitośnie okładać swymi grubymi pięściami. To, że nie może się dostać Jessemu do twarzy, zdawało się potęgować jego wściekłość, i ciosy, które spadały na więźnia, były coraz bardziej zawzięte. Ale chociaż Pomeroy krzyczał z bólu, nadal się śmiał – śmiechem szalonym, niepohamowanym, a nawet, w jakiś okropny sposób, radosnym. Zdumienie całkowicie mnie sparaliżowało, ale Kreizler po kilku minutach tego spektaklu postąpił naprzód i zaczął ciągnąć Lasky'ego za ramiona.

– Przestań! – krzyknął do strażnika. – Lasky, na miłość boską, przestań, głupcze! – Dalej go szarpał, ale olbrzym nie zwracał uwagi na jego wysiłki. – Lasky! Przestań, człowieku, nie rozumiesz, że robisz to, czego on chce?! Jemu to sprawia przyjemność!

Strażnik nadal nie reagował i w końcu Kreizler, sam przywiedziony do desperacji, wyczerpując wszystkie siły, odciągnął go od Pomeroya. Zaskoczony i wściekły Lasky zerwał się z podłogi i wykonał potężny zamach w stronę głowy Kreizlera, ale ten z łatwością się uchylił. Widząc, że strażnik nie zamierza mu darować, zwinął prawą dłoń w pięść i zadał Lasky'emu kilka szybkich ciosów, które żywo przypomniały mi jego chlubne starcie z Rooseveltem przed prawie dwudziestu laty. Gdy Lasky zatoczył się i upadł, Kreizler złapał oddech i stanął nad nim.

– To musi się skończyć, Lasky! – oznajmił z takim zapamiętaniem w głosie, że rzuciłem się między niego i powalonego strażnika, aby mój przyjaciel nie mógł wznowić ataku.

Pomeroy leżał na podłodze, wijąc się z bólu, trzymając się za żebra skutymi dłońmi i nadal śmiejąc się groteskowo. Kreizler odwrócił się doń, ciężko dysząc, i powtórzył łagodnie:

– To musi się skończyć.

Lasky oprzytomniał i wbił wzrok w Kreizlera.

– Ty sukinsynu! – Spróbował wstać, lecz bez powodzenia. – Na pomoc – jęknął, spluwając krwią na podłogę. – Na pomoc! Strażnik w niebezpieczeństwie! – Jego głos odbił się echem w korytarzu. – Cela z prysznicem! Pomóżcie mi, do cholery!

Usłyszałem tupot nóg, zbliżający się ku nam z drugiego końca budynku.

– Laszlo, musimy stąd zmiatać – powiedziałem szybko. Minęliśmy w korytarzu czterech strażników, którym wyjaśniłem pospiesznie, że doszło do bójki między Laskym i Pomeroyem i że ich kolega jest ranny. Widząc, że Kreizlerowi i mnie nic się nie stało, strażnicy popędzili w swoją stronę, a ja pociągnąłem Laszla obok następnej grupy umundurowanych mężczyzn, tłoczących się bezładnie przy wejściu do bloku. Strażnicy wewnątrz nie potrzebowali dużo czasu, aby się dowiedzieć, co naprawdę zaszło, i wkrótce zawrócili, wykrzykując groźby pod naszym adresem. Na szczęście staruszek, którego bryczką przyjechaliśmy, stał jeszcze pod bramą, i zanim ściągający nas strażnicy się pojawili, byliśmy już kilkaset jardów od więzienia, w drodze na stację, modląc się – przynajmniej jeśli chodzi o mnie – abyśmy nie musieli tam długo czekać.

Jako pierwszy nadjechał lokalny pociąg osobowy, który miał mieć na trasie do Nowego Jorku kilkanaście przystanków; ze względu na nasze położenie zaakceptowaliśmy tę zwłokę w podróży. Wsiedliśmy do ostatniego wagonu i stanęliśmy na tylnej platformie. Patrząc, jak mury i kominy Sing Singu wtapiają się w czarny las doliny Hudsonu, wyjąłem piersiówkę z whisky i obaj zdrowo sobie pociągnęliśmy. Kiedy więzienie wreszcie zniknęło nam z oczu, zaczęliśmy oddychać swobodniej.

– Jesteś mi winien trochę wyjaśnień – odezwał się do Laszla, gdy owionął nas ciepły prąd powietrza od lokomotywy. Czułem tak wielką ulgę, że nie mogłem stłumić uśmiechu, ale mówiłem zupełnie poważnie. – Na początek możesz mi powiedzieć, dlaczego tu przyjechaliśmy.

Kreizler upił kolejny łyk z piersiówki i przyjrzał jej się uważnie.

– To wyjątkowo barbarzyńska mieszanka, Moore – stwierdził, ignorując moje żądanie. – Jestem nieco zaszokowany.

Wyprostowałem się.

– Kreizler...

– Tak, tak, wiem, John – odparł, uciszając mnie gestem. – Należy ci się wytłumaczenie. Od czego mam zacząć? – Westchnął i znów pociągnął whisky. – Jak już mówiłem, zadzwoniłem dziś do Meyera. Opowiedziałem mu szczegółowo o naszej pracy. W tym także o... o scysji między Sarą i mną. – Chrząkając z zakłopotaniem, Laszlo kopnął barierkę platformy. – Naprawdę muszę ją przeprosić.

– Owszem – przytaknąłem – musisz. Co powiedział Meyer?

– Ze uważa stanowisko Sary w kwestii roli kobiety za całkowicie słuszne – mruknął Kreizler, dalej ze skruczą w głosie. – Nagle złapałem się na tym, że dyskutuję z nim tak, jak dyskutowałem z Sarą. – Wypił następny łyk z piersiówki, znów chrząknął i wymamrotał: – Cholerna projekcja...

– Cholerna co? – spytałem zdumiony.

– Nic – odrzekł Kreizler, potrząsając głową. – To nie ma teraz znaczenia. Ważne jest to, że kiedy dziś po południu przemyślałem całą tę kwestię, stwierdziłem, że Meyer i Sara mają rację: istnieją przekonujące dowody, że jakaś kobieta odegrała złowieszczą rolę w kształtowaniu charakteru naszego mordercy. Jego obsesyjna skrytość, ten specyficzny rodzaj sadyzmu, wszystkie te czynniki prowadzą do wniosku, jaki wyciągnęła Sara. Jak mówię, próbowałem dyskutować z Meyerem dokładnie tak samo, jak dyskutowałem z nią, ale wtedy Meyer przypomniał mi o Jessem Pomeroyu i użył jako kontrargumentów moich własnych słów sprzed dwudziestu lat. Przecież Jesse w ogóle nie znał swojego ojca ani, o ile mogłem się zorientować, nie doświadczył w dzieciństwie jakiegokolwiek szczególnej przemocy fizycznej. Mimo to jego osobowość była, i jest, pod wieloma względami podobna do osobowości człowieka, którego szukamy. Jak wiesz, w trakcie procesu Pomeroy konsekwentnie odmawiał odpowiedzi na pytanie, dlaczego okaleczał swe ofiary. Mogłem tylko mieć nadzieję, że czas i samotność osłabiły jego upór. I szczęście nam dopisało.

Skinąłem głową, przypominając sobie stwierdzenia Pomeroya.

– To, co powiedział o swojej matce i innych dzieciach, i ciągłej obserwacji... myślisz, że naprawdę ma to kluczowe znaczenie?

– Tak właśnie myślę – odparł Laszlo, zaczynając wyrzucać z siebie słowa w charakterystycznie szybkim tempie. – Podobnie jak niechęć ludzi z jego otoczenia do dotykania go. Zapewne jedyny kontakt fizyczny, jakiego Pomeroy kiedykolwiek doświadczył, miał charakter naigrawania się lub dręczenia. A stąd możemy poprowadzić prostą linię do stosowania przezeń przemocy.

– Jak to?

– Najlepiej ci to wyjaśnię, Moore, raz jeszcze cytując profesora Jamesa. Często powracał do tej myśli na wykładach, a kiedy pierwszy raz przeczytałem ją w *Podstawach*, poraziła mnie jak grom. – Spojrzał w niebo, starając się przypomnieć sobie dokładne sformułowanie: – „Gdyby wszystko, co jest zimne, było wilgotne, i wszystko, co jest wilgotne, było zimne, gdyby wszystko, co jest twarde, i wyłącznie to, kłuło nam skórę, czy odróżnialibyśmy zimno od wilgoci i twardość od ostrości?” James, jak to on, nie doprowadził tej idei do logicznego końca, nie przeniósł jej w dynamiczną sferę zachowań. Mówił tylko o zmysłach, jak smak i dotyk, ale wszystko, co w życiu widziałem, wskazuje, że sprawdza się ona również dynamicznie. Wyobraź to sobie, Moore. Wyobraź sobie, że – z powodu zeszpecenia, choroby czy jakiegokolwiek innego nieszczęścia – nikt nigdy nie traktował cię inaczej niż oziębłe lub wręcz szorstko. Jak byś się czuł?

Wzruszyłem ramionami i zapaliłem papierosa.

– Chyba parszywie.

– Być może. Ale najprawdopodobniej nie widziałbyś w tym nic niezwykłego. Dam ci przykład: jeśli powiem „matka”, natychmiast przyjdą ci do głowy nieuświadomione, ale zupełnie swojskie skojarzenia oparte na nieuświadomione. Mnie tak samo. I nasze zbiory skojarzeń będą niewątpliwie mieszkanką dobrego i złego, jak u prawie każdego człowieka. Ile osób będzie miało skojarzenia tak jednolicie negatywne jak Jesse Pomeroy? Co więcej, w przypadku Jessego możemy przejść od wąskiego pojęcia matki do pojęcia ludzkości w ogóle. Powiedz mi „ludzie”, a w jego umyśle powstaną wyłącznie obrazy poniżenia i bólu, tak naturalnie, jak gdybym tobie powiedział „pociąg”, a ty odpowiedziałbyś „ruch”.

– Czy to miałeś na myśli, mówiąc Lasky’emu, że bicie sprawia Pomeroyowi przyjemność?

– Owszem. Jak się pewnie zorientowałaś, Jesse z rozmysłem sprowokował to zajście. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Przez całe dzieciństwo otaczali go dręczyciele, a przez ostatnie dwadzieścia lat miał do czynienia praktycznie tylko z takimi ludźmi jak Lasky. W następstwie swoich doświadczeń, zarówno na wolności, jak i w więzieniu, uznał, że kontakty z przedstawicielami jego własnego gatunku mogą być wyłącznie wrogie i brutalne – utożsamia się nawet uczuciowo ze zwierzętami w menażerii. Taka jest jego rzeczywistość. Jedyne, co może zrobić, to manipulować uczestnikami tych kontaktów, jak niegdyś manipulował dziećmi, które męczył i zabijał. Jest to jego jedyna władza i satysfakcja – jedyna metoda zapewnienia sobie psychicznego przetrwania, jaką kiedykolwiek znał, więc ją stosuje.

Paląc papierosa i zmagając się z tą ideą, zacząłem spacerować po platformie.

– Ale czy nie ma czegoś... czegoś w nim, w każdym człowieku, co by się buntowało przeciwko takiej sytuacji? No wiesz, czy nie czułby smutku albo rozpacz, nawet w związku z matką? Chociaż pragnienia miłości? Czy każde dziecko nie rodzi się z...

– Uważaj, Moore – przerwał mi Kreizler, zapalając papierosa. – Chciałeś powiedzieć, że mamy wrodzone, aprioryczne koncepcje potrzeby i pragnienia – to rozumiała teza, ale nie da się jej obronić. Ludzki organizm zna na początku tylko jeden popęd: do zachowania życia. I owszem, dla większości z nas popęd ten jest bardzo mocno związany z osobą matki. Ale gdyby nasze doświadczenia były biegunowo inne – gdyby pojęcie matki kojarzyło się nam z frustracją czy wręcz z zagrożeniem, a nie z zapewnianiem środków egzystencji i opieką – instynkt samozachowawczy sprawiłby, że nasz pogląd na świat ukształtowałby się inaczej. Jesse Pomeroy tego doświadczył. I teraz sędzę, że nasz morderca również. – Laszlo głęboko zaciągnął się papierosem. – Mogę za to podziękować Pomeroyowi. A także Meyerowi. Ale przede wszystkim muszę podziękować Sarze. I zamierzam to zrobić.

Kreizler spełnił swą zapowiedź. Na jednej z małych stacji po drodze spytał zawiadowcę, czy mógłby nadać niezwykle pilny, jak go zapewnił, telegram do Nowego Jorku. Zawiadowca się zgodził i Laszlo posłał Sarze wiadomość, że ma spotkać się z nami o jedenastej w Delmonico. Po przyjeździe do miasta nie mieliśmy czasu się przebrać, ale Charlie Delmonico widywał nas za młodu w dużo gorszym stanie, i kiedy dotarliśmy na Madison Square, zostaliśmy przyjęci równie serdecznie jak zawsze.

Sara czekała w głównej jadalni, możliwie daleko od innych gości, przy stoliku z widokiem na park po drugiej stronie Piątej Alei. Wyraziła troskę o nas – telegram ją zaniepokoił – a potem, widząc, że jesteśmy cali i zdrowi, wielką ciekawość co do naszej wyprawy. Wobec Kreizlera, nawet zanim wystąpił z obiecanyymi przeprosinami, zachowywała się całkiem uprzejmie, co mnie zdziwiło. Sara nie należała wprawdzie do osób, które długo żywią urazę, ale kiedy raz się sparzyła, zazwyczaj była potem bardzo ostrożna. Starłem się jednak zignorować te dziwne prądy między nimi i skupić się na problemach śledztwa.

Sara oświadczyła, że biorąc pod uwagę to, czego dowiedzieliśmy się z wizyty u Pomeroya, możemy śmiało założyć, iż nasz człowiek jest, podobnie jak Jesse, niezwykle drażliwy na punkcie swego wyglądu. Taka drażliwość, stwierdziła, aż nadto dobrze tłumaczy głębię jego nienawiści do dzieci. Kreizler także skłaniał się ku pogładowi, że morderca jest w jakiś sposób zdeformowany fizycznie. Ja jednak, choć kilka tygodni wcześniej pierwszy wysunąłem tę teorię, teraz przestrzegłem oboje, aby nie spieszyli się z jej przyjęciem. Wiedzieliśmy, że człowiek, którego ścigamy, ma ponad sześć stóp wzrostu i pokonuje ściany domów za pomocą zwykłej liny, dźwigając na plecach nastoletnich chłopców: jeśli jest zdeformowany, w grę nie wchodzi ręce ani nogi, ani właściwie nic oprócz twarzy – a to znacznie ograniczyłoby obszar naszych poszukiwań. Kreizler odparł, że jest gotów ograniczyć ów obszar jeszcze bardziej, zakładając, że zdeformowane są oczy mordercy. Nasz człowiek skupiał się na oczach swych ofiar bardziej starannie i konsekwentnie niż nawet Pomeroy, i fakt ten Kreizler uważał za więcej niż znaczący: był on, według niego, rozstrzygający.

Później Kreizler poprosił Sarę, aby dokładnie wyjaśniła, jakiego typu kobieta mogła, jej zdaniem, odegrać tak ponurą rolę w życiu naszego mordercy, o jakiej mówiła przed tygodniem. Sara skwapliwie odrzekła, że według niej tylko matka byłaby zdolna wyrzucić tak głęboki wpływ, jaki objawiał się w tym przypadku. Okrutna nauczycielka czy krewna mogłaby maltretować dziecko, ale gdyby to dziecko mogło się uciec pod opiekę swej naturalnej matki, nie przyniosłoby to tak dotkliwych skutków. Dla Sary było oczywiste, że nasz człowiek nie znajdował takiej ucieczki, co można by wytłumaczyć na wiele sposobów; Sara skłaniała się jednak ku pogładowi, że owa kobieta w ogóle nie chciała mieć dzieci. Miała je tylko dlatego, rozumowała Sara, że albo zaszła w ciążę, albo świat, w którym żyła, nie zaoferował jej innej społecznie akceptowanej roli. W rezultacie nienawidziła dzieci, które mimo wszystko urodziła, i z tego powodu, zdaniem Sary, istnieje duże prawdopodobieństwo, że morderca albo jest jedynakiem, albo ma bardzo nieliczne rodzeństwo, jakkolwiek fizyczna deformacja któregoś z dzieci oczywiście spotęgowałaby z góry negatywne uczucia matki wobec tego dziecka, ale Sara nie sądziła, by sama deformacja mogła wszystko wyjaśnić. Kreizler zgodził się z nią w tym punkcie, mówiąc, że choć Jesse Pomeroy przypisywał niechęć matki do niego swojemu wygląadowi, w grę wchodziły z pewnością jakieś dodatkowe i głębsze czynniki.

Z tego wszystkiego wyływał nieodparcie jeden wniosek: było mało prawdopodobne, abyśmy mieli do czynienia z ludźmi, którzy żyli w dostatku. Po pierwsze, zamożni rodzice nie muszą się zajmować swymi dziećmi, jeśli uznają je za kłopotliwe czy niepożądane. Po drugie, w latach sześćdziesiątych naszego wieku młoda majątna kobieta mogłaby się poświęcić karierze innej niż macierzyństwo, choć trzeba przyznać, że taki wybór sprowokowałby wówczas więcej krytyk i komentarzy niż trzydzieści lat później. Oczywiście niechciana ciąża może się przytrafić w każdej rodzinie, i bogatej, i biednej, ale seksualno-skatologiczna obsesja, jaką przejawiał nasz morderca, świadczyła według Sary o ścisłym nadzorze i częstych poniżeniach, a to z kolei wskazywało na życie w wielkiej ciasnocie – życie, do jakiego zmusza ubóstwo.

Kreizler wyjął swój mały notes i przypomniał, że dzieli nas tylko pięć dni od Święta Wniebowstąpienia, następnej znaczącej daty w kalendarzu kościelnym. Nadszedł czas, powiedział, aby skończyć z czystymi badaniami i analizami, i przystąpić do działania. Zyskaliśmy dobre ogólne pojęcie o tym, jak morderca wygląda oraz gdzie i kiedy może uderzyć. Byliśmy już w stanie przewidzieć jego następny ruch i spróbować mu zapobiec. Słyszając to, poczułem nagły skurcz niepokoju w moim bardzo pełnym żołądku, a z twarzy Sary wyczytałem podobną reakcję. Oboje wiedzieliśmy jednak, że ten obrót śledztwa był nieunikniony; co więcej, ku niemu właśnie zmierzaliśmy od samego początku. Toteż, opuszczając restaurację, wzięliśmy się w garść i nie daliśmy wyrazu naszym obawom.

Na ulicy Sara znacząco szarpnęła mnie za rękaw. Gdy się odwróciłem, patrzyła w inną stronę, ale w sposób, który wyraźnie wskazywał, że chce porozmawiać. Kiedy Kreizler zaproponował, że podwiezie ją dorożką do Gramercy Park, podziękowała, i jak tylko odjechał, zaciągnęła mnie do parku Madison Square, pod latarnię gazową.

– No? – zapytałem, spostrzegając, że wygląda na dość poruszoną. – Oby to było coś ważnego, Saro. Wiesz, jaki miałem wieczór i...

– To jest ważne – przerwała mi, wyjmując z torebki jakąś złożoną kartkę. – To znaczy, myślę, że jest. – Zmarszczyła brwi i zdawała się coś starannie rozważać. – John, ile właściwie wiesz o przeszłości doktora Kreizlera? To znaczy, o jego rodzinie.

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– O jego rodzinie? Chyba tyle, co wszyscy. Jako młody chłopak dość często ich odwiedzałem.

– Czy byli... Czy byli... szczęśliwi?

Wzruszyłem ramionami.

– Zawsze tak mi się wydawało. Mieli po temu powody. Rodzice Laszla byli chyba najpopularniejszą parą w mieście. Oczywiście nigdy byś się tego nie domyśliła, widząc ich teraz. Parę lat temu stary Kreizler miał wylew i prawie się już nie udzielają. Mają dom na rogu Czternastej Ulicy i Piątej Alei.

– Tak – odparła szybko Sara, znów mnie zaskakując. – Wiem o tym.

– No więc – podjąłem – ciągle urządzali wtedy huczne przyjęcia i wprowadzali luminary z całej Europy w nowojorskie towarzystwo. Było na co popatrzeć, wszyscy uwielbialiśmy tam przychodzić. Ale dlaczego pytasz, Saro? Do czego zmierzasz?

Zawahala się, westchnęła i podała mi kartkę.

– Przez cały tydzień usiłowałam zrozumieć, dlaczego tak uparcie trzyma się idei, że naszego mordercę wychował okrutny ojciec i bierna matka. Sformułowałam pewną teorię i poszperałam w archiwum Piętnastego Komisariatu, aby ją sprawdzić. Oto, co znalazłam.

Pokazała mi raport sporządzony przez niejakiego posterunkowego O'Banniona, który pewnej wrześnieowej nocy w 1862 roku – gdy Laszlo miał zaledwie sześć lat – został wezwany do awantury w domu Kreizlerów. Pożółkły raport zawierał niewiele informacji: ojciec Laszla, podobno pijany, spędził noc na komisariacie pod zarzutem czynnej napaści (zarzut ten później wycofano), a lekarz domowy opatrzył małego chłopca, który miał mocno zgruchotaną lewą rękę.

Wnioski były oczywiste, ale wobec mojej długoletniej znajomości z Laszlem i wyobrażenia, jakie zawsze miałem o jego rodzinie, nie potrafiłem ich zaakceptować.

– Przecież – powiedziałem, z roztargnieniem składając dokument – przecież mówiono nam, że upadł...

Sara odetchnęła głęboko.

– Najwyraźniej nie.

Zamilkliśmy na dłuższą chwilę i rozejrzałem się po parku, lekko oszołomiony. Zakorzenione koncepcje nie giną łatwo, a proces ten diabelnie zbija człowieka z tropu; nawet drzewa i domy Madison Square wyglądały w tym momencie jakoś inaczej. Przemknął mi przez głowę obraz Laszla jako chłopca, a po nim następne: jego wielkiego, towarzyskiego ojca i pełnej życia matki. Oglądając te twarze i postacie, przypomniałem sobie wzmiankę Jessego Pomeroya o odrąbywaniu ludziom rąk, a od niej mój umysł przeskoczył do pozornie bezsensownej uwagi, którą Laszlo zrobił w pociągu powrotnym.

– „Cholerna projekcja” – szepnąłem.

– Co powiedziałaś, John? – zapytała cicho Sara. Mocno potrząsałem głową, jakby mogło mi się od tego w niej rozjaśnić.

– Kreizler mówił dziś wieczór o tym, ile czasu zmarnował w ostatnich dniach. Wspomniał o „projekcji”, ale nie zrozumiałem odniesienia. Teraz jednak...

Sara zatchnęła się lekko, bo również uświadomiła sobie sens tej uwagi.

– Projekcja psychologa – powiedziała. – W *Podstawach* Jamesa.

Skinąłem głową.

– Kiedy psycholog przypisuje pacjentowi własny punkt widzenia. To go trzymało w kleszczach.

Ponownie zapadliśmy w milczenie i spojrzałem na raport, a wtedy pewna pilna kwestia praktyczna przesłoniła mi niemal niewykonalne zadanie ogarnięcia myśłą wszystkich implikacji dokumentu.

– Czy rozmawiałaś o tym z kimś innym, Saro? – zapytałem. Powoli potrząsnęła głową. – A czy w Kwaterze Głównej wiedzą, że zabrałaś ten raport? – Kolejne nieme zaprzeczenie. – Ale zdajesz sobie sprawę, co on oznacza?

Tym razem skinęła głową i odwzajemniłem ten gest; potem powoli, starannie, podałem raport i położyłem strzępki papieru na trawniku. Wyjąłem z kieszeni pudełko zapalek, potarłem jedną i zacząłem je podpalać, mówiąc stanowczym tonem:

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Zaspokoiłaś swoją ciekawość i jeśli Kreizler znów zacznie się dziwacznie zachowywać, będziemy rozumieli dlaczego. Ale nic dobrego nie wynikłoby z ujawnienia tej sprawy. Zgadzasz się?

Sara przykucnęła obok mnie i jeszcze raz skinęła głową.

– Podjęłam już taką samą decyzję.

Patrzyliśmy, jak płonące kawałki papieru zmieniają się w płatki popiołu, z cichą nadzieją, że nie będziemy musieli wracać do tej sprawy; że zachowanie Laszla już nigdy nie da podstaw do wnikania w jego przeszłość. Ponura historia tak szkicowo opisana w spalonym raporcie wypłynęła jednak na powierzchnię w dalszej części naszego śledztwa, powodując bardzo realny – właściwie niemal tragiczny w skutkach – kryzys.

ROZDZIAŁ 25

Pomysł, aby w dni, w które naszym zdaniem morderca mógł znowu uderzyć, wziąć pod obserwację główne siedliska chłopięcej prostytutki, wyszedł od Luciusa Isaacsona. Zdawaliśmy sobie sprawę, że będzie to delikatna robota. Każdy z tych barów i burdeli straciłby wielu klientów, gdyby się wydało, że są obserwowane. Nie mogliśmy zatem liczyć na współpracę ich właścicieli i musieliśmy tak się ulokować, aby nie zauważyli nas ani oni, ani morderca. Lucius nie ukrywał, że ma za mało doświadczenia z takimi operacjami, aby obmyślić rozsądny plan działania, wezwaliśmy więc jedyne go członka naszej ekipy, który, jak sądziliśmy, mógł nam udzielić fachowych rad: Steviego Taggerta. Stevie przez sporą część swojej przestępczej kariery okradał domy i mieszkania i znał sposoby potajemnej inwigilacji. Myślę, że przyszedłszy tego sobotniego popołudnia do sztabu, gdzie zastał nas siedzących w półkolu i pilnie weń wpatrzonych, chłopiec zląkł się, że czeka go jakaś bura. A ponieważ Kreizler wciąż mu powtarzał, że powinien zapomnieć o przeszłości, było go podwójnie trudno skłonić do mówienia o takich rzeczach. Kiedy się jednak przekonał, że naprawdę potrzebujemy jego pomocy, zaczął odpowiadać na nasze pytania z wyraźną przyjemnością.

Początkowo zamierzaliśmy umieścić po jednej osobie pod tymi domami schadzek, w których wizyta mordercy była najbardziej prawdopodobna: Paresis Hall, Złotą Zasadą, lokalem Shanga Drapera w Tenderloinie, Ślizgawką na Bleecker Street i Dominem Franka Stephensona – speluną, w której stręczono białe kobiety i dzieci Murzynom i Azjatom – również na Bleecker. Stevie, głośno żując gruby kawałek lukrecji, stwierdził, że nasz plan ma poważne wady. Przede wszystkim, wiemy, że morderca przemusza się po dachach: szansa na sukces będzie zatem większa, a ryzyko wzbudzenia podejrzeń mniejsze, jeśli spróbujemy osaczyć go na górze. Ponadto, nawet pomijając fakt, że możemy napotkać czynny opór ze strony właścicieli domów, powinniśmy pamiętać, że człowiek, na którego polujemy, jest duży i silny, i obeznany z dachami: ze zwierzyny łatwo może się stać myśliwym i napaść na nas. Stevie poradził więc, abyśmy ulokowali w każdym miejscu po dwóch wywiadowców, co oznaczało, że będziemy musieli nie tylko zaangażować jeszcze trzy osoby (ostatecznie listę uzupełnili Cyrus, Roosevelt i sam Stevie), lecz także wykluczyć jeden punkt obserwacyjny. Według Stewiego ta ostatnia kwestia nie przedstawiała problemu: uważał, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby morderca zapuścił się do Tenderloinu, hałaśliwej, tłocznej, jasno oświetlonej dzielnicy, gdzie istnieje zbyt duże niebezpieczeństwo, że zostanie zauważony i schwytany. Wziąwszy nonszalancko papierosa z mojego pudełka i przypalwszy go sobie, Stevie powiedział, że w związku z tym możemy pominąć lokal Shanga Drapera, i puszczając kółeczka dymu, poradził, abyśmy dostali się na nasze dachy, wchodząc pod fałszywym pretekstem do sąsiednich budynków. Dzięki temu kiedy i jeśli morderca się pojawi, wszystko będzie wyglądało dlań zupełnie naturalnie. Kreizler skinął głową, a potem wyjął Stewiemu papierosa z ust i rozdeptał go na podłodze. Rozczarowany chłopak wrócił do żucia lukrecji.

Kolejną kwestią, którą omówiliśmy, było to, kiedy rozpocząć i zakończyć obserwację. Czy morderca odwiedzi wybrany dom publiczny w wigilię Wniebowstąpienia i zabije swą ofiarę w świąteczny ranek, czy też zaczeka z akcją do następnej nocy? Jego *modus operandi* wskazywał na tę drugą możliwość, zdecydowaliśmy więc, że zaczniemy się nań w czwartek wieczorem.

Kiedy to wszystko uzgodniliśmy, złapałem marynarkę i ruszyłem ku drzwiom. Marcus zapytał, dokąd się wybieram, na co odparłem, że idę do Złotej Zasad, aby spotkać się z Josephem i poinformować go o wyglądzie i metodach działania mordercy.

– Czy to rozsądne, John? – spytał niespokojnie Lucius, układając jakieś papiery na biurku. – Od wprowadzenia planu w życie dzieli nas tylko pięć dni. Nie powinniśmy robić nic, co mogłoby zburzyć normalny porządek tych miejsc.

Sara wyraźnie się zdziwiła.

– Nie ma chyba nic złego w ostrzeżeniu chłopców przed niebezpieczeństwem?

– Pewnie, że nie – odparł szybko Lucius. – I nie chcę, abyśmy narażali kogokolwiek bardziej, niż jest to konieczne. Chodzi mi po prostu o to, że... Musimy zastawić tę pułapkę ostrożnie.

– Sierżant śledczy ma, jak zwykle, dużo racji – oświadczył Kreizler, po czym wziął mnie pod ramię i odprowadził do drzwi. – Uważaj, ile powiesz swemu młodemu przyjacielowi, Moore.

Zajrzałem do Złotej Zasady i umówiłem się z Josephem w małym salonie bilardowym za rogiem. Kiedy tam przyszedł, miał czystą, zaróżowioną od szorowania buzię, co mnie wzruszyło. Być może pamiętał, że podczas naszego pierwszego spotkania startem mu szminkę, i teraz sam nie chciał, abym go zobaczył wymalowanego. W ogóle zachowywał się przy mnie jak zwyczajny młody chłopak, który bardzo potrzebuje starszego przyjaciela. Albo tym razem ja padłem ofiarą sławnej projekcji profesora Jamesa, pozwalając, aby to, że Joseph przypomina mi brata, wpływało na moją interpretację jego sposobu bycia.

Joseph zamówił sobie piwo ze swobodą, która sugerowała, że robi to nie po raz pierwszy (i która sprawiła, że zrezygnowałem z wygłoszenia kazania o szkodliwości alkoholu). Gdy zaczęliśmy od niechcienia uderzać bile, oznajmiłem mu, że mam nowe informacje o człowieku, który zabił Alego Ibn Ghaziego. Poprosiłem, aby uważnie mnie posłuchał i powtórzył wszystko kolegom, po czym przystąpiłem do opisu.

Jest to mężczyzna wysoki, powiedziałem, ma około sześciu stóp i dwóch cali wzrostu, i bardzo silny. Może bez trudu podnieść takiego chłopca jak Joseph, a nawet większego. Mimo tej postury i siły coś jest z nim nie w porządku, i jest na punkcie tego czegoś bardzo drażliwy. Chodzi zapewne o jakąś część twarzy, przypuszczalnie o oczy. Mogą być pokiereszowane, pokryte bliznami, w jakiś sposób zniekształcone. Nie wiem jeszcze, w czym tkwi problem, ale morderca nie lubi, jak ludzie o tym mówią czy na to patrzą. Joseph odparł, że nigdy nie widział takiego człowieka, ale wielu klientów Złotej Zasady wchodząc, zasłania twarz. Poprosiłem go, aby w przyszłości na to uważał, i przeszedłem do kwestii stroju. Morderca nie będzie ubrany elegancko, oświadczyłem, ponieważ nie chce się wyróżniać. Poza tym najprawdopodobniej nie jest zbyt bogaty i nie stać go na drogą garderobę. Możliwe, jak powiedział Marcus podczas naszej poprzedniej wizyty, że będzie miał dużą torbę; potrzebuje jej na sprzęt, za pomocą którego wspina się po murach, aby wchodzić do pokoi swych ofiar niezauważenie.

Dalszy ciąg był trudniejszy: powiedziałem Josephowi, że mordercy bardzo zależy na tym, aby nikt go nie zobaczył, ponieważ odwiedzał takie domy jak Złota Zasada już wcześniej i część (może nawet większość) chłopców mogłaby go z łatwością rozpoznać. Mało tego, może być to ktoś, kogo znają i komu ufają, ktoś, kto im pomagał, kto próbował ich nakłonić, aby odmienili swoje życie – jakiś działacz społeczny, niewykluczone, że ksiądz. Najważniejsze jest to, że nie wygląda na człowieka, który mógłby robić to, co robi.

Przy każdej informacji Joseph zaginał palec, aby się nie pogubić, a kiedy skończyłem, skinął głową i powiedział:

– W porządku, będę pamiętał. Ale czy mogę pana o coś spytać?

– Wal – odparłem.

– Jak pan... jak to możliwe, że wie pan to wszystko?

– Czasami – odrzekłem, parszkając śmiechem – sam się temu trochę dziwię. Dlaczego pytasz?

Joseph uśmiechnął się, ale zaczął też nerwowo machać nogami.

– No bo... no bo dużo moich kolegów mi nie uwierzyło, kiedy im powtórzyłem, co pan powiedział ostatnim razem. Nie rozumieli, skąd ktoś może to wiedzieć. Mówili, że pewnie zmyślam. No i jeszcze, ludzie gadają, że tego w ogóle nie robi człowiek. Tylko jakiś... duch czy coś. Tak niektórzy mówią.

– Wiem, słyszałem. Ale będzie dla ciebie lepiej, jeśli zignorujesz takie gadanie. Zapewniam cię, Josephie, za tym wszystkim z całą pewnością stoi człowiek. – Zatarłem rękę. – A teraz, co powiesz na partyjkę?

Nasłuchałem się przez lata, że gra w bilard (karambol, pool czy co tam) to dla młodego mężczyzny najprostsza droga na dno. Według mnie kariera zawodowego gracza – koszmar tyłu matek i ojców w tym mieście – dla tego chłopca byłaby wyłącznie krokiem w górę, toteż przez następną godzinę nauczyłem go większości bilardowych sztuczek, jakie znałem. Dobrze się przy tym bawiłem, choć nie dawała mi spokoju myśl, dokąd Joseph pójdzie, gdy się rozstaniemy. Nie mogłem jednak nic na to poradzić: tacy chłopcy decydowali o sobie jak dorośli.

Kiedy wróciłem na Broadway, było już prawie ciemno, ale w naszym sztabie nadal wrzało od przygotowań. Sara tłumaczyła Rooseveltowi przez telefon, że nie mamy żadnej innej zaufanej osoby, która mogłaby zająć ósme stanowisko obserwacyjne, i że będzie musiał do nas dołączyć. Normalnie nie trzeba by było długo Theodore'a namawiać, ale ostatnio jego kłopoty na Mulberry Street przybrały na sile. Szef policji oraz dwaj z komisarzy, którzy zasiadali w Zarządzie, przeszli na stronę bossa Platta i obozu przeciwnego reformie. Wrogowie obserwowali Roosevelta baczniej niż kiedykolwiek, w nadziei, że jakaś kompromitacja dostarczy im pretekstu do pozbawienia go prezesury. Ostatecznie zgodził się wziąć udział w akcji, ale był pełen złych przeczuć.

Kreizler i Isaacsonowie prowadzili tymczasem zażartą dyskusję na temat harmonogramu morderstw. Lucius uważał, że jedyną niekonsekwencją schematu – zabicie Georgia Santorellego trzeciego marca – można wytłumaczyć zwoodniczo niedbałą uwagą z listu do pani Santorelli: „Postanowiłem poczekać”. Jest bardzo prawdopodobne, ciągnął młodszy Isaacson, że spotkanie i wybór ofiary są na swój sposób równie istotne dla psychicznej satysfakcji mordercy, jak sam akt zbrodni. Kreizler zgodził się z tą teorią i dodał, że jeśli nasz człowiek nie przewidywał trudności w dopięciu swego celu – zamordowaniu chłopca – mógł nawet czerpać z tej zwłoki sadystyczną przyjemność. Oznaczało to, że zabójstwo Georgia da się dopasować do schematu czasowego, ponieważ do przełomowego wydarzenia psychicznego doszło w Środę Popielcową.

Laszlo i Isaacsonowie poróżnili się jednak co do kwestii, czy nasz człowiek uderza w te, a nie inne święta, dlatego że wprawiają go w złość tylko niektóre biblijne historie i zdarzenia. Marcus i Lucius twierdzili, iż musi istnieć jakiś powód, dla którego morderca wybiera dane dni, i Kreizler zgodził się z nimi, ale powiedział, że nie znaleźliśmy jeszcze kontekstualnego klucza do tej części zagadki.

Nie mając żadnej gwarancji, że nasza obława w Święto Wniebowstąpienia przyniesie jakieś rezultaty, nie zaniebdywaliśmy innych torów śledztwa. Marcus i ja nadal pracowicie drążyliśmy teorię księdza-renegata, a Kreizler, Lucius i Sara podążali nowym i obiecującym tropem: telegraficznie i osobiście ankietowali zakłady dla obłąkanych w całym stanie i w innych częściach kraju, aby sprawdzić, czy przez ostatnie piętnaście lat nie leczono gdzieś pacjenta, który pasowałby do stworzonego przez nas portretu. Mimo niezłomnego przekonania, iż morderca jest zdrowy na umyśle, Kreizler miał nadzieję, że wskutek swoich dziwactw trafił kiedyś do zakładu; warto więc było poświęcić czas i energię na ich przepatrzenie.

W wigilię Święta Wniebowstąpienia podzieliliśmy się zadaniami na następną noc. Uzgodniliśmy, że Marcus i Sara (uzbrojona w obydwa swoje pistolety) zajmą stanowisko na dachu Złotej Zasady; Kreizler i Roosevelt obsadzą Paresis Hall, gdzie autorytet Theodore'a utrzyma Biffa Ellisona w ryzach, gdyby wynikły jakieś kłopoty; Lucius i Cyrus wezmą na siebie Domino przy Bleecker Street, ponieważ kolor skóry Cyrusa w razie potrzeby uzasadni ich obecność; a Stevie i ja będziemy nieopodal, na dachu Ślizgawki. Pod każdym z tych lokali ustawią się łącznicy, koledzy Stewiego, którzy, nie znając szczegółów operacji, sprowadzą pomoc z innych posterunków, gdyby coś się rzeczywiście gdzieś wydarzyło. Roosevelt uważał, że do tego zadania lepiej byłoby wyznaczyć policjantów, ale Kreizler stanowczo mu się sprzeciwił. Powiedział mi potem na osobności, iż sądzi, że jakikolwiek kontakt stróżów prawa z mordercą zakończyłby się natychmiastową śmiercią tego ostatniego, pomimo zakazów Theodore'a. Napotkaliśmy już dość tajemniczych trudności, by wiedzieć, że mamy przeciwko sobie ludzi o wiele potężniejszych niż Roosevelt i że ludziom tym zależy na zatajeniu sprawy. A najpewniejszym sposobem osiągnięcia tego celu byłoby oczywiście szybkie uśmiercenie podejrzanego.

Wbrew naszym nerwowym przewidywaniom, noc Święta Wniebowstąpienia minęła spokojnie. Zajęliśmy stanowiska obserwacyjne i jedynym wrogiem, z jakim przyszło nam walczyć przez długie, wlokące się godziny do szóstej rano, była nuda. Następne dni spędziliśmy na jałowych dyskusjach, dlaczego morderca uderzył w Wielki Piątek, ale nie w Święto Wniebowstąpienia. W części ekipy rosło przekonanie, wyrażone głośno przez Sarę, że zbieżność świąt kościelnych i morderstw może być czystym przypadkiem, ale Marcus i ja twardo trzymaliśmy się koncepcji, że kalendarz naszego człowieka ma jakiś związek z kalendarzem chrześcijańskim, ponieważ przemawiało to za hipotezą, że morderca jest zbuntowanym lub pozbawionym godności kapłańskiej księdzem. Nalegaliśmy, aby urządzić ponowną obławę w kolejne ważne święto – Zesłania Ducha Świętego, przypadające zaledwie jedenaście dni po Wniebowstąpieniu – i wykorzystać czas oczekiwania jak najbardziej produktywnie. Niestety, nasze „księżę” dochodzenie utknęło w martwym punkcie i zaczęło nam się wydawać, iż cała ta teoria jest jedynie dobrze uzasadnioną pomyłką.

Natomiast nasi koledzy poczynili w tygodniu przed Zielonymi Świątkami pewne postępy: do sztabu zaczęły napływać odpowiedzi na telegramy i listy, które Sara, Lucius i Kreizler wysłali do niemal wszystkich przyzwoitych zakładów psychiatrycznych w kraju. W większości były to odpowiedzi negatywne, ale część budziła nadzieję informacjami, że w ciągu ostatnich piętnastu lat leczono tam mężczyznę lub mężczyzn, których wygląd i cechy osobowości odpowiadały opisowi podanemu przez Kreizlera. Kilka instytucji przysłało nawet kopie akt. Te akurat tropy okazały się fałszywe, ale pewien krótki list z waszyngtońskim stemplem pocztowym wywołał w naszym sztabie solidne poruszenie.

Owego popołudnia przypadkowo widziałem, jak Lucius przeszedł przez pokój, niosąc plik listów i akt z zakładów dla obłąkanych. Nagle coś zauważył, obrócił się na pięcie, upuścił swoje papiery i wbił wzrok w biurko Kreizlera. Oczy niemal wyszły mu z orbit, a na czoło wystąpił pot, ale kiedy wyjął chusteczkę i zaczął je wycierać, głos miał spokojny.

– Doktorze... – zwrócił się do Laszla, który stał przy drzwiach, rozmawiając z Sarą. – Ten list od dyrektora Świętej Elżbiety... czytał go pan?

– Tylko raz – odparł Kreizler, podchodząc do Luciusa. – Nie wydał mi się zbyt obiecujący.

– Ja też tak pomyślałem. – Lucius wziął list do ręki. – Opis jest bardzo nieprecyzyjny, na przykład wzmianka o „pewnym tiku twarzowym” może oznaczać mnóstwo rzeczy.

Kreizler spojrzał badawczo na Luciusa. – Ale, sierżancie śledczy?

– Ale... – Lucius szukał słów. – Chodzi o stempel pocztowy, doktorze: Waszyngton. Święta Elżbieta jest głównym rządowym szpitalem psychiatrycznym, prawda?

Kreizler milczał przez chwilę, a potem jego czarne oczy rozbłyły, jak to one, niczym lampy elektryczne.

– Zgadza się – przyświadczył, z napięciem w głosie, choć cicho. – Ale w liście nie wspomniano, kim był ten człowiek, więc nie... – Klepnął się dłonią w czoło. – Głupiec!

I pomknął do telefonu, a Lucius za nim.

– Zważywszy sytuację prawną stolicy – powiedział Isaacson – nie byłby to przypadek wyjątkowy.

– Jest pan mistrzem niedomówienia, sierżancie śledczy – odrzekł Kreizler. – W Waszyngtonie zdarza się co roku kilkanaście takich przypadków!

Sara postąpiła ku nim, zaintrygowana.

– Luciusie? W czym rzecz, co cię tak poruszyło?

– Stempel pocztowy – powtórzył Lucius, uderzając w list. – W waszyngtońskich przepisach dotyczących niepoczytalności i przymusowej hospitalizacji jest pewien bardzo kłopotliwy paragraf. Jeśli danego pacjenta nie uznano za niepoczytalnego w Dystrykcie Columbia, ale zamknięto go w jakimś zakładzie w Waszyngtonie, może on wystąpić o *habeas corpus* i ma niemal stuprocentową szansę na uzyskanie zwolnienia.

– Dlaczego jest to takie kłopotliwe? – spytałem.

– Dlatego – odparł Lucius, podczas gdy Kreizler usiłował się połączyć z Waszyngtonem – że wielu pensjonariuszy stołecznych zakładów dla obłąkanych, a zwłaszcza Świętej Elżbiety, pochodzi z innych części kraju.

– Tak? – Teraz z kolei Marcus podszedł bliżej. – A to czemu?

Lucius wziął głęboki oddech, sam coraz bardziej podniecony.

– Ponieważ Święta Elżbieta jest rządowym szpitalem dla żołnierzy i marynarzy, których uznano za niezdolnych do służby. Niezdolnych z powodu choroby umysłowej.

Sara, Marcus i ja jak na komendę przyspieszyliśmy kroku.

– Z początku nie zwróciliśmy na to uwagi – ciągnął Lucius, cofając się przez nami – bo w liście nie ma wzmianki o przeszłości pacjenta. Tylko opis jego wyglądu i objawów chorobowych: urojenia prześladowcze i uporczywe okrucieństwo. Jeśli jednak ten człowiek rzeczywiście służył w wojsku, istnieje szansa, nikła, ale realna szansa, że... – Lucius urwał, jakby bał się wymówić te słowa: – ...że to on.

Brzmiało to sensownie, ale nasz optymizm ostudziła rozmowa telefoniczna Kreizlera. Kiedy po długim oczekiwaniu udało mu się połączyć z dyrektorem Świętej Elżbiety, facet potraktował jego prośbę o dalsze informacje z najwyższą wzdargą. Prawdopodobnie słyszał o niesławnym doktorze Kreizlerze i miał o nim takie samo zdanie jak większość szefów zakładów psychiatrycznych. Kiedy Laszlo zapytał, czy sprawę mógłby zbadać jakiś inny pracownik szpitala, dyrektor odparł, że cały personel jest przeciążony pracą i że już udzielił mu „ogromnej pomocy”. Jeśli Kreizler chce się grzebać w szpitalnych aktach, może sobie przyjechać do Waszyngtonu i zrobić to osobiście.

Problem polegał na tym, że Kreizler nie mógł rzucić wszystkiego i popędzić do stolicy – nikt z nas nie mógł, bo do Zielonych Świątek było tylko parę dni. Nie pozostało nam więc nic innego, jak umieścić wizytę w Waszyngtonie na pierwszym miejscu listy spraw do załatwienia po naszych następnych całonocnych czatach, stłumić w sobie podniecenie i cierpliwie skoncentrować się na bieżącym zadaniu. Zważywszy na to, że w Święto Wniebowstąpienia ponieśliśmy porażkę, nie mogłem się oprzeć uczuciu, iż dość trudno będzie nam tę koncentrację osiągnąć.

Niemniej kiedy nadeszła niedziela Zesłania Ducha Świętego, wszyscy ponownie zajęliśmy nasze nocne posterunki, aby czekać na pojawienie się mordercy. Nie wiem, jaki nastrój mieli pozostali wartownicy, ale Steviego i mnie, zaczajonych na dachu Ślizgawki, nuda zaatakowała wcześniej. Ponieważ była niedziela, na Bleecker Street panował względny spokój, a zgrzyty i gwizdy kolejki nadziemnej, dochodzące od czasu do czasu z pobliskiej Szóstej Alei, z monotonnych stawały się usypiające. Musiałem naprawdę walczyć z sennością.

Kiedy koło wpół do pierwszej zerknąłem, co robi Stevie, chłopak rozkładał przed sobą talię kart na trzystaście kupek.

– Pasjans? – wyszeptałem.

– Żydowski faraon – odparł.

Ta wyjątkowo nieczysta i skomplikowana metoda naciągania frajerów zawsze była dla mnie niezrozumiała. Widząc, że mam okazję uzupełnić moją karcianą edukację, podkraǳem się do Stewego. Przez dobrą godzinę chłopak próbował mi wytłumaczyć zasady gry, nic do mnie jednak nie docierało; w końcu, sfrustrowany i znudzony, wstałem, aby rozejrzeć się po okolicy.

– To nie ma sensu – stwierdziłem półgłosem. – On się nie pokaże. – Odwróciłem się, by spojrzeć na drugą stronę Cornelia Street. – Ciekawe, jak sobie radzą pozostali.

Budynek, w którym mieściło się Domino – posterunek Cyrusa i Luciusa – znajdował się dokładnie naprzeciwko nas, i patrząc ponad gzymsem, dostrzegłem w blasku księżca tył łysiejącej czaszki Isaacsona. Roześmiałem się cicho i pokazałem ją Stewiemu.

– Powinien włożyć kapelusz – zauważył Stevie. – Jeśli my go widzimy, to inni też.

– Słusznie – przyznałem, ale kiedy łysiejąca głowa przesunęła się w inne miejsce i w końcu znikła, coś mnie zastanowiło. – Czy Lucius urósł, odkąd rozpoczęliśmy śledztwo?

– Pewnie stoi na murku – odparł Stevie, wracając do kart. Właśnie tak niewinnie wyglądają zapowiedzi katastrof.

Minęło jeszcze piętnaście minut, zanim po drugiej stronie Cornelia Street zagrzmiały nagłące okrzyki, w których rozpoznałem głos Luciusa, a kiedy tam spojrzałem, napięcie i strach malujące się na twarzy sierżanta śledczego wystarczyły, bym złapał Stewego za kołnierz i pospieszył ku schodom. Było oczywiste, nawet dla mego zmęczonego, znudzonego umysłu, że po raz pierwszy zetknęliśmy się z mordercą.

ROZDZIAŁ 26

Znalazłszy się na ulicy, Stevie i ja wystaliśmy naszych łączników po Kreizlera, Roosevelta, Sarę i Marcusa, a potem przebiegliśmy przez Cornelia Street do Domina. Kierując się prosto do frontowych drzwi, wpadliśmy na Franka Stephensona, którego wywabiło z lokalu Luciusowe wołanie o pomoc. Jak większość ludzi tej profesji, Stephenson zatrudniał liczną ochronę, i kilku takich osiłków stało na schodkach obok niego, blokując wejście. Nie byłem jednak w nastroju do słownych czy fizycznych przepychanek: powiedziałem im po prostu, że chodzi o policyjne śledztwo, że na dachu jest funkcjonariusz policji i że wkrótce przybędzie prezes Zarządu Komisarzy. Ta litania wystarczyła, aby Stephenson i jego chłopcy zeszli nam z drogi, i szybko wspięliśmy się ze Steviem na dach.

Lucius klęczał przy Cyrusie, który otrzymał paskudny cios w głowę. Lśniła wokół niej mała kałuża krwi, na wpół przymknięte oczy rannego były złowieszczo wywrócone do góry, a z ust wydobywało się przytłumione rzężenie. Prawdopodobnie doznał wstrząsu mózgu. Zawsze przezorny Lucius wziął ze sobą bandażę i teraz ostrożnie owijał nimi czaszkę Cyrusa.

– To moja wina – powiedział, zanim jeszcze Stevie i ja zdążyliśmy o cokolwiek spytać. W jego głosie dzwięczała głęboka skrucha. – Strasznie chciało mi się spać i poszedłem na kawę. Zapomniałem, że jest niedziela; znalezienie czynnego lokalu trwało dłużej, niż przewidywałem. Musiało mnie nie być ponad piętnaście minut.

– Piętnaście minut? – zdziwiłem się i podbiegłem ku krawędzi dachu. – Czy to by wystarczyło?

Spojrzałem w dół, ale uliczka na tyłach budynku była pusta.

– Nie wiem – odparł Lucius. – Zobaczymy, co powie Marcus.

Marcus i Sara zjawili się po kilku minutach, a Kreizler i Theodore chwilę później. Marcus tylko rzucił okiem na Cyrusa, po czym wyjął szkło powiększające oraz małą latarenkę i zaczął pospiesznie przeszukiwać dach. Wyjaśniając, że piętnaście minut istotnie wystarczyłoby zręcznemu wspinaczowi na wejście i zejście po ścianie budynku, Marcus miotał się po dachu, aż znalazł włókna liny mogące być dowodem wizyty mordercy. Aby się upewnić, należało spytać Franka Stephensona, czy nie brakuje któregoś z jego „pracowników”. Theodore i Marcus zeszli więc do Domina, a Sara, Stevie i ja skupiliśmy się wokół Luciusa i Kreizlera, którzy teraz już wspólnie opatrywali Cyrusowi głowę. Kreizler posłał Steviego na dół, aby kazał łącznikom sprowadzić ambulans z pobliskiego szpitala św. Wincentego. Istniały pewne wątpliwości, czy bezpiecznie będzie przewieźć człowieka w takim stanie, ale kiedy Laszlo otrzeźwił Cyrusa solami, dowiedział się, że ma on czucie we wszystkich kończynach, i uznał, że wstrząsy podczas jazdy Siódmą Aleją mu nie zaszkodzą.

Kreizler bardzo się o Cyrusa niepokoił, ale zanim ten znowu stracił przytomność, jeszcze raz podetknął mu pod nos sole trzeźwiące i natarczywie spytał, czy widział napastnika. Cyrus tylko potrząsnął głową i żałośnie jęknął, na co Lucius stwierdził, że nie ma sensu go męczyć: umiejscowienie rany świadczyło o tym, że został uderzony od tyłu, a więc zapewne w ogóle nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje.

Ambulans ze św. Wincentego przyjechał po półgodzinie i przez ten czas dowiedzieliśmy się, iż rzeczywiście pewien czternastoletni pracownik Domina zniknął z lokalu. Szczegóły okazały się ponuro znajome: chłopak, niejaki Ernst Lohmann, był niedawno przybyłym niemieckim imigrantem i zajmował pokój, którego okno wychodziło na tyły budynku. Według Stephensona chłopak specjalnie poprosił o ten pokój tego wieczoru, a więc morderca umówił się ze swoją niczego niepodejrzewającą ofiarą wcześniej, choć jak wcześniej – przed kilkoma godzinami czy kilkoma dniami – nie sposób było stwierdzić. Zanim Marcus zszedł na dół, powiedziałem mu, że Domino nie jest szczególnie znane z męskich prostytutek ubierających się jak kobiety, i sierżant śledczy spytał o to Stephensona. Oczywiście, jedynym chłopcem, który świadczył takie usługi, był Ernst Lohmann.

Wreszcie pojawili się na dachu dwaj umundurowani sanitariusze ze składanymi noszami. Kiedy ostrożnie znieśli Cyrusa na dół i umieścili go w ponuro czarnym ambulansie, zaprzężonym w równie złowieszco wyglądającego konia o przekrwionych ślepiach, uświadomiłem sobie, że zaczęliśmy właśnie straszliwy wyścig ze śmiercią. Nie lękałem się o Cyrusa – byłem pewien, że wróci do zdrowia – tylko o młodego Ernsta Lohmanna. Kiedy ambulans odjechał, z Kreizlerem i Sarą towarzyszącymi Cyrusowi do szpitala, Roosevelt odwrócił się do mnie i wyczytałem z jego twarzy, że doszedł do tego samego wniosku.

– Niech Kreizler mówi, co chce, John – oświadczył Theodore, zaciskając szczęki i zwijając dłonie w pięści. – Toczmy walkę z czasem i bestialstwem i zamierzam użyć środków, którymi dysponuję. – Ruszył w stronę Szóstej Alei, a ja podążyłem za nim. – Dziewiąty Komisariat jest najbliżej. Pokieruję akcją stamtąd. – Dojrzał wolną dorożkę i podszedł do niej. – Znamy jego zwyczaje, uda się na nabrzeże. Każę przeszukać każdy cal...

– Roosevelt, stój. – Złapałem go za ramię i jakimś cudem zatrzymałem, gdy już wsiadał do dorożki. – Wiem, co czujesz. Ale na litość boską, nie ujawniaj swoim ludziom szczegółów.

– Mam nie ujawniać... Na Boga, John! – Jego zęby zadzwoniły głośniejsze, a oczy zatańczyły wściekle za okularami. – Czy ty rozumiesz, co się dzieje? Być może w tej właśnie chwili...

– Wiem, Roosevelt. Ale wtajemniczenie całej policji w sprawę nic nie pomoże. Powiedz po prostu, że było porwanie i że masz powody podejrzewać, iż sprawcy próbują uciec z miasta łodzią albo przez most. Tak będzie najlepiej, proszę, uwierz mi.

Theodore wciągnął w swą szeroką pierś długi, głęboki haust powietrza, po czym skinął głową.

– Może masz rację. – Uderzył pięścią w dłoń. – Niech diabli porwą te wszystkie ingerencje! Zrobię, jak mówisz, John, jeśli się odsuniesz i pozwolisz mi działać!

Ostro strzelając z bata, woźnica Roosevelta ruszył Szóstą Aleją, a ja wróciłem pod Domino. Zebrał się tam już nieduży, ale rozeźlony tłumek, któremu Frank Stephenson relacjonował przebieg nocnych wydarzeń. Formalnie biorąc, Domino znajdowało się na terenie Hudson Dusters i Stephenson nie był podwładnym Paula Kelly'ego, ale ci dwaj się znali, i słysząc, jak Stephenson podburza zgromadzonych pod Dominem ludzi, zacząłem podejrzewać, że Kelly przewidział, iż któryś z jego chłopców może zostać porwany lub zabity, i hojnie go opłacił, aby zrobił wokół tego jak najwięcej szumu. Stephenson wygłosił gniewną perorę, z której wynikało, że policjanci byli na miejscu, ale nie wykazali się ani ostrożnością, ani sumiennością. Ofiara była zbyt biedna, oświadczył, i zbyt „obca”, aby wzbudzić ich zainteresowanie; jeśli ludzie w takich dzielnicach jak ta chcą zapobiec podobnym incydentom, muszą wziąć sprawy we własne ręce. Atmosfera zaczynała się robić nieprzyjemna, rzucano nam coraz więcej groźnych spojrzeń – Marcus ujawnił się już przecież jako funkcjonariusz policji – toteż Isaacsonowie, Stevie i ja postanowiliśmy wrócić do sztabu i informować się o rozwoju wypadków przez telefon.

To drugie okazało się trudniejsze, niż sądziliśmy. Nie mieliśmy do kogo zadzwonić – Theodore za nic nie odebrałby telefonu od nas, będąc w towarzystwie zwykłych policjantów – i było mało prawdopodobne, aby ktoś skontaktował się z nami. Koło czwartej zadzwonił Kreizler, który powiedział, że wygodnie zainstalowali Cyrusa w separacie u św. Wincentego i niebawem wracają z Sarą do sztabu. Poza tym telefon milczał. Lucius, choć wiadomość Kreizlera sprawiła mu znaczną ulgę, nadal czuł się głęboko winny tego, co zaszło, i nerwowo krążył po pokoju. Naprawdę, gdyby nie Marcus, powoli oszalelibyśmy chyba z niepokoju i beczynności. Wyższy Isaacson stwierdził jednak, że skoro nie możemy uczestniczyć w poszukiwaniach ciałem, powinniśmy zrobić to chociaż duchem, i wskazując plan Manhattanu, zaproponował, abyśmy spróbowali odgadnąć, dokąd morderca uda się tym razem, by odprawić swój występny rytuał.

Wątpię, czy ta próba by się powiodła, nawet gdyby nie rozpraszała nas świadomość, że nie mamy wpływu na bieg wydarzeń. Jak na podstawie posiadanych przesłanek mogliśmy wydedukować, które miejsce morderca wybierze? Padła sugestia, że wróci na jakiś most; a więc, przy założeniu, że nie będzie się powtarzał, pozostawał nam albo stary Wysoki Most na East River u północnego krańca Manhattanu (akwedukt, który doprowadzał wodę do miejskiego zbiornika Croton), albo pobliski most Waszyngtona, zbudowany przed kilku laty. Marcus zauważył jednak, że morderca prawdopodobnie zdaje sobie sprawę, iż tropiciele depczą mu po piętach. Biorąc pod uwagę czas jego napaści na Cyrusa, wydawało się pewne, że to on obserwował nas, a nie odwrotnie. Człowiek, który tak bacznie śledzi działania swoich przeciwników, mógł odgadnąć, że spodziewamy się jego powrotu w ulubione rejony, i pójść gdzie indziej. Według Marcusa największą szansę wytypowania kolejnego miejsca zbrodni dawała nienawiść mordercy do imigrantów; rozwijając tę myśl, Isaacson stwierdził, że nasz człowiek może się skierować do doków należących do tych linii okrętowych, które pakują setki zdesperowanych cudzoziemców na dolne pokłady swoich parowców i przywożą ich do Ameryki.

Kiedy w końcu otrzymaliśmy rozwiązanie tej morderczej zagadki, było ono tak oczywiste, że zrobiło nam się wstyd. Około wpół do piątej, dokładnie w chwili, gdy Kreizler wchodził do sztabu, Sara zadzwoniła z Mulberry Street, gdzie poszła wybadać, co się dzieje.

– Mieli wiadomość z Bedloe's Island – powiedziała, gdy tylko podniosłem słuchawkę. – Jeden z nocnych strażników przy Statui Wolności... znalazł ciało. – Ścisnęło mi się serce i nic nie odrzekłem. – Halo? – zawołała Sara. – Jesteś tam, John? – Jestem, Saro.

– Więc słuchaj uważnie, nie mogę długo rozmawiać. Grupa starszych funkcjonariuszy już się tam wybiera. Komisarz idzie z nimi, ale nam zabronił się pokazywać. Powiedział, że jedyne, co może zrobić, to spróbować nie dopuścić do tego, żeby koroner zbadał ciało przed przewiezieniem go do kostnicy. Postara się załatwić nam oględziny tam.

– Ale miejsce zbrodni, Saro...

– John, proszę, nie bądź niemądry. Nikt nie może nic więcej zrobić. Mieliśmy dziś wieczorem szansę i nawaliliśmy. Teraz musimy uzyskać, co się da, kiedy się da, w kostnicy. A tymczasem... – Nagle usłyszałem w tle donośne głosy: jeden należał do Theodore'a, drugi bez wątplenia do Linka Steffensa, innych nie potrafiłem rozpoznać.

– Muszę kończyć, John. Zadzwoń do was, jak tylko dostanę wiadomość z wyspy.

Sara odłożyła słuchawkę, a ja przekazałem reszcie nowiny. Potrzebowaliśmy dobrych kilku minut, aby pogodzić się z faktem, że mimo tygodni dociekań i dni przygotowań nie byliśmy w stanie zapobiec kolejnemu morderstwu. Oczywiście najbardziej wziął to sobie do serca Lucius, który czuł się teraz odpowiedzialny nie tylko za rozbitą głowę Cyrusa, lecz także za śmierć chłopca. Marcus i ja próbowaliśmy okazać mu współczucie, ale był niepokieszony. Natomiast Kreizler zastosował bardzo racjonalne podejście, i powiedział Luciusowi, że skoro morderca śledził nasze poczynania, niewątpliwie znalazłby w końcu jakiś sposób, aby przypuścić skuteczny atak, jeśli nie tej nocy, to innej. Mieliśmy szczęście, stwierdził Laszlo, że nasze straty ograniczyły się do Cyrusowego wstrząsu mózgu – Lucius także mógł lec na tym dachu, jako ofiara czegoś więcej niż paskudny cios w głowę. Nie ma czasu na wyrzuty sumienia, podsumował Kreizler; przenikliwy umysł Luciusa, niezaćmiony poczuciem winy, jest nam wielce potrzebny. Ta mała mówka bardzo Luciusowi pomogła, tyleż ze względu na jej autora, ile treść, i wkrótce sierżant śledczy ochłonął wystarczająco, aby spróbować razem z nami ustalić, czy dowiedzieliśmy się tej nocy czegoś nowego, a jeśli tak, to czego.

Wszystkie posunięcia mordercy potwierdziły nasze teorie dotyczące jego charakteru i metod, ale według Kreizlera najważniejszymi aspektami jego postępowania były obserwacja naszych działań i napaść na Cyrusa. Dlaczego zdecydował się porwać Ernsta Lohmanna, wiedząc, że stoimy na czatach? I skoro już obrał tak niebezpieczną strategię, dlaczego jedynie powalił Cyrusa, zamiast go zabić? Musi być przecież świadom, że jeśli zostanie schwytany, czeka go szubienica, a zawisnąć można tylko raz. Dlaczego narażał się na to, że Cyrus stawi mu opór, zdoła mu się przyjrzeć i, przeżywszy, poda nam jego rysopis? Kreizler nie był wcale pewien, czy potrafimy odpowiedzieć na te pytania, ale wydawało się oczywiste, że nasz człowiek czerpał satysfakcję z tego wzmożonego ryzyka. A skoro wie, że się doń zbliżamy, może darowanie Cyrusowi życia było jego sposobem ponaglenia nas: prowokującym wyzwaniem, jak również rozpaczliwą prośbą.

Choć wszystko to było bez wątpienia ważne, nie mogłem się skupić na przemowie Kreizlera. Błądziłem myślami wokół tego, co wydarzyło się na Bedloe's Island. Pod wspaniałym pomnikiem – który dla tylu ludzi symbolizował wolność, ale teraz dla mnie był ironicznym znakiem zniewolenia mordercy przez makabryczną obsesję – kolejną ofiarę spotkał straszliwy i niezasłużony koniec. Usiłowałem odpędzić mglisty, ale sugestywny obraz chłopca, którego nigdy nie widziałem, związanego i klęczącego u stóp Statui Wolności, w pełni ufającego człowiekowi, który za chwilę skręci mu kark, a potem zdjętego nagłym, krótkim, wszechogarniającym przerażeniem, gdy pojmuję, że ulokował swoje zaufanie niewłaściwie i że zapłaci za ten błąd najwyższą cenę. Później, jeden po drugim, przebiegły mi przez głowę inne obrazy: najpierw nóż, to budzące lęk narzędzie, które stworzono do obrony przed niebezpieczeństwami świata zupełnie innego niż Nowy Jork; potem długie, powolne, staranne ruchy ostrza krojącego ciało i mocne, okrutne cięcia w wybranych miejscach; krew, niepompowana już przez serce, wypływająca na trawę i kamienie szerokimi, leniwymi strużkami; a na koniec mdlący zgrzyt i pisk ostrej stali o kości oczodołów... Cały ten akt nie miał nic wspólnego ze sprawiedliwością. Nieważne, jak Ernst Lohmann zarabiał na życie, nieważne, że popełnił błąd, ufając obcemu, kara była zbyt surowa, cena nieludzko wysoka. Gdy wróciłem do rzeczywistości, usłyszałem, jak Kreizler syczy, natarczywie i z frustracją:

– Musieliśmy się dowiedzieć czegoś nowego.

Marcus, Lucius i ja milczeliśmy, ale Stevie, popatrujący na nas niepewnie, najwyraźniej chciał coś powiedzieć i w końcu wypalił:

– Jest jedna rzecz, panie doktorze. – Kreizler odwrócił się ku niemu wyczekująco.

– On łysieje.

I wtedy przypomniała mi się głowa, którą wzięliśmy za Luciusową, ale która wieńczyła sylwetkę o wiele za wysoką, by mogła należeć do sierżanta śledczego.

– Tak jest – powiedziałem. – Widzieliśmy go, dobry Boże, Stevie, przez tę jedną chwilę patrzyliśmy na niego!

– No i? No i? – zapytał Kreizler. – Na pewno zauważyliście coś jeszcze!

Spojrzałem na Steviego, ale chłopak tylko wzruszył ramionami. Rozszarpując jak szalencie własną pamięć, szukałem jakiegoś przeoczonego szczegółu, jednego zapomnianego momentu, kiedy wyraźnie widziałem... Tył łysiejącej głowy. To było wszystko, co zobaczyłem.

Kreizler westchnął z wielkim rozczarowaniem.

– Łysieje, tak? – powiedział, notując informację na tablicy. – No cóż, to więcej niż widzieliśmy wczoraj.

– To bardzo niewiele – odparł Lucius – za cenę ludzkiego życia.

Kilka minut później wreszcie zadzwoniła Sara. Ciało Ernsta Lohmanna jechało do kostnicy w Bellevue. Strażnik, który je znalazł, naturalnie niczego nie zauważył, ale tuż przed tym, jak natknął się na zwłoki, usłyszał dźwięk, który mógł być tylko puszczeniem pary przez odbijającą od wyspy łódź. Roosevelt powiedział Sarze, że potrzebuje trochę czasu, aby pozbyć się towarzyszących mu policjantów; sądził, że jeśli spotkamy się z nim w Bellevue o szóstej trzydzieści, będzie mógł zagwarantować, że zbadamy zwłoki bez przeszkód. To dawało nam wolną godzinę; postanowiłem dołączyć do reszty ekipy już na miejscu, i wpaść do domu, aby się wykapać i przebrać.

Kiedy dotarłem na Washington Square, moja babka, na szczęście i co dziwne, jeszcze spała. Ale Harriet była już na nogach i zaofiarowała się przygotować mi kąpiel. Gdy wbiegła na schody, zrobiłem jakąś uwagę o mocnym śnie babki.

– Tak, proszę pana – odparła Harriet. – Od czasu tej wiadomości bardzo się uspokoiła.

– Jakiej wiadomości? – spytałem, półprzytomny ze zmęczenia.

– Nie słyszał pan? O tym okropnym doktorze Holmesie... podały ją wczoraj wszystkie gazety. Chyba mamy jeszcze „Timesa”, na werandzie, jeśli pan chce, mogę...

– Nie, nie – powiedziałem, zatrzymując ją, gdy zaczęła schodzić. – Sam po niego pójde. Przygotuj mi tylko kąpiel, Harriet, a będę twoim sługą do końca życia.

– To zbytek łaski, panie John – odrzekła, zwracając na górę.

Znalazłem „Timesa” z poprzedniego dnia na miedziano-szklanej werandzie, obok ulubionego fotela babki. Pierwsza strona biła w oczy nagłówkiem: **HOLMES SPOKOJNY DO OSTATKA**. Niesławny „doktor-potwór” został stracony na filadelfijskiej szubienicy, przyznawszy się uprzednio bez cienia skruchy do zamordowania jeszcze dwudziestu siedmiu osób, głównie kobiet, które uwiódł i okradł. Zapadnię uruchomiono o 10.12, a dwadzieścia minut później więzienny lekarz stwierdził zgon. Dla dodatkowego zabezpieczenia – przed czym, gazeta nie podała – trumnę ze zwłokami Holmesa wypełniono cementem, a potem, gdy została złożona na niewymienionym z nazwy cmentarzu w dole głębokości dziesięciu stóp, zalano ją jeszcze toną cementu.

Kiedy wychodziłem z domu, aby udać się do Bellevue, babka nadal spała; jak dowiedziałem się później od Harriet, wstała dopiero dobrze po jedenastej.

ROZDZIAŁ 27

Jak się okazało, największa trudność naszej wizyty w kostnicy w poniedziałkowy rano nie polegała na konfrontacji z jakimś pracownikiem tej instytucji. Cały personel był stosunkowo nowy (zastąpił niedawno ekipę, którą zwolniono za sprzedawanie zwłok anatomom po 150 dolarów za sztukę) i zbyt niepewny swego autorytetu, aby sprzeciwić się Rooseveltowi. Nie, mieliśmy po prostu problem z dostaniem się do środka, ponieważ pod bramą Bellevue czekał gniewny tłum mieszkańców Lower East Side, żądających wyjaśnień, dlaczego ich dzieci są nadal mordowane i dlaczego nie aresztowano jeszcze żadnego podejrzanego. Ludzie ci byli nie tylko bardziej zaciętrzewieni niż grupa, która zebrała się pod Castle Garden, lecz także bardziej oburzeni. Nie padło ani jedno słowo na temat profesji i miejsca zamieszkania Ernsta Lohmanna (nie udało nam się później odszukać jego rodziny); chłopiec został ukazany jako wcielenie niewinności zdane na łaskę policji, władz miasta i wyższych klas, niedbających o to, jak żył, a kiedy umarł – kto jest winien jego śmierci. To dużo bardziej systematyczne, a także bardziej polityczne przedstawienie sytuacji Lohmanna – i imigrantów w ogóle – mogło wynikać z tego, że w tłumie było sporo Niemców; podejrzewałem jednak, iż większą rolę odegrały wpływy Paula Kelly'ego, choć kiedy przepychaliśmy się przez ciżbę, nie zauważyłem w pobliżu kostnicy ani jego samego, ani jego broughamu.

Weszliśmy do ponurego budynku z czerwonej cegły przez żelazne drzwi na tyłach – Sara, Isaacsonowie i ja zasłaniailiśmy Laszla, aby nikt nie dojrzał jego twarzy. Roosevelt czekał tuż za progiem i spławiwszy kilku pracowników, którzy chcieli wiedzieć, kim jesteśmy, zaprowadził nas do prosektorium. W tym odstręczającym pomieszczeniu odór formaliny i rozkładu był tak silny, że wydawało się, iż to on zdziera pożątkłą farbę ze ścian. We wszystkie kąty wepchnięte były stoły z zakrytymi zwłokami, a na obwisłych półkach straszyły stare, wyszczerbione stoje pełne rozmaitych kawałków ludzkiego ciała. Ze środka sufitu zwisała się duża lampa elektryczna i pod nią stał poobijany, zardzewiały stół sekcyjny, który w jakimś momencie odległej przeszłości musiał wyglądać jak te w podziemiach Instytutu Kreizlera. Na stole leżały zwłoki przykryte brudnym, mokrym prześcieradłem. Lucius i Kreizler natychmiast podeszli do stołu i sierżant śledczy zerwał prześcieradło – pomyślałem, że pragnie jak najszybciej zobaczyć chłopca, za którego śmierć czuje się tak bardzo odpowiedzialny. Marcus dołączył do nich, ale Sara i ja zatrzymaliśmy się przy drzwiach, nie chcąc oglądać ciała, jeśli nie będziemy musieli. Kreizler wyjął swój mały notes i zaczęła się typowa recytacja. Lucius wymieniał obrażenia, jakich doznał chłopiec, głosem monotonnym, ale, co paradoksalne, pełnym żaru:

– Ucięcie całych genitaliów u podstawy... Ucięcie prawej dłoni tuż ponad stawem nadgarstkowym, kość łokciowa i promieniowa przecięte równo... Boczne okaleczenia jamy brzusznej, z towarzyszącymi uszkodzeniami jelita cienkiego... Poważne uszkodzenia tętnic w obrębie klatki piersiowej i usunięcie serca... Usunięcie lewego oka, towarzyszące uszkodzenia kości jarzmowej i brzegu nadoczodołowego z tejże strony... Usunięcie powłok czaszki zakrywających kość potyliczną i ciemieniową...

Był to makabryczny wykaz i starałem się go nie słuchać, ale jeden z ostatnich punktów zwrócił moją uwagę.

– Przepraszam, Luciusie – wtrąciłem się. – Powiedziałeś „usunięcie lewego oka”?

– Tak – odparł szybko Isaacson.

– Tylko lewego?

– Zgadza się – potwierdził Kreizler. – Prawe oko jest nietknięte.

Marcus wyraźnie się ożywił.

– Coś musiało mu przeszkodzić.

– Tak, to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie – odrzekł Kreizler. – Może usłyszał, że nadchodzi strażnik. – Wskazał środek ciała. – Ale usunięcie serca to coś nowego, sierżancie śledczy.

Marcus popędził do drzwi sali.

– Panie komisarzu – zawołał – może nam pan dać jeszcze trzy kwadranse?

Roosevelt spojrzała na zegarek.

– Ale nie więcej. Dzienna zmiana przychodzi zwykle o ósmej. Dlaczego, Isaacson?

– Potrzebny mi mój sprzęt... do eksperymentu.

– Eksperymentu? Jakiego eksperymentu?

Dla Theodore'a, zapalonego naturalisty, słowo „eksperyment” miało niemal taką samą moc jak „działanie”.

– Niektórzy uczeni sądzą – odparł Marcus – że w chwili śmierci ludzkie oko rejestruje ostatni obraz, jaki widzi. Uważa się, że obraz ten można sfotografować, wykorzystując samo oko jako coś w rodzaju soczewki. Chciałbym tego spróbować.

Theodore przez chwilę rozważał propozycję.

– Myśli pan, że chłopak umarł, patrząc na mordercę?

– Jest taka szansa.

– Czy koroner zorientuje się, co pan zrobił?

– Nie, sir.

– Mmm. Ciekawy pomysł. Dobrze. – Roosevelt stanowczo skinął głową. – Niech pan jedzie po swój sprzęt. Ale ostrzegam, sierżancie śledczy: musimy się stąd wynieść o siódmej czterdzieści pięć.

Marcus pomknął ku tylnym drzwiom budynku. Po jego wyjściu Lucius i Kreizler kontynuowali oględziny zwłok: ja, nie mogąc się już utrzymać na nogach z wyczerpania i zniechęcenia, klapnąłem na podłogę. Z nadzieją, że znajdę trochę współczucia w Sarze, podniosłem ku niej wzrok, ale dziewczyna wpatrywała się w koniec stołu sekcyjnego.

– Doktorze – powiedziała cicho po dłuższej chwili – co jest z jego stopą?

Laszlo odwrócił się, zerknął na Sarę, a potem, idąc za jej spojrzeniem, przeniósł wzrok na prawą stopę martwego chłopca, wystającą poza krawędź stołu. Robiła wrażenie spuchniętej i była wygięta pod dziwnym kątem, ale w porównaniu z resztą okaleczeń był to taki drobiazg, że nie dziwiłem się, iż Lucius go przegapił.

Kreizler wziął stopę w dłonie i starannie ją zbadał.

– *Talipes varus* – oświadczył na koniec. – Stopa szpotawa. To mnie zainteresowało.

– Szpotawa?

– Tak – potwierdził Kreizler, puszczając kończynę.

To, że mimo strasznego zmęczenia potrafiiliśmy wysnuć znaczące wnioski na temat dość pospolitego kalectwa, którym była dotknięta najnowsza ofiara, świadczyło chyba w pewien sposób o tym, jak rygorystycznie zostały wyćwiczone nasze umysły w minionych tygodniach. Nadal omawialiśmy te wnioski, gdy Marcus wrócił ze sprzętem fotograficznym i zaczął się przygotowywać do zrobienia eksperymentalnych zdjęć.

Późniejsze rozmowy z ludźmi, którzy znali Lohmanna w Dominie, potwierdziły nasze spekulacje, więc je tutaj przytoczę.

Sara zasugerowała, że z początku morderca mógł odnosić się do Lohmanna przyjaźnie, ponieważ – sam zdeformowany – identyfikował się z nim. Lecz jeśli Lohmann nie lubił, by wspomniano o jego kalectwie – co było bardzo prawdopodobne, zważywszy na wiek i profesję chłopca – zapewne odrzucił te gesty współczucia. Taka reakcja rozpaliby w mordercy jego typową nienawiść do trudnych dzieci. Kreizler zgodził się z tym wszystkim i dodał, że element zdrady, tkwiący w odrzuceniu przez Lohmanna współczucia naszego człowieka, jeszcze spotęgowałyby jego gniew. To mogłoby tłumaczyć usunięcie serca: morderca najwyraźniej zamierzał pójść w okaleczeniach dalej niż zwykle, ale przeszkodził mu strażnik. Zdawaliśmy sobie sprawę, że oznacza to kłopoty – nie mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który dobrze znosi mieszanie mu szyków.

W tym momencie naszej dyskusji Marcus oznajmił, że jest gotów do rozpoczęcia eksperymentu. Kreizler cofnął się parę kroków od stołu, aby przyniesiony przez Isaacsona sprzęt można było ustawić blisko ciała. Marcus poprosił o zgaszenie górnej lampy i polecił bratu, aby ostrożnie wyjął ocalałe oko Ernsta Lohmanna z oczodołu. Gdy Luchis to uczynił, Marcus wziął maleńką żarówkę i umieścił ją za okiem, w które wycelował aparat fotograficzny. Zrobiwszy dwa zdjęcia, podłączył do prądu dwa kabelki i wprowadził ich końce w nerwy oka, co je uaktywniło, i naświetlił jeszcze kilka klisz. Na koniec zgasił żarówkę i zrobił dwa zdjęcia nieoświetlonego, ale nadal pobudzonego elektrycznie oka. Cały ten eksperyment wydał mi się dość dziwny (i słusznie – dowiedziałem się później, że francuski pisarz Juliusz Verne opisał go w jednej ze swych fantastycznych powieści); Marcus był jednak pełen optymizmu i włączając z powrotem górną lampę, oświadczył, że chce się jak najszybciej zamknąć w ciemni.

Spakowaliśmy Marcusowy sprzęt i właściwie byliśmy gotowi do wyjścia, gdy zauważyłem, że Kreizler wpatruje się w twarz młodego Lohmanna znacznie mniej obojętnie niż podczas autopsji. Nie patrząc na zmaltretowane ciało, stanąłem obok Laszla i bez słowa położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Lustrzane odbicie – wymamrotał.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chodzi mu o jakąś część eksperymentu Marcusa, ale potem przypomniała mi się nasza rozmowa sprzed paru tygodni, kiedy to stwierdziliśmy, że stan zwłok ofiar w pewnym sensie odbija spustoszenie, które nieprzerwanie dokonuje się w psychice mordercy.

Roosevelt przysunął się do mnie, również wbijając wzrok w ciało.

– Tutaj to jeszcze gorszy widok – powiedział cicho. – Kliniczny. Całkowicie zdehumanizowany.

– Ale dlaczego to? – zapytał Kreizler, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Dlaczego akurat to?

Wyciągnął rękę w stronę zwłok, i zrozumiałem, że ma na myśli okaleczenia.

– Wie to tylko sam diabeł – odparł Theodore. – Nie sądziłem, że coś takiego może zrobić ktoś jeszcze oprócz dzikiego Indianina.

Laszlo i ja najpierw zamarliśmy, a potem jednocześnie odwróciliśmy się do niego. Nasze spojrzenia musiały być dość natarczywe, bo Theodore na moment się sposzył.

– A co też w was wstąpiło? – zapytał z lekkim oburzeniem w głosie. – Jeśli wolno wiedzieć?

– Roosevelt – odezwał się bardzo spokojnie Laszlo, robiąc krok do przodu – czy mógłbyś powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałeś?

– Oskarżano mnie o różne manieryzmy wymowy – odparł Theodore – ale nigdy o to, że mamrocę. Wydaje mi się, że mówiłem wyraźnie.

– Tak. Tak, masz rację. – Isaacsonowie i Sara podeszli bliżej, poznając po ogniu, jaki wystąpił na chmurną dotąd twarz Laszla, że dzieje się coś ważnego. – Ale o co dokładnie ci chodziło?

– Myślałem po prostu – zaczął wyjaśniać Roosevelt, nadal nieco obronnym tonem – o innym przypadku takiego barbarzyństwa, z którym się kiedyś zetknąłem. Było to wówczas, gdy mieszkałem na moim ranczu w Dakocie. Widziałem ciała białych, których Indianie zabili ku przestrodze innych osadników. Zwłoki były straszliwie okaleczone, jak te tutaj, przypuszczam, że po to, aby nas bardziej przerazić.

– Tak – powiedział Laszlo, tyleż do Theodore'a, ile do siebie. – To naturalne przypuszczenie. Ale czy rzeczywiście taki był tego cel? – Zaczął krążyć wokół stołu sekcyjnego, trąc powoli lewą rękę i kiwając głową. – Model, on potrzebuje modelu... To jest zbyt konsekwentne, zbyt przemyślane, zbyt... skomplikowane. Naśladuje kogoś... – Spoglądając na swój srebrny zegarek, Kreizler znów odwrócił się do Theodore'a. – Roosevelt, wiesz może przypadkiem, o której godzinie otwierają Muzeum Historii Naturalnej?

– Wiem to nie przypadkiem – odrzekł z dumą Theodore. – Mój ojciec należał do jego fundatorów i ja sam jestem dość zaangażowany w...

– O k t ó r e j, Roosevelt?

– O dziewiątej.

Kreizler skinął głową.

– Doskonale. Moore, pojedziesz ze mną. Co do pozostałych: Marcusie, migiem do ciemni, sprawdź, czy twój eksperyment coś dał. Saro, ty i Lucius wróćcie do sztabu i skontaktujecie się z Departamentem Wojny w Waszyngtonie. Spytajcie, czy mają akta żołnierzy zwolnionych z powodu chorób umysłowych. Interesują nas tylko ci, którzy służyli na Zachodzie. Jeśli nie będziecie mogli się dodzwonić, wyślijcie telegram.

– Znam paru ludzi w Departamencie – wtrącił się Roosevelt. – Jeśli to coś pomoże.

– Istotnie, pomoże – odparł Kreizler. – Saro, zapisz nazwiska. Szybko, szybko, idźcie już.

Kiedy Sara i Isaacsonowie wyszli, zabierając sprzęt Marcusa, Kreizler wrócił do Roosevelta i do mnie.

– Domyśliłeś się, czego szukamy, Moore?

– Tak – odrzekłem. – Ale dlaczego w muzeum?

– Pracuje tam mój stary znajomy, Franz Boas. Jeśli takie okaleczenia rzeczywiście mają dla Indian jakieś kultowe znaczenie, on będzie to wiedział. I wówczas, Roosevelt, będą ci się należały publiczne gratulacje. – Kreizler na powrót zakrył ciało Ernsta Lohmanna brudnym, starym prześcieradłem. – Niestety, odprawiłem Steviego z kolaską do domu, więc musimy wziąć dorożkę. Podrzucić cię gdzieś, Roosevelt?

– Nie – odparł Theodore. – Lepiej tu zostanę, żeby zatrzeć ślady. Może paść sporo pytań, zważywszy na to zbiegowisko. Życzę wam udanych łowów, panowie.

Podczas gdy badaliśmy szczątki Lohmanna, niezadowolony tłum pod kostnicą jeszcze zgęstniał. Sara i Isaacsonowie najwyraźniej przedarli się bez kłopotu, bo nie było ich nigdzie widać, ale Kreizler i ja nie mieliśmy tyle szczęścia. Tłum śledził podejrzliwie każdy nasz krok i pokonaliśmy zaledwie połowę odległości do głównej bramy szpitalnych gruntów, gdy drogę zastąpił nam jakiś krępy mężczyzna z kwadratową głową, dzierżący stary trzonek od siekiery. Wbił on zimne spojrzenie w Kreizlera, z twarzy ich obu wyczytałem, że się znają.

– Ach! – wykrzyknął mężczyzna, dobywając głosu z głębi swego niemałego brzucha. – Sławny *Herr* Doktor Kreizler!

Akcent wskazywał, że jest Niemcem z niższych klas.

– *Herr* Höpner – odparł Laszlo tonem stanowczym, ale czujnym, jakby wiedział, że facet może zrobić użytek ze swej broni. – Niestety, kolegę i mnie wzywają pilne obowiązki. Będzie pan uprzejmy się odsunąć.

– A co z małym Lohmannem, *Herr* Doktor? – Höpner nie ruszył się z miejsca. – Masz pan coś wspólnego z tą sprawą?

Kilka osób stojących w pobliżu powtórzyło pytanie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, Höpner – odrzekł spokojnie Kreizler. – Proszę się odsunąć.

– Nie masz pan pojęcia, tak? – Höpner zaczął uderzać trzonkiem siekiery o dłoń. – Bardzo wątpię. Znacie pana doktora, *meine Freunde*? – zwrócił się do tłumu. – To ten sławny alienista, co rozbija rodziny, co kradnie dzieci z domów! – Wokół rozległy się okrzyki oburzenia. – Chcę wiedzieć, jaki masz pan udział w tej sprawie, *Herr* Doktor?! Czy odebrałeś Lohmanna rodzicom jak moją córkę mnie?

– Już panu powiedziałem – wycedził Laszlo przez zęby. – Nic nie wiem o żadnym Lohmannie. A co do pańskiej córki, *Herr* Höpner, prosiła, żeby ją zabrać z domu, ponieważ nie mógł się pan powstrzymać od bicia jej kijem, kijem podobnym do tego, który widzę w pana rękach teraz.

Tłum zamarł, a Höpner wybałuszył oczy.

– Co mężczyzna robi we własnym domu, ze swoją własną rodziną, to wyłącznie jego interes! – zaprotestował.

– Pańska córka była innego zdania – odparł Kreizler. – A teraz mówię po raz ostatni: *raus mit dir!*

Był to rozkaz odejścia, jaki można wydać służącemu lub innej stojącej niżej osobie. Höpner zrobił taką minę, jakby został opluty. Podniósł trzonek siekiery i ruszył w stronę Kreizlera, ale musiał się zatrzymać, bo nagle powstał za nami okropny tumult. Odwróciwszy się, by spojrzeć ponad tłumem, dostrzegłem koński łeb, dach przedzierającego się ku nam powozu oraz znajomą twarz: Jack „Zjedz Ich” McManus stał na stopniu pojazdu i wymachiwał tą gargantuiczną prawicą, która czyniła zeń niezwyciężonego boksera przez blisko dziesięć lat, zanim porzucił zawodowy ring, aby zostać wykidająką... u Paula Kelly’ego.

Elegancki czarny brougham Kelly’ego, ze lśniącymi mosiężnymi latarniami po obu stronach, dojechał do miejsca, w którym staliśmy. Mały, żyłasty woźnica strzelił ostrzegawczo z bata i tłum, wiedząc, do kogo powóz należy, rozstał się bez słowa. Gdy koła przestały się kręcić, Jack McManus zeskoczył na ziemię, popatrzył groźnie po ludziach, poprawił swoją górniczą czapkę i na koniec otworzył drzwiczki broughamu.

– Radzę wam wsiąść, panowie! – powiedział rozbawiony głos i z wnętrza powozu wyłoniła się przystojna twarz Kelly’ego. – Wiecie, jaki potrafi być motłoch.

ROZDZIAŁ 28

Ha! Spójrzcie na nich! – Kelly oglądał się rozradowany na tłum, podczas gdy brougham, podskakując na wybojach, opuszczał teren Bellevue. – Szmaciarze chociaż raz wstali z klęczek! To powinno przyprowadzić wyższe sfery o parę bezsensownych nocy, co, Moore?

Siedziałem w przedniej części powozu, obok Kreizlera i naprzeciw Kelly’ego. Odwróciwszy się twarzą do nas, gangster stuknął w podłogę laską ze złotą gałką i ponownie się roześmiał.

– Rzecz jasna nie potrwa to długo; zaczną znów posyłać swoje dzieciaki do fabryk za dolara tygodniowo, nim jeszcze mały Lohmann spocznie w grobie. Trzeba by czegoś więcej niż śmierć kolejnej kurwy, żeby podtrzymać ich zapaf. Tymczasem jest na co popatrzeć! – Kelly wyciągnął upierścienioną dłoń do Kreizlera. – Jak się pan ma, doktorze? To dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Laszlo z wahaniem podał mu rękę.

– Witam, panie Kelly. Przynajmniej kogoś ta sytuacja bawi.

– Jeszcze jak, doktorze, jeszcze jak. Właśnie dlatego ją zaaranżowałem!

Kreizler i ja nic na to nie odrzekliśmy.

– Dajcie spokój, panowie, chyba nie sądzicie, że tacy ludzie upomnieliby się o swoje bez paru słów zachęty. Trochę pieniędzy tu i ówdzie również nie zaszkodziło. Ale muszę przyznać, nie spodziewałem się, że spotkam w takich okolicznościach znakomitego doktora Kreizlera! – Jego zaskoczenie było wyraźnie udawane. – Mogę panów gdzieś podwieźć?

Odwrociłem się do Laszla.

– Oszczędzimy na dorożce – powiedziałem, na co Kreizler skinął głową. – Do Muzeum Historii Naturalnej. Róg Siedemdziesiątej Siódmej i...

– Wiem, gdzie ono jest, Moore. – Kelly uderzył laską w dach broughamu i zakomenderował władczym tonem: – Jack! Powiedz Harry’emu, żeby nas zawiózł na róg Siedemdziesiątej Siódmej i Central Park West. Migiem! – Złowieszczy urok powrócił. – Zdziwiłem się nieco, widząc tu również ciebie, Moore. Myślałem, że po przygodzie u Biffa stracisz zainteresowanie tymi morderstwami.

– Trzeba by czego więcej, żebym stracił zainteresowanie – oświadczyłem, z nadzieją, że zabrzmiało to dostatecznie hardo.

– Och, mogę ci załatwić coś więcej – odparował Kelly, skłaniając głowę w kierunku Jacka McManusa. Niepokój, który ścisnął mi żołądek, musiał się odbić na mojej twarzy, bo Kelly wybuchnął głośnym śmiechem. – Bez obawy. Powiedziałem, że nic ci się nie stanie, pod warunkiem że nie będziesz mnie do tego mieszał, i jak dotąd grałeś czysto. Szkoda, że twój przyjaciel Steffens nie ma tyle samo rozsądku. Jak się nad tym zastanowić, Moore, w ogóle mało ostatnio piszesz, prawda?

Kelly uśmiechnął się chytrze.

– Chcę najpierw zebrać wszystkie fakty – odparłem.

– Oczywiście, oczywiście. A pan doktor towarzyszy ci dla rozrywki, tak?

Laszlo poruszył się nerwowo na siedzeniu, ale przemówił spokojnym tonem:

– Panie Kelly, skoro już zaprosił nas pan do swego powozu w tej wyjątkowo stosownej chwili, czy mógłbym pana o coś spytać?

– Proszę bardzo, doktorze. Może zabrzmie to niewiarygodnie, ale mam dla pana wiele szacunku, przeczytałem nawet jedną z pańskich prac. – Kelly roześmiał się. – Dużą jej część, w każdym razie.

– Bardzo mi miło – odrzekł Kreizler. – Więc niech mi pan coś powie. Niewiele wiem o morderstwach, o których mówicie, ale jestem ciekaw, jaki też ma pan powód, aby podzegać, i być może narażać na niebezpieczeństwo, ludzi, którzy nie mają nic wspólnego ze sprawą?

– Narażam ich na niebezpieczeństwo, doktorze?

– Musi pan być świadom, że jego postępowanie może wywołać szersze niepokoje społeczne i zamieszki. I że wielu niewinnych ludzi może zostać rannych, a jeszcze więcej trafić do więzienia.

– No właśnie, Kelly – dodałem. – W takim mieście jak Nowy Jork to, co zacząłeś, może ci się piekielnie szybko wymknąć spod kontroli.

Kelly rozważał to dłuższą chwilę, nie przestając się uśmiechać.

– Pozwól, że ja cię o coś spytam, Moore. Wyścigi konne odbywają się codziennie, ale przeciętny człowiek interesuje się tylko tymi gonitwami, które obstawia. Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyłem, nieco zbity z tropu. – Bo jeśli nie ma się nic do zyskania ani do stracenia...

– No właśnie – przerwał mi Kelly, parszając śmiechem. – Siedzicie tu, panowie, mówicie o tym mieście i niepokojach społecznych i tak dalej, ale co ja mam do stracenia? Dla mnie Nowy Jork może się spalić do gołej ziemi. Ten, kto ocaleje, będzie chciał wypić kielicha i spędzić godzinkę z kurwą, i ja mu to załatwię.

– W takim razie – powiedział Kreizler – dlaczego w ogóle zawraca pan tym sobie głowę?

– Bo mnie to wkurza. – Po raz pierwszy Kelly spoważniał. – Tak jest, doktorze: wkurza. Chłopcy z Piątej Alei zaczynają ich karmić tymi pomyjami o społeczeństwie, jak tylko zejdą ze statku, i co się dzieje? Świnie tratują się nawzajem, usiłując zjeść jak najwięcej. To naciąganie frajerów, oszukańcza gra, niech pan to nazwie, jak chce, i jakaś częśćka mnie nie miałaby nic przeciwko temu, żeby na jakiś czas sytuacja się odwróciła. – Przyjemny uśmiech znów ozdobił mu twarz. – Może moja postawa ma jakieś głębsze przyczyny, doktorze. Może znalazłby pan jej wytłumaczenie w... w kontekście mojego życia, gdybym udzielił panu odpowiednich informacji.

Ta ostatnia uwaga porządnie mnie zaskoczyła i, jak zauważyłem, Kreizlera również. Grubo ciosany intelekt Kelly'ego był bardzo niepokojący: mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który mógł stanowić poważne zagrożenie na wiele sposobów.

– Bez względu na przyczyny – ciągnął pogodnie nasz gospodarz, wyglądając z powozu – cała ta afera niebywale mnie cieszy.

– Aż tak – podchwycił Kreizler – że utrudnia pan jej rozwiązanie?

– Doktorze! – Kelly udał oburzenie. – Powiniennem się obrazić. – Pstryknąwszy gałkę laski, otworzył małą przegródkę pełną drobnego, krystalicznego proszku. – Panowie? – zapytał, podsuwając nam gałkę. Laszlo i ja odmówiliśmy. – O takiej barbarzyńskiej godzinie trzeba jakoś pobudzić organizm. – Wysypał szczyptę kokainy na przegub dłoni i wciągnął ją do nosa. – Nie chcę sprawiać wrażenia ordynarnego nałogowca, ale poranki nie są moją mocną stroną. Wracając do tematu, doktorze – wytarł nos elegancką jedwabną chusteczką i zamknął gałkę – nie miałem pojęcia, że podjęto jakieś poważne wysiłki, aby rozwiązać tę sprawę. – Spojrzał Kreizlerowi prosto w oczy. – Czy wie pan o czymś, o czym ja nie wiem?

Kreizler zignorował to pytanie i Kelly zaczął perorować, sarkastycznie i rozwlekłe, o oburzającym braku zainteresowania władz sprawą morderstw. Wreszcie, ku naszej uldze, brougham zatrzymał się po zachodniej stronie Central Parku, przy skrzyżowaniu z Siedemdziesiątą Siódmą Ulicą. Laszlo i ja wysiedliśmy, mając nadzieję, że Kelly da już spokój temu tematowi, ale kiedy weszliśmy na chodnik, gangster wystawił głowę z powozu.

– Miło mi było pana gościć, doktorze! – zawołał. – Ciebie też, pismaku. Ostatnie pytanie: chyba nie sądzicie, że grube ryby pozwolą wam dokończyć tę zabawę w detektywów?

Ja zaniemówiłem ze zdumienia, ale Kreizler chyba się czegoś takiego spodziewał, bo spokojnie oświadczył:

– Mogę odpowiedzieć tylko innym pytaniem, Kelly: czy pan zamierza pozwolić nam ją dokończyć?

Kelly przekrzywił głowę i spojrzał w poranne niebo.

– Prawdę powiedziawszy, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Nie sądziłem, że będę musiał. Jak już mówiłem, te morderstwa są dla mnie bardzo użyteczne. Gdybyście mieli pokrzyżować mi plany... ale co ja gadam? Biorąc pod uwagę, z czym musicie walczyć, dobrze będzie, jeśli sami nie traficie za kratki. – Podniósł laskę do góry. – Miłego dnia, panowie. Harry! Z powrotem do New Brighton!

Popatrzyliśmy, jak brougham odjeżdża, z Jackiem „Zjedz Ich” McManusem nadal uczepionym z boku niczym jakaś przerośnięta, złośliwa małpa, po czym odwróciliśmy się ku neorenesansowym murom i wieżyczkom Muzeum Historii Naturalnej.

Chociaż muzeum istniało niespełna dwadzieścia lat, posiadało już pierwszorzędną zespół pracowników i ogromną, dziwaczną kolekcję kości, skał, owadów na szpilkach i wypchanych zwierząt. Spośród wszystkich szacownych działów, które mieściły się w tym przypominającym zamek gmachu, najświetniejszy i najbardziej obrazoburczy był dział antropologii; później dowiedziałem się, że największą zasługę położył w tym względzie człowiek, z którym mieliśmy się spotkać, Franz Boas.

Boas był mniej więcej w wieku Kreizlera, urodził się w Niemczech i zanim poświęcił się etnologii, studiował psychologię eksperymentalną. Istniały więc oczywiste powody, dla których Boas i Kreizler powinni się do siebie zbliżyć, ale największe znaczenie dla ich przyjaźni miało wybitne podobieństwo poglądów zawodowych. Kreizler postawił swoją reputację na teorię kontekstu, pogląd, że nie można naprawdę zrozumieć osobowości żadnego człowieka, nie poznawszy najpierw jego indywidualnych doświadczeń. Natomiast Boas jako antropolog stosował tę teorię na większą skalę: do całych kultur. Prowadząc przełomowe badania wśród plemion indiańskich Północnego Zachodu, doszedł do wniosku, że główną siłą kształtującą kulturę jest historia, a nie rasa czy środowisko geograficzne, jak zakładano dotąd. Wszystkie kultury, postrzegane w tym świetle, są równie ważne. Swym licznym przeciwnikom, którzy twierdzili, że pewne kultury zrobiły większe postępy niż inne, a zatem należy uznać ich wyższość, Boas odpowiadał, że „postęp” jest pojęciem względnym.

Od 1895 roku, kiedy to zaczął pracować w Muzeum Historii Naturalnej, Boas tchnął w dział antropologii nowe życie. Podczas wędrowki po salach wystawowych, która była i nam dana tego ranka, odczuwało się gwałtowny przypyływ podniecenia i intelektualnej energii. Oczywiście reakcję tę mógł równie dobrze wywołać widok okrutnych twarzy wyrzeźbionych w kilkunastu słupach totemicznych stojących pod ścianami; albo dużego kanoe pełnego gipsowych Indian – odlanych z żywych modeli – którzy wiosłowali zawzięcie przez jakąś wyimaginowaną połąć wody pośrodku głównego hallu; albo niezliczone gabloty z bronią, maskami rytualnymi, strojami i różnymi wytworami rzemiosła. Jakakolwiek by była tego przyczyna, po wejściu do tych pomieszczeń człowiek odnosił wrażenie, że został przeniesiony z wytworkoego Manhattanu w jakiś daleki zakątek, który ciasne umysły natychmiast okrzyknęłyby barbarzyńskim.

Kreizler i ja znaleźliśmy Boasa w zagraconym gabinecie, mieszczącym się w jednej z wieżyczek muzeum wychodzącej na Siedemdziesiątą Siódmą Ulicę. Był niskim mężczyzną z dużym, kartoflanym nosem, bujnymi wąsami i rzadkimi włosami. Jego piwne oczy płonęły tym samym ogniem krzyżowca co wzrok Kreizlera; uściśnieli sobie z Laszlem dłonie tak serdecznie i żywo, jak robią to tylko ludzie o prawdziwie pokrewnych duszach. Boas miał pełne ręce roboty: przygotowywał olbrzymią ekspedycję na Północny Zachód, opłaconą przez finansistę Morrisa K. Jesupa. Kreizler i ja musieliśmy więc przedstawić mu naszą sprawę szybko. Byłem nieco zaszokowany otwartością, z jaką Kreizler ujawnił wszystkie szczegóły, a jego opowieść zaszokowała z kolei Boasa – sądząc po tym, jak wstał, obrzucił nas surowym spojrzeniem i energicznie zamknął drzwi gabinetu.

– Kreizler – powiedział głosem, w którym dźwięczał akcent równie wyraźny jak Laszla, ale trochę bardziej miękkiej – czy ty w ogóle masz pojęcie, na co się narażasz? Jeśli wasze śledztwo wyjdzie na jaw i jeśli poniesiecie porażkę... ryzyko jest straszliwe!

Boas wyrzucił ręce w górę, a potem sięgnął po cygaro.

– Tak, tak, wiem, Franz – odparł Kreizler – ale co mam zrobić? W końcu chodzi o dzieci, choćby nawet z marginesu, a morderca będzie dalej zabijał. Poza tym istnieją ogromne szanse, że nie poniesiemy porażki.

– Mogę zrozumieć, że angażuje się w to dziennikarz – podjął Boas, wskazując mnie ruchem głowy i zapalając cygaro. – Ale twoja praca, Kreizler, jest ważna. Społeczeństwo już ci nie ufa, i wielu twoich kolegów również. Jeśli ta sprawa przybierze zły obrót, zostaniesz całkowicie ośmieszony i zepchnięty poza nawias!

– Jak zwykle mnie nie słuchasz – odparł Kreizler pobłażliwym tonem. – Możesz mi wierzyć, sam długo się nad tym zastanawiałem. I faktem jest, że pan Moore i ja mamy mało czasu, tak samo jak ty. Zapytam więc wprost: pomożesz nam czy nie?

Boas pyknął z cygara i przyjrzał się nam badawczo, potrząsając głową.

– Potrzebujecie informacji o plemionach z Równin? – Laszlo przytaknął. – Dobrze. Ale jedna rzecz jest *streng verboten*... – Boas wycelował w Kreizlera palec. – Nie wolno wam mówić, że obyczaje plemienne tych ludów są winne zachowania jakiegoś mordercy w tym mieście.

Laszlo westchnął.

– Franz, na litość...

– Och, co do ciebie nie mam wątpliwości. Ale nic nie wiem o ludziach, z którymi pracujesz. – Boas znów zmierzył mnie wzrokiem z jawną podejrzliwością. – I tak trudno jest nam zmienić opinię społeczeństwa o Indianach. Musisz mi to przyrzec, Laszlo.

– Przyrzekam w imieniu moich kolegów i we własnym.

– Koledzy, a jakże – prychnął pogardliwie Boas, z irytacją przerzucając papiery na biurku. – Moja wiedza o tych plemionach jest niedostateczna. Ale zatrudniłem właśnie młodego człowieka, który będzie mógł ci pomóc. – Wstał, podszedł szybko do drzwi, otworzył je i krzyknął do sekretarki: – Panno Jenkins, gdzie jest doktor Wissler?!

– Na dole, panie doktorze – zabrzmiała odpowiedź. – Urządza wystawę Czarnych Stóp.

– Aha. – Boas wrócił za biurko. – To dobrze. Już dawno powinna być gotowa. Będziesz musiał porozmawiać z Wisslerem na dole. Nie daj się zwieść jego młodości, Kreizler. W ciągu paru lat wiele przeżył i wiele widział. – Ton Boasa złagodniał, gdy antropolog podszedł do Laszla i wyciągnął doń rękę. – Podobnie jak inny wybitny specjalista, którego znam.

Uśmiechnęli się do siebie, ale kiedy Boas podawał dłoń mnie, na jego twarz wróciła podejrzliwość.

Zbiegliśmy szybko na dół, przeszliśmy ponownie przez hall, w którym stało duże kanoe, i spyaliśmy strażnika, co dalej. Wskazał nam następną salę wystawową, której drzwi były zamknięte na klucz. Kreizler zapukał, ale nikt nam nie otworzył. Ze środka dobiegało jakieś stukanie, głosy i dzikie, mrozące krew w żyłach okrzyki, jakie naprawdę można usłyszeć na pograniczu.

– Dobry Boże – powiedziałem – chyba nie zamierzają umieścić na wystawie żywych Indian?

– Nie bądź śmieszny, Moore.

Kreizler zapukał jeszcze kilka razy i wreszcie drzwi się otworzyły. W progu stał młody, mniej więcej dwudziestopięcioletni mężczyzna z kręconymi włosami, cienkim wąsikiem, twarzą cherubina i rozbieganymi błękitnymi oczyma. Był ubrany w kamizelkę i krawat, a z ust sterczała mu profesorska fajka, ale na głowie miał olbrzymi, dość przerażający pióropusz wojenny, zrobiony chyba z piór orła.

– Tak? – zapytał młody człowiek z bardzo sympatycznym uśmiechem. – Czym mogę panom służyć?

– Doktor Wissler? – upewnił się Kreizler.

– Clark Wissler, zgadza się. – Nagle przypomniał sobie, że ma na głowie pióropusz. – Och, wybaczenie, panowie. Urządzamy pewną wystawę i bardzo się niepokoję o ten eksponat. Panowie w sprawie...

– Nazywam się Laszlo Kreizler, a to jest...

– Doktor Kreizler? – zapytał Wissler z nadzieją w głosie, otwierając drzwi szerzej.

– Zgadza się. A to jest...

– Prawdziwa przyjemność, oto, co to jest! – Wissler wyciągnął rękę i energicznie potrząsnął dłonią Kreizlera. – Mało, to zaszczyt! Przeczytałem chyba wszystko, co pan napisał, doktorze. Naprawdę, powinien pan pisać więcej. Psychologia potrzebuje takich prac jak pańskie!

Kiedy weszliśmy do dużej sali, w której panował niesłychany rozgardiasz, Wissler dalej perorował w tym stylu, z krótką przerwą na uściśnięcie mi ręki. Okazało się, że on także najpierw studiował psychologię i nawet w swej obecnej pracy koncentrował się na psychologicznych aspektach systemów wartości różnych kultur, wyrażanych poprzez ich mitologię, sztukę, struktury społeczne etc. Była to pomyślna okoliczność, ponieważ kiedy odsunęliśmy się od grupy robotników w pusty kąt sali i po cichu opowiedzieliśmy Wisslerowi o naszym śledztwie, zaniepokoił się potencjalnymi skutkami powiązania ohydnych czynów mordercy z kulturą indiańską jeszcze bardziej niż Boas. Kiedy jednak Kreizler udzielił mu tych samych zapewnień co Boasowi, nieograniczony podziw Wisslera dla Laszla pozwolił rozkwitnąć zaufaniu i na nasz dokładny opis okaleczeń zwłok antropolog odpowiedział szybką, wnikliwą analizą, jaką rzadko zdarzało mi się słyszeć z ust kogoś tak młodego.

– Tak, rozumiem, dlaczego przyszlście z tym do nas – stwierdził. Nadal trzymając w rękę pióropusz, rozejrzał się, gdzie by go położyć, lecz otaczał nas budowlany śmietnik. – Przepraszam panów, ale... – Włożył pióropusz z powrotem na głowę. – Naprawdę musi pozostać czysty do momentu otwarcia wystawy. No więc, okaleczenia, które opisaliście, rzeczywiście, przynajmniej w części, przypominają akty dokonywane na ciałach martwych wrogów przez różne plemiona z Wielkich Równin – głównie Dakotów i Siuksów. Są tu jednak istotne różnice.

– Dojdziemy do nich – wtrącił Kreizler. – Ale najpierw, co z podobieństwami, dlaczego robi się takie rzeczy? I czy robi się je tylko na zwłokach?

– Na ogół tak – odparł Wissler. – Wbrew temu, co mogliście czytać, Siuksowie nie przejawiają większych skłonności do zadawania tortur. Istnieją u nich oczywiście pewne rytmy okaleczeń dotyczące żywych – na przykład mąż, który jest w stanie dowieść, że żona nie była mu wierna, ma prawo uciąć jej nos, aby ją napiętnować jako cudzołżnicę – ale takie zachowania regulują bardzo ścisłe przepisy. Nie, większość tych strasznych rzeczy, z którymi się spotykamy, dotyczy martwych wrogów plemienia.

– Dlaczego tak jest?

Wissler zapalił fajkę, uważając, by trzymać zapałkę z daleka od orlich piór.

– Siuksowie mają bardzo skomplikowany system mitów dotyczących śmierci i zaświatów. Wciąż zbieramy dane i przykłady i staramy się ogarnąć całość ich wierzeń. Z grubsza biorąc, o losie *nagi*, czyli duszy każdego człowieka, decyduje nie tylko sposób, w jaki ten człowiek umiera, lecz także to, co się dzieje z jego ciałem bezpośrednio po śmierci. Widzicie, zanim *nagi* wyruszy w długą podróż do krainy zmarłych, przez jakiś czas pozostaje w pobliżu ciała, jakby przygotowując się do drogi. *Nagi* może zabrać wszelkie pożyteczne narzędzia, jakie człowiek posiadał za życia, aby pomogły jej w podróży i wzbogaciły ją w zaświatach. Ale *nagi* przybiera taką formę, jaką ciało miało w chwili śmierci. I teraz: jeśli wojownik zabije wroga, którego podziwiał, może wcale nie okaleczyć jego ciała, ponieważ, zgodnie z innym mitem, zabity wróg musi służyć wojownikowi w krainie zmarłych – a kto by chciał mieć kalekiego sługę? Jeśli natomiast wojownik naprawdę nienawidził swego wroga i nie chce, aby ten zażywał wszystkich przyjemności krainy zmarłych, może zrobić coś z rzeczy, które opisaliście, na przykład go wykastrować – ponieważ w „raju” Siuksów duchy męskie mogą kopulować z duchami żeńskimi i te ostatnie nie zachodzą w ciążę. Odcięcie mężczyźnie genitaliów oznacza, rzecz jasna, że nie będzie on mógł korzystać z tej wielkiej atrakcji krainy zmarłych. Są tam także rozmaite gry i zawody sportowe, *nagi* bez dłoni czy innego ważnego organu nie będzie się w nich dobrze spisywać. Widzieliśmy wiele przykładów takich okaleczeń na polach bitew.

– A co z oczami? – zapytałem. – Takie samo myślenie?

– Z oczami jest trochę inaczej. Mianowicie w podróży do krainy zmarłych *nagi* przechodzi bardzo niebezpieczną próbę: musi się przepawić przez wielką mityczną rzekę po bardzo wąskim pniu. Jeśli *nagi* boi się tej próby lub jej nie przejdzie, musi powrócić do naszego świata i błąkać się po nim już wiecznie jako zagubiony i samotny upiór. Oczywiście *nagi*, która nie widzi, nie ma szans na przebycie wielkiej rzeki i jej los jest przesądzony. Siuksowie nie traktują tego lekko. Niewielu rzeczy lękają się bardziej niż pozostania na tym świecie po śmierci.

Kreizler zapisywał to wszystko w swoim małym notesie i przy tej ostatniej informacji zaczęła kiwać głową.

– A różnice między okaleczeniami u Siuksów i tymi, które opisaliśmy?

– No cóż... – Wissler zastanawiał się chwilę, pykając z fajki. – Podane przez was przykłady różnią od zwyczajów Siuksów pewne poważne kwestie, jak również pewne drobiazgi. Najistotniejsze wydają mi się okaleczenia pośladek i zadeklarowany kanibalizm. Siuksowie, jak większość plemion indiańskich, brzydzą się kanibalizmem – jest to jedna z rzeczy, którymi najbardziej pogardzają u białych.

– U białych? – zdziwiłem się. – Przecież my... Bądźmy sprawiedliwi, my nie jesteśmy kanibalami.

– W zasadzie nie – odparł Wissler. – Ale było kilka znaczących wyjątków, o których Indianie wiedzą. Pamiętacie wyprawę osadników pod wodzą Donnera w 1847? Utknęli na długie miesiące na zasypanej śniegiem górskiej przełęczy i kiedy skończył im się prowiant, jedli siebie nawzajem. Opowieści o tym do dziś krążą wśród plemion Zachodu.

– Ale... – czułem potrzebę mocniejszego zaprotestowania – ...chwilczkę, nie można opierać opinii o całej kulturze na tym, co robi kilka osób.

– Oczywiście, że można, Moore – odrzekł Kreizler. – Pamiętaj, co mówiliśmy o naszym mordercy: na skutek swoich doświadczeń, wczesnych kontaktów ze stosunkowo niewieloma ludźmi, zaczął postrzegać cały świat w specyficzny sposób. Według nas jest to sposób błędny, ale, zważywszy na przeszłość mordercy, całkowicie uzasadniony. Tak samo jest tutaj.

– Plemiona Zachodu miały styczność z nieprzynoszącymi nam chluby reprezentantami białego społeczeństwa, panie Moore – potwierdził Wissler. – Do tego dochodzą nieporozumienia, które ugruntowują pierwotne odczucia. Na przykład, gdy wódz Siuksów Siedzący Byk spożywał kiedyś posiłek z grupą białych, podano mu wieprzowinę – jako że nigdy jej nie jadł, ale słyszał historię wyprawy Donnera, natychmiast uznał ją za białe ludzkie mięso. Na ogół właśnie w taki niefortunny sposób kultury poznają się ze sobą.

– A inne różnice? – zapytał Kreizler.

– Na przykład wpychanie genitaliów w usta: to nie miałyby sensu dla Siuksów. Duch wojownika został już pozbawiony męskości. Wepchnięcie genitaliów w usta nie służy żadnemu praktycznemu celowi. Ale największą różnicą jest to, że ofiarami są dzieci.

– Zaraz, chwileczkę – powiedziałem. – Indianie zabijają dzieci. Wiemy o tym.

– To prawda – odparł Wissler. – Ale nie dokonują na nich rytualnych okaleczeń. W każdym razie, nie zrobiłby tego żaden szanujący się Siuks. Oni okaleczają wrogów, którym chcą uniemożliwić odnalezienie krainy zmarłych albo korzystanie z jej rozkoszy. Zrobienie tego dziecku byłoby przyznaniem, że uważa się je za groźne. Za równe sobie. To z kolei byłoby tchórzliwe, a Siuksowie są bardzo drażliwi na punkcie tchórzostwa.

– Proszę mi coś powiedzieć, doktorze – odezwał się Laszlo, przejrząwszy swoje notatki. – Czy aktów, które panu opisaliśmy, mógłby się dopuścić ktoś, kto widział okaleczenia dokonane przez Indian, ale nie był świadom ich znaczenia kulturowego i zinterpretował je jako przejaw zwykłego okrucieństwa? I kto, naśladując te okaleczenia, może myśleć, że większe okrucieństwo uczyni jego zachowanie bardziej podobnym do indiańskiego?

Wissler rozważył tę koncepcję i skinął głową, wytrząsając popiół z fajki.

– Tak. Tak właśnie było to widział, doktorze.

Oczy Laszla nabrały w tym momencie wyrazu, który mówił, że musimy natychmiast wyjść, złapać dorożkę i wrócić do sztabu. Wisslerowi, który chętnie porozmawiałby z nim dłużej, usprawiedliwił się pilnymi sprawami i obiecał, że wkrótce znów go odwiedzi, a potem rzucił się do drzwi, pozostawiając mi złożenie dłuższych przeprosin za to nagłe odejście – o które, co bynajmniej mnie nie zdziwiło, Wissler wcale się nie pogniewał. Umysły naukowców mogą skakać jak zakochane żaby, ale ludzie ci akceptują takie zachowanie u siebie nawzajem.

Zanim dogoniłem Kreizlera na ulicy, ten zatrzymał już dorożkę i wsiadł do niej. Pomyślałem, że jeśli się nie pośpieszę, może mnie po prostu zostawić; podbiegłem więc, wskoczyłem do środka i zatrasnąłem drzwiczki.

– Broadway 808! – krzyknął Laszlo do woźnicy i zaczął wymachiwać pięścią. – Rozumiesz, Moore? Rozumiesz? On tam był, nasz człowiek, widział to! Nazywa takie zachowanie strasznym i brudnym – „brudniejszym niż dziki Indianiec” – ale uważa również, że sam jest pełen brudu. Zwalcza w sobie to uczucie gniewem i przemocą, ale zabijając, stacza się coraz niżej, do poziomu, którym jeszcze bardziej pogardza, do najniższego, najbardziej zwierzęcego zachowania, jakie może sobie wyobrazić. Wzoruje się na Indianach, ale w swoim odczuciu postępuje jeszcze bardziej „po indiańsku” niż oni.

– Więc był na pograniczu – tyle znaczyło to dla mnie.

– Musiał być – odparł Laszlo. – Jako dziecko albo jako żołnierz. Mam nadzieję, że uda nam się to rozstrzygnąć dzięki telefonom do Waszyngtonu. Mówię ci, John, mogliśmy sfuszerować ostatniej nocy, ale dzisiaj jesteśmy bliżej!

ROZDZIAŁ 29

Może i byliśmy bliżej, ale niestety nie tak blisko, jak Laszlo miał nadzieję. Po powrocie do sztabu dowiedzieliśmy się, że Sara i Lucius nic nie wskórali w Departamencie Wojny, mimo kontaktów Theodore'a. Informacje dotyczące żołnierzy hospitalizowanych lub zwolnionych ze służby z powodu chorób umysłowych były poufne i nie podawano ich przez telefon. Podróż do Waszyngtonu nabrała więc podwójnego znaczenia; mało tego, w tej chwili wszystkie tropy zdawały się prowadzić poza Nowy Jork. Jeśli nasz morderca rzeczywiście dorastał na pograniczu albo służył w którejś z jednostek wojskowych patrolujących ten region, ktoś z nas musiałby tam pojechać, aby sprawdzić, czy uda się znaleźć jakieś jego ślady. Przez resztę poranka zastanawialiśmy się, w jakich punktach, zarówno w czasie, jak i na mapie, należałoby rozpocząć poszukiwania owych śladów. Ostatecznie wybraliśmy dwie możliwości: albo morderca był jako dziecko świadkiem brutalnych kampanii przeciwko Siuksom, prowadzonych przed i po bitwie nad Little Big Horn w 1876 roku, albo jako żołnierz brał udział w represjach wobec Siuksów niezadowolonych z życia w rezerwach – represjach, których kulminacją była rzeź nad strumieniem Wounded Knee w roku 1890. Tak czy inaczej, Kreizlerowi zależało na tym, aby ktoś pojechał na Zachód jak najszybciej, ponieważ, jak nam powiedział, sądzi teraz, iż zabójstwo rodzeństwa Zweigów nie było pierwszym w karierze naszego człowieka. A jeśli faktycznie zabił kogoś na Zachodzie, gdzie musiały znajdować się akta sprawy. Co prawda taka zbrodnia zostałaby zapewne przypisana Indianom, ale mimo to istniałyby odnoszące się do niej dokumenty, albo w Waszyngtonie, albo w jakimś zachodnim urzędzie. Jeśli nawet nie doszło do takiego morderstwa, i tak przydałby się nam wysłannik w terenie, gotów natychmiast podążyć tropami, które odkryjemy w stolicy. Tylko odwiedzając miejsca wydarzeń, mogliśmy stwierdzić, co się dokładnie działo z naszym człowiekiem, i dzięki temu precyzyjnie przewidzieć jego przyszłe posunięcia.

Kreizler zamierzał pojechać do Waszyngtonu sam, kiedy mu jednak powiedziałem, że w dalszym ciągu mam tam sporo znajomych dziennikarzy i urzędników państwowych – w tym wyjątkowo cenny kontakt w Biurze do Spraw Indian Departamentu Zasobów Wewnętrznych – uznał za celowe, abym mu towarzyszył. Co do wyprawy na Zachód, palili się do niej zarówno Isaacsonowie, jak i Sara. Ktoś musiał jednak zostać w Nowym Jorku, aby koordynować nasze poczynania terenowe. Po długiej dyskusji zdecydowaliśmy, że funkcję łącznika powinna objąć Sara, ponieważ nadal bywa – i ma obowiązek bywać – w Kwaterze Głównej Policji na Mulberry Street. Mimo gorzkiego zawodu, że ominie ją ciekawa podróż, Sara wykazała pełne zrozumienie i przyjęła swe zadanie bez szemrania.

Tymczasem Roosevelt mógł skontaktować Isaacsonów z przewodnikami w zachodnich stanach. Kiedy doń zadzwoniliśmy w tej sprawie, zapłonął szalonym entuzjazmem i oświadczył, że chce towarzyszyć wywiadowcom osobiście. Zwróciliśmy mu jednak uwagę, że prasa podąży za nim, dokądkolwiek się udaje, a zwłaszcza gdy wyjeżdża na Zachód. Opowieści o jego wyprawach myśliwskich i jego zdjęcia w ozdobionym frędzlami stroju ze skóry kozła gwarantowały zwiększoną sprzedaż wszelkich gazet i czasopism, które je wydrukują, i naturalnie zadawano by pytania, z kim podróżuje i dlaczego. Nie mogliśmy sobie pozwolić na taką reklamę. Poza tym walka sił na Mulberry Street wkraczała właśnie w nową i być może decydującą fazę, więc główny rzecznik reformy Wydziału Policji nie powinien zniknąć w głuszy.

Isaacsonowie mieli zatem jechać sami; stwierdziliśmy, że jeśli wyruszą niezwłocznie, dotrą na miejsce, gdy Laszlo i ja zdobędziemy już jakieś użyteczne informacje do przetelegrafowania im z Waszyngtonu. Marcus przeżył więc wstrząs, gdy przybył do sztabu po wywołaniu zdjęć oka (eksperyment okazał się totalną kląpą, mimo to, co pisał *monsieur Verne*) i dowiedział się, że wyjeżdża nazajutrz do Deadwood w Dakocie Południowej. Stamtąd bracia mieli się udać do Rezerwatu i Agencji Siuksów Pine Ridge, aby zbadać wszelkie niewyjaśnione, związane z okaleczeniami morderstwa z ostatnich dziesięciu do piętnastu lat. Ja miałem wykorzystać moje znajomości w Biurze ds. Indian, aby pójść tym samym tropem w Waszyngtonie, a Kreizler przycisnąć Departament Wojny i szpital Świętej Elżbiety o informacje na temat żołnierzy, którzy służyli na Zachodzie i zostali zdemobilizowani z powodu zaburzeń umysłowych, oraz przestudiować akta pacjenta, o którym napisał do nas dyrektor Świętej Elżbiety.

Zanim to wszystko ustaliliśmy, zrobiło się późne popołudnie i bezsenna noc zaczynała dawać się nam potężnie we znaki. Poza tym musieliśmy załatwić prywatne sprawy i oczywiście się spakować. Postanowiliśmy więc zakończyć naradę. Kiedy zbieraliśmy się do wyjścia, Sara oznajmiła, że nazajutrz wstąpi po Kreizlera i po mnie doróżką i odwiezie nas na dworzec, bo widząc nasze zmarnowane miny, wątpi, czy w ogóle damy radę wstać, a tym bardziej zdążyć na pociąg.

Gdy Kreizler i ja byliśmy już w drzwiach, zjawił się Stevie, w pełni sił po kilku godzinach snu. Przypomniał nam, że Cyrus spędził cały dzień sam w szpitalu, powiedział, że sprowadził kolaskę i może nas zawieźć do św. Wincentego, abyśmy odwiedzili rannego towarzysza. Mimo zmęczenia nie potrafiliśmy odmówić. Pamiętając, jak paskudne jest jedzenie w nowojorskich szpitalach, postanowiliśmy zadzwonić do Charliego Delmonico, aby kazał swojemu personelowi przygotować pierwszorzędny posiłek, który będziemy mogli zabrać ze sobą.

Dotarliśmy do szpitala koło wpół do siódmej i zastaliśmy Cyrusa w bandażach, na wpół uśpionego. Ucieszył się z jedzenia, które przywieźliśmy, i na nic nie narzekał, nawet na to, że pielęgniarki nie chcą go doglądać, bo jest Murzynem. Kreizler zrobił awanturę administratorom szpitala, ale poza tym spędziliśmy z Cyrusem bardzo miłą godzinę w pokoju, którego okno dawało wspaniały widok na Siódmą Aleję, Jackson Square i zachód słońca w tle.

Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na Dziesiątej Ulicy, było już prawie zupełnie ciemno. Powiedziałem Steviemu, że przez parę minut popiłujemy kolaski, aby mógł pójść na górę przywitać się z Cyrusem, i chłopak skwapliwie wbiegł do środka. Kreizler i ja mieliśmy właśnie złożyć nasze obolałe kości na miękkich skórzanych siedzeniach powozu, gdy jakiś ambulans zajechał ze sporą prędkością pod szpital i zatrzymał się obok nas. Gdybym nie był tak wyczerpany, zauważyłbym może, iż twarz woźnicy nie jest mi tak całkiem obca; resztki uwagi skupiłem jednak na drzwiach ambulansu, które otworzyły się i wypłuły drugiego mężczyznę. Jego rozpoznałem natychmiast – w niczym nie przypominał sanitariusza – i przeszył mnie dreszcz lęku.

– Co jest, do diabła? – wymamrotałem, gdy wbił we mnie wzrok i wytrzeszczył zęby.

– Connor! – wykrzyknął zaskoczony Laszlo.

Były sierżant śledczy uśmiechnął się jeszcze szerzej i groźnie postąpił kilka kroków naprzód.

– Więc mnie pamiętacie? Tym lepiej. – Spod cokolwiek obszarpanej marynarki wyciągnął rewolwer. – Wsiadajcie do ambulansu. Obaj.

– Niech pan nie będzie śmieszny – odparł Laszlo ostrym tonem.

Znacznie lepiej niż Kreizler zdawałem sobie sprawę, z kim mamy do czynienia, więc spróbowałem innej taktyki:

– Connor, schowaj broń. To wariactwo, nie możesz tak po prostu...

– Wariactwo? – przerwał mi gniewnie. – Skądże znowu. Wykonuję tylko moje nowe obowiązki. Od starych mnie odsunęto, jak może pamiętacie. Nieważne. Kazano mi was przywieźć, chociaż wolałbym zostawić was martwych na chodniku. Więc się ruszcie.

To niezwykle, jak strach potrafi uleczyć zmęczenie. Nagle poczułem świeży przyływ energii, głównie, jeśli nie wyłącznie, do nóg. Ucieczka nie wchodziła niestety w grę – wiedziałem, że Connor może spełnić swą pogrózkę. Pociągnąłem więc Kreizlera, który opierał się i protestował, do drzwi ambulansu. Kiedy wsiadaliśmy, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że woźnicą jest jeden ze zbirów, którzy próbowali napaść na Sarę i na mnie w mieszkaniu Santorellich. Fragmenty łamigłówek zaczynały układać się w całość.

Connor zamknął drzwi od zewnątrz, po czym usiadł obok woźnicy. Ruszyliśmy z tą samą straceńczą prędkością, z jaką ambulans przyjechał. Patrząc przez małe, zakratowane okienka w drzwiach pojazdu, nie sposób było stwierdzić, dokąd właściwie zmierzamy.

– Chyba jedziemy na północ – powiedziałem, gdy zaczęło nami rzucać po ciemnym wnętrzu.

– Porwanie? – zapytał Kreizler tym irytująco obojętnym tonem, który zwykł przybierać w chwilach zagrożenia. – Czy też ktoś ma bardzo specyficzne poczucie humoru?

– To nie są żarty – odparłem, bezskutecznie próbując otworzyć drzwi. – Większość policjantów dzielą od drogi przestępstwa jakieś trzy kroki. Wygląda na to, że Connor pokonał tę odległość.

Laszlo zachował niezmacony spokój.

– Nie bardzo wiadomo, co mówić w takiej sytuacji. Masz jakieś wyjątkowo okropne wyznania, które chciałbyś uczynić, Moore? Rzecz jasna nie jestem duchownym, ale...

– Kreizler, słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem? To nie są żarty!

W tym momencie ambulans ściał jakiś zakręt i poleciliśmy z hukiem na ścianę.

– Hmmm – mruknął Kreizler, wstając z podłogi i obmacując sobie kości. – Chyba przyznam ci rację.

Po mniej więcej kwadransie ta szaleńcza jazda wreszcie dobiegła końca. Okolice, w której się znajdowaliśmy, była bardzo spokojna, ciszę mąciły tylko pochrząkiwania i przekleństwa naszych porywaczy. W końcu Connor otworzył drzwi i wysiedliśmy na ulicę, w której rozpoznałem Madison Avenue, konkretnie jej odcinek w dzielnicy Murray Hill. Na pobliskiej latarni wisiała tabliczka z napisem „Trzydziesta Szósta Ulica”, a my staliśmy przed bardzo dużym, ale gustownym domem z czerwobrazowego piaskowca, który miał podwójne kolumny po obu stronach ganku i wielkie wykuszowe okna.

Popatrzyliśmy z Kreizlerem po sobie – wiedzieliśmy, czyj to dom.

– No, no – mruknął Laszlo, zaintrygowany, a może nawet trochę onieśmielony.

Mnie natomiast szok omal nie powalił.

– Co jest, do diabła? – wyszeptałem. – Dlaczego...

– Jazda – powiedział Connor, wskazując drzwi domu, lecz nie ruszając się od ambulansu.

Kreizler spojrzał na mnie, wzruszył ramionami i zaczął się wspinać po stopniach ganku.

– Chodźmy, Moore. To człowiek, który nie zwykł czekać.

Do rezydencji Madison Avenue 219 wpuścił nas bardzo angielski lokaj; wewnątrz odzwierciedlało to samo rzadkie połączenie – ogromne bogactwo i znakomity gust – co fasada. Pod stopami mieliśmy marmurową posadzkę, ku górnym piętrům bieży spirala skromna, lecz przestronna białe schody. My pozostaliśmy jednak na parterze i mijając wspaniałe europejskie obrazy, rzeźby i ceramikę – rozmieszczone z elegancją i prostotą, bez tego okropnego efektu spiętrzenia, w którym gustowali ludzie pokroju Vanderbiltów – posuwaliśmy się ku tyłowi domu. Tam lokaj otworzył kasetonowe drzwi, prowadzące do olbrzymiego, słabo oświetlonego pokoju. Laszlo i ja weszliśmy do środka.

Wysokie ściany wyłożone były niemal zupełnie czarnym mahoniem z Santo Domingo; w rzeczy samej, przez domową służbę i w nowojorskiej legendzie pokój ten był nazywany Czarną Biblioteką. Podłogę zakrywały luksusowe dywany, na ścianach wisiały następne europejskie płótna w ozdobnych, złożonych ramach, a wysokie regały były zapchane wspaniałymi, oprawnymi w skórę cymeliami, które pan domu zebrał podczas kilkunastu wypraw za Atlantyk. Kilka najważniejszych spotkań w historii Nowego Jorku – a nawet Stanów Zjednoczonych – odbyło się w tym pokoju; i choć fakt ten w pierwszej chwili spotęgował moje i Kreizlera zdziwienie, krąg twarzy, które zwróciły się ku nam, gdy weszliśmy, uczynił powód naszej wizyty zupełnie jasnym.

Na sofie z lewej strony dużego kominka siedział biskup Henry Potter, a bliźniaczy mebel z prawej strony zajmował arcybiskup Michael Corrigan. Za każdym z nich stał ksiądz: człowiek Pottera był wysoki, chudy i w okularach, a Corrigan niski i otyły, z bujnymi siwymi bokobrodami. Przed kominkiem ulokował się mężczyzna, w którym rozpoznałem Anthony'ego Comstocka, niesławnego cenzora Poczty Stanów Zjednoczonych. Comstock spędził dwadzieścia lat, wykorzystując przyznane mu przez Kongres (i niezupełnie zgodne z konstytucją) uprawnienia, aby gorliwie prześladować każdego, kto wykonywał zabiegi abortcyjne, handlował środkami antykoncepcyjnymi, sprośną literaturą i zdjęciami lub zajmował się czymkolwiek innym, co podpadało pod dość rozległą cenzorską definicję „nieprzyzwoitości”. Nic dziwnego, że Comstock miał surową, nieprzyjemną twarz, lecz nie deprymowała ona aż tak, jak oblicze człowieka, który stał obok niego. Eksinspektor Thomas Byrnes miał wysokie, krzaczaste brwi, ściągnięte ponad przenikliwymi, wszystko – widzącymi oczami, a bujne, obwisłe wąsy bardzo utrudniały odczytywanie wyrazu jego ust. Kiedy weszliśmy z Kreizlerem głębiej, Byrnes odwrócił się do nas i enigmatycznie uniósł brwi, po czym przechylił głowę w stronę ogromnego orzechowego biurka, które stało pośrodku pokoju. Podążyłem wzrokiem za tym wskazaniem.

Przy biurku przeglądał jakieś dokumenty i od czasu do czasu coś notował człowiek, który miał większą władzę niż którykolwiek inny znany światu finansista; człowiek, którego skądinąd przystojne rysy szpecił nos obrzmiały i dziobaty po *acne rosacea*. Musiałeś jednak bardzo uważać, aby się na ten nos nie gapić – mogłeś zapłacić za swą niezdrową ciekawość na więcej sposobów, niż byłeś sobie w stanie wyobrazić.

– Ach – powiedział John Pierpont Morgan, podnosząc wzrok znad papierów, i wstał. – Siadajcie, panowie, i załatwmy wreszcie tę sprawę.

CZĘŚĆ TRZECIA

WOLA

Fons et origo wszelkiej rzeczywistości, czy to z absolutnego, czy to z praktycznego punktu widzenia, są zatem subiektywne, jesteśmy nimi my sami. Jako myśliciele czysto logiczni, pozbawieni reakcji emocjonalnych, nadajemy rzeczywisty charakter wszelkim obiektom, o których myślimy, albowiem są one w istocie zjawiskami lub wytworami naszej przelotnej myśli, niczym więcej. Lecz jako myśliciele reagujący emocjonalnie, nadajemy jeszcze wyższy stopień realności tym obiektom, które wybieramy i ku którym zwracamy się
AKTEM ŚWIADOMEJ WOLI.

William James, *Podstawy psychologii*

Don Giovanni, zaprosiłeś mnie na wieczerzę: przyszedłem.

Lorenzo da Ponte, z libretta *Don Giovanni*go Mozarta

ROZDZIAŁ 30

Podszedłem niepewnie do dwóch bogato wyściełanych foteli stojących nieopodal biurka Morgana, naprzeciw kominka. Natomiast Kreizler nie ruszył się z miejsca i bez mrugnięcia okiem wytrzymał twarde spojrzenie finansisty.

– Zanim usiądę w tym domu, panie Morgan – powiedział – chciałbym spytać, czy zawsze sprowadza pan gości pod groźbą użycia broni palnej.

Morgan błyskawicznym ruchem odwrócił głowę i spiorunował wzrokiem Bynesa, który tylko obojętnie wzruszył ramionami. Szare oczy byłego policjanta lekko się zaiskrzyły, jakby mówiąc: kto się kładzie z psami, wstaje z psami.

Morgan powoli, z pewnym niesmakiem, pokręcił głową.

– Nie leży to w moich zwyczajach i nie wydałem takiego polecenia, doktorze – powiedział, wskazując ręką fotele. – Mam nadzieję, że przyjmie pan moje przeprosiny. Ta sprawa zdaje się wywoływać silne emocje u wszystkich osób, którym jest znana.

Kreizler mruknął coś cicho, tylko w części usatysfakcjonowany, po czym obaj usiedliśmy. Morgan także wrócił na fotel i dokonał krótkiej prezentacji (z wyłączeniem stojących za sofami księży, których nazwisk nigdy nie poznałem). Potem ledwo dostrzegalnie skinął głową Anthonyemu Comstockowi i cenzor wyszedł na środek pokoju. Głos, który wydobył się z jego niepozornej postaci, był równie nieprzyjemny jak twarz.

– Doktorze. Panie Moore. Bądźmy szczerzy. Wiemy o waszym śledztwie i z różnych powodów chcemy, byście go zaniechali. Jeśli tego nie zrobicie, zostaną przeciwko wam wniesione pewne zarzuty.

– Zarzuty? – prychnąłem, bo niechęć, którą natychmiast poczułem do cenzora, dodała mi pewności siebie. – To nie jest sprawa obyczajowa, panie Comstock.

– Napaść – odezwał się cicho inspektor Bynes, patrząc na zatłoczone półki – jest przestępstwem kryminalnym, Moore. Pewien strażnik w Sing Singu stracił kilka zębów. Mamy też sprawę zadawania się ze znanymi szefami gangów...

– Daj spokój, Bynes – powiedziałem szybko. Jako dziennikarz „Timesa” stoczyłem z inspektorem wiele bojów i choć czułem się przy nim nieswojo, wiedziałem, że byłoby głupotą to okazać. – Nawet ty nie nazwiesz jazdy powozem „zadawaniem się”.

Bynes nie zareagował na moją uwagę.

– Do tego – podjął – dochodzi niewłaściwe wykorzystywanie pracowników i środków Wydziału Policji...

– Nasze śledztwo ma charakter nieoficjalny – odparł spokojnie Kreizler.

Wydało mi się, że pod wąsami Byrnesa wykwitł uśmiech.

– Sprytnie, doktorze. Wiemy jednak o waszym porozumieniu z komisarzem Rooseveltem.

Kreizler zachował kamienną twarz.

– Ma pan dowody, inspektorze?

Byrnes wziął z półki jakiś cienki tomik.

– Będę miał.

– Spokojnie, panowie – wtrącił arcybiskup Corrigan z właściwą sobie dobroduszością. – Nie ma powodu przybierać wrogiego nastawienia.

– Właśnie – zgodził się biskup Potter, bez zbytniego entuzjazmu. – Jestem pewien, że uda nam się znaleźć jakieś rozsądne wyjście, jeśli tylko obie strony rozumieją swoje... stanowiska?

Pierpont Morgan nic nie powiedział.

– Ja rozumiem – przemówił Laszlo, głównie do naszego milczącego gospodarza – że zostaliśmy porwani przez uzbrojonego bandytę i postraszeni sądem, wyłącznie dlatego, że próbujemy schwytać groźnego mordercę, wobec którego policja jest bezsilna. – Wyjął papierośnicę i wzięwszy papierosa, zaczął stukać nim głośno i gniewnie o poręcz fotela. – Ale być może są w tej aferze jakieś subtelności, na które jestem ślepy.

– Jest pan ślepy, doktorze – odparł Anthony Comstock irytującym tonem zeloty. – I to nie na subtelności. Od wielu lat staram się zapobiegać wydawaniu prac takich ludzi jak pan. Absurdalnie szeroka interpretacja Pierwszej Poprawki przez tak zwanych urzędników państwowych czyni to niemożliwym. Lecz jeśli pan sądzi, że będę stał i patrzył, jak miesza się pan do spraw publicznych...

Po twarzy Morgana przemknął błysk rozdrażnienia, co zauważył biskup Potter. Niczym wierny lokaj – Morgan był jednym z głównych dobroczyńców Kościoła episkopalnego – biskup zabrał głos, przerywając Comstockowi:

– Pan Comstock przemawia z energią i bezpośredniością sprawiedliwego, doktorze. Lękam się jednak, iż pańska działalność istotnie burzy duchowy spokój wielu obywateli naszego miasta i podkopuje fundamenty gmachu społeczeństwa. W końcu świętość i trwałość rodziny, wraz z odpowiedzialnością każdej jednostki przed Bogiem i prawem za własne postępowanie, są bliźniaczymi filarami naszej cywilizacji.

– Boleję nad brakiem spokoju naszych obywateli – odparł sucho Kreizler, zapalając papierosa. – Ale siedmioro dzieci, o których wiemy, a być może jeszcze więcej, zostało brutalnie zamordowanych.

– Ale jest to chyba sprawa dla policji – powiedział arcybiskup Corrigan. – Po co mieszać do niej tak kontrowersyjne idee jak pańskie?

– Po to, aby ją rozwiązać – wypaliłem, zanim Laszlo zdążył odpowiedzieć. Wszystko to było dość typową krytyką działalności mojego przyjaciela, niemniej trochę mnie zirytowało. – Policja nie jest w stanie tego zrobić, a my, wykorzystując idee doktora Kreizlera, tak.

Byrnes wydał z siebie ledwo słyszalny chichot, a Comstock poczerwieniał na twarzy.

– Nie wierzę, że taka jest pańska motywacja, doktorze. Według mnie zamierza pan, z pomocą pana Paula Kelly’ego i wszelkich innych ateistycznych socjalistów, jakich pan znajdzie, szerzyć zamęt, dyskredytując wartości amerykańskiej rodziny i społeczeństwa!

Jeśli komuś wydaje się dziwne, że Kreizler i ja nie wybuchliśmy na to śmiechem ani nie pobiliśmy tego groteskowego człowieczka, powinien pamiętać, że Anthony Comstock, choć tytuł „cenzora poczty” brzmiał niewinnie, dzierżył olbrzymią władzę polityczną i administracyjną. Przed końcem swej czterdziestoletniej kariery miał się szcycić doprowadzeniem kilkunastu swoich wrogów do samobójstwa, a wielu innym zniszczył życie i reputację swymi prześladowczymi obsesjami. Laszlo i ja wiedzieliśmy, że choć wziął nas teraz na cel, nie ma jeszcze obsesji na naszym punkcie, ale gdybyśmy go sprowokowali, moglibyśmy stanąć pewnego dnia przed sądem pod jakimś rozдутym zarzutem pogwałcenia moralności publicznej. Dlatego też nic nie odrzekłem na jego wybuch, a Kreizler tylko ze znużeniem wydmuchnął dym.

– A dlaczego – zapytał w końcu Laszlo – miałbym chcieć szerzyć taki zamęt, sir?

– Z próżności, sir! – odpalił Comstock. – Aby propagować swoje nikczemne teorie i zwrócić na siebie uwagę niewykształconych i srodze zdezorientowanych kręgów społeczeństwa!

– Wydaje mi się – powiedział Morgan cicho, lecz stanowczo – że społeczeństwo już kieruje na doktora Kreizlera więcej uwagi, niżby sobie życzył. – Nikt z zebranych nawet nie spróbował się zgodzić lub nie zgodzić z tym stwierdzeniem. Morgan oparł głowę na swej dużej dłoni i zwrócił się do Laszla: – Ale są to poważne zarzuty, doktorze. W przeciwnym razie nie prosiłbym, aby sprowadzono pana na to spotkanie. Przyjmuję, że nie współdziała pan z panem Kellym?

– Niektóre koncepcje pana Kelly’ego są całkiem rozsądne – odparł Kreizler, świadom, że ta uwaga jeszcze bardziej rozdrażni naszych oponentów. – Ale ściśle biorąc, jest on przestępcą i nie mogę z nim sympatyzować.

– Miło mi to słyszeć. – Morgan sprawiał wrażenie szczerze usatysfakcjonowanego tą odpowiedzią. – A co z kwestią społecznych implikacji pańskiej działalności? Muszę przyznać, że nie jestem najlepiej obeznany z tymi sprawami. Ale jak pan być może wie, zasiadam w komitecie parafialnym kościoła Świętego Jerzego, który od pańskiego domu dzieli tylko park Stuyvesanta. – Jedna z czarnych jak węgiel brwi Morgana podjechała do góry. – Nigdy nie widziałem pana na nabożeństwie.

– Moje poglądy religijne są moją prywatną sprawą – odrzekł Laszlo.

– Ale na pewno jest pan świadom, doktorze – włączył się ostrożnie arcybiskup Corrigan – że organizacje kościelne naszego miasta stanowią o utrzymaniu porządku publicznego.

Kiedy Corrigan mówił, mój wzrok powędrował ku dwóm księżom, którzy nadal stali jak posągi za swymi biskupami – i nagle zaczęło mi świtać, dlaczego właściwie jesteśmy w tej bibliotece i rozmawiamy z tymi ludźmi. Ów zarodek zrozumienia szybko rósł, ale nic nie powiedziałem, bo jedynie zaogniłbym sytuację. Usiadłem tylko wygodniej i pozwoliłem moim myślom biec dalej, spokojniejszy, że nie jesteśmy z Laszlem w takim niebezpieczeństwie, jak początkowo sądziłem.

– Słowo „porządek” – odparł Kreizler na pytanie Corrigan – można różnie interpretować, ekscelencjo. A co do pańskich trosk, panie Morgan: jeśli chciał się pan zapoznać z moją działalnością, mogłem doradzić panu sposoby prostsze niż porwanie.

– Nie wątpię – odrzekł z zakłopotaniem Morgan. – Ale skoro już tu jesteśmy, doktorze, może zechce mi pan udzielić wyjaśnień. Ci ludzie przyszli mnie prosić o pomoc w położeniu kresu waszemu śledztwu. Zanim zdecyduję, jak mam postąpić, chciałbym wysłuchać obu stron.

Kreizler westchnął ciężko, ale odpowiedział:

– Moja teoria indywidualnego kontekstu psychologicznego...

– Czysty determinizm! – nie wytrzymał Comstock. – Koncepcja, że droga postępowania każdego człowieka zostaje wytyczona w dzieciństwie i wieku młodzieńczym: to przemawia przeciw wolności, przeciw odpowiedzialności! Powiem więcej, to jest nieamerykańskie!

Przynaglony kolejnym zirytowanym spojrzeniem Morgana, biskup Potter położył Comstockowi dłoń na ramieniu i cenzor, chcąc nie chcąc, zamilkł.

– Nigdy – podjął Kreizler, nie spuszczać wzroku z Morgana – nie sprzeciwiałem się idei, że każdy człowiek odpowiada za swoje czyny przed prawem, z wyjątkiem osób naprawdę chorych psychicznie. I jeśli porozmawia pan z innymi lekarzami, przekona się, iż moja definicja choroby psychicznej jest bardziej konserwatywna niż większości z nich. Względem tego, co pan Comstock dość beztrzesko nazywa wolnością, uznaję ją jako pojęcie polityczne i prawne. Ale psychologiczny spór dotyczący pojęcia wolnej woli jest sprawą dużo bardziej złożoną.

– A co z pańskimi poglądami na rodzinę jako instytucję, doktorze? – zapytał Morgan stanowczo, lecz bez cienia krytyki w głosie. – Ci panowie, i wielu innych uczciwych ludzi, mówią o nich z wielkim niepokojem.

Kreizler wzruszył ramionami i zgasił papierosa.

– Mam bardzo mało poglądów na rodzinę jako instytucję społeczną. Skupiam się w mojej pracy na licznych grzechach, które struktura rodzinna często ukrywa. Staram się demaskować te grzechy i zwalczać ich wpływ na dzieci. Nie będę za to przepraszał.

– Ale po cóż wybierać rodziny w tym społeczeństwie? – jęknął Comstock. – Z pewnością są na świecie regiony, gdzie o wiele gorsze zbrodnie...

Morgan nagle wstał.

– Dziękuję panom – zwrócił się do cenzora i duchownych tonem, który zapowiadał podjęcie surowych środków, gdyby go nie posłuchali. – Inspektor Byrnes odprowadzi was do wyjścia.

Comstock wyglądał na nieco zbitego z tropu, ale Pottera i Corriganą najwyraźniej spotkała już kiedyś taka odprawa, bo opuścili bibliotekę w dużym pośpiechu. Zostawszy z samym Morganem, poczułem się znacznie różniej; Kreizler chyba również. Mimo całej wielkiej i tajemniczej władzy tego człowieka (zaledwie rok wcześniej w pojedynkę uratował rząd Stanów Zjednoczonych od ruiny finansowej) było coś krzepiącego w jego oczywistej kulturze i szerokich horyzontach.

– Pan Comstock – oznajmił Morgan, siadając – jest bogobojnym obywatelem, ale nie sposób się z nim dogadać. Natomiast pan, doktorze... Choć niewiele pojmuję z tego, co mi pan powiedział, mam wrażenie, iż jest pan człowiekiem, z którym można dojść do porozumienia. – Przyglądał surdut, skubnął wąsy i rozparł się w fotelu. – Atmosfera w mieście jest napięta, panowie. Nie zdajecie sobie chyba sprawy, jak bardzo napięta.

Stwierdziłem, że nadeszła pora, abym ujawnił moje przemyślenia.

– To dlatego przyszli tu biskupi – oświadczyłem. – Było więcej zamieszek w slumsach i gettach. Dużo więcej. I martwią się o swoje pieniądze.

– O swoje pieniądze? – powtórzył Kreizler, wyraźnie zdezorientowany.

Odwrociłem się do niego.

– Nie osłaniali mordercy. Morderca nigdy ich nie obchodził. To reakcja imigrantów napędziła im stracha. Corrigan się boi, że wpadną w taki gniew, że posłuchają Kelly'ego i jego przyjaciół socjalistów – w taki gniew, że przestaną przychodzić na niedzielną mszę i rzucać na tacę swoje ostatnie grosze. Mówią krótko, facet się boi, że nie da rady skończyć tej swojej cholernej katedry i różnych innych świętych przedsięwzięć, które sobie pewnie zaplanował.

– A co z Potterem? – zapytał Kreizler. – Sam mi mówiłeś, że Kościół episkopalny nie ma wielu wyznawców wśród imigrantów.

– To prawda – odparłem, uśmiechając się lekko. – Ale ma coś jeszcze bardziej zyskownego i jestem osłem, że o tym nie pamiętałem. Może pan Morgan zechce ci powiedzieć... – odwróciłem się w stronę orzechowego biurka, by stwierdzić, że Morgan patrzy na mnie z zakłopotaniem – ...do kogo należy najwięcej nowojorskich slumsów?

Kreizler gwałtownie zaczerpnął oddechu.

– Rozumiem. Do Kościoła episkopalnego.

– Te operacje są całkowicie legalne – wtrącił szybko Morgan.

– Owszem – przyznałem. – Ale Kościół byłby w nie lada kłopotcie, gdyby lokatorzy czynszówek masowo się zbuntowali i zażądali poprawy warunków mieszkaniowych, nieprawdaż?

Morgan bez słowa spuścił wzrok.

– Nadal czegoś nie rozumiem – oznajmił Kreizler. – Jeśli Corrigan i Potter tak się boją skutków tych zbrodni, dlaczego utrudniają schwytanie sprawcy?

– Powiedziano nam, że nie da się go schwycić – odparł Morgan.

– Ale dlaczego chcą przeszkodzić w próbie? – naciskał Kreizler.

– Dlatego, panowie – odezwał się cichy głos za naszymi plecami – że póki sprawa jest uważana za nierozwiązywalną, nie można nikogo winić o to, że jej nie rozwiązał.

Był to Byrnes, który niepostrzeżenie wrócił do pokoju. Facet naprawdę potrafił zbijać z tropu.

– Wytlumaczy się plebsowi – ciągnął, biorąc cygaro z pudełka na biurku Morgana – że takie rzeczy się zdarzają. Nikt nie jest temu winien. Chłopcy schodzą na złą drogę. Chłopcy giną. Kto ich zabija? Dlaczego? Nie sposób ustalić. I nie ma potrzeby. W zamian udzieli się społeczeństwu prostszej lekcji... – Byrnes pociągnął zapałką o podeszwę buta i przypalił cygaro, którego czubek buchnął wysokim płomieniem. – Przestrzegajcie prawa, a nic się wam nie stanie.

– Do diabła, Byrnes – powiedziałem. – My możemy rozwiązać tę sprawę, jeśli tylko zejdziecie nam z drogi. Zaledwie ostatniej nocy...

Zamilkłem, bo Kreizler ścisnął mi przegub dłoni. Byrnes podszedł powoli do mojego fotela, nachylił się i poczęstował mnie sporą dawką dymu z cygara.

– Co ostatniej nocy, Moore?

Nie mogłem sobie w takiej chwili nie przypomnieć, że mam do czynienia z człowiekiem, który osobiście pobił do nieprzytomności dziesiątki przestępców i podejrzanych. Ten styl przesłuchania stał się sławny w Nowym Jorku i całym kraju pod nazwą, którą nadał mu sam Byrnes: „przesłuchanie trzeciego stopnia”. Mimo to spróbowałem się postawić.

– Daruj sobie te metody silnej ręki, Byrnes. Nie masz już żadnej władzy. Nie masz nawet swoich zbirów do pomocy.

Dojrzałem za wąsami wyszczerzone zęby.

– Chciałbyś, żebym zawołał Connora? – Nic nie odrzekłem, a Byrnes zachichotał.

– Zawsze miałeś długi język, Moore. Reporterzy. Ale niech ci będzie. Powiedz panu Morganowi, jak zamierzacie rozwiązać tę sprawę. Wasze metody śledcze. Wyjaśnij je.

Odwrociłem się do Morgana.

– Dla kogoś takiego jak inspektor Byrnes nie będzie to miało sensu, i niewykluczone, że dla pana również, ale... stosujemy procedurę, którą można by nazwać wsteczną.

Byrnes roześmiał się na cały głos.

– Którą można by nazwać bzdurną!

Uświadomiwszy sobie mój błąd, zmieniłem taktykę.

– To znaczy, że wychodzimy od charakterystyki samych zabójstw, jak również cech osobowości ofiar, i na tej podstawie ustalamy, jakiego rodzaju człowiek mógłby być mordercą. Potem, wykorzystując tropy, które przy innej metodzie nie miałyby znaczenia, zawężamy obszar poszukiwań.

Czułem, że tracę grunt pod nogami, i ulżyło mi, gdy włączył się Kreizler:

– Nasze działania mają precedens. Podobną, choć bardziej elementarną próbę podjęto osiem lat temu w Londynie podczas morderstw Kuby Rozpruwacza. A policja francuska tropi obecnie własnego Rozpruwacza, stosując metody zbliżone do naszych.

– Czyżby schwytano londyńskiego Rozpruwacza – zawołał Byrnes od regału z książkami – a ja nic o tym nie wiem, doktorze?

Kreizler zmarszczył brwi.

– Nie.

– A policja francuska, stosując swoją antropo-abrakadabkę, czy zrobiła jakieś postępy?

Mars Laszla pogłębił się.

– Bardzo małe.

– Wspaniałe przykłady, panowie – mruknął Byrnes.

Zapadła cisza i czując, że nasze akcje spadają, odezwałem się z nową determinacją:

– Faktem jest...

– Faktem jest – przerwał mi Byrnes, podchodząc z powrotem do nas, ale zwracając się do Morgana – że to intelektualne ćwiczenie nie daje żadnych szans rozwiązania sprawy. Tymczasem ci ludzie robią taką nadzieję wszystkim, z którymi rozmawiają, co jest nie tylko pozbawione sensu, lecz także niebezpieczne. Imigrantom należy mówić wyłącznie to, że oni i ich dzieci mają przestrzegać prawa. Jeśli uprą się je łamać, sami będą winni temu, co się stanie. Może być im trudno przełknąć tę lekcję. Ale ten idiota Strong i jego kowbojski komisarz policji już niedługo stracą swoje stołki. A wtedy przywrócimy stare metody karmienia na siłę. I to szybko.

Morgan pokiwał głową, a potem przeniósł wzrok z Byrnesa na Kreizlera i z powrotem.

– Wyłożył pan swoje poglądy, inspektorze. Czy zechce pan zostawić nas teraz samych?

W przeciwieństwie do Comstocka i biskupów, Byrnes wydawał się niemal rozbawiony tą szorstką odprawą: wychodząc z biblioteki, zaczął cicho pogwizdywać. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Morgan wstał i wyrztał przez okno. Wyglądało to tak, jakby chciał się upewnić, że Byrnes opuścił dom.

– Czy mogę zaproponować panom coś do picia? – spytał Morgan po dłuższej chwili.

Kiedy Laszlo i ja podziękowaliśmy, nasz gospodarz wyjął z pudełka cygaro, przypalił je i zaczął powoli spacerować po grubym dywanie.

– Zgodziłem się przyjąć tę małą delegację – oświadczył – z szacunku dla biskupa Pottera oraz dlatego, że nie chcę, aby te wybuchy niepokoju społecznego się powtarzały.

– Chwileczkę – wtrąciłem, nieco zdziwiony jego tonem. – Czy pan lub któryś z pozostałych dzentelmenów chociaż rozmawiał o tej sprawie z burmistrzem Strongiem?

Morgan szybko machnął ręką.

– Jeśli idzie o pułkownika Stronga, zgadzam się z inspektorem Byrnesem. Nie jestem zainteresowany współpracą z człowiekiem, którego władzę ogranicza elekcja. Poza tym Strong nie ma głowy do spraw o takim charakterze.

Morgan podjął swój dostojny spacer po pokoju, a Kreizler i ja milczeliśmy. Biblioteka powoli napełniała się gęstym dymem z cygara i kiedy nasz gospodarz wreszcie przystanął i znowu przemówił, ledwo go widziałem przez brązową mgłę.

– Moim zdaniem, panowie, istnieją tylko dwa rozsądne sposoby działania: wasz i ten, który zaleca Byrnes. Musimy mieć porządek. Szczególnie teraz.

– Dlaczego teraz? – zapytał Kreizler.

– Pan może się w tym nie orientować, doktorze – odparł z namysłem Morgan – ale stoimy na rozdrożu, zarówno Nowy Jork, jak i cały kraj. To miasto się zmienia. Dramatycznie. Och, nie mam na myśli wzrostu zaludnienia i napływu imigrantów. Chodzi mi o samo miasto. Dwadzieścia lat temu Nowy Jork był przede wszystkim portem, handel stanowił główne źródło naszych dochodów. Dzisiaj, kiedy inne porty zagrażają naszemu prymatowi, przemysł i bankowość usunęły handel w cień. Przemysł, jak panowie wiecie, wymaga siły roboczej, i inne, mniej szczęśliwe narody nam jej dostarczają. Przywódcy związków zawodowych twierdzą, że owi robotnicy są tu źle traktowani. Ale źle czy dobrze, na pewno lepiej niż tam, skąd pochodzą, toteż nadal do nas przyjeżdżają. Z pańskiego akcentu wnoszę, że pan również przybył z Europy. Długo pan tam mieszkał?

– Wystarczająco długo – odrzekł Kreizler – aby rozumieć, o co panu chodzi.

– Nie mamy obowiązku zapewniania dobrobytu wszystkim, którzy przyjeżdżają do tego kraju – ciągnął Morgan. – Mamy obowiązek zapewnić im szansę osiągnięcia dobrobytu dzięki dyscyplinie i ciężkiej pracy. Ta szansa to więcej niż mają gdzie indziej.

– Zapewne – przyznał Laszlo z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

– Nie będziemy mogli oferować takiej szansy w przyszłości, jeśli rozwój naszej gospodarki, która przeżywa obecnie głęboki kryzys, będą opóźniać nierozsądne idee polityczne zrodzone w gettach Europy.

Morgan odłożył cygaro do popielniczki, podszedł do kredensu i nalał trzy szklance trunku, który okazał się wyborną whisky. Nie pytając po raz drugi, czy Laszlo i ja chcemy się napić, podał nam szklance.

– Należy przeciwdziałać wszelkim wydarzeniom, które mogłyby zostać wykorzystane do szerzenia tych idei. Dlatego był tutaj pan Comstock. Uważa on, że pańskie poglądy, doktorze, są bliskie tym ideom. I obawia się, że gdyby wasze śledztwo zakończyło się sukcesem, zyskałyby one większą wiarygodność. Tak więc widzicie, panowie... – Morgan wziął cygaro i zaciągnął się głęboko. – Narobiliście sobie licznych i potężnych wrogów.

Kreizler powoli wstał z fotela.

– Czy musimy zaliczać do tych wrogów również pana?

Cisza, która zapadła po tym pytaniu, zdawała się nie mieć końca, ponieważ od odpowiedzi Morgana zależała przyszłość naszego śledztwa. Gdyby stwierdził, że Potter, Corrigan, Comstock i Byrnes mają rację i że nasza działalność stanowi niedopuszczalne zagrożenie dla *status quo* w mieście, nie pozostałoby nam nic innego, jak zwinąć manatki. Morgan mógł kupić lub sprzedać każdego i wszystko w Nowym Jorku; przeszkody, które napotkaliśmy dotąd, byłyby niczym w porównaniu z tym, co by nas czekało, gdyby zdecydował się nam przeciwstawić. I odwrotnie, gdyby zasygnalizował innym możliwym i bogatym tego miasta, że nasze wysiłki mają być jeśli nie aktywnie wspierane, to chociaż tolerowane, moglibyśmy kontynuować śledztwo, nie obawiając się ingerencji gorszych od tych, których nasi przeciwnicy już próbowali. Wreszcie Morgan odetchnął głęboko.

– Nie musicie, sir – powiedział, gasząc cygaro. – Jak już mówiłem, nie rozumiem wszystkiego, co mi panowie wyłożyli o psychologii czy waszych metodach śledczych. Ale znam się na ludziach. I nie wydaje mi się, abyście pragnęli zguby społeczeństwa. – Kreizler i ja skinęliśmy spokojnie głowami, nie dając po sobie poznać, jak olbrzymią odczuliśmy ulgę. – Napotkacie jeszcze wiele trudności – ciągnął Morgan, łagodniejszym niż dotąd tonem. – Duchowni, którzy tu byli, dadzą się, jak sądzę, nakłonić do zachowania neutralności, ale Byrnes nadal będzie was nękał, próbując bronić systemu i metod, których stworzeniu poświęcił tyle lat. I będzie miał poparcie Comstocka.

– Dotychczas sobie z nimi radziliśmy – odparł Kreizler – i będziemy sobie radzić nadal.

– Rzecz jasna nie mogę was poprzeć publicznie – dodał Morgan, wskazując drzwi biblioteki i podchodząc do nich z nami. – Byłoby to stanowczo zbyt... skomplikowane.

To znaczyło, że przy całej swej inteligencji i erudycji Morgan był w głębi duszy typowym hipokrytą z Wall Street, publicznie mówiącym o Bogu i rodzinie, a prywatnie trzymającym jacht pełen kochanek i cieszącym się szacunkiem ludzi, którzy żyją według podobnych zasad. Niewątpliwie straciłby na tym szacunku, gdyby się okazało, że współdziała z Kreizlerem.

– Niemniej – podjął Morgan przy frontowych drzwiach – jako że szybkie zakończenie tej sprawy leży w interesie nas wszystkich, gdyby panowie potrzebowali funduszy...

– Dziękujemy panu, ale nie – odparł Kreizler, gdy wyszliśmy na zewnątrz. – Nie powinno być między nami żadnych powiązań finansowych. Musi pan dbać o swoją pozycję.

Morgan zachnął się na tę cierpką uwagę i mruknawszy szybko „do widzenia”, zamknął drzwi, nie podając nam ręki.

– To chyba nie było konieczne, Laszlo – powiedziałem, gdy schodziliśmy po schodkach. – Facet chciał nam pomóc.

– Nie bądź naiwny, Moore – syknął Kreizler. – Tacy ludzie robią wyłącznie to, w czym widzą dla siebie korzyść. Morgan uznał, że raczej my schwytamy mordercę niż Byrnesowi i spółce uda się bez końca tłumić gniew imigrantów. I ma rację. Mówię ci, John, niemal warto byłoby przegrać, aby zobaczyć, jak się to odbije na takich ludziach.

Byłem zdecydowanie zbyt wyczerpany, aby słuchać jednej z tyrad Laszla, i szybko rozejrzałem się po Madison Avenue.

– Złapiemy dorożkę pod Waldorfem – stwierdziłem, nie widząc żadnej w okolicy.

Kiedy schodziliśmy z Murray Hill, na ulicy prawie nic się nie działo, a Laszlo w końcu przestał perorować o grzechach ludzi, z którymi się spotkał. W miarę jak cisza i nasze znużenie się pogłębiały, konferencja w Czarnej Bibliotece zaczęła przybierać nierealny wymiar.

– Chyba nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony – powiedziałem, ziewając, gdy doszliśmy do Trzydziestej Czwartej Ulicy. – Wiesz, Kreizler, że kiedy zobaczyłem Morgana, przez sekundę myślałem, że to on jest mordercą?

Laszlo roześmiał się głośno.

– Ja też! Deformacja na twarzy, Moore: ten nos, ten nos! Jedyne miejsce, którego nie braliśmy pod uwagę!

– Wyobraź sobie, co by było, gdyby to był on. Sytuacja już jest wystarczająco nieprzyjemna.

Znaleźliśmy dorożkę pod wystawnie eleganckim hotelem Waldorf, którego siostrę, Astorię, właśnie budowano.

– A będzie jeszcze gorzej – dodałem. – Morgan ma co do tego rację. Byrnes jest groźnym przeciwnikiem, a Comstock robi wrażenie kompletnie pomylonego.

– Mogą nam grozić, ile chcą – odparł wesoło Kreizler, gdy wsiedliśmy do dorożki.
– Wiemy już, kim są, i będzie nam łatwiej się bronić. Poza tym im będzie coraz trudniej atakować. W najbliższych dniach bowiem nasi oponenci odkryją, że tajemniczo... – Laszlo rozczapierzył palce obu dłoni – ...zniknęliśmy.

ROZDZIAŁ 31

Sara zapukała do drzwi domu mojej babki nazajutrz o dziewiątej trzydzieści. Choć przespałem ponad dziesięć godzin, nadal byłem otumaniaty i kompletnie wyczerpany. „Times”, którego Sara miała pod pachą, obwieszczał, że jest 26 maja, a ostre słońce atakujące mnie, gdy szedłem do dorożki, bezspornie dowodziło, że wiosna kontynuuje swój marsz w stronę lata, ale równie dobrze mógłbym być na Marsie (który, jak się dowiedziałem, czytając półprzytomnie pierwszą stronę gazety, stanowił obiekt badań wybitnych astronomów z Bostonu, twierdzących, że planetę, „czerwoną gwiazdę wojny”, jak ją nazywali, zamieszkują istoty ludzkie). Podczas jazdy do Kreizlera Sara zdrowo sobie pożartowała z mojej kiepskiej formy, kiedy jednak zacząłem jej opowiadać o naszej niespodziewanej wizycie u Pierponta Morgana, stała się uosobieniem powagi.

Na Siedemnastej Ulicy zastaliśmy Laszla w kolasce, ze Steviem na koźle. Wziąłem moją małą torbę i przesiedliśmy się z Sarą do nich. Gdy ruszaliśmy, podniosłem głowę i zobaczyłem, że na balkoniku salonu stoi Mary Palmer. Obserwowała nas niespokojnie, a na jej policzkach, jeśli dobrze widziałem z tej odległości, lśniły ślady łez. Zerknąwszy na Kreizlera, stwierdziłem, że on także spogląda na Mary, a gdy odwrócił się do przodu, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Uznałem to za co najmniej dziwną reakcją na rozpacz dziewczyny i pomyślałem, że może Sara ma z tym coś wspólnego, ale gdy na nią spojrzałem, ostentacyjnie patrzyła w przeciwną stronę, na park Stuyvesanta. Rozdrażniony tymi nowymi dowodami zawilgości stosunków między moimi przyjaciółmi i chwilowo niezdolny do ich rozwikłania, oparłem się o siedzenie i pozwoliłem, by wiosenne słońce piekło mi twarz.

Jazda na Dworzec Główny nie została jednak zaplanowana z myślą o relaksie. Na rogu Osiemnastej Ulicy i Irving Place Stevie zatrzymał się pod jakąś gospodą i Kreizler, wzięwszy nasze bagaże, polecił Sarze i mnie, abyśmy towarzyszyli mu do środka. Posłuchaliśmy, ja trochę utyskując. Gdy kilka chwil po wejściu do ciemnego, zadymionego lokalu wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem, że do kolaski wsiadają i odjeżdżają ze Steviem jacyś dwaj mężczyźni i kobieta. Wszyscy troje mieli twarze zasłonięte kapeluszami. Kiedy zniknęli nam z oczu, Kreizler wybiegł na ulicę i przywołał dorozkę. Ta irytująca gimnastyka, wyjaśnił, gdy znów ruszyliśmy w stronę śródmieścia, miała zmylić agentów, którym, jak sądził, inspektor Byrnes kazał nas śledzić. Był to bez wątpienia bardzo sprytny wybieg, ale nie mogłem się już doczekać, kiedy wsiądziemy do pociągu, gdzie miałem nadzieję pójść z powrotem spać.

Od słodkiego odpoczynku dzieliła mnie wszelako jeszcze jedna zagadka. Gdy dotarliśmy na Dworzec Główny, Sara towarzyszyła nam na peron, gdzie stał i buchał parą waszyngtoński pociąg. Kreizler zasypywał dziewczynę ostatnimi instrukcjami dotyczącymi łączności *et cetera* oraz wskazówkami, jak ma pod jego nieobecność postępować ze Steviem i jak pielęgnować Cyrusa, gdy wyjdzie ze szpitala. Nagle rozległ się głośny świst lokomotywy i cichszy gwizdka konduktora, dający sygnał do wsiadania. Odsunąłem się od moich towarzyszy, oczekując jakiejś krepującej sceny pożegnalnej, ale Kreizler i Sara tylko uścisnęli sobie po koleżeńsku dłonie i Laszlo natychmiast wskoczył do pociągu. Ze zdumienia aż rozdziawiłem usta, na co Sara zareagowała chichotem.

– Biedny John – powiedziała, ściskając mnie serdecznie. – Nadal nic nie rozumie. Cierpliwości, wszystko się kiedyś wyjaśni. I nie przejmuj się za bardzo tym, że twoja teoria o księdzu okazała się błędna. Wkrótce znowu coś wymyślisz.

Po tych słowach wepchnęła mnie do pociągu, w momencie gdy sapiąc, zaczął już wytaczać się ze stacji.

Kreizler zajął przedział w pierwszej klasie i gdy tylko się rozlokowaliśmy, ległem na siedzeniu, głową w stronę okna, postanawiając, że zduszę snem ciekawość co do zachowania moich przyjaciół. Natomiast Laszlo wyjął pożyczony od Luciusa Isaacsona *Kamień księżycowy* Wilkiego Collinsa i z wielkim zadowoleniem przystąpił do lektury. Zirytowany, przekreśliłem się na drugi bok, naciągnąłem kaszkiet na twarz i celowo zacząłem chrapać, zanim usnąłem.

Spałem dobre dwie godziny, a kiedy się obudziłem, za oknem przelatywały bujne, zielone pastwiska New Jersey. Przeciągając się, stwierdziłem, że mój poranny zły nastrój wreszcie minął: byłem głodny, ale poza tym całkiem zadowolony z życia. Kreizler zostawił mi na siedzeniu kartkę, że poszedł do wagonu restauracyjnego, aby zająć stolik na lunch, więc szybko doprowadziłem się do porządku i dołączyłem do niego, gotów zjeść konia z kopytami.

Reszta podróży upłynęła nam bardzo miło. Rolniczy pejzaż Północnego Wschodu nigdy nie jest równie malowniczy jak pod koniec maja, stanowił więc wspaniałe tło dla jednego z lepszych posiłków, jaki zdarzyło mi się jeść w pociągu. Kreizler nadal miał niezły humor i wyjątkowo był skłonny rozmawiać na tematy niezwiązane ze śledztwem. Podyskutowaliśmy o zbliżających się konwencjach politycznych (republikanie mieli się zebrać w czerwcu w St. Louis, a demokraci trochę później w Chicago), a potem o artykule w „Timesie”, informującym, że na Harvard Square wybuchły zamieszki po zwycięstwie drużyny baseballowej naszej *alma mater* nad Princeton. Przy deserze Kreizler omal nie udławił się na śmierć, gdy przeczytał notatkę, że Henry Abbey i Maurice Grau, impresariowie Metropolitan Opera, ogłosili upadłość spółki i długi sięgające czterystu tysięcy dolarów. Nieco uspokoiła Laszla wiadomość, że „grupa prywatnych sponsorów” (niewątpliwie pod przywództwem naszego gospodarza z poprzedniego wieczoru) zamierza ratować Metropolitan. Ich pierwszym krokiem miało być benefisowe przedstawienie *Don Giovanniego*, urządzane za bardzo drogimi biletami 24 czerwca. Kreizler i ja stwierdziliśmy, że musimy na nie pójść, bez względu na to, co się będzie wówczas działo z naszym śledztwem.

Przyjechaliśmy na elegacką waszyngtońską Union Station późnym popołudniem i przed kolacją ulokowaliśmy się w dwóch bardzo wygodnych pokojach na trzecim piętrze okazałego, wiktoriańskiego gmachu znanego jako hotel Willard. Dookoła, znakomicie widoczne z naszych okien, wznosiły się budynki rządowe. W parę minut mógłbym się przespacerować do Białego Domu i spytać Grovera Clevelanda, co będzie czuł, opuszczając tę rezydencję drugi raz w życiu. Nie byłem w stolicy, odkąd jednocześnie zakończyły się moja kariera dziennikarza politycznego i narzeczeństwo z Julią Pratt, i dopiero stojąc w ten wiosenny wieczór w moim pokoju w Willardzie i patrząc na piękną panoramę Waszyngtonu, uświadomiłem sobie w pełni, jak bardzo zmieniło się moje życie. Ogarnęła mnie melancholia i aby jej przeciwdziałać, zadzwoniłem szybko do Hobarta Weavera, mego dawnego kompana od hulanki, zajmującego obecnie dość wysokie stanowisko w Biurze ds. Indian. Zastałem go w pracy i umówiliśmy się na spotkanie w hotelowej restauracji, gdzie dołączył do nas Kreizler.

Hobart był korpulentnym i tępawym okularnikiem, który najbardziej ze wszystkiego lubił darmowe jedzenie i picie. Zapewniając mu jedno i drugie w obfitości, zyskiwałem gwarancję, że nie będzie zadawał zbyt wielu pytań i zachowa dyskrecję. Powiedział nam, że Biuro istotnie przechowuje akta morderstw popełnionych przez Indian lub im przypisywanych. Wyjaśniliśmy, że interesują nas wyłącznie sprawy nierozwiązane, ale kiedy spytał, z jakich części kraju i z jakiego okresu, mogliśmy tylko odpowiedzieć: „z pogranicza, z ostatnich piętnastu lat”. Hobart stwierdził, że sprawdzenie tak szerokiego spektrum będzie wymagało długiego grzebania się w archiwum i że on i ja będziemy musieli to robić cichaczem: jego szef, sekretarz zasobów wewnętrznych Michael Hoke Smith, podzielał niechęć prezydenta Clevelanda do dziennikarzy, a zwłaszcza wścibskich dziennikarzy. Ale w miarę jak Hobart pakował w siebie coraz więcej dziczyny i wina, nabierał przekonania, iż rzecz jest wykonalna (choć nadal nie miał pojęcia, o co nam chodzi), i aby się w tym przekonaniu utwierdził, zabrałem go po kolacji do pewnego lokalu w południowo-wschodniej części miasta, oferującego rozrywki z gatunku nieskromnych.

Nazajutrz, w środę, Kreizler i ja zjedliśmy śniadanie wcześniej rano. Mieliśmy nadzieję, że – podróżując bez odpoczynku – Isaacsonowie dotrą do Deadwood w Dakocie Południowej najdalej w czwartek wieczorem. Zaraz po przyjeździe mieli spytać w biurze Western Union Telegraph o wiadomości od nas, Kreizler wysłał więc pierwszą depezę tuż po śniadaniu. Poinformował w niej braci, że z powodów, które wyłuszczyliśmy później, teoria, iż nasz morderca jest księdzem, upadła, i że przekażemy im nowe koncepcje, jak tylko je sformułujemy. Potem Laszlo wyruszył do szpitala Świętej Elżbiety, a ja udałem się spacerkiem na F Street, do gmachu Urzędu Patentowego, gdzie mieściło się archiwum i większość biur Departamentu Zasobów Wewnętrznych.

Olbrzymi Urząd Patentowy wzniesiono w 1867 roku w stylu neoklasycystycznym, który szybko stawał się „obowiązujący” dla budynków publicznych w stolicy. Był więc prostokątny, pusty i równie monotony wewnątrz, jak na zewnątrz. Zajmowało toto całą przestrzeń między ulicami Siódmą i Dziewiątą, stąd odszukanie w środku gabinetu Hobarta nie było wcale łatwe. Ostatecznie jednak ogrom ten okazał się błogosławieństwem, ponieważ nikt nie zwracał na mnie uwagi: po korytarzach czterech skrzydeł gmachu błąkały się setki urzędników państwowych, w większości nieznających nawzajem swoich nazwisk i funkcji. Hobart, w znakomitej formie mimo nocnych szaleństw, znalazł już dla mnie małe biurko w kącie jednego z podziemnych pokoi archiwum i przygotował pierwszą porcję akt do przejrzania: raporty z pogranicznych fortów i ośrodków administracji, sięgające 1881 roku i dotyczące krwawych incydentów między osadnikami i różnymi szczepami Siuksów.

Przez następne dwa dni prawie nie oglądałem Waszyngtonu poza tym małym kątem zakurzonego archiwum. Jak się to dzieje podczas długiego przebywania w pomieszczeniach bez okien, szybko zacząłem tracić poczucie rzeczywistości i przerażające opisy rzezi, morderstw i najazdów, nad którymi ślęczałem, nabierały żywości, jakiej by nie miały, gdybym je czytał, powiedzmy, w jednym z miejskich parków. Traciłem przy tym czas na historie nieciekawe z naszego punktu widzenia, lecz tak niezdrowo fascynujące same w sobie, że musiałem wiedzieć, jak się kończą. Większość relacji dotyczyła aktów indiańskiej zemsty, które przy całym swym okrucieństwie wydawały się co najmniej zrozumiałe, zważywszy na nikczemną perfidię białych: żołnierzy i urzędników (Biuro ds. Indian było najbardziej skorumpowaną agendą skandalicznie skorumpowanego departamentu) oraz handlarzy bronią palną i whisky. Czytając te opowieści, przypominałem sobie, z jakim niepokojem Franz Boas i Clark Wissler podeszli do naszego śledztwa: przeciętny biały obywatel Stanów Zjednoczonych, z zasady głęboko nieufny wobec plemion indiańskich, nie znał dokumentów, które badałem, a tym samym nie był świadom rzeczywistego stanu naszych stosunków z Indianami.

W środę wieczorem, po moim pierwszym długim dniu w podziemiach Departamentu Zasobów Wewnętrznych, usiedliśmy z Kreizlerem w jego pokoju w Willardzie, aby podzielić się informacjami. Dyrektor Świętej Elżbiety okazał się równie nieprzystępny osobiście jak wcześniej przez telefon i Laszlo był zmuszony odwołać się do Roosevelta – który z kolei poprosił o interwencję swego znajomego z prokuratury generalnej – aby uzyskać dostęp do szpitalnego archiwum. Zajął to Kreizlerowi większość dnia, i mimo że miał dość czasu, aby sporządzić listę żołnierzy, którzy służyli w Armii Zachodu i zostali następnie odesłani do Świętej Elżbiety z powodu zaburzeń równowagi psychicznej, był głęboko rozczarowany. Okazało się bowiem, że mężczyzna, o którym napisano do nas ze szpitala, istotnie był żołnierzem, lecz urodził się i wychował na Wschodzie i nigdy nie stacjonował dalej niż w Chicago.

– Chyba Indianie nie grasują już w Chicago? – zapytałem, gdy Laszlo wpatrywał się w kartkę z informacjami o pochodzeniu i przebiegu służby delikwenta.

– Nie – odparł cicho Kreizler. – Naprawdę szkoda. Wiele innych danych wskazywałoby na tego człowieka.

– Nie warto się nad nimi zatrzymywać – stwierdziłem. – Mamy mnóstwo innych kandydatów. Na razie Hobart i ja wyłowiliśmy cztery morderstwa z okaleczeniami popełnione w obu Dakotach i Wyomingu, gdy w okolicy przebywały zarówno grupy Siuksów, jak i oddziały wojska.

Kreizler z ociąganiem odłożył swoją kartkę i podniósł wzrok.

– Czy ofiarami któregoś z tych morderstw były dzieci?

– Dwóch z czterech – odrzekłem. – W pierwszym zginęły dwie dziewczynki i ich rodzice, w drugim dziewczynka i chłopiec z dziadkiem, który był ich opiekunem. Problem w tym, że w obu przypadkach tylko dorośli mężczyźni zostali okaleczeni.

– Sformułowano jakieś teorie?

– Przyjęto, że były to napady odwetowe Indian. Ale w sprawie z dziadkiem jest pewien ciekawy szczegół. Morderstwa dokonano koło Fort Keough, późną jesienią roku osiemdziesiątego dziewiątego, czyli tuż po podziale ostatniego wielkiego rezerwatu. W okolicy kręciło się wtedy mnóstwo niezadowolonych Siuksów, głównie stronników Siedzącego Byka i drugiego wodza, zwanego... – szybko przebiegłem palcem po notatkach – ...Czerwona Chmura. Na zamordowaną rodzinę natknął się mały oddział kawalerii i dowódca przypisał winę wojowniczym podkomendnym Czerwonej Chmury. Ale jeden ze starszych żołnierzy powiedział, że Czerwona Chmura od dawna nie atakuje osadników i że zabity dziadek miał zatargi z agentami Biura do spraw Indian oraz wojskowymi z innego fortu – chyba Robinson. Podobno oskarżył sierżanta kawalerii z Robinson o próbę napaści seksualnej na swego wnuka. Jak się okazało, oddział owego sierżanta przebywał w rejonie Fortu Keough, gdy popełniono zbrodnię.

Kreizler z początku nie bardzo mnie słuchał, ale te ostatnie informacje przykuły jego uwagę.

– Znamy nazwisko sierżanta?

– Nie było go w aktach. Hobart poszpera jutro w Departamencie Wojny.

– Dobrze. Rano przetelegrafuj Isaacsonom informacje, które mamy. Szczegóły możemy dostać później.

Przejrzeliśmy resztę spraw, które wyselekcjonowałem, i z różnych powodów wszystkie je odrzuciliśmy, a potem wzięliśmy na warsztat notatki Kreizlera ze Świętej Elżbiety i przez następne kilka godzin udało nam się wyeliminować większość kandydatów. Wreszcie, dobrze po pierwszej w nocy, poszedłem do mojego pokoju i nalałem sobie zdrową porcję whisky z wodą sodową, ale usnąłem w ubraniu, zanim wypilem ją do końca.

W czwartek rano znów usiadłem za biurkiem w Departamencie Zasobów Wewnętrznych, aby zgłębiać dalsze przypadki zagadkowych morderstw z pogranicza. Około południa Hobart wrócił z krótkiej wyprawy do Departamentu Wojny, gdzie odkrył niemiły fakt: sierżant kawalerii występujący w historii o zabitym dziadku miał czterdzieści pięć lat, gdy popełniono zbrodnię, czyli pięćdziesiąt dwa w roku 1896: był więc znacznie starszy od mordercy ze stworzonego przez nas portretu. Uznałem jednak, że warto zanotować jego nazwisko i ostatnie znane miejsce pobytu (po odejściu z wojska otworzył w Cincinnati sklep tekstylny), na wypadek gdyby nasza koncepcja wieku okazała się błędna.

– Przykro mi, że nie mogłem przynieść lepszych wieści – powiedział Hobart, gdy zapisywałem szczegóły – Masz ochotę na lunch?

– Ogromną – odparłem. – Przyjdź po mnie za godzinę. Powiniennem się do tego czasu przebić przez akta z roku dziewięćdziesiątego drugiego.

– Dobrze. – Zaczął już odchodzić, ale nagle uderzył się po kieszeni, jakby coś sobie przypomniał. – Aha, John, chciałem cię spytać: te wasze poszukiwania ograniczają się do stanów i terytoriów pogranicznych, tak?

Wyjął z kieszeni jakiś złożony papier.

– Zgadza się. Bo co?

– Nic. Taka jedna dziwna historia. Trafiłem na nią wczoraj po twoim wyjściu. – Rzucił mi papier na biurko. – Chyba ci się nie przyda, to było w stanie Nowy Jork. Schabowe?

Wziąłem papier i zacząłem czytać.

– Co?

– Na lunch. Schabowe? Na Kapitolu jest świetny nowy lokal. Mają tam też dobre piwo.

– Może być.

Hobart pospieszył za ładną młodą archiwistką, która właśnie minęła moje biurko. Po chwili od strony pobliskich schodów dobiegł mnie kobiecy pisk, a potem odgłos uderzenia i bolesny jęk Hobarta. Roześmiawszy się pod nosem z mego niepoprawnego kolegi, zacząłem czytać dokument, który mi zostawił.

Opowiadał on o dziwnej śmierci pastora nazwiskiem Dury oraz jego żony, którzy w 1880 roku zostali zabici w swym bardzo skromnym domu pod New Paltz w stanie Nowy Jork, a ich zwłoki, cytując dokument, „rozdarto na strzępy w nikczemny i barbarzyński sposób”. Wielebny Victor Dury był poprzednio misjonarzem w Minnesocie i ponoć narobił sobie wrogów wśród Indian; w rzeczy samej, policja z New Paltz stwierdziła, że owo podwójne morderstwo było aktem zemsty, dokonany przez rozgoryczonych wojowników, których wódz plemienia wysłał na Wschód specjalnie w tym celu. Podstawę tego „śledczego” wniosku stanowił znaleziony na miejscu zbrodni list, w którym zabójcy wyjaśniali swe motywy i informowali, że zabierają nastoletniego syna pastorstwa, aby wychować go na Indianina. Była to dość ponura historia, która miałyby dla nas oczywistą wartość, gdyby wydarzyła się na Zachodzie. Odłożyłem papier, ale po kilku minutach znów go podniosłem, rozmyślając, czy jednak się nie mylimy co do obszaru wcześniejszej działalności naszego mordercy. W końcu postanowiłem omówić sprawę z Kreizlerem i schowałem dokument do kieszeni.

Przez resztę dnia znalazłem tylko dwa przypadki, które ewentualnie mogły nam pomóc w śledztwie. Pierwszy dotyczył dzieci zamordowanych razem z nauczycielką podczas lekcji w stojącym na uboczu budynku szkolnym, a drugi jeszcze jednej rodziny z prerii, zmasakrowanej przez Indian po zerwaniu jakiegoś traktatu. Zdając sobie sprawę, że jak na całodzienne poszukiwania jest to marny plon, wróciłem do hotelu z nadzieją, że Kreizler miał więcej szczęścia. Niestety Laszlo odkrył zaledwie kilka dodatkowych nazwisk żołnierzy, którzy służyli na Zachodzie w interesującym nas okresie piętnastu lat, trafili do szpitala Świętej Elżbiety z podejrzeniem zaburzeń psychicznych oraz mieli w jakiś sposób zniekształconą twarz, i tylko jeden z nich był w odpowiednim wieku, czyli koło trzydziestki. Gdy usiedliśmy do kolacji w hotelowej sali jadalnej, Kreizler podał mi akta owego mężczyzny, a ja wręczyłem mu dokument opowiadający o zabójstwie Durych.

– Urodzony i wychowany w Ohio – skomentowałem znaleźnisko Laszla. – Musiałby spędzić dużo czasu w Nowym Jorku po wyjściu ze szpitala.

– To prawda – przyznał Kreizler, rozkładając kartkę, którą mu dałem, i zabierając się bez entuzjazmu do zupy z krabów. – Ale jest pewien problem: opuścił Świętą Elżbietę dopiero wiosną dziewięćdziesiątego pierwszego.

– Poznał miasto szybko – odparłem, kiwając głową. – Jest to możliwe.

– Ale nie pasuje mi też jego zniekształcenie: długa blizna na prawym policzku i wargach.

– Dlaczego? To dość odrażające.

– Ale wskazuje na ranę wojenną, Moore, a to wyklucza przykrości w dzieciństwie z powodu...

Nagle Kreizler wybałuszył oczy i nie spuszczać wzroku z dokumentu o Durych, odłożył łyżkę. Gdy skończył czytać, spojrzął na mnie i odezwał się z tłumionym podnieceniem w głosie:

– Skąd to masz?

– Od Hobarta – wyjaśniłem krótko, odkładając na bok akta żołnierza z Ohio. – Znalazł to wczoraj wieczorem. Bo co?

Kreizler wyszarpnął z wewnętrznej kieszeni marynarki jakieś złożone papiery, szybko rozprostował je na stole i popchnął w moją stronę.

– Widzisz coś ciekawego?

Zajął mi to chwilę, ale zobaczyłem. U góry pierwszej kartki, która była jeszcze jednym formularzem ze szpitala Świętej Elżbiety, znajdowała się rubryka MIEJSCE URODZENIA.

Nagryzmołono w niej słowa: „New Paltz, stan Nowy Jork”.

ROZDZIAŁ 32

To ten człowiek, o którym do nas napisali? – spytałem. Kreizler z zapalem skinął głową.

– Zatrzymałem jego akta. W zasadzie nie wierzę w przeczucia, ale to nie dawało mi spokoju. Tyle szczegółów się zgadza: biedna, głęboko religijna rodzina i tylko jeden brat. Pamiętasz teorię Sary, że nasz morderca nie ma licznego rodzeństwa, bo jego matka nie lubiła rodzić dzieci?

– Kreizler – powiedziałem, chcąc, żeby trochę zwolnił.

– I ta intrygująca wzmianka o „tiku twarzowym”, który nawet w aktach szpitalnych opisano wyłącznie jako „okresowe, gwałtowne skurcze mięśni oczu i twarzy”. Bez podania przyczyny.

– Kreizler...

– Do tego nacisk na sadyzm w raporcie alienisty, który go przyjmował do szpitala, i opis incydentu, który spowodował jego zwolnienie z wojska...

– Kreizler! Czy mógłbyś się zamknąć i dać mi to obejrzeć?

Laszlo zerwał się z krzesła, cały podekscytowany.

– Tak, tak, oczywiście. A ja tymczasem sprawdzę, czy nie przyszedł telegram od sierżantów śledczych. – Odłożył na stół dokument, który mu dałem. – Czuję, że jesteśmy na tropie, Moore!

Gdy Kreizler wybiegł z jadalni, zacząłem uważnie czytać pierwszą stronę szpitalnych akt.

Kapral John Beecham, przyjęty do szpitala Świętej Elżbiety w maju 1886 roku, urodził się w New Paltz, małym miasteczku będącym sceną zabójstwa Durych, położonym na zachód od Hudson River, jakieś sześćdziesiąt pięć mil na północ od Nowego Jorku. Jako datę urodzenia podano 19 listopada 1865. Jego rodzice byli wymienieni tylko jako „zmarli”, i miał brata, osiem lat starszego od siebie.

Sięgnąłem po dokument z Departamentu Zasobów Wewnętrznych dotyczący zamordowanego pastora i jego żony. Zbrodnię popełniono w 1880 roku, pastorostwo mieli nastoletniego syna, który został porwany przez Indian. Drugi, starszy syn, Adam Dury, przebywał ponoć w tym czasie w swoim domu pod Newton w stanie Massachusetts.

Chwyciłem drugą kartkę akt ze Świętej Elżbiety i szukając bezpośredniej przyczyny skierowania Johna Beechama do szpitala, przebiegłem wzrokiem notatki alienisty, który go przyjął. Mimo niestaranności charakteru pisma lekarza wkrótce znalazłem odpowiedni fragment:

„Pacjent służył w oddziałach wezwanych przez gubernatora stanu Illinois do stłumienia zamieszek, które wybuchły podczas strajków robotniczych rozpoczętych 1 maja w rejonie Chicago (rozruchy na Haymarket Square etc). 5 maja podczas akcji na północy miasta żołnierzom rozkazano otworzyć ogień; pacjent przyłapany na kluciu bagnetem zwłok jednego z robotników przez porucznika M.; twierdzi, że M. już dawno «uwziął się» na niego etc. i stale go «obserwował»; M. zawiesił pacjenta w obowiązkach, pułkowy lekarz uznał go za niezdolnego do służby”.

Potem szły uwagi o sadyzmie i urojeniach prześladowczych, o których wiedziałem już od Kreizlera. W dalszej części akt znalazłem raporty spisane przez innych alienistów podczas czteromiesięcznego pobytu Beechama w szpitalu i przejrzałem je, szukając informacji o jego rodzicach. Nigdzie nie było wzmianki o matce, w ogóle niewiele mówiono o jego dzieciństwie, ale jeden z ostatnich dokumentów, sporządzony tuż przed zwolnieniem Beechama ze szpitala, zawierał następujący akapit:

„Pacjent wystąpił o h.c. [*habeas corpus*] i nadal utrzymuje, że w jego zachowaniu nie było nic złego ani kryminalnego; twierdzi, że społeczeństwo musi mieć prawa i ludzi, którzy pilnują ich przestrzegania; ojciec, człowiek bardzo pobożny, podkreślał znaczenie kar za nieposłuszeństwo. Zalecam zwiększenie dawki wodzianu ch.”.

W tym momencie Kreizler wrócił do stołu, potrząsając głową.

– Nic. Ich przyjazd musiał się opóźnić. – Wskazał papiery, które trzymałem w ręku. – I co ty na to, Moore?

– Czas się zgadza – odparłem z namysłem. – Miejsce również.

Laszlo klasnął w dłoń i usiadł.

– Nigdy bym o czymś takim nie pomyślał. Porwany przez Indian? Brzmi to jak nonsens.

– To może być nonsens – stwierdziłem. – W ciągu ostatnich paru dni nie odniosłem wrażenia, że Indianie biorą wielu chłopców do niewoli, zwłaszcza tak dużych chłopców.

– Jesteś pewien?

– Nie. Ale Clark Wissler powinien to wiedzieć. Jutro rano do niego zadzwonię.

– Koniecznie – odrzekł Kreizler, kiwając głową, po czym wziął ode mnie dokument o Durych i zaczął znów go studiować. – Potrzebujemy bardziej szczegółowych informacji.

– Też o tym myślałem. Mogę skontaktować Sarę z moim redakcyjnym kolegą, który wpuści ją do kostnicy.

– Jakiej kostnicy?

– Tak nazywamy archiwum. Powinna znaleźć jakieś artykuły, „Times” musiał pisać o tej historii.

– Tak, tak, z pewnością.

– Tymczasem Hobart i ja spróbujemy się dowiedzieć, kim jest ten „porucznik M.” i czy służy jeszcze w wojsku. Może mógłby nam podać więcej szczegółów.

– A ja wróćę do Świętej Elżbiety i porozmawiam z ludźmi, którzy znali kaprała Johna Beechama osobiście. – Kreizler z uśmiechem podniósł kieliszek. – Za nową nadzieję, Moore!

Podniecenie i ciekawość prawie nie dały mi spać tej nocy, ale rano przyniósł pomyślną wiadomość, że Isaacsonowie dotarli do Deadwood. Kreizler zajął się wysyłaniem telegramu, w którym polecał im czekać na dalsze instrukcje do popołudnia lub wieczora, a ja poszedłem zadzwonić do Nowego Jorku. Uzyskanie połączenia z Muzeum Historii Naturalnej wymagało nie lada zachodu, a odszukanie Clarka Wisslera było jeszcze trudniejsze. Gdy wreszcie podszedł do telefonu i wyłuszczyłem mu sprawę, okazał mi nie tylko pomoc, lecz także entuzjazm – głównie, jak sądzę, dlatego, że mógł z całym przekonaniem oświadczyć, iż historia opisana w dokumencie z Departamentu Zasobów Wewnętrznych jest bzdurą. Już sam pomysł, że jakiś wódz Indian wysłał wojowników aż do New Paltz – i że dotarli tam bez przeszkód – wydawał się dziwaczny, a dalsze twierdzenia, że popełniwszy zbrodnię, zostawili list z wyjaśnieniami, porwali młodego syna ofiar, zamiast go zabić, i wrócili do siebie niezauważeni przez nikogo, były zbyt niedorzeczne, aby w ogóle się nad nimi zastanawiać. Ktoś, zapewnił mnie Wissler, zwiódł ewidentnie tępą policję w New Paltz nie najmądrzejszą bajeczką. Podziękowałem mu serdecznie, rozłączyłem się i zadzwoniłem na Broadway 808.

Sara odezwała się w słuchawce bardzo niespokojnym głosem: w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin naszym sztabem interesował się cały tłum podejrzanych typów, a ona sama była śledzona praktycznie bez przerwy, i chociaż nigdzie nie ruszała się bez broni, taki nadzór szarpał jej nerwy. Nuda jeszcze pogarszała sprawę: ponieważ Sara nie miała po naszym wyjeździe nic do roboty, mogła do woli rozmyślać o swych prześladowcach. Dlatego też perspektywa jakiegoś zajęcia, choć były to tylko poszukiwania w archiwum „Timesa”, podziałała na jej duszę jak balsam, i dziewczyna chciwie wysłuchiwała szczegółów naszej najnowszej teorii. Potem spytałem, kiedy Cyrus będzie mógł jej towarzyszyć jako obstawa, na co odparła, że chociaż nasz olbrzym wyszedł już ze szpitala, jest jeszcze bardzo słaby i nie opuszcza łóżka w domu Kreizlera.

– Dam sobie radę, John – oznajmiła, ale jej słowom brakowało zwykłego przekonania.

– Pewnie, że dasz – odparłem. – Wątpię, czy choć połowa nowojorskich przestępców jest tak dobrze uzbrojona. Albo policjantów, jeśli o to chodzi. Mimo wszystko trzymaj się Steviego. Jak na swój wiek ma niezły talent do bitki.

– Tak – przyznała Sara, śmiejąc się kojąco. – Już jest mi bardzo pomocny, odprowadza mnie co wieczór do domu. Palimy razem papierosy, ale nie musisz o tym mówić doktorowi Kreizlerowi.

Chciałem ją spytać, dlaczego wciąż tytułuje Laszla „doktorem Kreizlerem”, ale miałem ważniejsze sprawy na głowie.

– Muszę kończyć, Saro. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiesz.

– Dobrze. Uważajcie na siebie, John.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem szukać Kreizlera.

Nadal stał przy okienku telegraficznym i notował ostatnie słowa wiadomości, którą następnie postał Rooseveltowi. W niejasno sformułowanych zdaniach (i nie podpisując depeszy) Laszlo prosił Theodore’a, aby skontaktował się po pierwsze z kancelarią burmistrza New Paltz i ustalił, czy w ciągu ostatnich dwudziestu lat żyła w miasteczku jakaś rodzina lub osoba nazwiskiem Beecham, a po drugie z władzami Newton w stanie Massachusetts, w celu sprawdzenia, czy mieszka tam jeszcze niejaki Adam Dury. Choć pragnęliśmy uzyskać odpowiedzi na te pytania jak najszybciej, zdawaliśmy sobie sprawę, że musi to potrwać i że nadal mamy mnóstwo pracy w szpitalu oraz Departamencie Zasobów Wewnętrznych, toteż z pewnym ociąganiem odeszliśmy od telegrafu, by wymaszerować na kolejny wspniany wiosenny poranek.

Chociaż miałem tego dnia wiele szczegółowych zadań, wciąż wracałem myślami do bardziej ogólnych zagadek otaczających Johna Beechama i Victora Dury’ego, i jestem pewien, że Kreizler również. Kilka pytań szczególnie nie dawało mi spokoju: jeśli historia o indiańskich wojownikach była kłamstwem, kto ją sfabrykował? Kto naprawdę popełnił tę zbrodnię i co się stało z młodszym synem Durych? Dlaczego w szpitalnych aktach jest tak mało wzmianek o dzieciństwie Johna Beechama i żadnej o jego matce? I gdzie ten ewidentnie niezrównoważony człowiek znajduje się teraz?

Tego dnia moje pytania pozostały bez odpowiedzi: ani w Departamencie Zasobów Wewnętrznych, ani w Departamencie Wojny nie znalazłem dalszych informacji o zabójstwie Durych ani o życiu Johna Beechama przed jego pobytem w szpitalu. Kreizler też nic nie zwojował w Świętej Elżbiecie, bo, jak wyjaśnił mi wieczorem, nie mają tam ani obowiązku, ani możliwości sprawdzania, dokąd pacjent się udaje, gdy już zostanie zwolniony dzięki *habeas corpus*. Żaden z nielicznych członków niemedycznego personelu pamiętającego czasy Beechama nie potrafił powiedzieć o nim nic poza tym, że cierpiał na skurcze twarzy. Zachowywał się ponoć zupełnie zwyczajnie, co – choć było frustrujące, bo nie wzbogacało naszej wiedzy – świetnie pasowało do hipotezy, że nasz morderca nie jest człowiekiem, który pomiędzy dokonywaniem aktów przemocy zwracałby na siebie uwagę.

Jedyną użyteczną informację, jaką zdobyliśmy w ten piątek w Waszyngtonie, przyniósł wieczorem do Willarda Hobart Weaver. Według akt Departamentu Wojny, porucznikiem, który w 1886 roku doprowadził do zwolnienia Johna Beechama ze służby, był niejaki Frederick Miller, awansowany od tamtej pory na kapitana i stacjonujący obecnie w Fort Yates w Dakocie Północnej. Laszlo i ja wiedzieliśmy, że człowiek ten może się okazać bezcennym świadkiem, ale jadąc do Fort Yates, Isaacsonowie oddaliliby się od pierwotnego celu swej podróży, Agencji Pine Ridge. Z drugiej strony, był to najpewniejszy trop, na jaki dotąd trafiliśmy, i wydawał się wart zboczenia z trasy. Tak więc o szóstej wieczorem wysłaliśmy z Kreizlerem telegram do Deadwood, polecając sierżantom śledczym, aby jak najszybciej udali się na północ.

Jeśli chodzi o wiadomości dla nas, Roosevelt przysłał depeszę, że w Newton w Massachusetts istotnie mieszka niejaki Adam Dury. Nie otrzymał jeszcze informacji z New Paltz o osobie lub rodzinie nazwiskiem Beecham, ale zajmował się tą sprawą. Kreizlerowi i mnie nie pozostało nic innego, jak czekać i mieć nadzieję, że dowiemy się czegoś więcej od Roosevelta lub od Sary późniejszym wieczorem. Uprzedziwszy recepcjonistę, że będziemy w barze, wycofaliśmy się do tej mrocznej, bogato wyłożonej drewnem sali, znaleźliśmy ustronne miejsce przy długim kontuarze z mosiężną poręczą i zamówiliśmy koktajle.

– Skoro już czekamy, Moore – odezwał się Kreizler, sącząc swoje *sHerry* z gorzką wódką – możesz mi opowiedzieć o tych zamieszkach, po których zwolniono Beechama ze służby. Coś sobie przypominam, ale mgliście.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma tu wiele do opowiadania. W osiemdziesiątym szóstym Rycerze Pracy¹⁹ zorganizowali na pierwszego maja strajki we wszystkich większych miastach kraju. W Chicago sytuacja bardzo szybko wymknęła się spod kontroli: strajkujący atakowali łamistrajków, policjanci bili strajkujących, łamistrajki pomagały policji – totalny chaos. Czwartego maja na Haymarket Square zebrał się wielki tłum robotników i oddziały policji przybyły tam, aby pilnować porządku. Ktoś – nie wiadomo kto – rzucił w ich stronę bombę i kilku funkcjonariuszy zginęło. Mógł to być jakiś robotnik albo anarchista pragnący narobić zamętu, albo nawet prowokator naślany przez fabrykantów, którzy chcieli zdyskredytować strajkujących. Rzecz w tym, że gubernator zyskał pretekst, aby wezwać Gwardię Narodową i wojsko. Dzień po zamachu bombowym robotnicy zorganizowali wiec pod fabryką na jednym z północnych przedmieść. Zjawili się tam również żołnierze. Ich dowódca twierdził później, że polecił robotnikom się rozejść. Liderzy strajku utrzymywali, że nie słyszeli takiego polecenia. Jakakolwiek była prawda, wojsko otworzyło ogień. Doszło do paskudnej jatki.

Kreizler z namysłem pokiwał głową.

- Chicago... w tym mieście jest dużo imigrantów, prawda?
- Zgadza się. Niemcy, Skandynawowie, Polacy, kto tylko.
- Byłoby ich sporo wśród strajkujących, nie sądzisz?

Podniosłem rękę.

– Wiem, do czego zmierzasz, Kreizler, ale to nie musi nic znaczyć. W tym czasie imigranci brali udział we wszystkich strajkach w kraju.

Laszlo zmarszczył lekko brwi.

– Tak, zapewne. Niemniej...

W tym momencie młody boy hotelowy w czerwonym uniformie z mosiężnymi guzikami wszedł do baru i wywołał moje nazwisko. Zerwałem się i podskoczyłem do chłopaka, który powiedział, że jestem proszony do recepcji. Pognałem tam pędem, a Kreizler za mną. Kiedy recepcjonista podał mi słuchawkę, usłyszałem w niej bardzo podniecony głos Sary:

– John? To ty?

– Tak, Saro. Mów.

– Lepiej usiądź. Chyba jesteśmy na tropie.

– Nie chcę siadać. O co chodzi?

– Znalazłam w „Timesie” historię zabójstwa Durych. Przez jakiś tydzień drukowali duże artykuły, a potem krótkie wzmianki. Było w nich praktycznie wszystko, co chcielibyśmy wiedzieć o tej rodzinie.

– Zaczekaj – powiedziałem. – Dam ci Kreizlera, to zrobi notatki.

Ku irytacji recepcjonisty Laszlo rozłożył notes na ladzie i podniósł słuchawkę. Oto historia, którą on usłyszał, a ja odcyfrowałem z jego zapisków:

Ojciec wielbego Victora Duryego był hugenotem, który opuścił Francję na początku wieku, aby uniknąć prześladowań religijnych (hugenoci stanowili w tym katolickim kraju protestancką mniejszość). Wyjechał z rodziną do Szwajcarii, ale nie wiodło mu się tam najlepiej. Jego najstarszy syn, Victor, pastor Kościoła Reformowanego, postanowił spróbować szczęścia w Ameryce. Przybył do Stanów w latach pięćdziesiątych i osiedlił się w New Paltz, mieście, które założyli w XVIII wieku holenderscy protestanci i które stało się później domem dla dziesiątek hugenockich uciekinierów z Francji. Dury zapoczątkował tam skromny ruch ewangelizacyjny, finansowany przez mieszkańców miasta, i nim minął rok, przeniósł się z żoną i małym synkiem do Minnesoty, aby szerzyć protestancką wiarę wśród Siuksów (którzy nie zostali jeszcze zepchnięci na zachód do Dakoty). Dury nie sprawdził się jako misjonarz: był szorstki i apodyktyczny, a jego żywe opisy kar, które Bóg zsyła na niedowiarków i grzeszników, bynajmniej nie zachęcały Indian do przyjmowania chrztu. Grupa z New Paltz finansująca jego działalność miała go już odwołać, gdy w 1862 roku wybuchło wielkie powstanie Siuksów – jeden z najkrwawszych konfliktów między Indianami i białymi w historii.

Rodzina Durych tylko o włos uniknęła okrutnego losu, jaki spotkał wielu białych mieszkańców Minnesoty. Niemniej to doświadczenie podsunęło wielebnemu pomysł, dzięki któremu spodziewał się zyskać dalsze poparcie dla swej misji. Zdobywszy aparat do zdjęć dagerotypowych, zaczął wędrować po okolicy i fotografować pomordowanych białych; i kiedy w 1864 roku wrócił do New Paltz, okrył się sławą – a raczej niesławą – pokazując te fotografie szerokim kręgom zamożnych obywateli miasta. Ta bezczelna próba nastraszenia statecznych, dobrze odżywionych ludzi, aby wysupłali pieniądze na pogan, wzięła jednak w łeb: zdjęcia skrwawionych i okaleczonych ciał były tak przerażające, a zachowanie Dury'ego podczas owych pokazów tak gorączkowe, że zaczęto kwestionować jego zdrowie psychiczne. Stał się pariasem i nie mógł znaleźć parafii, która by go przyjęła. Doszło w końcu do tego, że wynajął się na dozorcę w zborze Holenderskiego Kościoła Reformowanego. Niespodziewane narodziny drugiego syna w 1865 roku jeszcze pogorszyły sytuację finansową Durych i rodzina musiała się przenieść do maleńkiego domku pod miastem.

Dobrze znając burzliwą przeszłość i charakter Dury'ego i nie orientując się w zwyczajach Indian lepiej niż inne białe społeczności ze wschodnich stanów, większość mieszkańców New Paltz nie wątpiła, że przyczyną zabójstwa z 1880 roku była wrogość, jaką wielebny wzbudził w Siuksach podczas swego pobytu wśród nich prawie dwadzieścia lat wcześniej. Niemniej pewne osoby (oczywiście anonimowe) wspominały o złych stosunkach Durych z ich starszym synem, Adamem, który wyprowadził się z domu, aby zostać farmerem w Massachusetts, na wiele lat przed zbrodnią. Zaczęły krążyć pogłoski, że Adam przekradł się do New Paltz i zabił swoich rodziców – z jakiego powodu, nikt nie chciał publicznie powiedzieć – ale policja nie traktowała ich poważnie, i chociaż młodszy syn Durych, Japheth, przepadł bez śladu, koncepcja, że został porwany i wychowany na indiańskiego wojownika, całkowicie odpowiadała temu, czego obywatele New Paltz nauczyli się spodziewać po dzikusach zamieszkujących zachodnie tereny.

Tak kończyła się opowieść o rodzinie Durych, ale Sara nie poprzestała na zrekonstruowaniu tej historii. Przypomniawszy sobie, że w młodości знаła kilka osób z New Paltz (choć miasteczko leżało, jak to ujęła, „na zupełnie niewłaściwym brzegu rzeki”), po wyjściu z redakcji „Timesa” złożyła parę wizyt, aby sprawdzić, czy ktoś z tych starych znajomych wie coś o zabójstwie pastorostwa. Jedyna taka osoba, którą zastała w domu, nie wiedziała nic. Niezrażona Sara poprosiła o ogólny opis codziennego życia w New Paltz i wówczas odkryła elektryzujący fakt: że miasto jest położone u stóp gór Shawangunk, łańcucha słynącego z dużych, groźnych formacji skalnych. Niemal z lękiem Sara zapytała, czy jacyś mieszkańcy miasta wspinają się na te skały dla rozrywki. O tak, powiedziano jej, jest to dość popularny sport – zwłaszcza wśród osób, które niedawno przybyły z Europy.

Ta ostatnia informacja porządnie nas oszołomiła i potrzebowaliśmy czasu, aby ją przetrwać, razem z resztą opowieści. Obiecawszy Sarze, że jeszcze do niej zadzwonimy, Laszlo odłożył słuchawkę, po czym wróciliśmy do hotelowego baru na naradę.

– No więc? – powiedział Kreizler niemal uroczystym tonem, gdy zamówiliśmy nowe koktajle. – Co o tym sądzisz?

Wziąłem głęboki oddech.

– Zaczniemy od faktów. Starszy syn Durych był świadkiem najstraszliwszych okrucieństw, jakie można sobie wyobrazić, kiedy był jeszcze za mały, aby cokolwiek z nich zrozumieć.

– Tak. Jego ojciec był zaś księdzem, a w każdym razie pastorem... kalendarz religijny, Moore. Ich życie musiał regulować kalendarz religijny.

– Wygląda też na to, że Victor Dury był człowiekiem bardzo surowym, nie mówiąc już o tym, że dziwnym, choć z pozoru porządnym, przynajmniej na początku.

Kreizler z namysłem rysował palcem po kontuarze.

– Więc... możemy przyjąć, że dopuszczał się przemocy. Zaczęło się to wcześniej i trwało z niesłabnącą siłą całe lata. I zaszczepliło w synu pragnienie zemsty, pragnienie, które stopniowo rosło.

– Owszem – zgodziłem się. – Motywu nam nie brakuje. Ale Adam jest starszy, niż założyliśmy.

Kreizler skinął głową.

– Tymczasem młodszy syn, Japheth, byłby w wieku Beechama. Gdyby to on popełnił morderstwo, sfabrykował list, zniknął i przybrał inne nazwisko...

– Ale to nie on widział rzeź i okaleczenia – wtrąciłem. – Nawet nie było go wtedy jeszcze na świecie.

Kreizler uderzył pięścią w kontuar.

– To prawda. Nie doświadczył życia na pograniczu.

Łącząc w myślach fakty na różne sposoby, usiłowałem sformułować jakąś nową interpretację, ale bez powodzenia.

– Nadal nic nie wiemy o matce – tylko tyle mogłem powiedzieć po kilku minutach.

– Nie. – Kreizler bębnił palcami w kontuar. – Ale byli biedną rodziną, mieszkali w ciasnocie. Zwłaszcza podczas pobytu na Zachodzie, czyli w okresie, który ukształtował starszego syna.

– Słusznie. Gdyby tylko Adam był młodszy...

Laszlo westchnął i potrząsnął głową.

– Moc pytań, a odpowiedzi można uzyskać, jak sądzę, tylko w Newton.

– Więc pojedziemy tam?

– Może. – Kreizler pociągnął nerwowo łyk koktajlu. – Wyznaję, że znalazłem się w kropce, Moore. Nie jestem zawodowym detektywem. Co mamy zrobić? Zostać tutaj i spróbować zdobyć więcej informacji o Beechamie, szukając jednocześnie innych tropów? Czy jechać do Newton? Skąd wiadomo, kiedy należy przestać badać wszystkie możliwości i skupić się na jednej?

Zastanowiłem się nad tym chwilę.

– My nie możemy tego wiedzieć – stwierdziłem w końcu. – Nie mamy doświadczenia. Ale...

Wstałem i ruszyłem do telegrafu.

– Moore? – zawołał za mną Kreizler. – Gdzie ty, do diabła, idziesz?

W ciągu pięciu minut skondensowałem odkrycia Sary w depeszę, którą wysłałem do urzędu telegraficznego w Fort Yates w Dakocie Północnej. Wiadomość kończyła się prostym pytaniem: CO RADZICIE?

Przenieśliśmy się z Kreizlerem do hotelowej restauracji i siedzieliśmy tam, dopóki personel nie oznajmił, że idzie do domu. Ponieważ sen zupełnie nas odbiegł, wyszliśmy na dwór i spacerowaliśmy wokół Białego Domu, paląc papierosy, wałkując historię Durych na wszystkie strony i próbując ją powiązać z kapralem Johnem Beechamem. Pójście tropem tej historii wymagało czasu, to było oczywiste, i choć żaden z nas nie powiedział tego głośno, zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli zmarnujemy ten czas, w momencie następnego ataku mordercy nie będziemy lepiej przygotowani do obrony niż w Zielone Świątki. Musieliśmy dokonać wyboru między dwiema drogami, równie ryzykownymi. Błąkając się bez celu po nocnym Waszyngtonie, Kreizler i ja nie byliśmy do tego zdolni.

Całe szczęście więc, że kiedy wróciliśmy do Willarda, recepcjonista miał dla nas depeszę. Nadeszła z Fort Yates i musiała zostać nadana tuż po przybyciu Isaacsonów na miejsce. Była krótka, ale stanowcza w tonie: TO DOBRY TROP. IDŹCIE NIM.

ROZDZIAŁ 33

Pierwszy świt zastał nas w pociągu jadącym do Nowego Jorku, skąd, po krótkiej wizycie na Broadwayu 808, zamierzaliśmy się udać do Newton w Massachusetts. Uzyskawszy potwierdzenie naszej hipotezy, że należy podążyć tropem Durych, nie moglibyśmy zrobić w Waszyngtonie nic konstruktywnego – nawet spać; jazda na północ miała zaspokoić naszą żądę działania, zapewniając nam jednocześnie kilka godzin odpoczynku. Taką w każdym razie miałem nadzieję, gdy wsiadaliśmy do pociągu; ledwo się jednak zdrzemnąłem w naszym ciemnym przedziale, uczucie głębokiego niepokoju wybiło mnie ze snu. Zapaliłem zapałkę, aby sprawdzić, czy istnieje jakaś racjonalna podstawa do obaw, i zobaczyłem, że Kreizler, który siedział naprzeciwko, wpatruje się w przelatujący za oknem szary krajobraz.

– Laszlo – wyszeptalem, badając jego szeroko otwarte oczy przy pomarańczowym świetle zapałki. – O co chodzi? Co się stało?

Trąc wargi palcem wskazującym lewej ręki, mruknął:

– Chorobliwa wyobraźnia.

Syknałem, bo zapałka sparzyła mi palce. Upuściłem ją na podłogę i kiedy zgasła, wykrztusiłem w ciemność:

– Jaka wyobraźnia? O czym ty mówisz?

– „Osobiście o tym czytałem i wiem, że to prawda” – powiedział, cytując list naszego mordercy. – Kwestia kanibalizmu. Wytłumaczyliśmy ją sobie chorobliwą, wrażliwą wyobraźnią.

– I?

– Zdjęcia, John – odparł Laszlo. Nie widziałem jego twarzy (ani niczego innego w przedziale), ale w jego głosie dźwięczało napięcie. – Zdjęcia pomordowanych osadników. Zakładaliśmy, że nasz człowiek musiał spędzić jakiś czas na pograniczu, że tylko osobiste doświadczenie mogło dostarczyć mu modelu do obecnych idiosynkrazji.

– Chcesz powiedzieć, że zdjęcia Victora Dury’ego mogłyby służyć temu celowi?

– Nie dla każdego. Ale dla tego człowieka owszem, biorąc pod uwagę jego wrażliwość, ukształtowaną przez dzieciństwo pełne przemocy i strachu. Pamiętaj, co mówiliśmy o kanibalizmie – było to coś, o czym czytał albo może słyszał, prawdopodobnie jako dziecko. Przerazająca historia, która pozostawiła trwałe piętno. Czy na osobie, która charakteryzuje się taką obsesyjną i chorobliwą wyobraźnią, zdjęcia nie wywarłyby dużo silniejszego wrażenia?

– To chyba możliwe. Myślisz o zaginionym bracie?

– Tak. O Japhecie Durym.

– Ale dlaczego ktoś miałby pokazywać coś takiego dziecku?

Kreizler odpowiedział nieobecnym tonem:

– „Brudniejsze niż dziki indianiec...”

– Słucham?

– Nie wiem, John. Może znalazł je przypadkiem. Może zostały użyte jako narzędzie dyscypliny. Mam nadzieję, że poznamy odpowiedź w Newton.

Zacząłem się nad tym zastanawiać i nagle poczułem, że moja głowa opada ku siedzeniu, na którym leżałem.

– Słuchaj – powiedziałem w końcu, poddając się temu opadaniu – jeśli nie odpoczniesz, nie będziesz w stanie rozmawiać z nikim, ani w Newton, ani nigdzie indziej.

– Wiem – odparł Kreizler. Usłyszałem, że wierci się na siedzeniu. – Ale pomyślałem sobie...

Zanim się zorientowałem, byliśmy na Dworcu Głównym w Nowym Jorku, gdzie brutalnie obudziło nas trzaskanie drzwi i uderzenia walizek o ścianę naszego przedziału. W nie najlepszej formie po tej ciężkiej nocy, wykuśtykaliśmy z pociągu na ponury, zachmurzony poranek. Wiedząc, że Sary nie ma jeszcze w sztabie, postanowiliśmy wpaść do domów i spotkać się na Broadwayu 808, gdy będziemy się czuli i – oby – wyglądali bardziej jak ludzie. Na Washington Square pospałem jeszcze dwie godziny i wziąłem wspaniałą kąpiel, a potem zjadłem śniadanie z babką. W trakcie posiłku zauważyłem, że spokój ducha, który tak dobroczynnie spłynął na nią po egzekucji doktora H.H. Holmesa, zaczyna ulatywać: nerwowo przerzucała ostatnie strony „Timesa”, szukając następnej śmiertelnej groźby, której mogłaby poświęcić wieczorne godziny. Ośmieliłem się zwrócić jej uwagę na niedorzeczność takiego postępowania, ale odpowiedziała mi dość szorstko, że nie zamierza słuchać rad kogoś, kto uznał za stosowne popełnić towarzyskie samobójstwo już nie w jednym, ale w dwóch miastach, pokazując się publicznie z „tym doktorem Kreizlerem”.

Harriet spakowała mi czyste rzeczy na podróż do Newton i przed dziewiątą znalazłem się w okratowanej windzie na Broadwayu 808, opity kawą i zdumiewająco dziarski. Miałem wrażenie, iż nie było mnie w sztabie dużo dłużej niż cztery dni, i strasznie się cieszyłem, że znów zobaczę Sarę. Gdy wjechałem na piąte piętro, zastałem ją pogrążoną w rozmowie z Kreizlerem – ale, już wcześniej postanowiwszy ignorować to, co się między nimi dzieje, cokolwiek by to było – podbiegłem i chwyciłem dziewczynę w objęcia.

– John, ty ośle! – zawołała z uśmiechem. – Wiem, że jest wiosna, ale pamiętaj, co się stało ostatnim razem, kiedy za dużo sobie pozwoliłeś!

– O nie – powiedziałem, natychmiast ją puszczając. – Jedna kąpiel w tej rzece starczy mi na całe życie. I co? Znasz już najświeższe nowiny?

– Tak – odrzekła Sara z buńczuczным błyskiem w zielonych oczach, poprawiając sobie kok. – Świetnie się bawiliście, i właśnie powiedziałam doktorowi Kreizlerowi, że jeśli wam się zdaje, że będę tu tkwić, kiedy ruszacie na kolejną przygodę, to bardzo się mylicie.

Trochę poweselałem.

– Jedziesz z nami do Newton?

– Powiedziałam, że chcę przeżyć przygodę – odparła, uderzając mnie w nos jakąś kartką. – A siedzenie z wami dwoma w pociągu trudno za takąową uznać. Nie, doktor Kreizler mówi, że ktoś musi jechać do New Paltz.

– Parę minut temu dzwonił Roosevelt – zwrócił się do mnie Laszlo. – Ponoć nazwisko Beecham rzeczywiście figuruje w różnych aktach miejskich.

– Aha – westchnąłem. – Więc wygląda na to, że Japheth Dury nie stał się Johnem Beechamem.

Kreizler wzruszył ramionami.

– Jest to dodatkowa komplikacja, tego możemy być pewni, i trzeba ją wyjaśnić. Ponieważ my musimy jak najszybciej jechać do Newton, a sierżantów śledczych nie ma, więc pozostaje Sara. Zresztą to jej teren, wychowała się w tej okolicy i bez wątpienia będzie umiała zjednać sobie miejscowych urzędników.

– Tak, bez wątpienia – mruknąłem. – A co z koordynacją naszych działań tutaj?

– Wyolbrzymione zadanie – odrzekła Sara. – Może się tym zająć Stevie, póki Cyrus nie wstanie z łóżka. Zresztą wrócę najpóźniej jutro.

Zmierzyłem dziewczynę lubieżnym spojrzeniem.

– A jak cenne jest moje poparcie dla tego planu? Sara odwróciła się na pięcie.

– John, jesteś naprawdę okropny. Doktor Kreizler już się zgodził.

– Rozumiem – powiedziałem. – Jak tak, to tak. Moja opinia nie jest warta powietrza potrzebnego do jej wygłoszenia.

W taki oto sposób Stevie Taggart objął pieczę nad naszym sztabem, zyskując jednocześnie okazję do splądrowania go w poszukiwaniu papierosów. Jego mina, gdy wychodziliśmy, zdawała się mówić, że jeśli nie znajdzie czegoś lepszego, wypali trociny z krzesel markiza Carcano. Stevie uważnie wysłuchał instrukcji Laszla co do tego, jak ma się z nami kontaktować, ale gdy te instrukcje przeszły w kazanie na temat szkodliwości palenia, chłopak jakby nagle ogłuchł. Ledwo Kreizler, Sara i ja wsiedliśmy do windy, ze sztabu dobiegły nas odgłosy otwierania i zamykania szuflad i szafek. Laszlo tylko westchnął, świadom, że mamy w tej chwili poważniejsze problemy; wiedziałem jednak, że gdy zakończymy śledztwo, w domu przy Siedemnastej Ulicy odbędzie się wiele długich wykładów o złych skutkach wszelkich uzależnień.

Wstąpiliśmy na chwilę na Gramercy Park, aby Sara mogła wziąć parę rzeczy, po czym, uciekając się do kolejnego fortelu z tymi samymi „sobowótami”, których Laszlo zatrudnił przed naszą wyprawą do Waszyngtonu, pojechaliśmy na Dworzec Główny. Tam Sara odłączyła się, aby kupić bilet na Hudson Line, a Kreizler i ja poszliśmy do okienka New Haven Line. Jak w poniedziałek, pożegnanie było krótkie i nie ujawniło żadnych powiązań między Sarą i Kreizlerem; zaczynałem powoli myśleć, że się co do nich myślę, tak jak się myliłem, sądząc, że mordercą jest ksiądz-renegat. Nasz bostoński pociąg ruszył punktualnie i wkrótce wjechaliśmy ze wschodniej części hrabstwa Westchester do stanu Connecticut.

Różnica między naszą podróżą do Waszyngtonu i obecną – w sobotnie popołudnie – do Bostonu była z grubsza biorąc różnicą między dwoma rodzajami scenerii za oknem, jak również między typami ludzi, którzy zamieszkiwali te tereny. W sobotę nie zostało nawet wspomnienie po zielonych, falujących polach New Jersey i Marylandu: nieodmiennie surowy krajobraz Connecticut i Massachusetts pełznął bez wdzięku ku cieśninie Long Island i oceanowi, przywodząc na myśl trudne warunki egzystencji, które uczyniły z farmerów i kupców Nowej Anglii ludzi tak małodusznych i swarliwych. Nie potrzebowaliśmy żadnych wskazówek pośrednich: żywe przykłady siedziały wokół nas. Kreizler nie kupił biletów na pierwszą klasę i był to błąd, którego ciężar stał się oczywisty, gdy pociąg rozwinął maksymalną prędkość i nasi współpasażerowie podnieśli swe metaliczne, jęklive głosy, aby przekrzyczeć stukot wagonów. Przez wiele godzin musieliśmy słuchać rozmów o rybołówstwie, lokalnej polityce i haniebnym stanie gospodarki kraju, ale mimo tego zgiełku udało nam się obmyślić plan postępowania z Adamem Durym.

Wysiedliśmy z pociągu na bostońskim dworcu Back Bay, pod którym czekało kilku fiaków z powozami do wynajęcia. Jeden z nich, wysoki, chudy mężczyzna o małych, złośliwych oczkach, wyszedł nam naprzeciw.

– Newton? – zapytał go Laszlo.

Facet przechylił głowę i wysunął dolną wargę.

– Dobre dziesięć mil – ocenił. – Nie wróć przed północą.

– Płacimy podwójnie – odparł Laszlo kategorycznym tonem, wrzucając swoją torbę na siedzenie poobijanego starego surreya²⁰.

Woźnica był chyba lekko rozczarowany, że stracił szansę potargowania się o cenę kursu, ale zareagował na ofertę Laszla ze skwapliwością, wskakując na kozioł i chwytając bat. Pospiesznie wsiedliśmy i powóz ruszył spod stacji przy akompaniamencie utyskiwań pozostałych mężczyzn, jaki to natrętny głupiec mógł zaproponować podwójną stawkę za kurs do Newton. Potem przez dłuższy czas jechaliśmy w kompletnej ciszy.

Kiedy peryferie Bostonu ustąpiły miejsca długim milom monottonnych, kamienistych pól, nad wschodnim Massachusetts zapłonął pochmurny zachód słońca, który zdawał się zwiastować deszcz. Dotarliśmy do Newton już dobrze po zmroku i woźnica zaproponował, że zawiezie nas do gospody, którą określił jako najlepszą w miasteczku. Wiedzieliśmy, iż zapewne znaczy to, że prowadzi ją ktoś z jego rodziny, ale byliśmy zmęczeni, głodni i na *terra incognita*, więc wyraziliśmy zgodę. Gdy powóz toczył się po niemożliwie staroświeckich uliczkach Newton, osady malowniczej i nieciekawej nawet jak na Nową Anglię, zacząłem doznawać znajomego uczucia niepokoju, że znalazłem się w pułapce wąskich zaułków i wąskich umysłów, niepokoju, który często dręczył mnie w trakcie pobytu na Harvardzie. „Najlepsza gospoda w Newton” nie poprawiła mi humoru: jak się spodziewałem, był to drewniany, skromnie umeblowany budynek, a menu szczyliło się tylko tym, że zawiera ciepłe dania. Jedyny jaśniejszy moment zdarzył się podczas kolacji, gdy oberżysta (kuzyn naszego woźnicy) powiedział, iż może nam wskazać drogę na farmę Adama Dury’ego. Słyszając, że rano będziemy potrzebowali powozu, woźnica zaofiarował się przenocować w gospodzie i służyć nam swoim surreyem. Kiedy zostało to uzgodnione, udaliśmy się do niskich, ciemnych pokoi i twardych, wąskich łóżek, z nadzieją, że nasze żołądki poradzą sobie jakoś z gotowaną baraniną, którą zjedliśmy.

Nazajutrz wstaliśmy wcześniej. Niestety, nie udało nam się wykręcić od śniadania, złożonego z grubych, twardych placków i kawy. Na szczęście niebo się przetało, a pod gospodą stał stary surrey z naszym woźnicą na koźle, gotowym do odjazdu. Ruszyliśmy na północ i przez prawie pół godziny zobaczyliśmy niewiele oznak ludzkiej działalności; potem naszym oczom ukazało się stado krów skubiących trawę na wyboistym, usianym kamieniami pastwisku, za którym stały wśród dębów skromne zabudowania. Kiedy się do nich zbliżyliśmy – był to dom mieszkalny i dwa budynki gospodarskie – dojrzałem mężczyznę stojącego po kostki w nawozie i z wyraźnym trudem podkuwającego starą, zmęczoną szkapę.

Mężczyzna ten, zauważyłem natychmiast, miał rzadkie włosy, a tył jego głowy lśnił w porannym słońcu.

ROZDZIAŁ 34

Z opłakanego stanu zabudowań, płotów i wozów, jak również nieobecności pomocników i zdrowo wyglądających zwierząt można było wywnioskować, że mleczarska farma Adama Dury'ego nie przynosi dużych dochodów. Niewielu ludzi wie więcej o ponurych stronach życia niż ubodzy farmerzy i atmosfera ich siedzib zawsze działa otępleniowo: nasze podniecenie tym, że oto widzimy wreszcie człowieka, do którego tak długo jechaliśmy, natychmiast osłabło pod wpływem współczucia dla jego sytuacji majątkowej. Wysiedliśmy z surreya i kazaliśmy woźnicy poczekać, po czym powoli i ostrożnie zbliżyliśmy się do Dury'ego.

Dalej szarpał się z lewą przednią nogą starego konia o brązowej sierści, wytartej w miejscach, gdzie zwykle spoczywa chomąto. Zwierzę, które obsiadły muchy, nie było ani trochę zainteresowane ułatwieniem swemu panu zadania.

– Przepraszam, pan Dury? – zapytałem.

– Tak – odburknął mężczyzna, nadal pokazując nam tył łysiejacej głowy.

– Pan Adam Dury? – indagowałem dalej, chcąc go zmusić, by się odwrócił.

– Musicie to wiedzieć, skoro do mnie przyszlście – odparł Dury, puszczając końską nogę. Wyprostował się, osiagając dobrze ponad sześć stóp wzrostu, i poklepał zwierzę po szyi, na poły gniewnie, na poły czule. – Myśli, że umrze przede mną – wymamrotał, nadal stojąc przodem do konia – więc po co miałby mi ułatwiać życie? Ale obu nas czeka jeszcze wiele lat tej harówki, ty stary...

Wreszcie się odwrócił, pokazując nam twarz o tak mocno naciągniętej skórce, że wyglądała niemal jak trupia czaszka. Jego usta wypełniały duże żółte zęby, a oczy kształtu migdałów były matowoniebieskie. Miał potężnie umięśnione ręce i dłonie o niezwykle długich, grubych palcach. Wytarł je o znoszony kombinezon i zmierzył nas z ukosa spojrzeniem, które nie było ani przyjazne, ani wrogie.

– No więc? Czym mogę panom służyć? Przeszedłem od razu – i nie chwałąc się, gładko – do fortelu, który obmyśliliśmy z Laszlem w bostońskim pociągu.

– To jest doktor Laszlo Kreizler – powiedziałem – a ja nazywam się John Schuyler Moore. Jestem dziennikarzem „New York Timesa”. – Wyjąłem z portfela legitymację. – Redaktorem kroniki policyjnej, ściśle biorąc. Moi wydawcy polecili mi zbadać najstojniejszą spośród... spośród nierozwiązanych spraw z ostatnich dwudziestu lat.

Dury skinął głową, patrząc na mnie nieco podejrziwie.

– Chce pan porozmawiać o moich rodzicach.

– W rzeczy samej – odparłem. – Na pewno pan słyszał o prowadzonej obecnie kontroli działalności policji nowojorskiej.

Wąskie oczy Dury'ego zwęziły się jeszcze bardziej.

– Oni nie zajmowali się tą sprawą.

– To prawda. Ale moich wydawców niepokoi fakt, że policja z całego stanu Nowy Jork nie tropi i nie chwyta sprawców wielu haniebnych zbrodni. Postanowiliśmy wrócić do kilku z nich i sprawdzić, co się działo w latach, które upłynęły od ich popełnienia. Czy zechciałby nam pan przypomnieć okoliczności śmierci pańskich rodziców?

Twarz Dury'ego gwałtownie się zmarszczyła i na powrót wygładziła, jakby przebiegła po niej fala bólu. Gdy się odezwał, w jego głosie nie było już nieufności, tylko rezygnacja i smutek.

– Kogo to teraz może interesować? Minęło ponad piętnaście lat.

Uderzyłem w ton współczucia, jak również moralnego oburzenia:

– Czy upływ czasu usprawiedliwia nieudolność policji? A proszę pamiętać, że nie jest pan sam: wielu ludzi straciło bliskich w podobny sposób i chciałoby wiedzieć, dlaczego mordercy nie zostali ujęci i ukarani.

Dury zastanowił się chwilę i potrząsnął głową.

– To ich sprawa. Ja nie chcę o tym rozmawiać.

Po tych słowach zaczął się oddalać; dobrze znając mieszkańców Nowej Anglii, przewidziałem taką reakcję.

– Rzecz jasna – odezwałem się spokojnie – otrzymałby pan honorarium.

Tu go miałem: przystanął, odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem.

– Honorarium?

Uśmiechnąłem się doń przyjaźnie.

– Za konsultację – wyjaśniłem. – Niezbyt wysokie, co prawda, powiedzmy: sto dolarów?

Świadom, że dla takiego farmera jak Dury jest to w istocie bardzo duża suma, nie zdziwiłem się, widząc błysk w jego migdałowych oczach.

– Sto dolarów? – powtórzył z lekkim niedowierzaniem. – Za rozmowę?

– Tak jest – odparłem, wyjmując banknoty z portfela. Przemyślawszy sprawę jeszcze raz, Dury wziął ode mnie pieniądze. Potem odwrócił się do konia, klepnął go w zad i posłał na trawę, która rosła na skraju podwórza.

– Porozmawiamy w stodole – oświadczył. – Nie zamierzam zaniedbać roboty z powodu... – dał kilka ciężkich kroków przez morze nawozu – ...seansu spirytystycznego.

Kreizler i ja poszliśmy za nim, z ulgą, że łapówka poskutkowała. W drzwiach stodoły Dury odwrócił się na pięcie.

– Chwileczkę – powiedział. – Mówi pan, że ten człowiek jest lekarzem? Co jemu do tego?

– Badam zachowania przestępcze – odparł gładko Kreizler – jak również metody działania policji. Pan Moore poprosił mnie na konsultanta do swojego artykułu.

Dury to przełknął, ale chyba nie spodobał mu się akcent Laszla.

– Jest pan Niemcem – stwierdził. – Albo może Szwajcarem.

– Mój ojciec był Niemcem – odrzekł Kreizler. – Ale ja wychowałem się w tym kraju.

Dury, średnio przekonany tym wyjaśnieniem, bez słowa wszedł do stodoły.

We wnętrzu tej skrzypiącej budowli fetor nawozu stał się jeszcze ostrzejszy, łagodził go tylko słodki zapach siana zmagazynowanego na stryszku. Drewniane ściany zostały kiedyś pobielone, ale większość wapna odpadła i teraz świeciły wokół niedbale oheblowane deski. Przez drugie otwarte wrota dojrzałem kurnik, z którego dolatywało gulgotanie i gdakanie. Uprzęże, kosy, łopaty, wiadra, oskardy i drewniane młoty były wszędzie: zwisały ze ścian i niskiego sufitu, leżały na klepisku. Dury podszedł prosto do starego rozstrząsacza nawozu. Wziął pobijak i wałąc w jedno z kół, to od naszej strony, ściągnął je z osi, która spoczywała na stercie kamieni. Potem syknął z niesmakiem, chwycił wiadro gęstego smaru i zajął się osią.

– No dobrze – powiedział, w ogóle na nas nie patrząc. – Pytajcie, o co tam macie pytać.

Kreizler skinieniem głowy dał mi znak, że będzie lepiej, jeśli ja poprowadzę rozmowę.

– Czytaliście artykuły prasowe, które się wtedy ukazywały – zacząłem. – Czy mógłby nam pan powiedzieć...

– Artykuły prasowe! – prychnął Dury. – Więc pewnie wiecie, że ci głupcy przez jakiś czas podejrzewali mnie.

– Czytaliście, że krążyły pewne plotki – odparłem. – Ale policja nigdy im nie...

– Nie wierzyła? Nie, nie za bardzo. Tylko na tyle, żeby przysłać tu dwóch swoich ludzi, którzy nękali moją żonę i mnie przez trzy dni!

– Jest pan żonaty? – zapytał cicho Kreizler.

Dury popatrzył na Laszla sekundę lub dwie, znowu niechętnym okiem.

– Owszem, od dziewiętnastu lat, ale to nie wasz interes.

– Dzieci? – ciągnął Kreizler, tym samym ostrożnym tonem.

– Nie – padła szorstka odpowiedź. – Nie możemy... to znaczy, moja żona... nie mamy dzieci!

– Rozumiem jednak – podjąłem – że pańska żona mogła zaświadczyć, iż był pan tutaj, kiedy... kiedy zdarzyło się nieszczęście.

– Dla tych idiotów nie miało to znaczenia – odparł Dury. – Świadek żony liczy się w sądzie tyle co nic. Musiałem poprosić sąsiada, który mieszka prawie dziesięć mil stąd, żeby przyjechał i potwierdził, że w dniu zabójstwa moich rodziców wyciągaliśmy razem karpę z pola.

– Czy domyśla się pan, dlaczego tak trudno było przekonać policję? – zapytał Kreizler.

Dury rzucił pobijakiem o ziemię.

– Na pewno o tym też pan czytał, doktorze. To nie była żadna tajemnica. Od lat nie żyłem z rodzicami w zgodzie.

Podniosłem dłoń, aby uciszyć Kreizlera.

– Tak, widzieliśmy wzmianki na ten temat – powiedziałem, chcąc wyciągnąć od Dury’ego więcej szczegółów. – Ale raporty policyjne były bardzo pokretne i mgliste. Co wydaje się osobliwe, zważywszy, że ta kwestia miała istotne znaczenie dla śledztwa. Może mógłby pan trochę ją nam rozjaśnić?

Dury położył koło roztrząsacza na warsztacie i znów zaczął w nie walić.

– Moi rodzice byli twardymi ludźmi, panie Moore. Musieli być tacy, żeby przyjechać do Ameryki i dać sobie radę w życiu, jakie wybrali. Ale tego, co rozumiem teraz, nie mógł pojąć mały chłopiec, który... – Wyrwały mu się chyba jakieś gwałtowne słowa, ale je zdusił, z wyraźnym trudem. – Który słyszy tylko zimny głos. I czuje tylko rzemienny pas.

– Więc był pan bity – stwierdziłem, przypominając sobie, co suponowaliśmy z Kreizlerem jeszcze w Waszyngtonie po przeczytaniu o zabójstwie Durych.

– Nie mówiłem o sobie – odparł Adam Dury. – Choć Bóg wie, że ani ojciec, ani matka nie szczędzili mi kar, gdy byłem nieposłuszny. Ale nie to nas... rozdzieliło. – Popatrzył chwilę w małe, brudne okienko, i znów wziął się za koło. – Miałem brata. Japhetha.

Kreizler skinął głową, a ja odrzekłem:

– Tak, czytaliśmy o nim i współczujemy panu. To wielka tragedia.

– Tragedia? Pewnie tak. Ale coś panu powiem – cokolwiek ci barbarzyńcy mu zrobili, nie mogło być gorsze od tego, co znosił z rąk własnych rodziców.

– Znęcali się nad nim?

Dury wzruszył ramionami.

– Niektórzy ludzie może tak by tego nie nazwali. Ale ja owszem, i wtedy, i teraz. Japheth był w pewnym sensie dziwnym dzieckiem i sposób, w jaki moi rodzice reagowali na jego zachowanie, osobie postronnej mógł się wydawać... naturalny. Ale taki nie był. O nie, w tym wszystkim siedział diabeł, gdzieś głęboko... – Dury popadł na chwilę w zamyślenie. – Przepraszam. Chcieliście, panowie, rozmawiać o zabójstwie.

Przez następne pół godziny zadawałem Dury’emu proste pytania dotyczące owego dnia w 1880 roku, prosząc o wyjaśnienie kwestii, które wcale nie były dla nas niejasne, aby się nie domyślił, co interesuje nas naprawdę. Potem, pytając, dlaczego Indianie mogli chcieć zabić jego rodziców, wciągnąłem go w bardziej szczegółową dyskusję o życiu w ich domu w Minnesocie. Stąd nie było już trudno przejść do sprawy panujących w rodzinie stosunków. Kiedy Dury mówił, Laszlo ukradkiem wyjął notes i zaczął zapisywać jego relację.

Choć Adam Dury urodził się w 1856 roku w New Paltz, nie sięgał pamięcią dalej niż do czwartego roku życia, kiedy to rodzina wyjechała do Fort Ridgely, placówki wojskowej położonej na terenie rezerwatu Siuksów. Dury mieszkali jakąś milę od fortu, w jednoizbowej chacie z bali, dzięki czemu mały Adam mógł dobrze poznać swoich rodziców i ich wzajemne stosunki. Jego ojciec, o czym Kreizler i ja już wiedzieliśmy, był człowiekiem fanatycznie religijnym i nie starał się osładzać kazań wygłaszanych dla tych ciekawych Siuksów, którzy przychodzili go słuchać. Zaskoczyła nas jednak informacja, że pomimo tej duszpasterskiej surowości wielobny Victor Dury nie był szczególnie okrutny czy brutalny wobec swego starszego syna; przeciwnie, Adam powiedział, że jego wczesne wspomnienia o ojcu są szczęśliwe. Wielobny potrafił mu wprawdzie wymierzać bolesne kary, ale zwykle czynił to na żądanie pani Dury.

Gdy Adam Dury mówił o matce, jego twarz sposepniała, a głos zaczął się łamać, jakby samo jej wspomnienie miało nad nim jakąś potężną, groźną władzę. Pani Dury, kobieta zimna i wymagająca, nie okazywała synowi w dzieciństwie wiele serca i troski; słuchając, jak Dury ją opisuje, nie mogłem nie pomyśleć o Jessem Pomeroyu.

– Bolesnie odczuwałem to, że mnie od siebie odpycha – powiedział Dury, próbując osadzić naprawione już koło na osi rozstrząsacza – ale ojca jej chłód ranił jeszcze bardziej, ponieważ nie była dlań prawdziwą żoną. Och, wywiązywała się ze wszystkich gospodarskich obowiązków i utrzymywała dom w czystości, mimo naszego niedostatku. Ale kiedy rodzina mieszka w jednej małej izbie, panowie, nie sposób nie być świadomym... bardziej intymnego wymiaru małżeństwa rodziców. Albo jego braku.

– Chce pan powiedzieć, że nie byli ze sobą blisko? – zapytałem.

– Chcę powiedzieć, że nie wiem, czemu za niego wyszła – odburknął Dury, wyładowując swój smutek i gniew na kole. – Nie mogła ścierpieć najłżejszego dotyku ojca, a tym bardziej... jego prób powiększenia rodziny. Widzicie, mój ojciec pragnął dzieci. Miał plany, właściwie marzenia, że pošle synów i córki w zachodnią dżiczy, aby kontynuowali jego dzieło. Ale moja matka... Każda taka próba była dla niej męką. Czasem je znosiła, a czasem... się opierała. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego w ogóle wyszła za męża. Chyba że... dla kazań. Ojciec był niezłym mówcą, na swój sposób, i matka nie opuściła chyba żadnego nabożeństwa, które odprawił. Może to dziwne, ale wydawało się, że naprawdę lubi tę część jego życia.

– A kiedy wróciliście z Minnesoty?

Dury z goryczą potrząsnął głową.

– Kiedy wróciliśmy z Minnesoty, ich stosunki kompletnie się popsęły. Tracąc stanowisko, ojciec stracił wszelką łączność z matką. W następnych latach rzadko się do siebie odzywali i nie... nie obcowali ze sobą. – Spojrzał w brudne okno. – Z jednym wyjątkiem...

Zamilkł na dłuższą chwilę i aby go przynaglić do mówienia, wymamrotałem:

– Japheth?

Dury skinął głową, powoli budząc się ze swej smutnej zadumy.

– Zaczęłam sypiać na dworze, gdy było dostatecznie ciepło. Mieszkaliśmy blisko gór Shawangunk. W Szwajcarii ojciec nauczył się od swojego ojca sportu wspinaczkowego i w Shawangunk mógł go z powodzeniem uprawiać, jak również przekazywać swoje umiejętności mnie. Nie spisywałem się najlepiej, ale zawsze mu towarzyszyłem, bo były to szczęśliwe chwile: z dala od domu i tej kobiety.

Gdyby te zdania były laskami dynamitu, nie mogłyby wstrząsnąć nami bardziej. Kaleka ręka Laszla wystrzeliła ku mnie i zacisnęła mi się na ramieniu ze zdumiewającą siłą. Dury tego nie widział i nieświadom efektu swoich słów, mówił dalej.

– Ale zimą musiałem nocować w domu, jeśli nie chciałem zamarznąć na śmierć. I pamiętam pewną lutową noc, kiedy ojciec... Może za dużo wypił, chociaż rzadko mu się to zdarzało. Tak czy owak, trzeźwy czy pijany, w końcu się zbuntował przeciwko temu nieludzkiemu traktowaniu. Zrobił matce wykład o obowiązkach żony i potrzebach męża, a potem... przeszedł od słów do czynów. Matka rzecz jasna protestowała, krzyczała, że zachowuje się jak jeden z tych dzikusów, których zostawiliśmy w Minnesocie. Ale tej nocy nic by ojca nie powstrzymało, i mimo zimna uciekłem z domu przez okno i spałem w starej stodole należącej do naszego sąsiada. Nawet tam słyszałem krzyki i szloch matki. – Dury ponownie jakby zapomniał, gdzie jest, i ciągnął dalekim, obojętnym tonem: – Chciałbym móc powiedzieć, że te dźwięki mnie przerażały. Ale tak nie było. Wręcz przeciwnie, doskonale pamiętam, że w myślach ponaglałem ojca... – Wrócił do rzeczywistości i nieco zakłopotany wziął młotek, by znów postukać w koło. – Zapewne was zgorszyłem, panowie. Jeśli tak, przepaszam.

– Nie, nie – odparłem pospiesznie. – Przedstawia nam pan tylko pełny obraz sytuacji, całkowicie to rozumiemy.

Dury posłał Kreizlerowi kolejne szybkie, sceptyczne spojrzenie.

– A pan, doktorze? Pan też „całkowicie” to rozumie? Coś mało się pan odzywa.

Laszlo wytrzymał wzrok Dury’ego. Wiedziałem, że jest mało prawdopodobne, aby ten prosty człowiek zbił z tropu kogoś tak zahartowanego w psychologicznych potyczkach jak Kreizler.

– Byłem zbyt zasłuchany, aby komentować – odrzekł Laszlo. – Pozwolę sobie zauważyć, że bardzo dobrze się pan wysławia.

Dury zaśmiał się ironicznie.

– To znaczy, jak na farmera? To zasługa mojej matki. Co wieczór godzinami zmuszała nas do odrabiania lekcji. Nauczyłem się czytać i pisać, zanim skończyłem pięć lat.

Kreizler z uznaniem przechylił głowę.

– Chwalebne.

– Ja tak wtedy nie myślałem – odparł Dury. – Biła mnie kijem po rękach, aż... Ale znów odbiegam od tematu. Chcieliście wiedzieć, co się stało z moim bratem.

– Tak – wtrąciłem. – Ale jeszcze przedtem: jakim był chłopcem? Powiedział pan, że dziwnym... pod jakim względem?

– A pod jakim względem nie był dziwny? – Umocowawszy koło na osi, Dury wstał i chwycił jakiś długi drąg. – Czego można się spodziewać po dziecku spółdonym w gniewie i niechcianym przez oboje rodziców? Dla mojej matki uosabiał bestialstwo i żądzę ojca, a dla mojego ojca... dla mojego ojca, choć przecież pragnął mieć więcej dzieci, Japheth był zawsze symbolem jego upodlenia, symbolem tej strasznej nocy, gdy pożądanie zrobiło zeń zwierzę.

Dury wypchnął drągiem kamienie spod osi roztrząsacza, wskutek czego maszyna opadła na klepisko i potoczyła się parę stóp do przodu. Zadowolony ze swego dzieła, Dury wziął łopatę i zaczął mówić dalej.

– Na chłopca pozostawionego samemu sobie czyha mnóstwo pułapek. Starłem się pomagać Japhethowi jak umiałem, ale zanim podrósł na tyle, byśmy mogli zostać prawdziwymi przyjacielami, wysłano mnie do pracy na pobliską farmę i rzadko go widywałem. Wiedziałem, że znosi w tym domu wszystko to, co ja znosiłem, i jeszcze więcej. I żałowałem, że nie mogę bardziej mu pomóc.

– Czy kiedykolwiek powiedział panu, co się właściwie dzieje? – zapytałem.

– Nie. Ale trochę z tego widziałem – odparł Dury, zaczynając przerzucać na roztrząsacz nawóz z krowich boksów. – Starłem się z nim przebywać chociaż w niedziele, pokazywać mu, że nadal może cieszyć się życiem, bez względu na to, co się dzieje w domu. Nauczyłem go wspinaczki i spędzaliśmy całe dni i noce w górach. Ale koniec końców... Koniec końców, nie sądzę, aby ktokolwiek mógł być przełamać wpływ mojej matki.

– Czy bardzo go... biła?

Dury potrząsnął głową i przemówił tonem, który wydawał się opanowany i szczerzy:

– Nie sądzę, aby pod tym względem Japheth cierpiał bardziej niż ja. Co jakiś czas dostawał pasem od ojca, to wszystko. Nie, uważałem i nadal uważam, że metody mojej matki były dużo bardziej... perfidne. – Dury odłożył łopatę, usiadł na jednym z kamieni, które podtrzymywały wcześniej oś roztrząsacza, i wyjął kapciuch z tytoniem oraz fajkę. – W pewnym sensie miałem więcej szczęścia niż Japheth, ponieważ uczucia matki do mnie zawsze przybierały formę całkowitej obojętności. Ale Japheth... Pozbawienie go macierzyńskiej troski najwyraźniej jej nie wystarczało. Wytykała mu każdy postępek, każdy krok, choćby najbłahszy. Nawet kiedy był bardzo mały, kiedy jeszcze nic nie rozumiał i nie potrafił się kontrolować, łajała go za wszystko, co zrobił.

Kreizler pochylił się, aby podać mu ognia, z czego Dury skorzystał dość niechętnie.

– Co pan rozumie przez „wszystko”? – zapytał Laszlo.

– Jest pan lekarzem – odparł Dury. – Chyba może się pan domyślić. – Przez parę sekund pykał z fajki, aby tytoń dobrze się rozżarzył, a potem pokręcił głową i wybuchnął: – Podła suka! Wiem, że to ostre słowa jak na wypowiedź syna o zmarłej matce. Ale gdybyście ją widzieli – wiecznie niezadowolona, wiecznie na niego zła. A kiedy się skarżył albo płakał, albo próbował się odszczekiwać, mówiła mu rzeczy, które zdumiewały nawet w jej ustach, tak były ohydne. – Dury wstał i wrócił do przrzucania nawozu. – Że nie jest jej synem. Że jest dzieckiem Indian – brudnych dzikusów jedzących ludzkie mięso – którzy zostawili go w tobołku pod naszymi drzwiami. Biedny malec prawie w to wierzył.

Z każdą minutą kolejne elementy układanki wskakiwały na miejsce i było mi coraz trudniej zapanować nad przemożnym, rosnącym uczuciem objawienia i triumfu. Niemal chciałem, aby Dury zakończył już swą opowieść, bo wtedy mógłbym wybiec na dwór i wykrzyknąć pod niebiosa, że mimo wszystkich kłód rzucanych nam pod nogi złapiemy naszego człowieka. Wiedziałem jednak, że zachowanie spokoju jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek przedtem, i starałem się naśladować stoicyzm Kreizlera.

– A co się stało – zapytał Laszlo – gdy pański brat dorósł? Dorósł na tyle, że...

Z wściekłą, przerażającą gwałtownością Adam Dury wrzasnął coś niewyraźnie i cisnął łopatą o tylną ścianę stodoły, na co kury w przyległym kurniku zagdakały przestraszone i zatrzepotały skrzydłami. Słyszając to, Dury wyszarpnął fajkę z ust, i było widać, że próbuje odzyskać panowanie nad sobą. Kreizler i ja nie ruszyliśmy się z miejsca, ale wiem, że mnie oczy niemal wyszły z orbit.

– Myślę, panowie – wysyczał Dury – że powinniśmy być ze sobą uczciwi.

Kreizler nic nie powiedział, a ja odezwałem się paskudnie drżącym głosem:

– Uczciwi? Ależ zapewniam pana...

– Do diabła! – krzyknął Dury, tupiąc nogą. Potem odczekał kilka sekund, póki się bardziej nie uspokoił. – Nie sądzicie, że była o tym wówczas mowa? Zdaje wam się, że skoro jestem farmerem, muszę być również idiotą? Wiem, czego chcecie się dowiedzieć!

Miałem już znowu zaprotestować, ale Kreizler dotknął mojego ramienia.

– Pan Dury był wobec nas wyjątkowo szczerzy, Moore. Sądzę, że powinniśmy odplacić mu się tym samym. – Dury kiwnął głową, a jego oddech stał się bardziej regularny. – Tak, proszę pana – podjął Kreizler. – Uważamy, że pański brat mógł zamordować waszych rodziców.

Nasz gospodarz wydał z siebie żaloszny dźwięk, na poły szloch, na poły westchnienie.

– I żyje? – zapytał, niemal już bez śladu gniewu w głosie.

Kreizler powoli skinął głową i Dury podniósł ręce w bezradnym geście. – Ale jakie ma to teraz znaczenie? To było tak dawno temu... co się stało, już się nie odstanie. Nawet jeśli mój brat żyje, nie kontaktował się ze mną. Jakie ma to teraz znaczenie?

– Więc pan też go podejrzewał – powiedział Kreizler, pomijając to pytanie, po czym wyjął piersiówkę z whisky i podał ją Dury’emu.

Ten ponownie kiwnął głową i pociągnął łyk alkoholu, nie okazując Kreizlerowi takiej niechęci jak dotąd. Sądziłem, że jej powodem był akcent Laszla; teraz rozumiałem, że wynikała z obaw Dury’ego, iż ta rozmowa – z lekarzem, który musiał mu się wydać bardzo dziwny – może się właśnie tak potoczyć.

– Tak – odparł Dury po chwili milczenia. – Musi pan pamiętać, doktorze, że jako chłopiec mieszkałem wśród Siuksów. Miałem przyjaciół w ich wioskach. I byłem świadkiem powstania z sześćdziesiątego drugiego roku. Wiedziałem, że przyjęte przez policję wyjaśnienie jest kompletną bzdurą. A poza tym... znałem mojego brata.

– Wiedział pan, że jest zdolny do takiego czynu – mruknął Kreizler. Bardzo ostrożnie sterował teraz Durym, jak poprzednio Jessem Pomeroyem. Jego głos pozostał spokojny, ale pytania były coraz celniejsze. – Skąd? Skąd pan to wiedział?

Przejęło mnie szczere współczucie, bo na policzku Dury’ego błysnęła łza.

– Kiedy Japheth miał... dziewięć czy dziesięć lat – powiedział cicho, pociągnawszy kolejny długi łyk z piersiówki – spędziliśmy kilka dni w górach Shawangunk. Polowaliśmy na drobną zwierzynę: wiewiórki, oposy, szopy i inne. Już wcześniej nauczyłem go strzelać, ale nie lubił tego. Japheth był urodzonym traperem. Potrafił cały dzień szukać nory albo gniazda jakiegoś zwierzęcia, a potem czekać godzinami, sam w ciemności, żeby spuścić pułapkę. Miał prawdziwy talent. Ale któregoś dnia polowaliśmy osobno – ja poszedłem tropem rysia – i wracając do obozu, usłyszałem jakiś dziwny pisk. Skowyt. Cienki i słaby, ale okropny. Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem Japhetha. Złapał w sidła oposa i... i kroił go żywcem na kawałki. Podbiegłem, zastrzeliłem biednego zwierzaka i wziąłem brata na stronę. Miał w oczach jakieś takie niedobre błyski, ale kiedy na niego nakrzyczałem, zaczął płakać i przepraszać. Pomyślałem, że to pojedynczy incydent – coś, co młody chłopak może zrobić, gdy nie wie, że postępuje źle, i czego więcej nie robi, gdy to zrozumie.

Dury zaczął gmerać w fajce, która zgasała, i Kreizler znów podał mu ogień.

– Ale nie był to pojedynczy incydent – powiedział.

– Nie – odrzekł Dury. – W ciągu następnych paru lat powtórzyło się to kilkanaście razy – to znaczy, o tych razach wiedziałem. Japheth nigdy nie męczył dużych zwierząt, bydła czy koni na okolicznych farmach. To... to okrucieństwo wyzwalaty w nim tylko małe stworzenia. Staralem się położyć temu kres, aż kiedyś...

Dury urwał i wbił wzrok w ziemię, najwyraźniej nie chcąc mówić dalej. Kreizler przynaglił go łagodnie:

– Aż kiedyś stało się coś gorszego? Dury pyknął z fajki i skinął głową.

– O to go jednak nie winiłem, doktorze. I myślę, że przyzna mi pan rację. – Zwinął dłoń w pięść i uderzył się w udo. – Ale moja matka, niech ją diabli, uznała to za kolejny dowód złej natury Japhetha. Twierdziła, że sam napytał sobie biedy, jakby to w ogóle było możliwe!

– Obawiam się, że musi pan mówić jaśniej – powiedziałem. Dury kiwnął głową, pociągnął jeszcze łyk whisky i oddał piersiówkę Kreizlerowi.

– Tak, tak. Przepraszam. Niech pomyślę... musiało to być latem... do licha, to było tuż przed tym, jak wyniosłem się z domu, latem siedemdziesiątego piątego. Japheth miał jedenaście lat. Farmer, u którego pracowałem, zatrudnił jakiś czas wcześniej nowego parobka, tylko parę lat starszego ode mnie. Robił miłe wrażenie, wydawało się, że ma serce do dzieci. Zaprzyjaźniliśmy się i kiedyś zaprosiłem go na polowanie. Okazał Japhethowi dużo sympatii i mój brat naprawdę go polubił – do tego stopnia, że zabraliśmy gościa ze sobą jeszcze kilka razy. Zastawiali z Japhethem sidła, a ja polowałem na większą zwierzynę. Poprosiłem tego... to coś, które uważałem za człowieka, żeby nie pozwalał Japhethowi dręczyć schwytanych zwierząt. Wydawało mi się, że rozumie sytuację. Oddałem mu Japhetha pod opiekę, zaufałem mu. – Rozległo się jakieś głuche walenie w ścianę stodoły. – A on zdradził moje zaufanie – powiedział Dury, wstając z kamienia. – W najgorszy sposób, w jaki może to zrobić mężczyzna. – Otworzywszy brudne okno i wystawiwszy głowę na zewnątrz, Dury zawołał: – Hej, ty! Odejdź stamtąd, słyszysz? Jazda! – Cofnął się do środka i poskrobał po łysinie. – Głupi koń. Włazi w rzepy, bo chce skubać koniczynę, która rośnie za stodołą, i nie mogę mu... Wybaczcie, panowie. Krótko mówiąc, gdy pewnego wieczoru wróciłem do obozu, Japheth był półnagi, płakał i krwawił z... i krwawił. Łotr, z którym go zostawiłem, zniknął. Nigdy więcej go nie widziałem.

Znów usłyszeliśmy stłumiony łomot. Dury chwycił długi, cienki bat i ruszył do drzwi.

– Przepraszam panów na chwilę.

– Panie Dury? – zawołał Kreizler. Nasz gospodarz przystanął w progu i odwrócił się. – Ten mężczyzna... Czy przypomina pan sobie jego nazwisko?

– Owszem, doktorze – odparł Dury – przypominam sobie. Poczucie winy wypaliło je w mojej pamięci. Beecham, George Beecham. Przepraszam.

Żadna z informacji, które dotąd uzyskaliśmy, nie wstrząsnęła mną bardziej, i mój radosny triumf przerodził się w konsternację.

– George Beecham? – wyszeptalem. – Ależ, Kreizler, jeśli Japheth Dury jest...

Laszlo podniósł palec, nakazując mi milczenie.

– Zostaw to na później, Moore, i pamiętaj o jednym: nie możemy zdradzić temu człowiekowi prawdziwego celu naszej wizyty. Wiemy już prawie wszystko, co chcemy wiedzieć. Wymów się jakoś i jedźmy stąd.

– Wszystko, co... Może ty wiesz wszystko, co chcesz wiedzieć, ale ja nadal mam setki pytań! I dlaczego nie możemy wyjawić mu prawdy, ma prawo...

– A co mu z tego przyjdzie? – syknął Kreizler. – Cierpiał i zadreżczał się z powodu tej sprawy przez lata. Jakiej korzyści, jemu czy nam, przysporzy to, że go poinformujemy, że naszym zdaniem jego brat jest winien nie tylko zabójstwa swoich rodziców, lecz także śmierci pół tuzina dzieci?

To mnie ostudziło; jeśli rzeczywiście Japheth Dury żył, ale nigdy nie próbował się skontaktować ze swoim bratem, to ten udreżzony człowiek nie mógł nam bardziej pomóc w śledztwie. Powiedzenie mu o naszych podejrzeniach istotnie zakrawałoby na szczyt psychicznego okrucieństwa. Toteż kiedy oćwiczwszy konia, Dury wrócił do stodoły, zgodnie z poleceniem Kreizlera opowiedziałem mu bajeczkę o pociągu do Nowego Jorku i terminach, których muszę dotrzymać, dorzucając kilka standardowych wymówek, jakimi posługiwałem się w mojej dziennikarskiej karierze setki razy, aby wybrnąć z podobnych trudnych sytuacji.

– Ale zanim odjedziecie, musicie mi coś uczciwie powiedzieć – oświadczył Dury, gdy szliśmy do powozu. – Ta historia o artykule na temat nierozwiązanych spraw... czy jest w niej coś z prawdy? Czy też macie zamiar wznowić to jedno śledztwo i wykorzystując informacje, które uzyskaliście ode mnie, spekulować o winie mojego brata?

– Zapewniam pana – odparłem, wreszcie nie musząc się silić na przekonujący ton – że nie będzie żadnych artykułów prasowych o pańskim bracie. To, co nam pan powiedział, pozwoli ustalić, gdzie policja popełniła błąd, nic więcej. Nie nadużyjemy pańskiego zaufania.

Na te słowa Dury mocno uściśnął mi dłoń.

– Dziękuję panu.

– Pański brat wiele wycierpiał – powiedział Kreizler, również wymieniając z Durym uścisk ręki. – I przypuszczam, że po śmierci rodziców cierpiał nadal, jeśli istotnie jeszcze żyje. Nie mamy prawa go osądzać ani czerpać korzyści z jego nieszczęścia.

Od wysiłku, z jakim Dury tłumił w sobie emocje, skóra na jego twarzy jeszcze bardziej się napięła.

– Ale jeśli pan pozwoli – ciągnął László – mam jeszcze jedno czy dwa pytania.

– Jeśli tylko znam odpowiedzi, są pańskie, doktorze – stwierdził Dury.

Kreizler skłonił głowę na znak wdzięczności.

– Chodzi mi o pańskiego ojca. Pastorzy Kościoła Reformowanego nie przywiązują na ogół wielkiej wagi do świąt religijnych, ale mam wrażenie, że z nim było inaczej.

– Istotnie – odparł Dury. – Świąta były w naszym domu jedynymi w miarę miłymi dniami. Matka oczywiście protestowała. Wyciągała Biblię i tłumaczyła, że takie celebracje to czysty papizm, straszyla nas karą Bożą. Ale ojciec trwał przy swoim – mało tego, najlepsze kazania wygłaszał właśnie w święta. Nie rozumiem jednak, co...

Gdy Kreizler podniósł dłoń, jego oczy wręcz płonęły.

– To drobnostka, wiem, ale byłem ciekaw. – Wsiadając do surreya, Laszlo jakby coś sobie nagle przypomniał. – Och, jeszcze jeden szczegół. – Dury spojrział nań wyczekująco, a ja usadowiłem się w powozie. – Pański brat, Japheth... W którym momencie zaczął mieć te... problemy z twarzą?

– Skurcze? – upewnił się Dury, ponownie zaskoczony pytaniem. – O ile sobie przypominam, miał je zawsze. Może nie jako niemowlę, ale jak tylko podrośł i przez resztę... to jest, tak długo, jak go znałem.

– Czy nękały go stale?

– Tak – odparł Dury, szperając w pamięci. Nagle uśmiechnął się. – Oczywiście, nie w górach. Kiedy tropił zwierzynę. Wtedy te oczy były spokojne jak woda w stawie.

Nie byłem pewien, ile jeszcze rewelacji mogę usłyszeć, zanim pękne, ale Kreizler najwyraźniej nie miał z tym problemu.

– Biedny, lecz pod wieloma względami niezwykły chłopiec – powiedział. – Nie ma pan przypadkiem jego zdjęcia?

– Nie pozwalał się fotografować, doktorze. Co rozumiałe.

– Tak. Tak, naturalnie. No cóż, do widzenia pana.

Wreszcie ruszyliśmy spod farmy. Patrzyłem przez ramię, jak Adam Dury wraca powoli do stodoły, przy każdym kroku zapadając się w błoto i nawóz. Nagle, niemal już w progu, przystanął i szybko obejrzał się w stronę drogi.

– Kreizler? Czy Sara mówiła, że w artykułach o Durych była jakaś wzmianka o tiku Japhetha?

– Nie przypominam sobie – odparł Laszlo. – Bo co?

– Bo sądząc z obecnego wyrazu twarzy Adama Dury'ego, nigdy o nim nie wspomniano, i facet właśnie to sobie uświadomił. Będzie teraz zachodził w głowę, skąd wiedzieliśmy. – Mój entuzjazm wciąż rósł, choć bardzo się starałem go opanować. – Dobry Boże! Powiedz mi, Kreizler, powiedz mi, że go mamy! Wiele z tego, co ten człowiek powiedział, diabelnie mi się gmatwa, ale proszę, proszę, powiedz mi, że znaleźliśmy rozwiązanie!

Laszlo pozwolił sobie na uśmiech i triumfalnie podniósł prawą pięść.

– Mamy elementy rozwiązania, John, tego jestem pewien. Może jeszcze nie wszystkie i może nie we właściwym porządku, ale tak, prawie już rozwiązaliśmy łamigłówkę! Woźnico! Na dworzec Back Bay! Jeśli dobrze pamiętam, pięć po szóstej jest pociąg do Nowego Jorku, musimy na niego zdążyć!

Przez wiele mil dawaliśmy żywiłowo wyraz naszemu poczuciu triumfu i ulgi; gdybym wiedział, jak krótkotrwałe będą to emocje, starałbym się rozkoszować nimi jeszcze bardziej. Koniec wszelkich radosnych uniesień nastąpił jakąś godzinę za połową drogi do Bostonu, gdy w oddali rozległ się dźwięk podobny do ostrego trzasku pękającej gałęzi. Doskonale pamiętam, że zaraz po trzasku coś bardzo krótko gwizdnęło, a potem z szyi konia ciągnącego nasz surrey trysnęła fontanna krwi i zwierzę padło martwe na ziemię. Zanim woźnica, Kreizler czy ja zdążyliśmy zareagować, usłyszałem kolejny ostry trzask i kolejny gwizd, po czym coś wyrwało kawałek ciała z prawego ramienia Laszla.

ROZDZIAŁ 35

Z krótkim okrzykiem bólu i długim przekleństwem Kreizler rzucił się na podłogę surreya. Wiedząc, że nadal jesteśmy paskudnie odsłonięci, zmusiłem go, aby wyskoczył z powozu i wpełzł ze mną pod spód, gdzie obaj rozplaszczyliśmy się na ziemi. Tymczasem nasz woźnica spokojnie wyszedł na otwartą przestrzeń, najwyraźniej z zamiarem przyjrzenia się martwemu koniowi. Ponagliłem faceta, aby się schował, ale widać strata źródła dochodów uczyniła go ślepym na niebezpieczeństwo, bo nadal robił z siebie tarczę strzelniczą – to znaczy, póki nie huknął kolejny strzał i kula nie zryła mu ziemi u stóp. Wówczas podniósł głowę, nagle zrozumiał, co mu grozi, i rzucił się do ucieczki ku gęstemu zagajnikowi, który rósł jakieś pięćdziesiąt jardów od nas, po przeciwnej stronie drogi niż drzewa zdające się służyć za kryjówkę bandycie.

Nie przestając miotać przekleństw, Kreizler zdjął marynarkę, po czym objaśnił mnie, jak mam go opatrzyć. Rana wyglądała paskudnie, ale nie była niebezpieczna – kula tylko drasnęła mięśnie – i chodziło przede wszystkim o to, aby powstrzymać krwawienie. Wyjąłem pasek ze spodni i mocno ścisnąłem nim Kreizlerowi ramię powyżej postrzału, z rękawa jego koszuli zrobiłem bandaż, i wkrótce szkarłatny strumień wysechł. Kiedy jednak następny pocisk wbił się w koło powozu, roztrzaskując jedną z grubych szprych, dotarło do mnie, że niedługo możemy mieć więcej ran do opatrywania.

– Gdzie on jest? – zapytał Kreizler, sondując wzrokiem drzewa naprzeciwko.

– Widziałem dym na lewo od tej białej brzozy – odparłem, pokazując palcem. – Ja chciałbym raczej wiedzieć, kim on jest.

– Obawiam się, że mamy aż za dużo możliwości do wyboru – mruknął Kreizler i stękając, poprawił sobie bandaż. – Ja bym stawiał na naszych przeciwników z Nowego Jorku. Wpływy i władza Comstocka sięgają bardzo daleko.

– Comstock stosuje subtelniejsze metody niż nasyłanie na ludzi morderców. Byrnes zresztą też. Może to Dury?

– Dury?

– Może przez tę sprawę z tikiem zmienić do nas stosunek, mógł pomyśleć, że go oszukaliśmy.

– Ale czy on wyglądał na mordercę? – zapytał Kreizler, zginając ranną prawą rękę w łokciu i przytrzymując ją lewą. – Mimo tych wszystkich gwałtownych słów? Poza tym dał nam do zrozumienia, że jest dobrym strzelcem – w przeciwieństwie do tego gościa.

To nasunęło mi pewną myśl.

– A może to... on? Nasz człowiek? Mógł nas śledzić od Nowego Jorku. I jeśli to jest Japheth Dury, pamiętasz, Adam powiedział, że jego brat nigdy nie lubił strzelać.

Kreizler rozważył tę koncepcję i pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z drzew.

– Ponoś cię wyobraźnia, Moore. Dlaczego miałby jechać za nami aż tutaj?

– Bo wiedział, dokąd się udajemy. Wiedział, gdzie mieszka jego brat i że rozmowa z Adamem może nam pomóc go wytropić.

Laszlo dalej kręcił głową.

– Zbyt fantastyczne. To jakiś zbir Comstocka, mówię ci...

Nagle gwizdnął kolejny strzał i kula wydarła kilka drzazg z drewnianej burty surreya.

– Zrozumieliśmy – mruknąłem w odpowiedzi. – Możemy podyskutować o tym później. – Odwróciłem głowę, by spojrzeć na las za nami. – Wygląda na to, że woźnicy udało się dotrzeć do tych drzew. Myślisz, że z tą ręką dasz radę biec?

Kreizler jęknął boleśnie.

– Tak samo, jak tu leżeć, do diabła!

Chwyciłem jego marynarkę.

– Tylko nie leć prosto. Staraj się kluczyć – powiedziałem. – Odwróciliśmy się i wypełzliśmy z drugiej strony powozu. – Ja pobiegę za tobą, na wypadek gdybyś miał kłopoty.

– Coś mi się nieprzyjemnie zdaje – odparł Kreizler, taksując wzrokiem pięćdziesiąt jardów odkrytego terenu – że mogą to być kłopoty ostateczne. – Myśl ta wyraźnie nim wtrząsnęła. Zawahał się, wyjął swój srebrny zegarek i podał mi go. – Posłuchaj, John, gdybym... no wiesz... chcę, żebyś dał to...

Uśmiechnąłem się i odepchnąłem jego rękę.

– Obrzydliwy sentymentalista, jak zawsze podejrzewałem. Nie martw się, sam jej go dasz. Ruszaj!

Kiedy stawką biegu jest życie, pokonanie pięćdziesięciu jardów nierównego gruntu może się wydawać dużo trudniejsze, niż jest naprawdę. Wszystkie mysie nory, kałuże, dziury, korzenie i kamienie między powozem a ścianą lasu urastały do nieprzewyciężonych przeszkód, strach bowiem pozbawił moje nogi i stopy ich normalnej zwinności. Myślę, że przebiegliśmy te pięćdziesiąt jardów w niecałą minutę; i chociaż zagrażał nam tylko jeden człowiek, który w dodatku nie strzelał najcelniej, miałem wrażenie, iż znajduję się w ogniu artylerii. Zdawało mi się, że kule bezustannie świstają wokół mojej głowy, choć nie sądzę, by w rzeczywistości oddano do nas więcej niż trzy czy cztery strzały. Gdy wpadłem wreszcie między drzewa i smagany po twarzy gałęziami zagłębiłem się w leśną ciemność, byłem bliższy zmoczenia spodni niż kiedykolwiek przedtem czy potem.

Znalazłem Kreizlera pod olbrzymim świerkiem. Bandaż i opaska uciskowa rozluźniły się podczas biegu i z rany płynęła świeża krew. Poprawiwszy opatrunki, zarzuciłem mu na ramiona marynarkę, ponieważ zbladł i wydawało mi się, że marznie.

– Będziemy szli równolegle do drogi – powiedziałem cicho – aż zobaczymy jakiś wóz. Jesteśmy niedaleko Brookline, stamtąd już na pewno ktoś nas podwiezie na stację.

Pomogłem Kreizlerowi wstać i ruszyliśmy przez gęstwinę, uważając, by nie stracić drogi z oczu. Kiedy pokazały się zabudowania Brookline, uznałem, że możemy już bezpiecznie wyjść z lasu, dzięki czemu będziemy szli szybciej. Wkrótce potem zatrzymał się koło nas furgon z lodem i woźnica zeskoczył z kozła, aby spytać, co się nam przytrafiło. Wymyśliłem historyjkę o wywrotce powozu, na co gość zaproponował, że zawiezie nas na samą stację Back Bay. Mieliśmy przy tym podwójne szczęście, ponieważ kilka dużych kawałków lodu z zapasów woźnicy złągodziło ból w ramieniu Kreizlera.

Kiedy zobaczyliśmy Back Bay, było prawie wpół do szóstej i światło słoneczne zaczęło nabierać bursztynowej, przydymionej barwy. Poprosiłem woźnicę, aby wysadził nas obok kępy rachitycznych sosen, jakieś dwieście jardów od stacji, i podziękowawszy mu za podwiezienie i lód, który niemal całkowicie powstrzymał krwawienie z rany Laszla, zaciągnąłem mojego przyjaciela w cienisty półmrok pod ciemnozielonymi gałęziami.

– Bardzo kocham przyrodę, Moore – powiedział Kreizler ze zdumieniem w głosie – ale to raczej nie jest odpowiednia chwila. Dlaczego nie podjechalśmy do samej stacji?

– Jeśli strzelał do nas jeden z ludzi Comstocka lub Byrnesa – odparłem, wybierając miejsce, z którego dobrze widziałem budynek stacji – mógł zgadnąć, że się tam skierujemy, i już na nas czeka.

– Aha – mruknął Laszlo. – Rozumiem. – Przykucnął na zasypanej igłami ziemi i zaczął sobie poprawiać bandaże. – Posiedzimy tu, a kiedy przyjedzie pociąg, wskoczmy do niego niepostrzeżenie.

– Tak jest – potwierdziłem. Kreizler wyjął zegarek.

– Prawie pół godziny.

Spojrzałem nań złośliwie i lekko się uśmiechnąłem.

– Akurat dość czasu, żebyś mi wyjaśnił ten swój dziecinny gest.

Ku mojemu zaskoczeniu, Kreizler spuścił wzrok, wyraźnie speszony.

– Zapewne nie ma szans na to – powiedział, wbrew sobie odwzajemniając mój uśmiech – abyś zapomniał o tym incydencie?

– Żadnych.]

Pokiwał głową.

– Tak sądziłem.

Usiadłem obok niego.

– No więc? – zapytałem. – Ożenisz się z nią czy nie?

Laszlo nieznacznie wzruszył ramionami.

– Myślałem o tym.

Odchyliłem głowę do tyłu i parsknąłem cichym śmiechem.

– Mój Boże... małżeństwo. Czy już... no wiesz... czy już się jej oświadczyłeś? – Laszlo potrząsnął głową. – Lepiej wstrzymaj się z tym do zakończenia śledztwa – poradziłem. – Wtedy prędzej się zgodzi.

Kreizler zrobił zdziwioną minę.

– A to czemu?

– Po prostu – odparłem. – Dowiedzie swego, jeśli wiesz, co mam na myśli, i będzie bardziej skłonna się ustatkować.

– Dowiedzie swego? – zdumiał się Kreizler. – Jakiego swego?

– Laszlo – powiedziałem z lekką wymówką – jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś, ta sprawa dość dużo dla Sary znaczy.

– Dla Sary? – powtórzył oszołomiony.

Po sposobie, w jaki wymówił jej imię, zorientowałem się, że od samego początku byłem w błędzie.

– O nie – westchnąłem. – To nie Sara.

Kreizler popatrzył na mnie kilka sekund, a potem przechylił głowę do tyłu, otworzył usta i wybuchnął śmiechem, jakiego nigdy u niego nie słyszałem: tubalnym i irytująco długim.

– Kreizler – odezwałem się ze skrucą po minucie tego popisu. – Mam nadzieję, że...

On nie przestawał się śmiać, więc w końcu dałem wyraz mojemu rozdrażnieniu:

– Kreizler. Kreizler! W porządku, zrobiłem z siebie osła. Czy teraz będziesz uprzejmy się zamknąć?

Nie zamknął się jednak. Zaczął się uspokajać dopiero po kolejnej minucie i to tylko dlatego, że od śmiechu rozboleła go zraniona ręka. Przytrzymując ją, chichotał jeszcze chwilę, aż łzy stanęły mu w oczach.

– Przepraszam cię, Moore – powiedział w końcu. – Ale co ty musiałeś sobie myśleć...

I znów ryknął śmiechem.

– A co, do diabła, miałem myśleć? – zapytałem. – Spędzałeś z nią dużo czasu. I sam mówiłeś, że...

– Przecież Sary nie interesuje małżeństwo – przerwał mi Kreizler, odzyskawszy wreszcie panowanie nad sobą. – W ogóle mało interesują ją mężczyźni. Wszystko, co robi, opiera się na przekonaniu, że kobieta może prowadzić niezależne, satysfakcjonujące życie. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Tak, przyszło mi to do głowy – skłamałem, próbując ratować resztki godności. – Ale zachowywaliście się, jakby... nie wiem, jak się zachowywaliście!

– Jedna z naszych pierwszych rozmów dotyczyła właśnie tego – podjął Kreizler. – Sara powiedziała, że nie życzy sobie żadnych komplikacji, nasze stosunki mają mieć charakter czysto profesjonalny. – Laszlo przyjrzał się mojej kwaśnej minie. – Musiało to być dla ciebie bardzo dokuczliwe – stwierdził, znów parszkając śmiechem.

– Było – odparłem z irytacją.

– Mogłeś po prostu spytać.

– Nie tylko Sara chciała być profesjonalistką! – zaprotestowałem, tupiąc nogą. – Chociaż teraz widzę, że nie powinienem był się przejmować żadnymi... – Urwałem i podjąłem już ciszej: – Zaraz, zaraz. Jeśli to nie Sara, to kogo, u diabła... – Odwróciłem się powoli do Laszla, a on równie powoli spuścił głowę: odpowiedź miał wypisaną na twarzy. – O mój Boże – wyszeptałem. – To Mary, prawda?

Kreizler spojrzał ku stacji, a potem w stronę, z której miał przyjechać pociąg, jakby szukał ratunku przed tą indagacją. Ratunek nie nadszedł.

– To skomplikowana sytuacja, John – powiedział w końcu. – Muszę cię prosić, abyś to zrozumiał i uszanował.

Zbyt wstrząśnięty, aby móc się odezwać, słuchałem w milczeniu, jak Laszlo objaśnia mi ową „skomplikowaną sytuację”. Pewne aspekty sprawy głęboko go niepokoiły: w końcu Mary była kiedyś jego pacjentką i zawsze istniało niebezpieczeństwo, że to, co uznała za miłość, jest w istocie wdzięcznością lub, jeszcze gorzej, szacunkiem. Dlatego też, tłumaczył starannie Kreizler, gdy mniej więcej przed rokiem zorientował się w uczuciach dziewczyny, bardzo uważał, aby jej nie zachęcać i nie pozwolić sobie na ich odwzajemnienie. Zależało mu również na tym, abym zrozumiał, że zbliżyli się do siebie z Mary w sposób, który pod wieloma względami był zupełnie naturalny.

Kiedy Laszlo zaczął pracować z niepiśmienną i rzekomo niedorozwiniętą Mary, szybko zdał sobie sprawę, że nie uda mu się z nią porozumieć, dopóki dziewczyna nie nabierze doń zaufania. Osiągnął to, ujawniając jej coś, co w rozmowie ze mną nazwał niejasno swoją „przeszłością”. Nieświadom, że wiem o jego przeszłości więcej, niż sam mi kiedykolwiek powiedział, Kreizler nie miał pojęcia, jak dobrze to wszystko rozumiem. Mary była prawdopodobnie pierwszą osobą, która usłyszała historię burzliwych stosunków Laszla z ojcem, a tak intymne zwierzenia istotnie mogły wzbudzić zaufanie... i coś więcej. Choć odsłaniając się przed Mary, Laszlo chciał jedynie skłonić ją do tego, aby odsłoniła się przed nim, w istocie zasiał ziarno wyjątkowej zażyłości. Zażyłość ta przetrwała do czasu, gdy zatrudnił Mary jako gospodynię, i uczyniła życie w domu na Siedemnastej Ulicy o wiele ciekawszym, jak również bardziej skomplikowanym, niż było kiedykolwiek przedtem. W końcu Kreizler musiał przyznać, że, po pierwsze, uczucia Mary do niego wykraczają poza zwykłą wdzięczność, a po drugie, że jemu też dziewczyna nie jest obojętna, i wówczas wkroczył w długi okres autoanalizy, próbując ustalić, czy to, co czuje, nie jest *de facto* litością dla nieszczęśliwego, samotnego stworzenia, które przyjął pod swój dach. Nabrał pewności, że nie, dopiero na krótko przed zabójstwem Georgia Santorellego. Udział w śledztwie nie pozwolił mu rozwiązać spraw osobistych od razu, lecz pomógł zdecydować, jakie to będzie rozwiązanie. Kiedy bowiem stało się jasne, że niebezpieczeństwo zagraża nie tylko członkom naszej ekipy, lecz także jego służącym, Kreizler zaczął się lękać o Mary w sposób, który wykraczał poza normalną troskę „dobroczyńcy”. Wtedy postanowił, że dziewczyna ma wiedzieć o śledztwie jak najmniej i że nie wolno jej w nim uczestniczyć. Świadom, iż jego wrogowie mogą weń uderzyć poprzez bliskie mu osoby, Laszlo miał nadzieję ochronić Mary, nie udzielając jej żadnych informacji, aby nikt nie próbował ich od niej wydobyć. Dopiero rankiem w dniu naszego wyjazdu do Waszyngtonu stwierdził, że chyba nadeszła już pora, aby jego związek z Mary „ewoluował”, jak dość niezręcznie to ujął. Natychmiast powiadomił ją o swej decyzji, i dziewczyna patrzyła, jak odjeżdża, ze łzami w oczach, strwożona, że coś mu się przytrafi w podróży, i nigdy nie staną się dla siebie kimś więcej niż panem i służącą.

Kiedy Laszlo skończył swoją opowieść, usłyszałem w oddali pierwszy gwizd nowojorskiego pociągu. Chociaż nadal byłem oszołomiony, zacząłem przebiegać myślą wydarzenia ostatnich tygodni, próbując ustalić, gdzie popełniłem tak wielki błąd w ich interpretacji.

– To przez Sarę – stwierdziłem wreszcie. – Od początku zachowywała się tak, jakby... no dobrze, nie wiem, jak się właściwie zachowywała, ale na pewno bardzo dziwnie. Czy ona wie?

– Z pewnością – odparł Kreizler – choć nie ode mnie. Sara zdaje się traktować wszystko jako sprawdzian swoich talentów detektywistycznych. Przypuszczam, że ta mała zagadka dostarczyła jej sporej rozrywki.

– Rozrywka – mruknąłem. – A ja myślałem, że to miłość. Na pewno wiedziała, że jestem na złym tropie. To dla niej typowe, utrzymywać mnie w przekonaniu... Niech no tylko wrócimy. Pokażę jej, co się dzieje, kiedy ktoś tak pogrywa z Johnem Schuylerem...

Umilkłem, bo z lewej strony, jakąś milę od nas, pokazał się nowojorski pociąg, jadący pełną parą.

– Możemy dokończyć tę rozmowę w pociągu – powiedziałem, pomagając Kreizlerowi wstać. – I bądź pewien, że ją dokończymy!

Odczekawszy, aż pociąg zatrzyma się na stacji, pokusowaliśmy z Kreizlerem przez kolejne kamienisto-wyboiste pole do ostatniego wagonu. Wspięliśmy się na tylną platformę, po czym weszliśmy chyłkiem do środka, gdzie ulokowałem Laszla wygodnie na siedzeniu. Nie było jeszcze widać konduktora i wykorzystaliśmy dzielące nas od odjazdu minuty, aby doprowadzić do porządku opatrunek Kreizlera, jak również nasz wygląd. Co parę sekund spoglądałem na peron, szukając wzrokiem osobnika, który robiłby wrażenie płatnego mordercy, ale do pociągu wsiadały jeszcze tylko starsza, zamożna kobieta z laską i jej postawna, wyraźnie znękana pielęgniarka.

– Wygląda na to, że mieliśmy szczęście – powiedziałem, stając w przejściu między siedzeniami. – Zerknę jeszcze...

Głos uwiązał mi w gardle, gdy spojrzałem ku tylnym drzwiom wagonu. Nie wiadomo skąd, na platformie pojawili się dwaj potężnie zbudowani mężczyźni, i chociaż stali do mnie bokiem – kłócąc się z zawiadowcą stacji – widziałem ich dostatecznie dobrze, aby rozpoznać zbirów, którzy przegnali Sarę i mnie z mieszkania Santorellich.

– O co chodzi, Moore? – zapytał Kreizler, przyglądając mi się. – Co się stało?

Świadom, że w razie jakiegokolwiek konfrontacji niewiele będę miał pożytku z rannego Laszla, zdobyłem się na uśmiech i potrząsnąłem głową.

– Nic. Nic a nic. Nie panikuj tak, Kreizler.

Obaj odwróciliśmy wzrok, słysząc, jak otwierają się przednie drzwi: do wagonu weszły staruszka i jej pielęgniarka. Choć żołądek skurczył mi się ze strachu, mój umysł funkcjonował prawidłowo.

– Zaraz wracam – rzuciłem Kreizlerowi i podszedłem do kobiet. – Przepraszam – powiedziałem z uśmiechem, starając się być jak najbardziej ujmujący. – Pozwoli pani, że pomogę jej zająć miejsce?

– Pozwolę – odparła staruszka tonem, który dowodził, że przywykła do tego, by jej usługiwano. – Ta przekłeta pielęgniarka jest nic niewarta!

– Och, na pewno nie – zaoponowałem, zerkając na laskę, którą się podparła: była zakończona wspaniałą gałką z ciężkiego srebra, wymodelowaną na podobieństwo łabędzia. Ująłem staruszkę pod ramię i podprowadziłem ją do siedzenia. – Istnieją granice możliwości – dodałem, zdumiony jej wagą i niezdarkością – nawet najlepszej pielęgniarki. – Pielęgniarka powstała mi uśmiech, a ja tymczasem chwyciłem laskę. – Pozwoli pani, że to potrzymam. Chyba możemy... już!

Siedzenie głośno stęknęło pod ciężarem staruszki, a ona sama westchnęła z ulgą.

– Och! O tak, teraz mi lepiej. Dziękuję, sir. Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłem, znów się uśmiechając, i odszedłem.

Kreizler spojrzał na mnie w osłupieniu, gdy go mijałem.

– Moore, co ty, do diabła...

Gestem nakazałem mu milczenie i podszedłem do tylnych drzwi wagonu, gdzie ustawiłem się profilem, aby zbirom było trudniej mnie rozpoznać. Nadal kłócili się z zawiadowcą, o co, nie miałem pojęcia, ale kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że jeden z nich trzyma futerał na strzelbę. „Ten będzie pierwszy”, mruknąłem do siebie; chciałem jednak zaczekać, aż pociąg ruszy.

Kiedy ta chwila nadeszła, usłyszałem, jak mężczyźni rzucają zawiadowcy ostatnie, dość wulgarne, obelgi: za sekundę mieli się odwrócić i wejść do wagonu. Wziąłem głęboki oddech, po czym szybko i cicho otworzyłem drzwi.

Nie na darmo śledziłem przez wiele sezonów wysiłki nowojorskich Gigantów. Trenując popołudniami w Central Parku, sam nauczyłem się niezłe machać kijem baseballowym i teraz, laską staruszki, dzieliłem w głowę zbira, który trzymał futerał ze strzelbą. Facet wrzasnął i zanim zdążył cokolwiek zrobić, pchnąłem go ręką między łopatki, tak że wyleciał przez barierkę na tory. Choć pociąg nadal jechał dość wolno, nie było szans, aby mógł z powrotem do niego wskoczyć, ale musiałem jeszcze stawić czoło drugiemu zbirowi, który odwrócił się do mnie z okrzykiem: „Co jest, do diabła?”

Przewidując, że będzie chciał skoczyć mi do gardła, przykucnąłem i uderzyłem go srebrnym łabędziem w krocze. Zgiął się wpół zaledwie na moment, a kiedy się wyprostował, wyglądał raczej na rozwścieczonego niż obezwładnionego. Jego pięść wystrzeliła do przodu, lecz tylko musnęła moją czaszkę, bo zrobiłem unik, wychylając się nad tory. Pociąg, wywnioskowałem z krótkiego, lekko nieprzytomnego spojrzenia w dół, nabierał prędkości. Zbir, niezdarkny nawet jak na człowieka tej postury, zachwiał się po nieudanym ciosie i kiedy próbował odzyskać równowagę, przyłożyłem mu łabędziem w skroń. Zrobiłem to jednak za słabo, aby zapobiec kolejnemu atakowi. Oburącz podniosłem laskę do góry, ale mój przeciwnik był szybszy i zasłonił głowę muskularnymi ramionami, po czym wyszczerzył złośliwie zęby i dał krok naprzód.

„Czekaj no, śmierdzielu”, mruknął, i rzucił się na mnie. Miałem tylko jedną drogę obrony: opuściłem laskę na wysokość jego szyi i wbiłem mu jej koniec w grdykę, na co facet wydał gwałtowny, zduszony okrzyk i zastygł bez ruchu. Szybko rzuciłem laskę, chwyciłem się dachu platformy, podciągnąłem na rękach do góry i z całej siły kopnąłem zbira obydwiema nogami. Wyleciał przez barierkę na nasyp kolejowy, poturlał się kawałek i znieruchomiał, wciąż trzymając się za gardło.

Przysiadłem na platformie i kilka razy głęboko odetchnąłem. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem w drzwiach Kreizlera.

– Moore! – zawołał, kucając obok mnie. – Nic ci się nie stało?

Potrząsnąłem głową, nadal ciężko dysząc, a Laszlo spojrział w dal za pociągiem.

– Na pewno jesteś w lepszym stanie niż ci dwaj. Jeśli możesz się ruszyć, lepiej wróć do środka, ta kobieta wpadła w histerię. Myśli, że ukradłeś jej laskę, i odgraża się, że na najbliższej stacji zawiadomi policję.

Kiedy mój puls zaczął się wreszcie uspokajać, przyglądałem ubranie i podniosłem laskę, po czym wszedłem do wagonu i pokuśtykałem do staruszki.

– Pani laska, *madame* – powiedziałem uprzejmie, nadal trochę zdyszany. Cofnęła się przestraszona. – Chciałem ją tylko popodziwiać w lepszym świetle.

Wzięła ode mnie laskę bez słowa, ale wracając na swoje miejsce, usłyszałem jej pisk i okrzyki:

– Zabierz ją! Jest na niej krew!

Z jękiem opadłem na siedzenie. Kreizler usiadł obok i podał mi piersiówkę.

– Jak przypuszczam, nie byli to ludzie, którzy chcieli się upomnieć o zwrot karcianego długu? – zapytał.

Potrząsnąłem głową i napiłem się whisky.

– Nie – wysapałem. – To chłopcy Connora. Więcej nie umiem ci powiedzieć.

– Jak myślisz, naprawdę chcieli nas zabić czy tylko postraszyć?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. I jeśli mam być szczerzy, wołałbym teraz o tym nie rozmawiać. Zwłaszcza że zanim się wtrąćli, prowadziliśmy bardzo ważną dyskusję...

Wkrótce zjawił się konduktor. Kiedy kupiliśmy bilety do Nowego Jorku, zacząłem wypytywać Laszla o jego sercową historię – nie dlatego, że wydawała mi się niewiarygodna: nie wydałaby się taka nikomu, kto choć raz widział Mary Palmer – po prostu, z jednej strony uspokajało to moje nerwy, a z drugiej całkowicie i ożywczo rozbrajało Kreizlera. Wszystkie niebezpieczeństwa, którym stawiliśmy czoło tego dnia, a nawet cała posepność naszego śledztwa, jakoś dziwnie zmaleły, gdy Laszlo opowiadał nieśmiało o swych osobistych nadziejach na przyszłość. Tego rodzaju rozmowa była dlań nowym i pod wieloma względami trudnym doświadczeniem, ale nigdy przedtem nie widziałem mojego przyjaciela tak bardzo ludzkim.

I już nigdy go takim nie zobaczyłem.

ROZDZIAŁ 36

Nasz pociąg, osobowy jak się okazało, strasznie się włókł, toteż gdy wyczłapaliśmy z nowojorskiego Dworca Głównego, na wschodnim niebie białą już świt. Zgodziwszy się, że żmudne zadanie uporządkowania informacji, które uzyskaliśmy od Adama Dury'ego, może poczekać do popołudnia, wsiedliśmy z Kreizlerem w osobne dorożki, aby pojechać do domów i trochę się przespać. Kiedy dotarłem na Washington Square, w domu mojej babki panowała głucha cisza, i liczyłem na to, że uda mi się wśliznąć do łóżka, nim rozpocznie się poranna krzątania. Niestety, gdy już miałem się rozebrać, szczęśliwie pokonawszy schody bez hałasu, usłyszałem lekkie pukanie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Harriet wetknęła głowę w drzwi.

– Och, panie John – powiedziała, wyraźnie czymś zdenerwowana. – Dzięki Bogu.
– Weszła do pokoju, szczerzej otulając się peniurem. – Panna Howard dzwoniła wczoraj cały wieczór i jeszcze w nocy.

– Sara? – spytałem, zaniepokojony marszem na zwykle pogodnej twarzy Harriet. – Gdzie ona jest?

– W domu doktora Kreizlera. Powiedziała, że tam ją pan znajdzie. Zdarzył się jakiś... Nie wiem, sir, nie chciała mi nic wyjaśnić, ale po jej głosie poznałam, że stało się coś okropnego.

Szybko wbiłem stopy z powrotem w buty.

– W domu doktora Kreizlera? – powtórzyłem, czując, że serce wali mi jak młotem. – Co ona tam, u licha, robi?

Harriet energicznie załamała ręce.

– Jak mówię, sir, nic mi nie powiedziała, ale niech się pan pospieszy, dzwoniła chyba z dziesięć razy!

Wyleciałem z domu jak błyskawica i wiedząc, że o tej porze nie złapię dorożki bliżej niż na Szóstej Alei, ruszyłem w tamtą stronę najszybciej, jak tylko mogłem, i nie zwolniłem kroku, póki nie wskoczyłem do powozu, który stał pod torami kolejki nadziemnej. Podałem dorożkarzowi adres Kreizlera i powiedziałem mu, że sprawa jest pilna, na co chwycił bat i popędził konia. Kiedy mknęliśmy na północ – ja z zamętami w głowie, zbyt zmęczony i zbyt zdenerwowany, aby rozważać słowa Harriet – zacząłem czuć na twarzy krople wody i wychyliłem się z dorożki, aby spojrzeć w niebo: ciężkie chmury przeciągały nad miastem, zaciemniając światło poranka i zraszając ulice równym deszczem.

Dorożkarz nie popuścił koniowi przez całą drogę na Stuyvesant Square i znalazłem się pod domem Kreizlera w wyjątkowo krótkim czasie. Dałem gościowi spory napiwek, a wtedy oświadczył, że na mnie zaczeka – przypuszczał zapewne, iż wkrótce znów będę potrzebował dorożki, i nie chciał tracić hojnego klienta, zwłaszcza o takiej martwej godzinie. Podszedłem ostrożnie, ale szybko do frontowych drzwi; akurat się otworzyły i zobaczyłem w nich Sarę. Wyglądała na całą i zdrową, co tak mnie ucieszyło, że mocno ją uściskałem.

– Bogu dzięki – westchnąłem. – Po rozmowie z Harriet bałem się, że...

Urwałem, spostrzegłszy, że za Sarą stoi jakiś mężczyzna: siwowłosy, dystygowany, w surducie i z torbą lekarską. Gdy ponownie spojrzałem na Sarę, zauważyłem, że w jej twarzy malują się zmęczenie i smutek.

– To doktor Osborne, John – powiedziała cicho. – Kolega doktora Kreizlera. Mieszka w pobliżu.

– Jak się pan ma? – zapytał mnie doktor Osborne i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Sary: – A zatem, panno Howard, ufam, że wyraziłem się jasno: chłopiec musi leżeć i mieć absolutny spokój. Najbliższe dwadzieścia cztery godziny będą decydujące.

Sara ze znużeniem skinęła głową.

– Tak, doktorze. I dziękuję panu za troskę. Gdyby nie pan...

– Żałuję, że nie mogłem zrobić więcej – powiedział cicho Osborne, po czym włożył cylinder, ukłonił mi się i odszedł, a Sara wciągnęła mnie do środka.

– Co tu się, do diabła, stało? – spytałem, idąc za nią po schodach. – Gdzie jest Kreizler? I o kim mówił ten lekarz? Stevie miał jakiś wypadek?

– Psst, John – uciszyła mnie energicznie. – Nie podnośmy głosu. Doktora Kreizlera nie ma.

– Nie ma? – powtórzyłem. – A dokąd poszedł?

Po wejściu do ciemnego salonu Sara ruszyła w stronę lampy, ale przystanąła w pół kroku i machnęła ręką. Opadła na sofę i z pudełka na stoliku obok wzięła papierosa.

– Usiądź, John – powiedziała.

Skala zawartych w tych słowach uczuć – od rezygnacji i smutku po gniew – sprawiła, że natychmiast usłuchałem. Podsunąłem jej zapaloną zapałkę i czekałem, aż zacznie mówić dalej.

– Doktor Kreizler jest w kostnicy – odezwała się wreszcie, wydmuchując dym.

Szybko złapałem powietrze.

– W kostnicy? O co chodzi, Saro, co się stało? Czy Stevie ma się dobrze?

Skinęła głową.

– Względnie dobrze. Jest na górze, z Cyrusem. Mamy teraz pod opieką dwie rozbite głowy.

– Rozbite głowy? – znów powtórzyłem za nią jak papuga. – Jak, do... – Rozejrzałem się po salonie, po przyległym hallu, i nagle ścisnęło mnie w żołądku. – Zaraz, zaraz. Co ty tu robisz? Dlaczego sama otwierasz drzwi? Gdzie jest Mary?

Sara wolno potarła oczy i zaciągnęła się papierosem. Kiedy przemówiła, jej głos był dziwnie słaby.

– Był tu Connor. W sobotę wieczorem, z dwójką swoich zbirów. – Ucisk w moim żołądku wzrósł. – Stracili z oczu ciebie i doktora Kreizlera i pewnie szefowie ich cisnęli, sądząc z ich zachowania. – Powoli wstała, podeszła do okna i uchyliła jedno skrzydło. – Wdarli się do domu i zamknęli Mary w kuchni. Cyrus był w sypialni, więc został im Stevie. Spytały go, gdzie jesteście ty i Kreizler, ale... Znasz Steviego. Nie chciał nic powiedzieć.

Skinąłem głową i mruknąłem:

– „Idźcie się gonić”.

– Właśnie – odparła Sara. – Więc... zabrali się do niego. Ma rozbitą głowę, kilka złamanych żeber i zmasakrowaną twarz. Najgorsza jest głowa... Wyżyje, ale nie wiemy jeszcze, jakie to będzie życie. Do jutra coś powinno się wyjaśnić. Cyrus chciał mu pomóc i wstał z łóżka, ale tylko przewrócił się na korytarzu i znów stłukł sobie głowę.

Choć bałem się zapytać, zrobiłem to:

– A Mary?

Sara z rezygnacją podniosła rękę.

– Musiała usłyszeć, jak Stevie krzyczy. Nie wyobrażam sobie, co innego mogłoby ją pchnąć do... do takiej nierozwagi. Chwyliła nóż i jakimś sposobem wydostała się z kuchni. Nie wiem, na co liczyła, ale... Nóż znalazł się w boku Connora. Mary wylądowała u stóp schodów. Ze złamanym karkiem.

– Zabiła się? – spytałem przerażonym szeptem.

Sara skinęła głową, a potem odchrząknęła i podjęła wątek:

– Stevie dowłókł się do telefonu i wezwał doktora Osborne’a. Kiedy tu wpadłam wczoraj wieczorem, po powrocie z New Paltz, wszystko było już... załatwione. Steviemu udało się powiedzieć, że to był wypadek. Ze Connor nie chciał skrzywdzić Mary. Ale kiedy go ugodziła, zamachnął się i...

Mój wzrok się zmacił, wszystko dookoła zlało się w niewyraźną szarość, a potem usłyszałem dźwięk, który pamiętałem z mostowej wieży z nocy zabójstwa Georgia Santorellego – potężny szum mojej własnej krwi. Głowa zaczęła mi się trząść, a gdy podniosłem dłonie, by ją przytrzymać, poczułem, że mam wilgotne policzki. Przed oczyma przemknęły mi obrazy, jakie zazwyczaj towarzyszą wiadomościom o takich tragediach – szybkie, oderwane, momentami głupie – a kiedy znów usłyszałem swój głos, nie bardzo wiedziałem, skąd dochodzi.

– To niemożliwe – mówiłem. – Niemożliwe. Taki zbieg okoliczności, to nie ma... Saro, Laszlo właśnie mi powiedział...

– Tak – odrzekła. – Mnie też.

Wstałem i na okropnie miękkich nogach podszedłem do Sary do okna. Ciemne chmury wciąż nie pozwalały świtowi rozjaśnić nieba nad miastem.

– Sukinsyny – mruknąłem. – Parszywe sukinsyny... Czy Connora schwytano?

Sara wyrzuciła niedopałek papierosa przez okno i potrząsnęła głową.

– Theodore nadal go szuka, z paroma śledczymi. Sprawdzają szpitale i różne meliny. Wątpię, żeby go znaleźli. Jak ludzie Connora dowiedzieli się, że jesteście w Bostonie, pozostaje zagadką, choć pewnie możemy przyjąć, że spytali w kasie biletowej na dworcu. – Dalej wpatrując się w okno, Sara dotknęła mojego ramienia. – Wiesz – powiedziała półgłosem – odkąd pierwszy raz weszłam do tego domu, Mary bała się, że coś jej go odbierze. Próbowałam dać jej do zrozumienia, że tym czymś nie będę ja. Mimo to nigdy nie przestała się bać. – Sara odwróciła się i przeszła przez pokój, aby usiąść. – Może była mądrzejsza od nas wszystkich.

Potarłem ręką czoło.

– To niemożliwe... – szepnąłem kolejny raz, ale w głębi duszy wiedziałem, że jest to jak najbardziej możliwe, biorąc pod uwagę to, z kim mieliśmy do czynienia i że powinienem zacząć się z tym godzić. – Kreizler – powiedziałem, usiłując natężyć głos. – Kreizler jest w kostnicy?

– Tak – odrzekła Sara, biorąc następnego papierosa. – Nie potrafiłam mu powiedzieć, co się stało, zrobił to doktor Osborne. Stwierdził, że ma wprawę.

Zacisnąłem zęby, zwinąłem dłonie w pięści i ruszyłem ku schodom.

– Muszę tam pojechać.

Sara złapała mnie za ramię.

– John. Uważaj.

Szybko kiwnąłem głową.

– Dobrze.

– Nie. Naprawdę uważaj. Z nim. Jeśli się nie mylę, przeżywa to jeszcze bardziej, niż sądzisz. Bądź wyrozumiały.

Spróbowałem się uśmiechnąć i przykryłem jej dłoń swoją, a potem zbiegłem po schodach i wyszedłem na dwór.

Mój dorożkarz nadal stał pod domem i widząc mnie, wskoczył zwinnie na kozioł. Kazałem mu się szybko zawieźć do Bellevue i pomknęliśmy ulicą w równie żywym tempie jak poprzednio. Deszcz zaczynał przybierać na sile, pędzony mocnym, ciepłym, zachodnim wiatrem. Kiedy gnailiśmy Piątą Aleją, zdjąłem kaszkiet, aby zasłonić nim twarz od kropli, które wpadały pod budę dorożki. Nie pamiętam, abym miał podczas tej jazdy jakiegoś myśli, przez głowę przesuwały mi się tylko kolejne obrazy Mary Palmer, cichej, ładnej dziewczyny o niezwykłych niebieskich oczach, dziewczyny, która w ciągu zaledwie kilku godzin stała się dla mnie z gospośi przyszłą żoną drogiego przyjaciela, a z niej nikim. To, co zaszło, nie miało sensu, żadnego sensu, i nie było co go szukać, więc po prostu sobie siedziałem, pozwalając obrazom przelatywać.

W Bellevue znalazłem Laszla na tyłach kostnicy, pod dużymi żelaznymi drzwiami, przez które weszliśmy do budynku na sekcję zwłok Ernsta Lohmanna. Opierał się o ścianę, a jego oczy były wielkie i puste niczym jamy ziejące w twarzach ofiar naszego mordercy. Stał niemal dokładnie pod wylotem rynny, więc spróbowałem odciągnąć go na bok. Ciało miało sztywne i odporne.

– Laszlo – powiedziałem łagodnie. – Chodź. Wsiądź do dorożki.

Szarpnąłem go bez powodzenia jeszcze kilka razy, aż wreszcie się odezwał, schrypniętym, monotonnym głosem:

– Nie zostawię jej.

Skinąłem głową.

– Dobrze. Ale chociaż stańmy w drzwiach, jesteś już cały mokry.

Spojrzał na swoje ubranie, poruszając jedynie oczami; potem kiwnął głową i schował się ze mną w ciasnej wnęce. Postaliśmy tam dłuższy czas, zanim znowu przemówił, tym samym bezbarwnym tonem:

– Wiesz... mój ojciec...

Na jego twarzy malował się taki ból, że omal nie pękło mi serce.

– Tak, znałem go, Laszlo.

Kreizler sztywno pokręcił głową.

– Nie. Czy wiesz, co ojciec... stałe mi powtarzał, kiedy byłem... chłopcem?

– Nie. Co takiego?

– Że... – Głos miał wciąż strasznie ochryple, jakby dobywał go z trudem, ale słowa zaczęły padać szybciej. – Że nie wiem tyle, ile mi się wydaje. Że myślę, że wiem, jak ludzie powinni postępować. Że uważam się za lepszego od niego. Ale pewnego dnia... pewnego dnia, powiedział, przekonam się, że to nieprawda. Do tego czasu będę zwykłym... nabieraczem...

Znów nie umiałem mu powiedzieć, jak dobrze, w świetle odkrycia Sary, rozumiem to, co mówi, i tylko położyłem dłoń na jego zdrowym ramieniu. Zaczął machinalnie poprawiać sobie ubranie.

– Załatwiłem... formalności. Wkrótce będzie tu przedsiębiorca pogrzebowy. Potem muszę wrócić do domu. Stevie i Cyrus...

– Sara ich dogląda.

Laszlo potrząsnał pięścią, jego głos raptownie nabrał mocy, a nawet pewnej gwałtowności.

– Ja muszę ich doglądać, John! To mój obowiązek. Ja sprowadziłem tych ludzi do mojego domu. Ja odpowiadałem za ich bezpieczeństwo. I spójrz na nich teraz – spójrz na nich! Stevie i Cyrus walczą ze śmiercią, a... a...

Urwał i popatrzył na żelazne drzwi, jakby był w stanie przebić je wzrokiem i dojrzeć zardzewiały metalowy stół i leżące na nim zwłoki dziewczyny, która nie tak dawno uosabiała dlań nadzieję na nowe życie. Mocniej ścisnąwszy mu rękę, powiedziałem:

– Theodore szuka...

– Nie obchodzi mnie już, co robi komisarz policji – odparł Kreizler, szybko i ostro. – I cały jego personel. – Zamilkł, po czym, krzywiąc się z bólu w rannej ręce, zdjął z ramienia moją dłoń i odwrócił głowę. – Skończyłem z tym, John. Skończyłem z tą przekłątą, diabelską sprawą, z całym tym... śledztwem.

Ostupałem. Wydawało mi się, że mówię zupełnie poważnie.

– Kreizler – powiedziałem w końcu – daj sobie parę dni, zaczekaj, aż...

– Aż co? – wpadł mi w słowo. – Aż jeszcze ktoś przeze mnie zginie?

– Nie jesteś winien...

– Nie mów mi, że nie jestem winien! – krzyknął. – Jeśli nie ja, to kto? Comstock miał rację, wszystko przez moją próżność. Zślepił mnie gniew, pragnąłem dowieść moich cennych racji, nie pomyślałem, czym to może grozić. A czego oni chcieli? Comstock? Connor? Byrnes, ci mężczyźni w pociągu? Chcieli mnie tylko powstrzymać. Ale ja sądziłem, że to, co robię, jest zbyt ważne, abym mógł ustąpić. Sądziłem, że wiem lepiej! Ścigaliśmy mordercę, John, ale to nie on jest naprawdę niebezpieczny, tylko ja! – Nagle syknął i zacisnął zęby. – Więc już wystarczy. Skoro jestem niebezpieczny, odsunę się. Niech ten człowiek dalej zabija. Tego właśnie chcą. Jest częścią ich porządku, ich cennego społecznego porządku. Bez takich ludzi nie mieliby kozłów ofiarnych, nie mieliby komu przypisywać swej własnej niegodziwości! Kim ja jestem, żeby się wtrącać?

– Kreizler – powiedziałem, teraz naprawdę zaniepokojony, bo nie było już żadnych wątpliwości, że mówi serio – co ty wygadujesz, zaprzeczasz wszystkiemu...

– Nie, już nie zaprzeczam! – odrzekł. – Przytakuję! Wrócę do Instytutu, wrócę do mego martwego, pustego domu i zapomnę o tej sprawie. Dopilnuję, żeby Stevie i Cyrus wyzdrowieli i nigdy więcej nie znaleźli się w niebezpieczeństwie z powodu mojej pychy. A to przekłęte społeczeństwo niech idzie drogą, którą tamci mu wytyczyli, i niech zginie!

Cofnąłem się kilka kroków. Choć w głębi duszy wiedziałem, że nie ma sensu teraz z Laszlem dyskutować, jego postawa mnie zabolala.

– W porządku. Skoro chcesz się nad sobą rozczulać...

Zamachnął się na mnie lewą ręką, ale paskudnie chybił.

– Niech cię diabli, Moore! – wyszczał, oddychając szybko i urywanie. – Niech diabli wezmą ciebie i ich! – Chwyił za klamkę i otworzył drzwi, po czym przystanął, aby złapać tchu. Oczy, znów rozszerzone przerażeniem, wbił w ciemny, ponury korytarz. – I mnie – dodał cicho. Jego pierś powoli przestawała falować. – Zaczekam w środku. Będę ci wdzięczny, jeśli zostawisz mnie samego. Przyślę kogoś, żeby zabrał moje rzeczy z Broadwayu. Nie... Przykro mi, John.

Wszedł do kostnicy, a żelazne drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Stałem tam przez chwilę, czując, że przemoczone ubranie zaczyna mi się lepić do ciała. Spojrzałem na kanciaste, surowe ceglane budynki dookoła, a potem w niebo. Zachodni wiatr, wciąż przybierający na sile, niósł następne chmury. Gwałtownym ruchem schyliłem się, wyrwałem z ziemi kępę trawy i cisnąłem nią w czarne drzwi.

– Niech diabli wezmą was wszystkich! – krzyknąłem, podnosząc ubłoconą pięść, ale ten wybuch nie przyniósł mi ulgi. Powoli opuściłem rękę, wytarłem z twarzy krople deszczu i poczłapałem do dorożki.

ROZDZIAŁ 37

Ponieważ nie miałem ochoty nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, poleciłem dorożkarzowi, aby zawiózł mnie na Broadway 808. Budynek był wyludniony i kiedy wczłapałem do sztabu, słyszałem tylko bębnienie deszczu o szyby neogotyckich okien. Padłem na kanapę markiza Carcano i utkwiełem wzrok w naszej dużej, zapisanej tablicy, co jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Na szczęście wyczerpanie okazało się silniejsze od rozpacz i zwątpienia, więc w końcu usnąłem i spałem przez większość tego ciemnego, ponurego dnia. Koło piątej obudziło mnie głośne pukanie. Chwiejnym krokiem pokonałem korytarz i otworzyłem drzwi: w progu stał przemoknięty posłaniec z Western Union, trzymający mokrą kopertę. Wziąłem ją od niego, rozdarłem i przeczytałem telegram, poruszając przy tym głupawo ustami.

KAPITAN MILLER, FORT YATES, POTWIERDZA KAPRAL JOHN BEECHAM MIAŁ TIK TWARZOWY. NOSIŁ MYŚLIWSKI NÓŻ. NA PRZEPUSTKACH UPRAWIAŁ WSPINACZKĘ. PROSIMY O WSKAZÓWKI.

Gdy przeczytałem wiadomość po raz trzeci, uświadomiłem sobie, że chłopak coś do mnie mówi, i podniosłem nań nieprzytomne spojrzenie.

– Słucham?

– Odpowiedź, sir – powtórzył zniecierpliwionym tonem. – Czy chce pan wysłać odpowiedź?

– Aha. – Zastanawiałem się chwilę, niepewny, co radzić Isaacsonom w świetle ostatnich wydarzeń. – Tak, dobrze.

– Musi ją pan napisać na czymś suchym – powiedział chłopak. – Moje blankiety są mokre.

Podszedłem do biurka, wziąłem kartkę i nabazgrałem na niej: WRACAJCIE PIERWSZYM POCIĄGIEM. Przeczytawszy telegram, chłopak podał mi cenę za jego nadanie, więc wyjąłem z kieszeni pieniądze i wręczyłem mu je bez liczenia. Momentalnie się rozchmurzył, z czego wywnioskowałem, że dostał solidny napiwek, i wsiadł z powrotem do windy.

Nie było sensu, aby Isaacsonowie tkwili w Dakocie Północnej, jeśli nasze śledztwo miało się zakończyć. Prawdę powiedziawszy, jeśli Kreizler istotnie zamierzał wycofać się z gry, nie było sensu, aby ktokolwiek z nas robił cokolwiek. Mogliśmy spokojnie zwinąć manatki i wrócić do zwykłych zajęć. Wszystko, co Sara, Isaacsonowie i ja wiedzieliśmy o mordercy, zawdzięczaliśmy naukom Laszla, więc kiedy patrzyłem teraz na mokry Broadway, gdzie piesi na osłep przebiegali przez jezdnię pełną rozpędzonych dorożek i wozów dostawczych, aby jak najszybciej schronić się przed deszczem w kolejnym sklepie, nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak moglibyśmy odnieść sukces bez jego dalszego przewodnictwa.

Właśnie pogodziłem się z tym wnioskiem, gdy usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Do sztabu wmaszerowała Sara, z parasolką i paczkami w dłoniach, i w zupełnie innym nastroju niż rankiem. Jej kroki i mowa były szybkie, wręcz lekkie, jakby nic a nic się nie zdarzyło.

– To istny potop, John! – oznajmiła, wkładając parasolkę do ceramicznego stojaka, po czym zdjęła pelerynę i poszła z paczkami do kuchenki. – Przez Czternastą Ulicę ledwo można przejść i nie sposób złapać dorożki!

Znów spojrzałem w okno.

– Przynajmniej ulice będą czystsze – odparłem.

– Chcesz coś zjeść? – zawołała Sara. – Zaparzę kawę, przyniosłam prowiant. Niestety, będą nam musiały wystarczyć kanapki.

– Kanapki? – powtórzyłem bez zbytniego entuzjazmu. – Nie moglibyśmy wyjść coś zjeść?

Sara wróciła do pokoju i podeszła do mnie.

– Wyjść? Nie możemy wyjść, mamy... – Urwała, widząc depezę Isaacsonów, i wzięła ją ostrożnie do ręki. – Co to?

– Marcus i Lucius – odparłem. – Uzyskali potwierdzenie co do Johna Beechama.

– Ależ to cudownie, John! – wykrzyknęła Sara. – W takim razie...

– Wysłałem już odpowiedź – wtrąciłem, poruszony jej zachowaniem. – Kazałem im jak najszybciej wracać.

– To nawet lepiej – stwierdziła Sara. – Wątpię, aby mogli jeszcze coś tam odkryć, a będą nam potrzebni tutaj.

– Potrzebni?

– Mamy robotę – odrzekła krótko.

Okłapałem, uświadamiając sobie, że moje obawy były słuszne.

– Saro, Kreizler powiedział mi dziś rano...

– Wiem – odparła. – Mnie też to powiedział. I co z tego?

– Co z tego? Jest już po wszystkim, to z tego. Jak mamy prowadzić śledztwo bez Kreizlera?

Wzruszyła ramionami.

– Tak jak prowadziliśmy je z nim. Posłuchaj, John. – Chwyciła mnie za ramiona, popchnęła w stronę biurka i posadziła na nim. – Wiem, co myślisz, ale nie masz racji. Damy już sobie radę sami. Możemy to doprowadzić do finału.

Zacząłem kręcić głową, nim jeszcze skończyła zdanie.

– Saro, bądź poważna, nie mamy przygotowania, nie mamy wiedzy...

– Mamy tyle wiedzy, ile potrzebujemy, John – odparła stanowczym tonem. – Pamiętaj o czymś, czego nauczył nas sam Kreizler: o kontekście. Żeby dokończyć tę robotę, nie musimy wiedzieć wszystkiego o psychologii, alienizmie czy podobnych przypadkach. Wystarczy nam znajomość tego przypadku, tego człowieka – i już go znamy. Mało tego, kiedy złożymy razem informacje, które zebraliśmy przez ostatni tydzień, będziemy go znać równie dobrze, jak on zna siebie, a może jeszcze lepiej. Doktor Kreizler był ważny, ale go nie ma, i już go nie potrzebujemy. Nie możesz się wycofać. Nie wolno ci.

W tym, co mówiła, tkwiły niezaprzeczalne elementy prawdy; poświęciłem minutę na ich przetrwanie, ale potem znów zacząłem kręcić głową.

– Posłuchaj, wiem, jaka to dla ciebie szansa. Wiem, jak bardzo by ci pomogło przekonać Wydział...

Urwałem, bo przyłożyła mi pięścią w ramię.

– Do diabła, John, nie obrażaj mnie! Naprawdę sądzisz, że robię to dla szansy? Robię to, bo chcę znów kiedyś spać spokojnie. Czy w trakcie swoich wycieczek po Wschodnim Wybrzeżu zapomniłeś, o co tu chodzi? – Podskoczyła do biurka Marcusa i chwyciła kilka zdjęć. – Pamiętasz to, John?

Zerknąłem na fotografie tylko pobieżnie, bo wiedziałem, co przedstawiają: różne miejsca zbrodni.

– Naprawdę wierzysz, że sam zaznasz wiele spokoju, jeśli się teraz wycofasz? A co będzie, gdy zginie następny chłopiec? Jak się będziesz wtedy czuł?

– Saro – zaprotestowałem, podnosząc głos, aby ją przekrzyknąć. – Nie mówię o tym, co bym wolał, tylko o tym, co jest rozsądne!

– Wycofanie się ma być rozsądne? – odpała. – Kreizler robi to, bo musi. Dotknął go cios, najbardziej bolesny cios, jaki może dotknąć człowieka, i umiał na to zareagować tylko w taki sposób. Ale to on, John. My możemy pracować dalej! Musimy pracować dalej!

Opuściła ręce, zrobiła kilka głębokich wdechów, a potem wygładziła suknię, przeszła przez pokój i wskazała prawą stronę tablicy.

– Moim zdaniem – powiedziała spokojnie – mamy trzy tygodnie, aby się przygotować. I nie wolno nam zmarnować ani minuty.

– Trzy tygodnie? – zdziwiłem się. – Dlaczego? Podeszła do biurka Kreizlera i wzięła cienki tomik z krzyżem na okładce.

– Kalendarz chrześcijański – powiedziała, podnosząc tomik do góry. – Zakładam, że odkryliście, dlaczego morderca się go trzyma?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, chyba tak. Victor Dury był pastorem. Więc... więc... – Chwilę szukałem słów i znalazłem takie, jakich mógłby użyć sam Kreizler: – Rytmu domu Durych, cykl życia rodziny, wszystko musiało być z nim zgodne.

Sara po swoim wydeła wargi.

– Widzisz, John? Nie myliłeś się, że w sprawę jest wplątany ksiądz.

– To jeszcze nie wszystko – powiedziałem, cofając się myślą do pytań, które Kreizler zadał Adamowi Dury'emu, gdy opuszczaliśmy farmę. – Wielebny lubił święta, ponoć wygłaszał wtedy fantastyczne kazania. Ale jego żona... – Z namysłem postukałem palcem w biurko i uświadomiwszy sobie wagę tej informacji, podniosłem głowę. – To pani Dury była główną dręczycielką Japhetha i, według jego brata, w święta urządzała chłopcu piekło.

Na twarzy Sary odmalowała się satysfakcja.

– Pamiętasz, jak mówiliśmy, że morderca nienawidzi nieuczciwości i hipokryzji? Jeśli jego ojciec głosił w kazaniach jedno, a tymczasem matka...

– Tak – mruknąłem. – Ja też to widzę.

Sara z wolna podeszła do tablicy, po czym zrobiła coś, co mnie zdumiało: wzięła kredę i bez wahania zanotowała moje informacje w rubryce DZIECIŃSTWO. Jej charakter pisma nie był tak staranny i wyrobiony jak charakter Kreizlera, ale mimo to wyglądał tu jak najbardziej na miejscu.

– Reaguje zgodnie z cyklem kryzysów emocjonalnych z dzieciństwa – stwierdziła Sara, odkładając kredę. – Czasem te kryzysy są tak głębokie, że zabija, a ten, który przyjdzie za trzy tygodnie, może być najgorszy ze wszystkich.

– Tak powiedziałas – odparłem. – Ale nie przypominam sobie, żeby pod koniec czerwca było jakieś ważne kościelne święto.

– Nie jest ważne dla każdego – zaznaczyła Sara, otwierając kalendarz. – Ale dla niego...

Podawała mi kalendarz, wskazując jakąś datę. Spojrzałem na zapis: niedziela, 24 czerwca, Uroczystość Narodzenia św. Jana Chrzciciela. Wybałuszyłem oczy.

– Większość kościołów nie obchodzi już tego święta zbyt hucznie – ciągnęła Sara. – Ale...

– Święty Jan Chrzciciel – szepnąłem. – Woda!

Sara skinęła głową.

– Woda.

– Beecham – wymamrotałem; skojarzenie było może dalekie, ale mimo to oczywiste: – John Beecham...

– O czym ty mówisz? – zapytała Sara. – Jedyne Beecham, jakiego znalazłam w aktach miejskich New Paltz, miał na imię George.

Teraz ja podszedłem do tablicy i wzięłem kredę. Stukając nią w ramkę podpisaną **KSZTAŁTUJĄCA PRZEMOC I/LUB MOLESTOWANIE**, zacząłem szybko wyjaśniać:

– Kiedy Japheth Dury miał jedenaście lat, został napadnięty, zgwałcony przez mężczyznę, z którym pracował jego brat. Przez człowieka, z którym się zaprzyjaźnił i któremu ufał. Ten człowiek nazywał się George Beecham. – Sara wydała cichy okrzyk i podniosła rękę do ust. – Jeśli po zamordowaniu rodziców Japheth Dury rzeczywiście przyjął nazwisko Beecham, aby rozpocząć nowe życie...

– To jasne – wtrąciła Sara. – Sam stał się dręczycielem!

Skwapliwie kiwnąłem głową.

– A dlaczego imię John?

– Chrzciciel – odrzekła Sara. – Ten, który oczyszcza! Roześmiałem się i zapisałem te myśli w odpowiednich miejscach tablicy.

– To tylko spekulacje, ale...

– John – upomniała mnie dobrodusznie Sara – cała ta tablica jest tylko spekulacją. Ale działa.

Odłożyłem kredę, a kiedy się odwróciłem, Sara wprost promieniała.

– Teraz rozumiesz, prawda? – spytała. – Nie możemy się poddać, John, musimy kontynuować śledztwo.

I tak też zrobiliśmy.

Tak zaczęło się dwadzieścia najtrudniejszych i najbardziej niezwykłych dni w moim życiu. Wiedząc, że Isaacsonowie dotrą do Nowego Jorku najwcześniej w środę wieczorem, postanowiliśmy z Sarą zinterpretować i zanotować informacje, które zebraliśmy w minionym tygodniu, aby sierżanci śledczy mogli je sobie szybko przyswoić po powrocie. Następne dni spędziliśmy głównie na Broadwayu 808, omawiając fakty i – na mocy niemego porozumienia – przemeblowując nasz sztab, aby nieobecność Kreizlera była jak najmniej odczuwalna. Wszystkie jego rzeczy zostały po cichu odłożone na bok albo wyniesione, a jego biurko zepchnęliśmy do kąta i ustawiliśmy cztery pozostałe w mniejszy (lub, jak wolałem na to patrzeć, ściślejszy) krąg. Te porządki specjalnie nas nie cieszyły, ale staraliśmy się nie trapić i nie rozczulać. Jak zawsze kluczem była koncentracja: stwierdziliśmy, że dopóki nie tracimy z oczu podwójnego celu zapobieżenia kolejnej zbrodni i schwywania mordercy, ból i dezorientacja okresu przejściowego dają się jakoś znieść.

To wszystko nie oznaczało, że po prostu wymazaliśmy Kreizlera z pamięci; przeciwnie, rozmawialiśmy o nim z Sarą wiele razy, próbując zrozumieć, co działało się w jego umyśle po śmierci Mary. Naturalnie rozmowy te dotyczyły także przeszłości Laszla. Rozmyślając o jego nieszczęśliwym dzieciństwie, ochłonąłem z resztek gniewu o to, że wycofał się ze śledztwa, i we wtorek rano, nie mówiąc nic Sarze, złożyłem mu wizytę.

Chciałem zobaczyć, jak się czują Stevie i Cyrus, ale przede wszystkim naprawić stosunki z Laszlem po naszym nieprzyjemnym rozstaniu w Bellevue. Na szczęście mój stary przyjaciel pragnął tego równie mocno jak ja, choć trwał w zamiarze porzucenia śledztwa. Słuchając go, gdy mówił o śmierci Mary, pojąłem, jak strasznie ciężko jest mu na duszy. Głównym powodem jego decyzji była jednak utrata wiary w siebie. Zaledwie drugi raz, odkąd go znałem (pierwszy raz zdarzyło się to w tygodniu poprzedzającym naszą wizytę u Jessego Pomeroya), Laszlo zdawał się naprawdę wątpić w słuszność swoich sądów. I chociaż uważałem, że nie ma racji, nie mogłem żywić doń o to pretensji. Każdy człowiek radzi sobie z osobistą tragedią po swojemu, i przyjaciołom pozostaje go w tym wspierać. Tak więc uściśnąłem Kreizlerowi dłoń i zaakceptowałem jego wybór, mimo że głęboko mnie on bolał. W chwili pożegnania znów zacząłem się zastanawiać, jak damy sobie radę bez niego, ale zanim doszedłem do furtki, moje myśli pochłonęło śledztwo.

Jak się dowiedziałem podczas tych trzech dni przed powrotem Isaacsonów, wyprawa Sary do New Paltz potwierdziła wiele naszych hipotez dotyczących dzieciństwa mordercy. Dziewczyźnie udało się odszukać kilkoro rówieśników Japhetha Dury'ego, i przyznali oni – oddając im sprawiedliwość, nie bez skruchy – iż jako chłopiec był okrutnie wyśmiewany z powodu swoich gwałtownych skurczów twarzy. Zarówno w szkole (notabene Marcus miał rację, w New Paltz uczono wówczas kaligraficznego systemu Palmera), jak i wówczas, gdy towarzyszył rodzicom do miasta, dzieci często urządzały sobie zawody w przedrzeźnianiu jego tiku. Jako dorośli już teraz mieszkańcy New Paltz zapewnili Sarę, że nie był to tik zwyczajny: oczy i usta Japhetha rozciągały się niemal na całą szerokość twarzy, jakby chłopiec czuł straszliwy ból i miał za chwilę wybuchnąć gwałtownym płaczem. Co dziwne, nigdy nie próbował walczyć, gdy go atakowano, ani nie wymyślał swoim prześladowcom; zawsze znosił ciosy i zaczepki ze spokojem, toteż po paru latach dzieciom z miasteczka znudziło się dokuczanie mu. Ale tych parę lat wystarczyło, aby zatruć Japhethowi duszę, zwłaszcza że na co dzień miał do czynienia z kimś, kto nigdy nie przestawał go dręczyć: z własną matką. Sara nie rozwodziła się specjalnie nad tym, jak trafny był stworzony przez nią portret matki, choć Bóg wie, że miałyby prawo. Rozmowy z mieszkańcami New Paltz dały jej tylko ogólną charakterystykę pani Dury, lecz zrozumiała z tych ogólników dość, aby poczuć satysfakcję. Matkę Japhetha pamiętano w miasteczku jako gorliwą orędowniczkę działalności misyjnej męża, a jeszcze lepiej jako surową i nieczułą kobietę. Inne matrony z New Paltz uważały wręcz – co dowodzi, iż mądrość ludowa może czasem osiągnąć psychologiczną głębię – że powodem skurczów Japhetha Dury'ego było nieustanne strofowanie przez matkę. Jeszcze bardziej usatysfakcjonowała Sarę moja relacja z Newton. To, co Laszlo i ja usłyszeliśmy w stodole Dury'ego, potwierdziło niemal wszystkie jej hipotezy; Adam powiedział nam nawet, że jego matka często nazywała Japhetha „brudnym Indianinem”. Kobieta istotnie odegrała „mroczną rolę” w życiu naszego mordercy, i chociaż to pastor wymierzał synom kary fizyczne, pani Dury karała ich dużo bardziej dotkliwie samym swoim zachowaniem. W związku z tym Sara i ja doszliśmy do wniosku, że „głównym” czy „planowym” obiektem morderczego szału Japhetha była jego matka.

Uznaliśmy też, że rozczarowawszy się tak boleśnie do najważniejszej kobiety w swoim życiu, w ogóle unikał potem towarzystwa kobiet. Nasuwało się więc pytanie, dlaczego zabija chłopców, którzy ubierają się i zachowują po kobiecemu, a nie same kobiety. Szukając rozwiązania tej zagadki, cofnęliśmy się z Sarą do naszej wczesnej teorii, że morderca wybiera ofiary, które są doń podobne. Na skutek nienawiści pani Dury, rozumowaliśmy, Japheth Dury musiał zniechęcić sam siebie – czy jest bowiem możliwe, by dziecko, którym pogardza matka, nie straciło poczucia własnej wartości? W ten sposób gniew Japhetha przekroczył granice płci, stając się swego rodzaju hybrydą, i znajdował ujście jedynie w zabijaniu chłopców, którzy uosabiali podobną dwuznaczność.

Naszym ostatnim krokiem w procesie porządkowania tych świeżo zebranych informacji było wyjaśnienie, w jaki sposób Japheth Dury stał się Johnem Beechamem. Sara niewiele dowiedziała się w New Paltz o Georgeu Beechamie – mieszkał tam zaledwie rok i występował w aktach miejskich wyłącznie dlatego, że głosował w wyborach do Kongresu w 1874 roku. Mimo to byliśmy niemal pewni, że rozumiemy wybór nazwiska. Od początku śledztwa zdawaliśmy sobie sprawę, że mamy do czynienia z sadystą, który każdym czynem daje wyraz obsesyjnemu pragnieniu, aby z dręczonego stać się dręczycielem. To, że dokonując tej przemiany, przybrał nazwisko człowieka, który go zwiódł i wykorzystał, było przewrotnie logiczne i symboliczne, podobnie jak to, że posługiwał się tym nazwiskiem, gdy zaczął mordować dzieci, które – sądząc z pozorów – ufały mu tak samo, jak on ufał George'owi Beechamowi. Sądziliśmy również, że choć niewątpliwie starał się pielęgnować owo zaufanie, gardził swymi ofiarami za to, że pozwalają się oszukiwać. Znowu, miał nadzieję, że usunie zniechędzony element swojej osobowości, usuwając lustrzane odbicia dziecka, którym był kiedyś.

I tak Japheth Dury przeistoczył się w Johna Beechama, który, według lekarzy ze szpitala Świętej Elżbiety, nie lubił, by go obserwowano, i cierpiał na urojenia prześladowcze. Było mało prawdopodobne, aby odzyskał równowagę psychiczną po swym zwolnieniu ze św. Elżbiety pod koniec lata 1886 roku, jako że uzyskał to zwolnienie wbrew woli lekarzy, wykorzystując kruczek prawny; przeciwnie, jeśli John Beecham rzeczywiście był naszym mordercą, jego podejrzliwość, gwałtowność i nienawiść do świata z biegiem lat jeszcze przybrały na sile. Sara i ja uznaliśmy, że aby Beecham mógł nabyć tak dobrej znajomości Nowego Jorku, jaką niewątpliwie posiadał, musiał przyjechać do miasta wkrótce po wyjściu ze szpitala i już go nie opuszczać. To założenie dawało podstawy do nadziei, ponieważ w ciągu owych dziesięciu lat na pewno wszedł w kontakt ze sporą liczbą osób i musiał się stać, w jakiejś dzielnicy czy środowisku zawodowym, znaną postacią. Oczywiście nie wiedzieliśmy, jak dokładnie wygląda, ale uważaliśmy, że jeśli wyjdziemy od cech fizycznych, które wydedukowaliśmy na początku śledztwa, i sprecyzujemy je, wykorzystując Adama Dury'ego jako model, uda nam się stworzyć opis, który w połączeniu z nazwiskiem Beecham uczyni identyfikację stosunkowo prostą sprawą. Rzecz jasna nie mieliśmy gwarancji, że morderca nadal występuje jako John Beecham, ale biorąc pod uwagę, ile to nazwisko dlań znaczyło, sądziliśmy, że tak jest.

Tyle mniej więcej mogliśmy z Sarą wykoncipować do powrotu Isaacsonów. A że w środę wieczorem sierżantów śledczych nadal nie było, zdecydowaliśmy się jeszcze wypełnić pewne nieprzyjemne zadanie: przekonać Theodore'a, aby pozwolił nam kontynuować śledztwo bez Kreizlera. Oboje podejrzewaliśmy, że nie będzie to łatwe. Spędziwszy początek tygodnia na poszukiwaniu Connora, jak również prowadzeniu wojny z siłami korupcji w Kwaterze Głównej, Roosevelt nie miał pojęcia o decyzji Laszla; świadomi, że prędzej czy później dowie się prawdy od niego samego lub od Isaacsonów, postanowiliśmy wziąć byka za rogi i poinformować go osobiście.

Nie chcąc dawać dziennikarzom i personelowi Kwatery Głównej nowych powodów do spekulacji, uradziliśmy, że odwiedzimy Theodore'a w domowym zaciszu. On i jego żona Edith mieszkali od niedawna przy Madison Avenue 689, w kamienicy, która należała do siostry Theodore'a, Bamie – wygodnej, ładnie umeblowanej, ale zdecydowanie za małej dla pięciorga dzieci Rooseveltów. (Prawdę mówią później i Biały Dom okazał się dla nich za mały.) Wiedząc, że Theodore zawsze stara się jadać kolację z rodziną, Sara i ja wzięliśmy dorożkę około szóstej i zajechaliśmy na róg Madison Avenue i Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy o zachodzie słońca.

Kiedy weszliśmy na ganek numeru 689, ze środka dochodziły wrzaski i tupot dziecięcych nóżek. Zapukałem do drzwi i w końcu otworzył je drugi syn Theodore'a, Kermit, wówczas sześćioletni. Miał typowe dla chłopca w jego wieku i dla tej epoki długawe włosy, krótkie spodenki i białą koszulę, ale w prawej ręce trzymał, dość złowieszczo, róg jakiegoś zwierzęcia, chyba nosorożca, osadzony na ciężkiej podstawie.

Jego twarz wyrażała zacięty opór.

– Witaj, Kermit – powiedziałem z uśmiechem. – Ojciec jest w domu?

– Nikt nie przejdzie! – oznajmił groźnie chłopiec, patrząc mi w oczy.

Mój uśmiech zgasł.

– Słucham?

– Nikt nie przejdzie! – powtórzył Kermit. – Ja, Horacio, będę bronił tego mostu!

Sara zachichotała, a ja skinąłem głową.

– Rozumiem, Horacio na moście. No więc, Horacio, jeśli pozwolisz...

Dałem krok albo dwa za próg, a wtedy Kermit podniósł róg i walnął nim ze zdumiewającą siłą w palce mojej prawej stopy. Krzyknąłem z bólu, na co Sara zachichotała głośniejsze, a Kermit znów oświadczył:

– Nikt nie przejdzie!

W tym momencie dobiegł nas z głębi domu przyjemny, ale stanowczy głos Edith Roosevelt:

– Kermit! Co się tam dzieje?

Oczy Kermita rozszerzyły się ze strachu, chłopiec zakręcił się na pięcie i pomknął ku schodom, wrzeszcząc: „Odwrót! Odwrót!” Po chwili, gdy ból w moich palcach zaczął ustępować, zobaczyłem, że zbliża się do nas dość poważnie wyglądająca, mniej więcej czteroletnia dziewczynka: młodsza córka Theodore'a, Ethel. Niosła duży album zoologiczny z barwnymi ilustracjami i szła zdecydowanym krokiem, ale kiedy spostrzegła najpierw Sarę i mnie, a potem znikającego u szczytu schodów Kermita, przystanęła i wystawiła kciuk w jego kierunku.

– Horacio na moście – zadeklamowała, przewracając oczami i kręcąc głową, po czym znów wsadziła nos w książkę i ruszyła dalej.

Nagle otworzyły się jakieś drzwi z naszej prawej strony i wypadła z nich pulchna, przepasana fartuszkami i wyraźnie przestraszona gosposia. (Rooseveltomie mieli bardzo mało służby: ojciec Theodore'a, szcudroblawy filantrop, rozdał większość swego majątku, i Theodore utrzymywał rodzinę głównie z honorariów autorskich i skromnej pensji.) Nie zwracając na nas uwagi, gosposia podbiegła do frontowych drzwi i schowała się za ich otwartym skrzydłem.

– Nie! – wrzasnęła do jakiejś niewidocznej osoby. – Nie, paniczu, nie zrobię tego!

W drzwiach, z których wyleciała gosposia, pojawił się ośmioletni chłopiec w poważnym szarym garniturze i okularach przypominających binokle Theodore'a. Był to Ted, najstarszy syn. Statusu dziedzica rodu dowodził nie tylko jego strój, lecz także dość groźnie wyglądający młody puszczyk, który siedział mu na ramieniu, oraz zdechły szczur, którego trzymał za ogon dłonią w rękawicze.

– Patsy, jesteś doprawdy śmieszna – zwrócił się do gosposi. – Jeśli się nie nauczy, co jest jego naturalnym pożywieniem, nigdy nie będziemy mogli wypuścić go na wolność. Po prostu potrzymaj mu szczura nad dziobem... – Urwał, uświadamiając sobie wreszcie, że w progu stoi dwoje gości. – Och – powiedział, a jego oczy rozbłyły. – Dobry wieczór, panie Moore.

– Dobry wieczór, Ted – odparłem, cofając się przed puszczykiem.

Chłopiec odwrócił się do Sary.

– Panna Howard, nieprawdaż? Poznaliśmy się w gabinecie ojca.

– Brawo, paniczu – odrzekła Sara. – Naukowiec musi mieć pamięć do szczegółów.

Ted uśmiechnął się z zakłopotaniem i nagle przypomniał sobie o szczurze.

– Panie Moore – powiedział szybko, ze świeżym zapałem – czy mógłby pan wziąć tego szczura – o tu, za ogon – i potrzymać go jakiś cal nad dziobem Pompejusza? Nie przywykł do widoku zwierzyny i może się płoszyć, dotąd jadł surowe wołowe mięso. Muszę mieć wolną rękę, na wypadek gdyby próbował odlecieć.

Człowiek nieobeznany ze zwyczajami rodziny Rooseveltów pewnie by się oburzył, ale ja, który byłem świadkiem wielu takich scen, tylko westchnąłem, wziąłem szczura za ogon i uniosłem go tak, jak prosił Ted. Puszczyk raz czy dwa dziwacznie obrócił łeb, po czym rozpostarł duże skrzydła i zamachał nimi, wyraźnie zdezorientowany. Ted jednak mocno trzymał szpony dłonią w rękawicze i wydawał huczące, piskliwe dźwięki, które zdawały się uspokajać ptaka. W końcu Pompejusz przekreślił swą niezwykle elastyczną szyję tak, że jego dziób celował prosto w sufit, chwycił szczura za głowę i pożałował go, całego wraz z ogonem, kilkoma makabrycznymi kłapięciami.

Ted uśmiechnął się szeroko.

– Grzeczny Pompejusz! Szczur jest lepszy niż nudny stary stek, prawda? Musisz się tylko nauczyć sam je łapać i będziesz mógł polecieć do swoich przyjaciół! – Ted odwrócił się do mnie. – Znaleźliśmy go w spróchniałym drzewie w Central Parku, jego matkę ktoś zastrzelił, a reszta piskląt już nie żyła. Ale on dał się odchować.

– Uwaga tam na dole! – dobiegł nas nagle okrzyk z pierwszego piętra.

Na twarzy Teda odmalował się niepokój i chłopiec czmychnął z sieni ze swoim puszczykiem. Gospościa chciała pójść w jego ślady, ale sparaliżował ją widok dużej białej masy, która sunęła jak błyskawica po poręczy schodów. Nie mogąc się zdecydować, w którą stronę uciekać, gospościa klapnęła w końcu z piskiem na podłogę i zasłoniła głowę rękami, o włos unikając bardzo przykrego zderzenia z dwunastoletnią panną Alice Roosevelt. Wylądowawszy na dywanie z wielką wprawą i rozgłośnym śmiechem, Alice zerwała się na nogi, przyglądziła dość strojną białą sukienkę i żartobliwie pogroziła gospoście palcem.

– Patsy, ty gapo! – zawołała. – Mówiłam ci, nigdy nie stój w miejscu, musisz wybrać jakiś kierunek i uciekać!

Odwróciwszy ku nam ładną, delikatną buzię, która miała w przyszłości ścinać najlepszych kawalerów Waszyngtonu jak kosa pszenicę, Alice uśmiechnęła się i leciutko dygnęła.

– Witam, panie Moore – powiedziała, z pewnością siebie dziewczyny, która zna, już w wieku lat dwunastu, moc swego czaru. – A to naprawdę jest panna Howard? – podjęła bardziej ożywionym i szczerym tonem. – Jedna z kobiet, które pracują w Kwaterze Głównej?

– W rzeczy samej – odparłem. – Saro, poznaj Alice Lee Roosevelt.

– Jak się masz, Alice? – powiedziała Sara, wyciągając do niej rękę.

Alice uściśnęła dłoń Sary i odrzekła poufałym, dorosłym tonem:

– Wiem, że zdaniem wielu osób to skandal, aby kobiety pracowały w policji, ale ja uważam, że to kapitalna sprawa! – Podniosła małą saszetkę, której pasek miała owinięty wokół nadgarstka. – Chciałaby pani zobaczyć mojego węża? – spytała i zanim nieco przestraszona Sara zdążyła odpowiedzieć, wyciągnęła wijącego się, długiego na dwie stopy zaskrońca.

– Alice! – znów usłyszeliśmy głos Edith, która gibko szła ku nam korytarzem. – Alice – powtórzyła stanowczym, ale pełnym troski tonem, jakim zawsze zwracała się do tego dziecka, które jako jedyne w domu Rooseveltów nie było jej własnym. – Naprawdę uważam, kochanie, że trzeba pozwolić gościom zdjąć okrycia i usiąść, zanim zapozna się ich z gadami. Witam, panno Howard. John. – Edith łagodnie dotknęła czoła Alice. – Wiesz, że tylko na twoje maniery mogę tu liczyć.

Chowając zaskrońca do saszetki, Alice posłała Edith uśmiech i ponownie odwróciła się do Sary.

– Przepraszam, panno Howard. Może wejdzie pani do salonu i usiądzie? Mam do pani tyle pytań!

– Z przyjemnością kiedyś na nie odpowiem – rzekła uprzejmie Sara. – Ale obawiam się, że teraz musimy porozmawiać z twoim ojcem...

– Nie wiem po co, Saro – zagrzmiął Theodore, wychodząc z gabinetu. – W tym domu prawdziwym autorytetem są dzieci. Lepiej porozmawiajcie z nimi.

Na dźwięk głosu ojca przybiegły dzieci, które widzieliśmy wcześniej, i cała czwórka otoczyła Theodore'a, opowiadając mu jedno przez drugie o wydarzeniach dnia, aby uzyskać jego radę i aprobatę. Sara i ja obserwowaliśmy tę scenę razem z Edith, która tylko potrząsnęła głową i westchnęła, nie potrafiąc do końca pojąć (w czym nie była odosobniona) fenomenu więzi swego męża z dziećmi.

– No cóż – powiedziała cicho po dłuższej chwili, nadal przyglądając się rodzinie – jeśli chcecie go wyrwać z mocy tego lobby, lepiej, byście mieli naprawdę pilną sprawę. – Odwróciła się do nas ze zrozumieniem w błyszczących, dość egzotycznych oczach. – Chociaż, jak mi się zdaje, teraz wszystkie wasze sprawy są pilne. – Skinąłem głową, a Edith klasnęła głośno w dłonie. – Dość tego, moje potworne plemię! Skoro już pewnie obudziliście Archiego, może umyjecie ręce do kolacji?

Dwuletni Archie był najmłodszym dzieckiem Rooseveltów; Quentina, którego śmierć w 1918 roku miała wyrzucić tak katastrofalny wpływ na emocjonalny i fizyczny stan Theodore'a, w 1896 roku nie było jeszcze na świecie.

– I żadnych gości, którzy nie należą do gatunku ludzkiego – ciągnęła Edith. – Mówię poważnie, Ted. Pompejuszowi będzie bardzo dobrze w kuchni.

Ted wyszczerzył zęby.

– Ale Pat s y nie.

Niechętnie, lecz bez słowa protestu dzieci odstały od Theodore'a, po czym weszliśmy za nim z Sarą do przestronnego gabinetu o ścianach zastawionych regałami na książki. Na kilku biurkach i stołach leżały rozpoczęte artykuły oraz mnóstwo wielkich map i otwartych encyklopedii. Theodore uprzątnął dwa krzesła stojące obok wyjątkowo dużego i wyjątkowo zawałonego papierami biurka pod oknem i wszyscy troje usiedliśmy. Wesoły przy dzieciach Roosevelt nagle sposępniał, co wydało mi się dziwne, zważywszy ostatnie wydarzenia w Kwaterze Głównej: burmistrz Strong poprosił jego głównego oponenta w Zarządzie Komisarzy, aby złożył rezygnację, i chociaż facet nie chciał ustąpić bez walki, zapanowało ogólne przekonanie, że Roosevelt zyskuje przewagę. Pogratulowałem mu, ale tylko machnął ręką i oparł dłoń na biodrze.

– Nie jestem pewien, John, co z tego ostatecznie wyniknie – oświadczył ponurym tonem. – Są chwile, kiedy mi się zdaje, że zadania, które sobie postawiliśmy, nie da się zrealizować na szczeblu miejskim. Korupcja w Nowym Jorku przypomina mitologiczną bestię, tyle że po odcięciu jednej głowy zamiast siedmiu odrasta ich tysiąc. Nie wiem, czy wprowadzenie naprawdę znaczących zmian leży w mocy obecnej administracji.

Nie był to jednak nastrój, w jakim Roosevelt mógłby pozostać długo. Wziął jakąś książkę, uderzył nią o biurko i popatrzył na nas zachęcająco przez swoje *pince-nez*.

– Ale to nie wasz problem. Mówcie, jakie przynosicie wieści.

Nie było nam tak łatwo je przedstawić, a kiedy to wreszcie zrobiliśmy, Theodore opadł powoli na krzesło i przechylił się do tyłu, jakby jego wcześniejsza melancholia została uprawomocniona.

– Niepokoiłem się, jak Kreizler zareaguje na tę niegodziwość – powiedział cicho.
– Ale przez myśl mi nie przeszło, że wycofa się ze śledztwa.

Wówczas zdecydowałem się opowiedzieć Theodore'owi całą historię Kreizlera i Mary Palmer, aby mu uświadomić, jak wielkim ciosem była dla Laszla śmierć Mary. Wiedząc, że on także przeżył tragiczną i przedwczesną stratę bliskiej osoby – swojej pierwszej żony – liczyłem na to, że wzbudzę w nim współczucie, co mi się udało; nie rozproszyłem niestety jego wątpliwości.

– I mówicie, że chcecie kontynuować śledztwo bez niego? – zapytał. – Uważacie, że dacie radę doprowadzić je do końca?

– Wiemy dość – odparła szybko Sara. – To znaczy, będziemy wiedzieli dość, zanim morderca znów uderzy.

Theodore wyraźnie się zdziwił.

– A kiedy to będzie?

– Za osiemnaście dni – odrzekła Sara. – Dwudziestego czwartego czerwca.

Roosevelt założył ręce za głowę i zaczął się powoli kołysać na krześle, patrząc badawczo na Sarę. Potem odwrócił się do mnie.

– Wycofał się nie tylko z powodu żałoby, prawda? Skinąłem głową.

– Tak. Wątpi w swoje sądy i umiejętności. Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo dręczy go ten... brak wiary w siebie. Zawsze go ukrywał, ale sięga on czasów...

– Wiem – przerwał mi Roosevelt. – Jego ojciec.

Spojrzeliliśmy z Sarą po sobie i oboje potrząsnęliśmy głowami na znak, że nie wyjawiliśmy tajemnicy. Theodore uśmiechnął się łagodnie.

– Pamiętasz mój pojedynek z Kreizlerem w Sali Gimnastycznej Hemenwaya, Moore? I noc po nim? W pewnym momencie znów zaczęliśmy dyskutować o wolnej woli – zastrzegam, całkiem po przyjacielsku – i Kreizler spytał, kiedy nauczyłem się boksować. Opowiedziałem mu, jak mój drogi ojciec zbudował mi w dzieciństwie małą salę gimnastyczną i przekonał mnie, że dzięki energicznym ćwiczeniom będę mógł pokonać słabość i astmę. Kreizler zapytał, czy w ramach eksperymentu potrafiłbym się zmusić do bezczynności, na co odparłem, że wszystko, czego się kiedykolwiek nauczyłem i w co wierzę, nakazuje mi być człowiekiem czynu. Nie od razu to sobie uświadomiłem, ale w ten sposób dowiodłem, że miał rację. Potem z ciekawości spytałem go o jego ojca, o którym wiele słyszałem w Nowym Jorku. Laszlo dramatycznie zmienił się na twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Odwrócił wzrok, jakby nie śmiał spojrzeć mi w oczy, i nagle złapał się za tę swoją kaleką rękę. Zrobił to tak odruchowo, na zwykłą wzmiankę o ojcu, że domyśliłem się, w czym rzecz. Nie muszę dodawać, jak głęboko to mną wstrząsnęło. Ale jednocześnie byłem zafascynowany – zafascynowany tym, jak bardzo jego życie różniło się od mojego. Często się potem zastanawiałem, jak też patrzy na świat młody człowiek, który ma wroga we własnym ojcu.

Ani Sara, ani ja nie umieliśmy odpowiedzieć na to pytanie. Przez kilka minut w gabinecie panowała cisza, aż nagle dobiegł nas z korytarza gniewny krzyk Alice:

– Nic mnie nie obchodzi, że to *Strix varia varia*, Theodorze Rooseveltcie juniorze! Nie dam mu zjeść mojego węża!

Parsknęliśmy na to śmiechem i wróciliśmy do bieżących spraw.

– No więc – odezwał się Theodore, ponownie waląc książką w biurko – śledztwo. Powiedźcie mi: skoro mamy już nazwisko i przybliżony rysopis, może urządzimy klasyczną obławę? Moi ludzie przewrócą miasto do góry nogami.

– I co zrobią, jak go znajdą? – spytała Sara. – Aresztują go? Na jakiej podstawie?

– Był pod tym względem za sprytny – przyświadczyłem. – Nie mamy żadnych świadków i żadnych dowodów, które dopuszczono by w sądzie. Tylko spekulacje, odciski palców, anonimowy list...

– Napisany zmienionym charakterem – dorzuciła Sara.

– I Bóg jeden wie, co by zrobił, gdyby go schwytano i potem wypuszczono – ciągnąłem. – Nie, Isaacsonowie mówili od początku, że musi to być *sprawa flagrante delicto*, musimy go złapać na gorącym uczynku.

Theodore wysłuchał tego wszystkiego, kiwając powoli głową.

– No cóż – powiedział w końcu – obawiam się, że stawia to przed nami nowe wyzwania. Wycofanie się Kreizlera ze śledztwa, co pewnie was zdziwi, niczego mi nie ułatwia. Burmistrz Strong dowiedział się, jak energicznie szukałem Connora i dlaczego. Myśli, że te poszukiwania mogą zostać uznane za kolejny dowód powiązań Wydziału z Kreizlerem, i poprosił, abym nie narażał mojej pozycji na szwank, pozwalając, by znajomość z doktorem uczyniła mnie zbyt agresywnym. Dotarły też do niego pogłoski, że Isaacsonowie prowadzą samodzielne śledztwo w sprawie morderstw chłopiących prostytutek, i polecił mi nie tylko ich powstrzymać, jeśli te pogłoski są prawdziwe, lecz także traktować całą sprawę z wielką ostrożnością. Pewnie nie słyszeliście o wczorajszej demonstracji.

– Wczorajszej? – spytałem.

Roosevelt skinął głową.

– W Jedenastym Obwodzie zebrał się tłum, rzekomo aby zaprotestować przeciwko obojętności władz wobec tych morderstw. Organizatorzy, grupa Niemców, twierdzili, że to zgromadzenie polityczne, ale było tam dość whisky, żeby zwodować nieduży statek.

– Kelly? – zapytała Sara.

– Być może – odparł Roosevelt. – Pewne jest to, że omal nie doszło do zamieszek. Polityczne implikacje tej sprawy są z każdym dniem coraz poważniejsze i obawiam się, że burmistrz Strong osiągnął ten godny ubolewania stan, gdy lęk przed skutkami działania prowadzi do paraliżu. W każdym razie nie życzy sobie żadnych nieprzemyślanych kroków. – Theodore przerwał i spojrzał na Sarę z udawaną dezaprobatą. – Słyszał też, Saro, pogłoski, że pracujesz z Isaacsonami, a jak wiesz, wielu ludzi będzie gwałtownie protestować, jeśli się dowiedzą, że kobieta bierze czynny udział w śledztwie w sprawie morderstwa.

– Więc podwoję wysiłki – odrzekła Sara, uśmiechając się nieśmiało – aby zatuszować ten udział.

– Hmm, tak – mruknął Theodore z powątpiewaniem. Pomilczał kilka sekund, przyglądając nam się uważnie, a potem skinął głową. – Oto, co wam proponuję: macie te osiemnaście dni. Dowiedźcie się, ile będziecie mogli. Ale kiedy przyjdzie dwudziesty czwarty, wszystko mi powiecie, żebyśmy mogli obstarwić potencjalne miejsca zbrodni i drogi ucieczki moimi zaufanymi ludźmi. – Uderzył potężną pięścią w dłoń. – Nie dopuszczę do następnej takiej jatki.

Odwrociłem się do Sary, która szybko rozważyła propozycję i skinęła głową.

– Możemy zatrzymać sierżantów śledczych? – spytałem.

– Naturalnie – odparł Roosevelt.

– Zgoda.

Wyciągnąłem rękę i Theodore ją uściśnił, zdjawszy *pince-nez*.

– Mam nadzieję, że naprawdę wiecie dość – powiedział, odwracając się, by uścisnąć dłoń Sarze. – Myśl, że miałbym opuścić stanowisko, nie rozwiązawszy tej sprawy, niezbyt mi się uśmiecha.

– Poddajesz się, Roosevelt? – zakpiłem. – Platt za bardzo ci nabruździł?

– Nic podobnego – odburknął Theodore. A potem on z kolei odstąpił zęby w nieśmiałym uśmiechu. – Ale zbliżają się konwencje, Moore, i wybory. Jeśli się nie mylę, naszym kandydatem będzie McKinley, a demokraci rzeczywiście będą chyba na tyle głupi, by nominować Bryana. Tej jesieni wygramy.

Pokiwałem głową.

– Weźmiesz udział w kampanii, tak?

Theodore skromnie wzruszył ramionami.

– Powiedziano mi, że mogę się przydać w Nowym Jorku i w zachodnich stanach, – A jeśli McKinley zechce ci się odwdziżyć za pomoc...

– Przestań, John – zbeształa mnie ironicznie Sara. – Wiesz, jak komisarz nie lubi takich spekulacji.

Roosevelt wybałuszył oczy.

– Ty, młoda damo, spędzasz za dużo czasu poza Kwaterą, skandaliczne zachowanie! – Uspokoił się i machnął ręką w stronę drzwi. – Jazda, już was nie ma. Muszę przejrzeć całą stertę urzędowych papierów. Niestety, ktoś mi ukradł sekretarkę.

Kiedy wyszliśmy z Sarą na Madison Avenue, była już prawie ósma, ale radość, że możemy kontynuować śledztwo, i urok pogodnego wiosennego wieczoru sprawiły, że żadne z nas nie miało wielkiej ochoty iść do domu. Nie paliliśmy się też do siedzenia w sztabie i czekania na Isaacsonów, choć zależało nam na tym, aby z nimi porozmawiać, gdy tylko wrócą. Kiedy ruszyliśmy wolnym krokiem w stronę śródmieścia, przyszedł mi do głowy szczęśliwy kompromis: mogliśmy zjeść kolację w ogródku hotelu St. Denis, naprzeciwko numeru 808. Tak ulokowani, na pewno nie przegapimy powrotu sierżantów śledczych. Sara chętnie przystała na mój pomysł; i nigdy dotąd nie widziałem jej tak radosnej, jak podczas tego spaceru. Zniknęło gdzieś typowe dla niej nerwowe napięcie, choć nadal była skupiona i odzywała się tylko na temat. Wyjaśnienie owego zjawiska, gdy na nie wpadłem przy kolacji, nie było szczególnie skomplikowane: mimo to, co Theodore powiedział o możliwej oficjalnej i publicznej reakcji na jej udział w śledztwie, w tej chwili Sara była tym, kim zawsze chciała być – zawodowym wywiadowcą, w rzeczywistości, jeśli nie z nazwy. W najbliższych dniach mieliśmy stawić czoło wielu ciężkim próbom i rozczarowaniom, i miałem zyskać wiele powodów, aby być wdzięcznym Sarze za jej niewzruszoną pogodę ducha – ponieważ to właśnie ona stała się motorem naszej pracy.

Wypiłem do kolacji tyle wina, że żywo płót oddzielający nasz stół od chodnika nie mógł mi przeszkodzić w okazywaniu namiętnych względów uroczym damom, które niczego nie podejrzewając, Ignęły do nadal oświetlonych witryn magazynu McCreery'ego. Sara, porządnie zniecierpliwiona moim zachowaniem, chciała mnie już zostawić własnemu losowi, gdy dostrzegła coś po drugiej stronie ulicy. Idąc za jej spojrzeniem, odwróciłem się i zobaczyłem, że pod numerem 808 staje dorożka, z której wysiadają, wyraźnie zmęczeni, Marcus i Lucius Isaacsonowie. Może było to wino, może wydarzenia ostatnich dni, a może nawet pogoda, w każdym razie ich widok niesamowicie mnie ucieszył i przesadziwszy żywo płót, pomknąłem przez Broadway, aby się przywitać. Sara podążyła za mną w rozsądniejszym tempie. Lucius i Marcus musieli widzieć w trakcie swej podróży wiele słońca, bo solidnie zbrązowiali na twarzach, co nadało im krzepki, zdrowy wygląd. Robili wrażenie zadowolonych z powrotu, ale nie byłem pewien, czy im to nie minie, gdy dowiedzą się o rezygnacji Kreizlera.

– To niezwykle tereny – powiedział Marcus, wyjmując z dorożki bagaże. – Mówię wam, człowiek zaczyna patrzeć na życie w tym mieście z zupełnie innej perspektywy. – Wciągnął nosem powietrze. – I dużo lepiej tam pachnie.

– Strzelano do nas w pociągu – wtrącił Lucius. – Kula przeszła mi przez kapelusz! – Pokazał nam dziurę, wtykając w nią palec. – Marcus mówi, że to nie byli Indianie...

– To nie byli Indianie – przyświadczył Marcus.

– Mówi, że to nie byli Indianie, ale ja nie jestem tego taki pewien, a kapitan Miller w Fort Yates powiedział...

– Kapitan Miller starał się być uprzejmy – przerwał mu ponownie Marcus.

– Możliwe – odparł Lucius. – Ale powiedział...

– Co powiedział o Beechamie? – zapytała Sara.

– ...powiedział, że chociaż większość dużych oddziałów Indian została rozbita...

Sara złapała go za ramię.

– Lucius. Co powiedział o Beechamie?

– O Beechamie? – powtórzył Lucius. – Och. No cóż. Całkiem sporo.

– A to „całkiem sporo” sprowadza się do jednego – powiedział Marcus, patrząc na Sarę. Zamilkł i spojrzenie jego dużych brązowych oczu nabrało mocy. – To nasz człowiek, to musi być on.

ROZDZIAŁ 38

Choć byłem niezłe podchmielony, nowiny, które oznajmili nam Isaacsonowie, gdy zamówiliśmy im w St. Denis coś do jedzenia, prędko mnie otrzeźwiły.

Otóż kapitan Frederick Miller, obecnie mężczyzna czterdziestoparoletni, pod koniec lat siedemdziesiątych, jako obiecujący młody porucznik, dostał przydział do dowództwa Armii Zachodu w Chicago. Rutyna sztabowego życia szybko go jednak znudziła i poprosił o przeniesienie dalej na zachód, do czynnej służby. Wysłano go do Dakoty, gdzie został dwukrotnie ranny – za drugim razem stracił rękę. Wrócił do Chicago, ale nie chciał podjąć na nowo służby w sztabie, tylko objął komendę nad częścią garnizonu miejskiego. Tam właśnie w 1881 roku zetknął się z młodym żołnierzem nazwiskiem John Beecham.

Wstępując do wojska, Beecham powiedział oficerowi werbunkowemu w Nowym Jorku, że ma osiemnaście lat, lecz Miller wątpił, aby była to prawda – jeszcze pół roku później, gdy ów niedoświadczony rekrut przybył do Chicago, wyglądał na znacznie młodszego. Ale chłopcy często podają fałszywy wiek, żeby się zaciągnąć, i Miller przymknął na to oko, ponieważ Beecham okazał się dobrym żołnierzem – był zdyscyplinowany, dokładny i dostatecznie zdolny, aby w ciągu dwóch lat awansować na kaprała. Co prawda uporczywie prosił, aby posłano go na Zachód do walki z Indianami, irytowały jego zwierzchników, którzy nie mieli specjalnej ochoty tracić swych najlepszych żołnierzy na pograniczu, ale ogólnie biorąc, do 1885 roku młody kapral nie dawał porucznikowi Millerowi większych powodów do niezadowolenia.

Owego roku pewna seria wypadków ujawniła niepokojący rys osobowości Beechama. Nie mając zbyt wielu przyjaciół, kapral zaczął odwiedzać po służbie dzielnice zamieszkałe przez imigrantów i pomagać organizacjom dobroczynnym, które zajmowały się dziećmi, w szczególności sierotami. Był to chwalebny sposób spędzania wolnego czasu – znacznie lepszy niż typowe dla żołnierzy picie i wdawanie się w bójki – toteż porucznik Miller nie ingerował w poczynania swego podwładnego. Po kilku miesiącach zauważył jednak zmianę w jego nastroju: Beecham zdecydowanie sposepniał. Kiedy go o to spytał, nie otrzymał zadowalającego wyjaśnienia, ale wkrótce potem w garnizonie zjawił się kierownik jednej z instytucji dobroczynnych. Chciał rozmawiać z dowódcą Beechama i stanąwszy przed Millerem, poprosił, aby zabronił kapralowi przychodzić do jego sierocińca. Zapytany o powód tej prośby, powiedział tylko tyle, że Beecham przestraszył kilkoro dzieci. Miller natychmiast wezwał Beechama, który zapalał oburzeniem i stwierdził, że kierownik sierocińca jest zazdrosny, bo dzieci lubią Beechama bardziej niż jego i mają doń większe zaufanie. Porucznik Miller zorientował się jednak, że chodzi o coś innego, i zaczął Beechama przyciskać; wówczas kapral ogromnie się zdenerwował i oskarżył Millera oraz swoich pozostałych zwierzchników, że sami są „wszystkiemu” winni. (Miller nigdy się nie dowiedział, co właściwie zaszło.) Nic by się nie stało, powiedział Beecham, gdyby dowódcy posłali go na Zachód, jak o to prosił. Zaniepokojony zachowaniem kaprala podczas tej rozmowy, Miller udzielił mu długiego urlopu. Beecham spędził go na uprawianiu wspinaczki w górach Tennessee, Kentucky i Wirginii Zachodniej.

Wydawało się, że odpoczynek posłużył Beechamowi, bo kiedy na początku 1886 roku wrócił do jednostki, znów był tym karnym, kompetentnym żołnierzem, jakiego Miller pamiętał. Obraz ten okazał się jednak złudzeniem – i przysł podczas zamieszek, które wybuchły w Chicago w pierwszym tygodniu maja w następstwie wydarzeń na Haymarket Square. Sara i ja wiedzieliśmy już, że Beecham trafił do szpitala Świętej Elżbiety po tym, jak Miller przyłapał go na „kłuciu” (cytując lekarzy) zwłok robotnika w trakcie starcia wojska ze strajkującymi na północnych przedmieściach w dniu 5 maja; teraz usłyszeliśmy od Isaacsonów, że owo „kłucie” zatrawiająco przypominało okaleczenia, jakich doznali zarówno rodzice Japhetha Dury’ego, jak i pomordowane dzieci w Nowym Jorku. Miller zbulwersowany i przerażony widokiem opryskanego krwią Beechama stojącego z olbrzymim nożem w ręku nad pociętym i pozbawionym oczu ciałem, bez wahania zawiesił go w obowiązkach. Porucznik widywał na Zachodzie ludzi powodowanych żądzą krwi, ale ich zachowanie było zawsze skutkiem okrutnych i brutalnych zmagañ z Indianami. Beecham nie miał takiej przeszłości i takiego usprawiedliwienia. Pułkowy lekarz, który go zbadał po tym incydencie, szybko uznał kaprala za niezdolnego do służby; Miller dodał do tego raportu swoje obciążające świadectwo i Beecham został niezwłocznie odesłany do Waszyngtonu.

Tak kończyła się opowieść, którą Isaacsonowie przywieźli z Dakoty. Bracia łączywie rzucili się na jedzenie, a Sara i ja przystąpiliśmy do relacjonowania im naszych odkryć. Wiadomości o Kreizlerze i Mary Palmer zostawiliśmy na koniec i szczęśliwie do tego czasu Marcus i Lucius pochłonęli już prawie całą kolację – smutne nowiny odebrały im resztę apetytu. Obydwaj mieli też zastrzeżenia co do pomysłu kontynuowania śledztwa bez Laszla, ale Sara wygłosiła tyradę jeszcze gorętszą od tej, którą wcześniej uraczyła mnie, i w dwadzieścia minut przekonała sierżantów śledczych, że nie mamy innego wyboru. Opowieść Isaacsonów dostarczyła jej tylko nowych argumentów – żadne z nas nie miało już bowiem wątpliwości, że znamy tożsamość i przeszłość naszego mordercy. Pozostało pytanie, czy potrafimy obmyślić i przeprowadzić plan odszukania go.

Zanim opuściliśmy restaurację, prawie o trzeciej rano, udało nam się nabrać pewności, że tak. Było to jednak zadanie trudne, a póki się wszyscy trochę nie prześpimy – niewykonalne. Pojechaliśmy więc prosto do domów, rozkoszując się perspektywą odpoczynku, ale już o dziesiątej następnego ranka byliśmy z powrotem na Broadwayu 808, gotowi do planowania strategii.

– Jeśli nikomu nie przychodzi do głowy żaden punkt wyjścia – odezwał się Lucius, przeglądając leżące na jego biurku papiery – chciałbym coś zaproponować. – Mrukiwie wyraziliśmy zgodę i Lucius wskazał prawą stronę tablicy, a konkretnie słowo DACHY. – Pamiętasz, John, co powiedziałaś o mordercy po tym, jak pierwszy raz poszliście z Marcusem do Złotej Zasady?

Pogrzebałem we wspomnieniach z tej wizyty.

– Kontrola.

– Właśnie. I uważam, że aby się dowiedzieć, co Beecham teraz robi, musimy pójść tropem tego, co daje mu poczucie bezpieczeństwa, a nie tropem jego koszmarów. Poluje i zabija na dachach i jego ofiarami są dzieci, co sugeruje, że kontrola, panowanie nad sytuacją, jest najważniejszą sprawą w jego życiu. Wiemy, jakie jest źródło jego obsesji na punkcie dzieci. Wiemy o polowaniach i zastawianiu pułapek. Ale dachy? Do 1886 roku nie mieszkał w żadnym większym mieście, a jednak umie się po nich poruszać – tak dobrze, że schwytał w pułapkę nas. Musiał poświęcić na ich poznanie sporo czasu.

– Czekaj, Luciusie – wtrąciła Sara, powoli kiwając głową. – Chyba rozumiem, do czego zmierzasz. Opuszcza Świętą Elżbietę i chce się udać gdzieś, gdzie nie będzie zwracał na siebie uwagi, wybiera więc Nowy Jork. Po przyjeździe stwierdza, że nie ma pojęcia o tym, jak toczy się życie na ulicach – o tłumach, hałasie, ruchu. Wszystko to jest dlań bardzo dziwne, może nawet go onieśmiela. Nagle odkrywa dachy. To zupełnie inny świat: cichszy, powolniejszy, mniej zatłoczony. Bardziej odpowiadający jego przyzwyczajeniom. Dowiaduje się, że są zajęcia, które wymagają poruszania się po dachach, znajdując taką posadę i prawie wcale nie schodzi na ulice.

– Chyba że w nocy – dodał szybko Lucius, podnosząc palec – kiedy miasto pustoszeje i może je poznawać we własnym tempie. Pamiętajcie, że nie zabił jeszcze w dzień. Dokładnie rozumie rytmy nocne, ale za dnia – założę się, że za dnia większość czasu spędza na górze. – Lucius podszedł szybko do biurka i chwycił jakieś notatki, na czoło wystąpiły mu krople potu. – Już po zabójstwie Alego Ibn Ghaziego stwierdziliśmy, że musi mieć pracę, która go trzyma na dachach, ale nie poszliśmy tym tropem. Przemyslałem wszystko od początku i wydaje mi się, że w tym momencie jest to najlepszy sposób, aby go odszukać.

Ostentacyjnie jęknąłem.

– O Boże, Luciusie, czy zdajesz sobie sprawę, co proponujesz? Trzeba by sprawdzić wszystkie organizacje dobroczynne i misje, wszystkie firmy, które prowadzą handel domokrażny, wszystkie gazety i służby medyczne. Musi być jakiś sposób, żeby to zawęzić.

– Jest taki sposób – powiedział Marcus tonem tylko odrobinę bardziej entuzjastycznym od mojego – ale i tak okropnie się nachodzimy. – Wstał, podszedł do planu Manhattanu i wskazał szpilki, którymi zaznaczyliśmy miejsca porwań i zbrodni. – Nie przeprowadził żadnej akcji powyżej Czternastej Ulicy, co sugeruje, że najlepiej zna Lower East Side i Greenwich Village. Prawdopodobnie nie tylko pracuje, lecz także mieszka w którejś z tych dwóch dzielnic, co zgadzałoby się z naszą teorią, że nie ma dużo pieniędzy. Możemy więc ograniczyć poszukiwania do organizacji, które działają na tym terenie.

– Tak jest – przyświadczył Lucius, znów pokazując na tablicę. – Nie zapominajmy też o naszym portrecie mordercy. Jeśli mamy rację, jeśli rzeczywiście rozpoczął życie jako Japheth Dury, a potem stał się Johnem Beechamem, nie ubiegałby się o jakąkolwiek pracę. Zważywszy na jego charakter i przeszłość, pewne zajęcia byłyby dlań bardziej atrakcyjne niż inne. Na przykład, John, wspomniałeś o firmach prowadzących handel domokrażny, ale czy naprawdę sądzisz, że człowiek, którego portret stworzyliśmy, nadawałby się na domokrażcę i w ogóle starał o taką posadę?

Miałem już zaprotestować, że wszystko jest możliwe, lecz nagle coś mi powiedziało, że Lucius ma rację. Długie miesiące składaliśmy wizerunek mordercy z cech jego osobowości i zachowania, i nie wszystko było już możliwe. Z dziwnym dreszczem lęku i podniecenia uświadomiłem sobie, że znam teraz tego człowieka dostatecznie dobrze, by stwierdzić, że nie podjąłby pracy wymagającej zachwalania tandetnych towarów i przypochlebiania się mieszkającym w czynszówkach imigrantom, których z pewnością uważa za głępszych od siebie.

– W porządku – powiedziałem do Luciusa – ale i tak zostaje nam mnóstwo kategorii: działacze kościelni, pracownicy instytucji dobroczynnych i administracji, reporterzy, służby medyczne...

– Możesz eliminować dalej, John – odparł Lucius – jeśli tylko się zastanowisz. Weź reporterów, którzy piszą o życiu w czynszówkach, większość z nich znasz osobiście. Naprawdę sądzisz, że Beecham należy do ich grona? A co do służb medycznych – z jego przeszłością? Kiedy by się wyszkolił?

Rozważyłem to wszystko i wzruszyłem ramionami.

– No dobrze. Więc najprawdopodobniej jest związany z jakąś instytucją dobroczynną albo misją.

– To byłoby dla niego łatwe – stwierdziła Sara. – Wyniósł wiedzę religijną i całe słownictwo z domu, jego ojciec był przecież żarliwym oratorem.

– Dobrze – powiedziałem – lecz nawet jeśli poprzestaniemy na organizacjach tego typu, będzie nam bardzo trudno sprawdzić je wszystkie do 24 czerwca, Marcus i ja przez tydzień załatwiliśmy tylko drobny ułamek. To kompletnie niepraktyczne!

Mogło to być niepraktyczne, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Resztę dnia poświęciliśmy na sporządzenie listy organizacji religijnych i dobroczynnych, które działały na Lower East Side i w Greenwich Village, po czym podzieliliśmy ją na cztery części. Każde z nas wzięło jedną część, aby nazajutrz ruszyć z nią samotnie w miasto, ponieważ nie mogliśmy sobie pozwolić na chodzenie parami, skoro chcieliśmy sprawdzić wszystkie organizacje z listy. W kilku pierwszych miejscach, które odwiedziłem w ów piątek, przyjęto mnie niezbyt życzliwie, i chociaż spodziewałem się tego, ogarnęło mnie przerażenie na myśl o następnych takich dniach, a może tygodniach. Powtarzanie sobie, że jest to zwykły los wywiadowcy, nie poprawiło mi humoru.

Niemniej jeden aspekt tych poszukiwań nappełnił mnie optymizmem: wyglądało na to, że nie jestem śledzony. A kiedy wróciłem wieczorem do sztabu, dowiedziałem się, że moi koledzy również nie zauważyli, aby jakieś podejrzane typy deptały im po piętach. Rzecz jasna nie mogliśmy być niczego pewni, ale na logikę wydawało się, iż nasi wrogowie po prostu nie wierzą, abyśmy mogli odnieść sukces bez Kreizlera. W następnych dniach także nie widzieliśmy Connora i jego zbirów ani nikogo innego, kto by wyglądał na szpiega Byrnesa czy Comstocka. Jeśli już ma się żmudne i szarpiące nerwy zadanie, z pewnością lepiej jest je wykonywać, gdy człowiek nie musi się wciąż oglądać przez ramię; mimo to nie sądzę, aby ktokolwiek z nas naprawdę przestał to robić.

Chociaż mieliśmy nadzieję, że John Beecham pracował w ciągu ostatnich dziesięciu lat w którejś z organizacji dobroczynnych figurujących na naszej liście, nie sądziliśmy, aby odwiedzał domy publiczne związane z morderstwami jako osoba urzędowa. Naszym zdaniem było dużo bardziej prawdopodobne, że poznał te lokale jako klient. Toteż, choć mój przydział obejmował instytucje, które pomagały biednym i trudnym dzieciom z rejonu West Side między ulicami Houston i Czternastą, nie pytałem o Beechama w okolicznych burdelach, które stręczyły chłopców. Wstąpiłem tylko na chwilę do Złotej Zasady, aby podzielić się nowymi informacjami o mordercy z moim młodym przyjacielem Josephem. Kiedy wszedłem, powstała niezręczna sytuacja, ponieważ chłopiec akurat „pracował”. Zobaczywszy mnie, natychmiast zniknął w jakimś wolnym pokoju, i przez moment myślałem, że już nie wróci, ale Joseph chciał tylko zetrzeć szminkę z twarzy. Wyszedł, uśmiechnął się i pomachał mi wesoło, a potem wysłuchał z wielką uwagą moich wiadomości i obiecał, że przekaże je kolegom.

Wydawało się, że każdy rodzaj występku, jaki można sobie wyobrazić, ma w Nowym Jorku organizację poświęconą jego zwalczaniu. Niektóre z nich prowadziły działalność ogólną – jak Towarzystwo Zapobiegania Przystępczości i różne stowarzyszenia misyjne: katolickie, presbiteriańskie, baptyistów etc. Niektóre, jak Misja Całonocna, podkreślały w swych ulotkach, że są otwarte o każdej porze i dla każdego; inne, jak Misja Bowery, działały na wąskim terenie. Kilka, jak Towarzystwo Opieki nad Końmi i Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt, w ogóle nie zajmowało się ludźmi. Dalej szła na pozór nieskończona liczba i różnorodność sierocińców, z których każdy zatrudniał zelantów nieustannie przemierzających ulice w poszukiwaniu bezdomnych dzieci. Te instytucje należało sprawdzić szczególnie dokładnie, ponieważ w Chicago John Beecham ujawnił do nich predylekcję.

Było to zajęcie, które szybko pochłania godziny i dni, nie dając ani poczucia satysfakcji, ani pewności, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by nie dopuścić do kolejnego zabójstwa, którego hipotetyczny termin, uroczystość św. Jana Chrzciciela, zbliżał się nieubłaganie. Z iloma bigoteryjnymi duchownymi i zakonnicami, nie wspominając o ludziach świeckich, rozmawialiśmy, i przez ile męczących godzin? Nie potrafiłbym podać tych liczb, a zresztą nie miałyby to większego sensu – ponieważ nie dowiedzieliśmy się niczego. Przez cały następny tydzień każde z nas brnęło raz po raz przez identyczną procedurę: przychodziliśmy do biura lub zarządu jakiejś organizacji dobroczynnej, gdzie na proste pytanie, czy kiedykolwiek był tam zatrudniony niejaki John Beecham lub ktoś o podobnym wyglądzie i zachowaniu, odpowiadano długim, nabożnym wywodem o chwalebnych celach i pełnych poświęcenia pracownikach instytucji. Dopiero później sprawdzano akta i stanowczo zaprzeczano, po czym nieszczęsny członek naszego zespołu mógł wreszcie stamtąd uciec.

Jeśli opisuję ten etap naszego śledztwa z pewną niechęcią lub cynizmem być może powodem jest to, co uświadomiłem sobie pod koniec drugiego tygodnia tamtego czerwca: że jedyną kategorią miejskich wyrzutków, którą nie zajmowało się żadne prywatnie finansowane i wzniosie nazwane towarzystwo, była właśnie ta, której groziło wówczas tak poważne niebezpieczeństwo: dziecięce prostytutki. Kiedy stało się to dla mnie jasne, nie mogłem nie pomyśleć o Jake'u Riisie – wielkiej osobowości w kołach filantropijnych Nowego Jorku – i o tym, jak nie chciał uznać i zrelacjonować okoliczności zabójstwa Georgia Santorellego. Podobna rozmyślna ślepotą cechowała wszystkich urzędników, z którymi rozmawiałem, i coraz bardziej mnie to irytowało. Kiedy przyczłapałem na Broadway 808 w późne poniedziałkowe popołudnie, miałem już tak dość głupich hipokrytów tworzących nowojorską społeczność dobroczynną, że wyrzuciłem z siebie długą wiązanekę dość gwałtownych przekleństw. Myślałem, że w sztabie nikogo nie ma, toteż drgnąłem jak rażony prądem, gdy usłyszałem głos Sary:

– Uroczy język, John. Muszę przyznać, że dość dobrze oddaje mój obecny nastrój.
– Paliła papierosa, wpatrując się na przemian w plan Manhattanu i tablicę. – Jesteśmy na złym tropie – stwierdziła z niesmakiem, wyrzucając niedopałek przez okno.

Osunąłem się z jękiem na kanapę.

– To ty chcesz być wywiadowcą – powiedziałem. – Powinnaś zdawać sobie sprawę, że te poszukiwania mogą potrwać miesiące.

– Nie mamy miesięcy – odparła Sara. – Mamy czas do niedzieli. – Pokręciła głową, nadal wpatrując się w plan i tablicę. – To wrażenie nie jest tylko wynikiem monotonii. – Z namysłem przechyliła głowę. – Zauważyłeś, John, że żadna z tych organizacji nie wie zbyt wiele o ludziach, którym stara się pomóc?

Oparłem się na łokciu.

– O co ci chodzi?

– Nie jestem pewna – odrzekła Sara. – Po prostu jakby ich nie znali. To nie pasuje.

– Nie pasuje do czego?

– Do niego. Do Beechama. Pomyśl, co on robi. Zjednuje sobie tych chłopców, zdobywa ich zaufanie, a musisz pamiętać, że są to dość podejrzliwi i sceptycznie nastawione dzieci.

Pomyślałem szybko o Josephie.

– Z pozoru, może – powiedziałem – ale w głębi duszy marzą o prawdziwym przyjacielu.

– W porządku – zgodziła się Sara. – I Beecham robi dokładnie to, co trzeba, żeby go za takiego przyjaciela uznawali. Jakby wiedział, czego potrzebują. Ludzie z dobroczynności nie mają o tym pojęcia. Mówię ci, jesteśmy na złym tropie.

– Saro, bądź realistką – powiedziałem, wstając z kanapy, aby do niej podejść. – Jaka instytucja, która ma do czynienia z dużą liczbą osób, poświęca czas na zbieranie bliższych informacji o...

I nagle zamarłem. Naprawdę zamarłem, porażony myślą, że w rzeczy samej, jest jedna instytucja, która poświęca czas na zbieranie dokładnie takich informacji, o jakie chodziło Sarze. Instytucja, której siedzibę mijałem codziennie od tygodnia, niczego nie kojarząc. Instytucja zatrudniająca setki pracowników dobrze znanych z tego, że wędrują po dachach.

– Cholera jasna – mruknąłem.

– Co? – spytała natarczywie Sara, widząc, że tknęła mnie jakaś myśl. – John, o co chodzi?

Spojrzałem na prawą stronę tablicy, gdzie widniał napis BENJAMIN I SOFIA ZWEIG.

– Wszystko jasne... – wyszeptalem. – Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi to trochę późno, ale mógł ich poznać w dziewięćdziesiątym. Albo wrócić podczas weryfikacji, to była jedna wielka fuszerka...

– Do licha, John, o czym ty mówisz?

Złapałem Sarę za rękę.

– Która godzina?

– Prawie szósta. Dlaczego?

– Może ktoś tam jeszcze będzie, chodź!

Bez słowa wyjaśnienia pociągnąłem Sarę do drzwi. Nie przestawała wykrzykiwać pytań i protestów, ale milczałem jak zaklęty. Zjechaliśmy windą na dół i pomknęliśmy Broadwayem ku Ósmej Ulicy. Skręciwszy na rogu w lewo, doprowadziłem Sarę pod numer 135. Nacisnąłem klamkę drzwi do klatki schodowej, która wiodła na pierwsze i drugie piętro, i odetchnąłem z ulgą, bo były nadal otwarte. Kiedy odwróciłem się do Sary, patrzyła z uśmiechem na małą mosiężną tabliczkę przykręconą do ściany budynku tuż obok drzwi:

KOMISJA SPISOWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH
CHARLES H. MURRAY,
PREZES

ROZDZIAŁ 39

Wkroczyliśmy do królestwa akt.

Na obu piętrach zajętych przez Komisję Spisową znajdowały się po cztery pokoje o ścianach obstawionych drewnianymi szafami, które sięgały do sufitu i zasłaniały wszystkie okna. Dookoła bieżyły szyny ruchomych drabin, pośrodku stały biurka, a z sufitów zwisały żarówki w metalowych osłonach, rzucające ostre światło na nagie deski podłóg. Było to miejsce bez klimatu i indywidualnego charakteru – jednym słowem, odpowiedni dom dla suchych, bezdusznych statystyk.

Pierwsze zajęte biurko znaleźliśmy z Sarą na drugim piętrze. Siedział przy nim dość młody mężczyzna w kasjerskim daszku na głowie i niedrogim, ale bardzo starannie wyprasowanym garniturze, którego marynarka wisiała na prostym oparciu krzesła. Mankiety jego białej, wykrochmalonej koszuli chroniły zarękawki, z których wystawały chude, blade dłonie trzymające segregator pełen akt.

– Przepraszam – powiedziałem, zbliżając się powoli do biurka.

Mężczyzna spojrzał na mnie kwaśno.

– Godziny urzędowania się skończyły.

– Wiem – odparłem pospiesznie, rozpoznając niepoprawnego biurokrate. – Gdybym miał sprawę urzędową, przyszedłbym o stosowniejszej porze.

Zmierzył mnie wzrokiem, po czym zerknął na Sarę.

– Słucham.

– Jesteśmy z prasy – wyjaśniłem. – Konkretnie z „Timesa”. Ja nazywam się Moore, a to jest panna Howard. Czy zastaliśmy jeszcze pana Murraya?

– Pan Murray nigdy nie wychodzi z biura przed szóstą trzydzieści.

– Aha. Więc nadal tu jest.

– Może nie chceć was przyjąć – powiedział mężczyzna. – Ostatnim razem prasa nie była dla nas zbyt życzliwa.

Zastanowiłem się nad tym stwierdzeniem i spytałem:

– To znaczy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym?

– Oczywiście – potwierdził mężczyzna, jakby wszystkie instytucje na świecie miały dziesięcioletni cykl pracy. – Nawet „Times” wysuwał absurdalne zarzuty. Ale nie możemy odpowiadać za każdą łapówkę i każdy sfałszowany raport – prawda?

– Naturalnie – przyznałem. – Pan Murray byłby...

– Prezes Porter, szef Głównej Komisji, musiał w dziewięćdziesiątym trzecim ustąpić ze stanowiska – ciągnął mężczyzna, dalej taksując mnie urażonym, oskarżycielskim spojrzeniem. – Wiedział pan o tym?

– Ściśle biorąc – odparłem – jestem redaktorem kroniki policyjnej.

Mężczyzna zdjął zarękawki.

– Wspominam o tym na dowód – podjął, błyskając oczami z cienia, jaki rzucił na jego twarz kasjerski daszek – że główne problemy były w Waszyngtonie, nie tutaj. W tym biurze nikt nie musiał ustępować ze stanowiska, panie Moore.

– Przepraszam – powiedziałem, tracąc cierpliwość – ale trochę nam się spieszy, więc gdyby mógł nas pan skierować do pana Murraya...

– Jestem Charles Murray – odparł spokojnie mężczyzna. Popatrzyliśmy z Sarą szybko po sobie, a mnie wyrwało się niezbyt polityczne westchnienie, gdyż pojąłem, że czeka nas ciężka przeprawa.

– Ach tak. No więc, panie Murray, może mógłby pan sprawdzić w kartotece, czy pracuje u was pewien człowiek, którego próbujemy znaleźć?

Murray łypnął na mnie spod daszka.

– Dowód tożsamości?

Kiedy podałem mu legitymację prasową, podniósł ją tak blisko oczu, jakby oglądał fałszywy banknot.

– Hmm – mruknął. – Chyba wszystko w porządku. Ostrożności nigdy dość. Każdy może tu przyjść i powiedzieć, że jest dziennikarzem. – Oddał mi legitymację i zwrócił się do Sary. – Panno Howard?

Sara na chwile się zmieszła, lecz znalazła odpowiedź:

– Niestety, nie mam żadnego dokumentu, panie Murray. Jestem zatrudniona w charakterze sekretarki.

Murray nie wyglądał na szczególnie usatysfakcjonowanego, ale skinął głową i odwrócił się z powrotem do mnie.

– Słucham.

– Człowiek, którego szukamy – powiedziałem – nazywa się John Beecham. – Murray zachował obojętny wyraz twarzy. – Ma ponad sześć stóp wzrostu, rzadkie włosy i lekki tik nerwowy.

– Lekki? – powtórzył spokojnie Murray. – Jeśli on ma lekki tik, nie chciałbym nigdy oglądać ciężkiego.

Owładnęło mną to samo uczucie co w stodole Adama Dury'ego: wszechogarniającego, radosnego triumfu, że jesteśmy na tropie i że ten trop jest jeszcze świeży. Zerknąwszy na Sarę, która doświadczała tego uczucia po raz pierwszy, zauważyłem, że jest jej równie trudno nad nim zapanować jak wówczas mnie.

– Więc zna pan Beechama? – spytałem lekko drżącym głosem.

Murray skinął głową.

– A raczej znałem.

Zimne rozczarowanie ostudziło na chwilę moją radość.

– Nie pracuje u pana?

– Pracował – odrzekł Murray – Zwolniłem go. W grudniu.

Znów wstąpiła we mnie nadzieja.

– Aha. Jak długo go pan zatrudniał?

– Czy ma jakieś kłopoty? – zapytał Murray.

– Nie, nie – odparłem pospiesznie, uświadamiając sobie, że porwany entuzjazmem nie wymyśliłem żadnej wiarygodnej przykrywki dla moich pytań. – Chodzi o... chodzi o jego brata. Może być zamieszany w... w... spekulacje ziemią. Pomyślałem, że pan Beecham może nam pomóc go odnaleźć albo przynajmniej zechce się wypowiedzieć.

– Brat? – zdziwił się Murray. – Nigdy nie wspominał o bracie.

Miałem już odpowiedzieć kolejnym kłamstwem, ale Murray zaczął mówić dalej:

– Co o niczym nie świadczy. John Beecham nie był rozmowny. Nie wiedziałem o nim zbyt dużo, a zupełnie nic o jego prywatnych sprawach. Robił wrażenie porządnego, uczciwego człowieka. Dlatego tak się zdumiałem, kiedy...

Urwał i przez chwilę stukał długim, kościstym palcem w krzesło, znów bacznie nam się przyglądając. Wreszcie wstał, podszedł do jednej z ruchomych drabin, gwałtownym, silnym pchnięciem posłał ją po szynie na drugi koniec pokoju i podążył za nią.

– Został przyjęty wiosną dziewięćdziesiątego roku – zawołał, wspiąwszy się na drabinę, po czym wyciągnął spod sufitu drewnianą szufladę i zaczął przeglądać akta. – Zgłosił się na rachmistrza.

– Kogo?

– Rachmistrza – powtórzył Murray, schodząc z drabiny z dużą kopertą w rękę. – Tego, kto podczas spisu zbiera dane i dokonuje obliczeń. Na przełomie czerwca i lipca dziewięćdziesiątego roku zatrudniłem dziewięćuset takich ludzi. Dwa tygodnie pracy, dwadzieścia pięć dolarów na tydzień. – Otworzył kopertę, wyjął z niej jakiś złożony papier i wręczył mi go. – Podanie Beechama – powiedział.

Starając się ukryć podniecenie, przebiegłem dokument wzrokiem, podczas gdy Murray go streszczał:

– Miał niezłe kwalifikacje, szczerze mówiąc, właśnie takich ludzi szukamy. Dyplom uniwersytecki, kawaler, dobre referencje – wszystko przemawiało na jego korzyść.

Przemawiałoby, pomyślałem, gdyby była w tym choć odrobina prawdy. Informacje, które miałem przed oczami, stanowiły litanię kłamstw i imponujący zestaw fałszerstw; pod warunkiem, oczywiście, że po Stanach Zjednoczonych nie wędrowało dwóch Johnów Beechamów dotkniętych tikiem twarzowym. (Ciekawe, czy system antropometryczny Alphonse'a Bertillona mógłby nam tutaj pomóc.) Sara patrzyła na dokument przez moje ramię i kiedy się do niej odwróciłem, skinęła głową, jakby na znak, że ona również wyciągnęła oczywisty wniosek: w 1890 roku, jak przedtem i potem, Beecham rozwijał swój talent do wyrafinowanego oszustwa.

– W nagłówku formularza jest adres – ciągnął Murray. – Kiedy go zwolniłem, nadal tam mieszkał, w wynajętym pokoju.

U góry kartki napisane było, charakterem znanym mi z listu, który analizowaliśmy przed wieloma tygodniami, „Bank Street 23” – w centrum Greenwich Village.

– Tak, widzę. Dziękuję panu.

Wyraźnie zaniepokojony uwagą, z jaką Sara i ja studiowaliśmy dokument, Murray wyjął mi go z ręki i wsunął z powrotem do koperty.

– Coś jeszcze? – zapytał.

– Jeszcze? Och, nie, nie sędzę – odrzekłem. – Bardzo nam pan pomógł.

– W takim razie, do widzenia – powiedział Murray, po czym usiadł za biurkiem i wciągnął zarekawki.

Ruszyliśmy z Sarą do drzwi.

– Och – powiedziałem, starając się jak najlepiej udać namysł. – Mówi pan, że zwolnił Beechama. Czy mogę spytać dlaczego, skoro miał tak wysokie kwalifikacje?

– Nie obmawiam moich pracowników, panie Moore – odparł zimno Murray. – Poza tym, chodzi panu o jego brata, czyż nie?

Spróbowałem z innej beczki:

– Chyba nie zrobił niczego niestosownego, gdy pracował w Trzynastym Obwodzie?

Murray chrząknął.

– Gdyby tak było, raczej nie awansowałbym go z rachmistrza na pracownika biurowego i nie zatrudniał przez następne pięć lat... – Zreflektował się i gwałtownym ruchem podniósł głowę. – Chwileczkę. Skąd pan wie, że był przydzielony do Trzynastego Obwodu?

Uśmiechnąłem się.

– To nieistotne. Dziękuję panu i do widzenia.

Złapawszy Sarę za przegub dłoni, szybko ruszyłem w dół po schodach. Usłyszałem dźwięk odsuwanego krzesła i po chwili Murray stanął w drzwiach.

– Panie Moore! – zawołał gniewnie. – Proszę zaczekać! Chcę wiedzieć, skąd pan miał tę informację! Panie Moore, słyszy mnie...

Ale byliśmy już na dworze. Skierowałem się na zachód, nadal trzymając Sarę za rękę, lecz nie musiałem jej ciągnąć – szła szybkim, sprężystym krokiem, a kiedy dotarliśmy do Piątej Alei, zaczęła się głośno śmiać. Gdy przystanęliśmy, by zaczekać, aż będziemy mogli przejść przez jezdnię, niespodziewanie zarzuciła mi ręce na szyję.

– John! – wykrzyknęła bez tchu. – To on! Mamy go! Mój Boże, wiemy, gdzie mieszka!

Odwzajemniłem jej uścisk, lecz odezwałem się z rezerwą:

– Wiemy, gdzie mieszkał. Jest czerwiec, został zwolniony w grudniu. Pół roku bez pracy mogło wiele zmienić, może go teraz nie być stać na wynajmowanie pokoju w przyzwoitej dzielnicy.

– Mógł znaleźć inną pracę – powiedziała Sara, już z nieco mniejszym entuzjazmem.

– Miejmy nadzieję – odparłem, gdy nastąpiła przerwa w ruchu. – Chodź.

– Ale jak? – zawołała Sara, wstępując na jezdnię. – Jak na to wpadłeś? I o co chodziło z Trzynastym Obwodem?

Gdy szliśmy dalej na zachód w stronę Bank Street, przedstawiłem Sarze mój tok rozumowania. Pamiętałem z opowieści kolegów dziennikarzy, że ostatni spis powszechny, przeprowadzony latem i jesienią 1890 roku, istotnie był powodem wielkiego skandalu w Nowym Jorku i całych Stanach. Odpowiadali za to liderzy polityczni, którzy, obawiając się, że wyniki spisu zagrożą ich władzy, usiłowali na nie wpłynąć. Wielu spośród tych dziewięciuset ludzi, którzy w lipcu 1890 przyszedli do biura Charlesa Murraya przy Ósmej Ulicy, aby ubiegać się o posady rachmistrzów, było agentami Tammany Hall lub Bossa Platta. Mieli oni za zadanie tak spreparować swoje raporty, aby nie doszło do zmiany granic okręgów wyborczych lojalnych wobec danej partii, ponieważ osłabiłoby to jej wpływy. W tym celu zawyżali czasem liczbę ludności w okręgu, co wymagało fabrykowania danych personalnych nieistniejących obywateli. Rachmistrze, oprócz dokonywania obliczeń, przeprowadzali bowiem dokładne wywiady środowiskowe, jako że spis miał ustalić nie tylko liczebność populacji, lecz także warunki jej życia. Wywiady te zawierały pytania, które, jak ujął to w swym artykule jeden z moich kolegów z „Timesa”, „w innych okolicznościach mogłyby się wydawać co najmniej nietaktowne”.

Rachmistrzom wyznaczano pracę według okręgów wyborczych, które w Nowym Jorku dzieliły się jeszcze na obwody. Pytanie o Beechama i Trzynasty Obwód, wytłumaczyłem Sarze, zadałem Murrayowi na wyczucie: wiedziałem, że Benjamin i Sofia Zweigowie mieszkali w tym obwodzie, i oparłem się na teorii, że Beecham poznał ich, pracując w okolicy, być może kiedy odwiedził rodzinę Zweigów podczas spisu. Mój domysł się potwierdził, ale nadal nie mieliśmy pojęcia, dlaczego Murray zwolnił naszego człowieka.

– Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby Beecham był zamieszany w fałszowanie wyników – powiedziała Sara, gdy pędziliśmy Greenwich Avenue ku Bank Street. – Nie jest typem człowieka, który angażowałby się w politykę, poza tym było już dawno po spisie. Ale jeśli nie to, to co?

– Możemy posłać jutro Isaacsonów, żeby się dowiedzieli – odparłem. – Policyjna odznaka powinna zrobić wrażenie na Murrayu. Gdybyś jednak chciała się ze mną założyć w tej chwili, postawiłbym dwanaście przeciw jednemu, że miało to coś wspólnego z dziećmi. Może ktoś w końcu złożył na niego skargę – nie musiało chodzić o przemoc, tylko o jakąś niestosowność.

– To rzeczywiście możliwe – przyznała Sara. – Pamiętasz, jak Murray powiedział, że się czymś „zdumiał”, bo Beecham robił takie porządne wrażenie?

– Właśnie – przytaknąłem. – Kryje się za tym jakaś nieprzyjemna historia.

Dotarliśmy do Bank Street i skręciliśmy w lewo. Otworzyła się przed nami perspektywa typowej dla Greenwich Village ulicy wysadzonej drzewami i zabudowanej szeregowymi domami aż po rzekę Hudson, gdzie ich miejsce zajmowały punkty przeladunkowe i magazyny. Ganki i gzymsy kamienic były wzorem malowniczej monotonii; mijając każdą rezydencję, mogliśmy zaglądać w niskie okna salonów średniozamożnej burżuazji, która zamieszkiwała ten rejon. Numer 23 znajdował się tuż za pierwszą przecznicą od Greenwich Avenue, ale pokonując tę niewielką odległość, zdążyliśmy narobić sobie wielkich nadziei. Tym boleśniejsze spotkało nas więc rozczarowanie, gdy stanęliśmy pod domem.

W rogu okna salonu widniała niewielka, bardzo gustowna tabliczka: POKÓJ DO WYNAJĘCIA. Wymieniliśmy z Sarą zawiedzione spojrzenia i wspięliśmy się po stopniach ganku do wąskich frontowych drzwi. Z prawej strony futryny znajdowała się mała mosiężna rączka dzwonka; pociągnąłem za nią. Czekaliśmy w milczeniu dobrych kilka minut, aż w końcu usłyszeliśmy szuranie nog i głos starej kobiety:

– Nie, nie, nie. Jazda stąd, no już!

Trudno było powiedzieć, czy to polecenie jest skierowane do nas, ale kiedy odskoczyło z hałasem kilka rygli, zacząłem podejrzewać, że nie. Drzwi wreszcie się otworzyły i stanęła przed nami niska, siwowłosa staruszka w spłowiałej niebieskiej sukni o fasonie z lat siedemdziesiątych. Nie miała wszystkich zębów, a z brody sterczały jej w paru miejscach sztywne białe włosy. Jej oczy były żywe, ale ich wyraz nie świadczył o szczególnej jasności umysłu. Miała już do nas przemówić, gdy w progu pojawił się mały rudy kociak.

– Mówię, nie! – skarciła go i lekko kopnęła w głąb domu. – Państwo nie mają ci nic do powiedzenia, żadnemu z was!

W tym momencie uświadomiłem sobie, że ze środka dochodzi dość głośne miauczenie – chór co najmniej pół tuzina kotów. Kobieta spojrzała na nas pogodnie.

– Tak? Państwo w sprawie pokoju?

Pytanie zbiło mnie z tropu; na szczęście Sara przejęła inicjatywę.

– W sprawie pokoju? – podchwyciła, przedstawivszy nas najpierw. – Niezupełnie. Chodzi nam raczej o poprzedniego lokatora. Jak rozumiem, pan Beecham się wprowadził?

– O tak – odparła staruszka, a tymczasem następnemu kotu, szaremu i pręgowanemu, udało się wydostać na ganek. – Wracaj! – zawołała za nim. – Peter! Och, czy mógłby pan go złapać?

Schyliłem się, podniosłem kota i podrapawszy go pod brodą, oddałem kobiecie.

– Koty! – powiedziała. – Kto by pomyślał, że tak lubią znikać!

Sara odchrząknęła.

– Tak, rzeczywiście, pani... pani...?

– Piedmont – odrzekła kobieta. – Wpuszczam do domu tylko osiem, pozostała piętnastka ma siedzieć na podwórzu, bo inaczej bardzo się gniewam.

– Naturalnie, pani Piedmont – powiedziała Sara – Tylko osiem, bardzo rozsądna liczba. – Pani Piedmont z zadowoleniem skinęła głową. – Wracając do pana Beechama...

– A tak – podjęła kobieta. – Bardzo grzeczny. Bardzo solidny. Nigdy nie pił. Oczywiście, koty niezbyt go lubiły, sam zresztą nie przepadał za zwierzętami, ale...

– Czy zostawił może swój nowy adres? – wtrąciła Sara.

– Nie mógł – odparła pani Piedmont. – Nie wiedział, dokąd się uda. Myślał o Meksyku albo Ameryce Południowej. Mówił mi, że są tam duże możliwości dla ludzi z inicjatywą. – Zreflektowała się i otworzyła drzwi szerzej. – Przepraszam – powiedziała – państwo wybaczą. Proszę do środka.

Przewracając lekko oczami, wszedłem za Sarą do domu, świadom, że na każdą sensowną informację, jaką może nam się udać wydobyć z uroczej pani Piedmont, przypadnie prawdopodobnie pięć czy dziesięć minut czezej paplaniny. Mój entuzjazm osłabł jeszcze bardziej, gdy staruszka wprowadziła nas do wytwornie urządzonego, ale mocno nadgryzionego zębem czasu i zakurzonego salonu. Wszystko w tym pomieszczeniu, od krzesel i kanap po dużą kolekcję wiktoriańskich bibelotów, wyglądało tak, jakby miało za chwilę rozpaść się po cichu w proch. Do tego cały dom był przesiąknięty natychmiast rozpoznawalnym zapachem kociego moczu i odchodów.

– Koty – powiedziała wesoło pani Piedmont, usadowiwszy się w fotelu z wysokimi poręczami. – Cudowni towarzysze, ale ciągle uciekają. Znikają bez jednego słowa!

– Pani Piedmont – odezwała się prosząco Sara – ogromnie zależy nam na tym, aby odnaleźć pana Beechama. Widzi pani, jesteśmy... jego starymi przyjaciółmi...

– Och, to niemożliwe – odparła staruszka, marszcząc lekko brwi. – Pan Beecham nie miał przyjaciół. Tak mi powiedział. Stale to powtarzał. „Kto wędruje sam, szybciej staje u celu, pani Piedmont”, mówił mi rano, i wychodził do biura spedycyjnego.

– Do biura spedycyjnego? – zdziwiłem się. – Ależ... Sara dotknęła mojej ręki, aby mnie uciszyć.

– Oczywiście – powiedziała z uśmiechem. – Biuro spedycyjne. Bardzo przedsiębiorczy człowiek.

– W rzeczy samej – odrzekła pani Piedmont. – Och, jest Lysander – ciągnęła, pokazując jednego z kotów, które weszły tymczasem do pokoju. – Nie widziałam go od piątku. Koty! Ciągle znikają...

– Pani Piedmont – powiedziała Sara, wciąż okazując niezwykłą cierpliwość – jak długo pan Beecham mieszkał u pani?

– Jak długo? – Staruszka zastanawiała się chwilę, gryząc palec. – W sumie prawie trzy lata. Na nic nie narzekał, nie spóźniał się z czynszem. – Zmarszczyła brwi. – Ale był okropnie poważny. I nigdy nie jadł! To znaczy, nigdy nie widziałam, żeby jadł. Ciągle pracował, w dzień i w nocy, ale chyba musiał kiedyś jeść, prawda?

Sara znów się uśmiechnęła i skinęła głową.

– A czy wie pani, dlaczego się wyprowadził?

– Z powodu katastrofy – odrzekła krótko pani Piedmont.

– Katastrofy? – powtórzyłem, mając nadzieję, że to jakaś wskazówka.

– Jego linii okrętowej – wyjaśniła staruszka. – Wielki sztorm u wybrzeża Chin. Och, ci biedni marynarze. Pan Beecham rozdał ich rodzinom wszystkie pieniądze, jakie mu zostały. – Koścista dłoń podniosła się w poufałym geście. – Jeśli zobaczy pani małą łaciatą kotkę, panno Howard, proszę mi powiedzieć. Nie zeszła na śniadanie, a koty ciągle znikają.

Choć może zabrzmi to podle, miałem ochotę udusić panią Piedmont razem z jej przeklętymi kotami, ale Sara indagowała dalej z niezmaconą życzliwością:

– Więc poprosiła pani pana Beechama, żeby się wyprowadził?

– Skądże znowu – oburzyła się pani Piedmont. – Odszedł z własnej woli. Powiedział mi, że nie ma pieniędzy na czynsz i nie zamierza zostać, skoro nie może płacić. Zaproponowałam, że kilka tygodni poczekam, ale nie chciał o tym słyszeć. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze, było to na krótko przed Bożym Narodzeniem. Mniej więcej w tym czasie zniknął mały Jib.

Jęknąłem cicho, a Sara zapytała:

– Jib? Kot?

– Tak – odparła sennie pani Piedmont. – Po prostu... zniknął. Bez słowa. Koty mają swoje własne sprawy.

Spuściwszy wzrok na podłogę, zauważyłem, że do pokoju weszło bezszelestnie jeszcze kilku podopiecznych pani Piedmont i że jeden z nich załatwia właśnie „swoje sprawy” w ciemnym kącie. Niecierpliwie trąciłem Sarę łokciem, wskazując piętro.

– Czy moglibyśmy obejrzeć pokój? – zapytała.

Pani Piedmont ocknęła się z uśmiechem ze swego snu na jawie i spojrzała na nas tak, jakbyśmy dopiero co przyszli.

– Więc chcecie go państwo wynająć?

– Niewykłuczone.

Przy akompaniamencie paplaniny staruszki wyszliśmy z salonu na korytarz, którego ściany pokrywały obłazące zielone tapety. Dawny pokój Beechama był na drugim piętrze i wspinalczka po schodach w tempie pani Piedmont zajęła nam całą wieczność. Gdy wreszcie stanęliśmy na górze, cała ósemka domowych kotów siedziała już pod drzwiami, donośnie miaucząc. Pani Piedmont otworzyła pokój i weszliśmy do środka.

Od razu uderzyło mnie to, że koty nie weszły za nami. Gdy tylko drzwi się otwały, przestały miauczeć, posiedziały chwilę w progu, zdradzając oznaki zaniepokojenia, a potem jeden za drugim pomknęły na dół. Odwróciłem się, by spojrzeć na pokój, i natychmiast wyczułem coś w powietrzu: zapach rozkładu. Nie przypominał fetoru kocich odchodów ani znajomych woni starości i kurzu wypełniających salon. Był dużo ostrzejszy. Zdechła mysz albo coś takiego, zdecydowałem w końcu, a kiedy Sara zmarszczyła nos, zorientowałem się, że ona również coś poczuła. Próbując zapomnieć o tym na chwilę, skupiłem się na oględzinach pokoju.

Właściwie nie miałem się na czym skupiać. Była to niewielka, pustawa izdebka z oknem wychodzącym na Bank Street. Za całe jej umeblowanie służyły zabytkowe łóżko z baldachimem, równie stara szafa i prosta komódka. Na komódce, przykrytej dużą serwetą, stały miednica i dzbanek do kompletu; poza tym nie było tam zupełnie nic.

– Zostawił pokój tak, jak go zastał – powiedziała pani Piedmont. – Taki już był, ten pan Beecham.

Udając, że się namyśliłyśmy, czy wynająć pokój, zajrzeliśmy z Sarą do szafy i komódki, ale nie znaleźliśmy tam żadnych śladów ludzkiej działalności. W całym pokoju nie było niczego, co świadczyłoby o tym, że kiedykolwiek ktoś w nim mieszkał, a zwłaszcza że była to udręczona istota, którą podejrzewaliśmy o zabicie w dziwaczny i brutalny sposób co najmniej pół tuzina dzieci. Przesycający powietrze zapach rozkładu jedynie wzmacniał ten wniosek. W końcu powiedzieliśmy pani Piedmont, że rzeczywiście jest to uroczy pokój, ale trochę dla nas za mały, i odwróciliśmy się, by zejść na dół.

Sara i nasza gospodyni, która znów zaczęła paplać o kotach, wyszły już na schody, gdy zauważyłem coś tuż obok framugi drzwi: kilka małych plam na wyblakłej, prążkowanej tapecie. Miały brunatny odcień jak zaschnięta krew, a ich układ sugerował, że coś, co je zostawiło, uderzyło w ścianę z mocnym rozbryzgiem. Idąc za tymi plamami, dotarłem do łóżka, i, jako że pani Piedmont nie mogła mnie już widzieć, podniosłem materac.

Natychmiast uderzył mnie w nozdrza ostry fetor. Był to ten sam zapach, który wyczułem po wejściu do pokoju, ale tak silny, że zamknąłem oczy, zakryłem usta i dostałem mdłości. Miałem już opuścić materac, gdy, otworzywszy oczy, zobaczyłem nieduży szkielet. Kości pokrywało futerko, które w paru miejscach zgniło, odsłaniając wyschnięte organy wewnętrzne. Kończyny były związane starym, sparciałym sznurkiem, a obok tylnych łap leżało kilka kostek wyglądających jak części maleńkiego kręgosłupa – ogon, uświadomiłem sobie, który pocięto na kawałki. Czaszka, przykryta paroma skrawkami skóry i futra, spoczywała jakis osiem cali od reszty szkieletu. Na spodzie materaca i na łóżku widniały rozległe plamy takiego samego koloru jak „rzucik” na ścianie. W końcu puściłem materac, wypadłem na korytarz i zacząłem wycierać twarz chusteczką. Walcząc z kolejną falą mdłości, kilka razy głęboko zaczerpnąłem oddechu, po czym stanąłem u szczytu schodów, niepewny, czy dam radę je pokonać.

– John? – zawołała z dołu Sara. – Idziesz?

Pierwsza kondygnacja sprawiła mi trochę kłopotu, ale z drugą poradziłem sobie lepiej. Kiedy dotarłem do frontowych drzwi, gdzie pani Piedmont stała wśród miauczących kotów, trzymając Sarę za rękę, udało mi się nawet uśmiechnąć. Szybko podziękowałem staruszce i wyszedłem w bezchmurny wieczór, którego powietrze wydało mi się wyjątkowo czyste po tym, czym oddychałem w środku.

Sara ruszyła za mną, wciąż rozmawiając z panią Piedmont, a wtedy na ganek wyskoczył ten sam szary przegowany kot.

– Peter! – zawołała pani Piedmont. – Panno Howard, czy mogłaby pani...

Sara trzymała już zwierzaka w ramionach i z uśmiechem podała go staruszce.

– Koty! – wykrzyknęła raz jeszcze pani Piedmont, a potem posłała nam ostatnie „do widzenia” i zamknęła drzwi.

Sara zeszała do mnie po schodkach i kiedy przyjrzała się mojej twarzy, jej uśmiech zgasł.

– John? – powiedziała. – Zbladłeś, co się stało? – Przez chwilę stała nieruchomo, a potem chwyciła mnie za ramię. – Znalazłeś coś na górze, co to było?

– Jib – odrzekłem, ponownie wycierając twarz chusteczką. Sara wykrzywiła się.

– Jib? Ten kot? O co ci, do licha, chodzi?

– Ujmijmy to w ten sposób – powiedziałem, biorąc ją pod rękę i ruszając w stronę Broadwayu. – Bez względu na to, co mówi pani Piedmont, koty nie znikają ot tak.

ROZDZIAŁ 40

Dotarliśmy z Sarą na Broadway 808 tuż przed Isaacsonami, którzy wrócili do sztabu w nastroju niewiele lepszym od tego, w jakim my byliśmy parę godzin wcześniej. Z entuzjazmem opowiedzieliśmy im o naszych przygodach, a Sara zapisała najważniejsze informacje na tablicy. Braci ogromnie podniosło na duchu to, że udało nam się odtworzyć bodaj niektóre ruchy Johna Beechama, choć po wizytach w Komisji Spisowej i u pani Piedmont znajdowaliśmy się właściwie w tej samej sytuacji co rano: nadal nie mieliśmy pojęcia, gdzie Beecham teraz mieszka i co robi.

– To prawda, John – przyznał Lucius – ale przynajmniej wiemy, czego nie robi. Nasza koncepcja, że mógł być skłonny wykorzystać wiedzę, którą zawdzięcza ojcu-pastorowi, okazała się błędna, i ma to jakąś przyczynę.

– Może jest po prostu zbyt rozgoryczony – powiedział Marcus, zastanowiwszy się chwilę. – Może nie potrafi głosić poglądów, które wyznawał jego ojciec, nawet po to, aby zdobyć pracę.

– Z powodu hipokryzji w rodzinie? – zapytała Sara, nadal skrobiąc po tablicy.

– Tak jest – odparł Marcus. – Idea działalności religijnej czy dobroczynnej może budzić w nim instynktowny sprzeciw, nie mógłby się czymś takim zajmować, bo nie potrafiłby zachować pozorów.

– Dobrze – powiedział Lucius, kiwając głową. – Więc podejmuje pracę w Komisji Spisowej, co nie naraża go na niebezpieczeństwo zdemaskowania, przez przypadek czy inaczej. W końcu wielu ludzi, którzy zatrudnili się jako rachmistrze, skłamało w podaniach, i nigdy nie wyszło to na jaw.

– Ta praca zaspokaja również jego wielką potrzebę – dodałem. – Dzięki niej dostaje się do domów i blisko dzieci, i może je poznawać, nie zdradzając się z tym, że go interesują, co w końcu staje się dlań problemem.

– Bo po jakimś czasie zaczyna odczuwać popędy, nad którymi nie umie zapanować – dokończył Marcus. – Ale co z chłopcami? Nie poznał ich w domach, nie mieszkali z rodzinami, a zresztą on wyleciał już z pracy.

– Rzeczywiście – przytaknąłem. – Ta kwestia pozostaje otwarta. Ale dokądkolwiek Beecham się udał po zwolnieniu z Komisji Spisowej, na pewno chciał zachować wgląd w prywatne sprawy ludzi – najlepiej nadal odwiedzać rodziny w domach – aby dokonywać rozpoznania. Dzięki temu, mimo że jego ofiary mieszkają w burdelach, orientowałby się w ich problemach i mógłby okazywać im współczucie, co byłoby bardzo skuteczną metodą zjednywania sobie ich zaufania.

– I co jest także elementem, którego brakowało wszystkim pracownikom dobroczynności – dorzuciła Sara, odchodząc od tablicy.

– Właśnie – powiedziałem i otworzyłem okno, aby wpuścić wieczorne powietrze do nieco dusznego sztabu.

– Nadal jednak nie wiem – odezwał się Marcus – jak ma nam to pomóc ustalić, gdzie Beecham jest teraz. Nie chcę panikować, koledzy, ale do następnego ataku zostało sześć dni.

Na kilka minut zapadła cisza, podczas której oczy nas wszystkich powędrowały ku stercie fotografii na biurku Marcusa. Wiedzieliśmy, że jeśli teraz przegramy, ta sterta urośnie. W końcu Lucius przemówił z ponurą determinacją w głosie:

– Musimy trzymać się tego, co nas tu doprowadziło: iść za śmiałą, agresywną stroną jego osobowości. W kontaktach z Komisją Spisową i panią Piedmont nie okazywał zdenerwowania ani strachu. Wymyślił skomplikowane kłamstwa i podtrzymywał je latami. Nie wiemy, czy przez ten czas regularnie zabijał, czy też do przemocy pchnęło go na nowo zwolnienie z posady. Ale założę się, że nie stracił jeszcze pewności siebie, nawet jeśli w głębi duszy rzeczywiście chce, byśmy go złapali. Przyjmijmy, że tak jest. Przyjmijmy, że udało mu się znaleźć inną pracę, która zaspokaja jego potrzeby, pracę, dzięki której może wędrować po dachach i obracać się wśród lokatorów czynszówek, nie musząc im pomagać ani nadskakiwać. Jakies pomysły?

Przykro było patrzeć, jak kończy się passa twórczego myślenia i sukcesów, ale nie mogliśmy nic na to poradzić. Może potrzebowaliśmy choć na kilka godzin oderwać się od problemu, a może sparaliżowała nas świadomość, że czasu mamy już mniej niż tydzień; w każdym razie nasze umysły przestały pracować. Pozostała nam wprawdzie jeszcze jedna karta – Marcus i Lucius mieli nazajutrz odwiedzić Charlesa Murraya i spróbować zeń wyciągnąć, dlaczego zwolnił Beechama – ale zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić dalej. W takim właśnie nastroju niepewności rozstaliśmy się po tym długim dniu około godziny dziesiątej.

We wtorek podczas rozmowy z Murrayem Isaacsonowie rzeczywiście odkryli – o czym opowiedzieli Sarze i mnie wieczorem po powrocie do sztabu – że Beecham został zwolniony, ponieważ okazywał nadmierne zainteresowanie pewnemu dziecku: małej dziewczynce nazwiskiem Ellie Leshka, mieszkającej w czynszowej kamienicy przy Orchard Street – czyli w Trzynastym Obwodzie i niedaleko miejsca zamieszkania rodzeństwa Zweigów. Marcus i Lucius mieli nadzieję dowiedzieć się na ten temat czegoś więcej, odwiedzając małą Ellie i jej rodziców, ale pech chciał, że Leshkowie wyjechali niedawno z Nowego Jorku do – jakby nie mogli dalej – Chicago.

Według Murraya, Leshkowie, wnosząc skargę, ani słowem nie wspomnieli o przemocy. Beecham nigdy nie groził Ellie – przeciwnie, był dla niej miły. Ale dziewczynka weszła właśnie w okres dojrzewania i fakt, że spędza dużo czasu z nieznanym, samotnym mężczyzną, budził w jej rodzicach zupełnie zrozumiały niepokój. Charles Murray powiedział Isaacsonom, że może i nie zwolniłby Beechama, gdyby nie to, że dostał się on do mieszkania Leshków, mówiąc, iż przysłano go z Komisji Spisowej, co nie było prawdą. Nauczony doświadczeniem Murray jak zarazy unikał sytuacji, które choćby pachniały skandalem.

Przypadek Ellie Leshki miał jeden nietypowy aspekt: dziewczynka przeżyła znajomość z Beechamem. W związku z tym Sara uważała za możliwe, iż Beecham wcale nie zamierzał jej zabić. Mogła to być z jego strony autentyczna próba zbliżenia się do drugiej istoty ludzkiej; jeśli tak, była to pierwsza taka próba, o której słyszeliśmy, nie licząc jego zagadkowych poczynań w sierocińcach Chicago. Było również prawdopodobne, że ukrócenie przez Leshków jego kontaktów z ich córką, w połączeniu z wyjazdem rodziny z miasta, przyczyniło się do wybuchu wściekłości Beechama: musieliśmy pamiętać, że zabójstwa chłopięcych prostytutek zaczęły się w styczniu.

Były to jednak wszystkie informacje i spekulacje, jakie mogliśmy wycisnąć z tego tropu. Uporaliśmy się z tym do piątej trzydziści, po czym Sara i ja przedstawiliśmy Isaacsonom wyniki naszego dnia pracy: krótką listę zajęć, które Beecham mógł według nas podjąć po zwolnieniu z Komisji Spisowej. Wziąwszy pod uwagę wszystkie istotne czynniki – jego niechęć do imigrantów, ewidentną niezdolność do nawiązywania bliskich kontaktów z ludźmi (w każdym razie z dorosłymi), potrzebę poruszania się po dachach i wrogość wobec organizacji religijnych wszelkiego rodzaju – zredukowaliśmy nasz wstępny zbiór możliwości do dwóch podstawowych sfer zatrudnienia: ściąganie długów i doręczanie wezwań. Były to zajęcia świeckie, które nie tylko utrzymałyby Beechama na dachach (przed wykonującymi je ludźmi często zamykano frontowe drzwi), lecz także dały mu poczucie pewnej władzy... i kontroli. Jednocześnie zaś miałyby stały dostęp do danych personalnych szerokiego kręgu osób, jak również pretekst do odwiedzania ich w domach. Wreszcie późnym popołudniem Sara przypomniała sobie o czymś, co zdawało się potwierdzać nasze koncepcje: kiedy Beecham trafił do szpitala Świętej Elżbiety, powiedział, że społeczeństwo potrzebuje praw i stróżów prawa. Dłużnicy i ludzie zamieszani w nielegalną działalność (nawet jeśli marginesowo) z pewnością budzili w nim pogardę i perspektywa zatruwania im życia mogła mu się wydać atrakcyjna.

Marcus i Lucius zgodzili się z naszym rozumowaniem, choć, jak i my, zdawali sobie sprawę, że oznacza to nowe wędrówki po mieście. Mieliśmy jednak powód do optymizmu: lista agencji inkasujących i urzędów państwowych, które zatrudniały doręczycieli wezwań, była dużo krótsza od inwentarza organizacji dobroczynnych, które musieliśmy obejść wcześniej. Wiedząc, że dziennikarz i policyjna sekretarka nie uzyskaliby żadnych informacji w biurze egzekutora sądowego ani jakiegokolwiek innej placówce państwowej, Isaacsonowie wzięli te instytucje na siebie. Natomiast Sara i ja podzieliliśmy się agencjami prywatnymi, ponownie wybierając te, które działały na Lower East Side i w Greenwich Village, ze szczególnym uwzględnieniem Trzynastego Obwodu. W środę rano znów byliśmy wszyscy na ulicach.

Wizyty w miejskich instytucjach dobroczynnych wzbudzały we mnie moralne oburzenie, natomiast rozmawiając z szefami agencji inkasujących, czułem się dość nieswojo. Agencje te, mieszczące się przeważnie w małych, brudnych pokoikach na górnych piętrach, prowadzili zazwyczaj ludzie, którym nie powiodło się na jakimś pokrewnym polu – ekspolicjanci i adwokaci, hochsztaplerzy, a nawet, w jednym przypadku, łowca nagród. Osobnicy ci niechętnie odpowiadali na pytania i tylko pieniądze mogły ich skłonić do otwarcia ust. Najczęściej, oczywiście, żądali zapłaty z góry i rewanżowali się informacjami, które były albo jaskrawo fałszywe, albo zupełnie dla nas bezużyteczne.

Znów żmudne wysiłki pochłaniały całe godziny (a w czwartek rano zanościło się na to, że godziny przejdą w dni), nie przynosząc rezultatów. Isaacsonowie przekonali się, że urzędy państwowe istotnie prowadzą ewidencję osób zatrudnionych jako doręczyciele wezwań, lecz w aktach, które przejrzeni pierwszego dnia, nie pojawił się żaden John Beecham. Sara, odwiedzając agencje inkasujące, nasłuchiwała się tylko wulgarnych propozycji; co do mnie, w czwartkowe popołudnie wróciłem do sztabu po obejściu mojego przydziału agencji, nie wiedząc, co robić dalej. Gdy stanąłem przy oknie i spojrzałem ku Hudsonowi, ogarnął mnie znajomy lęk, że nie będziemy gotowi. Przyjdzie niedzielna noc i Beecham, zdając sobie teraz sprawę, że weźmiemy pod obserwację domy publiczne, porwie ofiarę skądinąd, zabierze ją w jakieś nieznanie miejsce i znów odprawi swój makabryczny rytuał. Potrzebowaliśmy, powtarzałem sobie, tylko jakiegoś adresu, jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś, co pozwoliłoby nam go wytropić, abyśmy w krytycznym momencie mogli wkroczyć do akcji i położyć kres jego okrucieństwu i udręce, bezlitosnemu cierpieniu, które pcha go do zabijania. Po tym wszystkim, co widziałem i przeżyłem, było mi dziwnie myśleć o jego cierpieniu; a jeszcze dziwniej, uświadomić sobie, że mam dla tego człowieka niejakię współczucie. Zawdzięczałem to zrozumieniu kontekstu jego życia: z licznych celów, które Kreizler wytknął nam na początku śledztwa, osiągnęliśmy przynajmniej ten jeden... Z zadumy wyrwał mnie dzwonek telefonu. Podniósłszy słuchawkę, usłyszałem głos Sary.

– John? Co robisz?

– Nic. Załatwiłem moją listę i utknąłem.
– Więc przyjdź zaraz na Broadway 967. Pierwsze piętro.
– 967 to powyżej Dwudziestej Ulicy.
– Bardzo dobrze. Konkretnie między Dwudziestą Drugą i Dwudziestą Trzecią.
– Przecież to nie twój rejon.
– Czasami nie odmawiam też wieczorem pacierza. – Westchnęła. – Głupcy z nas, to powinno być oczywiste. Przyjdź tu, prędko!

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozłączyła się. Wdziałem marynarkę i napisałem kartkę do Isaacsonów, na wypadek gdyby wrócili przed nami. Miałem już wyjść, kiedy znów zadzwonił telefon. W słuchawce odezwał się Joseph.

– To pan, panie Moore?

– Joseph? – zapytałem. – Co się stało?

– Och, nic takiego, ale... – W jego głosie dźwięczało zakłopotanie. – Czy jest pan pewien tego, co mi pan powiedział? Znaczący się, o tym człowieku, którego szukacie?

– Na tyle pewien, na ile to możliwe. Dlaczego?

– No bo spotkałem wczoraj mojego kolegę – takiego, co to pracuje na ulicy, nie w jakimś domu – i on powiedział coś, co mi przypomniało o tym, co pan mówił.

Chociaż mi się spieszyło, usiadłem i chwyciłem przybory do pisania.

– Mów dalej, Josephie.

– Powiedział, że jakiś mężczyzna obiecał... tak jak pan mówił, że go ze sobą zabierze i tak dalej. Ze będzie mieszkał w wielkim – nie wiem – zamku czy czymś, skąd będzie widział całe miasto i będzie mógł się śmiać ze wszystkich ludzi, co byli dla niego źli. Przypomniało mi się, co pan mówił, i spytałem go, czy ten mężczyzna miał coś nie w porządku z twarzą, ale powiedział, że nie. Dlatego dzwonię, żeby spytać, czy jest pan tego pewien.

– Tak – odrzekłem. – W tej chwili jestem...

– Oho – przerwał mi Joseph. – Szkocka Ann wrzeszczy, chyba mam klienta. Muszę kończyć.

– Zaczekaj, Joseph. Powiedz mi jeszcze...

– Przepraszam, nie mogę dłużej rozmawiać. Może się spotkamy? Późnym wieczorem?

Chciałem wyciągnąć z chłopca coś więcej, ale znając jego sytuację, dałem spokój.

– Dobrze. Tam, gdzie zawsze. O dziesiątej?

– W porządku. – Wyraźnie się ucieszył. – Do widzenia. Odłożyłem słuchawkę i wybiegłem ze sztabu.

Pod domem złapałem tramwaj i znalazłem się przy Dwudziestej Drugiej Ulicy w parę minut. Zeskoczywszy na kocie łby, jakimi był wybrukowany ten odcinek Broadwayu, spojrzałem przez ulicę na trójką grupę budynków zawieszonych olbrzymimi szyldami, reklamującymi wszystko: od bezbolesnych zabiegów dentystycznych przez szklane oczy po bilety na parowce. Między nimi, na szybach okien pierwszego piętra numeru 967, widniał gustowny (i dlatego rzucający się w oczy) napis wymalowany złotymi literami: MITCHELL HARPER, REGULOWANIE RACHUNKÓW. Przepuściwszy kilka pojazdów, przebiegłem przez jezdnię i wszedłem do budynku.

Znalazłem Sarę w małym biurze pana Harpera, pochłoniętą rozmową z właścicielem. Ani jego powierzchowność, ani wygląd pomieszczenia nie harmonizowały z eleganckim złotym napisem w oknach. Wnosząc z warstwy sadzy na nielicznych meblach, pan Harper nie zatrudniał sprzątaczkę, a jeśli idzie o niego samego, nie wiem, co było bardziej odstręczające: niechlujny strój, nieogolona twarz, nierówno ostrzyżone włosy czy duże cygare. Sara przedstawiła nas sobie, ale Harper nie podał mi ręki.

– Sporo czytałem o medycynie, panie Moore – wyjaśnił schrypniętym głosem, wtykając kciuki za poplamioną kamizelkę. – Mikroby, sir! Mikroby są źródłem chorób, a przenoszą się przez dotyk!

Miałem ochotę powiedzieć facetowi, że nie najgorszym sposobem na mikroby jest kąpiel, ale skinąłem tylko głową i odwróciłem się do Sary, pytając ją wzrokiem, po jakie licho mnie tu ściągnęła.

– Powinniśmy byli od razu na to wpaść – wyszeptęła, a potem odezwała się głośno: – W lutym pan Harper został zaangażowany przez pana Lanforda Sterna z Washington Street do ściągnięcia pewnych zaległych należności. – Widząc, że nic mi to nie mówi, dodała porozumiewawczym tonem: – Pan Stern, jak zapewne sobie przypominasz, to właściciel kilku kamienic w rejonie Washington Market. Jednym z jego lokatorów jest niejaki pan Ghazi.

– Och – mruknąłem. – Och, naturalnie. Nie mogłaś mi tego powiedzieć...

Sara uciszyła mnie gestem ręki, najwyraźniej nie chcąc, aby Harper dowiedział się, o co nam naprawdę chodzi.

– Widziałam się z panem Sternem dziś rano – oświadczyła z naciskiem i wreszcie do mnie dotarło, dlaczego powinniśmy byli pomyśleć o pójściu do pana Sterna na samym początku tej fazy poszukiwań: w chwili śmierci syna stary Ghazi od miesięcy zalegał z czynszem. – Powiedziałam mu – ciągnęła Sara – o człowieku, którego szukamy – że, o ile nam wiadomo, pracował jako inkasent i że właśnie umarł jego brat, po którym dziedziczy dużą sumę pieniędzy.

Uśmiechnąłem się, widząc, że Sara także rozwija talent do improwizowania kłamstw.

– Och, tak – przyświadczyłem.

– Pan Stern powiedział, że kwestie zaległych czynszów załatwia dla niego pan Harper – podjęła Sara. – I...

– I, jak już powiedziałem panie Moore – wtrącił się Harper – jeśli w grę wchodzi spadek, chcę wiedzieć, ile będę z tego miał, zanim cokolwiek ujawnię.

Skinąłem głową i odwróciłem się do gościa – sprawa była dziecinnie prosta.

– Panie Harper – oznajmiłem z szerokim gestem – mogę pana zapewnić, że jeśli poda nam miejsce pobytu pana Beechama, otrzyma hojne wynagrodzenie. Znaleźne, jak to się mówi. Powiedzmy, pięć procent?

Obślinione cygaro omal nie wypadło Harperowi z ust.

– Pięć pro... ależ to rzeczywiście hojna propozycja, sir. Bardzo hojna! Pięć procent!

– Pięć procent od wszystkiego – powtórzyłem. – Ma pan na to moje słowo. Ale proszę mi powiedzieć: czy wie pan, gdzie przebywa pan Beecham?

Harper na moment stracił pewność siebie.

– W zasadzie... To znaczy, wiem to mniej więcej, panie Moore. Wiem, gdzie można go znaleźć, jak go chwyci pragnienie. – Spojrzałem nań ostro. – Mogę tam pana zaprowadzić, przysięgam na Boga! To mała piwna spelunka w Mulberry Bend, właśnie tam go poznałem. Zaproponowałbym, żeby poczekał pan na niego tutaj, ale... Rzecz w tym, że jakieś dwa tygodnie temu musiałem go zwolnić.

– Zwolnił go pan? – spytałem. – Dlaczego?

– Jestem uczciwym człowiekiem – odparł Harper – i prowadzę uczciwy interes. Ale... no wie pan, czasem trzeba użyć trochę siły. Jako argumentu. Kto zechce zapłacić rachunek, jak się go trochę nie przycisnie? Zatrudniłem Beechama, bo to duży, silny facet. Powiedział, że umie się bić. A co robił? Rozmawiał z nimi. Ucinał sobie, kurwa... Och. Pani wybaczy. Ale od nikogo nie wyciągnie się pieniędzy rozmową. A już na pewno nie od imigrantów. Do diabła, daj im szansę, a zagadają cię na śmierć! Ten cały Ghazi to dobry przykład – posyłałem do niego Beechama trzy razy i nie wycisnął z gościa złamanego centa.

Harper gładziłby dużo dłużej, ale wiedzieliśmy już, co chcieliśmy wiedzieć. Poprosiwszy, aby zapisał nam adres speluny, o której wspomniał, powiedzieliśmy mu, że sprawdzimy ten trop jeszcze tego wieczoru i jeśli odnajdziemy Beechama, dostanie swoje pieniądze bardzo szybko. Jak na ironię, ten chytry mały człowieczek udzielił nam pierwszej darmowej informacji od dwóch dni – i jedynej, która miała się okazać użyteczna.

ROZDZIAŁ 41

Wychodząc z budynku Harpera, wpadliśmy na Isaacsonów, którzy znaleźli moją kartkę. Natychmiast udaliśmy się we czwórkę do winiarni Brübachera, gdzie rozważyliśmy nowe informacje i obmyśliliśmy plan na wieczór. Był on stosunkowo prosty: jeśli wytropimy Beechama, nie ujawnimy się przed nim, tylko zadzwonimy do Theodore'a, żeby przysłał kilku wywiadowców – ludzi, których twarzy Beecham nie zna – i polecimy im śledzić naszego człowieka. Jeśli zaś uda nam się zdobyć adres Beechama, ale nie zastaniemy go w domu, szybko przeszukamy mieszkanie, bo może znajdziemy dowody, które pozwolą go aresztować. Uzgodniwszy to wszystko, osuszaliśmy szklanki i – koło ósmej trzydzieści – wsiedliśmy do tramwaju jadącego w stronę Five Points.

Wrażenie, jakie wywierała ta osławiona dzielnica, trudno jest opisać niewtajemniczonym. Nawet znalazłszy się tam, jak my, w przyjemny wiosenny wieczór, człowiek miał poczucie śmiertelnego zagrożenia, ale nie z powodu ulicznego gwaru i ruchu, jak w innych podejrzanych częściach miasta. Przeciwnie, sądzę, że najbardziej złowieszczy w atmosferze Mulberry Bend był panujący tam spokój. Mieszkańcy dzielnicy spędzali większość czasu w ciasnych izbach kamienic czynszowych albo, znacznie częściej, w spelunkach, które zajmowały partery i pierwsze piętra zdumiewająco dużej liczby tych obskurnych budynków. W Bend śmierć i rozpacz dokonywały swego dzieła bez fanfar, lecz obficie: wystarczył krótki spacer tymi pustymi, zaniedbanymi ulicami, aby największy optymista zaczął rozmyślać o wartości ludzkiego życia.

Wiedziałem, że Lucius właśnie się nad tym zastanawia, gdy odnaleźliśmy adres, który podał nam Harper: Baxter Street 119. Kilka brudnych, zalanych moczem schodków obok bramy budynku prowadziło w dół ku drzwiom, które, sądząc po dolatujących z nich śmiechach i pomrukach, były wejściem do odwiedzanej przez Beechama spelunki. Odwróciłem się do Luciusa, który nerwowo lustrował mroczne zaułki wokół.

– Luciusie – powiedziałem – ty i Sara zostaniecie na straży. Skinął głową i wyjął chusteczkę, aby otrzeć pot z czoła.

– Bogu dzięki. To znaczy, dobrze.

– Jeśli ktoś was zaczepi, nie pokazuj odznaki – dodałem. – W tej okolicy to zaproszenie do zabójstwa. – Gdy Marcus ruszył ku schodkom, raz jeszcze przyjrzałem się Luciusowi i szepnąłem Sarze do ucha: – Uważaj na niego, dobrze?

Uśmiechnęła się na to i chociaż wyczuwałem, że też jest niespokojna, byłem pewien, że cokolwiek się stanie, zachowa zimną krew. Weszliśmy z Marcusem do środka.

Nie wiem, jak dokładnie wyglądały jaskinie, które zamieszkiwał człowiek pierwotny, lecz typowa mordownia w Five Points nie mogła stanowić w porównaniu z nimi wielkiego kroku naprzód – a ta, którą odwiedziliśmy owego wieczoru, była jak najbardziej typowa. Sufit dzieliło od klepiska podłogi zaledwie osiem stóp, ponieważ lokal służył początkowo jako piwnica sklepu na parterze. Nie było w nim okien: światła dostarczały cztery okopcone lampy naftowe, wiszące nad dwoma rzędami długich, niskich stołów. Przy stołach siedzieli i spali klienci, których dzielił wiek, płęć i strój, ale łączyło pijackie otępienie. W speluncie było około dwudziestu osób, lecz tylko trzy – dwóch mężczyzn i kobieta, która stękała i rechotała, słuchając ich belkotliwej mowy – dawało jakieś oznaki życia. Spojrzeli na nas z nienawiścią w szklitych oczach. Marcus nachylił się ku mnie.

– Jak sądzę – wyszeptał – trzeba się tu poruszać powoli.

Skinąłem głową i podeszliśmy do usytuowanego w głębi „baru” – deski opartej na dwóch beczkach na popiół. Natychmiast postawiono przed nami dwie szklanki płynu, który w takich miejscach uchodził za piwo. Była to ohydna, zwietrzała mieszanka zlewek zbieranych po nieco lepszych lokalach. Zapłaciłem, ale nie tknąłem napoju, a Marcus odsunął swoją szklankę na bok.

Barman miał jakieś pięć i pół stopy wzrostu, płowe włosy, także wąsy i typowy wyraz niczym nieuzasadnionej niechęci na twarzy.

- Nie chcecie piwa? – zapytał. Potrząsnąłem głową.
- Chcemy informacji. O kliencie.
- Spieprzaj – prychnął barman. Wyjąłem więcej pieniędzy.
- Jedno, dwa pytania.

Facet rozejrzał się niespokojnie po lokalu i stwierdziwszy, że trio względnie przytomnych gości już na nas nie patrzy, schował pieniądze do kieszeni.

– No?

Rzuciłem nazwisko Beechama, co nie wywołało żadnej reakcji, ale kiedy zacząłem opisywać wysokiego mężczyznę z tikiem twarzowym, mocniejszy błysk w świecących chorobliwie oczach barmana powiedział mi, że Mitchell Harper nas nie szukał.

– Ulyca dalej – wymamrotał facet. – Numer sto pińdziesiąt pińć. Ostatnie pińtro, z tyłu.

Marcus spojrzął na mnie z powątpiewaniem i barman to zauważył.

- Sam widziałem! – dodał. – Jesteście od dziewczuchi?
- Dziewuchy? – zapytałem. Barman skinął głową.
- Zabrał tam dziewczuchie. Matka myślała, że jom porwał. Nie zrobił jej krzywdy, ale prawie zabił gościa, co o tym gadał.

Rozważyłem tę informację.

– Dużo pije?

– Najpirw nie. Nie kapowałem, po co tu przyłazi. Ostatnio więcy.

Zerknałem na Marcusa, który szybko kiwnął głową. Rzuciłem na ladę jeszcze kilka monet i odwróciliśmy się do odejścia, ale barman złapał mnie za ramię.

– Nic ody mnie nie słyszeliście – powiedział z naciskiem. – Nie chcem mu podpaść. – Odsłonił szerniałe zęby. – Chodzi z niezłym majchrem.

Ruszyliśmy z Marcusem do wyjścia, zostawiając nasze piwo barmanowi. Znów zachowaliśmy wielką ostrożność, przechodząc obok żywych trupów przy stołach, i chociaż siedzący przy drzwiach mężczyzna odwrócił się, gdy go mijaliśmy, i zaczął oddawać mocz na podłogę, było to raczej bezwiedne niż demonstracyjne. Dając krok nad kałużą uryny, Marcus mruknął do mnie:

– Więc Beecham pije.

– Tak – odrzekłem, otwierając drzwi. – Pamiętam, jak Kreizler powiedział kiedyś, że być może nasz człowiek wkracza w fazę autodestrukcji. Ktoś, kto pije w takiej spelunie, z pewnością już to zrobił.

Czekający na zewnątrz Sara i Lucius mieli równie niespokojne miny jak w chwili, kiedy ich zostawiliśmy.

– Chodźcie – powiedziałem szybko, kierując się na północ. – Mamy adres.

Budynek przy Baxter Street 155 był typową nowojorską czynszówką, ale w każdej innej dzielnicy kobiety i dzieci, które wyglądają z okien w tak pogodny wieczór, śmiałyby się albo śpiewały, albo przynajmniej wrzeszczały na siebie. Te tutaj po prostu siedziały, podpierając głowy dłońmi i nie wykazując żadnego zainteresowania tym, co się dzieje na ulicy, a najmłodsze z nich robiły wrażenie równie zmęczonych życiem jak najstarsze. Na schodkach siedział mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, wymachujący pałką, która wyglądała na autentyczną broń policyjną. Nie było trudno zgadnąć, patrząc na jego bokerskie rysy i ponury grymas, w jaki sposób zdobył to trofeum. Kiedy wszedłem na schodki, koniec pałki stuknął mnie w pierś.

– W sprawie? – zapytał mężczyzna; jego oddech cuchnął alkoholem zaprawionym kamforą.

– Chcemy się widzieć z jednym lokatorem – odparłem. Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Nie buńdz taki mundry, dobra? W sprawie?

Zastanowiłem się chwilę.

– A co ci do tego?

Śmiech zamarł.

– To mnie do tego, że pilnuje tej chaupy – dla ‘ściela. Wińc nie buńdz taki mundry, koleś, chiba, że chcesz oberwać.

Mówił ze słynnym akcentem z Bowery, który dość trudno było brać poważnie. Nie podobał mi się jednak widok pałki, więc raz jeszcze sięgnąłem po portfel.

– Ostatnie piętro – powiedziałem, wyjmując kilka monet. – Na tyłach. Jest tam kto?

Mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Aaa! – mruknął, biorąc ode mnie pieniądze. – Biega ci o tego...

Zamrugnął powiekami i zaczął komicznie ruszać szczęką, prawym policzkiem i okiem, a potem, zapewne dla większego efektu, złapał się za głowę. Zadowolony ze swego występu, wybuchnął głośnym śmiechem.

– Ni ma go – powiedział w końcu. – W nocy nigdy go ni ma. W dzień czasem jest, ale w nocy nigdy. Obadajcie dach, może jest tam. Lubi se tam siedzieć.

– A co z mieszkaniem? – spytałem. – Może chcielibyśmy na niego zaczekać.

– Może jest zamknięte – odparł facet, znów szczerząc zęby. Dałem mu więcej pieniędzy. – A może nie jest. – Wstał ze schodków. – Chiba nie jesteście psy?

– Nie płacę ci za zadawanie pytań – odrzekłem. Mężczyzna spojrzał na mnie z wyrazem twarzy zbliżonym do namysłu, po czym skinął głową.

– W porządziu. Chodźcie ze mnom, tylko po cichu, dobra?

Wszyscy potaknęliśmy i weszliśmy za facetem do budynku.

W długim, ciemnym korytarzu czuć było typowy fetor ekskrementów i gnijących odpadków. U stóp schodów zatrzymałem się, aby puścić Sarę przodem.

– Wolę już koty pani Piedmont – szepnęła, mijając mnie. Bez przeszkód wdrapaliśmy się na ostatnie piętro, gdzie nasz przewodnik zapukał do jednych z czworga drzwi, które okalały mały podest. Odpowiedziała mu cisza.

– Zaczekajcie – mruknął i szybko pokonał ostatnią kondygnację schodów prowadzącą na dach. Wrócił po krótkiej chwili, wyraźnie odprężony. – W porządziu – oznajmił, po czym wyjął z kieszeni duży pęk kluczy i otworzył drzwi, do których wcześniej pukał. – Musiałem obadać, czy go gdzie ni ma. Nerwowo gość z tego...

Zamiast podać nazwisko, facet znów wykrzywił twarz i wybuchnął śmiechem. Wreszcie weszliśmy do mieszkania.

Na półce przy drzwiach stała lampa naftowa; zapaliłem ją. Wnętrze, które powoli ukazało się naszym oczom, było zasadniczo korytarzem, długim na jakieś trzydzieści stóp i dość wąskim, podzielonym w połowie cienkim przepierzeniem z drzwiami i świetlikiem powyżej. Kontakt ze światem zewnętrznym dawały jedynie dwa podłużne otwory wybite w bocznych ścianach – można było przez nie zajrzeć w podobne szczeliny w ścianach sąsiednich mieszkań, znajdujących się po drugiej stronie wąskich szybów wentylacyjnych. Pod przepierzeniem stał mały piecyk, za sanitariat służyło zardzewiałe wiadro. Od frontowych drzwi widać było tylko parę mebli: zwyczajne stare biurko i krzesło przed przepierzeniem oraz łóżko za nim. Spod jednej warstwy łuszczącej się taniej farby wyzierała następna i następna, aż do ceglaneanego muru.

W tej oto obskurnej norze mieszkał człowiek, który z Japhetha Dury'ego stał się mordercą Johnem Beechamem, i tu właśnie musiały się znajdować jakieś na to dowody. Bez słowa wskazałem Isaacsonom drugi koniec mieszkania; skinęli głowami i weszli za przepierzenie. Sara i ja postąpiliśmy niepewnie w stronę starego biurka, a nasz przewodnik został na czatach przy drzwiach.

Cała „rewizja” nie mogła trwać dłużej niż pięć minut, tak małe i skąpo umeblowane było mieszkanie. Biurko miało trzy szuflady, które Sara zaczęła sprawdzać, wkładając dłonie do środka, aby czegoś nie przegapić w półmroku. Do popękanej ściany nad biurkiem był przyczepiony gwoździkami jakiś plan. Pochyliwszy się, aby go obejrzeć, wyczułem pod palcami coś dziwnego: blat biurka pokrywały rzędy głębokich, wyłobionych nożem rowków. Przeniosłem wzrok na plan. Udało mi się rozpoznać kontury Manhattanu, ale wewnątrz były naniesione jakieś tajemnicze oznaczenia: proste, krzyżujące się linie, liczby i symbole. Miałem już przysunąć głowę bliżej, gdy odezwała się Sara:

– Spójrz, John.

Spuściwszy wzrok, zobaczyłem, że wyjmuję z dolnej szuflady małe drewniane pudełko. Postawiła je ostrożnie na blacie biurka i cofnęła się o krok.

Do wieczka pudełka przyklejony był dagerotyp, przypominający stylem i kompozycją prace słynnego fotografa Mathew Brady'ego z okresu wojny secesyjnej. Sądząc po stopniu zniszczenia, był równie stary. Przedstawiał zwłoki białego mężczyzny: oskalpowane, rozprute, wykastrowane i pozbawione oczu, ze sterczącymi z kończyn strzałami. Zdjęcie nie miało podpisu, ale bez wątplenia należało do kolekcji wielbego Victora Dury'ego.

Pudełko było szczelnie zamknięte, lecz wydobywał się z niego zapach – podobny do tego, który wypełniał pokój Beechama u pani Piedmont: woń zwierzęcego rozkładu. Ze ściśniętym sercem wzięłem pudełko do rąk, ale zanim zdążyłem je otworzyć, usłyszałem głos Marcusa:

– O nie. Boże, jak...

Rozległy się kroki i Marcus wyszedł z za przepierzenia. Mimo półmroku dostrzegłem, że jest blady – zdumiewający stan u człowieka spokojnie fotografującego sceny, które większość ludzi przyprawiłyby o mdłości. Po kilku sekundach pojawił się Lucius, niosący coś w rękach.

– John! – zawołał z natarczywością w głosie. – John, mamy... mamy dowód! Dobry Boże, możemy go z miejsca aresztować za morderstwo!

– O cholera – mruknął od drzwi nasz facet. – To jesteście psy?

Ignorując go, zapaliłem zapalkę, podniosłem ją wysoko i zbliżyłem się do Luciusa. Gdy oświetliłem przedmiot, który trzymał, Sara wydała krótki okrzyk, zakryła usta dłonią i odwróciła się na pięcie.

Lucius miał w rękach olbrzymi szklany słoje. Wewnątrz, w substancji, co do której mogłem tylko przypuszczać, że jest formaliną, pływały ludzkie oczy. Część ciągnęła jeszcze za sobą zwoje nerwów, część miała gładką powierzchnię; jedne były świeże i lśniące, drugie stare i mętne; niektóre miały kolor niebieski, niektóre brązowy, a jeszcze inne orzechowy, szary i zielony. Ale to nie stan tych oczu, zrozumiałem natychmiast, tak oszołomił Marcusa, tylko ich liczba. Albowiem nie było to pięć par oczu naszych pięciu zamordowanych chłopców, ani nawet siedem par oczu chłopców i rodzeństwa Zweigów; w słoju tkwiły dziesiątki – dziesiątki – oczu należących do ponad dwudziestu ofiar. I wszystkie zdawały się patrzeć przez szkło z niemym wyrzutem i pytać żałośnie, dlaczego odnaleźliśmy je tak późno...

Moje oczy pobiegły ku znalezionemu przez Sarę pudełku. Powoli je otworzyłem. Trupi zapach, który z niego buchnął, nie był tak silny, jak się spodziewałem, co pozwoliło mi obejrzeć zawartość bez przeszkód. Nie mogłem jednak pojąć, co widzę: wyglądało to jak mały kawałek wyschniętej, czerwono czarnej gumy.

– Luciusie? – odezwałem się cicho, podając mu pudełko. Odstawiwszy słoje na biurko, Lucius podszedł z pudełkiem do lampy. Gdy przyglądał się jego zawartości, nasz przewodnik zajrzał mu przez ramię.

– Gównno? – zapytał. – Bo śmierdzi jak gównno.

– Nie – odparł spokojnie Lucius, nie spuszczać wzroku z pudełka. – Są to, jak przypuszczam, zakonserwowane szczątki ludzkiego serca.

Było to trochę za wiele nawet dla zbira z Five Points. Facet odwrócił się i wyszedł do sieni z wyrazem totalnej konsternacji na twarzy.

– Kim wy, do diabła, jesteście? – wymamrotał.

Spojrzałem na Luciusa.

– Serce? Małego Lohmanna?

Potrząsnął głową.

– Za stare. Jest tu od bardzo dawna. Wydaje mi się nawet, że zostało powleczone jakimś lakierem czy czymś takim.

Odwróciłem się do Sary, która stała z rękami splecionymi na piersiach i głęboko oddychała. Dotknąłem jej ramienia.

– Dobrze się czujesz?

Szybko skinęła głową.

– Tak. Świetnie.

Popatrzyłem na Marcusa.

– A ty?

– Chyba tak. W każdym razie lepiej.

– Luciusie... – Skinąłem na niższego Isaacsona. – Ktoś musi zajrzeć do piecyka. Dasz radę?

Lucius pewnie skinął głową: mógł być niespokojny na ulicy, lecz tutaj całkowicie nad sobą panował.

– Pożycz mi zapalek.

Dałem mu pudełko i podszedł do czarnego z brudu żelazniaka stojącego pod przepierzeniem. W skrzyni obok leżało parę szczap drewna, a na fajerce stała zatłuszczona patelnia. Lucius zapalił zapalną, zaczerpnął oddech i spokojnie otworzył drzwiczki piecyka. Kiedy włożył zapalną do środka, zamknąłem oczy; po jakichś piętnastu sekundach ponownie usłyszałem trzask drzwiczek.

– Nic – oznajmił Lucius. – Tłuszcz, zwęglony ziemiak, to wszystko.

Odetchnąłem z niemałą ulgą i stuknąłem Marcusa w ramię.

– Co o tym sądzisz? – zapytałem, wskazując wiszącą na ścianie mapę.

Marcus przyjrzał jej się uważnie.

– Manhattan – powiedział szybko. I dodał po paru sekundach: – Wygląda na jakąś mapę sytuacyjną. – Poszturchał gwoźdźki i wyciągnął je ze ściany. – Tynk pod spodem nie zmienił koloru. Powiesił ją niedawno.

Lucius dołączył do nas i stanęliśmy wszyscy w zwartym półkolu, plecami do biurka z pudełkiem i stojem.

– To wszystko, co znaleźliście z tyłu? – zapytałem Isaacsonów.

– To wszystko – odparł Marcus. – Żadnych ubrań, nic. Moim zdaniem wyniósł się stąd.

– Wyniósł się? – powtórzyła Sara. Marcus z rozczarowaniem skinął głową.

– Może wiedział, że depczemy mu po piętach. Naprawdę wygląda na to, że już tu nie wróci.

– Ale dlaczego odszedł – zapytała Sara – zostawiając te wszystkie... dowody?

Marcus potrząsnął głową.

– Może nie sądzi, że to są dowody. Albo się spieszył. Albo...

– Albo – wtrąciłem, wypowiadając myśl, która nurtowała nas wszystkich – chciał, żebyśmy to znaleźli.

Kiedy się nad tym zastanawialiśmy, spostrzegłem, że nasz przewodnik usiłuje zerknąć na słój z oczami, i przesunąłem się, aby zasłonić mu widok. W końcu odezwał się Lucius:

– To możliwe, ale i tak musimy wziąć mieszkanie pod obserwację, na wypadek gdyby jednak wrócił. Powinniśmy poprosić komisarza, żeby przysłał tu swoich ludzi, bo, jak mówiłem, teraz możemy go już aresztować za morderstwo.

– Myślisz, że mamy dość dowodów? – spytała cicho Sara. – Wiem, że zabrzmi to okropnie, ale to wcale nie muszą być oczy jego ofiar.

– To prawda – odparł Lucius. – Ale jeśli nie będzie umiał bardzo przekonująco wyjaśnić, czyje one są, każda ława przysięgłych go skaże, zwłaszcza kiedy zeznamy, czego się o nim dowiedzieliśmy.

– Więc dobrze – oświadczyłem. – Sara i ja skoczmy na Mulberry Street i powiemy Rooseveltowi, żeby przydzielił ludzi do pilnowania tego budynku w dzień i w nocy. Luciusie, ty i Marcus będziecie musieli tu zostać, dopóki posiłki nie nadejdą. Macie jakąś broń?

Marcus potrząsnął głową, ale Lucius wyjął rewolwer, który widziałem u niego w Castle Garden.

– W porządku – powiedziałem. – Marcusie, spróbuj się tymczasem rozeznąć w tej mapie. I pamiętajcie o jednym... – Zniżyłem głos do szeptu. – Żadnych odznak. Przynajmniej dopóki jesteście sami. Jeszcze niedawno policjanci w ogóle nie zapuszczali się do tej dzielnicy, tak nikłe były szanse, że wyjdą stąd żywi.

Isaacsonowie skinęli głowami, po czym Sara i ja wyszliśmy na korytarz, gdzie facet z pałąk zastąpił nam drogę.

– Może mi powiecie, o co biega z tym jakimś aresztowaniem? Jesteście psami czy nie jesteście?

– To... sprawa prywatna – odparłem. – Moi koledzy zostaną, zaczekają na lokatora. – Odruchowo sięgnąłem po portfel i wyjąłem dziesięć dolarów. – Możesz się zachowywać tak, jakbyś ich nigdy nie widział.

– Za dziesięć dolców? – powiedział facet, kiwając głową. – Za dziesięć dolców zapomniałbym, jak wyglądała moja stara. – Roześmiał się chrypliwie. – Gdybym jom jeszcze pamiętał!

Szybko wyszliśmy z Sarą z budynku i w milczeniu skierowaliśmy się na północ, a potem na zachód. Nie chciałem mówić dziewczynie, jak bardzo niebezpieczny jest ten spacer. W latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych bandyci z Five Points zabiliby mnie i zgwałcili Sarę, zanim doszlibyśmy do najbliższego rogu. Ostatnio jednak główną rozrywką mieszkańców dzielnicy było picie, nie rozbój, miałem więc nadzieję, że uda nam się stamtąd wydostać bez kłopotów.

Szczęście nam dopisało i za kwadrans dziesiąta jechaliśmy w górę Broadwayu, a kilka minut później nasz tramwaj przeciął Houston Street i wyskoczyliśmy na chodnik. Nie przejmując się już tym, że ktoś zobaczy nas w Kwaterze Głównej razem, wparowaliśmy do budynku, pomknęliśmy na górę do gabinetu Roosevelta... i pocałowaliśmy kłamkę. Jakiś wywiadowca powiedział nam, że prezes poszedł do domu na kolację, ale powinien niedługo wrócić. Kiedy Theodore wreszcie się zjawił – po irytującej półgodzinie – zaniepokoił się na nasz widok, ale usłyszawszy nowiny, nabrał wigoru i zaczął wykrzykiwać rozkazy na cały korytarz pierwszego piętra. Mnie tymczasem przyszło coś do głowy i skinąłem na Sarę, wskazując schody.

– List – wyjaśniłem, gdy zbiegaliśmy na dół. – List Beechama do pani Santorelli, jeśli mu go pokażemy, może przyzna się do winy.

Sara uznała, że to dobry pomysł, i pod Główną złapaliśmy dorożkę, aby pojechać do sztabu po list. Nie nazwałbym naszego nastroju euforycznym, ale byliśmy na tyle podnieceni realną szansą zakończenia śledztwa, że wydawało się nam, iż jazda na Broadway 808 trwa całą wieczność.

Wpadłem do budynku tak szybko, że omal się nie potknąłem o dość duży jutowy worek, który ktoś zostawił w sieni. Ukucnąłem i zobaczyłem przyczepioną u góry etykietkę: B'WAY 808 – 5 PIĘTRO. Podniosłem wzrok na Sarę – miała zdziwiony wyraz twarzy.

– Zamawiałeś coś, John? – spytała nieco ironicznie.

– Nie bądź śmieszna – odparłem. – To pewnie coś dla Marcusa i Luciusa.

Popatrzyłem na worek jeszcze parę sekund, po czym wruszyłem ramionami i zacząłem go rozwiązywać. Sznurek był zasupłany, więc wyjąłem scyzoryk i rozciąłem gruby materiał od góry do dołu.

Na podłogę wypadł Joseph. Na jego ciele nie było żadnych śladów, ale błądź skóry aż nazbyt dobitnie świadczyła o tym, że nie żyje.

ROZDZIAŁ 42

Koroner w Bellevue potrzebował aż sześciu godzin, by ustalić, że Joseph zakończył życie, gdy ktoś wbił mu wąski nóż, na przykład sztylet, albo grubą igłę w podstawę czaszki i mózg. Po nocy spędzonej na paleniu papierosów i spacerowaniu korytarzami kostnicy było mi trudno wyłowić z tej informacji jakiś sens. W pierwszej chwili pomyślałem o Biffie Ellisonie, który załatwiał swoje porachunki podobną bronią, równie cicho i szybko, ale mimo otepiałej rozpacz nie mogłem uwierzyć w jego winę. Joseph nie pracował dla niego i nawet jeśli Biff miał jakiś nowy powód, aby mieszać się w nasze śledztwo, zapewne poprzedziły swe mordercze posunięcie wymownym ostrzeżeniem. Jeśli więc Byrnes i Connor nie zwerbowali Ellisona do pomocy (co było tak mało prawdopodobne, że aż niemożliwe), pozostawało jedno wyjaśnienie i jeden winowajca: Beecham. Znalazł sposób, aby się zbliżyć do chłopca, mimo wszystkich przestróg, jakich mu udzieliłem. Moje przestrogi. Gdy małe ciało Josepha wyjechało z prosekatorium, pomyślałem tysięczny już chyba raz, że ten tragiczny koniec spotkał chłopca przeze mnie. Starłem się go przygotować na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa – jak mogłem nie przewidzieć, że największym niebezpieczeństwem jest dlań sama rozmowa ze mną? A teraz siedziałem w kostnicy i mówiłem koronerowi, że zapłacę za pogrzeb i że wszystko ma być załatwione jak należy, jakby miało znaczenie, czy zwłoki chłopca spoczną na miłym cmentarzu w Brooklynie czy też zostaną wrzucone do East River i popłyną do morza. Próżność, arogancja, nieodpowiedzialność – przez całą noc wracałem pamięcią do tego, co powiedział Kreizler, gdy zginęła Mary Palmer: że usiłując pokonać zło, poszerzyliśmy tylko pole jego okrutnego działania.

Wyczłapałem z kostnicy o świcie, pogrążony w myślach o Kreizlerze, nie zdziwiłem się specjalnie na widok mego starego przyjaciela siedzącego w odkrytej kolasce. Cyrus Montrose zajmował miejsce na koźle i współczująco skłonił przede mną głowę. Laszlo uśmiechnął się i wysiadł z powozu, gdy podeszedłem bliżej.

– Joseph... – powiedziałem, głosem ochrypłym od papierosów i całonocnego milczenia.

– Wiem – odparł Laszlo. – Sara dzwoniła. Pomyślałem, że dobrze ci zrobi śniadanie.

Ze znużeniem skinąłem głową i wsiedliśmy do powozu. Cyrus popędził Fredericka, mlaskając cicho językiem. Po kilku minutach oparłem głowę o złożoną budę kolaski i ciężko wdychając, spojrzałem w szare, pochmurne niebo.

– To musiał być Beecham – wymamrotałem.

– Tak – odrzekł cicho Laszlo.

Nie podnosząc głowy, odwróciłem ją ku niemu.

– Ale nie okaleczył ciała. Nie mogłem się nawet zorientować, jak go zabił, tak mało było krwi. Tylko nieduży otwór u podstawy czaszki.

Laszlo zmrużył oczy.

– Szybko i czysto – powiedział. – To nie był jeden z jego rytuałów. Postąpił pragmatycznie. Zabił chłopca, aby się zabezpieczyć i przesłać wiadomość.

– Mnie? – zapytałem. Kreizler skinął głową.

– Chociaż jest zdesperowany, nie podda się bez walki.

Zacząłem powoli kręcić głową.

– Ale jak... jak to mogło się stać? Powiedziałem Josephowi, powiedziałem mu wszystko, co wiedzieliśmy. Potrafił rozpoznać Beechama. Do diabła, zadzwonił do mnie wczoraj po południu, żeby się upewnić co do szczegółów.

Kreizler uniósł prawą brew.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie wiem – odparłem z rozgoryczeniem, wyciągając kolejnego papierosa. – Jakiś jego kolega poznał mężczyznę, który chciał go zabrać. Do... zamku nad miastem, tak powiedział. Rzeczywiście brzmiało to znajomo, ale facet nie miał tik.

Laszlo odwrócił głowę i odezwał się z namysłem:

– Ach. Więc nie pamiętałeś?

– O czym?

– Adam Dury powiedział nam, że kiedy Japheth polował, jego skurcze ustępowały. Podejrzewam, że gdy śledzi tych chłopców... – Widząc, jakie wrażenie wywierają na mnie jego słowa, Kreizler urwał. – Przykro mi, John.

Wyrzuciłem niezapalonego papierosa na ulicę i złapałem się obiema rękami za głowę. Oczywiście Laszlo miał rację. Polowanie, tropienie, zastawianie pułapek, zabijanie – to wszystko uspokajało Beechama, a ów spokój znajdował odbicie w jego twarzy. Chłopca, o którym mówił mi Joseph, rzeczywiście mógł zacząć nasz człowiek. Josepha zaczął na pewno. Dlatego, że zapomniałem o jednym drobiazgu...

Kreizler położył mi dłoń na ramieniu. Kolaska jechała dalej i kiedy znów podniosłem wzrok, staliśmy pod Delmonico. Orientowałem się, że restauracja będzie zamknięta jeszcze przez godzinę czy dwie, ale wiedziałem również, że jeśli ktoś potrafi zorganizować posiłek o dowolnej porze dnia i nocy, jest to z pewnością Kreizler. Cyrus zeskoczył z kozła i pomógł mi wysiąść z powozu, mówiąc łagodnie: „Proszę, panie Moore, musi pan coś zjeść”. Wyteżyłem siły i podeszedłem za Laszlem do drzwi, które otworzył Charlie Delmonico. Coś w wyrazie jego ogromnych oczu powiedziało mi, że zna całą sprawę.

– Dzień dobry, panie doktorze – odezwał się, jedynym chyba tonem, jaki mogłem znieść w tym momencie. – Panie Moore – dodał, gdy weszliśmy do środka. – Mam nadzieję, że będzie wam wygodnie, panowie. Gdybyście czegoś potrzebowali, czegokolwiek...

– Dziękujemy, Charles – odparł Kreizler. Dotknąłem łokcia restauratora i zanim przeszliśmy do jadalni, udało mi się szepnąć:

– Dzięki, Charlie.

Z niezawodną intuicją Kreizler wybrał na nasze śniadanie jedyny nowojorski lokal, w którym miałem szansę się pozbierać i cokolwiek zjeść. Siedząc w cichej i pustej jadalni Delu, gdzie wpadające przez okna światło było na tyle łagodne, że moje rozdygotane nerwy mogły się zacząć uspokajać, dałem radę skubnąć trochę ogórków, jajek po kreolsku i gołąbka z rusztu. A co ważniejsze, odkryłem, że jestem w stanie mówić.

– Wiesz co? – wymamrotałem wkrótce po tym, jak usiedliśmy. – A ja już myślałem, nie dalej jak wczoraj, że potrafię mu współczuć, mimo wszystkiego, co zrobił. Z powodu kontekstu jego życia. Wydawało mi się, że wreszcie go poznałem.

Kreizler potrząsnął głową.

– Nie możesz go poznać, John. Nie tak dobrze. Możesz się do tego zbliżyć, zbliżyć na tyle, aby przewidywać jego posunięcia, ale koniec końców ani ty, ani ja, ani nikt inny nie będzie w stanie zobaczyć tego, co on widzi, gdy patrzy na te dzieci, ani doświadczyć uczucia, które każe mu podnosić nóż. Jedynym sposobem, aby się dowiedzieć takich rzeczy, byłoby... – Kreizler odwrócił się do okna z nieobecnym wyrazem twarzy. – Byłoby go spytać.

Z wysiłkiem skinałem głową.

– Znaleźliśmy jego mieszkanie.

– Sara mi mówiła – odparł Laszlo, wracając do rzeczywistości. – Wspaniale się spisaliście, John. Wszyscy czworo.

Roześmiałem się szyderczo.

– Wspaniale... Marcus uważa, że Beecham już tam nie wróci. I muszę powiedzieć, że teraz się z nim zgadzam. Ten bezduszny drań cały czas miał nad nami przewagę.

Kreizler wzruszył ramionami.

– Może.

– Czy Sara powiedziała ci o planie?

– Tak – odrzekł Laszlo, gdy kelner przyniósł nam dwie szklanki świeżego soku pomidorowego. – I Marcus go zidentyfikował: to plan manhattańskiej sieci wodociągowej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat cały system został wyremontowany. Beecham prawdopodobnie ukraść plan z miejskiego archiwum.

Napiłem się soku.

– Sieć wodociągowa? Na co to, do diabła, wskazuje?

– Sara i Marcus mają pewne koncepcje – odparł Kreizler, nakładając sobie podsmażanych ziemniaków z sercami karczochów i truflami. – Niewątpliwie powiedzą ci o nich.

Spojrzałem prosto w jego czarne oczy.

– Więc nie wracasz do nas?

Kreizler szybko spuścił wzrok.

– To nie jest możliwe, John. Jeszcze nie. – Rozchmurzył się nieco, gdy na stół wjechały jajka po kreolsku. – Szykujecie akcję na niedzielę: uroczystość świętego Jana Chrzciciela.

– Tak.

– To będzie dla niego ważna noc.

– Przypuszczalnie.

– Fakt, że zostawił... swoje trofea, wskazuje na jakiś kryzys. À propos, to serce w pudełku? Jego matki, jak sądzę.

Tylko wzruszyłem ramionami.

– Pamiętasz, oczywiście – ciągnął Laszlo – że w niedzielę jest w Metropolitan benefis na rzecz Abbeya i Graua?

Z niedowierzania opadła mi szczęka, a oczy wyszły na wierzch.

– Co?

– Benefis – powtórzył Kreizler, niemal wesoło. – Biedny Abbey, ta plajta zrujnowała mu zdrowie. Choćby dlatego musimy pójść.

– My? – pisałem. – Kreizler, na litość boską, będziemy polować na mordercę!

– Tak, tak – odparł Laszlo – ale później. Beecham nie uderzył jeszcze przed północą. Nie ma powodu przypuszczać, że zrobi to w niedzielę. Czemu więc nie uprzyjemnić sobie oczekiwania, pomagając jednocześnie Abbeyowi i Grauowi?

Odłożyłem widelec.

– Już wiem, mam omamy słuchowe. Ty wcale tego nie mówisz, nie możesz tego mówić.

– Maurel śpiewa partię Giovanniego – powiedział Kreizler kusicielsko, opychając się gołąbkami z jajkami. – Edouard de Reszke będzie Leporellem i nie śmiem już dodać, kto ma być Zerliną...

Sapnąłem z oburzenia, ale zapytałem:

– Frances Saville?

– Ta z nogami po pachy – potwierdził Kreizler, kiwając głową. – Anton Seidl dyryguje. Aha, i Nordica śpiewa partię Donny Anny.

Nie było żadnych wątpliwości – taka obsada gwarantowała niezapomnianą muzyczną ucztę i na chwilę dałem się ponieść entuzjazmowi. Zaraz jednak poczułem ukłucie w żołądku i przed oczami stanął mi obraz Josepha, usuwając w cień wszelkie fantazje o wieczorach operowych.

– Kreizler – powiedziałem zimno – nie wiem, co się stało, że możesz tu siedzieć i nonszalancko mówić o operze, jakby ludzie, których obaj znamy, nie...

– W tym, co mówię, nie ma nic nonszalanckiego, Moore. – Czarne oczy zmartwiały, a głos stwardniał od chłodnej, lecz zacieklej determinacji. – Proponuję ci umowę: jeśli pójdziesz ze mną na *Giovanniego*, wrócę do śledztwa. I zakończymy tę historię.

– Wrócisz? – spytałem zaskoczony. – Kiedy?

– Nie przed operą – odparł Laszlo. Chciałem zaprotestować, ale podniosłem stanowczą dłoń. – Nie mogę ci wyjawić nic więcej, John, więc mnie nie proś. Powiedz mi tylko, czy się zgadzasz.

No cóż, oczywiście się zgodziłem – co innego mogłem zrobić? Mimo wszystkiego, co Isaacsonowie, Sara i ja osiągnęliśmy w ostatnich tygodniach, śmierć Josepha znacznie osłabiła moją wiarę w to, że zdołamy doprowadzić śledztwo do końca. Perspektywa powrotu Kreizlera była wielką zachętą do dalszego działania, a nawet pobudziła mój apetyt, tak że zanim wyszliśmy wreszcie z Delmonico, spałaszowałem całego gołąbka. To prawda, Laszlo zachowywał się tajemniczo, ale znając go, byłem pewien, że ma istotny powód, aby nie zdradzać swych zamiarów. Obiecałem więc, że oddam strój wieczorowy do pralni, i przypieczętowaliśmy naszą umowę uściskiem dłoni, gdy jednak powiedziałem, że nie mogę się doczekać, kiedy po powrocie na Broadway 808 przekażę dobrą nowinę pozostałym, Kreizler poprosił, abym tego nie robił. Przede wszystkim miałem nic nie mówić Rooseveltowi.

– Nie proszę o to z rozgoryczenia – wyjaśnił Laszlo, gdy wysiadłem z kolaski przy północnej pierzei Union Square. – Theodore zachował się wobec mnie bardzo przyzwoicie i dołożył wszelkich starań, aby odszukać Connora.

– Ale facet przepadł bez śladu – odparłem, powtarzając, co słyszałem od Roosevelta.

Laszlo odwrócił wzrok i powiedział dziwnie obojętnym tonem:

– W końcu się znajdzie. A tymczasem – zamknął drzwiczki powozu – mamy do załatwienia inne sprawy. Ruszaj, Cyrusie.

Kolaska odjechała, a ja poszedłem dalej pieszo.

W sztabie znalazłem na biurku kartkę od Sary i Isaacsonów z informacją, że poszli do domów trochę się przespać, a potem zamierzają dołączyć do wywiadowców, którym Theodore zlecił obserwację kamienicy Beechama. Skorzystałem z ich nieobecności, aby wyciągnąć się na kanapie i spróbować samemu zażyć nieco tak bardzo potrzebnego odpoczynku, aczkolwiek stan, w jaki zapadłem, trudno byłoby nazwać spokojnym snem. Mimo to koło południa czułem się już dostatecznie pokrzepiony, aby pójść na Washington Square, wziąć kąpiel i zmienić ubranie. Potem zadzwoniłem do Sary. Poinformowała mnie, że mamy się spotkać przy Baxter Street 155 o zachodzie słońca i że sam Roosevelt zamierza zostać parę godzin na czatach. Powiedziała, że przyjedzie po mnie dorożką, a potem oboje spróbujemy jeszcze trochę odpocząć.

Jak się okazało, Marcus miał rację co do Beechama: do trzeciej rano w sobotę nasz człowiek się nie pojawił i wszyscy zaczęliśmy zdawać sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie wróci już do mieszkania. Powtórzyłem reszcie, co Kreizler powiedział o „trofeach” Beechama – że ich pozostawienie świadczy o tym, iż jego mordercza kariera zbliża się do punktu krytycznego. Tym ważniejsze stało się więc ułożenie niezawodnego planu na niedzielną noc. Zgodnie z naszą umową sprzed kilku tygodni, Roosevelt wziął udział w owej naradzie, którą odbyliśmy w sobotę po południu na Broadwayu 808.

Roosevelt nigdy dotąd nie był w naszym sztabie i patrząc, jak chłonie wszystkie jego intelektualne i dekoracyjne osobliwości, przypomniałem sobie poranek, gdy po raz pierwszy się tam obudziłem. Jak to u Theodore’a, ciekawość szybko wzięła górę nad konsternacją: zaczął zadawać tyle szczegółowych pytań o rozmaite przedmioty – od naszej wielkiej tablicy po kuchenny piecyk – że minęła niemal godzina, zanim przystąpiliśmy do pracy. Sesja ta niczym się nie różniła od dziesiątek poprzednich: wszyscy rzucaliśmy pomysły – które były następnie rozpatrywane i (w większości) odrzucane – usiłując przekształcić mgliste spekulacje w solidne hipotezy. Ale tym razem patrzyłem na ów proces oczami Roosevelta – najpierw zdumionymi, później zafascynowanymi – i dzięki temu postrzegałem go ze świeżej perspektywy. A kiedy Theodore zaczął walić pięściami w poręczę jednego z foteli markiza Carcano i wydawać okrzyki aprobaty za każdym razem, gdy doszliśmy do wniosku, że jakaś koncepcja ma sens, na nowo doceniłem całą pracę naszego zespołu.

Wszyscy zgadzaliśmy się w jednym zasadniczym punkcie: że plan nowojorskiej sieci wodociągowej ma związek nie z dotychczasowymi zbrodniami Beechama, tylko z tą, którą nasz człowiek dopiero planuje. Czekając na wywiadowców Theodore’a w wieczór, gdy znaleźliśmy mieszkanie, Marcus potwierdził swą wstępną teorię, że plan został powieszony niedawno, poprzez porównanie stanu tynku w różnych miejscach. Biorąc pod uwagę takie czynniki, jak ciepło, wilgotność i zakopcenie, Marcus nabrał całkowitej pewności, że nawet w noc zabójstwa Ernsta Lohmanna planu nie było jeszcze na ścianie.

– Wspaniale! – wykrzyknął Theodore, salutując Marcusowi. – Właśnie dlatego ściągnąłem was, chłopcy, do policji: nowoczesne metody!

Za wnioskiem Marcusa przemawiało kilka innych czynników. Po pierwsze, trudno było dostrzec jakkolwiek zależność pomiędzy miejską siecią wodociagową i poprzednimi miejscami zbrodni. Po drugie, ogólne pojęcie takiej sieci, która między innymi ułatwia przecież branie kąpeli, mogło się Beechamowi skojarzyć z postacią św. Jana Chrzyciela. Wystarczyło dodać do tego, że zostawiając plan, Beecham zdawał się zarówno drwić z nas, jak i prosić o pomoc, i mogliśmy z przekonaniem stwierdzić, że ów plan ma jakiś konceptualny związek z następnym zabójstwem.

– Kapitalnie – oświadczył Theodore, gdy Lucius notował te szczegóły na tablicy. – Kapitalnie! To właśnie lubię: podejście naukowe!

Żadne z nas nie miało serca mu powiedzieć, że akurat ta część naszego rozumowania jest znacznie mniej naukowa, niż się wydaje; w zamian wyciągnęliśmy książki o manhattańskich instytucjach użyteczności publicznej i rozpoczęliśmy myślowy obchód sieci wodociagowej wyspy.

Beecham popełnił wszystkie swoje zbrodnie 1896 roku na brzegach rzeki, z czego wysnuliśmy już wniosek, że widok dużej połaci wody jest istotnym elementem emocjonalnym jego morderczych rytuałów. Powinniśmy się więc skupić na tych ogniwach sieci wodociagowej, które były usytuowane blisko nabrzeży. Pozostawiało nam to niewiele możliwości. A ściśle biorąc, jak sądziliśmy, tylko jedną: Wysoki Most na East River, akwedukt, którego grube rury doprowadzały na Manhattan czystą wodę z północy stanu od lat czterdziestych. Co prawda, jeśli Beecham wybrał Wysoki Most, oznaczałoby to, że po raz pierwszy planuje morderstwo na północ od Houston Street, ale fakt, że dotąd zabijał wyłącznie na Dolnym Manhattanie, nie musiał wcale oznaczać, iż nie zna północnej część wyspy. Było też możliwe, że w rzeczywistości zamierza odwiedzić jakiś skromniejszy obiekt ze swego planu – główny węzeł wodny czy coś w tym rodzaju – i po prostu ma nadzieję, że postawimy na bardziej oczywisty i bardziej reprezentacyjny typ.

– A co z opowieścią tego chłopca? – zapytał Theodore, głęboko sfrustrowany, że nie może się bardziej udzielać w dyskusji. – Ten „zamek nad miastem” i tak dalej? Czy to nie potwierdza waszej hipotezy?

Sara odparła, że może tak być (wieża Wysokiego Mostu, wyrównująca ciśnienie wody w zbiornikach Manhattanu, istotnie przypominała zamkową basztę), ale wcale nie musi. Mieliśmy do czynienia, wyjaśniła Theodoreowi, z człowiekiem niezwykle sprytnym i przewrotnym, który dobrze się orientuje w naszych poczynaniach i któremu wprowadzenie nas w błąd sprawiłoby wielką przyjemność. Niemniej było wątpliwe, aby Beecham zdawał sobie sprawę, że wiemy, iż musi zabijać w pobliżu wody – co więcej, sam mógł sobie tego nie uświadamiać – tak więc wieża ciśnień Wysokiego Mostu wydawała się najbardziej obiecującym obiektem.

Roosevelt chłonał te informacje z żywym zainteresowaniem, kiwając głową i pocierając szczękę, a na koniec ogłuszająco zaklaskał.

– Brawo, Saro! – wykrzyknął. – Nie wiem, co powiedzieliby twoi rodzice, gdyby mogli cię teraz słyszeć, ale, do pioruna, ja jestem z ciebie dumny!

Słowa Theodore'a były tak pełne szczerzej sympatii i podziwu, że Sara wybaczyła mu lekko protekcyjny ton i odwróciła głowę z uśmiechem satysfakcji.

Roosevelt wziął bardziej aktywny udział w naradzie, kiedy przyszedł czas zaplanować rozmieszczenie sił policyjnych na niedzielną noc. Powiedział, że chce osobiście wybrać ludzi, którzy będą pilnować wieży ciśnień, świadom, że to zadanie wymaga wielkiej ostrożności – wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli tylko Beecham zauważy coś podejrzanego, czmychnie. Oprócz wieży Roosevelt zamierzał wziąć pod obserwację wszystkie mosty i przystanie promowe i wysłać dodatkowe patrole na nabrzeża po wschodniej i zachodniej stronie wyspy. Wreszcie, grupy wywiadowców miały trzymać straż przy tych samych domach publicznych, które obserwowaliśmy w noc śmierci młodego Lohmanna, choć uważaliśmy, że Beecham porwie swą ofiarę skądinąd.

Pozostało tylko zdecydować, jaką rolę zagramy w tej sztuce Sara, Isaacsonowie i ja. Wybraliśmy, naturalnie, obserwację wieży ciśnień, i wtedy właśnie musiałem oznajmić, że będę mógł dołączyć do reszty dopiero późnym wieczorem, gdyż idę z Laszlem do opery. Na twarzach moich kolegów odmalowało się niedowierzanie; ponieważ jednak obiecałem Kreizlerowi, że nie ujawnię warunków naszej umowy, nie mogłem się przekonująco wytłumaczyć. Na szczęście zanim Sara i Isaacsonowie zdążyli mnie zasypać pytaniami, z pomocą nieoczekiwanie przyszedł mi Theodore, który, jak się okazało, również wybierał się na benefisowe przedstawienie. Roosevelt wyjaśnił, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby burmistrz Strong zaaprobował mobilizację sił policyjnych w celu urzędzenia obławy na mordercę chłopięcych prostytutek. Jeśli jednak Roosevelt weźmie udział w głośnym wydarzeniu towarzyskim, które miał również zaszczycić burmistrz i paru innych członków Zarządu Komisarzy, nocna akcja nie znajdzie się w centrum zainteresowania. Theodore poparł także mój zamiar pójścia do opery, mówiąc, że pomoże to odwrócić uwagę oficjalnych czynników; poza tym, stwierdził, powtarzając argument Kreizlera, Beecham nigdy nie uderzył przed północą i nie ma powodu sądzić, że zrobi to teraz. Roosevelt i ja możemy spokojnie przyłączyć się do obławy po przedstawieniu.

Wobec takiej postawy swego najwyższego zwierzchnika, Isaacsonowie musieli ustąpić. Natomiast Sara przyjrzała mi się podejrzliwie, a kiedy pozostali zaczęli omawiać szczegóły rozmieszczenia sił policji, odciągnęła mnie na stronę.

– Czy on coś knuje, John? – zapytała tonem, który wskazywał, że nie pozwoli sobie mydlić oczu.

– Kto, Kreizler? – odparłem, z nadzieją, że dobrze udaję zdziwienie. – Nie, nie sądzę. Zaplanowaliśmy to dawno temu. – Uciekłem się do podstępu: – Jeśli naprawdę myślisz, że to zły pomysł, Saro, mogę mu powiedzieć...

– Nie – zaprzeczyła szybko, ale bez przekonania. – To, co mówi Theodore, ma sens. A zresztą, damy sobie radę bez ciebie.

Nieco mnie uraziła, ale nie mogłem tego okazać.

– Mimo wszystko – podjęła Sara – po trzech tygodniach bez jednego słowa, trochę to dziwne, że pokaże się akurat jutro wieczorem. – Omiotła wzrokiem pokój, przebiegając myślą różne możliwości. – Daj nam znać, gdybyś się zorientował, że ma jakiś plan.

– Oczywiście.

Znów przyjrzała mi się sceptycznie. Zrobiłem wielkie oczy.

– Saro, dlaczego miałbym coś przed tobą ukrywać?

Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie; i ja też nie mogłem. Tylko jeden człowiek znał powody mojej skrytości i nie miał zamiaru ich wyjawiać.

Choć musieliśmy odpocząć przed niedzielną akcją, uważałem, że powinniśmy jeszcze raz wyjść w sobotę wieczorem na miasto i przynajmniej spróbować odnaleźć chłopca, o którym mówił mi Joseph. Ponieważ nie wiedzieliśmy, jak ma na imię i jak wygląda, szansę na to były, przyznając, dość małe, i z upływem godzin tylko malały. Koło północy musieliśmy pogodzić się z faktem, że jeśli mamy znaleźć chłopca, znajdziemy go z Beechamem, oby zanim zostanie zabity.

Ta myśl otrzeźwiła nas na tyle, że rozeszliśmy się do domów. Było już dla nas oczywiste, że mamy zupełnie inny stosunek do tej nowej perspektywy spotkania się twarzą w twarz z Beechamem, i to nie dlatego, że teraz znamy jego nazwisko i przeszłość. Chodziło o nieodparte uczucie, że czekająca nas konfrontacja – którą w dużej mierze zaaranżował, nawet jeśli nieświadomie, sam Beecham – może się okazać o wiele bardziej niebezpieczna, niż kiedykolwiek sądziliśmy. To prawda, już na początku wywnioskowaliśmy z jego zachowania, że Beecham pragnie, aby go powstrzymać, ale teraz rozumieliśmy, że to pragnienie ma katastroficzny, wręcz apokaliptyczny aspekt i że osoby, które próbują je spełnić, mogą nie wyjść z tego cało. Owszem, będziemy mieli broń i – razem z naszymi oficjalnymi pomocnikami – druzgocącą przewagę liczebną, ale człowiek ten w ciągu całej swojej koszarnej egzystencji napotykał przeszkody, które pod pewnymi względami były jeszcze większe, i pokonywał je. Poza tym o wyniku każdego wyścigu decydują nie tylko dane statystyczne; zależy on również od czynników niewymiernych, jak wychowanie i wyszkolenie. Jeśli wzięto się pod uwagę takie aspekty naszego przedsięwzięcia, rokowania zmieniały się dramatycznie... i wcale nie byłem pewien, czy to my mamy większe szanse na zwycięstwo.

ROZDZIAŁ 43

Łatwo można pojąć motywy uzbrojonego w bombę anarchisty, stojąc w tłumie dam i dżentelmenów, którzy mają dość pieniędzy i tupetu, by tytułować się „nowojorskim towarzystwem”. Wystrojeni, wyperfumowani i obwieszani biżuterią członkowie legendarnych Czterystu Pierwszych Rodzin, wraz ze swą krewnych i znajomych, potrafią się rozpychać, obżerać i plotkować z zapamiętaniem, które rozbawiony gość może uznać za fascynujące, ale pechowy intruz oceni wyłącznie jako prostackie. Ja byłem takim intruzem w niedzielny wieczór 24 czerwca. Kreizler poprosił, co wydało mi się dziwne, abyśmy spotkali się nie na Siedemnastej Ulicy, tylko w jego łoży w Metropolitan, toteż musiałem pojechać do „żółtego browaru” dorożką, a później samotnie pokonać wąskie schody opery. Nic tak nie wyzwała morderczych instynktów w nowojorskiej śmietance towarzyskiej jak impreza dobroczynna. Kiedy przeciskałem się przez foyer, torując sobie drogę między *grandes dames*, których stroje i tusza były odpowiednie wyłącznie do siedzenia na kanapie w salonie, wpadałem co pewien czas na przyjaciół moich rodziców, ludzi, których znałem w dzieciństwie i którzy teraz, widząc mnie, szybko się odwracali albo składali sztywny ukłon, mający znaczyć: „Proszę, oszczędź mi wstydu i nie każ ze sobą rozmawiać”. Wszystko to wcale by mi nie przeszkadzało, gdyby odsuwali się potem, aby mnie przepuścić. Gdy wreszcie wdrapałem się na drugi balkon, moje nerwy, jak również ubranie, były kompletnie zszargane, a w uszach dźwięczał mi gwar setek idiotycznych rozmów. Na szczęście remedium miałem w zasięgu ręki: prześliznąłem się do jednego z maleńkich barów pod schodami, szybko wychyliłem kieliszek szampana, złapałem dwa następne, po czym skierowałem się prosto i zdecydowanie do łoży Kreizlera.

Laszlo już tam był i siedząc na jednym z tylnych miejsc, studiował program przedstawienia. „Mój Boże!”, zawołałem i opadłem na fotel obok, nie roniąc ani kropli szampana. Kreizler odłożył program i zatarł ręce. Wyglądał na dużo szczęśliwszego i zdrowszego niż podczas kilku naszych ostatnich spotkań. Otaksował kieliszki szampana.

– Widzę, że jesteś dobrze przygotowany na wieczór wśród wilków.

– Tak, wyszły dziś na żer, prawda? – powiedziałem, rzucając okiem na „diamentową podkowę”.

Wstałem, aby przesiąść się do przodu, ale Kreizler mnie powstrzymał.

– Jeśli pozwolisz, Moore, wolałbym zostać z tyłu. – Spostrzegłszy moje pytające spojrzenie, dodał: – Nie mam dziś ochoty wystawiać się na widok publiczny.

Wzruszyłem ramionami i usadowiłem się z powrotem obok niego. Podjąwszy lustrację widowni, doszedłem wkrótce do łoża numer 35.

– Oho, Morgan przyprował żonę. Jakaś biedna aktorka nie dostanie dziś brylantowej bransolety. – Spojrzałem na morze głów pod nami. – Gdzie, do licha, zamierzają upchnąć ludzi, którzy są jeszcze na zewnątrz? Parter jest już pełen.

– To będzie cud, jeśli w ogóle usłyszymy śpiewaków – powiedział Kreizler ze śmiechem, który mnie zdumiał: zazwyczaj nie uważał takich sytuacji za zabawne. – Łoża Astorów jest tak załadowana, że wygląda, jakby się miała oberwać, a chłopcy Rutherfordów już o wpół do ósmej byli zbyt pijani, aby stać!

Wyjąłem składaną lornetkę i przyjrzałem się drugiej stronie „podkowy”.

– Niezłe stadko dziewcząt w łożu Clewów – mruknąłem. – Nie wydaje mi się, aby przyszły posłuchać Maurela. Chcą raczej zapolować na bogatych mężów.

– Strażnicy porządku społecznego – powiedział Kreizler, wskazując z westchnieniem widownię. – W pełnej gali. Jest na co popatrzeć, nieprawdaż?

Posłałem mu zdumione spojrzenie.

– Laszlo, zadziwia mnie twój nastrój, chyba nie jesteś pijany, co?

– Jestem trzeźwy – odparł Laszlo. – I daruj sobie tę niespokojną minę, Moore, nie postradałem też zmysłów. O, jest Roosevelt.

Podniósł rękę, aby mu pomachać, i lekko się skrzywił.

– Nadal ci dokucza? – zapytałem.

– Tylko czasami – odrzekł. – To naprawdę nie był groźny postrzał. Ale będę musiał wyrównać z gościem rachunki... – Spojrzawszy na mnie, zreflektował się i przybrał pogodny wyraz twarzy. – Kiedyś. A teraz powiedz mi, John, gdzie są pozostali członkowie zespołu?

Czułem, że dalej mam „niespokojną minę”, lecz po tym ostatnim pytaniu dałem za wygraną i wzruszyłem ramionami.

– Poszli z ludźmi Roosevelta na Wysoki Most – odparłem. – Żeby zająć stanowiska.

– Wysoki Most? – powtórzył skwapliwie Kreizler. – Więc spodziewają się, że to będzie wieża ciśnień?

Skinąłem głową.

– Do takiego wniosku doszliśmy.

Oczy Laszla, już ruchliwe i błyszczące, roziskrzyły się podnieceniem.

– Tak – wymamrotał. – Tak, oczywiście. Jedyna możliwość poza tym.

– Poza czym? – spytałem. Szybko potrząsnął głową.

– Nieważne. Nie powiedziałeś im o naszej umowie?

– Powiedziałem, dokąd idę – odrzekłem lekko asekuracyjnym tonem. – Ale nie powiedziałem dlaczego.

– Doskonale. – Kreizler rozsiadł się w fotelu z wyrazem głębokiego zadowolenia na twarzy. – Więc Roosevelt na pewno nic nie wie.

– Nic nie wie o czym? – spytałem, doznając znajomego uczucia, że wszedłem do niewłaściwego teatru w środku spektaklu.

– Co? – mruknął Kreizler, jakby w ogóle mnie nie słuchał. – Aha. Wyjaśnię ci to później. – Wskazał na orkiestrę. – Wspaniale, jest Seidl.

Na podium wkroczył Anton Seidl, niegdyś prywatny sekretarz Richarda Wagnera, a obecnie najlepszy dyrygent w Nowym Jorku. Miał szlachetny rzymski profil, długie włosy i *pince-nez*, które jakimś cudem zawsze trzymało mu się na nosie do końca przedstawienia, mimo że dyrygował z niezwykłą energią. Seidl natychmiast zapanował nad orkiestrą, a gdy obrócił surowe spojrzenie na publiczność, większość rozgadanej elity towarzyskiej również ucichła. Kiedy zgasły światła i zabrzmiały pierwsze takty potężnej uwertury *Don Giovanniego*, gwar w łóżach znów zaczął rosnąć i wkrótce osiągnął jeszcze bardziej irytujące natężenie. Kreizler zachował jednak niezmałowany spokój.

Przez dwa i pół aktu Laszlo cierpliwie znosił prostactwo publiczności, lekceważącej muzyczny cud, który dokonywał się na scenie. Śpiew i gra Maurela były równie znakomite jak zawsze, a pozostali wykonawcy – zwłaszcza Edouard de Reszke w roli Leporella – niewiele mu ustępowali. Ale nagradzały ich jedynie rzadkie brawa i coraz bardziej rozpraszający hałas na widowni. Frances Saville była uroczą Zerliną, lecz jej talent wokalny nie przeszkadzał podchmielonym Rutherfordom w wydawaniu takich okrzyków i gwizdów, jakby mieli do czynienia z pierwszą lepszą tancerką z music-hallu. W antraktach tłum zachowywał się tak jak przed spektaklem – niczym wielkie stado dzikich zwierząt – i kiedy Vittorio Arimondi, grający posąg Komandora, zaczął walić do drzwi Don Giovanniego, miałem już kompletnie dość panującej na sali atmosfery i kompletnie przestałem rozumieć, dlaczego Kreizler nalegał, abym przyszedł.

Wkrótce zaczęło się to wyjaśniać. Kiedy Arimondi wkroczył na scenę i wyciągnął w stronę Maurela sztywny palec, a Seidl wycisnął z orkiestry *crescendo*, jakie rzadko zdarzało mi się słyszeć nawet w Metropolitan, Laszlo spokojnie wstał, wziął głęboki oddech i dotknął mojego ramienia.

– Wystarczy, Moore – szepnął. – Pójdziemy już, dobrze?

– Pójdziemy? – powtórzyłem, wstając, i ruszyłem za nim w najciemniejszy kąt łoży. – Dokąd? Po przedstawieniu mam się spotkać z Rooseveltem.

Kreizler nic nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi do saloniku. Wyszli z nich Cyrus Montrose i Stevie Taggart, ubrani w wieczorowe stroje bardzo podobne do naszych. Zdumiałem się i ucieszyłem, widząc ich obu, a zwłaszcza Steviego. Chłopiec wyraźnie doszedł już do siebie po pobiciu przez Connora, ale było oczywiste, że źle się czuje taki wyelegantowany, i w dodatku w operze.

– Nie martw się, Stevie – powiedziałem, klepiąc go po ramieniu. – Nikt jeszcze od tego nie umarł.

Chłopak wetknął palec pod kołnierzyk i spróbował go rozluźnić.

– Ile bym dał za papierosa... – wymamrotał pod nosem. – Nie mógłby mnie pan poratować, panie Moore?

– No, no, Stevie – upomniał go surowo Kreizler, biorąc pelerynę. – Rozmawialiśmy o tym. – Odwrócił się do Cyrusa. – Wiesz, co masz zrobić?

– Tak, proszę pana – odparł spokojnie Cyrus. – Po spektaklu pan Roosevelt będzie pytał, gdzie panowie jesteście. Powiem mu, że nie wiem. A potem pojedziemy powozem tam, gdzie pan kazał.

– Którędy? – indagował Kreizler.

– Okreźną drogą, na wypadek gdyby za nami jechali.

Laszlo skinął głową.

– Dobrze. Chodźmy, Moore.

Gdy Kreizler wyszedł do saloniku, obejrzałem się na amfiteatr i uświadomiłem sobie, że nikt z publiczności nie mógł widzieć tej zamiany – niewątpliwie właśnie dlatego Laszlo chciał, abyśmy usiedli w głębi łoży. Potem, spojrzawszy na Stewiego, cierpiącego męki w wieczorowym stroju, zrozumiałem coś jeszcze: zajmując nasze miejsca, Cyrus i Stevie mieli stworzyć wrażenie, iż Kreizler i ja nadal jesteśmy w teatrze. Tylko po co? Dokąd Kreizler tak się spieszył? Pytania mnożyły mi się w głowie, ale człowiek, który mógł na nie odpowiedzieć, był już przy drzwiach; i tak, gdy Don Giovanni krzyczał z przerażenia, zstępując do piekła, wyszedłem za Kreizlerem na Broadway.

Kiedy go dogoniłem, promieniał radosną determinacją.

– Pójdziemy pieszo – oświadczył portierowi, który odprawił grupkę niecierpliwych dorożkarzy.

– Do diabła, Kreizler – zawołałem z rozdrażnieniem, podążając za nim do rogu ulicy. – Mógłbyś mi chociaż powiedzieć, dokąd idziemy!

– Sądziłem, że się tego domyślisz – odparł, ponaglając mnie ruchem ręki. – Na spotkanie z Beechamem, rzecz jasna.

Stanąłem jak wryty i Laszlo musiał mnie pociągnąć do krawężnika. Gdy czekaliśmy, aż będziemy mogli przejść przez jezdnię, zachichotał i powiedział:

– Nie martw się, John, to tylko parę ulic, ale chyba zdążę odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania.

– Parę ulic? – powtórzyłem, usiłując otrząsnąć się ze zdumienia, gdy wreszcie przeszliśmy na drugą stronę Broadwayu, brnąc przez koński nawóz i lawirując między powozami. – Do wieży ciśnień? To kilka mil stąd!

– Obawiam się, że Beecham nie przyjdzie na wieżę ciśnień, Moore – odrzekł Kreizler. – Naszych przyjaciół czeka dość frustrująca warta.

Szliśmy Trzydziestą Dziewiątą Ulicą w stronę Szóstej Alei. Hałas Broadwayu ścisł i rzędy ciemnych domów zaczęły odbijać echo naszych głosów.

– To gdzie, do diabła, przyjdzie? – zapytałem.

– Możesz to ustalić sam – odparł Kreizler, przyspieszając kroku. – Przypomnij sobie, co zostawił w mieszkaniu!

– Laszlo! – wykrzyknąłem gniewnie, łapiąc go za ramię. – Nie mam ochoty na zgadywanki! Przez ciebie opuściłem ludzi, z którymi pracowałem długie miesiące, nie mówiąc już o wystawieniu do wiatru Roosevelta, więc stój i mów, co się tu, do cholery, dzieje!

Na chwilę udało mu się zastąpić entuzjazm współczuciem.

– Przykro mi ze względu na pozostałych, John, naprawdę mi przykro. Gdyby tylko był inny sposób... ale nie ma. Proszę, zrozum, jakkolwiek udział policji skończyły się śmiercią Beechama, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Och, wiem, że sam Roosevelt nie byłby niczemu winien. Ale podczas transportu albo już w więzieniu na pewno doszłoby do jakiegoś wypadku. Jakiś śledczy albo strażnik, albo inny więzień, działając jakoby w obronie własnej, położyłby kres istnieniu tego dużego kompleksu problemów, który ty i ja znamy jako Johna Beechama.

– Ale Sara – zaprotestowałem. – I Isaacsonowie. Zastępują chyba...

– Nie mogłem ryzykować! – przerwał mi Kreizler, podejmując szybki marsz na wschód. – Pracują dla Roosevelta, zawdzięczają mu stanowiska. Nie mogłem liczyć na to, że go nie poinformują, co zamierzam zrobić. Nie mogłem tego powiedzieć nawet tobie, bo przyrzekłeś dzielić się z Theodore'em wszystkim, co wiesz, a jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa.

To mnie trochę udobruchało, przyznając; niemniej, pospieszając za Kreizlerem, nadal cisnąłem go o szczegóły.

– Ale co zamierzasz zrobić? I od jak dawna to planowałaś?

– Od poranka po śmierci Mary – odparł z zaledwie cieniem goryczy w głosie. Przystanęliśmy na rogu Szóstej Alei i odwrócił się do mnie: jego czarne oczy wciąż błyszczały. – Moja decyzja o wycofaniu się ze śledztwa była reakcją czysto emocjonalną i pewnie z czasem bym ją zrewidował. Ale tamtego ranka coś sobie uświadomiłem: skoro to ja jestem ośrodkiem zainteresowania naszych przeciwników, jeśli się wycofam, wy powinniście zyskać swobodę działania.

Zastanowiłem się nad tym.

– I zyskaliśmy ją – stwierdziłem po paru sekundach. – Ludzie Bynesa już nas nie śledzili.

– Mnie za to tak – odrzekł Kreizler. – Miałem niezłą zabawę, wodząc ich po całym mieście. Było to absurdalne, ale nie ustępowałem, wierząc, że uda wam się znaleźć wskazówki, które pozwolą przewidzieć następne posunięcie Beechama. – Gdy ruszyliśmy przez Szóstą Aleję, Laszlo podniósł prawą dłoń i zaczął zginać palce. – Niezależnie od was doszedłem do wniosku, że uderzy 24 czerwca, w dzień świętego Jana Chrzciciela. Pozostawało ustalenie ofiary i miejsca. Miałem wielką nadzieję, że twój młody przyjaciel Joseph pomoże nam rozstrzygnąć pierwszą z tych kwestii...

– Był tego bardzo bliski – powiedziałem, czując znajome ukłucie wyrzutów sumienia i bólu. – W każdym razie dał nam pojęcie o tym, kim ofiara nie będzie: że nie mieszka w żadnym z domów publicznych, tylko pracuje na ulicy.

– Tak – przyznał Laszlo, gdy przeszliśmy na wschodnią stronę alei. – Chłopiec ogromnie nam się przysłużył i jego śmierć była tragedią. – Westchnął głęboko, jakby w poczuciu winy. – Są chwile, kiedy wydaje się, że całej tej sprawie, wszystkim ludziom, którzy wejdą w jakikolwiek kontakt z życiem Johna Beechama, pisany jest smutny koniec... – Jego determinacja nagle powróciła: – Tak czy inaczej, to, co Joseph powiedział o „zamku”, z którego ofiara będzie widzieć całe miasto, okazało się bezcenną wskazówką – to znaczy, w połączeniu z dowodami, które znaleźliście w mieszkaniu Beechama. À propos, to była naprawdę wspaniała robota: mam na myśli jego wytropienie.

Skinąłem tylko głową i uśmiechnąłem się z wdzięcznością, rezygnując z dalszych prób zakwestionowania planu, który Kreizler ułożył na ten wieczór. Jeśli wydaje się zaskakujące, że skapitulowałem tak szybko, należy pamiętać o tym, że przez wiele tygodni nie miałem oparcia w przyjaźni i przewodnictwie Laszla i często doskwierał mi ich brak. To, że znów mogłem pewnie kroczyć u jego boku, słuchać, jak analizuje sprawę w tak przemyślany i stanowczy sposób, i przede wszystkim, że dowiedziałem się, iż przez cały ten czas myślał o Sarze, o Isaacsonach, o mnie i o naszym śledztwie, sprawiło mi ogromną radość i ulgę. Byłem świadom, że działa na szkodę pozostałych członków ekipy i że jego szaleńczy entuzjazm może przynieść niepożądane, a nawet katastrofalne skutki, ale względy te niewiele znaczyły, gdy szliśmy w dół Trzydziestej Dziewiątej Ulicy. Podążaliśmy właściwym tropem, tego byłem pewien, i moje własne podniecenie szybko stłumiło cichy wewnętrzny głos rozważli, mówiący, że jest nas tylko dwóch, a porywamy się na zadanie przeznaczone dla kilkudziesięciu ludzi.

Posłałem Kreizlerowi konspiracyjne spojrzenie.

– Kiedy Roosevelt odkryje, że wyszliśmy z Metropolitan – powiedziałem – przeczesse całe miasto, aby nas odszukać.

Laszlo wzruszył ramionami.

– Zrobiłby lepiej, gdyby ruszył głową. Ma wszelkie wskazówki niezbędne do ustalenia, gdzie jesteśmy.

– Wskazówki? Chodzi ci o rzeczy z mieszkania Beechama? – Znów ogarnęło mnie zdumienie. – Przecież właśnie na podstawie tego, co tam znaleźliśmy, wytypowaliśmy wieżę ciśnień: na podstawie tego i opowieści o zamku.

– Nie, John – odparł Kreizler, ponownie zaczynając gestykulować. – Doszliście do takiego wniosku na podstawie części waszego znaleziska. Zastanów się. Co Beecham zostawił w mieszkaniu?

Przebiegłem to w pamięci.

– Słój z oczami... plan... i pudełko z dagerotypem na wieczku.

– Zgadza się. A teraz pomyśl, jakie świadome lub nieświadome względy sprawiły, że zostawił tylko te rzeczy. Oczywiście jest dowodem, że mamy właściwego człowieka. Plan daje ogólne pojęcie o tym, gdzie uderzy. A pudełko...

– Pudełko mówi nam to samo – wtrąciłem pospiesznie. – Dagerotyp jest dowodem, że znaleźliśmy Japhetha Dury'ego.

– To prawda – potwierdził Kreizler. – Ale co z zawartością pudełka?

Nie nadążałem za nim.

– Zawartość? – wymamrotałem z zakłopotaniem. – To było stare, wyschnięte serce, twoim zdaniem jego matki.

– Tak. A teraz złóż plan i zawartość pudełka razem.

– Miejska sieć wodociągowa... i serce...

– Teraz dodaj to, co powiedział Joseph.

– Zamek albo twierdza – odrzekłem, nadal nic nie rozumiejąc. – Punkt, z którego widać całe miasto.

– Czyli? – przynaglił mnie Kreizler.

Gdy skręciliśmy za róg i ruszyliśmy w górę Piątej Alei, odpowiedź uderzyła mnie jak obuchem. Przed nami stał zbiornik wodny Croton – zajmujący dwa kwartały ku północy i jeden ku zachodowi, równie wysoki jak okoliczne domy i równie potężny jak legendarna Troja. Zbudowany w stylu egipskiego mauzoleum, istotnie przypominał zamek lub fortecę, a nowojorczyki często przechadzali się po jego „wałach”, podziwiając wspaniałe, panoramiczne widoki miasta oraz sztucznego jeziora wewnątrz murów. W dodatku Croton był głównym zbiornikiem rozdzielczym dla całego Nowego Jorku; stanowił, krótko mówiąc, serce miejskiej sieci wodociągowej, centrum, które zasilaty wszystkie akwedukty i z którego czerpały wszystkie rury.

Oszołomiony odwróciłem się do Kreizlera.

– Tak, John – powiedział z uśmiechem, gdy podeszliśmy bliżej. – Tutaj. – Pociągnął mnie pod mury zbiornika, opustoszałe o tej późnej porze, i zniżył głos. – Na pewno rozważyliście możliwość, że Beecham wie, iż w pierwszym rządzie będziemy obserwować nabrzeża, ale z braku stosownej alternatywy pozostaliście przy nich. – Podniósł wzrok i po raz pierwszy tego wieczoru okazał lekki niepokój. – Jeśli się nie pomyliłem, jest teraz na gorze.

– Tak wcześniej? – zapytałem. – Przecież mówiłeś...

– Ten wieczór jest inny – odparł szybko Kreizler. – Nakrył do stołu wcześniej, aby się przygotować na przyjęcie gości. – Sięgnąwszy pod pelerynę, wyjął rewolwer Colta. – Weź to, dobrze, Moore? Ale nie używaj, chyba że będziesz musiał. Mam do tego człowieka wiele pytań.

Kreizler ruszył w stronę masywnej głównej bramy, która ludzaco przypominała wejście do egipskiego grobowca. Zważywszy, po co tu przyszliśmy, to podobieństwo sprawiło, że wstrząsnął mną dreszcz. Kiedy zbliżyliśmy się do portalu, zatrzymałem Laszla.

– Jedna rzecz – wyszeptalem. – Mówisz, że ludzie Byrnesea cię śledzą, skąd wiesz, że nas teraz nie obserwują?

Spojrzał na mnie z doskonałą, alarmującą obojętnością: jak człowiek, który odkrył, co go czeka, i nie zamierza się opierać przeznaczeniu.

– Och, nie wiem – odparł spokojnie i krótko. – Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że tak jest.

Po tych słowach wszedł w bramę i na szerokie, ciemne schody, prowadzące spiralą na szczyt zbiornika. Wzruszyłem ramionami, bezradny wobec tej tajemniczości, i miałem już podążyć za nim, gdy nagle, gdzieś po drugiej stronie Piątej Alei, błysnął mi mosiądz. Zatrzymałem się, aby zlokalizować źródło błysku.

Przy Czterdziestej Pierwszej Ulicy, pod rozłożystym drzewem, którego liście dawały skuteczną osłonę od światła ulicznych lamp, stał elegancki czarny brougham. Jego latarnie leciutko błyszczały, zarówno koń, jak i woźnica zdawali się spać. Mój lęk przed wspinaczką na mury zbiornika dramatycznie wzrósł, ale po chwili ochłonąłem i ruszyłem za Kreizlerem, mówiąc sobie, że oprócz Paula Kelly'ego musi być w Nowym Jorku mnóstwo ludzi, którzy mają eleganckie czarne broughamy.

ROZDZIAŁ 44

Gdy tylko stanęliśmy na zwieńczeniu zbiornika, uświadomiłem sobie, że dając się Kreizlerowi namówić na przyjście tutaj we dwójkę, popełniłem błąd, który mógł wywołać katastrofalne następstwa. Szeroka na osiem stóp promenada biegnąca szczytem murów, otoczona z obydwu stron żelaznym parkanem wysokim na cztery stopy, znajdowała się dobre pięć pięter od ziemi, i kiedy spojrzałem w dół, zobaczyłem ulicę pod kątem, który natychmiast przypomniał mi wszystkie wędrówki po dachach odbyte przez nas w ciągu ostatnich miesięcy. To skojarzenie było dostatecznie złowróżbne samo w sobie, a kiedy rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem wysmołowane powierzchnie oraz rozliczne kominy, stało się dla mnie jeszcze bardziej oczywiste, że choć nie jesteśmy na dachu *sensu stricto*, ponownie wkroczyliśmy do podniebnego królestwa, w którym John Beecham był samowładnym panem. Znów znaleźliśmy się w jego świecie, tyle że tym razem przybyliśmy na przewrotne zaproszenie. Kiedy więc szliśmy w milczeniu promenadą ku Czterdziestej Ulicy, mając po prawej stronie wody zbiornika odbijające jasny księżyc, który nagle wypłynął na nocne niebo i nadal wędrował do góry, uprzytomniłem sobie, że nasz status myśliwych jest bardzo poważnie zagrożony: byliśmy o krok od stania się zwierzyną.

Znajome, lecz nadal wstrząsające obrazy zaczęły przesuwać mi się przed oczyma niczym ruchome przezrocza, które widziałem z Mary Palmer w teatrze Kostera i Biała: martwi chłopcy, związani i pocięci na kawałki; długi, straszny nóż, który był narzędziem zbrodni; szczątki zarżniętego kota w pokoju u pani Piedmont; ponure mieszkanie Beechama w Five Points, i piekarnik, w którym rzekomo upiekł „miękki tyłek” Georgia Santorellego; bezwładne ciało Josepha; i wreszcie portret samego mordercy, złożony ze wszystkich tropów i teorii, które zebraliśmy podczas śledztwa, a jednak, mimo całej naszej pracy, będący zaledwie mglistą sylwetką. Bezkresne czarne niebo i niezliczone gwiazdy ponad zbiornikiem nie mogły dodać mi otuchy ani zapewnić schronienia przed tymi potwornymi wizjami, a cywilizacja, gdy jeszcze raz spojrzałem w dół na ulice miasta, wydawała się przeraźliwie odległa. Każdy z naszych ostrożnych kroków wystukiwał przesłanie, że znajdujemy się w krainie śmierci i bezprawia, w miejscu, gdzie ludzki wynalazek, który z nadzieją i lękiem ścisnąłem w dłoni, może się okazać słabą obroną, i gdzie rozwiązania większych zagadek niż te, które próbowaliśmy przeniknąć w ostatnich tygodniach, ujawnią się z brutalną nieodwołalnością. Mimo tych niespokojnych rozważań ani razu nie pomyślałem o tym, by zawrócić. Może udzieliło mi się przekonanie Laszla, że tej nocy, na tych murach, zakończymy całą sprawę; w każdym razie pozostałem u jego boku, choć byłem świadom, tak jasno, jak to tylko możliwe, że możemy już nigdy nie zejść na ulicę. Usłyszeliśmy płacz, zanim zobaczyliśmy ofiarę. Na promenadzie nie było latarni, prowadził nas tylko księżyc, i kiedy skręciliśmy w alejkę od strony Czterdziestej Ulicy, zamajaczyła nam niska nadbudówka, w której mieściły się urzędnictwa kontrolne zbiornika. Łkania – ostre, rozpaczliwe, lecz dziwnie przytłumione – zdawały się dochodzić spod jej ściany. Gdy znaleźliśmy się jakieś czterdzieści pięć stóp od budynku, dostrzegłem mglisty zarys ludzkiego ciała, biejącego w świetle księżyca. Podeszliśmy parę kroków bliżej i wtedy wyraźnie zobaczyłem postać kłęczącego nagiego chłopca. Ręce miał wykręcone do tyłu i spętane, podobnie jak nogi, a jego głowa dotykała kamiennego chodnika. Była obwiązana szmatą, która zamiast zatkać uszmiokowane usta, trzymała je otwarte pod bolesnym kątem. Na jego twarzy lśniły łzy, ale żył i, co zdumiało mnie jeszcze bardziej, był sam.

Instynktownie dałem krok naprzód, zamierzając pomóc nieszczęśnikowi, ale Kreizler chwycił mnie za ramię, szepcząc natarczywie:

- Nie, John! Dokładnie o to mu chodzi.
- Co? Skąd wiesz, że tu...

Kreizler wskazał mi oczami szczyt nadbudówki. Tuż ponad jej dachem, odbijając łagodne światło księżyca, sterczała ta sama łysiejąca głowa, którą zobaczyłem nad Dominem w noc, gdy został napadnięty Cyrus. Serce podskoczyło mi w piersi, ale szybko nabrałem powietrza i spróbowałem zachować spokój.

- Czy on nas widzi? – wymamrotałem.

Kreizler zmrzął oczy, lecz była to jego jedyna reakcja na scenę rozgrywającą się przed nami.

– Bez wątpienia. Pytanie brzmi, czy wie, że my widzimy jego.

Odpowiedź otrzymaliśmy natychmiast: głowa zniknęła z szybkością, z jaką schowałoby się dzikie zwierzę. Tymczasem związany chłopiec już nas zauważył i jego stłumione łkanie przeszło w głośniejsze dźwięki, które, choć nieartykułowane, ewidentnie były błaganiami o pomoc. Obraz Josepha znów przemknął mi przez głowę, jeszcze wzmagając natarczywe pragnienie, by pójść i uwolnić tę następną ofiarę. Ale Kreizler nie puszczał mego ramienia.

– Zaczekaj, John – wyszeptał. – Zaczekaj.

Nadbudówka miała małe drzwi, Laszlo wskazał na nie.

– Byłem tu dziś rano. Wyjścia są tylko dwa: z powrotem na promenadę albo schodami w dół na ulicę. Jeśli się nie pojawi...

Minęła kolejna minuta bez żadnych oznak życia zarówno w drzwiach, jak i na dachu nadbudówki. Kreizler był wyraźnie zdumiony.

– Czy to możliwe, aby uciekł?

– Mógł się jednak przestraszyć, że zostanie schwytyany – odparłem.

Kreizler zastanowił się nad tym, a potem popatrzył na chłopca.

– Dobrze – stwierdził w końcu. – Podejźmy, ale bardzo powoli. I trzymaj rewolwer w pogotowiu.

Pierwsze kroki, które postawiliśmy na tym odcinku promenady, były sztywne i trudne, jakby nasze ciała wiedziały o niebezpieczeństwie i odrzucały je, wbrew decyzji naszych umysłów. Gdy jednak pokonaliśmy jakieś dziesięć stóp, nie dostrzegając naszego przeciwnika, zaczęliśmy iść swobodniej, wzrosło też moje przekonanie, że Beecham istotnie zląkł się perspektywy schwymania bardziej, niż przewidywał, i czmychnął na ulicę. Ogarnęło mnie nagłe, potężne uczucie radości na myśl, że wreszcie uda nam się zapobiec morderstwu, i pozwoliłem sobie na lekki uśmiech...

Szatańska pycha. Dokładnie w chwili, gdy zadowolony z siebie minimalnie rozluźniłem uścisk na kolbie rewolweru, jakaś ciemna postać przesadziła żelazny parkan od zewnętrznej strony promenady i wymierzyła mi druzgocący cios w szczękę. Usłyszałem przeraźliwy chrzęst, który, co zrozumiałem później, wydały kości mojej szyi, kiedy głowa odskoczyła mi do tyłu, po czym wszystko stało się czernią.

Nie mogłem stracić przytomności na długo, bo kiedy się ocknąłem, księżyc był niewiele wyżej; mimo to szumiało mi w głowie tak, jakbym przespał kilka dni. Poza tym czułem ból w wielu miejscach, w niektórych ostry, w niektórych tępy, ale wszędzie dotkliwy. Oczywiście bolała mnie szczeka i szyja. Piekły mnie nadgarstki, a ramiona potężnie rwały, ale największy dyskomfort czułem w ustach. Jęknąłem, próbując przesunąć językiem coś, co mnie uwierało, po czym wypłułem jeden z moich przednich zębów, razem z dużą ilością krwi i śliny. Moja głowa sprawiała wrażenie odlanej z ołowiu i nie mogłem jej podnieść wyżej niż o cal. W końcu uświadomiłem sobie, że powodem jest nie tylko cios, który otrzymałem: miałem ręce przywiązane za plecami do szczytu parkanu po wewnętrznej stronie promenady, a stopy do jego dołu, przez co moja głowa i tułów zwisały boleśnie nad chodnikiem, na którym leżał mój rewolwer.

Ponownie jęknąłem i podjąłem próby uniesienia głowy. W końcu udało mi się ją przekrócić i wówczas zobaczyłem Kreizlera. Był związany tak jak ja, ale zupełnie przytomny, i wydawało się, że nie doznał żadnych obrażeń. Uśmiechnął się do mnie.

– Żyjesz, John?

– Uhhh – tyle udało mi się bąknąć w odpowiedzi. – Gdzie jest...

Kreizler z wysiłkiem kiwnął głową w stronę nadbudówki.

Związany chłopiec leżał tam, gdzie go pierwszy raz zobaczyliśmy, ale jego natarczywe wołanie o pomoc przeszło z powrotem w przerażony skowyt. Za nim, tyłem do Kreizlera i do mnie, stała olbrzymia postać odziana na czarno. Mężczyzna powoli zdejmował ubranie i układał je starannie z jednej strony promenady. Po kilku minutach stanął całkowicie nagi, prezentując potężne mięśnie. Podszedł do chłopca – który, jako że dorosłe rysy zaczynały się dopiero pokazywać na jego twarzy i ciele, musiał mieć około dwunastu lat – chwycił go za włosy i podniósł jego głowę do góry.

– Płaczesz? – zapytał cichym, wypranym z emocji głosem. – Taki chłopak jak ty powinien płakać...

Puścił głowę chłopca i odwrócił się do nas. Z przodu był umięśniony równie atletycznie jak z tyłu – od ramion w dół stanowił nadzwyczajny fizyczny okaz. Marszcząc brwi, naprężyłem szyję, aby spojrzeć mu w twarz. Nie wiem, czego się dokładnie spodziewałem, ale z pewnością nie takiej banalności rysów. Sposób, w jaki skóra opinała mu czaszkę, przywołał na myśl Adama Dury'ego, podobnie jak jego rzadkie włosy. Również oczy miał jak jego brat, zbyt małe w stosunku do głowy. Prawa strona jego twarzy była lekko opuszczona, choć w tej chwili nie wykrzywił jej skurcz, a podbródek mocno zarysowany; ale, razem wzięwszy, była to zupełnie zwyczajna fizjonomia, niezdradzająca straszliwego zamętu, który bez ustanku wrzał w mózgu. Człowiek ów wyglądał tak, jakby obecna sytuacja niczym się nie różniła od przeprowadzania ankiet spisowych. I fakt ten, uświadomiłem sobie nagle, był najbardziej przerażający wśród wszystkiego, czego się dowiedziałem o Johnie Beechamie.

Morderca spokojnym ruchem wyjął z ubrania swój olbrzymi nóż i podszedł do nas. Jego rzeźbione ciało było bardzo słabo owłosione, dzięki czemu odbijało światło księżyca. Stanąwszy w rozkroku, pochylił się, by spojrzeć w twarz najpierw Kreizlerowi, a potem mnie.

– Tylko dwóch – powiedział, kręcąc głową. – To było głupie, głupie.

Podniósł nóż, bardzo przypominający narzędzie, które Lucius pokazał nam w Delmonico, i przyłożywszy jego ostrze do prawego policzka Laszla, zaczął nim powoli wodzić po liniach twarzy mego przyjaciela. Kreizler przez chwilę obserwował ruchy ręki Beechama, po czym odezwał się ostrożnie:

– Japheth...

Beecham wściekle ryknął i uderzył go w twarz wierzchem lewej dłoni.

– Nie wymawiaj tego imienia! – wysyczał gwałtownie. Nóż wrócił pod oko Laszla i Beecham przycisnął go na tyle mocno, by utoczyć kroplę krwi z policzka. – Nie wymawiaj tego imienia...

Wyprostował się i wziął głęboki oddech, jakby uznał, że ten wybuch uchybił nieco jego godności.

– Szukaliście mnie – powiedział, a potem po raz pierwszy się uśmiechnął, obnażając duże, pożółkłe zęby. – Chcieliście mnie obserwować, ale to ja obserwowałem was. – Uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawił. – Lubicie patrzeć? – Wskazał nożem chłopca. – Więc patrzcie. On umrze pierwszy. Czysto. W przeciwieństwie do was. Jesteście głupi i nic niewarci, nawet nie umieliście mnie powstrzymać. Głupie, nic niewarte zwierzęta – was wypatroszę żywcem.

Podszedł z powrotem do chłopca, a ja szepnąłem do Kreizlera:

– Co on chce zrobić?

Laszlo nie pozbierał się jeszcze po otrzymanym ciosie.

– Sądzę – odparł – że zamierza zabić chłopca. I chce, abyśmy byli tego świadkami. A potem...

Zobaczyłem, że po jego policzku i brodzie spływa strumyk krwi.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

– Ach – mruknął, zachowując zdumiewający w tych okolicznościach spokój. – Najbardziej boli mnie własna głupota. Ścigamy człowieka, który jest doświadczonym wspinaczem, a potem się dziwimy, gdy pokonuje niski kamienny mur, aby nas podejść...

Beecham klęczał teraz nad związanym chłopcem.

– Dlaczego się rozebrał? – zapytałem. Laszlo przyjrzał się naszemu przeciwnikowi.

– Krew – powiedział w końcu. – Nie chce sobie pobrudzić ubrania.

Odłożywszy nóż, Beecham zaczął przesuwając dłońmi po młodym, wijącym się przed nim ciele.

– Ale czy rzeczywiście jest to jedyny powód? – podjął Laszlo, z lekkim zdziwieniem w głosie.

Twarz Beechama nadal nie zdradzała żadnych oznak gniewu czy pożądania, czy też innego uczucia. Obmacał tors i kończyny chłopca tak, jak mógłby to zrobić nauczyciel anatomii, i zatrzymał się dłużej dopiero przy genitaliach. Pomiedliwszy je kilka minut, wstał i przykucnął za chłopcem, po czym zaczął gładzić jego pośladki jedną ręką, a własny członek drugą.

Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, co, jak sądziłem, musiało się za chwilę stać, i odwróciłem wzrok.

– Kiedy myślałem... – Mój cichy jęk był niemal protestem. – Myślałem, że ich nie gwałci.

Laszlo nadal przyglądał się scenie.

– Co nie znaczy, że nie próbuje – stwierdził. – To ważna chwila, John. Napisał w liście, że nie „zbrukał” tych chłopców. Ale czy próbował?

Podniósłszy głowę, zobaczyłem, że Beecham dalej głaszcze chłopca i siebie, nie mogąc się doprowadzić do erekcji.

– Jeśli chce to zrobić – powiedziałem z niesmakiem – dlaczego...

– Bo w gruncie rzeczy tego nie chce – odparł Kreizler i zaczynając w pełni pojmować, co się dzieje, mocniej wyciągnął szyję, aby pokiwać głową. – Pcha go do tego obsesyjna siła, jak do zabijania, ale nie jest to pożądanie. Potrafi się zmusić do zabójstwa, ale do gwałtu już nie.

Jakby w odpowiedzi na analizę Laszla, Beecham nagle zawył w głębokiej frustracji, podniósł muskularne ramiona do góry i zadrzał na całym ciele. Potem znów spojrział w dół, szybko zaszedł chłopca od przodu i zacisnął swe długie palce na jego szyi.

– Nie! – zawołał niespodzianie Kreizler. – Nie, Japheth, na litość boską, wcale nie chcesz...

– Nie wymawiaj tego imienia! – krzyknął raz jeszcze Beecham, podczas gdy chłopiec skowyczał i wił się jak szalony w jego uścisku. – Zabiję cię, parszywy...

Nagle z mojej lewej strony odezwał się w ciemności znany mi skądś głos:

– Nikogo nie zabijesz, ty żałosny draniu.

Mimo bólu błyskawicznie odwróciłem głowę i zobaczyłem Connora, idącego promenadą z imponującym rewolwerem Webleya kaliber .445 w dłoni. Za nim pojawiło się dwóch mężczyzn, którzy mieli już status dobrych znajomych: byli to ci sami bandyci, którzy napadli na Sarę i na mnie w mieszkaniu Santorellich, którzy śledzili Laszla i mnie w trakcie naszej podróży do Newton, i których bezceremonialnie wysadziłem z pociągu Boston-Nowy Jork.

Connor podszedł do Beechama, mrużąc chytre oczy.

– Słyszysz mnie? Odsuń się od tego dzieciaka. Beecham bardzo powoli puścił szyję chłopca i wyraz jego twarzy dramatycznie się zmienił: po raz pierwszy odmalowało się na niej jakieś uczucie – śmiertelny strach. Oczy niemal wyszły mu z orbit, a potem zaczęły mrugać, szybko i gwałtownie.

– Connor! – powiedziałem, gdy wreszcie ochłonąłem ze zdumienia.

Odwrociwszy się do Laszla po wyjaśnienie, zobaczyłem, że patrzy na naszego wybawcę z mieszanką nienawiści i satysfakcji.

– Tak – odparł spokojnie. – Connor...

– Rozwiąż tych dwóch – polecił Connor jednemu ze swych ludzi, schylając się, by podnieść Kreizlerowego colta.

Facet stojący po jego prawej stronie podszedł do nas z niejakim ociąganiem i uwolnił najpierw Laszla, a potem mnie.

– A ty – powiedział Connor do kulącego się Beechama, nadal celując weń z rewolweru – wkładaj ubranie, przeklęty sodomito.

Beecham nawet się nie poruszył. Zrobił jeszcze bardziej przestraszoną minę, przywarł mocniej do muru... i nagle dostał skurczów. Najpierw do mrugania powiek doszło tylko powolne drganie prawego kącika ust, ale wkrótce cała prawa strona jego twarzy zaczęła się gwałtownie kurczyć i rozciągać, co, muszę przyznać, w innych okolicznościach wyglądałoby nawet dość zabawnie.

Gdy Connor przyglądał się tej transformacji, na jego brodatą twarz wystąpił wyraz krańcowej odrazy.

– Mój Boże – powiedział. – Ty obrzydliwy, żałosny draniu... – Odwrócił się do zbira po swojej lewej stronie. – Mike, zakryj go czymś, na litość boską.

Facet zrobił parę kroków, podniósł ubranie Beechama i rzucił mu je. Beecham chwycił tobołek i przycisnął go do piersi, ale nie zaczął się ubierać.

Kiedy Laszlo i ja znów stanęliśmy na promenadzie, przede wszystkim spróbowaliśmy rozetrzeć boleśnie zdrętwiałe ręce i ramiona, a bandyci Connora ustawili się tymczasem za swoim szefem.

– Nie rozwiążecie chłopca? – zapytał Laszlo, głosem wciąż pełnym cierpkiej goryczy.

Connor potrząsnął głową.

– Wyjaśnijmy sobie najpierw parę rzeczy, doktorze – powiedział, jakby mimo webleya bał się, co może zrobić Kreizler. – Mamy interes do tego tutaj – wskazał Beechama – i tylko do niego. Odejdźcie stąd i będzie po wszystkim. Cała ta sprawa się zakończy.

– Owszem, zakończy się – odparł Laszlo. – Ale niestety nie tak, jak byś chciał.

– To znaczy? – zapytał Connor.

– To znaczy, że stąd nie odejdziemy – odrzekł Kreizler. – Sam o tym przesądziłeś, plugawiacz mój dom zbrodnią.

Connor szybko pokręcił głową.

– Chwileczkę, doktorze, nie chciałem tego! Ja tylko robiłem swoje, wykonywałem polecenia, ale ta mała suka...

Twarz Kreizlera zapłonęła wściekłością. Postąpił krok naprzód, a Connor mocniej ścisnął rewolwer.

– Niech pan tego nie robi, doktorze, niech mi pan nie daje powodu. Jak mówię, mamy załatwić tylko jego, ale dobrze pan wie, że z przyjemnością sprzątnąłbym i was. Może się to nie spodobać moim szefom, ale jeśli da mi pan powód, na Boga, zastrzelę pana.

Beecham, którego nie opuszczaly skurcze, wreszcie zwrócił uwagę na to, co się dzieje. Popatrzył na Connora i jego zbirów, a potem, jednym susem, przypadł do nog Łaszla.

– Oni... – wybełkotał – oni chcą... chcą mnie zabić.

Connor zaśmiał się ochryple.

– Tak, będziesz martwy, kiedy cię zniosą na dół, ty cholerny, głupi rzeźniku. Tyle było przez ciebie zamieszania, a kim ty jesteś? Na pewno nie mężczyzną, skoro się tak trzęsiesz i skomlisz. – Connor zaczął się popisywać przed swoją asystą. – Trudno w to uwierzyć, co, chłopaki? Tyle hałasu o takiego... zwierzaka. Tylko dlatego, że lubi pieprzyć małych chłopców, a potem ich zarzynać.

– Kłamca! – ryknął nagle Beecham, zaciskając pięści, lecz nie podnosząc się z klęczek. – Parszywy kłamca!

Na to Connor i jego ludzie wybuchnęli śmiechem i na obliczu Beechama odmalował się jeszcze większy emocjonalny zamęt. Nie wiedząc, dlaczego to robię, podszedłem doń i spojrzałem na trzech rozbawionych głupców z dezaprobatą, co oczywiście nic nie dało. Odwróciwszy się do Kreizlera w nadziei, że otrzymam jakąś wskazówkę, zobaczyłem, że mój przyjaciel patrzy w dół promenady, poza Connora i jego zbirów, z wyrazem oczekiwania na twarzy. Nagle otworzył usta i z niepojętego dla mnie powodu, wykrzyknął:

– Teraz!

I wtedy rozpętało się piekło. Z szybkością i precyzją, do jakich można dojść wyłącznie latami ćwiczeń, jakiś olbrzym przeskoczył parkan od wewnętrznej strony promenady i grubą ołowianą rurką zdzielił Connora w rękę z rewolwerem. Zanim jego goryle zdążyli zareagować, błyskawiczne ciosy dwóch ogromnych pięści rozciągnęły ich na chodniku. Wyjącego z bólu Connora spotkał wkrótce ten sam los. Tajemniczy przybysz – którego twarz zasłaniała górnicza czapka – pochylił się nad mężczyznami i dla pewności przyłożył jeszcze każdemu rurką. Było to wspaniałe, choć brutalne widowisko, ale moja satysfakcja zdecydowanie zmalęła, gdy jego gwiazdor się wyprostował i wreszcie go rozpoznałem.

Był to Jack „Zjedz ich” McManus, dawny bokser, a obecny stróż porządku w należącem do Paula Kelly’ego New Brighton Dance Hall. Wetknąwszy rurkę w spodnie, McManus podniósł colta i webleya i ruszył ku mnie. Zebrałem się w sobie, sądząc, że Laszlo i ja będziemy następnymi ofiarami jego pięściarskiej maestrii, ale olbrzym przyglądał wyświechtaną marynarkę, mocno splunął w wody zbiornika i podał mi rewolwery. Wycelowałem colta w Beechama, a McManus podszedł powoli do Kreizlera, podniósł dłoń i z szacunkiem dotknął daszka czapki.

– Dobra robota, Jack – oświadczył Laszlo, a ja omal nie rąbnąłem zemdlony na chodnik. – Zwiąż ich, jeśli łaska, i zaknebluj dwóch większych. Z tym w środku chcę porozmawiać, kiedy oprzytomnieje. – Przyjrzał się Connorowi, ewidentnie podziwiając dzieło McManusa. – A może powinienem powiedzieć, jeśli oprzytomnieje...

McManus ponownie dotknął czapki, wyjął z kieszeni kilka kawałków sznurka i dwie chusteczki, po czym zabrał się do wypełniania poleceń Laszla jak cierpliwy wół roboczy. Kreizler podszedł tymczasem do chłopca i zaczął go rozwiązywać.

– Już dobrze – powiedział uspokajającym tonem, bo nieszczęśnik nadal łkał spazmatycznie. – Już dobrze, jesteś już bezpieczny.

Chłopiec podniósł na Laszla rozszerzone przerażeniem oczy.

– On chciał mnie...

– Mniejsza o to, co chciał zrobić – odparł Kreizler z lekkim uśmiechem i wyjąwszy chusteczkę, zaczął wycierać chłopcu twarz. – Ważne jest to, że nic ci już nie grozi. Proszę...

Podniósł z chodnika swą nieco poszarpaną pelerynę i otulił nią roztrzęsionego młodzieńca.

Jako że wszystko było pod kontrolą, przynajmniej chwilowo, mogłem zaspokoić ciekawość. Podszedłem do parkanu od zewnętrznej strony promenady i szybko spojrzałem w dół. Kilka stóp niżej wisiała gruba lina umocowana na hakach podobnych do tego, który Marcus znalazł w Castle Garden. Kreizler miał rację, że zastawienie na nas pułapki nie przedstawiało większej trudności dla takiego doświadczonego wspinacza jak Beecham. Odwróciłem się i spojrzałem na naszego pokonanego wroga, kręcąc głową nad niespodziewanym, zdumiewającym obrotem sprawy.

Jack McManus skończył wiązać Connora i jego ludzi i spojrzał pytająco na Kreizlera.

– No cóż, Jack – powiedział Laszlo. – Wszystko w porządku? Dobrze. Nie będziesz nam już potrzebny. Jeszcze raz wielkie dzięki.

McManus znów dotknął czapki, a potem odwrócił się i bez słowa ruszył ciemną promenadą do wyjścia. Kreizler zwrócił się do chłopca:

– Wejdźmy do środka, dobrze? Moore, umieszczę tylko naszego młodego przyjaciela w nadbudówce.

Skinąłem głową, trzymając colta wycelowanego w Beechama; Laszlo z chłopcem zniknęli wewnątrz. Nadal kuląc się i krzywiąc, Beecham zaczął wydawać cichy, gardłowy skowyt. Nie sądziłem, aby mógł mi sprawić jakiś kłopot, ale nie zamierzałem ryzykować. Szybko omiótłszy wzrokiem teren, dostrzegłem jego nóż leżący na chodniku, podniosłem go i zatknąłem sobie z tyłu za spodnie. Zerknąwszy na nieprzytomnego Connora, zauważyłem, że ma u pasa kajdanki. Odpiąłem je i rzuciłem Beechamowi.

– Masz – powiedziałem. – Skuj się.

Powoli, jakby nie wiedząc, co robi, Beecham włożył kajdanki i nie bez trudu je zacisnął. Przeszukałem kieszenie Connora w poszukiwaniu kluczyka i wówczas dostrzegłem na jego koszuli plamę świeżej krwi. Nie spuszczać rewolweru z Beechama, rozpiąłem brudną koszulę i zobaczyłem, że Connor ma na boku długą, nie do końca zabliznioną ranę, którą najwyraźniej otworzył ciosy Jacka McManusa. Uświadomiłem sobie, że jest to rana, którą zadała mu Mary Palmer, nim zepchnął ją ze schodów.

– Brawo, Mary – wyszeptalem, odsuwając się od Connora. Kreizler wyszedł z nadbudówki, przeczesał dłonią włosy i rozejrzał się dookoła z wyraźną, choć pełną niedowierzania satysfakcją. Później popatrzył niepewnie w moją stronę, jakby wiedział, co go czeka.

– A teraz – odezwałem się spokojnym, ale bardzo stanowczym tonem – powiesz mi, co tu jest, do cholery, grane!

ROZDZIAŁ 45

Laszlo otworzył już usta, by mi odpowiedzieć, gdy z Czterdziestej Ulicy doleciał nas ostry gwizd. Kreizler podbiegł do parkanu od zewnętrznej strony promenady i wyjrzał na ulicę. Skoczywszy za nim, zobaczyłem w dole kolaskę z Cyrusem i Steviem.

– Obawiam się, Moore, że wyjaśnienia będą musiały poczekać – powiedział Kreizler, odwracając się do Beechama. – Przybycie Cyrusa i Stewego oznacza, że przedstawienie skończyło się co najmniej trzy kwadransy temu. Roosevelt na pewno zaczął już coś podejrzewać. Sprawdzi, czy nie ma nas pod wieżą ciśnień, i kiedy reszta dowie się, że zniknęliśmy...

– Ale co zamierzasz zrobić? – spytałem. Kreizler poskrobał się w głowę i lekko uśmiechnął.

– Nie bardzo wiem. Moje plany nie sięgały tak daleko, nie byłem do końca pewien, czy przeżyję, nawet z naszym przyjacielem McManusem w odwodzie.

To mnie ubodło i nie miałem zamiaru się z tym kryć.

– Aha – prychnąłem. – I ja miałem zginąć razem z tobą?!

– Proszę, Moore – powiedział Kreizler, machając niecierpliwie ręką. – Nie mamy na to czasu.

– A co z Connorem? – zapytałem, wskazując leżącą postać byłego sierżanta śledczego.

– Zatrzymamy go dla Roosevelta – odparł szorstko Kreizler, podchodząc do miejsca, gdzie siedział skulony Beecham. – Chociaż zasługuje na coś gorszego!

Laszlo przykucnął, by spojrzeć Beechamowi w twarz, wziął głęboki oddech, a potem podniósł dłoń i przesunął ją tam i z powrotem przed oczyma naszego więźnia. Beecham zdawał się tego nie widzieć.

– Chłopiec zszedł z gór – westchnął w końcu Kreizler. – W każdym razie tak to wygląda.

Rozumiałem, o co mu chodzi: jeśli człowiek, który napadł na nas na początku tego wieczoru, był produktem ewolucji opanowanego, sadystycznego młodego trapera przemierzającego niegdyś góry Shawangunk, to przerażona istota siedząca teraz przed nami ucieleśniała cały strach i nienawiść do samego siebie, które Japheth Dury czuł we wszystkich innych momentach swego życia. Świadom, że nie musimy się go obawiać, póki jest w takim stanie, Laszlo wziął od Beechama marynarkę i okrył nią jego potężne, nagie ramiona.

– Posłuchaj mnie, Japhecie Dury – powiedział złowieszczym tonem, który sprawił, że Beecham wreszcie przestał się kołysać i jęczeć. – Masz na rękach krew wielu istot ludzkich, poczynając od twoich rodziców. Jeśli twoje zbrodnie wyjdą na jaw, twój brat, Adam – który nadal stara się prowadzić przyzwoite i uczciwe życie – z całą pewnością dozna osobistych cierpień i publicznych prześladowań. Choćby z tego powodu musisz zmobilizować w sobie resztki człowieczeństwa i bardzo uważnie mnie posłuchać.

Choć jego wzrok pozostał szklisty, Beecham powoli skinął głową.

– Dobrze – oświadczył Laszlo. – Wkrótce zjawi się policja. Mogą cię tu zastać lub nie, w zależności od tego, czy będziesz ze mną szczery. Zadam ci teraz kilka pytań, aby ustalić, czy jesteś zdolny i skłonny do współpracy. Odpowiedz na nie zgodnie z prawdą, a może uda mi się zapewnić ci mniej okrutny los od tego, który chce ci zgotować społeczeństwo tego miasta. Rozumiesz mnie?

Beecham ponownie skinął głową i Kreizler wyjął swój nieodłączny mały notes oraz pióro.

– W takim razie, podstawowe fakty...

Laszlo przystąpił do szybkiego, zwięzłego, lecz ubranego w spokojne słowa omówienia życiorysu Beechama, zaczynając od jego dzieciństwa w New Paltz i okoliczności śmierci jego rodziców. Beecham odpowiadał na pytania, cały czas potwierdzając hipotezy sformułowane przez nas w trakcie śledztwa, coraz słabszym i coraz bardziej bezradnym tonem, jakby czuł, że człowiekowi, który jakimś cudem zna go równie dobrze jak on sam, winien jest całkowite posłuszeństwo. Kreizlerowi zaś szczerze wysiłki Beechama sprawiały coraz większą satysfakcję, ponieważ widział w nich przekonujący dowód na to, że ukryta, lecz nadal żywotna częśćka umysłu mordercy rzeczywiście pragnęła takiej rozmowy.

Zapewne ja również powinienem być zadowolony z rezultatów tej indagacji, ale gdy słuchałem, jak Beecham odpowiada na pytania Laszla – głosem coraz bardziej pokornym, wręcz dziecięcym, pozbawionym tego groźnego, aroganckiego tonu, którego używał, gdy byliśmy jego więźniami – ogarnęło mnie silne, przenikające do głębi wzburzenie, które wkrótce zmieniło się we wściekłość, jakby człowiek ten, w świetle wszystkiego, co zrobił, nie miał prawa okazać żadnej ludzkiej słabości. Jak on śmie, myślałem, siedzieć tu i pochlipywać niczym jedno z dzieci, które zamordował? Gdzie się podziały brutalność, okrucieństwo, buta i niepohamowanie, które przejawiał w inne noce? Kiedy te i podobne pytania przelatywały mi przez głowę, mój gniew szybko rósł, aż w końcu, nie mogąc dłużej nad nim zapanować, wyprostowałem się i ryknąłem:

– Milcz! Milcz, do cholery, ty żałosny tchórz! Beecham i Laszlo natychmiast ucichli i spojrzeli na mnie jak porażeni. Beecham utkwiał wzrok w moim colcie i jego skurcze dramatycznie przybrały na sile. Natomiast zdumienie Laszla ustąpiło miejsca zrozumieniu.

– W porządku, Moore – powiedział, nie prosząc o wyjaśnienia. – Idź i zaczekaj wewnątrz z chłopcem.

– Mam cię z nim zostawić? – spytałem głosem wciąż drżącym od gniewu i pasji. – Czyś ty oszalał? Spójrz na niego, Kreizler, to on, to człowiek odpowiedzialny za całą krew, którą widzieliśmy! A ty pozwalasz mu się przekonywać, że jest jakimś...

– John! – przerwał mi Laszlo. – W porządku. Idź i zaczekaj na mnie wewnątrz.

Spojrzałem na Beechama.

– No? O czym próbujesz go przekonać? – schyliłem się, mierząc z colta w głowę mordercy. – Myślisz, że jeszcze się z tego wywiniesz, prawda?

– Do diabła, Moore! – zawołał Kreizler i chwycił mnie za przegub dłoni, zbyt słabo jednak, bym opuścił rewolwer. – Przestań!

Pochyliłem się nad wstrząsaną skurczami twarzą Beechama.

– Mój przyjaciel uważa, że jeśli nie boisz się umrzeć, dowodzi to, że jesteś pomyłony – wyszczałem. Choć Laszlo dalej próbował mnie rozbroić, wbiłem lufę rewolweru w szyję Beechama. – Boisz się umrzeć? Boisz się? Umrzeć jak chłopcy, których...

– Moore! – krzyknął ponownie Kreizler.

Aleja byłem już głuchy na wszystko. Usiłując odwieść kurek, szarpnąłem colta do tyłu, na co Beecham wydał rozpaczliwy skowyt i cofnął się przede mną jak schwyte w pułapkę zwierzę.

– Nie – syknąłem do niego. – Nie jesteś pomyłony, boisz się umrzeć!

Ze zdumiewającą raptownością powietrzem wokół nas wstrząsnął huk wystrzału. Gdzieś na wysokości mojej dłoni rozległ się donośny odgłos uderzenia, po czym Beechamem szarpnęło do tyłu, po lewej stronie jego klatki piersiowej ukazała się szkarlatno-czarna dziura i zaświszczało uchodzące z niej powietrze. Utkwiwszy we mnie swe małe, teraz wytrzeszczone oczy, Beecham opuścił skute ręce, przechylił się na bok i marynarka spadła mu z ramion.

Zabiłem go, pomyślałem, bez poczucia winy, ale i bez radości, po prostu stwierdzając fakt – lecz potem, gdy Beecham osunął się na chodnik, popatrzyłem na mojego colta: nie był zabezpieczony. Zanim mój zdezorientowany umysł zdążył cokolwiek z tego pojąć, Laszlo przyskoczył do Beechama i pobieżnie zbadał jego ranę, z której nadal wypływała krew, pokręcił głową i zacisnąwszy dłonie w pięści, gwałtownie ją podniósł. Jego spojrzenie nie było jednak skierowane na mnie; idąc za nim, powoli się odwróciłem.

Pośrodku promenady stał Connor, który jakimś sposobem uwolnił się z więzów. Zamroczenie i ból gięły mu plecy, lewą rękę przyciskał do rannego boku, a w prawej trzymał mały, dwulufowy pistolet. Przywołał na krwawiące wargi krzywy uśmiech, po czym dał kilka chwiejnych kroków naprzód.

– Kończymy sprawę – powiedział, podnosząc pistolet wyżej i kierując go na nas. – Rzuć broń, Moore.

Spełniłem polecenie powoli i ostrożnie, ale gdy tylko mój colt dotknął chodnika, powietrze przeszył huk kolejnego wystrzału – tym razem trochę dalej – i Connor poleciał do przodu, jakby otrzymał mocny cios w plecy. Wydając ciche stęknięcie, upadł na twarz – zobaczyłem w jego marynarce dziurę, z której natychmiast trysnęła krew. Nie rozwiął się jeszcze dym po strzale, który Connor oddał do Beechama, gdy z mroku wyszła w światło księżycy nowa postać.

Była to Sara, z wyłożonym masą perłową rewolwerem w dłoni. Popatrzyła beznamiętnie na Connora, a potem podniosła wzrok na Kreizlera i na mnie.

– Pomyślałam o tym miejscu, jak tylko zajęliśmy pozycję przy wieży ciśnień – odezwała się sucho, gdy stanęli za nią Isaacsonowie. – Kiedy Theodore powiedział, że wyszłście z opery, zrozumiałam...

Odetchnąłem z niewysłowioną ulgą.

– I niech Bogu będą za to dzięki – powiedziałem, wycierając ręką czoło, a następnie podniosłem colta.

Kreizler nie ruszył się od boku Beechama, ale spojrzął na Sarę.

– Gdzie jest teraz komisarz?

– Szuka was – odparła. – Nic mu nie powiedzieliśmy.

Laszlo kiwnął głową.

– Dziękuję, Saro. Nie mieliście specjalnych powodów, aby być tak uważający.

Sara zachowała kamienny wyraz twarzy.

– To prawda.

Beecham zaniósł się nagle krwawym, dławiącym kaszlem i Kreizler włożył mu rękę pod kark, aby podnieść wielką głowę do góry.

– Sierzancie śledczy?

Lucius rzucił mu się na pomoc i spojrzawszy szybko na pierś Beechama, potrząsnął stanowczo głową.

– Nie ma szans, doktorze.

– Tak, tak, wiem – warknął Kreizler. – Potrzebuję tylko... Rozetrzyj mu dłonie, dobrze? Moore, odepnij te cholerne kajdanki. Potrzebuję tylko paru minut.

Gdy uwolniłem ręce umierającego, Laszlo wyjął z kieszeni mały flakonik soli trzeźwiących i podstawił go Beechamowi pod nos. Lucius zaczął klepać i trzeć mu dłonie. Wyraz twarzy Laszla stawał się coraz bardziej niespokojny, a jego ruchy coraz bardziej nerwowe, wręcz desperackie.

– Japhecie – wyszeptał łagodnie i prosząco. – Japhecie Dury, słyszysz mnie?

Powieki Beechama zatrzepotały, a potem się podniosły. Bezradnie powiódł wokół gasnącymi oczyma i w końcu utkwiał je w pochylonej nad nim twarzy Laszla. Jego skurcze ustały i wyglądał teraz jak przerażone dziecko, które prosi dorosłego o pomoc, choć w głębi duszy wie, że jej nie otrzyma.

– Umieram – jęknął, wypluwając jeszcze trochę krwi. – Umieram...

– Posłuchaj mnie, Japhecie – powiedział Laszlo, podtrzymując mu głowę i wycierając krew z ust. – Musisz mnie posłuchać. Co widziałeś, Japhecie? Co widziałeś, kiedy patrzyłeś na te dzieci? Dlaczego je zabijałeś?

Głowa Beechama zaczęła się szybko trząść, a potem jego ciało przeszył dreszcz. Podniósł przerażony wzrok ku niebu i otworzył usta szerzej, odsłaniając duże zęby, teraz pokryte krwią.

– Japhecie! – powtórzył Kreizler, wyczuwając, że go traci. – Co widziałeś?

Beecham znów zatopił spojrzenie w twarzy Laszla.

– Nigdy... nie wiedziałem... – wyszeptał tonem jednocześnie przepraszającym i błagalnym. – Nigdy... nie... wiedziałem! Ja... nie... oni...

Zatrząśł się na całym ciele, a potem chwycił Laszla za koszulę. Z twarzą wciąż pełną śmiertelnego strachu, John Beecham skrzywił się ostatnim skurczem, wypluł kącikiem ust trochę krwi zmieszanej ze śluzem i znieruchomiał. Jego głowa przechyliła się na bok, a oczy straciły wreszcie wyraz przerażenia.

– Japhecie! – powtórzył raz jeszcze Kreizler, ale wiedział, że jest już za późno.

Lucius zamknął Beechamowi oczy, a wtedy Laszlo położył głowę zmarłego na zimnym kamieniu chodnika.

Na minutę czy dwie zapadła cisza, którą przerwał kolejny gwizd z dołu. Wstałem, podszedłem do zewnętrznego parkanu promenady i spojrzałem na Cyrusa i Stewiego, którzy pokazywali nagle ku West Side. Pomachałem im w odpowiedzi i zbliżyłem się do Kreizlera.

– Laszlo – powiedziałem ostrożnie – zdaje się, że Roosevelt jest już blisko. Lepiej przygotuj jakieś wyjaśnienia, zanim...

– Nie. – Choć nadal miał spuszczoną głowę, jego ton był stanowczy. – Nie będzie mnie tutaj.

Kiedy wreszcie usiadł prosto i podniósł twarz, zobaczyłem, że oczy ma zaczerwienione i wilgotne. Przeniósł wzrok ze mnie na Sarę, potem na Marcusa i w końcu na Luciusa, skłaniając głowę przed każdym z nas.

– Wszyscy okazaliście mi pomoc i przyjaźń, być może w większym stopniu, niż na to zasługiwałem. Ale muszę was prosić o jeszcze trochę cierpliwości. – Wstając, Kreizler zwrócił się do Isaacsonów. – Sierzanci śledczy? Chciałbym, abyście mi pomogli usunąć stąd ciało Beechama. Mówisz, John, że Roosevelt nadchodzi Czterdziestą Ulicą?

– Chyba tak – odparłem. – Sądząc z tego, co wyprawiają ci dwaj na dole.

– Znakomicie – podjął Kreizler. – Kiedy tu dotrze, Cyrus skieruje go na górę. Sierzanci śledczy i ja wyniesiemy ciało bramą od strony Piątej Alei... – Podszedł do parkanu i zamachał ręką. – ...gdzie będzie czekał Stevie. – Zbliżył się do Sary i ujął ją za ramiona. – Nie będę miał ci za złe, jeśli nie zechcesz wziąć w tym udziału, Saro.

Dziewczyna wyglądała przez chwilę tak, jakby miała wybuchnąć stekiem przekleństw, ale potem wzruszyła ramionami i schowała rewolwer w fałdach sukni.

– Na koniec nie postąpił pan uczciwie, doktorze – powiedziała. Jej spojrzenie złagodniało. – Ale gdyby nie pan, nie byłoby początku. Uznam więc, że jesteśmy kwita.

Laszlo przyciągnął ją do siebie i uściśnął.

– Dziękuję ci – wyszeptał, po czym się odsunął. – W nadbudówce znajdziesz przestraszonego chłopca pokrytego moją całkiem elegancką peleryną. Idź do niego i przypilnuj, żeby Roosevelt nie zadał mu żadnych pytań, nim zdążymy dojechać na miejsce.

– Na jakie miejsce? – spytałem, gdy Sara ruszyła w stronę nadbudówki. – Chwileczkę, Kreizler...

– Nie ma czasu, John – powiedział Laszlo, podchodząc do Isaacsonów. – Sierzanci śledczy? Komisarz jest waszym zwierzchnikiem i nie będę miał pretensji, jeśli...

– Mnie nie musi pan pytać, doktorze – przerwał mu Lucius. – Chyba wiem, co pan zamierza. I jestem ciekaw, jaki będzie tego wynik.

– Sam się przekonasz – odrzekł Kreizler. – Będziesz mi asystował. – Odwrócił się do wyższego Isaacsona. – Marcusie? Jeśli nie zechcesz nam dopomóc, całkowicie to zrozumiem.

Marcus rozważył słowa Kreizlera.

– To naprawdę ostatnia zagadka, jaka pozostała do rozwiązania, prawda, doktorze? – zapytał.

Kreizler skinął głową.

– Być może najważniejsza.

Marcus zastanawiał się jeszcze chwilę i również skinął głową.

– Dobrze. Czymże jest mała służbowa niesubordynacja wobec interesu nauki?

– Dobry chłopak. – Laszlo uściśnął mu ramię, a potem wrócił do Beechama i chwycił go za jedną rękę. – W takim razie, bierzmy się do dzieła, i to szybko.

Marcus ujął Beechama za nogi, a Lucius przykrył tors zmarłego ubraniem i złapał drugą rękę. Potem podnieśli ciało – Kreizler krzywiąc się z bólu – i ruszyli promenadą ku Piątej Alei.

Perspektywa pozostania na tych murach w towarzystwie dwóch nieprzytomnych zbirów i zwłok Connora dodała mi energii.

– Zaczekajcie! – krzyknąłem, podążając za nimi. – Zaczekajcie, do cholery! Kreizler! Wiem, co chcesz zrobić! Nie możesz mnie tu zostawić i oczekiwać...

– Nie ma czasu, John! – odparł Kreizler i cała trójka przyspieszyła kroku. – Potrzebuję jakichś sześciu godzin, wtedy wszystko będzie jasne!

– Ale...

– Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Moore! – zawołał Kreizler. Na to się zatrzymałem i przez chwilę stałem, patrząc, jak odchodzą i znikają w mroku klatki schodowej.

– Przyjaciel – mruknąłem, kopiąc chodnik, po czym odwróciłem się na pięcie. – Nie zostawia się przyjaciół, żeby wyjaśniali taki bałagan...

Przerwałem mój mały monolog, słysząc jakiś gwar w nadbudówce: były to głosy Sary i Theodore'a. Zamienili kilka gniewnych słów, po czym Roosevelt wypadł na promenadę, a za nim Sara i kilku ludzi w mundurach.

– Więc to tak! – zagrzmiał Theodore na mój widok i ruszył ku mnie, oskarżycielsko podnosząc gruby palec. – To jest moja zapłata za zawarcie umowy z kimś, kogo błędnie wzięłem za dżentelmena! Do pioruna, powinienem...

Nagle umilkł, zobaczywszy dwóch jeńców i zwłoki. Zdumiony, dwukrotnie przeniósł wzrok z chodnika na mnie i skierował palec w dół.

– Czy to Connor?

Skinąłem głową i podszedłem do niego, szybko powściągając mój gniew na Kreizlera i udając wielkie zaniepokojenie.

– Tak, i przybyłeś w samą porę, Roosevelt. Zaczailiśmy się tu na Beechama...

Na chwilę znów wstąpiło w Theodore'a słuszne oburzenie.

– Tak, wiem – ryknął. – I gdyby dwójka moich najlepszych ludzi nie śledziła służących Kreizlera...

– Beecham się nie pokazał – ciągnąłem. – To była pułapka, zastawiona przez Connora. Chciał... chciał zabić Steviego.

– Steviego? – powtórzył Roosevelt z niedowierzaniem w głosie. – Chłopaka Kreizlera?

Popatrzyłem nań z głębokim przejęciem.

– Roosevelt, Stevie był jedynym świadkiem tego, jak Connor zabił Mary Palmer.

Twarz Theodore'a rozjaśniło zrozumienie, a jego oczy mało nie wyszły z orbit.

– Ach! – wykrzyknął, podnosząc palec do góry. – Oczywiście! – Ponownie zmarszczył brwi. – Ale co się stało?

– Na szczęście, komisarzu – włączyła się Sara, prawidłowo odgadując, że moja pomysłowość słabnie – sierżanci śledczy i ja przybyliśmy na czas. – Wskazała ciało z udawaną pewnością siebie. – W plecach Connora znajdzie pan moją kulę.

– Twoją, Saro? – zdziwił się Theodore. – Nic z tego nie rozumiem.

– My też nic nie rozumieliśmy – odrzekła Sara – dopóki nie dał pan nam znać, że John i doktor coś knują. Ale zanim się domyśliśmy, gdzie mogą być, opuścił pan już więź ciśnień. Na pańskim miejscu bym tam wróciła, reszta wywiadowców nadal czuwa, a morderca jeszcze nie uderzył.

– Tak – mruknął Theodore z namysłem. – Tak, chyba masz rację, że... – Nagle wyprostował się, zwietrywszy podstęp. – Chwileczkę. Coś tu się nie zgadza. Jeśli to wszystko prawda, powiedzcie mi, kim jest ten chłopiec w środku?

Nie dawałem za wygraną.

– Poważnie, Roosevelt, lepiej...

– I gdzie są pozostali: Kreizler i Isaacsonowie?

– Komisarzu – powiedziała Sara – zaręczam panu...

– O tak – przerwał jej Roosevelt, machając ręką. – Rozumiem, co się tu dzieje. To spisek, prawda? Doskonale! Z przyjemnością wam służę! Sierżancie! – Jeden z policjantów stanął na baczność. – Niech któryś z pańskich ludzi zajmie się chłopcem, a potem aresztujcie mi tych dwoje! I zabierzcie ich natychmiast na Mulberry Street! – Zanim Sara i ja zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, Theodore raz jeszcze podniósł palec i pogroził nam obojgu. – Przypomnę wam, w bardzo nieprzyjemny sposób, kto jest szefem Wydziału Policji w tym mieście!

ROZDZIAŁ 46

Naturalnie były to tylko pogrożki. Owszem, Roosevelt zaciągnął nas na Mulberry Street, zamknął na parę godzin w swoim gabinecie i wygłosił długą mowę o honorze, zaufaniu oraz dotrzymywaniu przyrzeczeń. W końcu jednak powiedziałem mu prawdę o nocnych wydarzeniach, aczkolwiek dopiero wtedy, gdy byłem już prawie pewien, że Kreizler i Isaacsonowie zdążyli dotrzeć tam, gdzie się udawali. Wyjaśniłem Theodore'owi, że wcale go nie okłamałem, ponieważ przed przyjściem do Metropolitan sam nie wiedziałem, co się dzieje; mało tego, dodałem, nadal nie miałem wytłumaczenia dla wielu wydarzeń, do których doszło na murach zbiornika, ale zamierzałem je uzyskać. I obiecałem, że jak tylko to zrobię, przyjdę prosto na Mulberry Street i podzielę się z nim informacjami. Słuchając mnie, Roosevelt znacznie się uspokoił, a kiedy Sara zwróciła mu uwagę, iż najważniejsze jest to, że Beecham nie żyje, zaczął odzyskiwać dobry humor. Jak nam powiedział kilka tygodni wcześniej, sukces tego śledztwa miał dlań wielkie osobiste znaczenie (choć, ze względu na złożoność sprawy, nie będzie mógł go wykorzystać oficjalnie); i kiedy wreszcie podnieśliśmy się z Sarą do wyjścia, koło czwartej nad ranem, Theodore przeszedł już od krytyki nocnych wypadków do charakterystycznie wylewnej pochwały całej pracy naszego zespołu.

– Niekonwencjonalna, to pewne – powiedział, kładąc nam dłonie na ramionach, gdy szliśmy do drzwi – ale wspaniała robota. Wspaniała. Pomyślcie: morderca niemający żadnych powiązań ze swymi ofiarami, człowiek, którym mógł być każdy w tym mieście, zidentyfikowany i powstrzymany. – Pokręcił głową, wzdychając z uznaniem. – Wprost niewiarygodne. A do tego dostaliśmy Connora! – Zauważyłem, że Sara odrobinę się krzywi, ale z wysiłkiem ukryła tę reakcję. – Tak, bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak też nasz przyjaciel Kreizler wysmażył ostatnią część swojego planu. – Potarł brodę i na kilka sekund utkwiał wzrok w podłozę, a potem znów spojrzął na nas. – No więc, co teraz zrobicie?

Było to proste pytanie, lecz nagle odkryłem, że nie mam ochoty na nie odpowiadać.

– Co zrobimy? – powtórzyłem. – No cóż... chyba... Nie bardzo wiem. Musimy... wyjaśnić jeszcze kilka szczegółów.

– Oczywiście – przyznał Roosevelt. – Ale sprawa jest zakończona, wygraliście!

Odwrócił się do Sary, jakby oczekiwał potwierdzenia. Dziewczyna skinęła powoli głową, objawiając takie zakłopotanie i niepewność, jakie i ja czułem.

– Tak – powiedziała w końcu, z przymusem w głosie. Zapadła długa, dziwna cisza, podczas której to niejasne, lecz niepokojące uczucie zrodzone z myśli o zakończeniu śledztwa owładnęło nami mocniej. Próbując je przezwyciężyć, Theodore zmienił temat.

– W każdym razie – oświadczył, składając ręce na piersi – był to szczęśliwy i intrygujący koniec. Nastąpił też w odpowiedniej chwili. Jutro wyjeżdżam do Saint Louis.

– Prawda – powiedziałem zadowolony, że mogę pomówić o czymś innym. – Konwencja. Rozumiem, że przejdzie McKinley?

– W pierwszym głosowaniu – odparł Theodore z rosnącym zapałem. – Ta konwencja to czysta formalność.

Uśmiechnąłem się prowokacyjnie.

– Upatrzyłeś już sobie dom w Waszyngtonie?

Jak zwykle Theodore zaciętrzewił się na sugestię, że zależy mu na karierze politycznej, lecz przypomniawszy sobie, iż jestem starym przyjacielem, który nigdy nie zakwestionowałby jego motywów, szybko złagodniał.

– Jeszcze nie. Ale, do pioruna, jakie to są możliwości! Na przykład Departament Marynarki...

Sara parsknęła nagle, niepohamowanym śmiechem i zakryła usta dłonią.

– Och, przepraszam, komisarzy – powiedziała. – Po prostu... po prostu nigdy nie wyobrażałam sobie pana w Marynarce.

– To prawda, Roosevelt – wtrąciłem. – Jeśli się nad tym zastanowić, co ty, u licha, wiesz o sprawach morskich?

– Jak to co? – obruszył się. – Napisałem książkę o wojnie morskiej 1812 roku, została bardzo dobrze przyjęta!

– No cóż – odparłem, kiwając głową – to istotnie zmienia postać rzeczy.

Uśmiech Theodore'a powrócił.

– Tak, Marynarka to właściwe miejsce. Moglibyśmy zacząć planować, jak wyrównać rachunki z tymi piekielnymi Hiszpanami! Przecież...

– Proszę – przerwałem mu, podnosząc dłoń. – Nie chcę tego wiedzieć.

Sara i ja ruszyliśmy ku schodom, a Roosevelt został w drzwiach gabinetu, z rękami na biodrach. Ciężka noc ani trochę nie umniejszyła jego energii – gdy doszliśmy do końca ciemnego korytarza, latarnia jego uśmiechu nadal świeciła.

– Nie chcecie wiedzieć? – krzyknął za nami wesoło, gdy zaczęliśmy schodzić w dół. – Kiedy moglibyście jechać ze mną! Po tym, czego dokonaliście tutaj, z imperium hiszpańskim poradzicie sobie bez trudu! Jak się zastanowić, to rzeczywiście jest pomysł – psychologia króla Hiszpanii! Tak, przywieźcie swoją tablicę do Waszyngtonu i znajdziemy właściwy sposób, aby go zmiażdżyć!

Przestaliśmy słyszeć głos Roosevelta dopiero po wyjściu z budynku.

Pierwszy odcinek drogi przeszliśmy jeszcze w stanie pewnego szoku, który nie pozwalał nam omówić zakończenia sprawy bardziej szczegółowo. Nie, żebyśmy nie chcieli wyjaśnić wydarzeń, do których doszło na szczycie zbiornika, ale nie mieliśmy dość informacji, aby to zrobić. Jeśli zaś idzie o wiedzę, którą posiadaliśmy, potrzebowaliśmy czasu, by się z nią oswoić. Odnosiło się to zwłaszcza do faktu, że tej nocy Sara położyła kres ludzkiemu życiu.

– Przypuszczam, że komuś z nas było to pisane – odezwała się ze znużeniem w głosie i wzrokiem wbitym tępo w chodnik, gdy skręciliśmy w Lafayette Place i ruszyliśmy na północ. – Nigdy bym jednak nie sądziła, że zrobię to ja...

– Connor sam się o to prosił – powiedziałem, starając się dodać jej otuchy, nie popełniając przy tym śmiertelnego grzechu (w opinii Sary) „dopieszczania”.

– Och, wiem to, John – odrzekła. – Naprawdę to wiem. A jednak...

Urwała, a potem przystanąła i odetchnęła głęboko, rozglądając się po cichej ulicy. Jej oczy błędziły od jednego ciemnego domu do drugiego, aż w końcu spoczęły na mnie; ku mojemu zaskoczeniu, zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła głowę do mojej piersi.

– To już koniec, prawda, John?

– Żałujesz? – spytałem, dotykając jej włosów.

– Trochę – odparła. – Nie tego, co się wydarzyło. Ale pierwszy raz przeżyłam coś takiego. I zastanawiam się, czy jeszcze kiedyś mi na to pozwolą.

Wziąłem ją pod brodę i spojrzałem głęboko w zielone oczy.

– Coś mi się dziwnie zdaje, że nie będziesz już musiała prosić o pozwolenie. Nie, żebyś kiedykolwiek była w tym dobra.

Uśmiechnęła się i podeszła do krawężnika.

– Może masz rację. – Odwróciła się, słysząc stukot końskich kopyt. – Co za szczęście, jest dorożka.

Sara podniosła prawą rękę do twarzy, wystawiła palec wskazujący i kciuk, po czym, ku mojemu osłupieniu, włożyła je do ust. Następnie wzięła oddech i mocno dmuchnęła, wydając gwizd, który omal nie rozłupał mi czaszki. Zakryłem uszy i spojrzałem na nią zgorzony. W zamian otrzymałem kolejny wielki uśmiech.

– Ćwiczyłam to – powiedziała, gdy powóz przyturkotał do nas. – Stevie mnie nauczył. Nieźle mi wychodzi, nie sądzisz? – Wsiadła do dorożki, wciąż się uśmiechając. – Dobranoc, John. I dziękuję. – Zastukała w dach i zawołała: – Gramercy Park, woźnico! – i odjechała.

Zostawszy sam po raz pierwszy tej nocy, poświęciłem chwilę na zastanowienie się, dokąd pójść. Choć byłem w półżywy ze zmęczenia, dom i łóżko nie wchodziły jakoś w grę. Potrzebowałem spaceru cichymi ulicami; nie, jak już powiedziałem, by spróbować pojąć wszystko, co się wydarzyło, tylko po to, by się z tym oswoić. John Beecham zginął: utraciłem cel w życiu, choćby nawet ponury, i z nagłym dreszczem lęku uświadomiłem sobie, że w poniedziałek rano będę musiał zdecydować, czy wracam do pracy w „Timesie” czy nie. Myśl ta, choć przelotna, wydała mi się przerażająca.

Niezamierzenie zatrzymałem się na rogu Great Jones Street i spojrzawszy w dół ulicy, zobaczyłem, że światła New Brighton Dance Hall nadal się palą. Może wyjaśnienia nie są jednak tak daleko, pomyślałem i zanim powzięłem świadomą decyzję, nogi już niosły mnie w tamtą stronę.

Byłem jeszcze kilka domów dalej, gdy dotarły do mnie dźwięki muzyki (Paul Kelly zatrudniał dużą, profesjonalną orkiestrę, a nie typowy dla takich miejsc fałszujący tercet). Wkrótce hałas spotęgowały ochryple śmiechy, pijackie okrzyki i wreszcie głośne dzwonienie szklanek i butelek. Mimo wszystko nie uśmiechała mi się perspektywa wejścia do środka, toteż poczułem znaczną ulgę, widząc, że Kelly wychodzi akurat zza przeszklonych drzwi lokalu. Był w towarzystwie umundurowanego policjanta, który śmiał się i liczył pieniądze. Spostrzegłszy mnie, Kelly szturchnął gliniarza łokciem i ruchem głowy dał mu znak, żeby spadał. Policjant zrozumiał polecenie i posłusznie odmaszerował, mniej więcej w kierunku Mulberry Street.

– Witaj, Moore! – powiedział Kelly, wyjmując z kieszeni jedwabnej kamizelki małą tabakierkę i rozciągając swe przystojne rysy w uśmiechu. – Możesz zapamiętać, co widziałeś – dodał, wskazując głową znikającego policjanta.

– Nie bój się, Kelly – odparłem, podchodząc bliżej. – Chyba jestem ci winien przysługę.

– Mnie? – Kelly zachichotał. – Mało prawdopodobne, gryzpiórku. Widzę, że jesteś cały i zdrowy. Sądząc z plotek, które krążą po mieście, musiałeś mieć cholernę szczęście.

– Daj spokój, Kelly – powiedziałem. – Widziałem twój powóz, a twój pomagier McManus uratował nam skórę.

– Jack? – Kelly otworzył tabakierkę i zobaczyłem kopczyk drobno sproszkowanej kokainy. – Nic mi nie mówił. Zresztą to nie w jego stylu spełniać dobre uczynki. – Położył szczyptę kokainy na palcu i wciągnął ją w nozdrza, a potem podsunął tabakierkę mnie. – Chcesz trochę? Sam bym nie zażywał, ale te długie noce...

– Nie – odrzekłem. – Dziękuję. Postępuj, domyślam się tylko, że zawarłeś jakąś umowę z Kreizlerem.

– Umowę? – powtórzył Kelly.

Jego udawana niewiedza zaczynała mi działać na nerwy. Zażył jeszcze trochę kokainy, a potem odsunął się, by przepuścić tego, elegancko ubranego mężczyznę, który wytoczył się z New Brighton, prowadząc dwie nieładne, przesadnie wystrojone kobiety. Kelly przyjaźnie pożegnał gościa, po czym odwrócił się z powrotem do mnie.

– Dlaczego, u licha, miałbym się umawiać z naszym dobrym doktorem?

– Tego właśnie nie wiem! – zawołałem rozdrażniony. – Jedyne wyjaśnienie, jakie mi przychodzi do głowy, to że powiedziałaś kiedyś, że masz dla niego wiele szacunku. Tego dnia w twoim powozie przyznałeś się nawet, że czytałeś jakąś jego rozprawę.

Kelly ponownie zachichotał.

– To za mało, abym wystąpił przeciwko własnym interesom, Moore. Jestem człowiekiem praktycznym. Tak samo jak wasz przyjaciel Morgan. – Wybałuszyłem oczy, a Kelly uśmiechnął się szerzej. – Och, wiem o waszym spotkaniu z Nosaczem.

Chciałem go spytać, skąd, do diabła, wie, ale nie miało to sensu – nawiązywał do niego był w nastroju do współpracy i tylko robiłem z siebie durnia.

– W porządku – oświadczyłem, cofając się kawałek. – Za dużo tej nocy przeszedłem, żeby tu stać i bawić się z tobą w kotka i myszkę, Kelly. Powiedz Jackowi, że jestem mu wdzięczny.

Po tych słowach odszedłem szybkim krokiem, a w każdym razie spróbowałem odejść, ale pokonałem zaledwie połowę drogi do rogu, gdy znów usłyszałem głos Kelly'ego:

– Zaczekaj, Moore. – Odwróciwszy się, zobaczyłem, że nadal szczyrzy zęby w uśmiechu. – Zdaje się, że mieliście niezłą zabawę. – Schował tabakierkę do kieszeni i kpiarsko przechylił głowę. – Oczywiście nie mówię, że coś o tym wiem. Ale w wolnej chwili zadaj sobie pytanie: spośród wszystkich ludzi, którzy tam dziś byli, kto, według ciebie, jest najbardziej niebezpieczny dla chłopców z góry?

Stałem tam jakieś pół minuty, wpatrując się tępo w Kelly'ego, a potem w ziemię, aż w końcu mój przemęczony umysł zaczął chwytać sens jego słów i lekko opadła mi szczeka. Z uśmiechem podniosłem głowę, aby udzielić odpowiedzi, ale Kelly zniknął. W pierwszej chwili chciałem wejść za nim do środka, lecz szybko z tego zrezygnowałem: nie było po co. Rozumiałem, co miał na myśli, i wiedziałem, co zrobił. Paul Kelly, gangster, hazardzista, samozwańczy filozof i krytyk społeczny, postawił na przeczucie; i chociaż zdawałem sobie sprawę, że żaden z nas nie będzie żył dość długo, aby poznać ostateczny wynik tej gry, podejrzewałem, że przeczucie Kelly'ego się sprawdzi.

Dziwnie podniesiony na duchu, odwróciłem się i wskoczyłem do stojącej pod New Brighton dorożki, praktycznie wrzeszcząc do woźnicy, że ma mnie jak najszybciej zawieźć na East Broadway. Popędził konia w dół Lafayette Place i kiedy skręcił na wschód w Worth Street, zacząłem chichotać, a nawet lekko nucić. „Ostatnia zagadka”, śpiewałem, powtarzając słowa Marcusa: chciałem tam być, kiedy ją rozwiążą.

Moja dorożka zajęła pod Instytut Kreizlera dokładnie o czwartej trzydzieści i stanęła za kolaską Laszla. Jedynym dźwiękiem słyszalnym na całej ulicy był płacz niemowlęcia, dochodzący z otwartego okna w jednej z czynszówek naprzeciwko. Kiedy zapłaciłem woźnicy, spostrzegłem Marcusa, który siedział na żelaznych schodach Instytutu, paląc papierosa i przeczesując dłonią włosy. Pomachałem mu i poszedłem zajrzeć do kolaski. Na siedzeniu, również paląc, leżał Stevie. Kiedy mnie zobaczył, zasalutował mi papierosem.

– Sierżant śledczy ma niezłe fajki – powiedział. – Powinien pan spróbować.

– Dzięki – mruknąłem, odwracając się. – Chyba to zrobię. Gdzie Cyrus?

– W środku – odparł chłopiec. – Parzy im kawę. Siedzą tam od przyjazdu. – Zaciągnął się głęboko i wskazał papierosem niebo. – Kto by pomyślał, panie Moore, że nad takim szambem jak to miasto jest tyle gwiazd. Już sam smród powinien je wypędzić...

– To prawda, Stevie – powiedziałem z uśmiechem, patrząc w okna na parterze Instytutu: były jasno oświetlone.

Odszedłem od kolaski i usiadłem obok wyższego Isaacsona.

– Nie jesteś w środku?

Szybko potrząsnął głową, wydmuchując dym długim, zgrabnym nosem.

– Byłem. Myślałem, że wytrzymam, ale...

– Nie musisz mi mówić – odrzekłem, biorąc od niego papierosa. – Ja tam nawet nie wejść.

Frontowe drzwi Instytutu uchyliły się i wyrżał z nich Cyrus.

– Panie Moore? – powiedział. – Napiły się pan kawy?

– Jeśli ty ją zaparzyłeś, Cyrusie – odparłem – to bardzo chętnie.

Przechylił głowę i wzruszył lekko ramionami.

– Niczego nie gwarantuję. Po tym, jak oberwałem, mogłem wyjść z wprawy.

– Zaryzykuję – stwierdziłem. – Jak im idzie?

– Zbliżają się do końca, jak sądzę – odrzekł Cyrus. – Zbliżają się do końca...

Minęły jeszcze trzy kwadranse, zanim praca na sali operacyjnej rzeczywiście ustała. Przez ten czas Marcus i ja paliliśmy, piliśmy kawę i próbowaliśmy, w określony sposób, pogodzić się z myślą o zakończeniu śledztwa i nieuchronnym rozwiązaniu naszego zespołu. Bez względu na to, jakie odpowiedzi znajdą Kreizler i Lucius, pozostanie faktem, że Beecham nie żyje. I gdy noc zaczęła przechodzić w ranek, uświadomiłem sobie, jak bardzo ta jedna okoliczność wpłynie na życie nas wszystkich.

Wreszcie, prawie o wpół do szóstej, otworzyły się drzwi na parterze i wyszedł z nich Lucius. Miał na sobie skórzany fartuch poplamiony różnymi cuchnącymi płynami i robił wrażenie krańcowo wyczerpanego.

– No więc – powiedział, wycierając dłonie w zakrwawiony ręcznik – to by było wszystko.

Usiadł obok nas, wyjął chusteczkę i wytarł sobie czoło, a tymczasem Cyrus zszedł po schodach od frontowych drzwi.

– Wszystko? – powtórzył Marcus, lekko zirytowany. – Jakie „wszystko”? Mów, co odkryliście?

– Nic – odparł Lucius, zamykając oczy i kręcąc głową. – Nic, co w najmniejszym stopniu odbiegałoby od normy. Doktor Kreizler sprawdza jeszcze ostatnie szczegóły, ale...

Wstałem i cisnąłem niedopałek papierosa na ulicę.

– Więc miał rację – powiedziałem cicho, czując, że przeszywa mnie dreszcz.

Lucius skulił ramiona.

– Miał rację o tyle, o ile medycyna może to stwierdzić.

Marcus nadal wpatrywał się w brata.

– Chcesz wszystko popsuć? – zapytał. – Jeśli miał rację, to miał rację, nie mieszaj do tego medycyny.

Lucius zamierzał mu chyba wytknąć kulawą logikę tego zdania, ale tylko westchnął i skinął głową.

– Tak, doktor Kreizler miał rację. – Wstał, zdjął fartuch i podał go Cyrusowi. – A ja idę do domu. Wieczorem mamy być wszyscy w Delmonico. O jedenastej trzydzieści. Może wtedy będę już w stanie coś zjeść.

– Poczekaj – zawołał Marcus, gdy jego brat zaczął się oddalać. – Nie zostawisz mnie, żebym wracał do domu sam, pamiętaj, to ty masz broń. Do widzenia, John. Do wieczora.

– Do wieczora – powtórzyłem, kiwając głową. – Dobrze się spisałeś, Luciusie!

Niższy Isaacson odwrócił się i machnął niedbale ręką.

– A, tak. Dzięki, John. Ty też. I Sara, i... Zobaczymy się później.

Ruszyli powoli ulicą, jak zwykle kłócąc się o coś, i w końcu zniknęli mi z oczu.

Drzwi na parterze Instytutu otwarły się ponownie i stanął w nich Kreizler wkładający marynarkę. Wyglądał jeszcze gorzej niż Lucius: miał bladą twarz i olbrzymie cienie pod oczami. Odniosłem wrażenie, iż nie od razu mnie poznał.

– A, Moore – powiedział po dłuższej chwili. – Nie spodziewałem się, że tu dotrzesz. Choć, naturalnie, bardzo się cieszę. – Odwrócił się do Cyrusa. – Skończyliśmy. Wiesz, co masz zrobić?

– Tak, sir. Woźnica z furgonem powinien tu być za kilka minut – Będzie uważał, żeby nikt go nie widział?

– Można na nim polegać.

– Dobrze. Niech cię podrzuci do domu. Ja odwiozę Moore’a na Washington Square.

Wsiadliśmy z Kreizlerem do kolaski i zbudziliśmy drzemiącego Steviego, który obrócił Fredericka i łagodnie popędził go naprzód. Nie naciskałem Laszla o wyjaśnienia, wiedząc, że mi ich udzieli, kiedy już się pozbiera.

– Lucius powiedział ci, że nic nie znaleźliśmy? – zapytał w końcu, gdy jechaliśmy powoli w górę Broadwayu.

– Tak – odrzekłem.

– Żadnych śladów wad wrodzonych ani obrażeń fizycznych – podjął cicho Laszlo. – Ani żadnych nieprawidłowości, które mogłyby świadczyć o chorobie lub niedorozwoju umysłowym. Pod każdym względem normalny, zdrowy mózg.

Przechylił głowę do tyłu i oparł ją o złożoną budę kolaski.

– Chyba nie jesteś rozczarowany? – spytałem zbity z tropu jego tonem. – W końcu dowodzi to, że miałeś rację: Beecham nie był pomyłony.

– To wskazuje, że miałeś rację – odparł spokojnie Kreizler. – Tak mało wiemy o mózgu, Moore... – Westchnął, lecz spróbował się rozchmurzyć. – Ale owszem, zgodnie z naszą obecną wiedzą psychologiczną i medyczną, John Beecham nie był chory umysłowo.

– No cóż – powiedziałem, uświadamiając sobie z przykrością, że Kreizlerowi będzie trudno poczuć satysfakcję. – Chory czy zdrowy, nikomu już nie zagraża. I to jest najważniejsze.

Stevie skreślił w lewo w Prince Street, aby ominąć skrzyżowanie Houston i Broadwayu, a Laszlo odwrócił się do mnie.

– Pod koniec nie miałeś dla niego zbyt wiele współczucia, prawda, Moore?

– Ach – mruknąłem z zakłopotaniem. – Szczerze mówiąc, więcej niżbym chciał. Ale tobą jego śmierć wyraźnie wstrząsnęła.

– Nie tyle jego śmierć – odparł Kreizler, wyjmując srebrną papierośnicę – ile jego życie. Złośliwa głupota, która go stworzyła. I to, że umarł, zanim mogliśmy naprawdę go zbadać. To wszystko wydaje się tak beznadziejnie daremne...

– Jeśli chciałeś mieć Beechama żywego, dlaczego powiedziałeś, że liczysz na to, że Connor nas śledzi? – spytałem, gdy Laszlo zapalił papierosa. – Musiałeś wiedzieć, że będzie próbował go zabić.

– Connor – westchnął Kreizler i lekko zakaszłał. – Tak, przyznam, że jest coś, czego nie żałuję.

– No wiesz... – Spróbowałem zdobyć się na obiektywizm. – W końcu facet nie żyje. I uratował nam życie.

– Nic podobnego – odrzekł Laszlo. – McManus wkroczyłby do akcji, zanim Beecham naprawdę coś by nam zrobił, cały czas czuwał w pobliżu.

– Więc czemu zwlekał tak długo? Straciłem ząb, na litość boską!

– Rzeczywiście – odparł z zażenowaniem Kreizler, dotykając małego nacięcia na twarzy – czekał do ostatniej chwili. Ale zabroniłem mu interweniować, dopóki nie będzie pewien, że zagrożenie jest śmiertelne, ponieważ chciałem jak najdłużej obserwować Beechama. Co do Connora, miałem tylko nadzieję, że uda nam się go schwycić. Albo...

W głosie Laszla zadźwięczała straszliwa nieodwołalność i samotność, i zrozumiałem, że muszę zmienić temat, jeśli chcę dalej z nim rozmawiać.

– Widziałem się z Kellym. Zakładam, że zwróciłeś się do niego, bo nie miałeś wyboru. – Kreizler skinął głową, nadal patrząc w przestrzeń z goryczą w czarnych oczach. – Powiedział mi, dlaczego zgodził się ci pomóc. A raczej dał to do zrozumienia. Uważa, że stanowisz poważne zagrożenie dla społecznego *status quo*.

Laszlo stęknął.

– Może powinien dogadać się z Comstockiem. Aczkolwiek jeśli ja jestem groźny dla społeczeństwa, tacy ludzie jak oni są dla niego zabójczy. Zwłaszcza Comstock.

Skęciliśmy w prawo w MacDougal Street i mijaliśmy ciemne małe restauracyjki i włoskie kawiarnie, kierując się w stronę Washington Square.

– Laszlo – odezwałem się po dłuższym milczeniu – co miałeś na myśli, mówiąc Beechamowi, że może uda ci się zapewnić mu mniej okrutny los? Chyba nie próbowałbyś dowieść, że jest pomyłony, po to by utrzymać go przy życiu dla nauki?

– Nie – odparł Kreizler. – Ale chciałem go uchronić przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, a potem wnieść o dożywotnie więzienie zamiast krzesła elektrycznego czy szubienicy. Już jakiś czas temu przyszło mi do głowy, że śledzenie przezeń naszych wysiłków, jego list, nawet zabicie Josepha, świadczą o pragnieniu porozumienia się z nami. A kiedy zaczął dziś odpowiadać na moje pytania, zrozumiałem, że trafiłem na prawdziwy ewenement – człowieka, który mordował obce osoby i jest gotów mówić o swoich zbrodniach. – Laszlo znów westchnął i bezradnie podniósł ręce. – Straciliśmy niezwykłą okazję. Widzisz, tacy ludzie rzadko tłumaczą swoje postępowanie. Kiedy zostaną schwytani, nie chcą się przyznać do popełnionych czynów, a jeśli nawet się przyznają, niechętnie mówią o szczegółach. Jakby tego nie umieli. Przypomnij sobie ostatnie chwile Beechama – nie potrafił powiedzieć, co pchało go do zabijania. Sądzę jednak, że z czasem mógłbym mu pomóc znaleźć słowa.

Przyjrzałem się uważnie mojemu przyjacielowi.

– Wiesz, że by ci nie pozwolili.

Kreizler wzruszył ramionami, nie chcąc przyznać mi racji.

– Przy politycznym wymiarze sprawy? – ciągnąłem. – Miałby jeden z najszybszych procesów w historii i zawiśnął przed upływem miesiąca.

– Może – odparł Kreizler. – Już się tego nie dowiemy. Och, Moore, nie dowiemy się tylu rzeczy...

– Czy przynajmniej poczytasz sobie za zasługę znalezienie Beechama? Do diabła, już to było niezwykłym wyczynem.

Laszlo znów wzruszył ramionami.

– Czyżby? Wątpię. Jak długo by się przed nami ukrywał, John?

– Jak długo? Pewnie niezły kawał czasu, przecież ciągnął to całe lata.

– Owszem – przyznał Kreizler. – Ale jak długo jeszcze? Kryzys był nieunikniony, nie mógł bez końca taić swych czynów przed społeczeństwem. Pragnął konfrontacji, pragnął jej rozpaczliwie. Gdyby przeciętny człowiek miał opisać Johna Beechama w świetle jego zbrodni, powiedziałby, że był wyrzutkiem społecznym. Tymczasem nic nie mogłoby być bardziej powierzchowne ani dalsze od prawdy. Beecham nigdy nie odwróciłby się plecami do społeczeństwa ani społeczeństwo do niego. Czemu? Ponieważ – może opacznie, ale nierozdzielnie – był z tym społeczeństwem związany. Był jego produktem, jego chorym sumieniem, chodzącym przypomnieniem wszystkich ukrytych zbrodni, które popełniamy, żyjąc obok siebie. Beecham potrzebował ludzi, aby im pokazać, co społeczeństwo z nim zrobiło. A społeczeństwo potrzebowało jego.

– Potrzebowało go? – zapytałem, gdy jechaliśmy wzdłuż cichego Washington Square Park. – Co ty mówisz? Przepuściliby przezeń prąd elektryczny, gdyby tylko mogli.

– Tak, ale najpierw pokazaliby go światu – odparł Kreizler. – Potrzebujemy takich ludzi jak Beecham, bo są wygodnymi składami na wszystko, co jest złe w naszym społeczeństwie. A fakty, które sprawiły, że Beecham stał się tym, kim był? Te tolerujemy. Te nawet sprawiają nam przyjemność...

Kiedy wzrok Laszla znów gdzieś odpłynął, kolaska zatrzymała się pod domem mojej babki. Niebo na wschodzie dopiero zaczynało różowieć, ale na górnych piętrach Washington Square North 19 paliło się już światło. Gdy Kreizler odwrócił głowę, zobaczył je i po raz pierwszy tego ranka lekko się uśmiechnął.

– Co twoja babka mówiła na to, że ścigasz mordercę? – spytał. – Zawsze żywo interesowała się makabrą.

– Nic jej nie powiedziałem. Myśli, że jeszcze bardziej wciągnął mnie hazard. I zważywszy na wszystko, pozwolę jej tak myśleć. – Wskoczyłem sztywno na chodnik. – Więc, jak rozumiem, spotykamy się wieczorem w Delu?

Kreizler skinął głową.

– To chyba właściwe, co?

– Jak najbardziej – odparłem. – Zadzwoń do Charliego, niech powie Ranhoferowi, żeby przygotował coś naprawdę ekstra. Chociaż tyle nam się należy.

Kreizler uśmiechnął się odrobinę szerzej.

– W rzeczy samej, Moore – powiedział, zamykając drzwiczki powozu i podając mi rękę; ucisnąłem ją, a wtedy Laszlo odwrócił się do przodu, lekko stękając. – Jedziemy, Stevie.

Chłopiec zasalutował mi na pożegnanie i kolaska potoczyła się w stronę Piątej Alei.

ROZDZIAŁ 47

Prawie dwadzieścia cztery godziny później, wlokąc się do domu z Delmonico – po posiłku, który zaspokoiłby apetyt pułku kawalerii razem z końmi – przystanąłem pod hotelem Piąta Aleja, aby kupić poranne wydanie wtorkowego „Timesa”. Kiedy ruszyłem dalej, przeglądając gazetę, ponownie znalazłem się pod bacznią obserwacją młodych czyścicieli ulic pułkownika Waringa, tylko czekających na to, abym upuścił choć strzępek papieru. Zignorowałem ich jednak i kontynuowałem poszukiwania, by wreszcie znaleźć to, co mnie interesowało, w prawym dolnym rogu pierwszej strony.

Tego ranka dozorca kostnicy w Bellevue dokonał makabrycznego odkrycia. Pod tylnym wejściem do budynku złożono owinięte w brezent zwłoki muskularnego mężczyzny, który za życia miał ponad sześć stóp wzrostu. Ponieważ ciało było nagie, nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów. Za przyczynę śmierci uznano postrzał w pierś, ale zwłoki doznały również innych obrażeń: usunięto górną część czaszki i wypreparowano mózg, w sposób, który zdaniem personelu kostnicy wskazywał na wprawną rękę. Do brezentu przypięta była kartka z informacją, że są to zwłoki człowieka winnego serii zabójstw chłopięcych prostytutek – albo, jak ujął to „Times”, „śmierci kilku bezdomnych chłopców zatrudnionych w przybytkach zbyt plugawych, aby tu o nich wspominać”. Rozmowa z komisarzem Rooseveltem potwierdziła, że człowiek ten zginął podczas próby dokonania kolejnego zabójstwa.

Komisarz oświadczył, że z pewnych istotnych powodów nie może ujawnić nazwiska mordercy ani dokładnych okoliczności jego śmierci; społeczeństwo powinno jednak wiedzieć, że w akcji brali udział członkowie Sekcji Śledczej i że sprawa jest zdecydowanie zamknięta.

Skończywszy czytać artykuł, rozejrzałem się po ulicy i wydałem przeciągły ryk satysfakcji.

Po prawie dwudziestu trzech latach nadal odczuwam tę satysfakcję. Kreizler i ja jesteśmy już starymi ludźmi, a Nowy Jork jest zupełnie innym miejscem – jak J.P. Morgan powiedział nam owego wieczoru w Czarnej Bibliotece, miasto i cały kraj znajdowały się w 1896 roku u progu burzliwych przemian. Dzięki Theodore'owi i jego politycznym sojusznikom staliśmy się wielką potęgą, a Nowy Jork jest teraz prawdziwym centrum świata. Przystępność i korupcja, które wciąż stanowią mocny fundament miejskiego życia, przybrały jeszcze bardziej zinstytucjonalizowane formy – Paul Kelly, na przykład, został liczącym się przywódcą związkowym. To prawda, uprawiające prostytucję dzieci nadal giną z rąk zdegenerowanych dorosłych i od czasu do czasu znajduje się w dziwnych miejscach nie zidentyfikowane zwłoki; lecz o ile mi wiadomo, morderca w rodzaju Johna Beechama nie zagroził już więcej temu miastu, i trwam w nadziei, że tacy ludzie jak on nie pojawiają się zbyt często. Kreizler sądzi oczywiście, że jest to nadzieja złudna.

W ciągu minionych dwudziestu trzech lat często widywałem Luciusa i Marcusa Isaacsonów, a jeszcze częściej Sarę. Wszyscy troje bez reszty poświęcili się służbie śledczej, osiągając wspaniałe wyniki. Od czasu do czasu badaliśmy nawet jakieś drobne sprawy razem, i te właśnie okazje tworzą łańcuch moich najbardziej pamiętnych doświadczeń. Ale żadnego z nich nie da się porównać z polowaniem na Beechama. Może teraz, gdy odszedł Roosevelt, społeczeństwo doceni wreszcie nasze osiągnięcia; albo przynajmniej wspomni, że pod całym swoim teatralnym rezonem, Theodore miał serce i umysł wystarczająco otwarte, aby uczynić to bezprecedensowe przedsięwzięcie możliwym.

Och, i przypisek dla tych, którzy mogą być ciekawi dalszych losów Cyrusa Montrose'a i Steviego Taggerta: Cyrus w końcu się ożenił i pracuje z żoną u Kreizlera. Mają kilkoro dzieci, z których jedno studiuje medycynę na Harvardzie. Co do Steviego, osiągnąwszy pełnoletność, pożyczył od Laszla trochę pieniędzy i otworzył sklep tytoniowy, naprzeciwko hotelu Piąta Aleja, w nowym Flatiron Building. Powodzi mu się dobrze, i przez ostatnie piętnaście lat chyba ani razu nie widziałem go bez papierosa.

Zaledwie trzy lata po sprawie Beechama zbiornik Croton – wyparty z użytku przez nową sieć wodociągową, skonstruowaną, gdy Boss Platt zrealizował swój plan stworzenia Wielkiego Nowego Jorku – został wyburzony, aby zrobić miejsce dla najwspanialszego ze wszystkich filantropijnych przedsięwzięć, Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Przeczytawszy w „Timesie” notatkę o rozbiórce, pewnego dnia poszedłem przyjrzeć się pracom. Burzenie zbiornika zaczęło od południowej ściany – na której szczyście stawiliśmy czoło ostatniemu wyzwaniu naszego śledztwa – odstawiając olbrzymi krater szerokości jednej przecznicy i długości dwóch. Otwarta w ten sposób budowla nie wyglądała zbyt imponująco; trudno było uwierzyć, że wytrzymała kiedyś niesamowite ciśnienie milionów litrów wody.

PODZIĘKOWANIA

Przygotowując się do napisania tej książki, wpadłem na myśl, że zjawisko, które obecnie nazywamy wielokrotnym zabijaniem, towarzyszy nam, odkąd ludzie zaczęli się łączyć w społeczeństwa. Tę dyletancką tezę potwierdził doktor David Abrahamsen, jeden z czołowych amerykańskich ekspertów od przemocy w ogólności i wielokrotnego zabijania w szczególności. Pragnę mu podziękować za to, że omówił ze mną ten projekt i wskazał mi drogę dalszych poszukiwań.

Bezcennej pomocy udzielili mi także pracownicy Archiwum Uniwersytetu Harvarda, Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, Nowojorskiego Towarzystwa Historycznego, Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej i Nowojorskiej Biblioteki Społecznej.

John Coston podpowiedział mi na początku kilka ważnych kierunków badań i dzielił się ze mną pomysłami. Jestem mu wdzięczny.

Wielu autorów nieświadomie przyczyniło się do powstania tej książki swymi faktograficznymi dziełami na temat wielokrotnego zabijania. Spośród nich na moją wdzięczność zasługują przede wszystkim: Colin Wilson, za wyczerpujące studia o przestępczości; Janet Colaizzi, za znakomitą historię psychopatii od roku 1800; Harold Schechter, za analizę postaci osławionego Alberta Fisha (którego list do matki Grace Budd stał się pierwowzorem listu Johna Beechama); Joel Norris, zacieszając się słusznym uznaniem rozprawę o wielokrotnych zabójcach; Robert K. Ressler, za wspomnienia z życia spędzonego na ściganiu takich osobników; i raz jeszcze doktor Abrahamsen, za niezrównane prace o Davidzie Berkowitzu i Kubie Rozpruwaczu.

Tim Haldeman dopomógł mi, spoglądając na rękopis swym doświadczoneym okiem. Ceniłem jego cięte uwagi niemal na równi z jego przyjaźnią.

Suzanne Gluck i Ann Godoffjak zawsze poprowadziły mnie od szalonego pomysłu do gotowego produktu z wdziękiem, wprawą i zyczliwością. Wszyscy pisarze powinni mieć takich agentów i redaktorów. Kompetencje i pogoda ducha Susan Jensen nieraz ratowały mnie przed biedą, i dziękuję jej za to.

Irene Webb zatroszczyła się o losy tej książki na drugim wybrzeżu z najwyższą gracją i fachowością. Jestem jej dłużnikiem.

Za entuzjastyczną wiarę na początku tego przedsięwzięcia chciałbym podziękować Scottowi Rudinowi.

Dzięki swej psychologicznej intuicji Tom Pivinski pomógł mi przetworzyć koszmary w prozę. Był dla mnie ostoją.

James Chace, David Fromkin i Rob Cowley wspierali mnie przyjaźnią i radą, jakże niezbędnymi przy takim projekcie. Jestem dumny, mogąc ich nazwać moimi towarzyszami.

Specjalne wyrazy wdzięczności należą się pozostałym członkom Core Four z La Tourette: Martinowi Signore, Debbie Deuble i Yong Yoon.

I wreszcie chciałbym podziękować mojej rodzinie, a zwłaszcza mojemu kuzynostwu, Marii i Williamowi von Hartz.